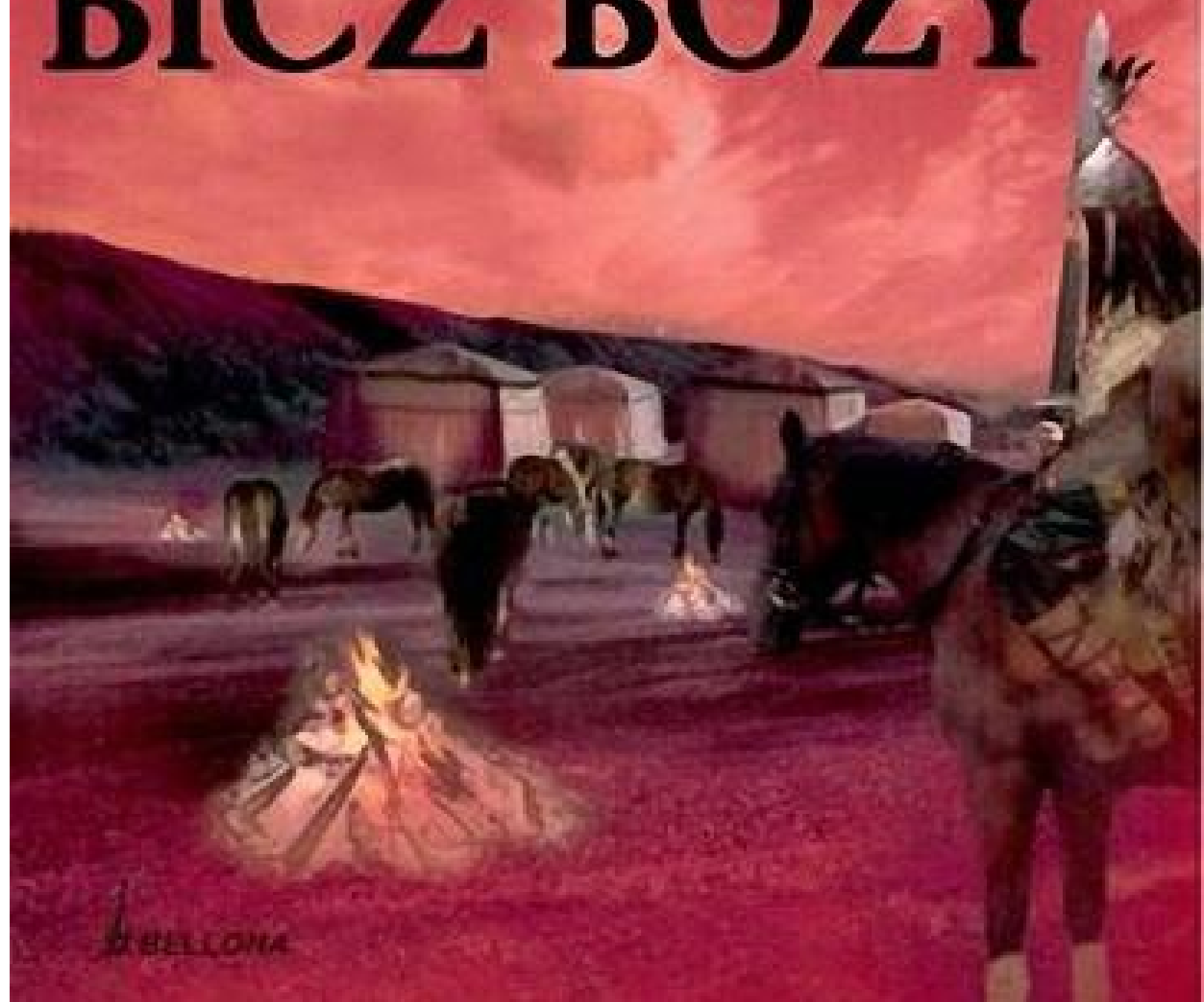


POWIEŚĆ HISTORYCZNA

William Dietrich

ATTYLA BICZ BOŻY



DEBELLONA

William Dietrich

Attyla Bicz Boży

The Scourge of God

Przełożył Michał Kompanowski

Matce i pamięci ojca.

Gdy byłem dzieckiem, podarowali mi książeczkę opisującą bitwę na Polach Katalaunijskich i rozpalili trwający do dziś ogień ciekawości.

Osoby dramatu

Rzymianie i ich przyjaciele

Jonasz Alabanda: młody Rzymianin, poseł i pisarz

Iłana: rzymska dziewczyna, branka

Zerkon: karzeł trefniś, który zaprzyjaźnia się z Jonaszem Julia: żona Zerkona

Aecjusz: dowódca rzymski

Walentynian III: cesarz Zachodniego Cesarstwa Rzymskiego Galla Placydia: matka Walentyniana

Honorio: siostra Walentyniana

Hiacynt: eunuch Honorii

Teodozjusz II: cesarz Wschodniego Cesarstwa Rzymskiego Chryzafiusz: eunuch, minister

Teodozjusza Maksyminus: rzymski ambasador i poseł na dwór Attyli Bigilas: tłumacz i spiskowiec

Rustycjusz: tłumacz Anian: biskup i (gdy mu to odpowiada) pustelnik **Hunowie**

Attyła: król Hunów

Skylla: młody wojownik zakochany w Iłanie

Edekon: wuj Skylli, dowódca wojsk

Suekka: żona Edekona

Eudoksjusz: grecki lekarz, poseł Attyli

Hereka: pierwsza żona Attyli

Ellak, Dengezich, Ernak: synowie Attyli

Oneges: z urodzenia Rzymianin, oficer huński

Germanowie

Guernna: branka

Teodoryk: król Wizygotów

Berta: córka Teodoryka

Genzeryk: król Wandalów

Sangibanus: król Alanów

Anthus: król Franków

Wstęp

Trzysta siedemdziesiąt sześć lat po niepokalanym poczęciu Pana Naszego i Zbawcy świat nadal stanowił jedność. Rzymskie imperium trwało, tak jak trwało od lat już tysiąca, rozciągając się od chłodnych wrzosowisk Brytanii po palące skórę piaski Arabii; od źródeł Eufratu po fale Atlantyku u wybrzeży północnej Afryki. Niezliczoną ilość razy granice Rzymu atakowali Celtowie, Germanowie, Persowie i Scytowie. Jednakże krwią i żelazem, podstępem i złotem zmuszano najeźdźców do odwrotu. W roku pańskim 376 wydawało się, iż tak będzie zawsze.

O, jakże chciałbym żyć w tak bezpiecznych i pewnych czasach!

Niestety, ja, Jonasz Alabanda - historyk, dyplomata i żołnierz mimo woli -

stabilność starego imperium mogę sobie jedynie wyobrazić, tak jak słuchacze opowieści żeglarza wyobrażają sobie daleki i zamglony brzeg. Przeznaczeniem moim było doświadczyć cięższych czasów, spotkać wielkich i możliwych naszego świata i z tego powodu wieść nader rozpaczliwy żywot. Księga ta jest historią moją, jak i ludzi, których miałem szczęście bądź też nieszczęście obserwować.

Lecz jej korzenie są znacznie starsze. W pamiętnym roku 376, ponad pół wieku przed moimi narodzinami, przywędrowała pierwsza zapowiedź burzy, która miała na zawsze zmienić otaczający nas świat.

Jak sumiennie odnotowali historycy, w tymże to roku pojawiła się pierwsza wzmianka o Hunach.

Musicie wiedzieć, iż jestem z pochodzenia czł owiekiem Wschodu, biegłym w grece, obeznanym z filozofią i przyzwyczajonym do oślepiającego słońca. Domem był mi Konstantynopol, miasto, które wznosił nad Bosforem Konstantyn Wielki, by tworząc drugą stolicę, ulżyć administrowaniu naszym imperium. W miejscu, gdzie Europa styka się z Azją gdzie łączą się Morze Czarne i Śródziemne, gdzie wcześniej leżało Bizancjum, powstała Nowa Roma. Podział, który nastąpił, dał

Rzymowi dwóch cesarzy, dwa senaty i dwie kultury - łaciński Zachód i grecki Wschód. Pomimo tego rzymskie armie maszerowały wciąż, chroniąc jednako obie części imperium, którego prawa zostały

obecnie zebrane i ujednolicone. Morze Śródziemne nadal pozostawało „rzymskim jeziorem”, zaś nasze monety, fora, twierdze i kościoły ukazywały się oczom każdego podróżnika wędrującego po ziemiach położonych między Nilem a Tamizą. Chrześcijaństwo zaćmiło wszystkie wcześniejsze religie, łacina - wszystkie języki. Świat nigdy wcześniej nie zaznał

tak długiego okresu względnego spokoju, stabilności i jedności.

I już nigdy nie zazna.

Dunaj jest najdłuższą rzeką Europy, mającą źródła u podnóża Alp, ciągnącą się w kierunku wschodnim na długości ponad tysiąca dziewięciuset mil, by wpaść ostatecznie do Morza Czarne. W roku 376 stanowił niemalże całą północną granicę imperium. Ówczesnego lata rzymskie garnizony rozmieszczone wzdłuż brzegów zaczęły otrzymywać raporty o dziwnym poruszeniu, wojnie i migracji barbarzyńskich plemion. Jakaś nowa groza, niebezpieczeństwo niepodobne do niczego w znanym świecie wypędzało ludzi z ich domostw. Wieść niosła się na zachód wraz z uciekinierami, którzy opowiadali o brzydkich, smagłych i śmierdzących ludziach odzianych w zwierzęce skóry, noszących je, dopóki te nie zaczną gnić i rozlatywać się na ich plecach; którzy nie czuli głodu ni pragnienia, pili zaś krew własnych koni i pożywiali się surowym mięsem trzymanym i ogrzewanym pod siodłami wierzchowców. Nowi najeźdźcy pojawiali się cicho niczym wiatr, uśmiercali z niesłychanej odległości, wykorzystując potężnej siły łuki, mieczami masakrowali tych, którzy byli jeszcze w stanie stawić opór, po czym odjeżdżali pospiesznie, nim zdołał ich osiągnąć jakikolwiek odwet. Gardzili odpowiednim schronieniem, puszczając z ogniem wszystko, co napotkał i na swojej drodze, żyjąc głównie pod gołym niebem. Ich miasta składały się z filcowych namiotów, drogami były pozbawione ścieżek stepy. Ich wytrzymałe wozy toczyły się po łąkach wyładowane po brzegi łupami, za nimi zaś podążali niewolnicy. Ich język był szorstki i gardłowy.

Zwali siebie Hunami.

Naturalnie opowieści te musiały być wyolbrzymione, uspokajali się nawzajem strzegący granic żołnierze. Z pewnością prawda zagubiła się w gąszczu plotek i fantazji. Rzym od dawna miał do czynienia z barbarzyńskimi hordami i zdawał

sobie sprawę, że pełni odwagi i niebezpieczni w bezpośrednim starciu, wojownicy ci byli miernymi taktykami i jeszcze gorszymi strategami. Początkowo groźni i budzący

strach

jako

wrogowie,

zostawali

później

wartościowymi

sprzymierzeńcami. Czyż straszni Germanowie nie stali się na przestrzeni lat trzonem rzymskiej armii? Czyż nie ucywilizowano dzikich Celtów? Kurierzy przywozili do Rzymu i Konstantynopola raporty o dziwnych wydarzeniach dziejących się na ziemiach leżących za Dunajem. Jednak nieznane było jeszcze zagrożenie, które ze sobą niosły.

Wszystkie pogłoski przyjęły wreszcie realny kształt i o granice imperium uderzyła fala uchodźców.

Ćwierć miliona ludzi, zwanych Gotami, pojawiło się na północnym brzegu Dunaju, szukając schronienia przed plądrującymi Hunami. Nie będąc w stanie powstrzymać takiej migracji, nie ryzykując jednocześnie wybuchu wojny, moi przodkowie - aczkolwiek niechętnie - zezwolili Gotom na przekroczenie rzeki.

Łudzono się, iż nowo przybyli, tak jak wiele plemion przed nimi, osiadą gdzieś, zasymilują się z miejscową ludnością i staną się „sprzymierzonymi” imperium, tak jak stali się nimi niezdyscyplinowani, lecz wyrachowani Frankowie, stanowiący obecnie przedmurze w walce z tajemniczymi ludźmi stepu.

Były to płonne nadzieje, zrodzone z własnej wygody i oportunistycznego. Goci byli narodem dumnym i do tej pory nieujarzmionym. My, ludzie cywilizowani, byliśmy w ich oczach rozpieszczeni, niezdecydowani i słabi. Szybko doszło do sporów. Uchodźcom sprzedawano mięso psów i kradziono bydło. Dlatego też w krótkim czasie stali się grabieżcami, a następnie zwykłymi najeźdźcami.

Dziewiątego sierpnia roku pańskiego 378 Walens, cesarz wschodniego imperium, wydał Gotom bitwę na obrzeżach Adrianopola, jedynie sto sześćdziesiąt mil od Konstantynopola. Siły były liczebnie wyrównane, a Rzymianie pewni zwycięstwa.

Niestety, w trakcie walki nasza konnica zbiegła z pola, piechota zaś spanikowała.

Otoczeni przez gockich jeźdźców, rzymscy żołnierze, stojący zbyt blisko siebie, nie mogli efektywnie posługiwać się orężem. Walens i jego armia zostali pobici w najgorszym pogromie, jakiego doświadczył Rzym od czasu klęski zadanej z rąk Hannibala pod Kannami niemalże sześć wieków wcześniej.

Doszło do niebezpiecznego i złowieszczego precedensu. Rzymska armia mogła zostać pokonana w polu przez barbarzyńców. Co więcej, Rzymianie zostali pobici przez barbarzyńców uciekających przed jeszcze większym zagrożeniem.

A gorsze miało niebawem nadejść.

Goci rozpoczęli grabieżczą wędrówkę wzdłuż całego imperium. Wędrówkę, która miała się ciągnąć przez wieki. W tym samym czasie Hunowie siali zniszczenie w dolinie Dunaju, na wschodzie zaś złupili Armenię, Kapadocję i Syrię. Całe barbarzyńskie narody zostały wytepięte, niektóre z uciekających plemion zatrzymały się na Renie. Gdy ostatniego dnia roku 406 rzeka zamarzła, umożliwiając przeprawę, przekroczyli ją Wandalowie, Alanowie, Swewowie i Burgundowie, by w wielkiej liczbie spaść na mieszkających na drugim brzegu Galów. Barbarzyńcy, kierując się na południe, palili, mordowali, grabili i gwałcili w orgii przemocy, która zrodziła odrażające i

fascynujące zarazem opowieści, którymi karmiono moje pokolenie. Pewna Rzymianka ugotowała i zjadła czwórkę własnych dzieci, jedno po drugim, tłumacząc, iż wierzyła, że każda kolejna ofiara będzie w stanie ocalić pozostałe. Ukamienowali ją mieszkający w tej samej wiosce ludzie.

Najeźdźcy przekroczyli Pireneje i wkroczyli do Hiszpanii. Następnie przez Gibraltarię dostali się do Afryki. Święty Augustyn zmarł w czasie, gdy Hippona -

jego rodzinne miasto - było oblegane przez barbarzyńskich Wandalów. Brytania została całkowicie odcięta od reszty imperium. Goci, szukając wciąż odpowiedniego miejsca do osiedlenia, wkroczyli do Italii, by w roku 410 wprowadzić cały świat w zdumienie, łupiąc Rzym. I chociaż wycofali się już po trzech dniach nieustających grabieży, święte miasto na zawsze straciło poczucie nietykalności.

Barbarzyńcy zaczęli się osiedlać i w efekcie również rządzić dużymi obszarami zachodniego imperium. Coraz bardziej zdesperowani cesarze zachodnio-rzymscy, nie mogąc pokonać najeźdźców, próbowali przekupić ich i ograniczyć panowanie do określonych ziem, by wykorzystywać jedno plemię przeciwko drugiemu.

Cesarski dwór, nie będąc w stanie zagwarantować sobie bezpieczeństwa w Rzymie, przeniósł się wprawdzie do Mediolanu, później zaś do Rawenny - bazy rzymskiej floty położonej na bagnach nad Morzem Adriatyckim. W tym czasie Wizygoci zajęli południowo-zachodnią Galię i prawie całą Hiszpanię, Burgundowie wschodnią Galię, Alanowie dolinę Loary, a Wandalowie północną Afrykę. Herezje wyrosłe z chrześcijaństwa rywalizowały pomiędzy sobą o wiernych, gdy barbarzyńskie religie zlały się w jedno z wiarą w Mesjasza, tworząc plątaninę nowych wierzeń. Drogi popadły w ruinę, której nie można już było naprawić, wzrosła przestępczość, nie ściągano podatków, niektóre z największych umysłów epoki zamknęły się w klasztorach. .. Życie jednakże pod kontrolą luźnych współrzędnych Rzymian i barbarzyńców toczyło się dalej. Konstantynopol i Wschód kwitły. W Rawennie wznoszono nowe pałace i kościoły. Rzymskie garnizony wciąż pełne były żołnierzy, gdyż nikt nie widział innej możliwości. Jakże mógłby istnieć świat bez Rzymu? Powolny upadek cywilizacji był tak trudny do wyobrażenia, jak niemożliwy do uniknięcia.

Potęga Hunów rosła zaś z dnia na dzień.

Tajemnicze opowieści z czwartego wieku w piątym stały się ponurą i przerażającą rzeczywistością. Hunowie wkroczyli do Europy i zajęli Panonię, którą zwali odtąd Hunugurią. Z pokonanych barbarzyńskich plemion utworzyli nowe i złowieszcze imperium. Nieznający przemysłu i gardzący wszelką technologią, polegali na podbitych nacjach, łupieżczych wyprawach, opłacanych najemnikami i wymuszanych daninach, które dźwigały ciężar ich utrzymania.

Rzym, goniący resztką sił i chylący się ku upadkowi, najmował ich czasem, by ujarzmiali inne plemiona, kupując sobie w ten sposób jedynie czas. Zdobyte tą drogą

pieniądze

Hunowie

przeznaczali

na

pozyskiwanie

kolejnych

sprzymierzeńców i zwiększanie potęgi. W roku 443 i 447 zapoczątkowali niosące zniszczenie wyprawy na wschodnią część imperium, które na zawsze wymazały z map ponad sto leżących w prowincjach bałkańskich miast. Podczas gdy nowy, budzący podziw, potrójny mur otaczający Konstantynopol zniechęcał

barbarzyńców do szturmu, my, Bizantyjczycy, zmuszeni zostaliśmy do opłacenia Hunów, by w ten sposób uzyskać upokarzające i niepewne zawieszenie broni.

W połowie piątego wieku, gdy osiągnąłem już wiek męski, państwo ludzi stepu rozciągało się od Łaby po Morze Kaspijskie, od Dunaju - w kierunku północnym -

ku Bałtykowi. Ich wódz obozujący w dolinie Cisy stał się najpotężniejszym władcą w całej Europie. Na jego jeden rozkaz mogła się zebrać armia licząca sto tysięcy najstraszliwszych wojowników, jacy stąpali po ziemi. Kolejne sto tysięcy dostarczyć mogły zależne plemiona. Jego słowa były prawem, nigdy nie zaznał

goryczy porażki, jego żony i synowie drżeli w jego obecności.

Nazywał się Attyła.

To, co zaraz przeczytacie na kolejnych stronicach tej książki, jest jego i moją historią, widzianą oczyma ludzi, których dobrze znałem, a także moimi, jeśli tylko odegrałem w opisywanych wydarzeniach choćby skromną rolę. Spisuję ją, by moje dzieci mogły kiedyś zrozumieć dziwne czasy, w jakich przyszło nam żyć. By wiedziały, w jaki sposób znalazłem się na tej niewielkiej wyspie, tak daleko od miejsca, w którym przyszedłem na świat. Z tak niezwykłą żoną u mego boku.

Część I

Poselstwo do Attyli

Rozdział I

Brat i siostra

Rawenna 449 r. n. e.

Moja siostra jest złą i wszeteczną kobietą. Jesteśmy tu, by ocalić ją przed nią samą - powiedział cesarz Zachodniego Cesarstwa Rzymskiego.

Nazywał się Walentynian III. Jego charakter był godnym pożałowania dowodem na upadek cesarskiego rodu. Nie grzeszył ani inteligencją, ani odwagą, nie interesowało go rządy. Walentynian wolał spędzać czas na igrzyskach, oddawać się przyjemnościom w towarzystwie astrologów, kurtyzan i żon senatorów, które uwodził, czerpiąc zadowolenie z upokarzania ich mężów.

Wiedział, że umiejętnościami nie dorównuje przodkom, zaś pogodzenie się z własną nijakością pozostawiło po sobie uraz i ciągle powracające uczucie lęku.

Zazdrośni i mściwi ludzie, uważał, ciągle knują i spiskują przeciwko swojemu cesarzowi. Dlatego posłał po prałata, by był świadkiem dzisiejszej egzekucji -

potrzebował aprobaty Kościoła. Walentynian musiał polegać na osądach innych, by szukać w nich wiary w samego siebie.

Przekonywał biskupa, że dla jego siostry Honorii nie ma na świecie świeckim ani duchowym żadnych autorytetów. Krążyły plotki, że oddaje się mężczyznom niższego stanu jak najgorsza ulicznica - dla cesarza informacja ta była a z pewnością darem niebios.

- Chcę ocalić siostrę przed procesem o zdradę tu, na doczesnym świecie, i od wiecznego potępienia w przyszłym.

- Nigdy nie jest za późno na zbawienie dziecka, cesarze - odpowiedział biskup Milon. Był również zaskoczony wiadomościami jak Walentynian. Wraz z matką dziewczyny - Galią Placydią - szukał brakujących funduszy na ukończenie nowego kościoła w Rawennie, co z pewnością pomogłoby obojgu dostąpić życia wiecznego w niebie. Poczucie wstydu Placydii, spowodowane niedyskrecją córki, mogło się równać jedynie obawie, jaką romans siostry wywołał w umyśle cesarza. Poparcie jego decyzji oznaczałoby z pewnością hojną donację wydzieloną z imperialnego skarbcza. Niezbadane są ścieżki Pana, pomyślał biskup. Placydia stwierdziła zaś, że boskie życzenia są - najwidoczniej - identyczne z jej życzeniami.

Cesarz powinien przebywać teraz w gnijącym i chylącym się ku upadkowi Rzymie. Uczestniczyć w obradach senatu, przyjmować na audiencjach ambasadorów, brać udział w polowaniach i towarzyskich imprezach. Zamiast tego spędził ostatnie cztery dni na koniu, śpiesząc na północ wraz z tuzinem żołnierzy, wybranych przez najbardziej zaufanego dworzanina - Herakliusza. Konieczne było uderzenie w Honorię, nim jej plany przyjmą realne kształty. To szpieg Honoriusza przyniósł wieści o tym, że siostra cesarza przyjmuje w swej sypialni zarządcę własnych dóbr - skończony głupiec nazywał się Eugeniusz. Co więcej, wraz z nim knuje potajemnie przeciwko bratu, planując jego uśmiercenie i przejęcie w swoje ręce cesarskiej władzy. Czy historia ta była prawdziwa? Nie było dla nikogo tajemnicą, że Honorio uważała brata za leniwego i głupiego.

Sądziła - i dawała temu wyraz - że potrafiłaby pokierować cesarstwem w sposób zręczniejszy, czerpiąc przykład ze swojej silnej i pełnej wigoru matki. A teraz chciała posadzić na tronie kochanka, sama zaś przyjąć tytuł augusty, a może nawet królowej. Były to pogłoski, ale pogłoski mające posmak prawdy. Próżna Honoria nigdy nie darzyła swego rodzeństwa ciepłym uczuciem. Jeśli Walentynianowi udałoby się nakryć oboje kochanków w łóżku, miałby niezaprzeczalny dowód zaniedbania moralności, a być może również zdrady. Jakkolwiek by się sprawy potoczyły, miałby wystarczający powód, by wydać siostrę za mąż, co równałoby się odsunięciu od dworu.

Cesarz pobłażał swoim łóżkowym podbojom równie mocno, jak potępiał

siostrzane. Był mężczyzną, ona kobietą. W oczach Boga i ludzi jej lubieżność była stokrotnie bardziej obraźliwa niż jego.

Walentynian wraz ze świtą przekroczył górzyste tereny Italii i zbliżał się właśnie pod osłoną ciemności do murów Rawenny, podążając długą groblą w kierunku ukrytego pomiędzy bagnami miasta. Łatwa do obrony podczas barbarzyńskich najazdów nowa stolica wydawała się cesarzowi miejscem wyjętym żywcem ze snów - rozwiedziona z lądem, nienależąca jednak w pełni do morza.

Unosiła się niezależna, niezwiązana w żaden sposób z przemysłem bądź uprawą.

Biurokracja, która się w niej schroniła, miała jedynie nikły kontakt z rzeczywistością. Otaczająca miasto woda była płytka, błoto zaś głębokie.

Sentencja, której autorstwo przypisywał sobie Apollinaris, mówiła, że prawa natury zostały w Rawennie zniesione; „gdzie mury niskie, a woda wysoko, gdzie wieże dryfują, a okręty sadowią się na brzegu”. Bezpieczeństwo, jakie dawała Rawenna, było więcej warte w tych niespokojnych czasach niż niedogodności, będące jej częścią. Zdrada i spiski były wszechobecne.

Życie możnych było pełne ryzyka, z czego Walentynian zdawał sobie dobrze sprawę bez konieczności ustawicznego przypominania. Juliusza Cezara zamordowano niespełna pięć wieków temu. Od tego wydarzenia lista cesarzy, których życie zostało gwałtownie przerwane, wydłużyła się tak, iż każdy chcący ją zapamiętać, miałby niemałe trudności: Klaudiusz - otruty; Neron i Othon - obaj popełnili samobójstwo; połowa cesarskiego rodu mogąca rościć sobie prawa do purpury została zgładzona na rozkaz Konstantyna; Gracjan - zamordowany; Walentyniana II znaleziono w tajemniczych okolicznościach dyndającego na sznurze. Cesarze padali oczywiście w boju, umierali śmiercią naturalną z powodu chorób, rozwiązłości, nawet od oparów po świeżo położonym gipsie. Większość kończyła jednak żywot w wyniku knozań i zamachów zleczanych przez najbliższych. Wydawałoby się rzeczą dziwną, gdyby przebiegła siostra nie spiskowała przeciwko niemu. Cesarz czekał na potwierdzenie swoich przypuszczeń, gdyż odkąd w wieku lat pięciu przywdział purpurę, nie spodziewał

się niczego innego. Dożył obecnego wieku - a miał lat trzydzieści - jedynie dzięki bojaźliwej ostrożności, ciągłej podejrzliwości i niezbędnej bezwzględności.

Imperator rozdzielał razy lub sam pod nimi padał. Nadworni astrologowie, spoglądając w gwiazdy, potwierdzali jego obawy, co satysfakcjonowało cesarza, a im zapewniało sowite wynagrodzenie.

Oddział cesarski zsiadł z koni w cieniu bramy. Nie chcieli, by tę tent kopyt zdradził ich przybycie. Żołnierze dobyli mieczy, trzymając ich głównie jak najbliżej nóg, by nie odbijało się w nich światło księżyca. Zamaskowani i zakapturzeni sunęli w stronę pałacu Honorii niczym zjawy. Ulice Rawenny tonęły w ciemnościach, woda w kanałach migotała nikle, połowa księżyca wychylała się raz po raz zza przesuwającej się zasłony chmur. Będąc miastem rządowym, nie handlowym, stolica zawsze wydawała się na pół opuszczona.

Widok cesarza wprowadził wartowników w osłupienie.

- Cezarze! Nie spodziewaliśmy się...

- Zejść z drogi.

Pałac Honorii pogrążony był w ciszy. Noc pozbawiła gobeliny i kurtyny żywych kolorów, mijane lampy oliwne przeciekały. Kopuły i sklepienia udekorowano mozaikami, na których święci spoglądali litościwie na grzechy przechodzących pod nimi ludzi. Powietrze ciężkie było od perfum i kadzidła.

Świta cesarza kroczyła ciemnymi, marmurowymi korytarzami zbyt szybko, by ktokolwiek mógł ich zauważyć. Strażnik prywatnych komnat Honorii - ogromnej postury Nubijczyk zwany Goarem - padł, wydając z siebie jedynie zdławione chrząknięcie, przebity bełtem wystrzelonym z odległości dwudziestu kroków, nim zdał sobie sprawę, kto nadchodzi. Ciało uderzyło o marmurową posadzkę niczym poleć surowego mięsa. Chłopcu podającemu wino, który obudził się i mógł

podnieść alarm, skręcono kark jak kurczakowi. Żołnierze wbiegli do pokoi Honorii, wywracając uginające się od słodyczy stoły, wrzucając poduszki do płytkiego basenu, wyważając na oścież drzwi sypialni.

Para - obudzona gwałtownie - padła sobie w objęcia, krzycząc zza zasłon, podczas gdy tuzin ubranych na czarno postaci otoczył ich szerokie łóże. Czyżby ktoś zlecił zamach?

- Światło - rozkazał Walentynian.

Zapalone pochodnie rozświetliły pomieszczenie, ukazując wszystkim ponurą scenę. Eugeniusz cofał się na łóżu, zasłaniając się rękoma, póki jego plecy nie dotknęły wezglowia. Miał minę spadającego z urwiska człowieka, który w ostatnim przebłysku myśli spowodowanym czystym przerażeniem zdaje sobie sprawę, że już nic nie jest w stanie go ocalić. Honorio czołgała się w przeciwnym kierunku - naga, jeśli nie zwracać uwagi na jedwabne prześcieradła, którymi starała się owinać. Jej biodro, czarujące nawet w takiej chwili, oddalał o się od kochanka. Jakby zwiększająca się między nimi odległość mogła w jakiś sposób zaprzeczyć temu, co się stało.

- Więc to prawda - rzekł z wyraźną ulgą w głosie cesarz.

- Jak śmiecie włamywać się do moich prywatnych komnat?!

- Przybyliśmy, by cię ratować, dziecko - powiedział biskup. Ujawnienie romansu siostry w osobliwy sposób obudziło w Walentynianie podniecenie. Jej ciągłe kpiny go obrażały. A teraz, kto z dwójki

rodzeństwa wyglądał jak idiota?

Na jej grzech patrzyło tuzin mężczyzn; nagie ramiona, potargane włosy, piersi wleczone po pościeli. Poczł nagłą satysfakcję. Spojrzał do tyłu. Leżące twarzą ku ziemi zwłoki Goara ledwo były widoczne w drzwiach do komnaty. Rozlewająca się po marmurze krew utworzył a małą kałużę. To ambicja i próżność siostry skazywały na zagładę wszystkich żyjących w jej pobliżu. Teraz zgubiła się sama!

Cesarz dostrzegł złoty sznur utrzymujący zawieszoną dookoła łóża draperię.

Pociągnął go. Przezroczyte zasłony, dające do tej pory liche schronienie, opadły na podłogę, odsłaniając całkowicie parę kochanków. Walentynian podszedł i zaczął

bić Honorię po udach i pośladkach trzymanym w rękę sznurem. Jego oddech przyśpieszył i stał się nierówny. Kobieta starała się skryć pod prześcieradłami.

- Jak samica w rui. I z kim? Zwykłym zarządcą. By zajął moje miejsce!

Honorcia wiała się i wyła z wściekłości, ściągając okrycie z Eugeniusza, by zakryć własne ciało. - Niech cię wszyscy diabli! Powiem o wszystkim matce!

- A jak ci się wydaje, od kogo dostał em informacje, kiedy i gdzie cię znajdę! -

Ból, który sprawiła ta zdrada, ucieszył cesarza. Od zawsze rywalizowali o względy i uczucia Placydii. Bił ją bardziej upokarzając niż wyrządzając krzywdę - dopóki nie dostał zadyszki. Przestał, sapiąc. Twarze obojga rozjaśniały wypieki.

Żołnierze wywlekli Eugeniusza z łóża i wykręcili mu ręce za plecami, zmuszając do uklęknienia. Nie miał czasu, by przygotować obronę. Błagalnie spoglądał na Honorię, szukając u niej ratunku. Na nieszczęście dla zarządcy mogła ofiarować jedynie marzenia - nie posiadała żadnej realnej władzy. Była przecież kobietą! Eugeniusz podpisał na siebie wyrok z chwilą, gdy odwzajemnił

ofiarowane względy.

Walentynian odwrócił się, by dokładniej się przyjrzeć niedoszłemu cesarzowi Rawenny i Rzymu. Musiał przyznać, że kochanek Honorii był mężczyzną przystojnym. Był też bez wątpienia inteligentny, skoro sł użył na dworze jako zarządca prywatnego majątku Honorii, a jednocześnie na tyle głupi bądź

bezmyślny, by spróbować wynieść się ponad stan. Pożądanie otworzyło drzwi możliwościom, ambicja podsyciła dumę, a zwyciężyło pożałowania godne zauroczenie. - Przypatrzcie się - zakpił Walentynian. - Oto przyszły cesar. Jego wzrok powędrował w dół. - Powinniśmy to odciąć.

Głos Eugeniusza się załamał. - Nie krzywdźcie Honorii. To ja...

- Krzywdzić? Honorię? - W śmiechu Walentyniana pobrzmiwała pogarda. -

Ona pochodzi z cesarskiego rodu, zarządco. W jej żyłach płynie purpurowa krew.

Nie potrzebuje twojej obrony. Zasłużyła na porządne lanie, lecz nie stanie się jej zapewne żadna krzywda. Widzisz, jaka jest bezradna?

- Myśl o zdradzie nigdy nie...

- Cisza! Cesarz znów uderzył sznurem, trafiając tym razem w usta Eugeniusza. -

Przestań zamartwiać się moją grzeszną siostrą. Zaczynij błagać o litość dla siebie.

Myślisz, że nic mi nie wiadomo o waszych planach?

- Walentynianie, przestań! - błagała Honoria. - To nie tak, jak ci się wydaje.

Nie tak, jak ci doniesiono. Doradcy i astrologowie wpędzili cię w obłąd.

- Doprawdy? Znalazłem przecież to, co spodziewałem się znaleźć. Czyż jest inaczej, biskupie?

- Spełniasz swój braterski obowiązek - usłyszał w odpowiedzi.

- Ten, choć nie braterski, również muszę spełnić - rzekł cesarz. - Wykonać.

Potężny trybun szybkim ruchem oplótł chustą szyję Eugeniusza.

- Błagam - szlochała kobieta. - Ja go kocham.

- Dlatego też to, co się stanie, jest konieczne.

Trybun, napinając mięśnie ramion, zacisnął chustę. Eugeniusz kopał, próbując bezskutecznie wyrwać się przytrzymującym go żołnierzom. Honoria zaczęła krzyczeć. Twarz zarządcy spurpurowiała, język szukający odrobiny powietrza wyszedł na wierzch. Wytrzeszczył oczy, mięśnie zaczęły drżeć w przedśmiertnych skurczach. Wzrok stał się szklisty, ciało zawisło bezwładnie na chuście. Po kilku długich minutach, które upewniły o śmierci, trybun pozwolił zwłokom upaść na podłogę. Honoria łkała.

- Znów przyprowadzono cię do Kościoła, zbłąkana owieczko - uspokajał

biskup.

- Niech was wszystkich pochłonie piekło!

Żołnierze wybuchnęli śmiechem.

- Droga siostro. Przynoszę ci dobre nowiny - rzekł Walentynian. - Dni twojego panieństwa są policzone. Skoro nie byłaś w stanie sama znaleźć odpowiedniego kandydata, zaaranżowałem w Rzymie twoje małżeństwo z Flawiuszem Bassusem Herkulanusem.

- Herkulanus! Jest odrażający - gruby i stary! Nigdy za niego nie wyjdę! - Ślub z tym człowiekiem był

najokropniejszą rzeczą, jaką mogła sobie wyobrazić.

- Będziesz zatem gniała w Rawennie. Dopóki nie zmienisz zdania.

Honorio nie zgodziła się na małżeństwo. Walentynian, pomimo błagalnych próśb siostry, dotrzymał danego słowa. Prośby kierowane do matki pozostały bez odpowiedzi. Jakąż torturą było przymusowe zamknięcie w pałacu. Jakże upokarzające było jedyne wyjście z sytuacji - małżeństwo z niedołącznym arystokratą! Śmierć kochanka zabiła też część jej samej, uważała. Brat udusił nie tylko Eugeniusza, lecz także jej dumę, jej wiarę i resztki lojalności, jakie miała dla Walentyniana. Udusił jej serce! Na początku następnego roku, gdy wydłużyły się noce, a Honorio straciła ostatnią nadzieję, posłała po swojego eunucha.

Hiacynta wykastrowano, gdy był jeszcze dzieckiem - zanurzono go w gorącej kąpieli, czego nie wytrzymały jądra chłopca. Okrutne okaleczenie pozbawiło go szans na małżeństwo i potomstwo, umożliwiło jednak wywalczenie zaufanej pozycji na cesarskim dworze. Eunuch często rozmyślał o swoim losie. Czasem oddychał z ulgą na myśl, że zwolniono go z odczuwania fizycznych pragnień, ulegania fizycznym pokusom. Jeśli czuł się mniej mężczyzną, również mniej cierpiał. Ból kastracji należał do przeszłości, obecna pozycja, przywileje i płynąca z nich satysfakcja - do przyjemnej codzienności. Nie stanowił zagrożenia jak Eugeniusz. Dzięki okaleczeniu eunuchowie zwykli przeżywać panów, którym służyli.

Hiacynt ze służącego przeistoczył się z czasem w przyjaciela i powiernika Honorio. W dniach po egzekucji Eugeniusza to jego ramiona kołysały smutek i ocierały łzy. Siedział policzek przy policzku, zgadzając się szeptem, gdy ciskała gromy na swego brata. Cesarz był bestią pozbawioną serca. Ofiarowana przez niego propozycja małżeństwa z podstarzałym senatorem była dla eunucha równie przerażająca, jak dla jego pani.

Teraz wezwała go do siebie w środku nocy. - Odprawiam cię, Hiacyncie.

Zbladł. W świecie poza murami stolicy byłby równie bezradny jak wypuszczone na wolność oswojone zwierzę. - Pani, proszę. Tylko od ciebie zaznałem dobroci.

- Mnie też twoja dobroć wydaje się czasami jedyną. Nawet moja rodzona matka, która ma ambicje zostać świętą, będzie mnie ignorowała, póki nie ulegnę.

Oboje jesteśmy więźniami w tym pałacu. Nieprawdaż, drogi eunuchu?

- Dopóki nie poślubisz Herkulanusa.

- Czyż nie będzie to jedynie inną formą więzienia?

Westchnął. - Być może małżeństwo z senatorem jest ci pisane i musisz się na nie zgodzić.

Honorio przecząco potrząsnęła głową. Była bardzo piękną kobietą i lubiła korzystać z przyjemności łoża. Nie chciała marnować lat na małżeństwo ze starcem. O Herkulanusie mówiło się, że jest człowiekiem surowym, oziębłym i pozbawionym poczucia humoru. Pomysł Walentyniana zakończyłby jej życie równie skutecznie, jak jego rozkaz zakończył życie Eugeniusza. - Hiacyncie, czy

przypominasz sobie, jak moja matka Galla Placydia pojmana została przez Wizygotów po złupieniu Rzymu i zmuszona do poślubienia ich wodza Ataulfa?

- To wydarzyło się przed moimi narodzinami, pani.

- Gdy Ataulf zmarł, matka wróciła do Rzymu, lecz podczas pobytu u Wizygotów udało jej się zaszcześcić im odrobinę cywilizacji. Powiedziała kiedyś, że te lata spędzone pomiędzy nimi wcale nie były takie straszne i wydaje mi się, że nadal przechowuje w pamięci gorące wspomnienia o swoim pierwszym małżonku.

Barbarzyńcy są silnymi ludźmi. Silniejszymi niż rasa, którą hodujemy obecnie w Italii.

- Twoja matka, pani, odbyła wiele dziwnych podróży i przeżyła nie mniej przygód, nim zapewniła synowi cesarską purpurę.

- O tak, jest kobietą, która niejedno widziała. Żeglowała z armiami, poślubiła dwóch mężczyzn, patrzyła zawsze poza mury pałacu, tak jak teraz wypatruje nieba. Zawsze zachęcała mnie, bym żyła podobnie.

- Wszyscy oddają cześć auguście.

Honorcia złapała eunucha za ramiona, jej spojrzenie stało się intensywniejsze. -

Właśnie dlatego musimy podążać za odważnym przykładem, jakim jest życie mojej matki, Hiacyncie. Żyje barbarzyńca silniejszy od mojego brata.

Barbarzyńca, który jest najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Wiesz, o kim mówię?

W tej samej chwili eunuch poczuł lęgnący się w jego sercu strach. - Masz na myśli króla Hunów. - Głos Hiacynta przeszedł w szept, jakby mówił o szatanie.

Cały świat bał się Attyli i modlił się, by jego łupieżcze spojrzenie spoczęło na innej niż ich części cesarstwa. Wyglądem przypominać miał małpę, kąpał się podobno we krwi, zabijał każdego, kto odważył się mu sprzeciwić - prócz swoich żon. Powiadano, że miał ich setki. Każda równie piękna, jak on szkaradny.

- Chcę, byś pojechał do Hunów, do Attyli, Hiacyncie. - Coś błysnęło w oczach Honorii. Silne kobiety musiały polegać nie tylko na własnym sprycie, lecz również na sojuszach z silnymi mężczyznami. Hunowie dysponowali najstraszliwszą armią, jaka kroczyła po ziemi. Jedno słowo ich wodza przyprawiłoby cesarza o dreszcze.

Gdyby Attyla sprzeciwił się jej małżeństwu z Herkulanusem, Walentynian musiałby ustąpić. Gdyby poprosił o nią, musiałby pozwolić jej odejść. Czyż mógłby postąpić inaczej?

- Jechać do Attyli! Hiacynt westchnął. - Pani, rzadko przemierzam Rawennę z jednego końca w drugi. Nie jestem podróżnikiem. Ani posłem. Nie jestem nawet mężczyzną.

- Dam ci ludzi do eskorty. Nikt nie bę dzie za tobą tęsknił. Chcę, byś znalazł w sobie odrobinę odwagi, a potem odszukał króla Hunów, gdyż od tego zależy przyszłość twoja i moja. Chcę, byś mu opowiedział i wyjaśnił, co mi się przydarzyło. Zanieś mu mój pierścień jako dowód, że mówisz prawdę. Hiacyncie, najdroższy memu sercu niewolniku, chcę , byś w moim imieniu prosił Attylę o ratunek.

Rozdział II

Dziewczyna z Aksjopolis

Cóż uczyniłeś, ojcze? Osiemset mil na wschód od Rawenny, gdzie dolina Dunaju rozszerza się, zbliżając do Morza Czarnego, Hunowie wdarli się wreszcie do rzymskiego miasta Aksjopolis. Jak wszystkie rzymskie miasta, takż e i to powstało na planie prostopadłe przecinających się ulic, który swe początki brał z zakładanych przez maszerujące legiony obozów. Jego fora, świątynie, budynki administracyjne - wszystkie jak pionki na szachownicy stały w określonym i logicznym miejscu. Jak inne miasta zostało otoczone murem w trzecim wieku, gdy nastąpiły niebezpieczne czasy. Jak w większości miast jego pogańskie świątynie stały się kościołami w wieku czwartym, po przejściu cesarza Konstantyna na chrześcijańską wiarę. Jak we wszystkich podobnych miastach mieszkańcy drżeli ze strachu, gdy docierały do nich wiadomości o złupieniu siostrzanych osiedli leżących nad Dunajem.

Teraz zajęli je Hunowie. Wejście ludzi stepu do miasta podobne było do zbliżającej się burzy - coraz głośniejszy płacz niosący się falami od bram i podążający za nim fałszywy świt zapalonych pochodni. Stojąc w jadalni rodzinnego domu, Ilana usiłowała nie słyszeć tego, czego obawiała się od dawna -

krzyków i przekleństw broniących się nadaremno, tętentu niepodkutych koni pędzących po kamiennych ulicach, szcęgę ku

broni,

niskiego

syku

rozprzestrzeniającej się szybko pożogi. Kątem oka dostrzegła przelatującą ulicą strzałę. Chybiła zamierzonego celu i teraz szukała na oślep innego - pędzący szerszeń w styksowych ciemnościach. Widziała sąsiadów uciekających w popłochu, jakby goniły ich wszystkie zastępy piekielne. Nadeszły zapowiadane czasy apokalipsy.

- Myślę, że ocalałem nas wszystkich, Ilano - odpowiedział Szymon Publiusz.

Głos mu drżał, zdradzając niepewność. W ciągu ostatnich tygodni pulchny zazwyczaj kupiec postarzał się widocznie na twarzy; obwisłe policzki, puste, pozbawione snu i odpoczynku spojrzenie, spocona, upstrzona krostami jak zepsute mięso, różowa niegdyś skóra. Położył na szali życie rodziny, podjął ryzyko.

Zdradził.

- Otworzyłeś im bramy?

- Sforsowaliby je prędzej czy później.

Ulica wypełniła się jeźdźcami wykrzykującymi słowa w twardym, nieprzyjaznym dla ucha języku.

Wydawało jej się dziwne, że potrafi odróżnić pojedynczy dźwięk wydawany przez tnący powietrze miecz - brzmiał jak odgłos rozdieranego materiału - i następujący zaraz po nim kolejny, niższy, gdy miecz uderzał w cel. Jakby wszystkie zmysły wyostrzyły się nagle. Mogła usłyszeć każdy płacz, każdy szept, każdą modlitwę. - Mieliśmy przecież czekać na przybycie legionów.

- Tak jak czekało Marcjanopolis? Wtedy nie byłoby już miejsca na litość, córko. Edekon dał mi słowo, że jeśli mu pomogę, oszczędzi przynajmniej część mieszkańców.

Usłyszeli krzyk, a po nim niewyraźnie wybełkotane błagania - oczywiste zaprzeczenie wypowiedzianych przed chwilą słów. Ilana wyrzała na zewnątrz.

Ciemność poniżej pełna była uciekających i ścigających kształtów. Czasami udawało się przez chwilę dostrzec przypominające księżyc w pełni twarze, otwarte usta rozświetlone pochodniami. Dziewczyna zdrętwiała. Tak długo żyła w ciągłej obawie, iż uczucie strachu zdawało się towarzyszyć jej od zawsze, przez lata, odkąd zaczęły napływać okropne opowieści. Teraz paraliżujące członki przerażenie zastąpiło strach, gdy Hunowie wraz z sojusznikami przybyli pod miasto, wzbijają c widoczne z daleka tumany kurzu. Otoczyli Aksjopolis z marszu, grożąc całkowitym zniszczeniem, jeśli się nie podda.

Pomimo nielicznych próśb i nalegań do poddania miasta nie doszło. W żyłach mieszkańców płynęły bowiem ogień Tracji i duma Mezji - większość chciała walczyć z najeźdźcą. Stawili dzielny opór; były chwile podtrzymującego na duchu bohaterstwa, nawet małe zwycięstwa. Niestety z każdym rannym i zabitym znoszonym z murów nadzieja broniących malała. Dni stawały się bardziej ponure, noce dłuższe, plotki straszliwsze. Z każdą kolejną wdową, z każdym osieroconym dzieckiem los miasta wydawał się przesądzony. W kościołach zapalano kadzidła, wznoszono do nieba modły, księża kroczyli po murach, dodając otuchy, posłańcy próbowali przedrzeć się przez oblężenie, by wezwać pomoc - nic nie dawało rezultatu. Skromne kamienne mury, dziurawe jak ser, poczęły pękać. Dachy domów znaczyły pożary, jak krosty ciała chorującego na ospę. Poza murami płonęły zbiory, niszczone łodzie. Wewnątrz obrońcy musieli siłą sprowadzić z murów starca podającego włócznie, gdyż stał tam zbyt długo, narażając swoje życie, wypatrując wroga niedowidzącymi oczyma. Myśli Ilany pograżyły się w tępej rezygnacji, szukając w niej schronienia przed otaczającym ją koszmarem.

Witała raczej koniec, niż się go obawiała. Cóż było właściwie warte życie, które wiodła? Pozostała jedynie nadzieja, że śmierć, gdy przyjdzie, nie bę dzie bolesna.

Jej ojciec, największy kupiec w mieście, poważana przez mieszkańców osoba, zaprzedał się Hunom.

- Zabiliby nas wszystkich z chwilą zdobycia murów - powiedział. - W ten sposób...

- To jeźdźcy - odpowiedziała. - Nie wiedzą nic o obleganiu...

- Najemnicy wiedzą. Wiedzą, jak budować maszyny oblężnicze. Musiałem coś zrobić, dziecko.

Dziecko? Jakże dawno przestała nim być. Dziecko? Miłość jej życia, Tasion, mężczyzna, którego miała poślubić, zginął trzeciego dnia oblężenia. Trafiony strzałą w oko cztery godziny wił się w straszliwych męczarniach, nim wyzionął

ducha. Nie sądziła, że z ludzkiego ciała może nieprzerwanie wypływać tak dużo krwi. Dziecko? Słowo zarezerwowane teraz dla pozostających w błogiej ignorancji. Dla tych istot, które łudziły się jeszcze nadzieją; niewinnych, którzy doczekają się być może własnego potomstwa. Teraz...

- Ukryłem trochę monet. Obiecali mi bezpieczne przejść cie. Pojedziemy do Konstantynopola. Tam spróbujemy zacząć życie od nowa. Nasza rodzina, słudzy...

szpiedzy obiecali puścić nas wszystkich wolno. Inni też ocaleją. Jestem pewien, że ocalałem dziś wiele istnień ludzkich.

Chciała mu wierzyć. Pragnęła z całego serca zaufać ojcu, uwierzyć w przyszłość. Lecz teraz liczyła się jedynie niekończąca się i szalona terażniejszość; wiatr niosący krzyki, grad spadających strzał, bezlitosne głosy wojowników, biorących to, na co mają ochotę. - Ojciec...

- Chodź. - Pociągnął ją za sobą. - Musimy się spotkać z wodzem przy kościele św. Piotra. Bóg ma nas w opiece, dziecko.

Ulice pełne były ludzi. Ich mała grupka wciśnięta została w popychający się tłum jak żołnierze w falandze. Mijali jęczące ciała, rozbite drzwi, ponure płomienie. Ludzie tulili do piersi bezużyteczne przedmioty: popiersie przodka; starą, otrzymaną zapewne w posagu skrzynię; plik rachunków z niszczonego właśnie przedsiębiorstwa; przerażonego psa. Hunowie łupili bez zachowania jakiegokolwiek porządku - jeden dom splądrowany, kolejny, stojący obok, pominięty; jedna grupa uciekających wycięta w pień, druga, tylko częściowo ukryta w ciemnościach, całkowicie zignorowana. Tu poganin dziękował Jowiszowi za ocalenie, tam chrześcijanka wznosiła za to samo dziękczynne modlitwy do Jezusa. Najeźdźcy nie dostrzegali różnic - wszystkich masakrowano jednako. Życie i śmierć zależały od łutu szczęścia, kaprysu ulotnego jak skrzydła motyla.

Hunowie wdzierali się do zakrystii i kuchni, nie lękając się oporu, strzelając z łuków, jakby brali udział w jakichś niegroźnych zawodach. Pełni pogardy dla tych, którzy nie byli dostatecznie szybcy, by uciec spod kopyt ich wierzchowców.

Jedyną ulgę dawała noc, która nie pozwalała na odszukanie w tłumie znajomych twarzy - przyjaciół, krewnych, sprzedawców, nauczycieli. Śmierć stała się anonimowa. Miasto uśmiercano bez wykrykiwania imion jego mieszkańców.

Gdy dotarli do forum, kościół pełny był już ludzi szukających ratunku u Boga, który - wydawało się - opuścił swoich wyznawców. Oddział Hunów obserwował

mieszkańców wbiegających do świętego miejsca, nie interweniując. Wymieniali między sobą uwagi, jakby komentując obserwowaną parodię jakiejś uroczystości.

Od czasu do czasu wysyłali posłańców z rozkazami, co sugerowało, że grabież miasta jest jednak bardziej zorganizowana, niż to się początkowo wydawało Hanie.

Łuna pożaru stawała się jaśniejsza.

- Edekonie! - zawołał Szymon Publiusz. Zachrypnięty głos pomiędzy krzykami nocy. -

Przyprowadziłem ci moją rodzinę, tak jak było w umowie!

Jesteśmy dozgonnie wdzięczni za twoją łaskę. Ta masakra jest całkowicie zbyteczna - damy wam wszystko, czego zażądacie.

Oficer, wyglądem przypominający Greka, przetłumaczył jego słowa. Wódz Hunów, wyróżniający się wśród innych zdobyczną loriką - rzymską zbroją -

spojrzał w dół. Rysy jego twarzy skrywał cień. Można było jednak dostrzec szereg znaczących ją blizn i rzadki zarost. - Kim jesteś?

- Szymon Publiusz! Kupiec, który dał wam znak i otworzył bramy miasta. Tak jak żądali tego twoi wysłannicy. To oczywiste, że nie wiesz, kim jestem, gdyż do tej pory nigdy się nie spotkaliśmy. Ale to ja, twój sprzymierzeniec, który prosi jedynie o pozwolenie na opuszczenie miasta i udanie się w dół rzeki. Wsiądziemy na okręt daleko od tego miejsca.

Hun zastanawiał się, jakby po raz pierwszy usłyszał te słowa. Jego wzrok spoczął na Hanie. - Kim ona jest?

Szymon skrzywił się, jakby go coś uderzyło. - Moja córka. Nieszkodliwa dziewczyna.

- Jest ładna. - Młoda kobieta miała dostojny chód i postawę, kręcone włosy opadały jej na plecy kaskadami loków, oczy kształtem przypominały migdały, wysokie kości policzkowe, uszy delikatne niczym alabaster. Zaręczona i wyczekująca ślubu, nim zaczęło się oblężenie.

- W naszym mieście znajdziesz wiele pięknych i młodych kobiet. Wiele, wiele.

Edekon chrząknął w odpowiedzi. - Czyżby? Te, które pojmałem, przypominają raczej krowy. - Jego żołnierze wybuchnęli śmiechem.

Stary kupiec przeszedł bokiem przed córką, starając się jak najdokładniej zasłonić ją przed spojrzeniami Hunów. - Jeśli dacie nam eskortę do rzeki, znajdziemy łódź.

Wódz zastanawiał się przez chwilę. Potem spojrzął na kościół stojący po drugiej stronie forum. W jego wnętrzu kłębili się uciekający. Kolejni próbowali dostać się do środka. Powiedział coś we własnym języku do jednego z towarzyszących mu ludzi. Natychmiast kilku puściło swe konie klusem, zatrzymując się przed drzwiami kościoła, przygotowani do ataku. Rzymianie tłoczący się przy wejściu rozpięchli się niczym myszy przed kotem. Pozostający we wnętrzu zatrzasnęli ogromne, dębowe drzwi. Barbarzyńcy pozwolili im na to.

- Bóg wynagrodzi ci twoje miłosierdzie, Edekonie - powiedział Szymon.

Hun uśmiechnął się lekceważąco. - O! Więc rozmawiałeś z nim ostatnio? -

Przywołał do siebie kilku ludzi. Zsiedli z koni i zaczęli układać przed drzwiami kościoła stos zniszczonych mebli. Ludzie prowadzeni przez Szymona poczęli z trudem łapać powietrze i szeptać zaniepokojeni.

- On przemawia do każdego, kto chce słuchać - szczerze zapewnił Publiusz. -

Nie zakrywaj swych uszu przed jego słowem.

Edekon widział swoich wrogów modlących się desperacko do setek różnych bogów. Wszystkich pokonano. Przez chwilę Rzymianie i Hunowie przyglądali się rosnącemu stosowi w milczeniu - pierwsi, bojąc się ruszyć bez pozwolenia drugich, czekając w napięciu na to, co musiało nastąpić. Ludzie stłoczeni w kościele zaczęli krzyczeć i błagać o ratunek, gdyż zdali sobie sprawę, że zamknawszy drzwi, nie mogą wydostać się na zewnątrz o własnych siłach.

Hun odwrócił się w końcu w stronę kupca. - Zdecydowałem. Możesz odejść z krowami, z brzydkimi. Twoja córka i pozostałe ładne kobiety zostaną z nami.

- Nie! Umowa brzmiała inaczej. Powiedziałeś, że...

- Śmiesz mówić mi, co powiedziałem? - Smagła i skośnooka, pełna blizn twarz Huna pociemniała.

Publiusz zbladł. - Nie, nie, ale Ilana musi zostać przy swoim ojcu. Z pewnością potrafisz to zrozumieć. - Twarz pociła mu się jak w gorączce, ręce drżały. - To moja jedyna córka.

Na sięgający dachu kościoła stos rzucono pochodnie. Drewno leżą ce na spodzie, suche i popękane, chciwie zajęło się ogniem. Płomienie biegły w górę falami. Krzyki w środku przeszły w głośny płacz.

- Nie. Jest ładna.

- Na litość boską...

Ilana ostrzegawczo dotknęła rękawa ojca. Wiedział już, co musi się wydarzyć. -

Już, wystarczy ojcze. Wszystko w porządku.

- Nie, nie jest w porządku. Na Boga, nie mam zamiaru z ostawić cię na łasce tych dzikusów. Jesteście diabłami? - wykrzyczał nagle. - Czemu palicie żywcem ludzi szukających schronienia u Boga?

Edekon szybko tracił cierpliwość z powodu nieustępliwości kupca. - Oddaj ją, Rzymianinie.

- Nie! Nie, to znaczy... Proszę... - wznosił ręce w górę w błagalnym geście.

Hun w mgnieniu oka dobył z pochwy miecz. Zamierzył się i zadał cios.

Odcięta dłoń przeleciała w powietrzu kilka kroków, potoczyła się po kamiennej ulicy i uderzyła o podstawę fontanny - palce wciąż się poruszały. Wszystko działo się tak szybko, że Publiusz nie zdążył nawet krzyknąć. Zachwiał się tylko, bardziej zdziwiony niż odczuwający ból, niepewny, co teraz robić. Z ciekawością spoglądał

na okaleczoną rękę, gdy strzała trafiła go w pierś. Potem kolejna i jeszcze jedna, i jeszcze - dwadzieścia ugrzęzło w jego torsie i członkach. Kupiec przyglądał się im z niedowierzaniem. Dosiadający koni wojownicy śmieli się, dobywając strzał, posyłając je szybciej, niż mogło dostrzec ludzkie oko. Kupiec, przypominający teraz jeża, usiadł ciężko.

- Zabić wszystkich - rozkazał Edekon.

- Oszczędźcie dziewczynę - powiedział młody Hun. Wychylił się z siodła, by podnieść Ilanę i przerzucić ją - krzyczącą - przez konia.

- Puśćcie mnie do ojca!

Skrępował jej ręce. - Chcesz skończyć jak reszta? - zapytał w swoim języku.

Grupa ludzi prowadzona przez Szymona padła a przeszyta strzałami, próbując ucieczki. Każdego rannego, gdy był aga o litość, dobijano mieczem. Odgłosy pożaru kościoła stały się tak głośne, że zagłuszyły krzyki umierających wewnątrz.

Ich dusze zdawały się unosić do nieba wraz z rozgrzanym powietrzem. Płomienie łączyły się z rozjaśniającym się powoli wschodnim niebem. Gdy z różnych części miasta dotarły na forum kolumny jeńców, związanych ze sobą jak bydło prowadzone na targ, zawaliły się ściany kościoła.

Iłana łkała. Smutek utkwiał jej w gardle, ledwie mogła oddychać. Leżała rozciągnięta na grzbiecie konia, czując silne mięśnie Huna. Włosy opadały jak kurtyna, odsłaniając kark. Dlaczego nie zginęła jak inni? Koszmar zdawał się nie mieć końca. Zdrada ojca daremna. Dotychczasowe życie płonęło wraz z miastem, a ona, o okrutny losie, żyła nadal.

- Przestań płakać - rozkazał młody Hun, lecz dziewczyna nie mogła go zrozumieć. - Ocaliłem cię.

Zazdrościła zabitym.

Edekon wyprowadził ludzi z miasta, które kazał zniszczyć. Wspomnienie o nim rozwiewało się wraz z dymem. Oblegani zawsze ustępują i w końcu otwierają bramy. Zawsze znajdzie się ktoś gotowy, daremnie i nie zważając na historię, ułożyć się z najeźdźcami, by w ten sposób ocalić własną skórę. Hunowie liczyli na zdrajców i tchórzy. Edekon odwrócił się do młodzieńca wiozącego Ilanę. Ten zwał

się Skylla. - Attyła byłby zadowolony z dzisiejszego dnia, bratanku.

- Tak jak ja będę zadowolony z jutrzejszego. - Jego prawa ręka spoczęła na biodrach branki, przyciskając je, gdy starała się wyrwać. Jej protesty sprawiły, że Skylla zapragnął wziąć ją już teraz, tutaj. Jakiż nęcący zad miała ta klaczka.

- Nie - jego wuj zaprzeczył ruchem głowy. - Ta jest zbyt ładna. Zawieziemy ją do Attyli. W obozie podejmiemy decyzję.

- Ale ona mi się podoba.

- Attyła zadecyduje. Możesz o nią jedynie prosić.

Młody człowiek westchnął i odwrócił wzrok. Nauczył się jeździć konno, nim postawił pierwszy krok, władał bronią, odkąd był młokosem, polował, ścigał i zabijał. Jednakże złupienie Aksjopolis było pierwsze w jego życiu i nie był

przyzwyczajony do takiej rzezi. - Ludzie w kościele...

- Mieliby młode. Z czasem naprawiliby mury. - Edekon wciągnął nosem zasłaniający wschodzące słońce dym. - Dobrze się stało, Skylo. Już teraz ziemia czerpie wolność pełną piersią.

Rozdział III

Planując zamach

Konstantynopol 450 r. n. e.

Huna łatwiej było kupić, niż zabić. Najłatwiej zaś było kupić tych, którzy znali wartość pieniądza. Przynajmniej tak wydawało się Chryzafiuszowi, głównemu ministrowi cesarza Wschodniego Cesarstwa Rzymskiego - Teodozjusza II.

Chryzafiusz już od dziesięciu lat przekonywał cesarza do płacenia Hunom daniny, gdyż tysiące funtów w złocie, które wysyłano na północ, powstrzymywało ostateczny szturm na Konstantynopol. Chociaż poniżające, uleganie żądaniom było tańsze niż wojna. Rząd utrzymywał, że płaci barbarzyńskiemu sprzymierzeńcowi za pomoc, podobnie jak Cesarstwo Zachodnie opłacało Franków. Takimi bajkami można było karmić jedynie lud. Każdy urzędnik znał smutną prawdę. Teraz żądania Attyli ponownie wzrosły, skarbiec świecił pustkami, armia bizantyjska zajęta była walkami na wschodzie z Persją Sassanidów, na dworze szeptano, krytykując tchórzliwe obłaskawianie Hunów przez ministra. Należało koniecznie znaleźć jakiś sposób, by zaprzestać płacenia trybutu. I dlatego Chryzafiusz zamierzał przekupić szczególnego Huna i miał ku temu określony powód. Wysłał

już swego sługę Bigilasa, by ten poczynił pierwsze przygotowania.

- Pokaż temu Edekonowi naszą wspaniałą Nową Romeę, tłumaczu - powiedział

minister, krojąc srebrnym nożem galacyjską gruszkę. Pokaż mu nasze bogactwa, nasze mury, naszą siłę. A potem przyprowadź nienawykłego do kąpeli gościa do mojego pałacu i pokaż mu mnie.

Kilka miesięcy po złupieniu Aksjopolis wódz huński Edekon został wysłany na południe do Konstantynopola, by nalegać na spełnienie żądań Attyli, na uhonorowanie postanowień traktatu pokojowego zawartego przez Anatoliusza dwa lata wcześniej. Bizantyjczycy ociągali się z przesłaniem całości należnej sumy, a wciąż rosnąca armia Hunów miała wprost niemożliwy do zaspokojenia apetyt na lśniący kruszec. Chryzafiusz liczył na to, że uda mu się przemienić barbarzyńskiego posła z najeźdźcy w sprzymierzeńca.

Spotkanie nie zaczęło się pomyślnie. Bigilas musiał wyjść po delegację poza mury miasta, przez Złotą Bramę, gdyż barbarzyńcy odmówili wejścia do miasta bez przewodnika. Tłumacz już na początku znalazł się w nie najlepszej pozycji do rozmów. Musiał zadzierać głowę ku górze, patrząc na człowieka, którego kazano mu zadziwić. Bigilas przybył wraz ze strażą, osobistym szambelanem i niewolnikiem trzymającym chroniący od słońca parasol. Przyszedł jednak pieszo, zaś Hunowie dosiadali swoich wierzchowców. Ustawili konie tak, by słońce świeciło im w plecy, Rzymianom zaś prosto w oczy. Bigilas nie śmiał jednak protestować. Dumny Hun był nie tylko ważny dla planów jego pana, lecz również śmiertelnie niebezpieczny, gdy czymś się go uraziło. Gdyby Edekon nie wrócił do Attyli z zadowolającą wiadomością, mogłoby dojść do kolejnej wojny.

Ze swojej strony Hun traktował misję pokojową pomiędzy wojskowymi kampaniami jako szansę na łatwy zysk, bez względu na to, jak przebiegać będzie dyplomatyczna gadanina. Odkąd pamiętał, Rzymianie starali się obłaskawiać jego braci podarkami. Dlatego też podróż do Konstantynopola była dla Edekona nagrodą za złupienie Aksjopolis i okazją, by przyrzeć się dokładniej potężnym murom stolicy. Pewnego dnia, miał nadzieję, zrobi ze stolicą cesarstwa to, co zrobił z miastem Ilany.

Hun, tak jak spodziewał się Bigilas, był po przebyciu długiej podróży pokryty kurzem od stóp do głów, lecz jego strój nie składał się z łachmanów i króliczych skór, które przywdziewali jego pobratymcy, gdy po raz pierwszy pojawili się w Europie. Dawno zastąpiły je lisy, niedźwiedzie lub sobole. Szorstkie, skórzane kamizele rzucono w ką. Hunowie ubierali się teraz w miękkie tuniki i zdobyczne zbroje. Jedwab i płótno zdobiące wcześniej piersi rzymskich dziewcząt wystawały spod loriki. Barbarzyńcy przejawiali niemalże dziecięcą fascynację wyszukаныmi towarami. Nie posiadali natomiast żadnej znajomości obowiązującej mody. Ani samoświadomości. To Ludzie Świtu decydowali, jak mają ubierać się możni, reszta zaś była im posłuszna.

Jak wszyscy Hunowie, Edekon wyglądał na grzbiecie konia na równie wypoczętego, jak Rzymianin odpoczywający wygodnie na krześle. Był niski, lecz silny. Długi miecz wisiał przy jego boku, krótki łuk przypiął do siodła, pełen strzał kołczan zawiesił na plecach. Był brzydki - jak pozostali współplemieńcy -

przynajmniej dla rzymskich oczu. Jego cera miała brązowy odcień typowy dla ludzi przybywających ze wschodu i była szorstka jak skóra zwierzęcia. Policzki zdobiły pofałdowane, rytualne blizny. Wielu Rzymian wierzył o w krążące opowieści o tym, że Hunowie nacinają twarze chłopców przy narodzinach, by nauczyć ich wpięrow odporności na ból, zanim zaczną się ich karmić piersią, lecz Bigilas wiedział, że rany były raczej wynikiem samookaleczenia dokonywanego po śmierci bliskiego członka rodziny, by w ten sposób opłakać jego stratę i wyrazić swój żal. Większość dorosłych mężczyzn i wiele kobiet nosiło na twarzach podobne blizny.

Maniery Edekona przypominały zachowanie pospolitego przestępcy. Oczy zastygłe w permanentnym, złowieszczym spojrzeniu, podkreślonym dodatkowo rzadkim, kręcącym się ku dołowi, wąsem. Tak, pomyślał Bigilas, był

kalkulującym brutalem, który zabijał i kradł z właściwą drapieżnikowi inteligencją. Co oznaczało, że będzie można przemówić mu do rozsądku.

Przynajmniej taką nadzieję miał jego pan, Chryzafiusz.

Hun, wiedząc, że Bigilas jest urzędnikiem niskiego szczebla, patrzył nie na niego, lecz na potrójne mury Konstantynopola, ciągnące się przez cztery mile - od Morza Marmara do portu zwanego Zł otym Rogiem. Było to spojrzenie żołnierza próbującego znaleźć w nich słaby punkt lub też obejście przeszkody. Wysokość murów - sto stóp - wprawiała go w zdumienie.

- Minister Chryzafiusz zaprasza was na kolację - powiedział wreszcie Bigilas w gardłowym języku Hunów. W porównaniu z greką bądź łaciną brzmiał jak pochrzakiwania zwierzęcia.

Równie potężnych umocnień Edekon nie widział w całym swoim życiu.

- Będziecie musieli zostawić konie poza miastem - dodał tłumacz.

Teraz przynajmniej jego słowa wywołały jakąś reakcję. Hun spojrział w dół. -

Pojadę do pałacu wierzchem.

- Nikt nie jeździ po Konstantynopolu wierzchem. Z wyjątkiem cesarza -

nalegał Bigilas. - Miasto jest zbyt zatłoczone. Konie płoszyłyby się na każdym kroku. Wiedział, że Hunowie żyją na grzbietach swoich koni, walczą, dosiadając ich, układają się, czasem śpią i o ile informacje były prawdziwe, także kochają.

Woleli jechać setki kroków, jeśli zaoszczędziłoby to im nawet najkrótszy spacer.

Tworzyli ze swoimi końmi niemal jedną istotę. Należało manipulować nimi jak drażliwymi dziećmi.

- Jeśli wolicie, przywołam lektykę.

- Lektykę?

- Kanapę niesioną przez niewolników. Tym sposobem również będziesz jechał.

Edekon zadrwił. - Jak dziecko? Lub kobieta?

- Do pałacu są trzy mile. - Specjalnie popatrzył na krzywe nogi Huna.

Ten rzucił mu groźne spojrzenie. - A ty jak się tu dostałeś?

- Przyszedłem. Nawet senatorowie i dowódcy wojskowi chodzą pieszo, ambasadorze. W ten sposób łatwiej mi będzie pokazać wam wszystkie wspaniałości naszej stolicy.

Hun potrząsnął głową. - Po co żyć, skoro nie możesz jeździć konno.

- Ześlizgnął się jednak z kuca. Nie był tak bardzo zdziwiony zaistniałą sytuacją, jak chciałby wyglądać w oczach Rzymian. Wcześniejsi posłowie powiedzieli mu, że jeśli się zgodzi, jego koń zostanie zaprowadzony do pudła -

podobnego do tych, w których żyli Rzymianie. W zamknięciu obrośnie tłuszczem i straci siły. Ci ludzie to insekty. Jak larwy gnieźdzą się w swoich miastach.

Należało wziąć podarki i wynieść się stąd jak najszybciej.

Bigilasa ucieszyło, iż Hun nie stwarza dodatkowych kłopotów ze swymi końmi. Niespodziewaną cechą charakteru tych rzeźników była gotowość do negocjacji. Zaczął uczyć się ich języka, gdy pojmano go i wywieziono do obozu Attyli siedem lat temu. Po wykupieniu z niewoli uczył się dalej, gdy znalazł

zatrudnienie jako kupiec. Jego umiejętności tłumacza zainteresowały urzędników, a w końcu samego Chryzafiusza. Bigilas znał Hunów i nie darzył ich sympatią, a takich właśnie cech poszukiwał u swoich ludzi minister.

Tłumacz obserwował, jak Hun oddaje wodze, łuk i kołczan swojemu towarzyszowi, którego nazywał Skyllą. Edekon kazał młodemu człowiekowi i innemu żołnierzowi, Rzymianinowi z urodzenia,

oficerowi i renegeatowi zwanemu Onegeszem, by poczekali na jego powrót poza murami. Gdyby nie wrócił o umówionym czasie, mieli wrócić do Attyli. - Nie pozwólcie im zamknąć w pudle mojego konia i nie pozwólcie zamknąć siebie. Może to was kosztować utratę sił.

- Ale ja już wynająłem willę i stajnie - powiedział zdziwiony Bigilas.

- Gwiazdy są dla nas dachem - odpowiedział z przesadną dumą młodzian.

Skylla, podobnie jak jego wuj, przyglądał się murom Konstantynopola z mieszaniną pogardy i zazdrości. - Rozbijemy obóz przy rzece i tam na ciebie zaczekamy.

Chryzafiuszowi nie spodoba się, że Hunowie pozostaną poza stałą kontrolą lecz cóż mógł zrobić? - Potrzebujecie pożywienia.

- Weźmiemy to, czego nam będzie brakowało.

Co miał na myśli? Zamierzali łupić gospodarstwa i okradać pielgrzymów?

Niech śpią w brudzie, jeśli tego chcą. - Chodź więc ze mną - zwrócił się do Edekona. - Chryzafiusz nas oczekuje. - Gdy zbliżyli się do ogromnej bramy, odwrócił się, by raz jeszcze przyjrzeć się pozostawionej z tyłu dwójce Hunów.

Liczyli wieże.

Nowa stolica Wschodniego Cesarstwa Rzymskiego była trójkątem, którego szczyt wcinający się w morze mieścił cesarskie pałace, hipodrom i kościół Hagia Sofia. Podstawą - od zachodu - był ciągnący się na cztery mile potrójny mur.

Ramiona wyznaczone przez wodę również chroniły mury. Nadbrzeżne porty pełne były statków, na które ładowano lub z których rozładowywano najróżniejsze towary. Cały handel świata zdawał się obecnie przechodzić przez komin, jakim był

Konstantynopol. Cesarzowie Wschodu sprowadzali posąg, sztukę, marmury i mozaiki, by jak najszybciej zapewnić nowo powstałemu miastu splendor. W

stolicy mieszkało chyba tylu Rzymian, co Hunów na całym świecie. Jednak to wspaniałe miasto musiało płacić trybut barbarzyńcom. Ta niemożliwa do dalszego tolerowania sytuacja musiała się wreszcie skończyć.

Złota Brama miała trzy sklepione przejścia. Środkowe było najwyższe i najszersze, jego drewniane i metalowe bramy wzmocnione zostały dodatkowo płaskorzeźbą przedstawiającą ogromnego, wykonanego z mosiądzu słonia -

wypolerowaną tak, by lśniła niczym złoto. Portal przechodził przez wszystkie trzy linie murów - tunel stałby się miejscem kaźni dla każdej armii, której udałoby się sforsować bramy. Jego sklepienie pełne było małych otworów, przez które można było razić nieprzyjaciela strzałami bądź też lać na niego rozgrzany olej. Co więcej, trzeci, najbliższy miastu mur był jednocześnie najwyższy, dzięki

czemu każdy kolejny górował nad poprzednim, całość zaś wyglądem przypominała ponure i niedostępne pasmo górskie.

Edekon zatrzymał się tuż przed zewnętrznym wjazdem, spoglądając na pomniki przedstawiające cesarza, zwycięstwo i fortunę. U góry biegła łacińska inskrypcja. - Co tam jest napisane?

Bigilas przeczytał na głos: - „Teodozjusz przyozdabia to miasto po zgładzeniu uzurpatora. Ten, który wybudował Złotą Bramę, przynosi Złoty Wiek”.

Barbarzyńca milczał przez chwilę, po czym zapytał ponownie. - Co to znaczy?

- Że nasz cesarz jest bogiem i że to miasto jest teraz nowym centrum świata.

- Myślałem, że wy, Rzymianie, macie teraz tylko jednego boga.

- Właściwie masz rację. - Tłumacz zmarszczył czoło. - Boskość cesarza nadal jest tematem teologicznej dysputy.

Hun chrząknął, po czym przeszli przez potrójny mur - z ciemności tunelu w jasne światło słońca. Edekon znów się zatrzymał. - Gdzie jest wasze miasto?

Tłumacz się uśmiechnął. W tym właśnie miejscu, wewnątrz murów, ogrom Konstantynopola po raz pierwszy zdumiewał wkraczających do niego barbarzyńców. - Środkowe miasto znajduje się za pierwszymi murami wzniesionymi przez cesarza Konstantyna - palcem wskazał oddalone niemal o milę umocnienia. - Ta, nowa część miasta otoczona murami przez cesarza Teodozjusza przeznaczona jest dla cystern, ogrodów, klasztorów, kościołów i targów. Rzeka Lycus przepływa pod murami, mamy więc dostatecznie dużo wody pitnej, by w nieskończoność odpierać oblężenie. Konstantynopol nigdy nie zostanie wzięty - ani głodem, ani stałą, Edekonie. Pozostaje tylko uczynić go swoim przyjacielem.

Hun nie odpowiedział od razu, obracając głowę na wszystkie strony. -

Przybyłem jako przyjaciel. Po dary.

- Minister przygotował dla was prezenty, przyjacielu.

Na targowisku przy niższym, starszym murze Konstantyna, niedaleko Bramy Saturnina oczy Edekona zapałały drapieżnym pożądaniem na widok wystawionych na sprzedaż towarów. Nowa Roma była miejscem przecięcia szlaków handlowych, można było w niej znaleźć każdy produkt, każdą przyjemność, dowolny zapach i smak. Jego żony trzęsłyby się jak podniecone gęsi na widok takiego łupu. Pewnego dnia przyniesie im wszystko, co teraz widzi -

zabrudzone krwią kupców, do których należało. Ucieszył się na tę myśl.

Przeszli przez bramę i weszli do miejskiego centrum wschodniej części imperium, tętniącej życiem i zatłoczonej krzątającymi się wszędzie ludźmi stolicy, wypełnionej połączanymi kościołami, wystawnymi pałacami, przeludnionymi budynkami, ulicami rojącymi się od ludzi. Edekon poczuł się

nagle mały niczym dziecko i całkowicie anonimowy. O ile poza murami Hunowie wzbudzali strach, o tyle wewnątrz nich jedynie zaciekawione spojrzenia. Do Konstantynopola przybywali ludzie z nawet najdalszego krańca świata: czarnoskórzy Afrykanie, jasnowłosi Germanowie, smagli Syryjczycy, zasłaniający twarze Berberowie, wędrujący Żydzi, Goci o groźnym spojrzeniu, Iberowie o skórze koloru miedzi, pracownicy Grecy, rozkrzyczani Egipcjanie, prostaccy Ilirowie i Dakowie.

Przepychali się, potracali i wpadali na siebie, wychwalając swoje towary, targując się o ceny, obiecując spełnienie każdego życzenia, krzycząc, by przejść dalej. Hun poczuł się tak, jakby zanurzył się w potężnej rzece i utracił nad wszystkim kontrolę. W powietrzu unosił się uderzający do głowy zapach przypraw, perfum, potu, węgla drzewnego, dymu, jedzenia i ścieków. Do uszu docierała kakofonia dźwięków. Poczul się niedobrze, chciało mu się wymiotować. Bigilas wskazywał i objaśniał wszystko z rozpierającą mu piersi dumą.

Ulica, którą szli, była wyłożona kamieniem - zgodnie z rzymskim zwyczajem, który Edekon uważał za niezdrowy dla nóg, nie wspominając już o końskich kopytach. Jej środek kąpał się w promieniach słonecznych, boki zaś tonęły w cieniu osłonięte marmurowymi portykami - równie zatłoczonymi. Głowice kolumn rzeźbione były na kształt liści, by wyglądem przypominać drzewa.

Rzymianie używali kamieni zamiast drewna, a potem starali się zrobić drzewo z kamienia! W cieniu, za portykami ciągnęły się w nieskończoność sklepy. Budynki, w których się mieściły, były tak wysokie, że ulica przypominała kanion. Hun nie mógł powstrzymać się od nieustannego spoglądania w kierunku poddaszy, przezornie szukając zasadzki. Zaś otaczający go Rzymianie tłoczyli się bez żadnego widocznego poczucia osaczenia. Wręcz przeciwnie, zdawali się z tej bliskości czerpać bezpieczeństwo. Takie życie niezgodne było z naturą i uczyniło z Rzymian dziwny, głośny i przesadnie ubrany rodzaj ludzi. Umalowane kobiety były zbyt zasłonięte lub odsłaniały zbyt wiele, mężczyźni za bogaci lub zbyt wynędzniali. Hazardziści i dziwki przemykali pomiędzy mnichami i zakonnicami.

Wszyscy jednak ściskając się, narzekając i nawołując z zapalem. Mrowisko -

pomyślał Edekon - gdy wreszcie spłonie do szczętu, będzie to błogosławieństwem dla spoczywającej pod nim ziemi.

Bigilas paplał jak dziewczka, gdy przepychali się w tłumie do przodu - ten marmur pochodził z Troady; ich główna ulica zwana była Mese; to forum Arkadiusza, tak jakby Edekon potrzebował podobnych informacji. Hun, zamiast słuchać, wyceniał wzrokiem wystawione bogactwa: stragany pełne biżuterii, pagórki ułożonych na kupę dywanów, płótna z Egiptu, wełna z Anatolii, dzbany przepełnione winem, wspaniałe buty, metaliczny blask broni. Kubki i misy, podstawki i garnki, miedź i żelazo, heban i kość słoniowa. I pięknie zdobione skrzynie, w które można było wszystko załadować. W jaki sposób te larwy potrafiły robić takie rzeczy?

Miejscami ulice przechodziły w bardziej otwarte przestrzenie, które Bigilas nazywał forami. Na wielu stały posągi zastygłych w bezruchu ludzi. W jakim celu je postawiono, Edekon nie wiedział. Wysokie kolumny strzelały w niebo, nie dźwigając jednakże żadnego ciężaru. Jedna z nich wieńczyła postać mężczyzny zwanego Konstantynem. To cesarz, który założył miasto, wyjaśnił tłumacz.

Huna bardziej zaciekał monumentalny, czterostronny łuk na skrzyżowaniu zwanym Anemodoulion. Na jego szczycie umieszczono wiatrowskaz. Hun ze zdziwieniem obserwował, jak orzeł obracał się raz w jedną, raz w drugą stronę.

Jakaż głupota! Tylko Rzymianie potrzebowali zabawki, by dowiedzieć się, skąd wieje wiatr.

Bigilas wskazał też na łuki czegoś, co nazwał akweduktem. Czemu, zastanawiał

się Hun, Rzymianie budują rzeki, miast po prostu przy nich żyć. Matka ziemia daje ludziom wszystko, czego potrzebują. Rzymianie męczyci się jednak przez całe swe życie, by z trudem kopiować to, co można mieć za darmo i bez najmniejszego wysiłku.

W miarę zbliżania się do szczytu półwyspu domy, pałace i monumenty stawały się bardziej okazałe, a hałas jeszcze głośniejszy. Szczęk dochodzący z fabryk miedzi brzmiał niczym silne gradobicie na stepie, zaś skowyt marmurowych pił

był prawie nie do zniesienia. Jedyne bramy hipodromu dawały zmęczonym oczom jakieś wytchnienie. Edekon zauważył za nimi pole piasku otoczone wielkim, owalnym ogrodzeniem, które tworzyły pnące się do nieba schody. - Co to jest?

- Tu rozgrywane są wyścigi rydwanów i igrzyska - odpowiedział Bigilas. -

Gdy się odbywają, ogląda je osiem tysięcy ludzi. Zauważyłeś może przepaski i wstążki? To barwy naszych frakcji: zielonym kibicują prości ludzie, niebieskim możni. Ludzie zakładają się, sprzecząją, czasem dochodzi nawet do bójek i zamieszek.

- Z jakiego powodu?

- Zwycięstwa lub porażki. Rozumiesz? W zależności od tego, kto wygra zawody.

Tracili siły, udając wojnę, zamiast prowadzić prawdziwą. Rozważając tę myśl, Hun dotarł wreszcie do pałacu Chryzafiusza.

Pierwszy minister Wschodniego Cesarstwa zawdzięczał wszystko, jak reszta osób mających wysoką pozycję społeczną, swojej inteligencji, czujności i bezwzględnej kalkulacji. Jak wielu urzędników w tych czasach, Chryzafiusz był

eunuchem. Wczesna służba i dostęp do pięknej żony cesarza Eudokii - możliwe z powodu kastracji - zapoczątkowały jego mozolną wspinaczkę po stromych stopniach kariery. Teraz był, zdaniem niektórych, człowiekiem potężniejszym od samego cesarza. I czemuż miałoby być inaczej? Obserwując przez całe swoje życie przebiegłość kobiet, minister już dawno temu upewnił się, że brak jąder nie umniejsza bynajmniej odwagi i nie przesłania otwartości umysłu. Cesarzowi Teodozjuszowi nie brakowało między nogami niczego, był zaś fatalnym wodzem i niezdarnym negocjatorem, całkowicie zdominowanym przez swoją starszą siostrę -

kobietę tak bardzo świadomą właściwej kolejności rzeczy, iż sama odsunęła na bok cielesne pokusy i poddała swe życie zgodnej z nakazami wiary wstrzeźliwości.

Taka czystość czyniła z niej kobietę jednocześnie niebezpieczną, której należało oddać cześć, jak i drażliwą i mściwą. Jakaż odwrotnością była dla Pulcherii ciemna i rozwiązła siostra cesarza Zachodu - Honoria - podobno na tyle bezmyślna, że dała się przyłapać w sypialni z zarządcą swojego pałacu! Gdyby tylko Pulcheria okazała podobną słabość. Ona wydawała się jednak uodporniona na podobne uczucia, tak jak Chryzafiusz. Co zresztą czyniło ją jeszcze bardziej niebezpieczną.

Pulcheria pozbyła się wpierw kochanej Eudokii, oskarżając żonę swego brata o cudzołóstwo i wywożąc upokorzoną do Judei. Chryzafiusz ledwo uniknął

uwikłania w ten skandal, gdyż Eudokia była jego patronką. Jednakże umiejętności negocjowania uczyniły go na tyle niezastąpionym, zaś okaleczenie odpornym na seksualne szykany, iż nawet Pulcheria nie była w stanie się go pozbyć. Niestety, ministrowi nie udało się przekonać cesarza, że okazywana publicznie świętość jego siostry jest jedynie maską dla głęboko skrywanej złośliwości. Od tej pory stała się najbardziej zajadłym przeciwnikiem Chryzafiusza. Chciwość i perfidia ministra przysporzyły mu wielu wrogów. Wiedział, że wynikała z okaleczenia bezpłciowość działa jedynie na jego niekorzyść, czyniąc go jeszcze bardziej niepopularnym.

Potrzebował spektakularnego sukcesu, by zabezpieczyć się na wypadek ataku Pulcherii.

Taka była prawdziwa przyczyna, dla której ten tępy barbarzyńca - Edekon -

przybył do pałacu Chryzafiusza i teraz opychał się chamsko przy jego stole.

Jak dotąd kuszenie przebiegało zgodnie z planem. Bigilas spotkał się z Hunem poza murami i przeprowadził przez Konstantynopol. Tłumacz potwierdził, że olśnił dzikusa cudami rzymskiej architektury, bogactwem bizantyjskich targowisk oraz liczbą i żywotnością mieszkańców. Daremność szturm murów Nowej Romy powinna być oczywista dla oczu każdego. Edekon wszedł do pałacu Chryzafiusza, gapiąc się jak prosty chłop na marmury, brokaty, draperie, dywany, baseny, fontanny i rzeźbione cedrowe drzwi. Oświetlone słońcem dziedzińce pełne były kwiatów niczym łąki, sypialnie tonęły w powodzi jedwabiu i płócien, stojące pod ścianami stoły uginały się pod górą owoców, chleba, miodu, mięsa i świecących się oliwek.

Hun biegał od pokoju do pokoju niczym byk po pastwisku.

Minister kazał dwójce swoich chichoczących niewolnic nakłonić grzecznie barbarzyńcę do kąpieli, która uczyniłaby go przynajmniej odrobinę przystępniejszym w bliskim kontakcie. Hun odmówił podejrziwie.

- Lękają się wodnych duchów - wyjaśnił szeptem tłumacz.

Chryzafiusz jęknął. - Jak są zatem w stanie ze sobą kopulować?

Bigilasowi udało się w końcu przekonać Huna do zamiany skór i zbroi na wykonaną z egipskiej wełny szatę, obszytą złotą nicią i gronostajami oraz nakrapianą drogocennymi kamieniami. Gest daremny, jak rzucanie jedwabiu wyleniałemu niedźwiedziowi. Wystające spod szat dłonie Huna były szorstkie jak dłonie stolarza, zaś jego fryzura przypadłaby do gustu wiedźmie. Nieznane mu i

pachnące ubrania przynajmniej nieznacznie dopasowały go do tryklinium -

rzymskiej jadalni, której okna wychodziły na Morze Marmara. Lampy i ś wiece dawały migoczącą poświatę. Od wody wiała chłodna bryza. Ciągłe uzupełniany winem puchar sprawił Huna w lepszy, bardziej przyjazny nastrój. Nadeszła odpowiednia chwila na złożenie propozycji.

Hunowie byli niebezpieczni, lecz jednocześnie niezmiernie chciwi, uważał

Chryzafiusz. Byli czymś więcej niż piratami na koniach. Gardzili miastami, choć pożąдали wytwarzanych w nich dóbr. Nienawidzili Rzymian, gdyż im zazdrościli.

Byli przekupni jak dzieci kuszone misą słodyczy. Od ponad dekady unikał

bezpośredniego starcia z Attylą, przekupując szaleńca, ulegając sukcesywnie rosnącym żądaniom. Od trzech setek i pięćdziesięciu funtów w złocie rocznie, których żądał ojciec Attyli, przez siedemset oczekiwanych przez jego brata, do przeszło dwóch tysięcy przez samego Attyłę. Stanowiło to astronomiczną sumę stu pięćdziesięciu tysięcy solidów rocznie! By zapłacić sześć tysięcy funtów potrzebnych do zakończenia wojny w roku 447, kupcy i senatorzy przetapiali biżuterię własnych żon. Z rozpaczą popełniano samobójstwa. Co ważniejsze, Chryzafiusz ledwie mógł sobie pozwolić na luksusy, bez których nie mógł żyć!

Attyła przekształcił luźną federację sprawiających nieznaczne kłopoty łupieżców w zachłanne i nienasycone imperium. I to król Hunów zmienił możliwy do zaakceptowania trybut w skandaliczne wymuszenie. Eliminując Attyłę, zniszczyłoby się jednocześnie ich z pewnością nietrwałą jedność. Jedno pchnięcie nożem lub kropla trucizny i najbardziej palący problem Wschodniego Cesarstwa przestałby istnieć.

Eunuch uśmiechnął się życzliwie do Huna i korzystając z pomocy Bigilasa, rozpoczął rozmowę. - Czy przypadły ci do gustu nasze epikurejskie przysmaki, Edekonie?

- Wasze co? - Usta miał obrzydliwie pełne.

- Jedzenie, mój drogi przyjacielu.

- Dobrze - wziął kolejną garść.

- Najlepsi kucharze z całego świata przyjeżdżają do Konstantynopola.

Rywalizują, wymyślając nowe przepisy, nie przestając zaskakiwać naszego podniebienia.

- Jesteś dobrym gospodarzem, Chryzafiuszu - powiedział Hun. - Powiem o twej gościnności Attyli.

- Dziękuję za pochlebstwo - minister łyknął z pucharu. - Czy wiesz, Edekonie, że człowiek twojej pozycji i o twoim talencie mógłby jadać tak codziennie?

Barbarzyńca przestał wreszcie jeść. - Codziennie?

- Gdybyś żył tu, z nami.

- Przecież żyję pośród Hunów, u boku Attyli.

- Tak, wiem. Lecz czy pomyślałeś kiedykolwiek o życiu w Konstantynopolu?

Hun parsknął. - Gdzie trzymałbym swoje konie?

Chryzafiusz uśmiechnął się dobrotliwie. - Do czego potrzebne są nam konie?

Nigdzie nie musimy się ruszać. Cały świat przychodzi do nas, przywożąc swe najlepsze wytwory. Najtęższe umysły, najzdolniejsi artyści i najświętsi ze świętych księży - wszyscy zmierzają do Nowej Romy. Najpiękniejsze kobiety imperium mieszkają tu, o czym mogłeś się już przekonać, przyglądając się moim niewolnicom i posługującym przy kąpieli dziewczynom. Do czego potrzebny ci koń?

Hun, zdając sobie sprawę, że właśnie przedstawia się mu jakąś ofertę, wyprostował się na sofie, skupiając na wpół już uśpioną winem uwagę.

- Nie jestem Rzymianinem.

- Ale mógłbyś nim być.

Barbarzyńca rozejrzał się dookoła uważnie, jakby wszystko, co widzi, mogłoby zostać mu zabrane w jednej krótkiej chwili. - Nie mam tu domu.

- A mógłbyś mieć. Człowiek z twoim doświadczeniem wojskowym byłby niezastąpiony dla naszej armii. Człowiek twojej pozycji mógłby być właścicielem identycznego pałacu. Człowiek taki jak ty, który oddałby się na usługi cesarza, mógłby stać się pierwszym pośród możliwych Konstantynopola. Nasze pałace, nasze igrzyska, nasze dobra, nasze kobiety - wymieniał cierpliwie Chryzafiusz - mogą należeć do ciebie.

Hun zmrużył oczy. - Gdybym opuścił swoich i dołączył do was. To masz na myśli?

- Miałem na myśli ocalenie twojego ludu Edekonie. I mojego również. Jeśli tylko zajmiesz odpowiednie dla ciebie miejsce w historii.

- Moje miejsce jest przy boku Attyli.

- Do tej pory. Lecz czyż musimy stanąć naprzeciw siebie na polu bitewnym.

Obaj wiemy, że tego pragnie wasz król, że do tego zmierza. Attyla jest nienasycony. Nie zadowala go żadne, nawet najwspanialsze zwycięstwo. Żaden trybut nie jest wystarczająco wysoki, by go zadowolić. Nawet najbardziej lojalnemu dowódcy nie jest oszczędzona podejrzliwość i nieufność. Póki żyje, żaden Hun i żaden Rzymianin nie może spać spokojnie. Jeśli się go nie powstrzyma, zgubi nas wszystkich.

Edekon przestał jeść, patrząc niepewnie na ministra. - Czego właściwie ode mnie chcesz?

Chryzafiusz położył swą wątłą i delikatną dłoń na twardym ramieniu Huna, ściskając je ciepło. - Chcę byś zabił Attyłę, przyjacielu.

- Zabić Attyłę!? Odarto by mnie żywcem ze skóry.

- Nie, jeśli dokonasz tego potajemnie, z dala od spojrzeń strażników, będąc częścią nieoficjalnego poselstwa rzymskiego ambasadora - jako przewodnik i główny negocjator reprezentujący swego władcę. Attyła zginie, ty potajemnie opuścisz komnatę, w której prowadzone będą rozmowy. Zamieszanie wybuchnie dopiero po odkryciu zwłok. Nim Hunowie zdecydują, kto ma objąć władzę i kto winny jest zabójstwa, ty będziesz już daleko, bezpieczny. Przywitamy cię jak bohatera, oswobodziciela całego świata. Mógłbyś mieć dom jak ten i kobiety jak te, i złoto w ilościach, które nadwerężyłyby twoje plecy, gdybyś chciał je przenieść z jednego miejsca w drugie.

Hun nie ukrywał swego skąpstwa i pragnienia złota. Rozlało się po jego twarzy. - Jak dużo złota?

Minister uśmiechnął się: - Pięćdziesiąt funtów.

Hun zachłysnął się powietrzem.

- To oczywiście początkowa zapłata. Damy ci tyle złota, że będziesz jednym z najbogatszych mieszkańców naszego miasta, Edekonie. Będziesz żył darzony szacunkiem, w spokoju i luksusie do końca swych dni. Jesteś jednym z niewielu, którym Attyła ufa na tyle, by przebywać z nimi na osobności. Możesz dokonać tego, czego nie ośmielił się do tej pory żaden człowiek.

Hun zwilżył językiem wargi. - Pięćdziesiąt funtów? A potem jeszcze więcej?

- Czy Attyła nie zabiłby cię dla takiej sumy?

Edekon poruszył ramionami, jakby zgadzając się ze słowami Chryzafiusza. -

Gdzie jest złoto, o którym mówisz?

Minister strzelił palcami. Wysoki Germanin, niewątpliwie niewolnik, wszedł

do pomieszczenia, niosąc skrzynię. Jej waga pokazała potężną muskulaturę ciała barbarzyńcy. Postawił ją z głośnym uderzeniem na podł odze i otworzył wieko, ukazując oczom zebranych złoty skarb. Minister pozwolił Hunowi przyglądać się monetom przez dłuższą chwilę, po czym na jego skinienie niewolnik zatrzasnął

skrzynię. - Przed tobą, Edekonie, szansa, by żyć jak ja.

Hun powoli potrząsnął głową. - Jeśli wrócę z tym przytroczonym do mego siodła, Attyła w jednej chwili domyśli się, na co się zgodziłem. Zawisnąłbym na krzyżu na równinach Hunugurii.

- Też tak pomyślałem. Dlatego wysłuchaj mego planu. Udajmy, że nie doszliśmy do porozumienia. Pozwól mi wysłać ze sobą rzymskiego posła.

Weźmiecie Bigilasa jako tłumacza. Wrócisz z wystarczającą liczbą podarków, by Attyla nie nabrał podejrzeń. Niektóre rozmowy trwają, jak dobrze ci wiadomo, nad wyraz długo. Zbliżysz się do króla. Jako gwarancję rzymskiego słowa proponujesz, by Bigilas wrócił do Konstantynopola po swego syna, który zostałby w waszym obozie w roli zakładnika. Tłumacz wróci z synem, a jakże.

Przywiezie z sobą jednak coś jeszcze. Twoje złoto. Gdy je zobaczysz, upewnisz się, że nie rzucam słów na wiatr. Wtedy uderz. Potem wróć i żyj pomiędzy nami jak prawdziwy Rzymianin.

Hun zastanawiał się. - Ryzykowne.

- Wszystkie nagrody wymagają ryzyka.

Rozejrzał się dookoła. - I mógłbym mieć dom jak ten?

- Do diaska, możesz mieć mój dom, jeśli tylko zechcesz.

Edekon się zaśmiał. - Jeśli dostanę twój dom, urządzę w nim pastwisko dla swoich koni!

Hun spał w pałacu Chryzafiusza dwie noce. W tym samym czasie organizowano pośpiesznie rzymskie poselstwo. Edekon, opuszczając miasto, specjalnie pozwolił się ponieść w lektyce jak kobieta. Czuł się jak robak! Chciał

zakpić ze swoich towarzyszy. Skylla i Onegesz nie zgodzili się na nocleg w przygotowanej dla nich willi i obozowali przy murach. Teraz Edekon przywoził

podarunki, by podzielić się nimi ze swymi towarzyszami. Bogate brokaty, zawile rzeźbione pudła, słoje pełne przypraw i perfum, wysadzone klejnotami sztylety i złote monety. Bogactwa, które pomogą po powrocie w rodzinne strony każdemu z nich kupić osobistą świtę wiernych popleczników.

- Co powiedzieli Rzymianie? - spytał Onegesz.

- Nic - odpowiedział Edekon. - Chcą, byśmy zabrali ze sobą poselstwo do Attyli. Chcą dokończyć rozmowy w naszym obozie.

Onegesz zmarszczył brwi. - Attyla nie będzie zadowolony, gdy dowie się, że nie skończyliśmy wszystkiego w Konstantynopolu i że nie przywozimy ze sobą daniny. Pomyśli, że Rzymianie się migają.

- Rzymianie zabiorą ze sobą więcej podarków. Ja z kolei przywiozę coś znacznie cenniejszego.

- Co takiego mianowicie?

Edekon mrugnął do Skylli, bratanka i młodego oficera, którego oddelegowano do tej misji, by nabierał potrzebnego doświadczenia. - Zamach.

- Co?

- Rzymianie chcą, bym zamordował naszego króla. Zniewieściały mężczyzna myśli, że naprawdę spróbuję to zrobić! Jakbym mógł podejść do Attyli na odległość stu kroków i nie skończyć w garze wrzątku, ugotowany żywcem!

Naszego pana z pewnością ubawi moja opowieść, a jednocześnie bardzo zdenerwuje. Wykorzysta swój szal, by wycisnąć z Rzymian jeszcze więcej złota.

Onegesz się uśmiechnął. - Ile chcą ci zapłacić?

- Pięćdziesiąt funtów w złocie. Na początek.

- Pięćdziesiąt funtów! Dużo zdobycz jak dla jednego człowieka. Być może powinieneś naostrzyć swój krótki sztylet, Edekonie.

- Eee... Więcej zyskam, pozostając przy Attyli. Przynajmniej dożyję czasów, w których będę mógł się cieszyć ze zgromadzonych bogactw.

- Czemu Rzymianie myślą, że zdradzisz własnego króla? - zapytał Skylla.

- Ponieważ zdradziliby swojego, gdyby mieli podobną okazję. To larwy, pragnące i myślące jedynie o wygodach. Gdy nadejdzie odpowiedni czas, zgnieciemy ich pod swymi butami jak robaki.

- Renegat popatrzył w górę na wysokie mury. Nie był pewien, czy pokonanie Rzymian będzie aż tak łatwe. - A pięćdziesiąt funtów w złocie?

- Mają je przywieźć później, by nie wzbudzić podejrzeń Attyli. Poczekamy, aż przybędzie. Przetopimy je i wlejemy w kłamliwe rzymskie gardła. Potem odeślemy z powrotem, w workach z ludzkiej skóry, do Chryzafiusza.

Rozdział IV

Rzymskie poselstwo

W ten oto sposób opowiadana historia dociera wreszcie do mojej skromnej osoby. Ledwie mogłem uwierzyć w swoje szczęście, gdy wybrano mnie, bym towarzyszył następnemu cesarskiemu poselstwu na dwór Attyli, króla Hunów, do odległego kraju, zwanego przez nich Hunugurią. Życie, które wydawało się pozbawione jakiegokolwiek sensu, nabrało go w ciągu jednego zaledwie dnia!

Miałem dwadzieścia dwa lata i wydawało mi się, że zdążyłem już doświadczyć wszystkich gorzkich rozczarowań, które ofiarowuje nam życie. Moje umiejętności pisarskie i językowe wydawały się mało przydatne, gdy naszemu rodzinnemu interesowi zagroziło bankructwo - straciliśmy przy skalistym brzegu Cypru trzy statki transportujące wino. Jaką wartość ma skryba i kupiec nieposiadający żadnego kapitału? Mój posępny i flegmatyczny brat otrzymał pożądane stanowisko w armii. Miał uczestniczyć w kampanii przeciwko Persji. Brak zainteresowania z mojej strony wojaczką pozbawił mnie podobnej możliwości. Co gorsza, młoda kobieta, która skradła me serce, piękna i cudowna Oliwia, zbyła me awanse niejasnymi tłumaczeniami, które - sprowadzone do sedna - stwierdzały, że perspektywy mojej kariery są zbyt mizerne, jej wdzięki zaś zbyt obfite, by wiązała swą przyszłość z człowiekiem takim jak ja. Gdzież się podziela nieśmiertelna miłość i słodkie odwzajemnianie uczuć? Pozbyto się mnie jak obgryzionych koś ci.

Wyrzucono jak zużyty sandał.

Byłem nie tylko załamany, byłem całkowicie zbity z tropu. Dalecy krewni i najbliższa rodzina od zawsze prawili mi pochlebstwa, mówiąc, że jestem przystojny, bystry i wygadany. Najwidoczniej podobne cechy nie miały dla dzisiejszych kobiet najmniejszego znaczenia. Liczyły się widoki na przyszłość, kariera, że nie wspomnę już o zgromadzonym bogactwie. Gdy zobaczyłem Oliwię w towarzystwie mojego rywala, Decjona, młodziana o tak płytkiej osobowości, że nie można by było w niej zanurzyć pióra, tak obrzydliwie bogatego, iż nie był w stanie, pomimo usilnych starań, roztrwonić swej fortuny, gdyż wciąż pomnażali ją jego najbliżsi, pomyślałem, iż tym razem rany zadane przez ślepy i niesprawiedliwy los mogą okazać się śmiertelne. Do głowy przychodziły mi najróżniejsze sposoby na odebranie sobie życia, zemstę i męczeństwo. Zrobiłbym wszystko, by zmusić Oliwię i cały świat do przyznania się do winy i żałowania za krzywdy, które mi wyrządzili. Użalałem się nad sobą, polerowałem litość nad samym sobą tak długo, aż poczęła świecić jak złoty idol.

Wtedy wezwał mnie ojciec i przekazał dobre nowiny.

„Twe dziwne zainteresowania obcymi językami wreszcie wydały jakiś owoc”, powiedział, nie kryjąc się swego zdziwienia i ulgi. Podchodziłem do nauki w sposób, w jaki mój brat traktował fizyczną tężyznę. Dzięki temu mówiłem po grecku, znałem łacinę, język Germanów i - z pomocą byłego jeńca Rustycjusza, który uczęszczał do tej samej szkoły - mówiłem trochę po huńsku. Lubiłem dziwny, chrapliwy dźwięk twardych spółgłosek i częstych samogłosek tego języka, choć miałem niewiele okazji, by się nim posłużyć. Hunowie nie handlowali, podróżowali rzadko, nie znali pisma. Jedyne wiedza, jaką o nich miałem, pochodziła z plotek i najdziwniejszych opowieści. Byli niczym wielki i tajemniczy cień, sunący gdzieś poza murami miasta. Wielu Bizantyjczyków szeptało między sobą w obawie, iż Attyla może być zapowiadany w przepowiedniach Antychrystem.

Ojciec nigdy nie dostrzegał praktycznej wartości uczenia się barbarzyńskiej mowy. Co oczywiste, Oliwia - i jej rodzina - również nie była zachwycona moimi zainteresowaniami, uważając me niezrozumiałe dla siebie i uczone poszukiwania za bądź co bądź raczej osobliwe zajęcie. Pomimo mego uczucia denerwowało mnie jej nieskrywane znudzenie, gdy opowiadałem o wyprawach Ksenofonta, skrupulatnie opisywałem okresową migrację ptaków lub mówiłem o próbach pogodzenia ruchu gwiazd z polityką i przeznaczeniem. - Jonaszu, wciąż zaprzątasz swe myśli tak głupiutkimi rzeczami! - Teraz, wreszcie, całkowicie niespodziewanie me zdolności mogły się przydać i opłacić.

- Szykują poselstwo na rozmowy z Hunami. Uczony, którego początkowo wybrano na pisarza wyprawy, poważnie się rozchorował - wyjaśnił ojciec. - Twój znajomy, Rustycjusz, słyszał, że brak ci zajęcia i szepnął pochlebne słowo swemu pracodawcy, ministrowi Chryzafiuszowi. Nigdy nie będziesz takim żołnierzem jak twój brat, lecz obaj dobrze wiemy, że lepiej radzisz sobie z listami. Potrzebują skryby i historyka, któremu niestraszne będzie przebywanie poza domem przez kilka miesięcy. Ich wybór padł na ciebie. Wynegocjowałem już odpowiednią zaliczkę. Wystarczy, by wziąć w dzierżawę statek i wskrzesić nasz rodzinny interes.

- Od razu wydajesz moją zapłatę?!

- Zapewniam cię, Jonaszu, że w Hunugurii nie znajdziesz nic w artego kupna.

Za to z pewnością wiele ciekawych rzeczy do zobaczenia i poznania. Ciesz się z okazji i zajmij dla odmiany myśli praktycznymi sprawami. Jeśli dobrze wypełnisz powierzone ci obowiązki i utrzymasz głowę na karku, być może wpadniesz w oko cesarzowi lub głównemu ministrowi. To może być początek wspaniałej kariery, chłopcze.

Myśl o uczestniczeniu w oficjalnej misji pokojowej był a szalenie ekscytująca.

Hunowie wzbudzali we wszystkich ciekawość i strach. - Co mam robić?

- Spisywać to, co widzisz. I schodzić innym z drogi.

Nasza rodzina przeniosła się z Efezu do Konstantynopola sto lat temu. Przez handel, małżeństwa i służbę rządową moi przodkowie z trudem stali się częścią wyższej klasy. Jednakże kapryśna fortuna zawsze przeszkadzała nam w przeskoczeniu o jeden szczebel wyżej. Burza u wybrzeży Cypru była najświeższym przykładem na udowodnienie mych słów. Teraz nadarzała się niepowtarzalna okazja. Miałem być pomocą powszechnie szanowanego senatora i ambasadora Maksymina i podróżować wraz z nim, trzema Hunami i dwoma tłumaczami: Rustycjuszem i człowiekiem, o którym nigdy nie słyszałem, zwanym Bigilasem.

W siódmkę, wraz z niewolnikami i eskortą, mieliśmy dotrzeć do ziem położonych za Dunajem i spotkać się ze wzbudzającym powszechny strach Attylą.

Natychmiast pomyślałem, iż wyprawa zaowocuje opowieściami, którymi zaimponuję mej Oliwii. Dumna i wyniosła dziewczyna spłonie ze wstydu, żalując, że mnie odrzuciła! Pozostałe panny same szukać będą mego towarzystwa! Jeszcze wczoraj moja przyszłość rysowała się w nieciekawych barwach. Dziś obarczony zostałem odpowiedzialnością za utrzymanie światowego pokoju. Tego

wieczoru modliłem się żarliwie o pomyślność wyprawy do wszystkich świętych w kaplicy Najświętszej Marii Panny.

Dwa dni później dołączyłem do reszty poza murami miasta. Dosiadałem mojej siwej klaczy, Diany, sztywnie wyposażony dzięki pośpiesznym zakupom ojca.

Mój miecz wykonano w Syrii, gęsto tkana wełniana peleryna pochodziła z Bitynii, juki były dziełem anatolijskich rzemieślników, papier był z Egiptu, zaś mój tusz i pióra należały do najlepszych w całym Konstantynopolu. Być może będę świadkiem wielkich zdarzeń, powiedział ojciec. Być może napiszę nawet książkę.

Dotarło wtedy do mnie, iż jest ze mnie dumny. Me nieprzyzwyczajone do pochwał

ojca serce radowało się niezmiernie. - Zdobądź dobry statek - powiedziałem. -

Wierzę, że nasze szczęście się zmienia, ojczu.

Jak niewiele wtedy rozumiałem.

Droga, którą podróżowaliśmy, zabrała nas pięćset mil na północny zachód od stolicy, przez przełęcz Succii, z biegiem rzeki Margus, aż do Dunaju. Gdy go przekroczyliśmy, pokonywaliśmy dalsze niezliczone mile na północ, by wreszcie dotrzeć do obozu Attyli. Odwrotną drogę przebyli wcześniej, bo podczas wielkich najazdów w latach 441 i 443, Hunowie. Dobrze wiedziałem, że tereny, przez które przyjdzie nam podróżować, będą zniszczone. Wspomniane najazdy i kolejny, dokonany trochę dalej na wschodzie w roku 447 spustoszyły Trację i Mezję, niszcząc takie miasta jak Viminacium, Singidunum, Sirmium, Ratiaria, Serdica, Filipopol, Arkadiopolis i Marcjanopolis. Mniejsze oddziały przeprowadzały się od tej pory przez graniczną rzekę. Biedne Aksjopolis padło ledwie miesiąc temu.

Jednakże każdej zimy barbarzyńcy wycofywali się jak odpływ, wracając na swoje pastwiska. Konstantynopol nadal stał, Attyla wstrzymał kolejne ataki, gdy obiecano mu większą daninę. Wciąż tliła się nadzieja na odbudowę, gdyby udało się zapewnić trwałą pokój. I czemuż by nie? W przygranicznych prowincjach, łatwych do złupienia, nie było już czego łupić. Straty Hunów porównywalne były do strat Rzymian. Nasze poselstwo mogło położyć kres szaleństwu wojny.

Zgłosiłem się do willi, w której zbierała się grupa - Rzymianie spali pod dachem, Hunowie pod gołym niebem, jak bydło. Wpierw zastanawiałem się, czy odmowa spania wewnątrz willi nie jest rozmyślną obrazą lub też niezręcznym przeoczeniem, lecz huńscy posłowie - wyjaśnił mi Rustycjusz, gdy się z nim przywitałem - gardzili wygodami. - Uważają, że psują i szkodzą. Obozowali przy rzece, w której oczywiście się nie wykąпали ze strachu przed wodą.

Po raz pierwszy zetknąłem się wtedy z ich dziwnymi wierzeniami i przesadami. Wychyliłem się zza rogu budynku, by rzucić na nich okiem, lecz zobaczyłem tylko dym ogniska. Ich trzymanie się na uboczu było niepokojące. -

Dziwny sposób na rozpoczęcie współpracy - powiedziałem.

- Niedługo i ty, i ja będziemy spali na ziemi razem z nimi.

Sądzę, że ich nieobecność jak najbardziej do nich pasowała. Liczyłem na wymarsz w pełnej glorii - mógłbym zyskać uznanie w oczach rówieśników - lecz poselstwo wyruszyło bez rozgłosu. Nasza misja była poufna. Chryzafiusz nie był

popularny wśród ludu, z pewnością cię nie chciał ściągać na siebie uwagi kolejnymi pertraktacjami z Attylą. Lepiej i bezpieczniej było poczekać, aż poselstwo odniesie jakiś sukces.

Wszedłem do willi, by spotkać się z ambasadorem. Maksyminus, poseł cesarza, przeglądał na dziedzińcu listę zapasów. Nieosłoniętą niczym głowę wystawił na promienie słoneczne, co jakiś czas odrywał wzrok od papierów, by popatrzeć na ptaki przelatujące między krzakami róży. Należał do rzadkiej grupy ludzi, którzy zdawali się wyżsi, niż byli w rzeczywistości. Jego wciąż gęste, siwe, wręcz białe włosy i broda, przeszywające spojrzenie czarnych oczu, wyraziste kości policzkowe i grecki nos sprawiały, iż wyglądem przypominał marmurowe popiersie, w które tchnięto życie. Urodę zewnętrzną łączył z dbałością, ostrożnością i powagą dyplomaty. Głos miał głęboki i donośny. Gdy znajdzie się tysiąc mil od Konstantynopola, jedynie jego zachowanie i postawa będą świadczyć o potędze Wschodniego Cesarstwa Rzymskiego. Z czego oczywiście zdawał sobie sprawę. Powiedział mi kiedyś, że skuteczny dyplomata musi być jednocześnie przekonującym aktorem. Maksyminus miał jednak reputację zdolnego, choć wyniosłego, a także inteligentnego, aczkolwiek posiadającego odpowiednie koneksje. Witał się, zawsze zachowując nienaganne maniery, nie okazywał

udawanej przyjacielskości, nie wymuszał na sobie serdeczności dla innych. - A tak, Jonasz Alabanda. Nasz nowy historyk.

- Kronikarz, sekretarz, co najwyżej. - Skłoniłem się skromnie. - Nie śmiałybym konkurować z Liwuszem i Tuczdydesem. - Ojciec zawsze przestrzegał mnie przed przesadnym i nieuzasadnionym imponowaniem innym.

- Rozsądna skromność. Dobrze napisana historia jest w równym stopniu spisaniem faktów, co i wydawaniem opinii, a na to jesteś jeszcze za młody, chłopcze. Z drugiej strony sukces misji zależy często nie tylko od tego, co udało się jej osiągnąć, lecz także od tego, w jaki sposób została opisana. Czy mogę liczyć na to, że będziesz sprawiedliwy?

- Jestem oddany tobie, ambasadorze, i cesarzowi. Mój los zależy od sukcesu tej misji.

Maksyminus uśmiechnął się ciepło. - Dobra odpowiedź. Być może posiadasz ukryty talent do dyplomacji. Zobaczmy. Przed nami, bez dwóch zdań, trudne zadanie. Musimy wspierać się wzajemnie tak mocno, jak tylko zdołamy. Żyjemy w niebezpiecznych czasach.

- Mam nadzieję, że nie aż w tak niebezpiecznych - spróbowałem żartować.

- Żyłeś za murami Konstantynopola, bezpieczny, niczego ci nie brakowało.

Teraz doświadczysz życia poza nimi. Zobaczysz rzeczy, które cię zszokują.

Hunowie są dzielnym, okrutnym i nieprzewidywalnym ludem - sprytni jak lisy, dzicy jak wilki. A

znaki ostatnich lat, jak dobrze wiesz, nie skłaniają do optymizmu.

- O jakich znakach mówisz?

- Przypominasz sobie morderczą zimę sprzed siedmiu lat? Powodzie sprzed lat sześciu, zamieszki w mieście pięć lat temu, zarazę cztery i trzęsienie ziemi sprzed trzech lat? Bóg stara się nam coś powiedzieć. Pytanie brzmi: co?

- Rzeczywiście, ostatnie lata nie należały do najszcześniejszych. - Jak wszyscy słyszałem o domysłach księży i proroków - łańcuch nieszczęśliwych wydarzeń zapowiadać miał biblijny koniec świata. Wielu wierzyło, że Armagedon, którego nadejścia Kościół wciąż wyczekiwał, w końcu zajaśniał na horyzoncie, że Hunowie są uosobieniem Goga - i Magoga. Podczas gdy mój twardogłowy ojciec szydził z podobnych obaw, uważając je za przesądny nonsens - „Im pospolitszy człowiek, tym pewniejsze, że czasy, w których przyszło mu żyć, będzie uważał za koniec historii”, zwykł mawiać - ciągle najazdy sprawiły, że mieszkańcy Konstantynopola przeczuwali nadejście czegoś złego. Nikt nie pozostawał obojętny.

- Wszystkie te nieszczęścia łączą się ze zwycięstwami Attyli: rosnące trybuty, utrata Kartaginy na rzecz Wandalów, fiasko sycylijskiej wyprawy, która miała ją odzyskać, spory z Persją i odmowa zachodniego cesarza, by przyjść nam z pomocą. Gdy Marcjanopolis płonęło, sławny generał Flawiusz Aecjusz wołał

siedzieć w Rzymie, niż ruszyć na pomoc Mezji. Tyle warte są obietnice Walentyniana, cesarza Zachodu!

- Wszak naprawiono szkody wyrządzone przez trzęsienie ziemi - zauważyłem z typowym dla mego młodego wieku optymizmem. - Hunowie się cofają...

- Hunowie znają nasze słabości lepiej niż każda inna nacja. I z tego właśnie powodu ani ty, ani ja nie możemy nigdy tej słabości przed nimi okazać. Czy rozumiesz, o czym mówię, Jonaszu?

Przełknąłem ślinę i wyprostowałem się. - Reprezentujemy nasz lud.

- Dokładnie! Nie przybywamy z siłą, lecz z rozumem i umiejętnością manipulowania ludźmi prostszymi niż my. To nasz oręż. Słyszałem, że Attyla ślepo wierzy w przepowiednie, astrologię, znaki, magię. Twierdzi, iż znalazł

ogromny miecz należący do boga wojny. Sądzi, że nikt go nie pokona, póki ktoś go nie przekona do zmiany zdania. Naszym zadaniem - bez użycia siły i jakichkolwiek narzędzi - jest przekonanie go o tym.

- Lecz w jaki sposób?

- Przypominając mu, od jak dawna Rzym i Nowa Roma zwyciężały.

Wymieniając wszystkich wodzów i władców, których armię rozbiły się jak fale o rzymskie skały. Nie będzie to łatwe. Słyszałem, że wie o wizji Romulusa, a taka rzecz może napełnić serca

przesądnych barbarzyńców odwagą.

- Obawiam się, że nie przypominam sobie żadnej wizji Romulusa. - Nie znałem dobrze legend Zachodniego Cesarstwa.

- Pogańskie brednie. Mimo to podejrzewam, że Attyła jest wystarczająco przebiegły, by wyzyskać je na swoją korzyść. Legenda głosi, że Romulus, założyciel Rzymu miał sen, w którym zobaczył dwanaście sępów krążących nad miastem. Wróżbici od dawna utrzymywali, że każdy ptak - symbolizuje jeden wiek, i że upadek Rzymu nastąpi po zakończeniu ostatniego stulecia.

- Tysiąc dwieście lat? Ależ...

- Dokładnie. Jeśli historycy prawidłowo określili datę założenia Rzymu, proroctwo wieszczu jego kres za trzy lata.

Dziwna grupa ludzi wyruszyła na spotkanie z Attyłą. Maksyminusza zdążyłem już opisać. Rustycjusz był bardziej znajomym niżli przyjacielem, szczerym i dobrze każdemu życzącym człowiekiem, który przywitał mnie ciepło. Dobiegał

trzydziestki, owdowiał przez zarazę i podobnie jak ja uważał tę misję za nieprzytrafiającą się codziennie okazję na awans. Hunowie pojмали go podczas jednej z misji handlowych, gdy wyruszył z rodzinnej Italii. Z niewoli wykupili go krewni mieszkający w Konstantynopolu. W szkole dzielił się opowieściami o swoim życiu na Zachodzie. Z ludzi biorących udział w poselstwie był mi najbliższy, ponadto czułem, iż mam u niego dług wdzięczności za pomoc, dlatego też od razu zgodziłem się dzielić namiot. Rustycjusz nie był szczególnie szybki, nie odznaczał się również zdolnościami przywódczymi, za to nie opuszczał go nigdy dobry humor. Spokojnie zaakceptował nową sytuację. - Gdybym nie dostał

się do niewoli, nie nauczyłbym się mówić po huńsku. Gdybym nie znał huńskiego, nie znalazłbym się w tym poselstwie i nie poznałbym ciebie. Któż więc prócz Boga ma prawo mówić, że coś jest dobre lub złe?

W trakcie podróży miał stać się moim najbliższym przyjacielem, skromnym i niezawodnym.

Drugiego tłumacza nie znałem w ogóle. Trzymał się na uboczu, choć wydawało mi się, iż robi to nie z powodu nieśmiałości, lecz z poczucia własnej ważności. Był starszym ode mnie, niższym i raczej tłustawym Rzymianinem o imieniu Bigilas. Pierwszy mówił, niechętnie słuchał, jego maniery miały w sobie coś z nieszczerego zachowania kupca handlującego dywanami. Jego też porwali kiedyś Hunowie. Choć nie upoważniała go do tego jego pozycja, nosił się z dziwnym poczuciem własnej wartości. Czyżby nie znał swego miejsca w otaczającym go świecie? Do huńskiego wodza Edekona zwracał się poufale, jakby byli starymi druhami, jakby łączyła ich jakaś tajemnicza zażyłość. Nie wiedziałem, czemu Hun tolerował takie zachowanie i nie próbował pokazać tłumaczowi właściwego mu miejsca. Denerwował mnie, on zaś dla odmiany ignorował mnie zupełnie, chyba że chciał udzielić mi rady na temat tego, co powinienem jeść bądź

w co się ubrać. Uznałem, iż jest jednym z tych ludzi, których myśli ciągle zaprzęta własna osoba,

dlatego nie są zdolni do odczuwania jakiegokolwiek empatii. Ze złośliwą satysfakcją zauważyłem jego upodobanie do winnego grona. Gdy zobaczyłem go pijącego, od razu pomyślałem, że jest chodzącymi kłopotami.

Hunowie, gdy wreszcie ich poznałem, okazali się najzwyczajniej w świecie arogancy. Jasno dali do zrozumienia, że według nich wartość człowieka mierzona jest jego przydatnością w czasach wojny i że każdy Hun jest z tego powodu wart dziesięciu Rzymian. Edekon był dumnym, szorstkim i protekcyjnym człowiekiem. - W czasie, jakiego Rzymianin potrzebuje na spakowanie do drogi muła, koń i osioł zdążyłyby spłodzić kolejnego - odburknął rankiem, gdy wyruszaliśmy.

Oneges był bardziej „miejski”, najprawdopodobniej z powodu swego pochodzenia. Nie pozostawiał jednak żadnych wątpliwości, iż uważa, że dobrze wybrał, przedkładając świat barbarzyńców nad świat rzymski. Pojmany w walce, szybko przystał do Hunów. Jego wybór mnie zadziwił. Wyjaśnił, że obecnie ma wyższy status i jest bogatszy niż kiedykolwiek. Prócz nauki, której mu brakowało, przedkładał nad dach gołe niebo. - W cesarstwie wszystko zależy od urodzenia lub protekcji. Czyż mówię nieprawdę? W Hunugurii zaś od zdolności i wierności.

Wolę być wolnym na równinach niż niewolnikiem w pałacu.

- Przecież nie byłeś niewolnikiem.

- Oczekiwań? Niespełnionych marzeń? Każdy jest. W Rzymie, Konstantynopolu. Poza tym nie miałem bogatych krewnych, którzy mogliby mnie wykupić; jedynie własny rozum i umiejętności. W rzymskiej armii ignorowano mnie i pomijano. W Hunugurii słucha się mojego zdania!

Najbardziej działający na nerwy był najmłodszy Hun, wojownik zwany Skyllą, jedynie kilka lat starszy ode mnie. Miał bezsprzecznie najniższą rangę pośród nas wszystkich, mimo to uosabiał doskonale huńską butę. Szukałem go w dniu, w którym dołączyłem do poselstwa, i znalazłem siedzącego w kucki przy ognisku, robiącego nowe strzały. Nawet nie raczył oderwać się od swego zajęcia i spojrzeć na mnie. Spróbowałem formalnego i prostego przywitania: - Dobry dzień dla ciebie, towarzyszu podróży. Jestem Jonasz, sekretarz senatora.

Skylla wciąż nie przerywał pracy. - Wiem, kim jesteś. Tym młodzianem, który towarzyszy siwobrodemu.

- Tak jak ty towarzyszysz swemu wujowi. W moim przypadku wynika to z moich umiejętności obchodzenia się z listami i ze znajomości waszego języka.

- Jak nauczyłeś się huńskiego?

- Lubię obce języki. Rustycjusz nauczył mnie waszego.

- Niedługo cały świat będzie mówił słowami Ludzi Świtu.

Był bardzo pewny siebie. - Lub też będziemy żyć obok siebie w pokoju, jak dobrzy sąsiedzi, mówiąc wspólnie po łacinie, grece i po huńsku. Czyż nie taki jest właśnie cel naszego poselstwa?

Skylla przytknął do oczu strzałę, sprawdzając, czy jest dobrze wykonana. - Czy znasz tylko nasz język? - Wydawało mi się, że jego pytanie miało jakieś niezrozumiałe dla mnie, podwójne znaczenie. Nie wiedziałem jednakże jakie.

- Jestem biegły w wielu rzeczach, chociażby takich jak klasyczna literatura i filozofia - odpowiedziałem ostrożnie.

Hun na chwilę oderwał się od pracy i popatrzył w górę, bacznie studiując mą twarz, po czym wrócił do swej strzały, jakbym wyjawiał więcej, niż powinienem. -

Lecz nie wjeździe na koniu i we władaniu mieczem.

Zaczynał działać mi na nerwy. - Ćwiczyłem z bronią i wierzchowcem, ale uczyłem się o wiele ważniejszych rzeczy. Znam dobrze muzykę i poezję.

- Bez użytku w walce.

- Lecz pomocne w miłości. - Mogłem się założyć o jakąkolwiek sumę, że spółkują tak jak jedzą - pośpiesznie, niedbale i z głośnym beknięciem na koniec. -

Czy Hunowie słyszeli o miłości?

- Hunowie słyszeli o kobietach, Rzymianinie, a ja zdobyłem już jedną bez pomocy muzyki i poezji.

- Poślubiłeś ją?

- Jeszcze nie, ale Attyla obiecał, że będzie moja. - Skończył przywiązywać do strzały lotkę wykonaną z piór dzikiego ptactwa i pozwolił sobie na uśmiech. -

Muszę tylko oduczyć ją drapania.

- Z twych słów wnioskuję, że potrzebujesz raczej liry i książki niż łuku i strzały.

- Hunom książki są potrzebne do podcierania tyłków.

- Ponieważ nie umiecie czytać i nie macie żadnych wartych spisania myśli. -

Wiedziałem, że nie była to zbyt dyplomatyczna replika, lecz upór i ignorancja Skylli były przerażające.

- Jednak to wy, Rzymianie, płacicie Hunom trybut. Nie odwrotnie.

Bolesna prawda. Nie wiedziałem, w jaki sposób naszemu poselstwu może udać się to zmienić. Odszedłem, zastanawiając się, co też możemy osiągnąć.

Rozdział V

Zakład

Wyruszyliśmy wierzchem. Niewolnicy i muły zwiększyły naszą liczbę do piętnastu osób i trzydziestu zwierząt. Nasze poselstwo należało uznać za nad wyraz skromne, zważywszy na cesarskie błogosławieństwo, które otrzymało, choć z drugiej strony miało przecież zanadto nie rzucać się w oczy. Obozowaliśmy z konieczności; rzymski system *mansionis*, czyli zajazdów oddalonych od siebie o dwadzieścia mil, przestał istnieć po zniszczeniach ostatnich wojen i najazdów.

Musieliśmy narzucić własne, ambitne tempo podróży, przebywając dziennie około dwudziestu pięciu mil. Hunowie, jadąc sami, przebyliby rzecz jasna większy dystans, jednak nasza obciążona bagażami, podarkami i prowiantem wyprawa nie mogła poruszać się szybciej.

- Podróżujecie tak wolno, że potrzeba wam coraz więcej i więcej jedzenia. Co spowalnia was jeszcze bardziej i musicie uzupełniać zapasy. To chore -

zawyrokował Edekon.

- Moglibyśmy zostawić podarki - powiedział łagodnie Maksyminus.

- Nie, nie. To nie będzie konieczne - wymamrotał w odpowiedzi Hun. -

Pojedziemy jak Rzymianie. Przynajmniej porządnie się wyśpię.

Była późna wiosna, popołudnia gorące, a ranki chłodne. Lasy i łąki Tracji były zielone i pełne kwiatów. Tutaj, blisko Konstantynopola, ludzie wrócili do swych domostw po przejściu wszystkich armii. Okolice zachowały przynajmniej pozory normalności. Bydło się pasło, woły orały ziemię, zboże dojrzało do żniw. Czasem przejeżdżaliśmy przez rozbiegające się na strony stada owiec lub gęgających głośno gęsi. Gdy znaleźliśmy się dalej na północnym zachodzie, Maksyminus ostrzegł mnie, iż skutki huńskich najazdów staną się bardziej widoczne. - Kraj będzie coraz bardziej dziki. Niedźwiedzie i wilki wróciły do dolin, w których nie widziano ich od pokoleń. Nie wspominając już o dziwniejszych rzeczach. Żyjemy w złych czasach.

- Chciałbym na własne oczy zobaczyć dzikiego niedźwiedzia. Do tej pory widziałem jedynie skute łańcuchami na arenie.

- Ja chciałbym doczekać pokoju i zobaczyć, jak na te ziemie wracają rolnicy.

W swoich podróżach dotarłem najdalej do Aten, w dodatku statkiem, więc tego typu ekspedycja była dla mnie czymś nowym i zupełnie nieznanym. Nie nawykłem do spania w namiocie, bycia wystawionym na bezpośrodkowe działanie pogody, podróżowania wierzchem tak długo bez żadnego odpoczynku. W pierwszych dniach moje uda i pośladki płonęły żywym ogniem i gdy po stoicku próbowałem ukryć swój ból, nie udawało mi się zwinąć nikogo. Mimo to miałem dziwne i rzadkie poczucie niemalże absolutnej wolności. Przez większość swego życia dni miałem starannie zaplanowane i wypełnione zajęciami, zaś przyszłość obmyśloną do najmniejszego szczegółu. Teraz przyszłość była otwarta jak niebo, pod którym jechaliśmy, i horyzont, do którego zmierzaliśmy.

Gdy dające poczucie bezpieczeństwa mury Konstantynopola zostały daleko za naszymi plecami, zacząłem uważniej przyglądać się młodemu Hunowi, który ze mnie kpił. Skylla jeździł konno niczym centaur, jakby ze swym wierzchowcem, gniadym wałachem, stanowił jedność. Jego siodło wykonane było z drewna i skóry zmiękzonej owczym tłuszczem. Łuk, jak łuki wszystkich Hunów, był

połączeniem drewna, ścięgien i kości. Jego konstrukcję utrzymywano w ścisłej tajemnicy. Wygięty był do tyłu na obu końcach i gdy Hun napinał cięciwę, była to najstraszliwsza broń, jaką znał świat. Zwano go łukiem refleksyjnym z powodu dodatkowej siły, jaką dawały wygięcia. Był na tyle mały, iż można było z niego strzelać, dosiadając konia, a jednocześnie niesłychanie precyzyjny. Strzały dolatywały na odległość trzystu kroków i mogły bez problemu uśmiercić każdego ze stu pięćdziesięciu. Łuk Skylli spoczywał zawieszony przy siodle po prawej stronie, zaraz obok bata, którym Hun okładał boki konia, gdy chciał go zmusić do większego wysiłku. Miecz wraz z pochwą zwisał po lewej stronie, tak by moż na go było dobyć prawą ręką. Kołczan mieszczący dwadzieścia strzał zawieszony był

na plecach. Do siodła przymocowany był również arkan używany przez barbarzyńców do chwytania dzikiego lub zbiegłego bydła i do unieruchamiania wrogów, którzy później stawali się niewolnikami. W przeciwieństwie do zbroi Edekona - kupionej bądź też skradzionej - Skylla nosił lekki azjatycki pancerz wykonany z kości i odciętych kopyt zdechłych koni. Kości miały kształt łusek i ułożone były warstwami niczym skóra smoka lub łuski ryby. Choć lekka i słabo chroniąca w porównaniu z rzymską zbroją lub pancerzem, była jednak bardziej przyjazna dla noszącego ją wojownika - nie pocił się pod nią tak bardzo. Lekkie skórzane buty naciągnięte były na spodnie, zaś stożkową, wełnianą czapkę zakładał chłodnymi wieczorami, gdy rozbijaliśmy obozowisko. Za dnia jego głowa była najczęściej odkryta. Długie, czarne włosy wiązał na plecach w kuc, tak jak ogon swojego konia. Był ogolony, a jego twarzy nie znaczyły jeszcze rytualne blizny. Prawdę rzekłszy, jego postawa i aparycja były niewątpliwie miłe oku -

miął wyraźnie zarysowane kości policzkowe i błyszczące jak rzeczne kamienie czarne oczy. Jego odzienie nie było typowe, gdyż, jeśli mówimy o Hunach, coś takiego jak typowe dla nich ubranie w ogóle nie istniało. Onegesz na przykład łączył w swym stroju ubrania rzymskie i huńskie skóry, zaś Edekon wyglądał jak nieudane połączenie wielu kultur. Moja broń spakowana była w jukach. Wziąłem ze sobą pełną zbroję, którą przywdziewałem w trakcie podstawowego szkolenia wojskowego obowiązkowego dla każdego mężczyzny mego stanu. Ponadto miałem ze sobą nowy miecz i tylko jego pozostawiłem przy swoim boku. Reszta uzbrojenia była zbyt ciężka jak na pokojową misję, dlatego załadowałem ją na osła. Moja klacz, Diana, miała na swym grzbiecie rzymskie siodło, które zapożyczyło wiele ze swego huńskiego odpowiednika. Krawędzie z przodu i z tyłu unosiły się ku górze, utrzymując mnie w jednej pozycji, podczas gdy nogi zwisały swobodnie. Nosilem wełnianą tunikę z żółtymi i niebieskimi wzorami, którą kupiłem na forum Filadelfiona, wytrzymałe jeździeckie spodnie i piękny skórzany pendent nabity złotymi monetami, na którym zawieszałem miecz i sztylet o rękojeści wykonanej z kości słoniowej. Filcowa czapka osłaniała mnie częściowo przed słońcem, pelerynę zaś zwinąłem i przywiązałem do siodła.

Byłem mniej więcej podobnego wzrostu i podobnej postury, co Skylla. Moja śniada od greckiego słońca cera nie mogła się jednak mierzyć ze smagłością jego skóry. Jadąc wierzchem, kołysałem się w siodle niepewnie. Jedyne pocieszenie czerpałem ze świadomości, iż Hun nie wiedziałby, co ze

sobą począc, gdyby zaprowadzono go do biblioteki.

Pierwsza część podróży minęła bez przeszkód. Ustaliliśmy tempo, poznawaliśmy własne przyzwyczajenia. Obóz rozbijaliśmy wczesnym wieczorem -

Rzymianie rozbijali namioty, Hunowie kładli się spać pod gołym niebem. Noce wydawały mi się niezwykle ciemne - przyzwyczajony byłem do życia w mieście -

a ziemia wilgotna i twarda, gdy kładłem się na niej do snu. Często budziły mnie odgłosy nocy, potykałem się, wychodząc za potrzebą. Gdy pierwszej nocy wyszedłem ze swojego namiotu, zobaczyłem, że Hunowie owinęli się po prostu swymi płaszczami i spali oparci głowami o drewniane siodła. Za poduszki służyły im te same koce, które kładli pod siodła śmierdzących koni. Spod każdego koca wystawała rękojeść miecza, zaś w pobliżu ramienia spoczywały łuk i strzały, ułożone równie starannie, co głowa. Gdy przechodziłem obok Edekona, ten zerwał

się nagle, lecz poznawszy mnie, znów zapadł w sen.

- Co robią, gdy pada? - wyszeptałem do Rustycjusza, kładąc się ponownie u jego boku.

- Mokną razem ze swymi końmi.

Każdego ranka ruszaliśmy w dalszą drogę. Budziłem się zmęczony po nieprzespanej nocy, bolało mnie całe ciało. W ten oto sposób zaczynaliśmy codzienny rytm podróży wyznaczany cogodzinnymi postojami, południowymi posiłkami i obozami rozbijanymi przed zmierzchem - mila za milą, za milą. W

nieskończoność.

Czasem Skylli nudziła się ta rutyna i galopował do przodu dla własnej rozrywki. Zataczał koło i szarżował na nas z pobliskiego wzgórza, wznosząc bojowe okrzyki. Innym razem zostawał w tyle, by nas obserwować. Wreszcie spojrzał na mnie wyzywająco, wyraźnie szukając zaczepki.

- Dosiadasz klaczy - powiedział. Cóż za spostrzegawczość. - Tak.

- Żaden Hun by tego nie zrobił.

- Czemu? Twój koń to wałach. Zachowują się podobnie. Kastracja ogierów jest konieczna dla prawidłowego rozwoju stada.

- Mylisz się, nie są identyczne. Klacze nadają się tylko do dojenia.

Słyszałem o napoju ze sfermentowanego mleka, który Hunowie pili jak wino, czułem też jego zapach, gdy to robili. Nazywali je kumysem. Podo bno była to okropna i nienadająca się do spożycia ciecz, równie zjełczała i śmierdząca, jak ich ubranie. - Do tego służą nam krowy i kozy. Klacze są równie odporne, co wałachy. W dodatku mają lepszy charakter.

Skylla popatrzył krytycznie na Dianę. - Twój koń jest duży, ale obrośnięty tłuszczem. Zupełnie jak

kobieta. Wszystkie rzymskie konie są tłuste.

Wszystkie konie tak wyglądały, gdy porównało się je z wierzchowcami Hunów -

pomyślałem - na wpół zagłodzonymi, bez należytego odpoczynku i bez odpowiedniej ilości paszy. - Jest po prostu umięśniona. Pochodzi z północnej Afryki i ma domieszkę krwi arabskiej. Gdyby stać mnie było na pełnokrwistego Araba, jedyne, co byś zobaczył w trakcie tej podróży, to jego ogon. - Nadszedł

czas, by odwzajemnić zniewagę. - Za to twój stepowy konik rozmiarami odpowiedni jest dla małego chłopca i wystarczająco kościsty, by zajął się nim rzeźnik.

- Na imię ma Drilka, co w naszym języku znaczy włócznia. Nie zapominaj, że to nasze kuce uczyniły nas panami - uśmiechnął się szeroko. - Chcesz się ścigać, Rzymianinie?

Zastanawiałem się chwilę. Przynajmniej oderwałbym się od monotonii podróży. Byłem pewny Diany, ponadto nie nosiłem ciężkiej broni. - Do następnego kamienia milowego?

- Do kolejnego miejsca postoju. Edekonie! Jak daleko do następnego obozowiska?

Starszy Hun jadący obok chrząknął. - Wciąż około pół tuzina mil.

- Co ty na to, Rzymianinie? Twój koń niesie mniejszy ciężar niż mój.

Sprawdźmy, czy ta klacz potrafi dotrzymać kroku mojemu kucowi.

Oceniłem wzrokiem małego, kudłatego konia barbarzyńcy. - O złotego solida?

Hun krzyknął zadowolony. - Zgoda! - Bez ostrzeżenia kopnął boki konia i popędził drogą.

Zaczął się wyścig.

Krzyknąłem na konia i ruszyłem w pościg. Nadszedł czas, by pokazać młodemu Hunowi jego miejsce. Krok Diany był dłuższy. Powiniennem dogonić i minąć Skyllę bez najmniejszego trudu.

Jednak nawet wtedy, gdy poselstwo zostawiliśmy daleko w tyle, Hun pozostawał z przodu. Po krótkim galopie koń barbarzyńcy przeszedł w cwał.

Skylla pochylał się w siodle, jego włosy powiewały niby chorągiew na wietrze.

Zmusiłem Dianę do odpowiedniego dla niej tempa, by oszczędzać jej siły. Koń Huna pokonywał dystans z godną pozazdroszczenia sprawnością, której zdecydowanie brakowało mojej klaczy. Drilka utrzymywał stałą przewagę.

Przejechaliśmy milę, dwie, trzy. Pędziliśmy obok wozów, kurierów, włóczęgów i pielgrzymów. Przyglądali się nam z niedowierzaniem - Hun i Rzymianin jadący ramię w ramię. Niecodzienny widok.

Wjechaliśmy w zagajnik rosnący wzdłuż brzegu rzeki. Droga skręcała pomiędzy drzewami i co chwila traciłem z oczu Skyllę. Słyszałem, jak Drilka przechodzi w galop, by powiększyć przewagę. Coraz bardziej zdenerwowany zrobiłem to samo, galopując pomiędzy topolami i bukami. Jednak gdy wyjechałem z lasu, nie zobaczyłem przed sobą pleców Huna. Zdążył już pokonać wznoszącą się przede mną górkę.

Zły kopnąłem boki Diany, nie dając jej wytchnienia. Nie chciałem, by pokonano Rzym! Pędziliśmy, wzbijając w powietrze tumany kurzu, żwir strzelał

spod kopyt i po kolejnej mili znów zobaczyłem Skyllę. Jego koń znowu biegł

wolniej, doganiałem go. Odgłos kopyt zmusił Huna do obejrzenia się za siebie.

Kuc wciąż cwałował, gdy Diana wyszła na prowadzenie o długość piersi... I wtedy Skylla wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. Kopnął boki konia. Jechaliśmy łeb w łeb, nasze wierzchowce galopowały po starej drodze. Czuję, że Diana słabnie. Nie chciałem zrobić jej krzywdy, zwolniłem tempo. Kurz wzbijany przez kopyta Drilki sypał się na moją głowę. Jego związany ogon szydził ze mnie.

Pokonany!

Zwolniłem i posępny poklepałem grzbiet klaczy. - Nie twoja wina, dziewczynko. Twojego jeźdźca.

Przy małym strumyku, gdzie mieliśmy obozować, Skylla wylegiwał się w trawie.

- Mówiłem ci, że nadaje się tylko do jednego.

Drilka też był zmęczony. Stał ze spuszczonego łbem. Wiedziałem, że Hunowie w czasie wojny zmieniają wierzchowce. Każdy wojownik, gdy wyruszał na wyprawę, zabierał ze sobą od czterech do pięciu koni. Teraz, gdy Hun miał tylko jednego wierzchowca, jego brak wytrzymałości był bardziej widoczny.

- Moja klacz jest bardziej wytrzymała.

- Czyżby? Myślę, że tęskni za stajnią. Drilka czuje się tu, pod gołym niebem, jak w domu, jedząc cokolwiek, niosąc mnie gdziekolwiek na swym grzbiecie.

Rzuciłem mu solida. - Więc ścigaj się jutro ze mną raz jeszcze. Tym razem o dwa.

Skylla złapał złotą monetę. - Zgoda! Może, jeśli twoja sakiewka straci na wadze, będziesz w stanie jechać szybciej. Do tego czasu uzbieram wystarczającą ilość złota, by móc się ożenić.

- Z kobietą, która cię drapie.

Wzruszył ramionami. - Gdy wrócę z Konstantynopola, zastanowi się dwa razy, nim znów to zrobi. Przywożę najróżniejsze podarki! Na imię ma Ilana i jest najpiękniejszą kobietą w całym obozie Attyli. Uratowałem jej życie.

Tej nocy oporządziłem konia, sprawdziłem podkowy i poszedłem do juków po owies, który spakowałem w Konstantynopolu. - Hun nie może nakarmić swego konia, skoro sam nic nie uprawia - szeptałem do ucha Diany, gdy jadł a. - Drilka nie może korzystać z sił, których zapasu nie posiada.

Skylla chełpił się dzisiejszym zwycięstwem przed wszystkimi siedzącymi przy ognisku. - Jutro obiecał mi dwie złote monety! Gdy dotrzemy do Attyli, będę bogaczem!

- Dzisiaj ścigaliśmy się według twoich zasad - powiedziałem. - Jutro zrobimy to według moich. Nie sprint, lecz wyścig sprawdzający wytrzymałość.

- Zakład godny głupca, Rzymianinie. Hun potrafi przebyć w ciągu dnia nawet sto mil.

- W swoim kraju, być może. Sprawdźmy, czy uda mu się to w moim.

Wyruszyliśmy razem o świcie. Reszta zrobiła między sobą zakłady, dopingując nas, gdy odjeżdżaliśmy, i żartując z głupoty młodych ludzi. Rodopy wznosiły się po naszej lewej stronie, zaś Filipopol leżał przed nami. Tam po raz pierwszy zobaczyłem na własne oczy zniszczenia, jakie nieśli ze sobą Hunowie.

Przemknęliśmy przez zrujnowane miasto rankiem. Skylla ledwie się mu przyjrzał, mnie oszołomiły rozmiary strat. Trawa rosła na ulicach, jedynie kilku księży i pasterzy mieszkało wciąż w pobliżu kościoła, który nie wiedzieć czemu, barbarzyńcy oszczędzili. Otaczające miasto pola pełne były chwastów, nieliczni pozostający w okolicy wieśniacy wyglądali ze swych chat niczym małe lisy z nory.

Musiałem pokonać Huna, który był przyczyną tego wszystkiego.

Droga przecinała rzekę Hebrus łukowym, kamiennym mostem, pobieżnie naprawionym przez okolicznych ludzi. Stała się bardziej wyboista, biegła stokiem wzdłuż koryta rzeki. Teren wznosił się, a wraz z nim rosła moja pewność siebie.

Wciąż pozostawaliśmy w bliskiej od siebie odległości. Czasem Skylla wypuszczał

się do przodu, czasem wyprzedzał go mój wierzchowiec. Ani ja, ani Hun nie zrobiliśmy postoju na posiłek, jedząc w siodle. Wczesnym popołudniem ponownie przekroczyliśmy rzekę, droga wznosiła się stromo w górę aż do przełęczy Succii.

Skylla zaklął głośno.

Mniejszy kuc mógł utrzymać lekkie tempo na płaskim terenie. Na stoku jego krok stał się mniej równy - mięśnie i płuca zaczął męczyć wysiłek. Moja klacz była większa, jej płuca zapewniały rezerwy powietrza, a owies, który rym ją nakarmiłem, zapasy energii. Drilka zwolnił jeszcze bardziej, gdy stracił z oczu Dianę.

Słońce zachodziło za pasmem błękitnych gór, gdy ściągnąłem cugle na szczycie przełęczy. Poselstwo z pewnością nie dotrze tu dzisiaj. Jeśli zaczekam na nich na przełęczy, niechybnie zmrozi mnie w nocy górskie powietrze. Nie dbałem jednak o to. Wygrałem, bo jechałem mądrzej i rozważniej.

Skylla dołączył do mnie o zmierzchu, równie przygnębiony porażką, co uszczęśliwiony wczorajszym zwycięstwem. - Pokonałbym cię, gdyby nie góry.

- Gdyby nie morze, doszedłbym do Aten, nie zamoczywszy stopy. -

Wyciągnąłem w jego kierunku dłoń. - Dwa solidy, Hunie. Teraz ty musisz zapłacić mi daninę.

Moje słowa były tak śmiałe, że Skylla wahał się przez chwilę. Hunowie mieli jednak własne poczucie uczciwości i ono właśnie zmusiło go do uhonorowania długu. Z wyraźną niechęcią podał mi monety. - Jeszcze raz jutro?

- Nie. Zbyt oddalilibyśmy się od reszty. Zajeżdżilibyśmy nasze konie na śmierć. - Odrzuciłem mu jedną monetę. - Każdy z nas wygrał jeden wyścig.

Wyrównaliśmy rachunki. - Wydawało mi się to wystarczająco dyplomatycznym wyjściem z sytuacji.

Hun przez moment przyglądał się monecie, speszony moim gestem, po czym zamachnął się i cisnął solida w otaczające nas ciemności.

- To był dobry wyścig, Rzymianinie. - Spróbował się uśmiechnąć, lecz na jego twarzy pojawił się jedynie grymas. - Być może kiedyś będziemy się ścigać naprawdę, a wtedy - nieważne jak daleko będziesz z przodu - dogonię cię i zabiję.

Rozdział VI

Nowy król Kartaginy

Jakże daleko zawiodła mnie walka o sprawiedliwość, pomyślał grecki lekarz Eudoksjusz. Było skwarne południe w zdobytej Kartaginie na północnym wybrzeżu Afryki; buntowniczy medyk znalazł się w świecie osobliwych kolorów.

Marmur i stiuk świeciły się niczym śnieg. Arkady i przedpokoje opustoszały pogrążone w głębokim cieniu. Morze Śródziemne było błękitne niczym płaszcz Dziewicy, a piasek lśnił pod stopami jak włosy Sasa. Jakże odmienne były to kolory od barw Galii i Hunugurii, do kó rych przywykły jego oczy! Jakże dziwnie przybyć do miasta zniszczonego przez rzymską republikę wiele stuleci temu, odbudowanego przez rzymskie cesarstwo, a teraz zdobytego i zaję tego przez Wandalów - ludzi pochodzących z szarych ziem pokrytych ś niegiem i tonących we mgle. Z mroźnej krainy przybyło plemię, które przez dekady zagłębiało się w ziemie należące do rzymskiego imperium niczym nóż w ciało ofiary, by wreszcie przemaszerować przez Hiszpanię aż do Słupów Herkulesa, gdzie nauczyli się żeglować i przeprawili do Afryki, zajmując jej skąpane w słońcu żyzne pola, czyniąc z Kartaginy stolicę swego państwa. Wandalowie, niegdyś traktowani z pogardą jako niezdarni barbarzyńcy, kładli teraz swój ciężki but na gardle Rzymu.

Jakby dostosowując się do nowego, pełnego słońca i przeróżnych barw królestwa, prymitywny dwór króla Genzeryka był zbieraniną ludzi o najróżniejszych odcieniach i kolorach: jasnowłosych Wandalów, rudowłosych Galów, czarnych Etiopczyków i brązowych Berberów, smagłych Hunów i

opalonych Rzymian. Wszystkich tych oportunistów zabrał ze sobą migrujący lud, a teraz siedzieli jak kura na grzędzie w tym na pół opuszczonym i niszczącym mieście, o które nikt już nie dbał. Pałace Kartaginy przekształcono w baraki, ich kuchnie w chlewy, akwedukty popadały w ruinę, drogi niszczały od ataków słońca i deszczu. W mieście brakowało inżynierów, naukowców, księży, astronomów i filozofów. Niemalże wszystkich wybito, nielicznym udało się zbiec. Szkoły zamknięto, barbarzyńcom nie zależało na ich utrzymaniu. W mieście pozostała jedynie potężna armia i flota Genzeryka, żołnierze plądrowali truchła podbitych krajów jak mrówki, ogałając je ze wszystkiego, co wartościowe, zastanawiając się jedynie, kiedy będą musieli wznowić siejący zniszczenie i pożogę marsz.

Eudoksjusz uważał, że zna odpowiedź na to pytanie. W oczach cywilizowanego świata Wandalowie byli ciemni, arogancy i niepiśmienni. Zajęli jednak Sycylię, z której mogli niemalże ciskać kamieniami w Italię. Z tego oto powodu Rzym znalazł się jakby pomiędzy szczękami groźnego lwa. Górną było zajmujące północ Europy imperium Attyli. Dolną Genzeryk, zdobywca północnozachodniej Afryki.

Teraz pozostawało tylko przekonać obu władców, by jednocześnie zacisnęli owe szczęki, a ciężar i utrapienie, jakim jest dla świata Rzym, przestałby istnieć. Wraz z nim przepadliby chciwi właściciele ziemscy, pozbawieni se rca handlarze niewolników, nadęci arystokraci, okrutni i bezlitośni poborcy podatkowi, zepsuci księża żerujący niczym wszy na ciele biedoty. Czyż sam Chrystus nie potępił

podobnego krwiopijstwa? Odkąd Eudoksjusz zdał sobie sprawę z tego, jak funkcjonuje świat - że silni okradają słabych - poprzysiągł sobie, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by to zmienić. Rzym był rakiem. Gdy się go usunie, świat stanie się lepszym miejscem do życia. Ci nieświadomi niczego barbarzyńcy będą jego narzędziem w tworzeniu nowego rajy na ziemi.

Greki uprawiali lekarskie rzemiosło tylko wtedy, gdy zmuszały go do tego głód lub brak patrona. Medycyna jest brudnym i zbyt ryzykownym zajęciem. Prawdę rzekłszy, Eudoksjusz nie chciał się nim parować. Jego prawdziwą pasją była polityka; wyobrażał sobie, że jest wyzwolicielem szerokich rzesz chłopstwa, które Rzym uciska od stuleci. Greki są dumni, że we wczesnych czasach Rzymianie uosabiali złoty wiek wolnych rolników i wolnych ludzi, triumfując dzięki cności i odwadze.

Jednak republikańskie braterstwo ustępowało stopniowo tyranii i gnuśności, którym towarzyszyły najgorsze plagi: podatki, niewolnictwo, dzierżawa i obowiązkowa służba wojskowa. W młodości Eudoksjusz nawoływał do reform, jak Pan nasz Jezus Chrystus nauczał o królestwie pomiędzy wzgórzami Judei, lecz jego sąsiedzi szydzili i wyśmiewali się z niego, zbyt ciemni, by pamiętać i rozumieć swoją historię, historię swego ludu. Po przeniesieniu się do północno-wschodniej Galii, której mieszkańcy byli prości i mniej sceptyczni, pomógł zorganizować powstanie bagaudów skierowane przeciwko rzymskiemu uciskowi. Marzył o stworzeniu królestwa wolnych ludzi, z nim u steru! Wtedy przybył wielki i bezlitosny wódz Flawiusz Aecjusz, prowadząc ze sobą zbieraninę rzymskich żołnierzy i barbarzyńskich najemników. Wymordował bagaudów, zmuszając Eudoksjusza do szukania schronienia u Attyli. Jakież upokorzenie!

Medyk musiał ślubować wierność tyranowi najgorszemu ze wszystkich - władcy Hunów.

Greki pograżali się w rozpacz. Z czasem zrozumiał, iż taki musiał być boski plan, że dano mu szansę na stworzenie potężnego przymierza. Jakże nieznane były ścieżki Wszechmogącego! Eudoksjusz począł szeptać do ucha Attyli.

Aecjusz! Samo imię brzmiało jak największa obelga i najstraszliwsze przekleństwo. Rzymianie czcili człowieka, którego Eudoksjusz uważał za nędzną kreaturę na posługach cesarza Walentyniana i jego matki Galii Placydii; nieprzerwanie knującego i chytrego wodza wysłano w młodości do Hunów jako zakładnika. Tam nauczył się ich języka. Gdy powrócił do Rzymu, najmował ich, by niszczyli jego wciąż zmieniających się wrogów. Uosabiał sobą wir przymierzy, zdrad i napaści, które uchodziły za cesarską politykę. Przez dziesięciolecia przebiegły generał szczuł plemię przeciw plemieniu, by utrzymać w jednym kawałku rozpadającą się ze starości togę, jaką był Rzym. Tak długo, jak żył

Aecjusz, trwał też Rzym. Tak długo, jak istniał Rzym, nie mogło być mowy o prawdziwej demokracji - przynajmniej nie takiej jak w Atenach jego przodków.

Teraz Attyli udało się zjednoczyć pod swymi rozkazami Hunów, Genzeryk zaś zajął Sycylię i Kartaginę. Nadszedł czas na ostatni kęs głodnego lwa.

Długowłosa i rudy wandalski oficer wezwał Eudoksjusza na audiencję. Medyk zszedł z oślepiającego słońca dziedzińca i zanurzył się w chłodne ciemności sali tronowej. Początkowo niewiele mógł dostrzec i zdał się na swój węch. Poczł

zapach potu rzadko mytych ciał; smród wyrzuconego jedzenia, którego niechlujni Wandalowie nie mieli zwyczaju i zamiaru sprzątać; mdły zapach kadzidła zapalonego na rozkaz Genzeryka, który jedynie w małym stopniu maskował

pozostałe zapachy;

przypominający piżmo zapach publicznego, bezwstydного seksu. Kapitanowie Genzeryka wyciągnęli się na stertach skradzionych dywanów i lwich skór. Ich kobiety opierały się o nich niedbale; skóra niektórych była blada jak śnieg, innych ciemna jak heban. Leżały zwinięte w kłębek jak najedzone koty, z nagimi piersiami lub biodrami; jedna zaś, chrapiąc, z nogami rozłożonymi tak zdroźnie, że Eudoksjusz ledwie mógł uwierzyć, iż ta banda dzikusów przyjęła chrzest z rąk ariańskich kapłanów. Rzecz jasna, arianie nie byli prawdziwymi chrześcijanami; wierzyli, iż Syn był mniej ważny niż Ojciec; co gorsza, wznosili niedbale modły, a w tym samym czasie mordowali z dziką i okrutną determinacją. Łączili prawdziwą wiarę z pogańskimi przesadami. W sumie to tylko banda prymitywnych dzikusów, skłonna w tym samym stopniu lękać się piorunów, co nieustraszenie szarżować na rzymskie linie. Byli jednak koniecznym śródkiem do osiągnięcia szlachetnego i godnego poświęceń celu. Według obmyślanego planu legioniści i barbarzyńcy mieli zniszczyć się wzajemnie w jednej wielkiej bitwie, tak by nikt nie ocalał, nikt nie wyszedł z niej zwycięski. Dopiero po niemożliwej do uniknięcia i potrzebnej rzezi będzie można przystąpić do odbudowy.

Wciągając powietrze ustami, by nie wdychać smrodu, Eudoksjusz zmierzał do zaciemnionego końca sali.

- Przybywasz od Attyli - powiedział sześćdziesięcioletni, choć wciąż wysoki i potężny Genzeryk,

siedząc na połączonym tronie. Jego włosy i broda przypominały wyglądem lwia grzywę, ramiona miał grube jak u niedźwiedzia.

Król Wandali siedział wyprostowany, przyglądając się bacznie Grekowi. Przy jego boku nie było żadnych kobiet. Po obu stronach tronu stali zaś strażnicy - ciemny Nubijczyk oraz blady i wytatuowany Pikt. Genzeryk spoglądał jasnymi, przenikliwymi oczami, niepasującymi niczym lód do tego klimatu. Z jak daleka przybyli ci ludzie! Ich król nosił srebrną kolczugę, założoną na zdobyczne rzymskie płótna, jakby spodziewał się w każdej chwili ataku; na jego skroniach spoczywał złoty diadem. Sztylet zawiesił na pasie, włócznia i długi miecz stały oparte o ścianę za jego plecami. Kulał, odkąd w młodości zrzucił go koń; mała ruchliwość i żywot pełen wrogów dybiących na jego życie sprawiły, że był bardzo ostrożny.

Eudoksjusz uklonił się nisko, szaty zwisały aż do stóp, szara głowa dotknęła piersi. Gestykulując dłońmi przy pasie, jak to mają w zwyczaju ludzie Wschodu, przemówił: - Przybywam od Hunów, braci wielkiego Genzeryka.

- Hunowie nie są moimi braćmi.

- Nie są? - Eudoksjusz podszedł śmiało bliżej. - Czyż oba wasze królestwa nie walczą z Rzymem? Czyż oba wasze skarbcze nie łakną jego złota i bogactw? I czyż dojście do władzy Attyli i twoje zdobycie Kartaginy nie są znakami od Boga Wszechmogącego lub też wszystkich bogów świata, że nadszedł najwyższy czas, by świat nasz był teraz rządzony w nowy sposób? Przybyłem z błogosławieństwem Attyli, Genzeryku, by dowiedzieć się o ewentualnym przymierzu pomiędzy naszymi narodami. Zachód nie zaznał jeszcze gniewu Attyli, a kuszą go coraz bardziej jego ziemie. Nie przeczę, iż Aecjusz jest niebezpiecznym przeciwnikiem i należy się go lękać, lecz tylko gdy walczy się z nim w pojedynkę. Gdyby Attyla zaatakował Galie, a Wandalowie w tym samym czasie ruszyli na Italię od południa, nie zatrzymałyby ich żadne rzymskie oddziały.

Genzeryk pogrążył się przez chwilę w myślach, rozważając słowa Greka i nanosząc je na mapę, którą rysował w wyobraźni. - Mówisz o ambitnym planie.

- Logicznym planie. Rzym trwa, gdyż walczy z plemionami i nacjami barbarzyńskimi pojedynczo lub też podburzając jednych przeciwko drugim.

Ministrowie siedzący w Rawennie śmieją się z tego, jak udaje się im manipulować swymi wrogami, Genzeryku. Pochodzę z ich świata i wiem dobrze, o czym mówię. Lecz gdyby Hunowie i Wandalowie ruszyli razem, ramię w ramię, wraz z Gepidami, Skurami, Piktami i Berberami, wtedy być może człowiek, który siedzi przede mną, zostałby okrzyknięty nowym cesarzem.

Rozmowie przysłuchiwali się ludzie Genzeryka. Zgodnie ze zwyczajem przyjętym u barbarzyńców musieli wprawdzie wysłuchać planu, nim kazano im go wykonać. Ostatnie słowa sprawiły, że oficerowie wzniesli radosne okrzyki, uderzając pucharami i sztyletami o marmurową posadzkę, wrzeszcząc na myśl o ostatecznym triumfie. Ich król cesarzem Rzymu! Genzeryk siedział wciąż pogrążony w ciszy, jego oczy bacznie i ostrożnie taksowały Eudoksjusza i jego słowa, nie obiecując wszakże niczego.

- Ja cesarzem czy Attyła?

- Być może współcesarzem, na wzór Rzymian.

- Hmm. - Palce króla uderzały o poręcz tronu. - Czemu to ciebie wysłano z propozycją sojuszu, medyku? Czemu nie przecinasz teraz czyraków lub nie ważysz mikstur?

- Walczyłem z Aecjuszem i jego sługami we wschodniej Galii, widziałem biednych ludzi, którzy chcieli jedynie być wolni, mordowanych przez rzymską tyranię. Ledwie sam uszedłem z życiem, by szukać - schronienia u Attyli, lecz nigdy nie zapominałem o swoich ludziach. Czy jestem zwykłym doktorem? Tak.

Lecz pielęgnuję zdrowie ludzi, będąc też ich politycznym przywódcą. Moim zadaniem jest sprawić, byście ty i Attyła zrozumieli, iż wasze pragnienia zbieżne są z pragnieniami wszystkich ludzi dobrej woli.

- Masz gładki język. Nie zmienia to jednak faktu, że Aecjusz pozostaje twoim wrogiem, nie moim.

Greki pokiwał twierdząco głową, spodziewając się takich słów. Był na nie dobrze przygotowany. - Podobnie jak Teodoryk i Wizygoci są waszymi wrogami, nie moimi.

Nagle wszyscy Wandalowie, jak jeden mąż, zamilkli. Rzymianie byli tylko owcami prowadzonymi na rzeź. Wizygoci, którzy osiedlili się w południowozachodniej Galii byli już czymś znacznie więcej niż groźnym przeciwnikiem - barbarzyńską potęgą równie niebezpieczną, co Wandalowie.

Rywalizacja pomiędzy dwoma germańskimi plemionami ciągnęła się od pokoleń -

łączyła je długa historia ciągłych sporów. To w plemię Wizygotów wżeniona została rzymska księżniczka Galla Placydia i to Wizygoci pysznie twierdzili, że są dzięki temu bardziej ucywilizowanym narodem. Jakby byli kimś lepszym od Wandalów!

Król Genzeryk próbował zasypać przepaść dzielącą oba plemiona, żeniąc swego syna z córką króla Teodoryka - łącząc oba plemiona więzami krwi. Lecz gdy cesarz Walentynian zaoferował chłopcu rękę własnej córki, co stanowiło oczywiście bardziej prestiżowe i politycznie ważniejsze małżeństwo, Genzeryk próbował odesłać pannę młodą, księżniczkę Bertę, na dwór ojca w Galii.

Wtedy właśnie zaczęły się kłopoty. Dumni Wizygoci nie dali zgody na rozwód, co pozwoliłoby na poślubienie Rzymianki, która będąc chrześcijanką, nie chciała się zgodzić na poligamię. Odmowa Wizygotów pociągnęła za sobą wzajemne obwinianie, te zaś szybko przeszły w zniewagi, które doprowadziły do tego, że zamroczony alkoholem Genzeryk w pijackim szale oszpecił Bertę, odcinając jej nos i uszy, i odesłał upokorzoną do ojca. Od tej pory miewał koszmary, w których śnił o rychłej zemście Teodoryka - wojny z Wizygotami obawiał się bardziej niż czegokolwiek na świecie. - Nie wymieniaj w mojej obecności imienia tych świńskich odchodów - warknął wrogo.

- Na ziemi Wizygotów z pożądaniem spogląda Attyła - powiedział

Eudoksusz. - A Teodoryk jest jedyną nadzieją Aecjusza. Weź udział w tej wojnie, Genzeryku, a twój

znenawidzony wróg stanie się wrogiem Attyli. Wystąp przeciwko Rzymowi, a Hunowie ruszą bez wahania na Teodoryka. Nawet jeśli nie uda mu się zniszczyć Wizygotów, z pewnością dotkliwie ich zrani. W tym czasie zdobędziesz Italię. Nim Attyła wyruszy, musi mieć pewność, że odwrócisz uwagę Rzymian na południu. To przymierze przyniesie korzyści nam wszystkim.

- Kiedy wyruszy Attyła?

Eudoksjusz wzruszył ramionami. - Czekaj na przychylny znak, w tym na znak od ciebie. Twoje słowo może pomóc mi w podjęciu ostatecznej decyzji. Czy mogę mu zanieść twą zgodę na sojusz?

Genzeryk zastanawiał się przez chwilę, w jaki sposób mógłby podjudzić Hunów przeciwko Rzymianom i Wizygotom, by ruszyć, gdy będzie już po wszystkim i spić całą śmietankę. Lekarz i jego marni wieśniacy zginą stratowani przez którąkolwiek z armii, lecz czyż nie tak urządony był świat od wiek wieków? Słabi zawsze ustępowali i ulegali silnym, a głupi - jak Eudoksjusz - żyli jedynie po to, by służyć jako narzędzia w rękach mądrych. W jaki sposób mógł go najlepiej wykorzystać do swych celów? Wstał, chwiejąc się na lewej, chromej nodze. - Dam twemu królowi w podarunku wysadzany klejnotami sztylet, który wyjąłem z okaleczonego ciała rzymskiego wodza Auzoniusza, jako rękojmię moich słów - oświadczył. - Wszyscy wiedzą, że to mój ulubiony oręż. Oddaj go swemu władcy i powiedz wielkiemu Attyli, że jeśli Rzymianie i Wizygoci są jego wrogami, to ja jestem jego przyjacielem!

Oficerowie i ich kobiety krzyknęli donośnie, wiwatując, gdy usłyszeli słowa swego króla. Dla Eudoksjusza ich okrzyki brzmiały słodko jak wycie głodnych wilków do jaśniejącego na niebie księżyca. Wycofał się z pełnym gracji ukłonem, nie będąc w stanie powstrzymać pełnego triumfu uśmiechu i pośpieszył na stojący w porcie okręt, by Attyła jak najszybciej usłyszał dobre wieści.

Później tego wieczoru król Genzeryk pił ze swymi wodzami, leżąc na ciepłym jeszcze od słońca dziedzińcu. Pustynia, którą zdobyli po tak długim marszu, błyszczała pod całunem gwiazd. - Osiągnęliśmy dziś dwie rzeczy, moi wierni wodzowie - zaczął się zwierzać, będąc już wystarczająco pijany. - Po pierwsze, podjudziliśmy Attyłę do zniszczenia Teodoryka, nim przyjdzie mu do głowy zniszczyć nas. Po drugie, pozbyłem się wreszcie tego przeklętego żelastwa, które zabrałem martwemu Rzymianinowi i którym pociąłem tę wizygocką dziwkę.

Odtąd zawsze, gdy go nosiłem, prześladował mnie pech. Niech ten dumny medyk zabierze go do Attyli. Sprawdzimy, czy i jego opuści szczęście.

Rozdział VII

Zniszczone miasto

Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, przez jaki kraj podróżujemy, gdy nasze poselstwo rozbiło obóz na brzegu rzeki Niszawy, naprzeciw miasta Naissus. Było już późno, słońce zaszło za górami i w mroku łatwo można było sobie wyobrazić, że pozbawione dachów ściany wciąż są częścią kwitnącego prowincjonalnego rzymskiego miasta zamieszkanego przez pięćdziesiąt tysięcy ludzi, do ostatniego momentu czekających z zapaleniem świec i lamp. Lecz gdy zgęstniał mrok, nie zapaliła się żadna lampa, nie zapłonęła żadna świeca. Ptaki opadały z nieba, by przenocować w swych nowych gniazdach uwitych na opustoszałych targowiskach, w teatrach, termach i domach publicznych. Nietoperze wylatywały w noc z pustych piwnic. Kamienie pokryły się winoroślą i jeżyną. Zewsząd otaczała nas ponura i złowieszcza pustka.

Miejsce, które wyznaczyliśmy na obozowisko, stało się jeszcze bardziej posępne, gdy zaczęliśmy rozstawiać namioty. Ledwo widzieliśmy ziemię pod stopami, gdy jeden z niewolników schylił się z zamiarem przywiązania liny do czegoś, co wydawało się korzeniem. Kawałek drewna wystrzelił z gleby w górę, jakby przegnił. Zdenerwowany niewolnik schylił się raz jeszcze, by go podnieść i odrzucić z obrzydzeniem, lecz wyprostował się nagle i przybliżył do twarzy dłonie, przerażonym wzrokiem przyglądając się temu, co w nich trzymał. Upuścił

korzeń, jakby był rozpalonym do czerwoności węglem i począł się cofać.

- Jezu Chryste!

Przeżegnał się pośpiesznie.

Pochyliłem się. Drewno okazało się kością. Z pewnością ludzką - biorąc pod uwagę rozmiar i kształt. Szarobrązowa kość udowa, teraz ułamana z jednego końca i porośla mchem z drugiego. Rozejrzałem się, czując jak włosy stają mi dęba.

Poruszona ziemia odsłoniła pagórek usypany z kości i coś, co wyglądało na do połowy zagrzebaną pod kamieniami czaszkę. Jak rzadko patrzymy pod nogi!

Przyjrzałem się dokładniej brzegowi rzeki. Rozrzucone kości leżały wszędzie. To, co zdawało się kupą patyków przyniesionych przez wezbrane wody rzeki, było w rzeczywistości stosem niepogrzebanych szczątków ludzkich. Ciemne oczodoły, wypełnione kurzem i ziemią, patrzyły obojętnie w niebo. Żebra połączone skrawkami wysuszonego ciała wystawały z gleby niczym wyciągnięte ku nam palce.

Pośpieszyłem do senatora. - Jesteśmy w samym środku jakiegoś cmentarzyska.

- Cmentarzyska? - zapytał Maksyminus.

- Lub pola bitewnego. Spójrz. Wszędzie walają się ludzkie kości. Zaczęliśmy badać teren stopami, krzycząc za każdym razem, gdy dotknęliśmy szczątków i podskakując w górę, gdy pod nogami rozlegał się chrzęst łamanych kości.

Niewolnicy przyłączyli się do tego przeraźliwego wrzasku i wkrótce wrzał cały obóz. Rozstawiane namioty szybko opadły, zgasły ogniska, a uwiązane konie rżały nerwowo z powodu okrzyków przerażenia wznoszonych przy każdym makabrycznym odkryciu.

Edekon kroczył w naszą stronę zdenerwowany, odkopując na boki ogołoczone z ciała kości, jakby były jesiennymi liśćmi. - Czemu nie rozbijacie obozu, Rzymianinie?

- Jesteśmy w samym środku jakiegoś cmentarzyska - odpowiedział mu Maksyminus. - Ofiary masakry Naissus.

Hun spuścił wzrok, patrząc na szczątki. Potem rozejrzał się dookoła. Poznają to miejsce. Rzymianie uciekali jak owce, wielu rzucało się do rzeki. Przeprowadziliśmy się przez nią i tu na nich czekaliśmy. Gdyby miasto poddało się, tak jak żądaliśmy, mogli ocalić życie, lecz woleli stawić opór. Zabili kilku naszych wojowników i dlatego nie mogli zaznać litości. - Odwrócił się, zmrużył oczy i wskazał na coś w ciemności. - Ginęli chyba od tego miejsca, aż po tamto.

W jego głosie nie słyhać był ani żalu, ani wstydu, ani dumy z odniesionego zwycięstwa. Opowiadał o rzezi, jakby przypominał sobie handlową transakcję.

Ton głosu Maksyminusa stwardniał. - Na litość boską, czemu zatem tu właśnie rozbiliśmy obóz? Czy nie macie ani krzty przyzwoitości? Musimy zaraz opuścić to miejsce.

- Czemu? Przecież już nie żyją, tak jak my kiedyś będziemy martwi. Wszyscy kiedyś staną się, prędzej czy później, grzechoczącym szkieletem. Kość jest tylko kością, bez różnicy, czy leży tutaj, czy w czyjejś kuchni, czy też na górze śmieci. I tak obróci się w pył. Zapewne cały świat to jedna wielka kość.

Dyplomata z wysiłkiem zachowywał cierpliwość. - To nasi pobratymcy, Edekonie. Musimy przenieść obóz, by uszanować ich szczątki. Powinniśmy wrócić tu jutro i urządzić im godny chrześcijan pochówek.

- Nie mamy na to czasu. Oczekuje nas Attyła.

- Senatorze, zwłok jest zbyt wiele - dorzucił od siebie tłumaczący rozmowę Bigilas.

Maksyminus popatrzył posępnie w ciemności. - Musimy przynajmniej przenieść obóz w inne miejsce. Tu roi się od duchów.

- Duchów?

- Nie czujesz ich obecności, Edekonie?

Hun rzucił senatorowi groźne spojrzenie. Lecz widać było, że słowa Maksyminusa wywarły na przesadnym wojowniku pożądane wrażenie. Przeszliśmy pół mili, nim schroniliśmy się wreszcie w zrujnowanej i opuszczonej willi. Hunów całkowicie zaskoczyła i zdziwiła nasza reakcja. Zaniepokoiło ich to, że ich towarzysze podróży tak źle znieśli widok poboju. Śmierć była po prostu naturalnym wynikiem wojny, a wojna była przecież życiem.

Codzienny ubiór Hunów - płaszcz, którym owijali się, leżąc na ziemi - był

prosty. Dlatego też tak szybko mogli się przemieszczać i wznawiać podróże. My, Rzymianie, raz jeszcze z mozoł em musieliśmy rozkładać na tle rozgwieżdżonego nieba płócienne namioty, podczas gdy barbarzyńcy zbierali drwa na ognisko, by upiec na kolację trochę mięsa. Płomienie zdawały się odpędzać złe duchy. -

Podejdźcie, Rzymianie. Zjedzcie i wypijcie z nami - zawołał Oneges. - Nie kłopotcie się tym, czego nie można odczytać. Pomyślcie o naszej misji, o pokoju, o przyszłości!

Usiedliśmy w pozbawionym dachu tryklinium; szczątki jego właścicieli leżały zapewne gdzieś w pobliżu. Mimo iż płomienie nieco oświetlały ściany, pomieszczenie pozostawało ponure. Jego jasne, wykonane na betonie freski popękały i odchodziły od ściany płatami. Podobni aniołom bogowie i kolorowe pawie wyglądały spod brudu. Mozaika na podł odze przedstawiała Bachusa umorusanego ziemią. Chwasty wystawały spomiędzy kamieni dziedzińca, basen pełen był szlamu. Jeszcze więcej roślin porastało zewnętrzne ściany budynku i miałem dziwne wrażenie, że dom powoli pochłania ziemię, jak gleba pochłaniała kości. Hunowie rozniecili ogień połamanymi meblami zebranych na rumowisku, dorzucali je do ogniska, by je utrzymać, spopielając ostatnie dowody, że ktoś tu kiedykolwiek mieszkał. Ku swemu przerażeniu zauważyłem, że Edekon wrzuca w płomienie zniszczone książki i zwoje. Hun przyglądał się niektórym przez chwilę, nim pochłonał je ogień. Trzymał je jednak do góry nogami lub też w poprzek.

Było oczywiste, że nie umie czytać.

- Nie pal ich! - krzyknąłem.

- Nie unoś się. Nie ma już nikogo, kto by je przeczytał.

- Palisz tysiąc lat wiedzy i mądrości! Tysiąc lat historii!

- Jakież pożytek mieli z nich ich właściciele? - zapytał, wrzucając kolejną do ognia.

Usiedliśmy wciąż poruszeni tym, co zobaczyliśmy. - Na Boga, nawet ja potrzebuję się napić - wymamrotał stroniący zwykle od wina Maksyminus. -

Nigdy nie widziałem podobnego cmentarzyska. - Wychylił duszkiem puchar nierozcieńczonego wina. Bigilas, rzecz jasna, zaczął pić wcześniej. Hunowie raczyli się kumysem, Germanowie zaś pili piwo zwane *kamon*.

- Tylko w dwóch przypadkach zobaczyć można na własne oczy tylu martwych ludzi razem - powiedział Edekon. - Gdy walczą do ostatka jak osaczone niedźwiedzie lub gdy uciekają w popłochu jak owce. To były owce, Rzymianie, martwe owce. W ich sercach nie tlił o się życie na długo przed tym, zanim padli pod naszymi ciosami. Tylko dopełniliśmy dzieła. Zresztą zginęli z własnej winy.

Powinni byli się poddać.

- Gdybyście pozostali w swoim kraju, nadal by żyli - odpowiedział

Maksyminus.

- Ludzie Świtu nie mają kraju. Podążamy za słońcem tam, gdzie się nam podoba. Osiadamy, gdzie chcemy. Bierzemy, czego nam potrzeba.

- Rzymianie okradali i pustoszyli ziemię, a tego nie lubią bogowie. Zginęli nie dlatego, że przybyliśmy, lecz dlatego, że zostali tu za długo. Ludzie nie powinni zapuszczać korzeni w jednym miejscu. Teraz zostaną tu na zawsze.

- Mam nadzieję, że podobnie filozofujesz na temat własnej śmierci.

Bigilas nie umiał przetłumaczyć słowa „filozofujesz” i popatrzył pytająco na Maksyminusa. - Rozmyślasz - odpowiedział senator. Edekon się zaśmiał. - Kogo obchodzi, co myślę! I tak umrę!

- Nie rozumiem, niszcycie to, co moglibyście wziąć w posiadanie. -

Maksyminus próbował przemówić Hunowi do rozsądku. - Puszczacie z dymem to, w czym moglibyście zamieszkać. Zabijacie tych, których moglibyście zniewolić.

Bierzecie raz, to prawda, lecz gdybyście okazali łaskę i rządili ludźmi, których podbijacie, moglibyście żyć do końca swych dni w dostatku i wygodzie.

- Jak Rzymianie.

- Tak, jak my.

- Gdybyśmy żyli jak wy, rządilibyśmy, póki nie urosłyby nam brzuchy, tak jak ludziom, którzy tu mieszkali. Wtedy przyjechałby ktoś i zrobił z nami to, co zrobiliśmy my. Nie, lepiej pozostać na grzbiecie konia, gnać jak wiatr i być silnym. Kto się przejmie tym, że z map zniknęło jedno miasto? Na świecie jest ich jeszcze pod dostatkiem.

- Lecz co się stanie, jeśli zniszczycie wszystkie. Gdy spalicie je do szczętu i nic nie zostanie?

Hun potrząsnął przecząco głową. - Jest wiele miast. Umrę na długo przed upadkiem ostatniego. Pozostaną po mnie tylko kości.

Wino otępiało nas coraz bardziej. Hunowie przeciwnie, wraz z wypitym kumysem zaczęli się stopniowo rozluźniać. Rozmowa szybko zeszła na inne tematy. Oba narody łupiły miasta. Rzym przetrwał tak długo głównie dzięki swej bezwzględności. Tak jak mówił Edekon, rozprawianie o losie Naissus nie doprowadziłoby do niczego dobrego. Hunowie zaczęli chwalić się potęgą obozu i czynami swego króla. Nie boi się niczego, nie jest chciwy ani chytry. Attyła żyje prosto, by podążający za nim ludzie mogli się bogacić. Walczy dzielnie, by jego kobiety żyły spokojnie. Sądzi surowo, by jego żołnierze żyli w pokoju. Zwraca się do wysoko urodzonych i pospólstwa jednako. Z otwartymi rękoma wita zbiegłych niewolników. Dowodzi wojskami, stojąc na pierwszej linii.

- Wypijmy zatem za obu naszych władców! - zaproponował Edekon, niewyraźnie cedząc słowa przez zęby. - Naszego, dosiadającego konia i waszego, siedzącego na tronie za potężnymi murami. - Wznieśliśmy puchary.

- Za naszych władców! - krzyknął Maksyminus. Jedyne Bigilas, dziwnie cichy i spokojny, nie spełnił toastu.

- Nie wypijesz za naszych królów, tłumaczu? - rzucił zaczepnie Hun.

Płomienie oświetlały jego blizny, twarz zdawała się ubrudzona farbą.

- Wypiję tylko za Attyłę - odpowiedział wojowniczo Bigilas. - Nawet jeśli Hunowie wymordowali kiedyś moją rodzinę. Lub tylko za Teodozjusza.

Bluznierstwem byłoby dla mnie i moich towarzyszy wnoszenie pucharów w toaście dla obu, skoro wszyscy wiedzą, że cesarz Rzymu jest bogiem, Attyła zaś jedynie człowiekiem.

Wszyscy zamilkli. Edekon patrzył w osłupieniu na Bigilasa, nie dowierzając temu, co usłyszał.

- Nie udawajmy, że namiot równy jest pałacowi - ciągnął uparcie Bigilas. -

Lub że Rzym jest tym samym co Hunuguria.

- Znieważasz naszego władcę? Najpotężniejszego człowieka na świecie?

- Nie znieważam nikogo. Mówię jedynie prawdę, gdy stwierdzam, że zwykły człowiek nie może się równać z cesarzem Rzymu. Jeden jest śmiertelnikiem, drugi ma boską naturę. To podpowiada mi zdrowy rozsądek.

- Zaraz pokażę ci równość! - krzyknął wściekle Skylla, ciskając puchar w kąt.

Wstał, dobywając miecza. - Równość grobu!

Pozostali Hunowie też się zerwali i sięgnęli po broń. My, Rzymianie, staliśmy, nie mogąc wykonać najmniejszego ruchu, uzbrojeni jedynie w sztylety używane przy jedzeniu. Barbarzyńcy gotowi byli nas zabić, tu i teraz, równie szybko i łatwo jak mieszkańców Naissus. Bigilas potknął się i zatoczył do tyłu. Jego otępiały od alkoholu mózg wreszcie zdał sobie sprawę z tego, co powiedziały usta.

- Głupcze - zasyczał Maksyminus.

- Powiedziałem prawdę, tylko prawdę - mamrotał tłumacz.

- Prawdę, która nas zabije.

- Gdy przemawia Attyła, drży ziemia - Edekon warknął złowieszczo. - Może nadszedł czas, byście wy też, Rzymianie, zadrżeli i dołączyli do - waszych braci przy rzece. - Nie było już mowy o przyjacielskiej rozmowie. Nasze utyskiwania na śmierć mieszkańców Naissus musiały nie przypaść

do gustu Hunom.

Bigilas nie wiedział, czy błagać o litość, czy też ratować się ucieczką. Jego usta otwierały się i zamykały bezustannie.

Rustycjusz stanął w jego obronie, choć wiedziałem, że nie znosił

pretensjonalnego zachowania tłumacza. - Żaden prawdziwy Rzymianin nie drży ze strachu, podobnie jak prawdziwy Hun. Jesteś odważny z mieczem w dłoni i z głową otumanioną napitkiem, Edekonie. Gdy Bigilas i reszta nie ma się jak bronić.

Hun uśmiechnął się złowieszczo. - Chwyćcie za broń.

- Zrobię to, gdy będziemy mieli równe szanse, a nie po to, by dać ci kolejny pretekst do masakry takiej jak przy rzece. - Rustycjusz wpatrywał się uparcie w barbarzyńców. Zaskoczyła mnie jego odwaga, nie znałem go od tej strony.

- Nie drażnij mnie, chłopcze.

- Nie jestem chłopcem, a żaden prawdziwy mężczyzna nie morduje drugiego, twierdząc przy tym, że to uczciwa walka.

- Na litość boską - jęknął Maksyminus. Misja mogła się skończyć, nim na dobre się zaczęła. Knykie Edekona zbieleły na rękojeści miecza. Coś trzeba było zrobić. Szybko.

- Nie zrozumieliście naszych towarzyszy - przemówiłem, a mój głos nawet dla moich uszu brzmiał jak żalony pisk. Będąc najmłodszym członkiem poselstwa, mogłem być może załagodzić sprawę. Przełknąłem ślinę i odzyskałem normalny głos. - Nasz tłumacz, Bigilas, niefortunnie dobiera słowa, gdy za dużo wypije.

Chciał uczcić Attyłę, wasz król osiągnął równie dużo, będąc śmiertelnikiem, co nasz cesarz, posiadając boskie moce. To był komplement, a nie zniewaga, Edekonie.

- Bzdura. Młody Rzymianin chce ocalić skórę - zadrwił Skylla.

- Staram się ocalić to poselstwo.

Zapadła długa cisza. Hunowie najwyraźniej zastanawiali się, czy przyjąć wątpliwe wytłumaczenie. Gdyby nas zabili, zarówno Attyła, jak i Chryzafiusz chcieliby poznać przyczynę. - Czy to prawda? - Edekon zapytał Bigilasa.

Tłumacz zmieszany i przestraszony patrzył to na mnie, to na Huna, wodząc wzrokiem.

- Odpowiedz mu, idioto - wyszeptał Maksyminus.

- Tak - wykrztusił wreszcie Bigilas. - Tak, proszę, nie miałem na myśli nic złego. Wszyscy wiedzą, jak potężny jest Attyła.

- I żaden Rzymianin nie może umniejszać jego dokonań - dodał Maksyminus. -

Wasz pan jest najpotężniejszym władcą w całej Europie, Edekonie. Podejdźcie Skyлло, Onegeszu. Schowajcie oręż. Przepraszam za to zamieszanie. Mamy dla was podarunki: perły z Indii i jedwabie z Chin. Chciałem zaczekać z wręczeniem ich, aż dotrzemy do Hunugurii, lecz chyba poślę po nie już teraz. Jako znak naszej dobrej woli i pokojowych zamiarów.

- Wpierw wypijcie za Attyłę. - Edekon wskazał palcem. - On.

Bigilas pokiwał głową i pośpiesznie wychylił puchar, po czym otarł usta. - Za Attyłę.

- I ty - powiedział Hun, wskazując Rustycjusza. Schował miecz i stał teraz z rękoma gotowymi do tego, by ponownie go dobyć. - Myślicie, że boję się rozprawić z takimi jak wy?

Głos Rustycjusza dobył się ze ściśniętych ust. - Myślę, że każdy z nas powinien traktować drugiego jak człowieka, nie jak zwierzę.

Nie były to przeprosiny, jakich spodziewał się Hun. Od tej pory aż do końca naszej podróży reagował na słowa Rustycjusza z rezerwą i chłodem, którego nigdy nie okazywał lekkomyślnemu Bigilasowi. Odwaga Rustycjusza uczyniła z niego wroga. Hun zaproponował jednak rozwiązanie.

- Wiec wypij zdrowie mojego króla.

Rzymianin wzruszył ramionami. - Dobrze.

Pozostali również wzniesli toast. - Za Attyłę!

Wreszcie mogliśmy ponownie usiąść. Niewolnicy przynieśli podarki, które wskazał im Maksyminus. Senator starał się zachowywać tak, jakby nic się nie stało, lecz napięcie wciąż rysowało się na twarzach. Tak szybko, jak tylko mogliśmy, pożegnaliśmy się i poszliśmy spać.

- Szybkość twojej reakcji ocaliła nam życie, Alabando - wyszeptał

Maksyminus, gdy w ciemnościach po omacku szukaliśmy namiotów. - Tak jak głupota Bigilasa mogła je zakończyć. Być może masz na tyle rozsądku, by kiedyś zostać ambasadorem.

Nadal byłem poruszony; po raz pierwszy zobaczyłem na własne oczy prawdziwą naturę naszych barbarzyńskich towarzyszy. Gdy wchodziło im się w drogę, przeistaczali się w jadowite węże. - Będę zadowolony, jeśli uda mi się wyjść z tej przygody cało, z głową na karku. Mam nadzieję, że Rustycjuszowi też się to uda. Nigdy nie widziałem, by kogoś bronił w taki sposób.

- Tak, jest odważny, choć odwaga jego jest chyba zbyt uparta. Ryzykownie jest obrażać Huna. Zdaję mi się, że jesteś na tyle rozważny, iż wpierw słuchasz, zanim zaczynasz mówić. Nigdy nie zakładaj, że barbarzyńcy są tacy jak my, młody człowieku. Frankowie i Burgundowie, niegdyś arogancy, są teraz sprzymierzeńcami Zachodniego Cesarstwa. Straszliwi Celtowie są miłującymi pokój mieszkańcami Galii. Hunowie udowodnili, że są zarówno odważnymi najemnikami, jak i nieprzejednanymi wrogami. Sekret nie polega na tym, by zrażać do siebie potencjalnych wrogów,

lecz by obłaskawiać potencjalnych przyjaciół. Cesarstwo może przetrwać, robiąc użytek z jednych barbarzyńców i nasyłając ich na drugich. Czy zrozumiałeś i pojąłeś moje słowa, pisarzu?

Tak, zrozumiałem. Próbowaliśmy zjednać sobie szakale.

Rozdział VIII

Huńska gościnność

Następnego ranka, gdy podążaliśmy doliną rzeki Margus, Skylla podjechał do mego boku. Tym razem nie szukał zwady. Głowy wszystkich, ociążałe od wczorajszego picia, wciąż zaprzętała kłótnia. Młody Hun chciał po prostu o coś spytać.

- Powiedz mi, Rzymianinie, w jakiego boga wierzysz?

Potrząsnąłem głową, by zebrać myśli. Było zdecydowanie za wcześnie na teologiczną dysputę. - W Jezusa Chrystusa oczywiście. Słyszałeś o Jezusie? Jest bogiem rzymskiego świata.

- Lecz przed nim Rzymianie mieli wielu bogów.

- Prawda. Niektórzy wciąż są poganami żarliwie oddającymi część starym bożkom. Na tematy religijne ciągle toczy się jakieś dyskusje. Jeśli zapytasz trzech kupców w Konstantynopolu, otrzymasz osiem opinii. Dołącz do nich księdza, a uzyskasz ich nieskończoność.

- Zatem Bigilas jest poganinem?

- Nie sędzę. Nosi na szyi krucyfiks.

- A tak, widziałem już drzewo, na którym zabito waszego boga. Attyła nauczył

się wykorzystywania krzyża od Rzymian. Ale wydawało mi się, że Chrystus nie uznaje innych bogów, prawda?

Widziałem, dokąd zmierza. - Tak.

- A jednak Bigilas nazywa cesarza bogiem, tak?

- Tak. To... skomplikowane.

- Wcale nie. Wpierw twierdzi, że wierzy w jedno, potem, że w drugie.

- Nie... - Jak miałem to najlepiej wytłumaczyć? - Wielu chrześcijan uznaje cechy boskie cesarza. To tradycja trwająca od wieków; wiara w to, że bogowie pojawiają się na ziemi. Nie jest to jednak boskość Jezusa. Cesarz jest... jest po prostu kimś więcej niż zwykłym człowiekiem. Uosabia boską naturę życia. To miał na myśli Bigilas. Nie chciał obrazić Attyli.

- Attyła nie musi twierdzić, że jest bogiem. Ludzie bez tego darzą go szacunkiem i drżą przed nim ze

strachu.

- Ma zatem szczęście.

- Rzymscy cesarze muszą być bardzo małymi bogami, skoro lękają się takich ludzi jak Attyla.

- Cesarze rzymscy nie są jedynie żołnierzami, Skylllo. Symbolizują cywilizację.

Prawo i porządek, dobrobyt, moralność, służbę, świętość, ciągłość... wszystko łączy się w ich osobie i w tym sensie uosabiają boskość.

- Attyla w niczym się od nich nie różni.

- Ależ wasz władca nie buduje, lecz niszczy. Nie utrzymuje porządku, lecz go burzy. Tu tkwi różnica.

- W moim imperium słowo Attyli jest prawem. On przyniósł porządek setkom najróżniejszych plemion. Mówimy o tym samym, bez różnicy, w jakie ubierzesz to słowa.

Westchnąłem. Jak dyskutować z człowiekiem, który nawet nie wszedł do Konstantynopola, lecz spał pod gołym niebem jak zwierzę? - A jakich bogów czczą Hunowie?

- Mamy bogów natury, szamanów i wróżów, odróżniamy pomyślne znaki od złych. Nie jesteśmy tak opętani bogami i boskością jak wy, Rzymianie.

Wjechaliśmy na ziemię setek bogów i żaden nie przyszedł na pomoc swoim wyznawcom. Jakież więc z nich pożytek?

- Trzy wieki temu armie chrześcijańskich i pogańskich Rzymian starły się ze sobą na rzece Frygidus. Cały świat uważał to za sprawdzian mający ostatecznie rozstrzygnąć, która wiara jest prawdziwa. Zwyciężyli chrześcijanie.

- Nie zwyciężyli nas - powiedział Skylla i pogalopował do przodu.

Później tego dnia stanęliśmy przed zadaniem nawet trudniejszym do pogodzenia niż obozowanie na cmentarzysku. Maksyminus posłał wieści o naszej podróży do utrzymujących się jeszcze na tym terenie władz rzymskich. Zostaliśmy należycie przyjęci przez Agintheusa, dowódcę iliryjskich żołnierzy, którzy ponownie zajęli zniszczoną najazdami dolinę, próbując uchronić ją przed popadnięciem w całkowitą anarchię. Przywieźliśmy mu rozkazy cesarza nakazujące wydanie pięciu ludzi, którzy dołączyli do jego oddziału po ucieczce z armii Attyli. Mieliśmy zabrać ich do króla, by mógł ich osądzić.

Piątka zbiegów była przygotowana na nasze przybycie. Wyjechali nam naprzeciw nieuzbrojeni i z rękoma przywiązanymi do siodeł. Agintheus wstydził

się tego, co musiał zrobić. Z wyglądu zbiegowie przypominali Germanów -

wysocy i jasnowłosi. Niżsi i smaglejsi Hunowie krążyli wokół nich jak psy, drwiąc i wymyślając. -

Teraz będziecie musieli się tłumaczyć przed Attylą - krzyczał

triumfalnie Edekon.

- Zgodnie z rozkazem cesarza oddaję wam tych ludzi - powiedział Agintheus. -

Pozostałych dwunastu, o których pisaliście, nie udało nam się odnaleźć.

- Mieli zatem dość szczęścia - wymamrotał Maksyminus.

- Lub rozumu - westchnął Agintheus. - Ci żołnierze zasłużyli na lepszy los, senatorze.

- Musimy dotrzymywać postanowień traktatu.

- To zły traktat.

- Narzucony przez Hunów. Pewnego dnia...

- Proszę dopilnować, by nie skończyli najgorzej.

- Attyła potrzebuje ludzi nie zwłok. Będą żyli.

Gdy nasza powiększona grupa odjeżdżała w kierunku Hunugurii, piątka więźniów odwróciła się i krzyknęła do swego dowódcy: - Żegnaj Agintheusie.

Niech Bóg będzie z tobą! Dobrze nas traktowałeś! Opiekuj się naszymi rodzinami! -

Ich dopiero co poślubione żony biegły za nimi, lamentując. Hunowie przejeżdżali pomiędzy dezertarami, batami zmuszając ich do zamilknięcia.

- Czemu oddajemy Attyli tych ludzi? - zapytał Maksyminusa. - Nie powinniśmy tego robić.

- Nalegał na to Attyła.

- I musieli zostawić swoje rodziny?

- Attyła powiedziałby, że nie powinni ich w ogóle zakładać.

- Lecz po cóż oddawać tyranowi, z którym walczymy, kolejnych rekrutów?

- Maksyminus zmarszczył czoło. - Ponieważ bardziej potrzebuje ludzi niż złota. Wielu Germanów ucieka z jego armii. Hunowie są doskonałymi wojownikami, nie są jednak licznym ludem.

- Co się z nimi stanie, gdy ich oddamy?

- Nie wiem. Zapewne nie unikną bata. Możliwe że zostaną ukrzyżowani.

Najprawdopodobniej trafią z powrotem do armii. Nauka stąd płynąca, Alabando, brzmi: czasem

człowiek zmuszony jest robić złe rzeczy, by móc później osiągnąć rzeczy dobre, w naszym przypadku pokój.

Przez chwilę jechałem w milczeniu. - Z tego zdarzenia płynie jeszcze jedna nauka, senatorze.

- Jakaż mianowicie, mój młody przyjacielu?

- Attyla ma słaby punkt - liczebność wojsk. Gdyby prowincje Rzymu i ich barbarzyńscy sprzymierzeńcy zdołali zjednoczyć się pod jednym sztandarem i wystawić naprawdę dużą armię, Attyla zapłaciłby sporą cenę za swą butę. Być może skończyłaby się płynąca ze strachu siła Hunów.

Maksyminus się zaśmiał. - Marzenia młodości!

Dotknęła mnie jego protekcjonalność. To nie były mrzonki. Jeśli Attyla zadał

sobie tyle trudu, by upomnieć się o pięciu zbiegów, to moje słowa miały pokrycie w rzeczywistości.

Choć Mezja, prowincja, przez którą podróżowaliśmy, była rzymska od setek lat, nie zostało w niej wiele z dawnej cywilizacji. Hunowie i Goci przemierzali te ziemie od prawie wieku. Każdy kolejny najazd jeszcze bardziej okaleczał i tak już zniszczoną gospodarkę. Kradziono zebrane podatki i skąpiono na konieczne naprawy. W rezultacie młyny od dawna już nie pracowały, ich przegniłe koła odpadły. Zawaliły się mosty, zmuszając poselstwo do zmiany zaplanowanej drogi i posuwania się w górę rzeki, w poszukiwaniu brodu. Na polach rosły dęby i sosny.

Spichlerze stały puste, zniszczone wozy gniły w wysokiej trawie. Góry, w których od pokoleń nie widziano niedźwiedzi, były teraz domem dla ich matek i młodych.

W Horreum minęliśmy zniszczony akwedukt, woda lała się bezsensownie, tworząc dla siebie nowe koryto.

Najstraszliwszy ze wszystkich był widok miast, całkowicie opustoszałych, jeśli nie liczyć kilku księży, zbiegów bądź uciekinierów i podążających za nimi psów.

Mróz i deszcz zniszczyły ściany, stiuki odpadały jak zniszczone tapety, a dachówki spadały na ziemię z dachów opuszczonych domów, tworząc kupki czerwonego pyłu.

Pasterze trzymali się w bezpiecznej odległości na zboczach, wysoko nad drogą, umożliwiając sobie tym samym ucieczkę, gdyby zaszła taka potrzeba. Ocalałe gospodarstwa znajdowały się w trudno dostępnych dolinach chroniących je od awanturniczych armii. Bandy uzbrojonych opryszków żerowały na okolicznej ludności niczym sępy. Dlatego też kilka mijanych po drodze rzymskich willi zamieniono w małe zamki z nowymi murami i wieżami, ich właściciele pozostawali wierni ziemi przodków. Gdzie kiedyś dumnie kroczyły pawie, teraz biegały kury i kurczęta.

Droga zaczęła opadać w dół, sosnowe zagajniki ustąpiły miejsca lasom pełnym dębów, buków, wiązów i olch; góry - płaskiemu i nasiąkniętemu terenowi, w którym o wiele łatwiej było się zgubić. Drogi w dolinie Dunaju wiły się dookoła bagien jak splątana nić. Pewnego ranka zorientowaliśmy się, że droga zmierza przez chwilę na wschód zamiast na zachód! W końcu dotarliśmy do brzegów

szerokiego Dunaju, jego prąd był silny, a woda mętna i zielona. Rzeka, niegdyś patrolowana przez rzymską flotę, teraz nie niosła żadnych okrętów. Ścieżki, po których szli niewolnicy bądź woły ciągnące statki w górę rzeki pod prąd, zarosły chwastami i krzewami.

Staliśmy na historycznej granicy imperium - Rzym leżał na południu, barbarzyńskie kraje na północy. Rzeka zachowała jeszcze swój majestatyczny spokój. Ptaki podążały wzdłuż jej biegu stadami tak licznymi, iż czasami przesłaniały słońce, a bagna i trzęsawiska pełne były kaczek i gęsi. Hunowie dla zabicia nudy zabawiali się, strzelając do lecącego ptactwa. Nie odważyłbym się wypuścić strzały w obawie przed jej utratą, oni zaś nigdy nie chybiali.

- Jak dostaniemy się na drugi brzeg? - Maksyminus zapytał Edekona.

- Zabiorą nas rzeczni ludzie. Znajdziemy jakichś w pobliżu. Rzeczywiście, szybko dostrześliśmy smugę dymu. Ruszyliśmy w górę rzeki i natrafiliśmy na osadę zamieszkaną przez przedstawicieli wielu nacji: wiekowych Hunów, ocalałych po najazdach Rzymian, zbiegłych z północy Germanów, mieszkał w niej nawet czarnoskóry Etiopczyk. Żyli razem w płataninie drewnianych chat, okrągłych domów, dziurawych namiotów i przybrzeżnych jaskiń. Nagie dzieci bawiły się pośród biegających wszędzie gęsi i świń. Zwierzyna, wokół której latały roje much, i ryby suszyły się na słońcu. Tuziny łodzi wykonanych z drewnianych kłód leżały wyciągnięte na brzeg. Jakże różniły się od triem pływających po Złotym Rogu! W jaki, na Boga, sposób udało się tym prostym ludziom, niezdolnym nawet do zbudowania porządnej łodzi, zmusić nas do przybycia do nich z prośbą? Dumni Rzymianie targujący się o przeprawę z budowniczymi dłubanek.

Przeprawialiśmy się na raty. Wieśniacy wiosłowali, podczas gdy my trzymaliśmy się kurczowo brzegów łodzi w płonnej nadziei, że w ten sposób uda się nam zapobiec jej wywróceniu. Po raz kolejny zauważyłem zdenerwowanie Hunów wywołane wodą. Na szczęście nie doszło do żadnego wypadku, nasze zapasy pozostały suche, lejce koni i osłów przymocowano do łodzi, tak by mogły za nami płynąć. W końcu osiągnęliśmy dziki, północny brzeg Dunaju i rozbiliśmy obóz, zbierając na ognisko wyrzucone przez rzekę drewno.

Rustycjusz dosiadł się do mnie, gdy jedliśmy kolację: kaczkę z korzeniami kupionymi w wiosce; szczypta anyżu przywodziła na myśl dom i dawała jego namiastkę. - Czy żałujesz swojej decyzji, by nam towarzyszyć? - Wiedziałem, że czuje się odpowiedzialny za mnie, skoro polecił mnie jako pisarza, ja zaś traktowałem go jak starszego brata.

- Oczywiście, że nie - kłamstwo ledwie przeszło mi przez gardło. - Jakąż szansę mi dałeś, drogi przyjacielu.

- I jakież związane z nią ryzyko. - Wyglądał na przygnębionego. - Nie wydaje ci się, że Hunowie są szorstcy, zgorzkniali i że nie mają ani krzty honoru. Edekon to zbir znęcający się nad słabszymi od siebie. Mam nadzieję, że nie wpadniemy w żadne kłopoty, gdy dotrzemy do obozu.

- Gdyby szukali kłopotów, mogli je znaleźć już sto mil stąd - powiedziałem z pewnością w głosie, choć absolutnie jej nie miałem. - Nie sądzisz, Rustycjuszu, że chroni nas majestat Rzymu?

- Rzym jest strasznie daleko. Zwłaszcza teraz, gdy przekroczyliśmy rzekę. -

Potrząsnął głową. - Nie kłopotuj się moją złowrobną paplaniną, Jonaszu. Jesteś jeszcze młody i łatwiej wzbudzasz sympatię niż którykolwiek z nas. Czekają cię wielkie rzeczy. Ja nie mam takiej pewności co do swojej osoby, co do mojego szczęścia.

- Byłeś bardzo dzielny, przeciwstawiając się Edekonowi.

- Lub głupi. On oczekuje od innych uległości, poddaństwa. Nie sędzę, by ze mną skończył.

- Przybyli do nas posłańcy z wiadomością od Attyli, iż obóz jest jeszcze wiele dni przed nami, więc wznowiliśmy podróż. Dotarliśmy do Cisy - szerokiej, szarozielonej rzeki wpływającej do Dunaju. Podążaliśmy wzdłuż niej na północ, w kierunku Hunugurii. Tu też nie było statków, które umożliwiłyby przeprawę.

Musieliśmy jechać równolegle do rzeki po łące tak rozległej, że nie było widać jej kresu. Gdy wcześniej niebo przesłaniały góry, teraz nizinny teren ciągnął się po odległy horyzont. Trawa przypominała ocean, pasły się na niej stada zwierząt. Nad naszymi głowami krążyły jastrzębie, a motyle tańczyły pomiędzy końskimi nogami.

Czasem w oddali dostrzegaliśmy dym. Onegesz wyjaśnił nam, że barbarzyńcy celowo wznecają pożary. Po łąkach wędrowały stada koni i bydła, wojownicy po jednym spojrzeniu wiedzieli, do jakiego plemienia należały: te były własnością Gepidów, tamte Gotów, te zaś należały do Skurów. Znajome stiuki i dachówki typowe dla rzymskiej architektury ustąpiły miejsca wioskom pełnym glinianych i drewnianych chat. Z domowych ognisk niosły się nieznane nam dotąd zapachy.

Maksyminus, który studiował mapy i opisy wcześniejszych podróży, powiedział, że znajdujemy się teraz w rozległym dorzeczu pomiędzy dwoma łańcuchami górskimi: Alpami na zachodzie i Karpatami na wschodzie. -

Hunuguria stała się ich ziemią obiecaną - powiedział. - Można było sądzić, że po zajęciu kraju żyźniejszego niż ich rodzinne ziemie, osiedlą się tu i będą żyć zadowoleni w pokoju, a oni namnożyli się i podzielili. Brakuje dla wszystkich paszy, dlatego najeżdżają przygraniczne prowincje.

Przez większą część podróży nasze poselstwo nie zatrzymywało się w żadnej wiosce, w ten sposób pokonując dziennie większe odległości. Piątego dnia po przekroczeniu Dunaju z powodu okropnej pogody mieliśmy jednak zakosztować huńskiej gościnności, mnie zaś zmusiło to do ponownej zmiany zdania o tym barbarzyńskim ludzie.

Dzień był parny, niebo na zachodzie pochmurne i żółte od zachodzącego słońca. Gdy zatrzymaliśmy się na nocleg nad brzegiem dużego jeziora, niebo przybrało brązowy kolor. Pokryły je gęste chmury, pod nimi zaś błyskały pioruny.

Po raz pierwszy widziałem zaniepokojonych Hunów. Jeśli nie bali się ludzi, gromy z pewnością napędzały im strachu. - Wiedźmia pogoda - wymamrotał

Edekon. Onegesz zdziwił mnie, czyniąc pośpiesznie znak krzyża. Czyżby Rzymianin wciąż był chrześcijaninem? Pomruki nadchodzącej burzy niosły się po jeziorze, woda zmieniła barwę na szarą i

zmała się, fale uderzały o brzeg, zostawiając na nim pianę.

- Wejdźcie do naszych namiotów - zaproponował Maksyminus.

Edekon potrząsnął przecząco głową, szukając czegoś niespokojnym wzrokiem. -

Zostaniemy przy naszych koniach.

- Zwierzętom nic się nie stanie.

- Nie lubię nor z płótna.

Ciemne ramiona deszczu wyciągały się wzdłuż i wszerz jeziora. Zostawiliśmy Hunów samym sobie.

- Czasami brak im zmysłu u psa - powiedział Rustycjusz. Gdy tylko wczółgaliśmy się do namiotów, napięty materiał zatrzeszczał, wiatr próbował

wściekle unieść go w powietrze, gwizdząc przeraźliwie. Płótno ugięło się pod naporem ulewy.

- Dzięki Bogu, że wzięliśmy ze sobą namioty - powiedział Maksyminus, patrząc niepewnie na wydymane podmuchami płótno. Wiatr się nasilił, słupy, do których przywiązaliśmy liny, wykrzywiły się pod jego naciskiem.

- Na brzegu nie ma niczego, co mogłoby nas osłonić od wiatru - powiedział

Bigilas, gdy nagle niebo przeszył grom. Jego grzmot dzwonił nam w uszach, powietrze pachniało metalem.

- Zaraz przejdzie - odezwał się z nadzieją w głosie Rustycjusz.

Gdy tylko to powiedział, gwałtowny poryw wiatru uderzył w nas niczym ściana, zwalając na nasze głowy namiot. Paliki i liny fruwały dziko, słupy łamały się na dwoje. Namiot uwięził nas tak, jak obawiał się Edekon. Płótno uderzało niczym cepy. Próbowaliśmy wyczołgać się na zewnątrz. - Tu jest wyjście! -

zawołał Maksyminus, próbując przekrzyczeć burzę. Potykaliśmy się, krocząc w ciemnościach nocy.

- Gdzie są Hunowie? - Senator z trudem łapał oddech.

- Opuścili nas! - krzyknął Bigilas. Rzeczywiście, nigdzie nie było po nich śladu ani po koniach, ani po mułach.

- Co teraz zrobimy? - krzyknąłem. Krople deszczu siekły mnie wściekle po twarzy. Woda uderzała o brzeg jeziora niczym oceaniczne fale, zalewając wszystko w pobliżu.

- Mijaliśmy wioskę. Dwie mile stąd - przypomniał sobie nagle Rustycjusz.

- Każ niewolnikom zabezpieczyć namioty i bagaże - krzyknął do niego Maksyminus. - Poszukamy tam

schronienia.

- Szliśmy wzdłuż brzegu, wtulając się w siebie, by nie zmarznąć. Wreszcie natknęliśmy się na kilka chat. Wołaliśmy o pomoc po huńsku, póki nie otworzyły się drzwi największego domu.

Wtoczyliśmy się do środka. Mrużąc oczy z powodu przygasającego ogniska, dostrzegliśmy naszą wybawicielkę - Hunkę w średnim wieku, drobną i pomarszczoną. W świetle ogniska jej smutne oczy błyszczały tajemniczo.

- Ach, Rzymianie - powiedziała po huńsku. - Widziałam was, gdy przejeżdżaliście tędy, a gdy zobaczyłam chmury i nadciągającą burzę, pomyślałam sobie, że być może znowu was zobaczę. Edekon próbuje mnie unikać. Teraz nie będzie już mógł tego dłużej robić.

- Zgubiliśmy go - wyjaśnił Bigilas.

- Być może to oni zgubili was. Przyjdą tu, gdy zaczną was szukać.

- Samotnie mieszkająca kobieta? - szepnął mi do ucha Maksyminus po łacinie.

- Chcielibyśmy poznać twego męża - powiedziałem.

- Mój mąż nie żyje. Ja, Anika, jestem teraz głową tej wioski. Wejdźcie, rozpalę ognisko, byście mogli się ogrzać. Zapalę też więcej lamp. Usiądźcie, zjedzcie coś.

Może chcecie kumysu lub *kantonu*.

Przemarznięty, głodny i spragniony poprosiłem o to ostatnie. Płyn był ciemny, z białą pianą na wierzchu. Hunka wyjaśniła, że robi się go z jęczmienia. Choć *kamon* w porównaniu z winem był gorzki, dobrze rozgrzewał. Szybko też uderzał

do głowy i po chwili przyglądałem się wnętrzu chaty lekko mętным wzrokiem.

Łączenie bali było całkiem udane, a proporcje przyjemne dla oka. W

barbarzyńskich chatach było zatem więcej dobrego rzemiosła, niż się spodziewałem.

Ognisko lśniło rozżarzonymi węglami, wiatr wciąż uderzał o słomianą strzechę. Wyplatane maty przykrywały brudną podłogę, tkane koce wisały na ścianach. Anika przyniosła nam drewniane stołki. Jakież bezpieczny azyl po ciągłym spaniu w namiotach! Hunka kazała niewolnicy pójść po pomoc i niebawem mężczyźni i kobiety wchodzili do pomieszczenia, niosąc chleb, jarzyny i ryby. Po jakimś czasie wiatr zaczął tracić na sile. W końcu Edekon, Onegesz i Skylla wyłonili się z deszczu, ociekając wodą. Na ich twarzach rysowało się zadowolenie. Być może dlatego, że zabezpieczyli konie, a może dlatego, że udało im się przechytrzyć wiedźmy i demony.

- Nie przywitasz się, Edekonie? - rzuciła prowokująco kobieta.

- Dobrze wiesz, Aniko, że zwierzęta potrzebują paszy. - Najwidoczniej tę dwójkę coś łączyło. Hun

odwrócił się do nas. - Mówiłem wam, że namioty są do niczego. Nauczcie się stawiać jurty.

- Nie zauważyłam, byście sami je stawiali - zbesztła go Anika.

Zignorował zaczepkę. - Gdyby konie się spłoszyły, mielibyśmy ładny kawałek do przejścia, zanim udałoby się je wyłapać - wyjaśnił niepotrzebnie, być może zawstydzony tym, że rozdzieliła nas ulewa. Usiadł, odwracając wzrok.

Maksyminus ciekawo przysunął się do niego, a ja tłumaczyłem jego słowa. -

Ma władzę równą mężczyznom.

- Ma szacunek należący się jej niezjącemu mężowi - wymamrotał Edekon.

- A kim był jej mąż?

- Nazywał się Bieda.

Maksyminus wzdrygnął się, słysząc jego słowa. Ja nigdy nie słyszałem tego imienia.

- Bieda był bratem Attyli - wyjaśnił mi zarozumiale Bigilas. - Przez pewien czas rządzili razem. Póki Attyla go nie zabił. Ta kobieta musi być jedną z wdów po Biedzie.

- Zamordował własnego brata? - spytałem, niedowierzając.

- Musiał tak zrobić - odpowiedział cicho Edekon.

- A ją pozostawiono przy życiu?

- Jest rodziną. Poza tym nie stanowi zagrożenia. Attyla dał jej tę wioskę.

Gdyby tego nie zrobił, miałyby prawo szukać zemsty za przelaną krew. Ta wioska stanowi *konoss*.

Kolejne słowo, którego nie znałem. - Co to jest *konoss*?

- Zapłata za dług krwi. Człowiek, którego przyłapano na kradzieży bydła, albo może zginąć, albo samemu bądź z pomocą rodziny dać *konoss* człowiekowi, którego okradł. Dobrami można zapłacić za śmierć. Życiem za inne życie. Attyla lub Bieda. Jeden musiał zginąć, każdy dobrze o tym wiedział, gdyż nie mogli dłużej rządzić razem. Dlatego Attyla zamordował Biedę i zapłacił *konoss* jego żonom.

Rozejrzałem się dookoła. Chata wydawała się lichą zapłatą za życie męża i króla.

- Gdy jesteś tak potężny jak Attyla - powiedział Bigilas z szelmowskim uśmiechem na twarzy - możesz samemu zdecydować, jak hojny będzie twój *konoss*.

- Gdy jesteś bezradną kobietą - dodała Anika, najwyraźniej słysząc naszą szeptaną rozmowę - musisz zdecydować, jak mało gotowa jesteś przyjąć, by zapewnić sobie spokój. - W jej głosie słychać było

gorycz. Wzruszyła ramionami. -

Mimo to ofiarowuję gościnność stepów każdemu podróżnemu. Nasze kobiety ogrzeją was do snu.

Co miała na myśli? W odpowiedzi usłyszałem stłumiony śmiech i ciche szuranie stóp, które zmusiło mnie do odwrócenia głowy. Tuzin urodziwych kobiet wślizgnęło się do pokoju. Głowy przykrywały im chroniące przed deszczem kaptury, oczy płonęły jasno, a pięknie wyszywane suknie skrywały ponętne kształty, na stopach zaś miały buty z miękkiej skóry jelenia wilgotne teraz od mokrej trawy. Chichotały, przyglądając się nam nieśmiało. Złote pasy oplatały ich wąskie talie, a koronki opinały bujne piersi. Poczulem kłopotliwe podniecenie.

Minęły tygodnie, odkąd widziałem kobietę, a moja długa wstrzeźliwość jedynie dodawała im uroku.

- Cóż do diabła ma to znaczyć? - zapytał Maksyminus głosem bardziej przerażonym niż zaniepokojonym.

- Nie diabła, senatorze, lecz nieba - odpowiedział Bigilas z przyjemnością. - To huński zwyczaj. Innych wędrownych plemion też. Ofiarowują kobiety jako przejaw gościnności.

- Ofiarowują? Masz na myśli spółkowanie?

- Tak postępują poganie.

Edekon, nie zważając najwidoczniej na zgryźliwość Aniki, nie zamierzał

odrzuć gościny. Złapał w pasie pulchną i chichoczącą dziewczynę, odciągając ją w kąt. Skylla wybrał jasnowłosą piękność, z pewnością niewolnicę lub brankę, a Oneges z wskazywał dłonią rudowłosą. Mój wzrok przykuła dziewczyna o włosach czarnych niczym skrzydła kruka i palcach lśniących od pierścieni. Ojciec wprowadził mnie w tajniki miłości, prowadząc kiedyś w Konstantynopolu do kurtyzan, lecz będąc kawalerem w na pozór przynajmniej pobożnym mieście, możliwości dalszego w tej dziedzinie kształcenia miałem naturalnie ograniczone.

Jakby to było położyć się przy dziewczynie wychowanej w zupełnie odmiennej kulturze?

- Zdecydowanie nie - stwierdził stanowczo Maksyminus. Odwrócił się do Aniki. - Podziękuj jej bardzo, lecz jesteśmy chrześcijanami, nie poganami i nie mamy w zwyczaju postępować w ten sposób.

- Ależ senatorze - powiedział z prośbą w głosie Bigilas. - To ich zwyczaj.

- Zrobimy lepsze wrażenie na Attyli, jeśli okażemy właściwą stoikom godność naszych rzymskich przodków, nie zaś naśladować barbarzyńców. Nie wydaje ci się, Jonaszu?

Przełknąłem ślinę. - Odmową możemy urazić ich uczucia.

- Powiedz jej, że w naszym świecie mężczyzna ma tylko jedną żonę, a nie wiele i że szanujemy nasze

kobiety, nie dzieląc się nimi z nikim - nalegał

Maksyminus. - Są piękne, urzekająco piękne, lecz dziś będę czuł się lepiej, śpiąc samemu.

- A ci z nas, którzy nie są dyplomatami... - zaczął Rustycjusz.

- Tylko zyskają, idąc za moim przykładem - skończył za niego zdanie senator.

Hunowie wyszli z chaty o poranku. Nie muszę wspominać, że wyglądali na bardziej zadowolonych z gościny niż my. Ich kobiety chichotały, podając nam śniadanie. Wznowiliśmy podróż. Obóz Attyli był oddalony tylko o dwa dni drogi.

Ponownie Skylla podjechał do mnie i zapytał z ciekawości: - Nie wzięłeś wczoraj kobiety?

Westchnąłem. - Maksyminus nam zabronił.

- Nie lubi kobiet?

- Nie wiem.

- Czemu wam zabronił?

- W naszym kraju mężczyzna poślubia jedną kobietę i jest jej wierny do śmierci.

- Masz żonę?

- Nie. Kobieta, którą kochałem... wzgardziła mną.

- Drapie?

- Można to tak ująć.

- Te, które nie zostały wczorajszego wieczoru wybrane, poczuły się urażone.

Głowa bolała mnie od *kamonu*. - Skylllo, były piękne. Po prostu wykonywałem polecenia.

Hun potrząsnął głową w niedowierzaniu. - Wasz wódz jest zatem głupcem.

Niezdrowo jest wstrzymywać nasienie. Rozchorujesz się od tego, a później nabawisz jeszcze większych kłopotów.

Rozdział IX

Legionowa forteca

Jakże strasznie pustą rzeczą stało się nasze imperium, pomyślał Flawiusz Aecjusz, kontynuując inspekcję fortu w Sumelocenna leżącego na brzegu płynącej przez Germanię rzeki Neckar. Jakże strasznie pusty ja się stałem. Wódz bez armii.

- Trudno jest w dzisiejszych czasach o kamieniarzy, dlatego wzmocniliśmy mury drewnianą palisadą - oprowadzający go trybun wyjaśnił z wyraźnym zakłopotaniem. - Część jest przegniła, mamy zamiar się nią zająć, gdy z Mediolanum przybędą uzupełnienia i zapasy. Okoliczni kupcy niechętnie dostarczają drewno.

- Nie możesz nauczyć swych żołnierzy, by układali kamień na kamieniu, Stenisie?

- Nie mamy wapna ani pieniędzy, by je kupić, dowódco. Zalegamy z płatnościami od dwóch lat, a kupcy nie dowożą nam towarów, gdyż nie jesteśmy w stanie za nie zapłacić. Żołnierze migają się od ciężkiej pracy fizycznej. Mówią, że to zajęcie dla niewolników i wieśniaków. Barbarzyńcy, których rekrutujemy, należą do innej rasy ludzi. Kochają walkę, lecz musztra...

Aecjusz nie odpowiedział. Jaki sens miałyby jego odpowiedzi? Wciąż słyszał

podobne narzekania powtarzane od ujścia Renu aż po ten posterunek leżący we wschodniej części Czarnego Lasu. Słyszał je przez całe życie. Zawsze brakowało ludzi, zawsze brakowało pieniędzy, zawsze brakowało broni, kamienia, chleba, koni, katapult, butów, płaszczy, wina, dziwek, oficjalnego uznania i całej reszty rzeczy potrzebnych do pilnowania ciągnących się w nieskończoność granic Rzymu.

Garnizon ledwie przypominał wojsko, każdy żołnierz dostał pozwolenie na to, by ubierać się i zbroić według własnego upodobania. Stroili się w zbroje zupełnie niepraktyczne i nieprzydatne w walce.

Aecjusz miał pięćdziesiąt lat i przez większość swego życia zastępował dawną i już nieistniejącą potęgę militarną Rzymu blefem i udawanymi przymierzami z każdym plemieniem, które udało mu się do tego nakłonić, przekupić bądź też zmusić. Jego żywot był pasmem ciężkich bitew, zmiennych sojuszy, pełny agresywnych barbarzyńców i samolubnych cesarzy. Pokonał Franków, pokonał

bagaudów, pokonał Burgundów, pokonał w Italii uzurpatorów i wciąż knujących za jego plecami polityków. Trzy razy był konsulem. Ponieważ dowodził armią, kierował Zachodnim Cesarstwem w sposób ledwie zrozumiały dla cesarza Walentyniana.

Każde zwycięstwo, zamiast być łatwiejsze, przychodziło z coraz większym trudem. Bogaci synowie możnych wykupywali się od służby w wojsku, biedni dezercerowali, a barbarzyńscy rekruci woleli przechwalać się swymi umiejętnościami niż doskonalić je ćwiczeniami. Twarda dyscyplina cechująca rzymskie wojsko od dawna już należała do przeszłości. Teraz obawiał się, iż najbardziej niebezpieczny wróg Rzymu kieruje swoje spojrzenie w jego stronę.

Aecjusz znał Attyłę i widział, jak łatwo denerwujący się wojowniczy młodzian, z którym kiedyś się bawił, przeistoczył się w przebiegłego i agresywnego władcę.

Aecjusz wysłano do Hunów jako zakładnika w 406 roku, gdy był chłopcem, by w ten sposób pomóc zagwarantować pokój zawarty przez Stylichona ze stepowym plemieniem. Później zaś, gdy w politycznym cyrku, jakim jest imperium, odwróciło się od niego szczęście, zbiegł do Hunów w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia. W zamian, gdy Attyla potrzebował zajęcia dla swej niespokojnej hordy wojowników, Aecjusz używał jej przeciwko wrogom Rzymu, płacąc przy tym obficie. Była to dziwna, choć owocna współpraca.

Dlatego też ten głupiec Walentynian przesłał mu depeszę, w której pisał:

„Twoje prośby o dodatkowe kredyty na wojsko, które coraz bardziej brzmią jak żądania, są całkowicie pozbawione sensu. Wodzu, ze wszystkich ludzi ty wiesz najlepiej, że Hunowie byli naszymi sprzymierzeńcami, nie wrogami. Dzięki twoim zdolnościom stali się narzędziem w naszych rękach, nie zagrożeniem. Twierdzenie, że Hunowie stanowią niebezpieczeństwo, przeczy nie tylko doświadczeniu, lecz przede wszystkim historii twoich osobistych sukcesów. Potrzeby dworu cesarskiego w Italii są naglące i nie możemy przeznaczyć większej ilości funduszy na obronę granic cesarstwa. Musisz jak najlepiej wykorzystać to, czym dysponujesz... ”.

Walentynian nie rozumiał, że wszystko zaczęło się zmieniać, gdy zmarł król Rugas i władzę przejęli Attyla z Biedą. Hunowie stali się bardziej aroganccy, żądali coraz więcej. Zmieniło się jeszcze bardziej, gdy Attyla zamordował Biedę i przekształcił Hunów z koczowników w imperialistów. Attyla poznał Rzym w stopniu, w którym Rugasowi nigdy się to nie udało. Wiedział, kiedy naciskać, a kiedy zawierać chwilowy pokój. Każda kampania i każdy traktat pokojowy osłabiały Rzym, a Hunów czyniły silniejszymi. Wschód już był ogołocoony ze wszystkich dóbr jak po przejściu szarańczy. Ile minie czasu, gdy Attyla zwróci swe głodne spojrzenie na Zachód?

Dzisiejsza pogoda jak ulał pasowała do nastroju generała - szary całun mgły i nieprzerwanie padający deszcz. Mżawka aż za dobrze pokazała, jak bardzo dziurawe są umocnienia fortu. Zamiast porządnie naprawić kamienne budynki mające już dwieście lub nawet trzysta lat, żołnierze uszczelnili je drewnem i słomą. Plan starego fortu oparty na równoległe krzyżujących się ulicach dawno ustąpił miejsca grupom chat stawianym gdzie popadnie i biegnącym w dowolnych kierunkach ścieżkom.

- Żołnierze z dwunastego są jednakże gotowi na wszystko - ciągnął trybun.

Czcza gadanina. - To nie fort, lecz gniazdo.

- Generale?

- Gniazdo uwite z gałęzi i papieru. Wasza palisada jest tak zżarta przez robaki, iż przewróci się lada moment. Attyla mógłby się przez nią przebić jednym uderzeniem gołej pięści.

- Attyla!? Przecież władca Hunów jest daleko stąd. Z pewnością nie musimy się go tu obawiać.

- Obawiam się Attyli nawet wtedy, gdy zasypiam i ś nią, Stenisie. Obawiam się Attyli, gdy jestem w Atenach bądź gdy jestem w Luceji, - w Tolosie czy Rzymie.

Martwienie się i obawy są moim zajęciem i powołaniem.

Trybun wyglądał na zmieszanego. - Ale przecież jesteś przyjacielem króla Hunów.

Aecjusz patrzył posępnym wzrokiem w dal przez mżawkę. - Tak jak jestem przyjacielem cesarza, przyjacielem jego matki, przyjacielem Teodoryka, gdy przebywam na jego dworze w Tolosie, i króla Sangibanusa w Aurelianum. Jestem przyjacielem ich wszystkich, człowiekiem łączącym wszystkich. Lecz nie ufam nikomu, żołnierzu. Ty też nie powinieneś.

Oficer pobrał, słysząc słowa wodza, lecz postanowił nie reagować. - Tyle że Attyła nigdy nie zapędził się tak daleko.

- Do tej pory. - Aecjusz poczuł w tej chwili każdą z pięciu dekad swego życia; ciągnące się w nieskończoność podróże na końskim grzbiecie; spieszenie w każde zagrożone miejsce; brak prawdziwego domu. Przez lata kochał takie życie. A teraz? - Żołnierze muszą być przygotowani na najgorsze, nie sądzisz trybunie?

- Jak sobie życzysz, wodzu.

- Prawdziwy rzymski żołnierz nie czeka na złoto lub pozwolenie na naprawę murów, lecz robi to od ręki. Jeśli nie ma wapna, kupuje je. Jeśli nie może kupić, bierze. A jeśli ten, od którego weźmie, utyskuje, mówi mu, że potrzeby armii są najważniejsze, gdyż jeśli jej zabraknie, zabraknie też Rzymu. Być może narzekający kupcy woleliby raczej żyć w świecie rządzonej przez barbarzyńskich watażków?

- Też próbowałem im tłumaczyć...

Aecjusz wyprostował się, jakby stając na baczność, i uderzył się w pierś. - Co siedzi w twoim gnieździe, trybunie?

- W gnieździe? - Raz jeszcze Stenis poczuł się zbity z tropu słowami wodza. -

Garnizon, rzecz jasna. Niektórzy ludzie są chorzy, wielu na przepustce, lecz gdybyśmy mieli wystarczająco dużo czasu...

- To, co jest wewnątrz, wpływa na to, jak jest oceniane z zewnątrz. Nikt nie śmie drażnić gniazda pełnego os, gdyż wie, że za kruchymi ścianami kryją się śmiertelne żądla. Najmniejsze i najsłabsze dziecko może przebić się przez palisadę fortu pełnego os, lecz nawet najodważniejszy wojownik zawaha się i pomyśli dwa razy, zanim to zrobi. Czemu? Gdyż za murami będą na niego czekać gotowi na wszystko obrońcy.

- Niech te owady będą dla ciebie lekcją, trybunie! Naostrzcie broń i wypatrujcie Hunów!

- Attyli? Czy wiesz już o czymś, generale?

Cóż właściwie wiedział? Cóż słyszał? Plotki, ostrzeżenia i raporty, które przysyłał mu z obozu Attyli na skrawkach papieru szpieg-karzeł. Czy miały jakąkolwiek wartość? Czy Attyła uważniej przyglądał się teraz Zachodowi? Czy niezadowolony Frank, zwany Kłoda, rzeczywiście zbiegł do Hunów, by prosić o pomoc i poparcie swych pretensji do tronu?

- Uczynić ze swych ludzi osy, żołnierzu. Nim będzie za późno.

Rozdział X

Król Hunów

Rzymianie! Idą Rzymianie! Słowa zdawały się rozświetlać pokój. - Armia? -

spytała z nadzieją w głosie Ilana. - Tylko poselstwo - odpowiedziała kucharka.

Serce dziewczyny upadło na duchu równie szybko, jak nabrało nadziei. Wciąż jednak biło w piersi, niczym rwący się do lotu ptak. Wreszcie choćby najmniejszy kontakt z domem, z rodzinnymi stronami. Od złupienia Aksjopolis i od śmierci ojca Ilana snuła się na pół żywa po ogromnym i hałaśliwym obozie, migrującej stolicy Hunów pełnej niesfornych dzieci, ujadających psów, uległych kobiet, dymu, brudu i trawy. Dopiero zaczynała rozumieć ich twarde i szorstki język, okrutne zwyczaje i kwaśne jedzenie. Szok spowodowany masakrą rodzinnego miasta towarzyszył jej jak ból złamanego serca, a niepewna przyszłość nie pozwalała jej zasnąć. Nudna i monotonna praca, do której została przydzielona, nie potrafiła zająć myśli.

Wiedziała, że jest w lepszej sytuacji niż większość jeńców. Została służką Suekki, jednej z żon Edekona. Hun, który zniszczył jej miasto, chronił ją teraz przed gwałtem i biciem, jakich doświadczała niektórzy więźniowie. Skylla, który ją tu przywiózł, przez całą podróż okazywał jej szacunek i jasno dawał do zrozumienia, że chce ją poślubić, Ilana wiedziała, że ocalił jej życie w Aksjopolis, a teraz nie przestawał przynosić małe podarki - ubrania i jedzenie, które dawały jej wyższy od pozostałych jeńców status, lecz napełniały jej serce niepewnością. Nie chciała wychodzić za Huna! Jednak bez jego życzliwości nie była warta więcej niż inni - kolejne dobro, które można było sprzedać bądź kupić. Odrzuciła jego pierwsze i niezdarne zaloty, by potem czuć się z tego powodu źle, jakby uderzyła niesfornego psiaka. Odpowiedział na to obrazą, zaciekawieniem i jeszcze większym niż wcześniej uporem. Odstraszał od niej innych mężczyzn, co dawało jej sercu ulgę, którą czuła też za każdym razem, gdy wraz z Edekonem wyruszał z jakąś misją.

A teraz Rzymianie, prawdziwi Rzymianie przybywali do obozu wraz z nimi.

Nie zdrajcy pokroju Konstantyna, który służył Attyli jako pisarz, ani stratega Onegiusza, który mienił się być człowiekiem cywilizowanym - kazał nawet swym niewolnikom wybudować kamienną łaźnię - bądź oficera Onegesza, którego posłano razem z Edekonem do Konstantynopola. Nie, ci Rzymianie przybywali od cesarza, reprezentowali cywilizację, wiarę i porządek.

- Proszę, Suekko, czy mogę iść popatrzeć? - prosiła Guernna, germańska branka o długich, jasnych, spiętych w warkocze włosach. Każde powierzone jej zadanie, choćby najłżejsze, stawało się nie lada wyzwaniem dla jej leniwej natury. -

Chcę zobaczyć ich stroje, ich konie!

- A co obiboki zdążyłyście zrobić do tej pory, by zaś użyć na to, abym wam pozwoliła iść gapić się i trajkotać jak przekupki - zrzędziła Suekka, która pomimo swego gderania nie była złą panią. - Macie

tyłe wyszywania, że mogłybyście pracować bez przerwy przez cały rok. A o tym, że nie nazbierałyście jeszcze drwa i nie przyniosłyście wody, nawet nie wspomnę.

- Właśnie dlatego szycie może poczekać! - argumentowała Guernna.

- Spójrz tylko na smutną twarz Ilany. Jakże jest posępna, gdy siedzi pochylona nad haftem. Potrzeba jej trochę ruchu i rozrywki, może wtedy się przebudzi!

Chodź, Suekko! Chodź z nami! Może Edekon przywiózł ci podarunki!

- Rzymianie są tak samo interesujący jak pasące się na zboczach owce -

odpowiedziała Hunka. Niemniej jednak ustąpiła. - Idźcie, jeśli musicie, i poszukajcie tego gburą i prostaka, mego męża. Nie mogę już nawet przypomnieć sobie jak wygląda. Ale pamiętajcie, że należycie do domu Edekona, więc nie szczebioczcie jak pisklaki w gnieździe. Serce wojownika ma swoją godność.

Służki wybiegły z chaty, Ilana pośród nich. Wystarczyło opuścić drewniane domostwo Edekona, by uleciał ponury nastrój. W kierunku bram wraz z nimi podążała fala ludzi ciekawych zobaczyć kolejnych królów, książąt, wodzów, wróżbitów bądź też dyplomatów przybywających, by zaskarbić sobie względy wielkiego Attyli. Ilana modliła się, by pewnego dnia przybyli Rzymianie w wystarczającej liczbie i sile, by położyć kres jej niewoli.

Edekona poznała niemal od razu, jechał na czele grupy, trzymając uniesiony wysoko buńczuk. Pozwolił sobie jedynie na ledwie zauważalny uśmiech, gdy dostrzegł w tłumie swą żonę, Suekę. Oprócz tej oznaki uczuć oszpecona bliznami twarz Huna pozostawała kamienna i pełna powściągliwości. Zaraz za nim podążał

Oneges, który będąc Rzymianinem, trzymał się na koniu z łatwością, jakiej mógłby mu pozazdrościć niejeden Hun. Na końcu jechał Skylla, wyprostowany i pełen dumy, jakby zwyczajna podróż do stolicy cesarstwa dała mu od razu wyższy status. Gdy ich spojrzenia się spotkały, jego oczy zapłonęły pożądaniem. Ilana zarumieniła się zmieszana. W przeciwieństwie do większości Hunów nie był

brzydki i odpychający. Co więcej, był całkiem szczery w swych zamiarach. Nie rozumiał jednak, że dla niej pozostaje tylko barbarzyńcą odpowiedzialnym za zburzenie jej miasta, za śmierć ukochanego i za uśmiercenie jej marzeń. „To już przepadło - powiedział jej kiedyś - teraz będziesz najszczęśliwsza u mego boku”.

Za Hunami pojawili się Rzymianie. Na sam ich widok serce dziewczyny zabiło o szybciej. Mężczyzna jadący na przodzie zarzucił na strój podróżny starodawną togę. Domyśliła się, iż musi być ambasadorem, być może ministrem lub senatorem. Jadący za nim nie wydawali się równie ważni, lecz przyglądała się im z uwagą, gdyż przypominali jej rodzinne strony. Dwóch wdziało dworskie szaty, byli chyba pomocnikami posła lub też jego tłumaczami. Niski patrzył niepewnym wzrokiem na tłum otaczających go Hunów, jakby się bał, że odkryją skrywany głęboko sekret. Drugi siedział w siodle wyprostowany, miał miłą, bardziej przyjazną twarz, patrzył uważnie przed siebie, nie chcąc

najwyraźniej nikogo urazić bądź rozdrażnić. Za nimi podążał jeszcze jeden młody i przystojny mężczyzna, mniej więcej w jej wieku. Nosił lepsze niż oni ubranie, rozglądał się dookoła wzrokiem czujnym i pełnym niewinnej ciekawości. Zdawał się zbyt młody, by zasłużyć własną pracą na udział w cesarskim poselstwie.

Rzymskich niewolników i wozy skierowano na łąkę leżącą przy brzegu Cisy.

Celowo wybrano to miejsce, gdyż było poniżej obozu Attyli. Edekon poprowadził

grupę dyplomatów przez morze jurt, chat i drewnianych pałaców wzniesionych na brzegu rzeki. Budynki ciągnęły się na długości dwóch mil, a mieszkało w nich co najmniej dziesięć tysięcy wojowników. Małe osiedla sprzymierzonych plemion gromadziły się dookoła tego dziwnego miasta niczym krążące wokół planety księżyce. Gawiedź podążała za posłami, sunąc pomiędzy domami wezbraną falą, pozdrawiając okrzykami huńskich wojowników i śpiewając na cześć Rzymian życzliwe pieśni. Dzieci biegały w kółko, psy skowyczały i ujadły groźnie, przywiązane konie rżały i parskały, gdy mijały je wierzchowce posłów, które w odpowiedzi pozdrawiały je, potrząsając łbami.

Rzymianie i ich eskorta zbliżali się do palisady pałacu Attyli i Ilana dostrzegła żony króla i służki, które wyszły ich powitać, krocząc pod rozpiętym ponad głowami baldachimem, szykując się do ceremonii, którą widziała już kilka razy.

Najwyższe i najpiękniejsze kobiety ustawiono w dwa rzędy, w wyciągniętych w górę ramionach trzymały długi obrus z białego płótna, szeroki na tyle, by zmieściło się pod nim siedem dziewcząt. Wszystkie niosły kwiaty i rzucały je pod stopy posłów, wypełniając powietrze scytyjską pieśnią. Służki uniosły przed Edekonem i jego towarzyszami misy pełne jedzenia. Barbarzyńcy jedli uroczyście, nie schodząc z koni, uznając w ten sposób zwierzchnictwo i najwyższą władzę Attyli.

Rzymianom nie dano nic.

Czekali cierpliwie.

Zauważyła, że przystojny młodzian przyglądał się z ciekawością ustawionym przed każdą jurtą - buńczukom. Każdy zrobiony był z włosia ulubionych ogierów.

Im bogatszy był Hun, tym grubszy był buńczuk. Po drugiej stronie wejść do namiotów wisały odstrasające złe duchy czaszki zdechłych wierzchowców, ich duże zęby szczyrzyły się w grymasie, a oczodoły patrzyły pusto w dal. Przy domostwach rozwieszono skóry i suszące się mięso, wokół którego bzycały chmary much. Po obydwu stronach bramy do pałacu Attyli stały dwa wypchane borsuki - totem króla. Ilana przypomniła sobie straszliwy smród, który wydał się jej nie do wytrzymania, gdy po raz pierwszy poprowadzono ją do pałacu, odór brudnych ciał, gnoju, koni, ściętej trawy, dziwnych przypraw i dymu ognisk, na których gotowano strawę. Hunowie wierzyli, iż ten właśnie zapach jest emanacją ich dusz. Zamiast pocałunku lub uścisku dłoni często witali się, obwąchując się nawzajem jak przyjazne psy. Ilana przez miesiąc przyzwyczajała się do ich zapachu. Z całego serca współczuła teraz posłom.

Wzrok Rzymianina spoczął wreszcie na niej i dziewczyna zauważyła, że zatrzymał się przez chwilę, przyglądając się jej z nieskrywanym zainteresowaniem.

Była przyzwyczajona do takiej reakcji męża czyżn. Jej widok zdumiał go i ucieszyła się na myśl, że wciąż bardziej przypomina Rzymiankę niż dzikuskę. Jego spojrzenie powędrowało dalej, lecz odwrócił się w jej kierunku raz czy też dwa razy, starając się udawać, iż tylko przez przypadek jego wzrok pada na nią.

Po raz pierwszy, odkąd została wprowadzona, Ilana dostrzegła isierkę nadziei.

W ten oto sposób ja, Jonasz Alabanda, przybyłem do pałacu Attyli. Był

skromny, jeśli mielibyśmy mierzyć go standardami rzymskimi, lecz bardziej wspaniały, niż się tego spodziewałem. Nie byłem pewien, czy król Hunów przyjmie nas w namiocie, chacie, czy też w złotym pałacu, zaś jego domostwo okazało się czymś dokładnie pomiędzy. Wykonano je z drewna, lecz użyto do tego najzdolniejszych barbarzyńskich rzemieślników. Zdałem sobie sprawę z tego, że Hunowie utknęli w połowie drogi pomiędzy dawnym, koczowniczym a obecnym, osiadłym trybem życia. Ich dziwaczne miasto najlepiej odzwierciedlało tę nieukończoną przemianę. Jurty, wozy, drewniane chaty oraz domy wzniesione z gliny i słomy rozrzucono przypadkowo po całym obozowisku.

Pisałem już wcześniej o niezwykłym zamiłowaniu Hunów do złotej biżuterii, bogato zdobionych ozd, uprzęży, pięknych siodeł i broni wysadzanej srebrem i drogocennymi kamieniami. Sprzączki ich butów wykonane były ze srebra, a pasy z jedwabiu. Teraz, będąc w obozie, zauważyłem, że ich kobiety ubierały się jeszcze bardziej wyszukanie. Pasy i naszyjniki wisiały na haftowanych sukniach mieniących się setkami kolorów. Widziałem dziewczęta pasące kozy, goniące za stadem w sukniach przetykanych srebrną nicią. Włosy splecione miały w warkocze, ich skronie wieńczyły złote diademy, zaś złote spinki w kształcie cykad utrzymywały stroje królowych i księżniczek. Pasy wiły się u ich kostek, lśniąc na całej swej długości od klejnotów i drogocennych metali.

Mijane przez nasze poselstwo drewniane budowle charakteryzowały się podobnym rzemiosłem. Surowiec sprowadzano z daleka, kłocę, bale i deski rzeźbiono i przyozdabiano. Pałac Attyli był jeszcze piękniejszy - deski palisady były proste i idealnie do siebie pasujące, wieże strażnicze otoczono balustradami, a główny dom ozdobiono niczym szkatułę z klejnotami. Każdy kawałek drewna oheblowano i wypolerowano, nadając mu czerwony połysk. Umieszczone z boków pałacu portyki dawały schronienie przed słońcem, zewnętrzne budynki wzniesiono pod ścianami palisady, rozłożone na dziedzińcu kamienie umożliwiały przejście przez błoto suchą stopą. Piece, składy, piwnice i studnie w przypadku oblężenia czyniły budynek samowystarczalnym. Kraty okienne, krokwie i poddasza zdobiły płaskorzeźby koni, ptaków i smoków.

- Germańska robota. Zapewne wykonana przez jeńców - cicho powiedział

Rustycjusz. - Hunowie gardzą taką pracą. Nie potrafią nawet upiec chleba.

Pałac, do którego weszliśmy, był jednym z pół tuzina podobnych mu, rozrzuconych wzdłuż rzek równin Hunugurii, wyjaśnił nam Bigilas. Ten robił

podobno największe wrażenie. Dużą salę otaczały drzewce, na których zawieszono buńczuki reprezentujące różne klany. Także tu każdy zwieńczony był czaszką ulubionego wierzchowca.

Bardziej niepokojące były kije z zatkniętymi na nich ludzkimi czaszkami.

- Co to jest? - spytałem szeptem.

- Pokonani wrogowie - odpowiedział Bigilas.

Każdą czaszkę zamocowano na ostrzu włóczni, ciała pozwolono zgnić i odpaść.

Większość głów ogołociły do kości kruki. Resztki ciała i włosów pozostały jeszcze na czubku i teraz powiewały na wietrze.

Równie dużą ciekawość wzbudzały we mnie zniekształcone czaszki niektórych Hunów. Po raz pierwszy zauważyłem je u biegających bez nakrycia głowy dzieci i pomyślałem, iż są być może niedorozwinięte, upośledzone od urodzenia. Ich czoła były dwa razy większe i przesunięte do tyłu, przez co głowy przypominały stożki.

Dobre maniery nie pozwoliły mi na komentarze, lecz później zauważyłem podobne cechy u niektórych dorosłych mężczyzn, a nawet u kobiet. Dodajcie do podobnego zniekształcenia śniadą cerę, ciemne włosy, rytualne blizny i małe skośne oczy, a otrzymacie w rezultacie iście przerażający widok.

- Co się stało tym biednym ludziom? - spytałem Rustycjusza.

- Biednym? Noszą na sobie więcej złota niż zobaczysz w całym swoim życiu.

- Mam na myśli ich głowy. Wyglądają jak dzieci, które najlepiej zrzucić w otchłań urwiska zaraz po urodzeniu.

Zaśmiał się. - Pośród tych potworów to, co masz na myśli, uchodzi za przejaw urody! Niektórym celowo spłaszczają czaszkę zaraz po urodzeniu, gdy kość ci są jeszcze miękkie. Przywiązują się do nich deskę i zaciska rzemienie, choć dziecko płacze z bólu. Uważają, iż taka deformacja czyni ich bardziej atrakcyjnymi.

W końcu zsiadliśmy z koni tuż przed budynkiem. Edekon, Oneges i Skylla poprowadzili nas do prostokątnej głównej sali pałacu Attyli, w której władca przyjmował gości i poselstwa. Była skromna jak na cesarskie standardy, wystarczająco obszerna, by pomieścić setkę ludzi. Drewniane podłogi przykryte były dywanami, obelkowany sufit wisiał dziesięć metrów nad naszymi głowami.

Najwidoczniej zaprowadzono nas do sali tronowej. Draperie i zdobyczne legionowe insygnia ozdabiały ściany, a małe okratowane okna wpuszczały do środka promienie słoneczne. Uzbrojeni strażnicy stali w kątach sali, a huńscy możnowładcy siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na dywanach po obu stronach pomieszczenia - niscy, smagli i podobni do małp. Moje dziecięce wyobrażenie o barbarzyńcach, których uosobieniem byli wysocy i pełni gracji Nubijczycy lub mocno zbudowani Germanowie, legło w gruzach. Hunowie przypominali raczej gnomów obrośniętych plataniną

twardych mięśni. Obserwowali nas uważnie swymi skośnymi oczami, nosy mieli szerokie i płaskie, usta zaciśnięte i nieokazujące żadnych emocji. U boku każdego leżał miecz, a za plecami oparte o ścianę stały łuk i strzały. Byli napięci jak spust kuszy.

Pogrążony w cieniu w dalekim końcu sali, na podwyższeniu, na najzwyklejszym drewnianym krześle siedział mężczyzna; nie nosił ani broni, ani korony, ani innych kosztownych ozdób. Za jego plecami zwisała kurtyna draperii.

Więc tak miał wyglądać władca Hunów? Najpotężniejszy człowiek świata okazał się zupełnym rozczarowaniem.

Attyla ubrany był w zwykły strój, o wiele zwykleszy niż strój każdego z obecnych, pierś miał wypiętą do przodu, stopy pewnie stały na ziemi. Jak każdy Hun miał krótkie nogi, głowa była nienaturalnie duża w porównaniu z resztą ciała.

Stał bez ruchu jakby wyrzeźbiono go z drewna. Był brzydkim mężczyzną, co tylko potwierdzało zasłyszane przeze mnie plotki i opowieści, o płaskim nosie, głęboko osadzonych oczach, które wyglądały tak, jakby wystawały z jaskiń, i rytualnych bliznach znaczących twarz Hunów. Ciekaw byłem, czy okaleczył się po zamordowaniu brata?

Drobny wąs króla opadał, tworząc coś, co pozwoliłem sobie nazwać huńskim grymasem, brodę miał rzadką i przyprószoną siwizną. Spojrzenie było wciąż ostre i przeszywające na wylot, brwi krzaczaste, a kości policzkowe i podbródek wystające. Wszystko razem dawało twarz bez najmniejszych wątpliwości władczą.

Budowa ciała tylko uwydatniała jego prezencję. Był szeroki w ramionach i wąski w pasie, dzięki czemu nawet w wieku czterdziestu czterech lat wyglądał wciąż jak dwudziestolatek. Dłonie miał duże, brązowe i wykrzywione jak korzenie drzewa; zaciskał je na poręczach tronu, jakby się bał, iż uniesie się w powietrze. Nie nosił

na sobie nic, co mogłoby wskazywać na jego godność, choć bez jednego słowa i bez jednego gestu zdawał się całkowicie panować nad zebranymi w pomieszczeniu ludźmi, tak jak matka sprawuje władzę nad pokojem pełnym dzieci. Attyla własnoręcznie zgładził setkę ludzi, rozkazał zabić setki tysięcy i cała ta przelana krew dawała mu obecną władzę i siłę.

Za jego plecami wisiał ogromny żelazny miecz spoczywający na dwóch połączonych kołkach. Zardzewiała i ciemny, o wyszczerbionych krawędziach. Był

tak ogromny, iż gdyby ustawić go przy mnie, sięgałby mi od stóp do policzków.

Musiała go wykuć jakaś dawna rasa olbrzymów, niepodobna by był dziełem rąk ludzkich.

Maksyminus też go zauważył. - Czy to właśnie jest miecz Marsa? - wyszeptał

do Bigilasa. - Człowiek prędzej uniósłby i zadał cios drewnianym palem niż tym kawałem żelaza.

- Historia głosi, że znaleziono go blisko brzegó w Cisy, gdy jedna z pasących się krów skaleczyła o coś kopyto - Bigilas odpowiedział szeptem. - Pasterze zawiadomili Attyłę, który kazał go wykopać i stwierdził, iż musi stanowić przyjazny znak od bogów. Hunowie są na tyle przesądni, że bez zastrzeżeń uwierzyli w słowa swego władcy.

Czekaliśmy na jakiś znak, nie wiedząc, jak się zachować, gdy nagle Attyła przemówił, nie czyniąc żadnego wstępu, nie do nas, lecz do swoich wojowników. -

Wysłałem cię Edekonie po pokój i skarby, a ty przyprowadziłeś mi jedynie ludzi. -

Głos miał niski, lecz przyjemny. Pobrzmiwała w nim siła i nieskrywane niezadowolenie. Chciał złota, nie kolejnego poselstwa.

- Rzymianie nalegali na spotkanie z tobą, kaganie - odpowiedział wódz. -

Najwidoczniej nie zadowolili ich moje słowa. A może poczuli potrzebę, by wyjaśnić ci swą krnąbrność osobiście. Jakakolwiek byłaby przyczyna, przywieźli dary.

- Jak i prośbę cesarza o pokój i zrozumienie - dodał Maksyminus pośpiesznie, gdy skończyliśmy tłumaczyć. - Zbyt długo nie zgadzaliśmy się ze sobą. - Attyła przyglądał się nam jak lew skradający się do stada antylop. - Nie ma między nami nieporozumień - powiedział w końcu. - Jesteśmy dla siebie pełni zrozumienia, które potwierdziliśmy traktatem, gdy pobiłem was, tak jak pobiłem każdą inną armię, jaka stanęła na mojej drodze. Dlatego musicie płacić mi daninę. Przesyłacie ją zawsze za późno lub mniejszą albo w monecie, choć wiecie, że żądam złota.

Czyż nie tak się sprawy mają, ambasadorze? A może muszę osobiście ruszyć do Konstantynopola, by dostać to, co mi się należy? Jeśli tak, ruszą ze mną wojownicy liczni jak źdźbła trawy na stepie. - W tonie głosu słuchać było pomruk ostrzeżenia. Hunowie, słysząc jego słowa, poczęli szeptać między sobą, salę wypełniły głosy niczym bzyzące w ulu pszczoły.

- Każdy szanuje potężnego Attyłę - próbował ułagodzić Huna senator, najwidoczniej zmieszany grubiańskim i szybkim przejściem do rozmów. -

Przywieźliśmy nie tylko część rocznego trybutu, lecz również dodatkowe dary.

Nasze cesarstwo pragnie pokoju.

- Więc dotrzymujcie umów.

- Ależ twoje pragnienie złota niszczy nasz handel. Jeśli szybko nie złagodzisz swych żądań, już niedługo nie będziemy mieli czym płacić. Rządzisz wielkim imperium, kaganie. Ja przybywam z równie wielkiego. Czemu zatem nie jesteśmy przyjaciółmi? Czemu nie możemy być partnerami? Nasza rywalizacja wyczerpie oba narody. Już teraz przelewamy krew naszych dzieci.

- Rzym jest moim partnerem. Gdy płaci daninę. I odsyła moich żołnierzy.

- Przywieźliśmy ze sobą piątkę zbiegów.

- I dalsie schronienie pięciu tysiącom - król odwrócił się do Edekona. -

Powiedz mi, wodzu, czy Konstantynopol jest zbyt biedny, by dać mi to, co obiecał?

- Jest bogaty, hałaśliwy i po brzegi wypełniony ludźmi jak klatka ptakami -

Edekon wskazał dłonią Bigilasa. - Sam mi pokazywał.

- A tak. Człowiek, który sądzi, że jego cesarz jest bogiem, ja zaś zwykłym człowiekiem.

Stałem zdumiony. W jaki sposób Attyla dowiedział się tak szybko o naszej scysji? Dopiero co dotarliśmy do obozu, a negocjacje już wymykały się spod kontroli.

Attyla stał wyprostowany jak struna. - Jestem człowiekiem, tłumaczu. Lecz przeze mnie i moje czyny, jak szybko się przekonasz, przemawiają bogowie. Patrz -

wskazał ogromny miecz za sobą. - We śnie przyszedł do mnie Zolbon, którego wy zwiecie Marsem, i wyjawiał mi miejsce, gdzieś pośród bezkresnych równin, w którym odnajdę jego miecz. Dzięki niemu, powiedział, Hunowie staną się niepokonani. Z mieczem Marsa Ludzie Świtu zawładną całym światem!

Wzniósł ramiona, a jego wodzowie pośpiesznie powstali z klęczek, wrzeszcząc w aprobacie. Ścisnęliśmy się blisko siebie, bojąc się o życie. Attyla opuścił

ramiona i okrzyki nagle zamarły, a Hunowie równie szybko usiedli na swych miejscach. Wszystko było zatem wcześniej zaplanowane.

- Słuchajcie mnie, Rzymianie. Ludzie Świtu są teraz waszymi nowymi bogami.

Od naszego kaprysu zależy, czy ktoś będzie żył, czy umrze; które miasto będzie kwitło, a które spłonie; kto idzie do przodu, a kto się cofa. Bo to my mamy miecz Marsa - pokiwał głową, upewniając sam siebie we własnej arogancji. - Będę jednak dobrym gospodarzem, tak jak wy byliście dla Edekona. Dziś wieczorem będziemy ucztować i poznamy się lepiej. Wasza wizyta dopiero się zaczyna. Z

czasem zdecydujemy, jakiego rodzaju partnerami zostaniemy.

Zszokowane takim przyjęciem nasze poselstwo wycofało się do namiotów rozbitych przy rzece, by odpocząć i się naradzić. Bigilas i Rustycjusz posiadający największą wiedzę o Hunach byli najmniej zdziwieni. Wyjaśnili, że agresywne słowa Attyli były jedynie zwyczajną i zawsze stosowaną taktyką.

- Wykorzystuje swe nastroje, by zastraszać i rządzić - powiedział Bigilas. -

Widziałem go w takim szale, że wił się na ziemi, póki krew nie trysnęła mu z nosa. Widziałem, jak własnymi rękoma rozrywał człowieka na sztuki, wydłubując mu oczy i łamiąc ręce, gdy ofiara stała bez ruchu sparaliżowana strachem i niezdolna do jakiegokolwiek obrony. Widziałem go też trzymającego w ramionach małe dziecko i całującego je czule. Widziałem, jak oplakiwał śmierć

ulubionego wojownika, nie wstydząc się łez.

- Spodziewałem się spokojnej rozmowy - zwierzył się Maksyminus.

- Attyła będzie bardziej gościnnie i mniej wymagający podczas uczy - wyjaśnił

Bigilas. - Musiał postąpić tak jak my, gdy pokazaliśmy Hunom potęgę Konstantynopola. Oczywiście jest, że wieści o tym wyprzedziły nasze poselstwo i dotarły do Attyli przed nami. Hunowie nie są głupcami. Teraz, po pogrózkach, Attyła dążyć będzie do ugody i sojuszu.

- Jesteś szalenie pewny swoich słów.

- Nie chcę czynić żadnych przypuszczeń, ambasadorze. Po prostu wydaje mi się, że ostatecznie rzeczy potoczą się po naszej myśli - powiedział i uśmiechnął się tajemniczo.

Wykapaliśmy się w wodzie z rzeki, ciepłej od letniego słońca. Wdzialiśmy lepsze szaty i wróciliśmy nocą do tej samej sali na powitalną ucztę. Tym razem powiększono pomieszczenie. Draperie i przepierzenia wiszące za plecami Attyli zdjęto, odsłaniając podwyższenie, na którym stało królewskie łoże przykryte baldachimem. Dziwne wydało mi się pokazywanie swojej sypialni, zwłaszcza gdy u Rzymian te komnaty były z reguły małe i umieszczone w ustronnym miejscu, lecz Rustycjusz wyjaśnił mi, że taka poufałość uważana była przez Hunów za przejaw gościnności. Nasz gospodarz zapraszał nas do samego środka swego życia!

U stóp podwyższenia oczekiwał Attyła siedzący na kanapie o wiele wygodniejszej niż proste, drewniane krzesło, na którym nas przywitał. W poprzek pokoju - od kanapy po drzwi - ustawiono długi stół. Gdy goście weszli, każdemu wręczono złoty puchar wypełniony po brzegi winem. Potem wszyscy zbili się w kupę, wytwornie ubrani Rzymianie pośród Hunów, Germanów i Gepidów czekających na pozwolenie do rozpoczęcia uczy. Zauważyłem, że Edekon wyszeptał parę słów do ucha Bigi lasowi, jakby znali się od dawna. Tłumacz przytaknął ruchem głowy. Maksyminus, który też to dostrzegł, zmarszczył brwi.

W końcu Attyła pozwolił wszystkim usiąść, jego minister - Rzymianin z urodzenia - Onegiusz siedział po jego prawicy, zaś dwóch synów, Ellak i Dengizech, zasiadło po jego lewej stronie. Chłopcy wyglądali na przestraszonych, nie okazywali typowej dla ich wieku niesforności. Nam też kazano usiąść po lewicy, Maksyminus zajął miejsce najbliższe szczytu stołują przy jego boku, by sporządzać notatki, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Za nami miejsca zajęli Hunowie, pośród nich Edekon, Oneges i Skylla, każ dy przedstawił się w swoim języku.

Było ich zbyt wielu, bym mógł wszystkich spamiętać. Nosili dziwaczne imiona: Oktar, Balan, Eskam, Totila, Brik, Agus, Sturak. Każdy, zanim zasiadł, chwalił

się przez chwilę czynami, których dokonał na polu bitewnym. Większość opowieści odnosiła się do zwycięstw odniesionych nad rzymskimi wojskami i do łupienia rzymskich miast. Za ich plecami stało jeszcze więcej buńczuków huńskich plemion o trudnych do wymówienia i spamiętania nazwach.

Wysocy niewolnicy o ramionach grubych jak drewniane konary, noszący na szyi obroże niczym psy,

wnieśli potrawy. Ogromne tace ze srebra i złota ugięły się od drobiu, dziczyzny, baraniny, owoców, korzeni i deserów. Kobiety nalewały do pucharów wino i kumys. Piękniejszych niewiast nie widziałem w całym swoim życiu - nawet pośród tych wybieranych w Konstantynopolu do ozdabiania uroczystości. Jakże bardzo uroda wyniosłej Oliwii ustępowała wdziękowi sunących przed moimi oczami piękności! Wszystkie były brankami, po kolorze skóry można było się domyślać, skąd pochodzą - ciemna jak mahoń lub półprzezroczysta jak biały alabaster. Ich ojczyzny leżały od Persji po Fryzję, włosy miały kolor płócien, pszenicy, bursztynu i obsydianu, oczy odcień szafiru, szmaragdu, kasztanu, opalu bądź hebanu. Hunowie nie okazywali im specjalnej uwagi, zaś my, Rzymianie, wszyscy z wyjątkiem Maksymina, nie mogliśmy wprost oderwać od nich oczu.

Przyznaję, iż chciałem, by po uczcie zaofiarowano nam podobną gościnę jak w domu Aniki. Gdyby tak się stało, zamierzałem oddalić się od wiekowego senatora i w pełni wykorzystać nadarzącą się okazję! Jakże strasznie pragnąłem wythnienia od ciągłego towarzystwa mężczyzny, ciało gotowe było wybuchnąć.

Pamiętałem przyjacielskie ostrzeżenie Skylli.

Jedną z czarnowłosych kobiet poznałem od razu, gdyż stała przy bramie, gdy wjeżdżaliśmy do obozu. Twarz zdradzała inteligencję, wewnętrzny ogień i tęsknotę, które tylko dodawały jej rzadkiej urodzie blasku. Krzątała się po sali, jakby unosiła się w powietrzu i mógłbym przysiąc, że odwracała się czasami w moją stronę, gdyż nieustannie śledziłem ją wzrokiem.

- Jak na człowieka, który nie chciał pośród Hunów stracić głowy, Jonaszu, dziwnie się do tego zabierasz. Obawiam się, że ukręcisz ją sobie, jeśli nie przestaniesz tak jej wyciągać i obracać, wodząc tęsknie wzrokiem za tą posługującą dziewczyną - senator zbeształ mnie cicho po łacinie, przyglądając się siedzącym naprzeciwko Hunom.

Wbiłem wzrok w talerz. - Nie sądziłem, że tak bardzo rzucam się w oczy.

- Możesz być pewien, że Attyla widzi wszystko, co robimy.

Kagan tym razem też ubrał się zwyczajnie. Nie nosił żadnych ozdób, żadnej korony. Gdy jego wodzowie ucztowali na zdobycznych złotych talerzach, jadł z drewnianej miski i pił z drewnianego kubka, rzadko zabierając głos. Zamiast alkoholu wołał wodę. Gardził chlebem i nie brał do ust niczego słodkiego.

Przyglądał się zebrany głęboko osadzonymi, czarnymi, pochłaniającymi wszystko oczami, jakby był widz w teatrze. W cieniu łoża dostrzegłem kobiecą figurę.

- Kim ona jest? - spytałem Maksymina.

- To królowa Hereka, pierwsza pośród żon i matka następców tronu. Ma własny dom, lecz towarzyszy mężowi przy wydarzeniach wagi państwowej.

Synowie Attyli jedli, siedząc sztywno. Nie śmieli spojrzeć w oczy ojca lub odezwać się do siedzących obok. Do sali wszedł trzeci chłopiec, uklonił się matce i podszedł do króla. Był młodszy

od dwójki braci. Po raz pierwszy na twarzy Attyli zakwitł uśmiech, uszczypnęła chłopca w policzek.

- A on?

- Ulubiony syn, Ernak.

- Czemu ulubiony?

Rustycjusz pochylił się i szepnął: - Wróżowie przepowiedzieli Attyli, że huńskie imperium rozpadnie się po jego śmierci, lecz wskrzesi je Ernak.

- Attyla przegra? - Tym razem to ja byłem zaniepokojony. Wpierw Rzymowi przepowiadano koniec, teraz Attyli. Sprzeczne przepowiednie! Patrząc dziś na niego, nie liczyłbym na klęskę Hunów.

- Ma zginąć dopiero po tym, jak zniszczy Rzym.

Do naszych uszu doleciała muzyka - bębny, piszczałki i jakieś nieznane mi instrumenty - a Hunowie poczęli żywo śpiewać. Głos dobywał się z ich trzewi, przez co śpiew był dziwny, niemalże hipnotyzujący, podobny do bzyczenia pszczół. Gdy instrumenty, hałas i wypite wino zaczęły utrudniać tłumaczenie, zdałem sobie sprawę, że w pieśni Hunowie też opiewali odniesione nad wrogiem zwycięstwa. Słuchałem ballad o triumfach nad Ostrogotami, Gepidami, Rzymianami i Grekami. Barbarzyńcy nie zwracali najmniejszej uwagi na to, że przedstawiciele tych nacji siedzą razem z nimi przy stole. Zwycięzcy, nie obchodziła ich nasza urażona duma.

Po śpiewach przyszedł czas na lżejszą rozrywkę - tańczące kobiety i akrobatów, żonglerów oraz magików, mimów i komików. Attyla przyglądał się im obojętnym wzrokiem, jakby obserwował poruszające się po ścianie cienie.

Nagle na środek sali, fikając kozły i salta, wbiegł karzeł z koroną na skroniach.

Wszyscy Hunowie zawyli zachwyceni. Wszyscy prócz Attyli. Niziołek był

groteskowym stworem o ciemnej skórze, krótkich i grubych nogach, długi ugięty tors i płaskiej, krągłej jak księżyc w pełni twarzy. Można rzec, iż był przesadną karykaturą naszego wyobrażenia o wyglądzie Huna. Zaczął paradować i deklamować piskliwym głosem.

- Zerkon! - krzyknęli ucztujący. - Król wszystkich plemion! - Usta Attyli wykrzywił grymas, jakby występ karła był czymś, co trzeba przeczekać.

- Nasz gospodarz wyraźnie nie lubi niziołka - wyszeptalem. - Czemu?

- Był maskotką Biedy. Attyla nie lubi, gdy się mu przypomina o bracie -

wyjaśnił Bigilas. - Odmieniec nigdy nie należał do jego ulubieńców. Attyla jest zbyt poważny, by docenić farsę i żarty. Po śmierci Biedy podarował go Aecjuszowi, rzymskiemu wodzowi, który żył kiedyś pośród Hunów jako zakładnik. Jednak Bieda nagrodził Zerkona, pozwalając mu poślubić niewolnicę, a ta musiała pozostać w obozie. Karzeł usychał z tęsknoty i Aecjuszowi udało się po

jakimś czasie przekonać Attyłę, by przyjął niziołka z powrotem. Władca zgodził

się i zapewne żałuje swej decyzji do dziś. Obraża i dręczy błazna, a ten znosi wszystko, by pozostać przy swej żonie.

- Czy ona też jest zdeformowana?

- O ile wiem, nie. Jest wysoka, urodziwa i nauczyła się kochać męża.

Małżeństwo pomyślane jako żart stało się dla obojga wybawieniem.

Karzeł uniósł ręce, parodiując pozdrowienie. - Król ropuch pozdrawia Rzym! -

oznajmił. - Skoro nie możecie pokonać nas w walce, spróbujcie przynajmniej w picciu! - Hunowie wybuchnęli śmiechem. Popędził przez salę i wskoczył mi na kolana. Nie spodziewając się tego zupełnie, wyrzuciłem puchar wina. -

Powiedziałem, byście pili, nie wylewali!

- Zejdź ze mnie - wyszeptalem zmieszany.

- Nie! Każdy król potrzebuje tronu! - pochylił się, popatrzył psotnie, obwąchał

Maksyminusa i pocałował jego brodę. - Chyba znalazłem godną mnie małżonkę!

Hunowie znów ryknęli śmiechem.

Senator się zarumienił, a ja nie mogłem się ruszyć ze wstydu. Co miałem robić? Karzeł uczepił się moich szat jak małpka. Rozejrzałem się niespokojnie dookoła. Kobieta, która wcześniej przykuła mój wzrok, obserwowała mnie z ciekawością, by zobaczyć moją reakcję. - Czemu się z nas naśmiewasz? -

syknąłem.

- By ostrzec was przed niebezpieczeństwem - odparł cicho. - Nic nie jest tym, czym się wydaje. - Po tych słowach odskoczył i śmiejąc się szaleńczo, wybiegł z sali.

Cóż do czarta miał na myśli?

Attyła powstał. - Wystarczy tych głupstw. - Były to pierwsze jego słowa tego wieczoru. Zapadła cisza. Wesołość nagle opuściła twarze wszystkich, a zamiast niej pojawiło się na nich napięcie. Król wskazał na nas. - Rzymianie, czy przywieźliście podarunki?

Maksyminus wstał, chwiejąc się trochę, i odpowiedział: - Tak, kaganie. -

Klasnął w dłonie. - Niech je wniosą!

Zwoje różowego i żółtego jedwabiu rozwinęły się na dywanach. Otworzono małe kufry wypełnione mnóstwem monet, stos skrzących się klejnotów rozrzucono na drewnianym talerzu Attyli, wygrawerowane miecze i włócznie oparto o łoża, poświęcone puchary ułożono na ławach, a grzebienie i lustra na skórze lwa.

Hunowie szeptali między sobą pełni chciwości.

- Dowód dobrej woli cesarza - powiedział Maksyminus.

- Wy też zabierzecie ze sobą dowód mojej - odpowiedział Attyla. - Skóry lisów i soboli, święte tobołki od szamanów i moje przyrzeczenie, że dotrzymam umów, które podpiszemy. Takie jest słowo Attyli.

Hunowie zahuczeli zgodnie.

- Jednak Rzym jest bogaty, Konstantynopol zaś najbogatszy z miast - ciągnął. -

Wszyscy o tym wiedzą i zdają sobie sprawę, że podarki, które przywieźliście, są jedynie wstępem. Czyż nie mam racji?

- Nie jesteśmy tak bogaci, jak ci się...

- Pośród Ludzi Świtu traktaty pieczętuje się krwią lub małżeństwem. Myślę o ostatnim i żądam dowodu pierwszego. Cesarz po cesarzu - przysyłali do Hunugurii swych synów i córki. Wódz Aecjusz żył pomiędzy nami, gdy był chłopcem, i zwykłem siłować się z nim na gołej ziemi - uśmiechnął się. - Był starszy, lecz ja i od niego byłem lepszy.

Po sali ponownie rozszedł się śmiech.

Attyla wskazał nagle na Bigilasa. - Tylko ty spośród członków poselstwa masz syna. Prawda?

Bigilas wstał, udając zdziwienie. - Tak, kaganie.

- Twój chłopiec będzie zakładnikiem, gwarantem waszej dobrej woli, gdy trwać będą rozmowy. Będzie dowodem waszego zaufania do Attyli i mojego do was.

- Kaganie, mój syn jest teraz w Konst...

- Wrócisz po niego, a twoi towarzysze poznają w tym czasie życie i zwyczaje Hunów. Dopiero gdy wrócisz z synem, usiądziemy do rozmów, bo dopiero wtedy będę wiedział, że jesteś człowiekiem dotrzymującym danego słowa, gotowym powierzyć w me ręce życie swego syna. Zrozumieliście?

Bigilas popatrzył na Maksyminusa. Aczkolwiek niechętnie, senator pokiwał głową.

- Jak rozkażesz, kaganie. - Tłumacz uklonił się nisko. - Gdyby twoi jeźdźcy wysłali przodem wieści...

- Będą ci towarzyszyć. - Attyła skinął głową. - Teraz udam się na spoczynek.

Wraz z tymi słowami uczta dobiegła końca. Goście wstali nagle, jakby ktoś pociągał za sznurki przywiązane do ich kończyn, i poczęli opuszczać pomieszczenie. Hunowie pchali się do przodu, nie siląc się na uprzejmości. Nasz pobyt w obozie dopiero się zaczynał.

Rozejrzałem się dookoła. Czarnowłosa dziewczyna zniknęła. Huńskiej gościnności też nam nie zaofiarowano. Bigilas wcale nie wyglądał na przybitego nagłym żądaniem Attyli. Czyżby tak bardzo chciał wrócić do Konstantynopola?

Widziałem go wymieniającego porozumiewawcze spojrzenia z Edekonem.

Śledziłem też wzrokiem Skyllę. Przyglądał mi się, stojąc w cieniu po drugiej stronie sali. Młody człowiek uśmiechał się kąpiąco, jakby znał jakiś wielki sekret, po czym wymknął się wraz z innymi na zewnątrz.

Rozdział XI

Ilana

Pozwól, że pójde po wodę, Guernno. Germanka popatrzyła na Ilanę z niedowierzaniem. - Ty, Ilano? Nie chciałaś brudzić swych pięknych, małych rączek drwami i dzbanem na wodę, odkąd tu trafiłaś.

Rzymianka wyjęła z rąk Guernny naczynie i ustawił a je na głowie. - Kolejny powód, bym zrobiła to teraz - uśmiechnęła się z udawaną słodyczą. - Może w ten sposób uciszę twoje narzekania.

Gdy wyszła z domu Suekki i szła w kierunku Cisy, Germanka wybiegła za nią i zawołała: - Wiem, co ci chodzi po głowie! Chcesz przejść obok namiotów Rzymian!

Słońce dawno już wzeszło i obóz wreszcie budził się do życia po wieczornej uczcie. Ilana miała nadzieję, że młody Rzymianin już wstał. Jasne barwy namiotów poselstwa łatwo było zauważyć na tle sąsiednich, drewnianych domostw. Wśród otaczających ją szarości i brązów tęskniła za różnokolorowymi bazarami cywilizowanego świata. Zdziwiła się, jak bardzo poruszył ją przyjazd posłów. Była na pół martwa, wykonując mozolnie codzienne obowiązki i prawie ulegając Skylli. Teraz ponownie chwyciła się nadziei, dostrzegając inne wyjście.

Musiała w jakiś sposób przekonać Rzymian, by wykupili ją z niewoli. Kluczem do tego miał być pisarz i historyk wyprawy, któ ry przez cały wieczór wodził za nią wzrokiem.

Rok temu przeraziłaby ją sama myśl o podobnym wyrachowaniu. Miłość była rzeczą świętą, ojej rękę zabiegało wielu konkurentów, nim wreszcie wybrała Tasiona. Tak było przed śmiercią ukochanego, przed śmiercią ojca i zanim Skylla postanowił ją poślubić. Jeśli się zgodzi, spędzi resztę swych dni, wędrując z barbarzyńcami od pastwiska do pastwiska, rodząc huńskie dzieci i patrząc, jak niszczą znany jej świat. Była przekonana, że zwykli Rzymianie nie mieli najmniejszego pojęcia o niebezpieczeństwie, któremu będą musieli stawić czoła.

Póki nie skończyło się jej normalne życie, sama nie zdawała sobie z tego sprawy.

Ilana założyła rzymską suknie, którą miała na sobie, gdy ją uprowadzono.

Starannie umyła i rozczesała włosy. Huński pas ze złotych ogniw podkreślał

wiotką talię, a medalion obfitość biustu. Wiszące na przytrzymującej dzban ręce rzymskie bransolety odbijały promienie słoneczne i skupiały na niej uwagę. Po raz pierwszy, odkąd została porwana, chciała wyglądać pięknie.

Dostrzegła Rzymianina przy namiotach, gdzie oporzą dzał siwą klacz. Był

nawet przystojny i - miała nadzieję - zupełnie nieświadomy motywów kierujących kobiecym postępowaniem. Szła w polu jego widzenia, patrząc przed siebie, i w pewnym momencie wystraszyła się, że może jej nie zauważyć, tak bardzo pochłonęło go szcztokowanie przeklętego konia! Będzie musiała spróbować raz jeszcze, wracając od rzeki! Nagle wyprostował się i gdy tylko to zrobił, Ilana potknęła się rozmyślnie, łapiąc spadający z głowy dzban tuż przed Jonaszem. -

Ojej!

- Pozwól, że ci pomogę - zawołał po łacinie.

- Nic się nie stało - odpowiedziała w tym samym języku, udając zdziwienie. -

Nie zauważyłam cię. - Przytuliła do piersi gliniane naczynie jak głowę kochanka.

Podszedł bliżej. - Sądziłem, że możesz być Rzymianką. Po twoim zachowaniu i wyglądzie.

Był zbyt uprzejmy, jeszcze niezahartowany przez życie i przez chwilę zważyła w powodzenie swojego planu. Potrzebowała kogoś silnego, silniejszego niż ten chłopiec.

- Widziałem cię posługującą przy uczcie - ciągnął. - Jak masz na imię?

- Ilana.

- Ładne imię. Ja nazywam się Jonasz Alabanda. Mieszkam w Konstantynopolu.

A ty skąd pochodzisz?

Spuściła celowo wzrok i odpowiedziała smutno: - Z Aksjopolis. W pobliżu Morza Czarnego. Z miasta, które Grecy zwą Heraklea.

- Słyszałem o nim. Dostałaś się do niewoli razem z innymi?

- Edekon złupił moje miasto.

- Edekon! To z nim przyjechaliśmy z Konstantynopola.

- Skylla, huński wojownik, porwał mnie i przywiózł tu przerzuconą przez grzbiet konia.

- Skyllę też znam!

- Łączy nas zatem więcej niż tylko pochodzenie - uśmiechnęła się smutno.

Wyciągnął do niej rękę. - Daj, pomogę ci nieść.

- To zajęcie dla kobiet. Poza tym nie jest ciężki, gdy pusty.

- Odprowadzę cię więc do rzeki - uśmiechnął się przyjaźnie. - Twoje towarzystwo będzie chyba miłsze niż towarzystwo Edekona i Skylli.

Szło lepiej, niż myślała. Ruszyli w stronę rzeki, bliskość Rzymianina dodawała jeszcze blasku temu słonecznemu przedpołudniu. Trawa wydała się jej nagle bardziej zielona, a niebo bardziej błękitne. - Jesteś za młody, by uczestniczyć w tak ważnej misji - powiedziała. - Musisz być mądrzejszy niż przeciętni młodzieńcy w twoim wieku.

- Po prostu mówię po huńsku i lubię pisać. Mam nadzieję napisać kiedyś historię tej wyprawy.

- Musisz zatem pochodzić z dobrej rodziny. - Miała nadzieję, że odpowie twierdząco. Mógłby wtedy wykupić ją z niewoli.

- Niestety, los nam nie sprzyja. Liczę, że odmieni go mój udział w tym poselstwie.

Taka odpowiedź ją zawiodła. Doszli do porośniętego trawą brzegu rzeki. Cisa płynęła leniwie, wyschnięte błoto wskazywało, jak bardzo poziom wody opadł od wiosny. Zatrzymała się, by zaczerpnąć wody, rozmyślnie spowalniając ruchy. -

Przynajmniej dzięki tej misji dane było nam się spotkać i poznać - powiedziała.

- Do kogo należysz?

- Moją panią jest Suekka, żona Edekona.

Przyglądał się jej, gdy próbowała złapać równowagę. - Zapytam go o ciebie.

Serce podskoczyło w jej piersi. - Gdybyście mogli mnie wykupić, służyłabym poselstwu w powrotnej drodze - powiedziała. Słowa dobywały się z gardła szybciej, niż tego chciała. - Umiem gotować, szyć... - spostrzegła rozbawienie i zainteresowanie rysujące się na twarzy Jonasza i zatrzymała się w połowie zdania. -

Chciałam tylko powiedzieć, że nie byłabym zbędnym i zawadzającym ciężarem. -

Ustawiła dzban na głowie i ostrożnie ruszyła z powrotem do obozu, wiedząc, że Suekce brakować będzie jej rąk i niedługo zacznie się zastanawiać nad zniknięciem branki.

- Mogłabym wam wiele powiedzieć o Hunach. Mam też krewnych w Konstantynopolu, którzy mogliby...

Desperacko starała się zainteresować go swoją osobą. Gdy bełkotała załośnie, obiecując wszystko, co przyszło jej na myśl - jakże nienawidziła tej swojej bezradności i błagania o pomoc - usłyszała nagle tętent kopyt i pomiędzy nią a Jonasza wbiegł kuc, odrzucając chłopaka na bok i wylewając trochę wody.

- Kobieto! Co robisz tu z Rzymianinem?!

To był Skylla siedzący okrakiem na swym wierzchowcu - Drilce.

- Poszłam tylko nabrać wody.

Jonasz chwycił konia za uzdę. - To ja zacząłem rozmowę.

Skylla wyciągnął ku niemu bat. - Puść. Wziąłem tę kobietę po bitwie i teraz jest niewolnicą mojego wuja. Nie może bez pozwolenia rozmawiać z żadnym napotkanym człowiekiem, zwłaszcza z tobą.

Jeśli o tym nie wie, Suekka wbije jej to do głowy!

- Nie ukarzesz Rzymianki za to tylko, że rozmawiała z Rzymianinem.

- W głosie Jonasza słyhać było delikatne ostrzeżenie. Ilana domyśliła się od razu, że pomiędzy tą dwójką doszło już do jakichś zatargów. Była jednocześnie podekscytowana, jak i pełna obaw. Jak mogła najlepiej wykorzystać tę sytuację?

Jak mogła być aż tak wyrachowana?

- Już nie jest Rzymianką! Niewolnica nie ma potrzeby szukać towarzystwa dyplomaty! Dobrze o tym wie! Jeśli chce być wolna, niech zgodzi się na małżeństwo!

Jonasz szarpnął wodze, odwracając łeb konia i zmuszając go do uskoku. -

Zostaw ją w spokoju, Skylllo.

Hun uderzył batem dłoń trzymającą uzdę, oparł nogę na piersi Rzymianina i kopnął. Jonasz, zupełnie zaskoczony, poleciał do tyłu, upokorzony upadając na pośladki. Skylla zawrócił konia i pochwycił z ziemi Ilanę. Dzban upadł i rozbił się o kamienie. - Ona należy do mnie! Mówiłem ci o tym! - Dziewczyna opierała się, lecz ścisnął ją w pasie tak mocno, że nic nie mogła zrobić. - Trzymaj się swoich, Rzymianinie!

- Jonasz rzucił się w stronę Skylli, lecz nim do niego dopadł, Hun krzyknął

wojowniczo i pogalopował przez obozowisko. Przyglądający się wszystkiemu ludzie krzyczeli i śmiali się, gdy ich mijał; Ilana zwisała bezradnie, stopami niemalże dotykając ziemi i podskakując jak szmaciana lalka, póki nie zrzucił jej przed drzwiami domu Suekki. Zachwiała się, z trudem łapiąc oddech, gdy podniecony Hun zataczał wokół niej kręgi.

- Trzymaj się z dala od Rzymianina - ostrzegł, wykrzywiając ciało, by móc na nią patrzeć, jednocześnie próbując uspokoić konia. - Ja jestem twoją przyszłością.

Oczy płonęły jej wściekle. - Też jestem Rzymianką! Czy nie widzisz, że cię nie chcę?

- A ja cię kocham, księżniczko. Wart jestem tuzina takich jak on - uśmiechnął

się szelmowsko. - Dostrzeżesz to. Kiedyś.

Ilana odwróciła się zdenerwowana. Nie było nic trudniejszego do zniesienia niż być kochanym przez kogoś, kogo się nie kochało. - Proszę, zostaw mnie w spokoju.

- Powiedz Suekce, że dam jej nowy dzban!

Zawrócił konia i pogalopował w dal.

Nigdy nie czułem się równie poniżony i wściekły. Hun zaskoczył mnie i zniknął jak tchórz, ginąc w

morzu ludzi. Był em pewien, że Skylli nie wiąże z dziewczyną nic poważnego, bez względu na to, co utrzymywał i co sobie wyobrażał. Kusiło mnie, by wydobyć ze sterty bagaży broń i wyzwąć go na pojedynek. Jako dyplomata wiedziałem, że nie wolno mi tego zrobić.

Rzykowałem gniew Maksymina samą rozmową z Ilaną. Była jednak Rzymianką. Urodziwą i - jeśli rzeczywiście Skylla wiązał z nią swoją przyszłość -

potrzebującą pomocy. Dla człowieka w moim wieku i mojego charakteru brzmiał o to jak gotowy przepis na zauroczenie.

Otrzeptałem się z pyłu, zły z powodu śmiejących się z mojego upokorzenia Hunów, i spróbowałem wymyślić, co mam robić.

- Nie wygrasz samą siłą - dziwnie piskliwy głos przemówił do mnie po łacinie, czytając w moich myślach. - Do tego potrzebna jest także głowa.

Odwróciłem się. Przede mną stał karzeł występujący wczorajszego wieczoru.

Zerkon, tak go zwali. Jakimż pokracczym i brzydkim był stworzeniem. Zapewne przed chwilą zszedł z drzewa, gdzie musi się kryć przed wzrokiem ludzi.

- Czy prosiłem cię o radę?

- Jakiż sens w proszeniu, skoro gołym okiem widać, że jej potrzebujesz? -

Światło dnia jeszcze bardziej uwydatniało godne politowania oblicze. Skórę miał

ciemną, nos płaski, a usta szerokie, uszy zbyt duże w stosunku do wielkości głowy, głowę za dużą w stosunku do torsu, tors zaś za duży dla nóg. Plecy częściowo przygarbione, włosy skołtunione, policzki pozbawione zarostu, ze śladami po przebytej ospie. Jedyne oczy nie odstraszały, były duże i brązowe, błyszczały żywo, zdradzając inteligencję. Może Zerkon nie był wcale głupcem, na jakiego wyglądał.

- Szpiegowałeś.

- Trefniś musi przyglądać się lepszym od siebie, jeśli zamierza ich później wyśmiać.

Uśmiechnąłem się krzywo wbrew sobie. - Chcesz zakpić sobie ze mnie, błaznie?

- Już to zrobiłem wczorajszego wieczoru. Zresztą pozwalając wodzić się za nos tej rzymskiej dziewczynie, a potem lądując na tyłku po kopniaku Huna, dajesz sobie świetnie radę bez mojej pomocy. Być może następnym razem przyczepię się do twojego huńskiego przyjaciela.

- Nie jest moim przyjacielem.

- Nigdy nie bądź pewny, kto jest przyjacielem, kto zaś twoim wrogiem. Los zwykł nader często zamieniać obu miejscami.

Błyskotliwe odpowiedzi karła zainteresowały mnie jego osobą. - Mówisz językiem cesarstwa.

- Pochodzę z Afryki. Porzucony przez matkę, której wydawało się, że jestem pomiotem diabła, uprowadzony i sprzedany w niewolę. Jako trefnia przekazywano mnie z jednego dworu na drugi, póki nie spodobałem się Biedzie, którego poczucie humoru było prostsze niż jego surowego i bardziej ambitnego brata. Inni ludzie przez całe życie zapracowują sobie na Hades, ja znalazłem go już w tym życiu - powiedział, przykładając do głowy dłoń i udając, że się nad sobą użala.

- Ktoś mi powiedział, że Attyla podarował cię Aecjuszowi, wodzowi Zachodniego Cesarstwa, lecz wróciłeś z powodu żony.

- Ach, Julia! Mój kochany anioł! Przyłapałeś mnie na kłamstwie. Mówię o piekle, gdy przy niej znalazłem niebo. Czy możesz sobie wyobrazić, że tęskniła bardziej niż ja? I co powiesz na to?

- Byłem zdumiony. Bigilas powiedział, że kobieta nie była wcale brzydka. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak mógł wyglądać ich związek. - Że ma specyficzny gust.

Karzeł zaśmiał się szczerze.

- Lub że patrzy głębiej niż tylko na powłokę - dodałem, dotykając skóry na dłoni.

Zerkon uklonił się głęboko. - Masz nosa do pochlebstw jak prawdziwy dyplomata, Jonaszu Alabando. Tak wszakże masz na imię. A może inaczej?

- Nie myliłem się. Jesteś szpiegiem.

- Dobrym słuchaczem, a tych niewielu jest na ś wiecie. Słyszę wiele rzeczy, a widzę jeszcze więcej. Jeśli opowiesz mi coś o Konstantynopolu, ja powiem ci w zamian coś o Hunach.

- O czym chciałbyś usłyszeć?

- Opowiedz mi o pałacach, igrzyskach i wykwintnych potrawach. Śnię o nich, jak spragniony śni o kropli wody.

- Stolica jest zdecydowanie wspanialsza niż to, co nas otacza. Jest największym miastem na całym świecie. Co do Hunów zdążyłem już się dowiedzieć, że są arogancy, chamscy, prości, niewykształceni i że wpieryw poczujesz zapach Huna, zanim go zobaczysz. Nie jestem pewien, czy jest coś jeszcze poza tym, czego mógłbym się o nich dowiedzieć od ciebie.

- Och, mylisz się! I to bardzo! Jeśli polubiłeś Ilanę i gardzisz Skyllą, powinieneś iść ze mną - powiedział i ruszył na północ wzdłuż brzegu rzeki kołysząc biodrami krokiem, który był jednocześnie komiczny i godny pożałowania. Zawahałem się. W towarzystwie kalek i chorych zawsze czułem się nieswojo. - Chodź, chodź. Moja postura nie jest zaraźliwa.

Zwolniłem swój zwyczajny chód, by móc iść przy nim. Dzieciaki biegały dookoła, rzucając wyzwiska. Nie śmiały jednak zanadto zbliżyć się do dziwnego, małego potwora i wysokiego, tajemniczego Rzymianina.

- Jak stałeś się błaznem? - zapytałem, gdy Zerkon długo się nie odzywał.

- Kim innym mogłem zostać? Za niski, by być żołnierzem lub robotnikiem.

Zbyt pokraczny, by być poetą lub pieśniarzem. Ośmieszanie moźnych było jedynym sposobem na ocalenie życia.

- Szlachetnego Flawiusza Aecjusza także?

- Najbardziej kompetentni najczęściej śmieją się z samych siebie.

- Czy taka jest twoja opinia o sławnym wodzu?

- Prawdę mówiąc, rozrywki nigdy nie zaprzętały mu głowy. Nie był niemiły i próżny, jedynie zaprzętnięty myślami. Wierzy w ideę, którą zwie Rzymem, choć brakuje mu armii, by wskrzesić ją z martwych. Dlatego jednego dnia walczy, układa się drugiego, trzeciego zaś przekupuje. Jest niepospolitym człowiekiem, który niemalże w pojedynkę utrzymuje w całości Zachodnie Cesarstwo i za co, rzecz oczywista, zasłużył sobie na nienawiść i pogardę wydających mu rozkazy.

Niekompetencja najbardziej ze wszystkich zalet nienawidzi prawdziwej cnoty.

Zapamiętaj dobrze moje słowa. Pewnego dnia Walentynian ukarze Aecjusza za jego odwagę i poświęcenie.

- Nigdy nie wyruszył na pomoc Wschodowi.

- Z czym? Ludzie, którzy dręczą waszą część cesarstwa, w naszej najmowani są do utrzymywania porządku. Pracują dla Aecjusza i zabierają wam. Wiem, że brzmi to bezdusznie, ale to jedyny sposób na utrzymanie w ryzach innych plemion.

- Co możesz mi powiedzieć o Hunach, czego jeszcze nie wiem?

- Nie powiem, pokażę. Pomogę ci dostrzec. Naucz się myśleć samodzielnie, Jonaszu Alabando, a staniesz się znieawidzonym przez wszystkich, budzącym strach i dobrze prosperującym człowiekiem. Po pierwsze, przyjrzyj się uważnie osadzie przy rzece. Domy ciągną się w nieskończoność, prawda?

- Hunowie są licznym narodem.

- Czy w obozie znajduje się więcej ludzi niż w Konstantynopolu?

- Oczywiście, że nie.

- Więcej niż w Rzymie? Niż w Aleksandrii?

- Nie...

- Jednak człowiek jedzący z drewnianej misy i pijący z drewnianego kubka, prowadzący ludzi nieumiejących siać, kuć ni budować, ludzi żerujących na innych, by zapewnić sobie wszystko, czego potrzebują wierzy, że jego przeznaczeniem jest władanie światem. Czemu? Z powodu ich liczby? A może z powodu silnej woli?

- Hunowie są wspaniałymi i strasznymi wojownikami.

- Nie przeczę. Spójrz tam - doszliśmy do miejsca, z którego widzieliśmy drugi brzeg, a na nim łąkę używaną do wypasania i ujeżdżania wierzchowców, karzeł

wskazywał ją dłonią. Dwudziestu barbarzyńców ćwiczyło z łukiem. Galopowali jeden za drugim w pełnym pędzie, dobywając z kołczanów strzał w śmiertelnośnym rytmie i wystrzeliwując je z przerażającą szybkością. Ich celem były umieszczone na tyczkach melony ustawione pięć dziesiąt kroków dalej.

Strzelcy trafiali do celu tak często, iż krzyczeli i drwili tylko wtedy, gdy któryś z nich spudłował. Błąd był zazwyczaj minimalny. - Wyobraź sobie tysiąc podobnych im szarżujących na ociężały i wolno manewrujący legion - powiedział Zerkon.

- Nie muszę sobie wyobrażać. Było tak zbyt wiele razy. Za każdym razem schodziliśmy z placu boju pokonani.

- Patrz dalej.

Po każdym przejeździe wojownik wracał do poszturchującej się i żartującej grupy, po czym ponownie rozpoczynał ćwiczenie, pędząc przez łąkę. Po trzech lub czterech takich galopach zsiadał z konia szczęśliwy, nie mając już strzał.

- Patrzeć na co?

- Ile zostało im strzał?

- Żadnej, rzecz jasna.

- Jak szybkie są teraz ich kuce?

- Przecież są zmęczone.

- Właśnie. Pokazałem ci więcej, niż kiedykolwiek nauczy się rzymski wódz.

To miałem na myśli, gdy powiedziałem o głowie. Obserwacja i dedukcja.

- Co pokazałeś? Że mogą trafić przeciwnika w oko, szarżując na niego w pełnym galopie? Że mogą przebyć sto mil w ciągu jednego dnia, gdy nasze armie pokonują najwyżej dwadzieścia, maszerując w dodatku po najlepszych drogach?

- Nie. Że w mniej niż godzinę pozbywają się wszystkich strzał i dosiadają zmęczonych koni. Że

chmarę strzał wystrzeliła ledwie garstka ludzi. Że ich jedyna strategia polega na złamaniu woli przeciwnika - szybko i bez okazywania litości ci, ponieważ ich szyki nie są liczne, a wytrzymałość równa jest zeru. Gdyby musieli walczyć nie przez chwilę, lecz przez cały dzień z nieustępliwym i przewyższającym ich liczebnie...

- Przecież to tylko ćwiczenia. Chcieli pozbyć się wszystkich strzał.

- Podobnie może się stać, gdy trafią na chronioną dużymi tarczami piechotę utrzymującą swe pozycje. Konie są jak psy. Złapią uciekającego - człowieka, lecz stojącego w miejscu ominą szerokim łukiem. Armia najeżona włóczniami jak...

- Mówisz o bitwie największej ze wszystkich dotychczas stoczonych. O walce, nie o używaniu głowy.

- Oczywiście, że o walce! Lecz i o woli, by walczyć na własnych zasadach, na własnym terenie. Uzbrojeni i cierpliwi. O wyczekiwaniu na odpowiednią chwilę.

Jest jeszcze jedna rzecz, nad którą powinieneś się zastanowić, skoro tak bardzo podziwiasz ich umiejętności.

- Jaka mianowicie?

- By im dorównać, jeśli zamierzasz przeżyć. Przywiozłeś ze sobą jakąś broń?

- Schowałem ją w jukach.

- Lepiej zrobisz, gdy ją wyciągniesz i zaczniesz ćwiczyć jak Hunowie. Do tego też powinieneś dojść sam. Nigdy nie wiadomo, kiedy okoliczności zmuszą cię do walki lub też do myślenia.

Żartujący wojownicy na drugim brzegu rzeki przypomnieli mi o wczorajszym wieczorze. - Na ucztę, gdy wskoczyłeś mi na kolana, powiedziałeś, że zrobiłeś to, by ostrzec mnie przed niebezpieczeństwem. Bym uważał, gdyż nic nie jest takie, jakie się wydaje.

- Attyła zaprasza was, by rozmawiać o pokoju. Jednak to, co mówi Attyła, nie musi być tym, co ma na myśli. I nie dziw się, jeśli wie więcej o twoich towarzyszach niż ty, Jonaszu z Konstantynopola. Przed takim niebezpieczeństwem chciałem cię ostrzec.

Skylla pozwolił, by koń galopował przed siebie w nieznaną. Pęd powietrza uwolnił go od wrzących w środku emocji. Jazda bez celu przez płaskie równiny Hunugurii była jak zrzucanie krępującej i uciążliwej zbroi. Wszystkie problemy zostawił z sobą: obóz, plemię, kobietę. Raz jeszcze poczuł wolność stepu. Sam Attyła mówił o sile, jaką trzeba czerpać z bezkresnych łąk. Gdy trapiły go wątpliwości, dosiadał konia.

Czemu więc zostawili za plecami stepy i wciąż się od nich oddalali.

Póki nie przybyło poselstwo, poty był pewien, że Ilana będzie w końcu jego.

Ochraniał ją, jak mógł najlepiej. Gdy Attyla wygra ostateczne starcie, nie bę dzie miała innego wyjścia. Teraz zaś flirtowała z Jonaszem wystrojona jak rzymska dziwka. Wściekł się z obawy, iż skryba zdobędzie jej względy tylko dlatego, że jest Rzymianinem. Nie chciał nałożnicy.

Chciał, by kobieta kochała go za to, kim jest, nie by oddawał a mu się bezmyślnie lub bez uczucia. Złościła go jej uparta ślepotą na zalety Hunów.

Ludzie Świtu byli lepsi niż tłumy Rzymian mieszkających na kupie w kamiennych miastach, odważniejsi i potężniejsi... Nie wiedzieć jednak czemu, Skylla czuł się zawsze w towarzystwie głupich Bizantyjczyków gorszy i niepewny własnej wartości. Nienawidził tego uczucia.

Dlatego poranna rozmowa Jonasza i Ilany tak bardzo go rozwścieczyła.

Nie chodziło tylko o to, że Rzymianie mogli czytać w twoich myślach, zaglądając w swe uczone księgi i papieryska lub że nosili piękniejsze stroje albo że potrafili budować z kamienia, który stał przez wieki. Był pewien, że wszystkie te czary nie czyniły ich wcale silniejszymi ani szczęśliwsiymi. Można było ich pokonać w boju, stale martwili się o pieniądze, choć mieli więcej, niż Hun kiedykolwiek by potrzebował, nie potrafili sami przeżyć dnia poza murami swych miast i wyklócali się o stanowiska, rangi i pozycje z zajadłością która nigdy nie przysłaby do głowy prawdziwie wolnemu człowiekowi. Rzymian trapiły tysiące zmartwień, podczas gdy Hunowie nie mieli ż adnych. Hun nie rył w ziemi, nie kopał w poszukiwaniu metali, nie pracował w skwarze słońca, nie ślepl, stercząc w źle oświetlonym sklepie. Czego potrzebował, brał od innych, wszyscy drżeli na jego widok. Tak działo się, odkąd jego lud ruszył za białym jeleniem na zachód, podbijając wszystko i wszystkich, którzy stanęli mu na drodze.

Jednak Rzymianie nim pogardzali. Oczywiście nigdy nie mówili tego wprost, by nie skończyć marnego żywota pod ciosami jego miecza. Niemniej widział tę pogardę i rezerwę w ich spojrzeniach, szeptach i zachowaniu, odkąd wyruszyli z Konstantynopola. Jego imperium rozrastało się, ich gwałtownie się kurczyło, a wciąż mieli czelność traktować Hunów jak gorszych od siebie! Zachowywali się ostrożnie jak przy wściekłych psach - groźnych, lecz niezasługujących na szacunek, gorszych we wszystkim, co wedł ug nich się liczyło. Nawet przez myśl by im nie przeszło, by traktować Ludzi Świtu jak panów. Ich uparta i ś lepa pewność siebie prześladowała go, jak i jego braci, od zawsze. Nawet najdotkliwsza klęska nie mogła zmusić Rzymian do zmiany zdania i przyznania, że Hunowie są od nich lepsi. Jedyne śmierć kończyła ten spór.

Ilana zaś była chyba najtrudniejszą do przekonania osobą. Straciła ojca i męczyznę, którego zamierzała poślubić. Uprawdzono ją z rodzinnego miasta.

Jednak Skylla jej nie zgwałcił, nie uderzył, choć mógł to zrobić. Posadził ją nawet na grzbiecie pięknego kuca, gdy wracali do obozu, by podróż nie była dla niej zbyt uciążliwa. Czy jakkolwiek jeniec kiedykolwiek doświadczył podobnych względów? Dobrze ją karmił, ochraniał przed innymi Hunami, przynosił podarki.

Gdyby go poślubiła, byłaby pierwszą i najważniejszą żoną dobrze rokującego na przyszłość wojownika. Łupiłby i rzucał jej pod nogi wszystko, czego tylko by zapragnęła. Mieliby piękne konie, silne i zdrowe dzieci, ż yliby w społeczności, która pozwalałaby im spełniać swoje zachcianki, spać,

jeść, jeździć wierzchem, polować bądź kochać się zawsze, gdy mieli na to ochotę. Dawał jej cały świat, wiedząc, że niedługo Hunowie obejmą go w posiadanie, a ona traktowała go jak zarazę! Na uczcie widział, jak rzucała pożądlive spojrzenia na młodego Rzymianina, który nie miał nic i niczego nie dokonał. Skylla odchodził od zmysłów.

Rozwścieczyło go zainteresowanie, jakie Jonasz okazywał Hanie. Czy z kobietami Hunów było coś nie w porządku? Nie uważał tak. Były obrotne i ciężko pracowały, wychowano je, by rodziły silne dzieci nawet w najcięższych warunkach, dobierały sobie mężów i płodziły dzieci, nie zwracając uwagi na ból, zarówno w śnieżycy, jak i w skwarze pustyni, gdyż nie miało to dla nich najmniejszego znaczenia. Umiały sporządzić posiłek z jelenia lub polnej myszy, z czegokolwiek, co było akurat pod ręką; potrafiły znaleźć pożywne korzenie w mule rzeki, załadować cały inwentarz na wóz w półtorej godziny i przenieść na plecach dwie sakwy pełne wody. Były jednak zwykłe, zbyt przysadziste i okrągłejsze niż kobiety pochodzące z cesarstwa. Nie miały wdzięku Ilany, nie były światowe, tak jak ona, nie miały jej inteligencji, która ożywiała spojrzenie Rzymianki, gdy coś ją zaciekawiło lub rozdrażniło. Kobieta nie musiała być mądra, lecz przyłapał się na tym, że właśnie ta cecha podobała mu się u Ilany najbardziej. Nie mógł pojąć, z jakich powodów. Nie wiedział, co począć!

Uosabiała w doskonały sposób rzymską arogancję, której tak bardzo nienawidził.

Arogancję, którą pragnął mieć, by dzięki niej podbudować własną pewność siebie.

Takie pragnienie zaległo się w głowach wszystkich Hunów. Najazd na Europę uczynił z nich ludzi potężnych, lecz ciągle ich zmieniał. Siłę jego ludu osłabiała mieszane małżeństwa i adopcje. W lasach na północy i na zachodzie konie przestawały być przydatne. Ludzie, walczący kiedyś dla zwykłej przyjemności, teraz nieustannie mówili o żołdzie, łupach, daninie i dobrach, które musieli zwozić, by zaspokoić swe coraz bardziej chciwe żony. Plemiona, wędrujące do tej pory zgodnie z porami roku, osiedlały się na zatłoczonych pastwiskach Hunugurii.

Attyla ostrzegał swych wojowników, by byli ostrożni, by nie pozwolili Europie zawładnąć sobą, tak jak oni władali Europą. Dlatego jadał ze zwykłych drewnianych talerzy i odmawiał przystrajania swych szat, przypominając Hunom o ich surowych korzeniach, które uczyniły z nich niezwycięzonych wojowników odpornych na wszystkie przeciwności.

Każdy Hun wiedział, o czym mówił Attyla, lecz i tak ulegali, prawie wbrew własnej woli, pokusom otaczającego ich świata. Gdy władca jadł z drewnianej zastawy, jego wodzowie ucztowali na złotych talerzach. Nie śnili już o stepie, lecz o bizantyjskich kurtyzanach.

Skylla obawiał się, że to właśnie będzie ich zgubą.

Musi zgładzić Alabandę, porwać Ilanę i uciec z nią na wschód. Trzeba tylko poczekać na powrót Bigilasa i jego syna wraz z pięćdziesięcioma funtami złota.

Wtedy nadarzy się ku temu sprzyjająca okazja.

Rozdział XII

Wykryty spisek

Dyplomacja, jak wyjaśnił mi kiedyś Maksyminus, jest sztuką cierpliwości. Tak długo, jak trwają rozmowy, nie sięga się po broń. Ugoda niemożliwa do zawarcia pomiędzy nieznajomymi stawała się oczywistością pośród przyjaciół. Nie szkodziło poczekać w obozie na powrót Bigilasa. - Skoro czekamy, nie wybuchnie wojna, Jonaszu - zauważył zadowolony z siebie senator. - Przez samo przybycie do Attyli pomogliśmy cesarstwu. Zyskujemy cenny czas dla Konstantynopola i Rzymu.

Staraliśmy się dowiedzieć o Hunach jak najwięcej, nie przychodziło to jednak łatwo. Powierzono mi sporządzenie spisu mieszkańców, lecz wojownicy i ich rodziny przybywali bądź odjeżdżali tak często, iż niemożliwe stało się podanie rzeczywistej ich liczby. Polowanie, najazd, mi sja mająca na celu wyegzekwowanie należnej daniny lub karę, plotka, pogoń za spłoszonymi końmi, opowieść o spelunie lub nowo powstałym burdelu na brzegu Dunaju - każda z tych rzeczy mogła zmusić do opuszczenia obozu łatwo popadających w nudę wojowników.

Informacje, które udało mi się zebrać, były bezużyteczne, gdyż większość Hunów i tak przebywała daleko od miejsca, w którym obozowaliśmy. Utrzymywali ze sobą kontakt dzięki sieci pędzących na złamanie karku posłańców. Ile było huńskich klanów? Żaden z moich rozmówców nie był pewien. Ilu wojowników?

Więcej niż źdźbeł trawy na stepie. Ile podporządkowanych plemion? Więcej niż nacji w cesarstwie. Jakie mają zamiary? O tym decydował Attyla.

W ich religii roilo się od duchów natury i przesądów, jej szczegółów strzegli zazdrośnie szamani przepowiadający przyszłość z krwi zwierząt i niewolników.

Prymitywny animizm wchłonał panteony podbijanych ludów, dzięki czemu Attyla mógł twierdzić z niezbitą pewnością, że wisząca za jego plecami broń jest mieczem Marsa, zaś jego ludzie wiedzieli, o kim mówił. Bogów Hunowie traktowali jak królestwa: podbijali je, by póź niej wykorzystać. Wierzyli, że nie można uciec przed przeznaczeniem, choć los zdawał się być na szczęście nader kapryśny i można go było przebłagać zaklęciami i urokami. Na nieuważnego człowieka wszędzie czyhały demony, burze były gromami ciskanymi z nieba przez bogów, szczęście zapewniał przyjazny omen. Nas, chrześcijan, uważali za głupców, gdyż woleliśmy szukać zbawienia w zaświatach niż łupów w życiu doczesnym. Po co martwić się o następny żywot, skoro tylko nad tym mamy kontrolę? Oczywiście nie rozumieli w ogóle sedna naszej religii. Dla Hunów logicznym celem było poczęcie nowego życia lub też zakończenie innego w walce.

Wystarczyło przyjrzeć się dzikości natury, by zrozumieć, o co im chodzi. Jedno życie zabijało drugie. Hunowie nie byli wyjątkiem.

Ich małżeństwa są poligamiczne. W obozach zawsze było więcej kobiet, czego powodem były spustoszenia czynione przez wojny. Haremy stanowiły nagrodę za zwycięstwa odniesione na polu bitewnym. Hunowie mieli także konkubiny żyjące w cieniu, gdzieś pomiędzy legalnym związkiem a zwyczajną niewolą. Czasem miały nad swymi próżnymi panami władzę większą niż ich żony. Śmierć w walce, rozwody, ponowne małżeństwa i cudzołóstwo były tak nagminne, że bandy dzieci i wyrostków biegające z wrzaskiem po obozie należały właściwie do każdego i do nikogo

jednocześnie, szczęśliwe niczym młode wilczki. Ojcowie cierpliwie znosili ich wybryki i uczyli ich jazdy konnej z powagą, z jaką my traktowaliśmy naukę retoryki i historii. Potrafili jednak obchodzić się z dziećmi szorstko, szturchając boleśnie lub ciskając do rzeki, by w ten sposób udowodnić swe racje. Hartowanie ducha było naturalną częścią życia. Posty, długie dystanse do przepłynięcia, oparzenia od płonących żagwi lub rany po kolcach - tego właśnie mógł spodziewać się młody Hun. Zachęcano go do zapasów, wymagano, by uczył się łucznictwa.

Dla chłopców nie było większego zaszczytu nad przewycięzenie bólu i wytrzymanie dłużej niż towarzysze, większej rozkoszy nad zaskoczenie przeciwnika lub bardziej ważnej rzeczy niż umazanie się krwią w walce.

Dziewczynki uczono, że mogą znieść nawet większe katusze niż chłopcy, że każda część ich jestestwa musi być podporządkowana płodzeniu kolejnych dzieci, które pewnego dnia kontynuować będą rozpoczęty marsz.

Moim przewodnikiem po tym dziwnym świecie był Zerkon. Karła bawiło patrzenie na drażniące się i dręczące się wzajemnie dzieci. Być może przypominał

sobie cierpienia, których musiał doświadczać. - Tamten chłopiec, Anagai, nauczył

się wstrzymywać oddech dłużej niż pozostali, gdyż jest mniejszy i reszta zawsze trzymała jego głowę zanurzoną w wodach Cisy - wyjaśniał niziołek. - Bochas próbował go kiedyś utopić, lecz Anagai nauczył się ścisnąć jądra większych od siebie chłopców i od tej pory Bochas jest znacznie ostrożniejszy. Sandil, ten tutaj, stracił oko w bójce, gdy trafił go kamień. Tatos nie może strzelać z łuku po tym, jak złamał rękę. Chwalą się siniakami, obnosząc je jak nagrody i odznaczenia.

Najtwardsi i najpodlejsi zostają przywódcami.

Pracowałem nad własną kondycją. Już podróż wzmocniła moje mięśnie, w Hunugurii nie było zaś żadnych ksiąg, które mógłbym przeczytać. Sporządzanie notatek zajmowało jedynie część dnia. Dlatego też ćwiczyłem jak Hun, galopując po płaskich łąkach na swej klaczy, poprawiając jeździeckie umiejętności. Zgodnie z radami Zerkona wygrzebałem ciężkie, rzymskie uzbrojenie i począłem sumiennie ćwiczyć. Byłem nie lada widowiskiem dla ciekawskich Hunów. Moja *spatha* -

kawaleryjski miecz - była cięższa od zakrzywionych huńskich ostrzy, kolczuga przepuszczała mniej powietrza niż wykonane ze skóry lub kości zbroje barbarzyńców, zaś tarcza była wielka niczym ściana w porównaniu z małymi, okrągłymi tarczami jeźdźców. Czasem Hunowie podchodzili, by skrzyżować ostrza i choć nie mogłem dorównać ich szybkości, oni nie mogli przebić się przez moją obronę. Nacierali na mnie raz po raz, jak na ukrytego w skorupie żółwia. Kilku kończyło walkę z niedowierzaniem. Ich początkowe kpiny zmieniały się w respekt. -

Jak dobieranie się do lisa w jamie! - mówili, odchodząc zdenerwowani.

Senatorowi nie spodobały się moje ćwiczenia. - Jesteśmy poselstwem, Alabando - narzekał. - Jesteśmy tu po to, by zaprzyjaźnić się z Hunami, nie by się z nimi parować.

- Robię tylko to, co zwykli robić nasi huńscy przyjaciele - powiedziałem, odzyskawszy oddech.
- Walczenie jak zwyczajny żołnierz leży poniżej godności prawdziwego dyplomaty.
- Walka jest jedyną rzeczą według nich zasługującą na uznanie.

Przez ten czas reakcja Skylli tylko rozbudziła moje zainteresowanie Ilaną.

Dowiedziałem się, że osierociła ją wojna, obiecał ją młodemu wojownikowi sam Attyła, gdy tylko młody Hun udowodni swą odwagę w walce. Do tego czasu służyć miała Suekce. Czy pogodziła się z takim losem? Skylla twierdził, że ocalił

jej życie, a dziewczyna przyznała, że przyjęcie podarków i ochrony mogło być zrozumiane jako jej przyzwolenie na związek. Okazywana hojność wpędzała Ilanę w zakłopotanie. Gołym okiem widać było, że czuła się osaczona.

Marzyłem, by w czymś Skylli dorównać, nie wziąłem jednak w drogę żadnych podarunków. Bez dwóch zdań Ilana była zdumiewającą kobietą. Zwróciła na mnie uwagę, gdyż mogłem dopomóc w jej uwolnieniu. Nie byłem pewien, czy zainteresowanie moją osobą nie skończyłoby się, gdybym okazał się bezużyteczny.

Siedząc jej ścieżki, nauczyłem się wpadać na nią, gdy tylko opuszczała domostwo Suekki, ona zaś przyzwyczała się do tego. Stąpała w sposób, który sprawiał, że myślałem o jej ciele nawet wtedy, gdy miała a na sobie niepodkreślające kształtów, najzwyklejsze ubranie. Dobrze wiedziała, że najbardziej pragniemy tego, czego mieć nie możemy.

- Nie ulegaj temu Hunowi - powiedziałem jej kiedyś. Lubilem patrzeć w jej skrzące się nadzieją oczy, choć nie byłem pewny, czy uda mi się jej pomóc. Nie miałem przecież żadnych oszczędności.

- Poprosiłam Suekkę, by trzymała Skyllę z daleka ode mnie - odpowiedziała. -

Jest zgorziona moją niewdzięcznością, a Edekona chyba bawi cała sytuacja.

Hunowie traktują opór jak wyzwanie. Boję się, Jonaszu. Skylla staje się coraz bardziej niecierpliwy. Muszę się stąd wydostać.

- Nie wiem, czy Edekon się na to zgodzi.

- Może gdy wasze poselstwo odniesie sukces. Porozmawiaj o tym z senatorem.

- Jeszcze nie teraz. - Wiedziałem, że jej ratunek nie będzie nikogo obchodził.

Chwyciłem jej dłoń, dotyk jej ciała sprawił, że zadrżałem. - Już niedługo Bigilas wróci z Konstantynopola. Wtedy będzie odpowiedni moment - obiecałem lekkomyślnie. - Muszę zabrać cię z nami.

- Proszę, moje życie się skończy, jeśli tego nie zrobisz.

I wtedy przyjechał Bigilas.

Syn Bigilasa był jedenastoletnim, ciemnowłosym chłopcem o ciekawym świata spojrzeniu. Wjechał do obozu z szeroko otwartymi ustami i dreszczami biegnącymi po plecach. Jakże mógł nie gapić się na horde Hunów, którą jego rówieśnicy w swych opowieściach wyolbrzymiali do niebotycznych rozmiarów?

Młody chłopiec był dumny ze swego ojca i z roli, którą miał odegrać. On, Kryksus, będzie gwarantem porozumienia pomiędzy dwoma imperiami! Ojciec wydał mu się strapiony i pogrążony w myślach przez całą drogę na północ, co w ogóle go nie zdziwiło. Bigilasa od zawsze zajmowała własna osoba, nie był nigdy dobrym ojcem ani kompanem. Przebywał jednak w towarzystwie możnych i obiecywał, że kiedyś zbije na tym fortunę.

Gdy wiadomość o powrocie Bigilasa dotarła do Attyli, tego samego wieczoru król zaprosił nas do siebie. Pomimo okazywanej wszem i wobec cierpliwości, Maksyminus odetchnął z ulgą. Zbyt długo trzymano nas zamkniętych w obozie.

Władca Hunów stał na podwyższeniu. Tym razem w sali zgromadzonych było mniej dostojników. Za to do pomieszczenia wraz z Edekonem, Onegeszem i Skyllą wszedł tuzin ciężkozbrojnych strażników. Próbując nie myśleć o nich, wmawiałem sobie, iż być może skromniejsze powitanie było dobrym znakiem.

Mogliśmy wreszcie wziąć się do rzeczy i zasiąść do poważnych rozmów, bez obowiązkowego i formalnego rytuału.

Czułem jednak większy niepokój niż wtedy, gdy po raz pierwszy przybyliśmy do obozu. Zdążyłem lepiej poznać Attyle. Jego charyzma dorównywała tyranii, a skromność jego ubioru maskowała jedynie arogancję i przerośniętą ambicję.

- Mam nadzieję, że jest w dobrym humorze - wyszeptałem Rustycjuszowi do ucha.

- Z pewnością chce tak jak my zakończyć już nasz pobyt.

- Cóż słyszę? Czyżby znudziła ci się gościnność Hunów?

- Edekon nigdy nie wybaczył mi mojego zachowania wtedy, gdy stanąłem w obronie Bigilasa. Cały czas czułem na plecach jego złe owrogię spojrzenie.

Dostrzegałem jego gniew w zachowaniu jego wojowników.

- Wołali na mnie „człowiek z Zachodu”, jakbym różnił się od innych tylko dlatego, że pochodzę z Italii. Przyglądali mi się, jakbym był zwierzęciem na wybiegu.

- Myślę, że są jedynie ciekawi ludzi, których jeszcze nie udało im się zniewolić.

Pochodnie rzucały migotliwe światło na oszpecone bliznami twarze strażników Attyli. Głęboko osadzone oczy króla zdawały się teraz jeszcze bardziej wciśnięte w oczodoły. Przeskakiwały z

jednej postaci na drugą niczym wychylający się zza skrywających go krzewów dziki zwierz. Z jego brzydkiej, dziwacznej i niewzruszonej twarzy nie można było niczego wyczytać. Nie dziwiło mnie to.

Byłem świadkiem huńskich sądów, na których klóćący się barbarzyńcy spierali się zajadle, a Attyła wydawał wyroki bez cienia emocji. Były zawsze surowe, dziwne dla cywilizowanego i nawykłego do prawa człowieka, jakim byłem, i pośpieszne, choć zdawały się pasować do tych ponurych ludzi. Każdego dnia, w którym miał

sądzić, król siadał bez nakrycia głowy w jasnych promieniach słońca na dziedzińcu swego domostwa. Klóćących się petentów wpuszczano turami. Byli zasypywani gradem trudnych pytań, przerywano im, gdy zbyt dłuugo i uparcie protestowali, i odsyłano do domów z wyrokiem, od którego nie było odwołania.

Prócz słowa Attyli Hunowie nie znali innego prawa. Winę odkupić mógł

konoss - czyli wszystko, począwszy od krowy, na córce zaś skończywszy. Unikali kary więzienia, gdyż brakowało im do tego odpowiednich budynków, nie chcieli okaleczać zdrowych i zdolnych do walki wojowników lub przyszłych matek.

Tylko czasami wydawano naprawdę ciężkie wyroki.

Byłem na przykład świadkiem sądu, na którym Attyła dał zgodę, by zdradzony mąż zemścił się na uwodzicielu i żonie, kastrując go zardzewiałym nożem i wpychając jego genitalia w intymne miejsce kobiety, która poszła z nim do łóżka.

Zakuto ją później w łańcuchy na całą fazę księżyca.

Kradzież konia na pustym stepie była karana jak morderstwo. Koniokrada rozerwano na sztuki, przywiązując do kuców, które próbował ukraść. Ich właściciel wraz z synami poganiał je, aż rozrywały się i łamały mięśnie oraz kości.

Skazaniec wył przeraźliwie z bólu przez godzinę, gdy konie stały w miejscu, krzyczał, przeklinając wyrok, aż każdego uszy rozboleły od wrzasku, wszystko po to, by Attyła mógł pokazać, jaką ma władzę. Wreszcie na rozkaz władcy konie popędzono do przodu. Ledwie powstrzymałem się, by nie zwymiotować. Nie wiedziałem, że krew może tryskać tak daleko i że ludzkie szczątki tak niewiele znaczą.

Człowieka, który stchórzył w bitwie, zawieszono nad doł em, w którym wkopano rzędy włócznie. Każdy z członków jego oddziału musiał odciąć jedno włókno przytrzymującej go liny. - Los zadecyduje, czy zdradziłeś tak wielu towarzyszy, że przerwie się osłabiona lina - stwierdził Attyła. Kilku byłych kompanów dezertera nie było wtedy w obozie. Przez sześć dni czekał na ich powrót rozciągnięty nad ostrzami. Gdy wszyscy zrobili to, co nakazał im władca, okazało się, że lina ledwie utrzymała ciężar Huna. Zdjęto go bełkocącego bez sensu i drżącego na całym ciele. Jego dwie żony z powodu doznanego upokorzenia nacięły policzki i piersi, zanim zabrały go do siebie.

Kagan był w oczach swych poddanych sprawiedliwym, choć bezlitosnym władcą. Ojcowski i

okrutny, mądry, choć łatwo wpadający w szal. Zastanawiałem się, jak bardzo wydawanie podobnych wyroków rok w rok wypaczać musiało umysł tyra. W jaki sposób go kształtowało, skoro tylko tak umiał

powstrzymać swój naród przed zupełną anarchią? Kiedy wydająca sądy jednostka odrzucała na bok normalne rozumowanie i zanurzała się w świecie istniejącym jedynie w jej rozgorączkowanym, egocentrycznym umyśle? Był raczej cyrkowcem dzierżącym w dłoniach bat i pochodnię niż cesarzem. Prymitywnym bogiem niż królem.

- Czy to jest twój syn? - zapytał, przerywając tok moich myśli.

- Kryksus przebył całą drogę z Konstantynopola zgodnie z twoim rozkazem, kaganie - opowiedział Bigilas. - Jako dowód na to, że moje słowo ma pokrycie w czynach. - Zachowanie tłumacza było jeszcze bardziej obłudne i fałszywe niż wcześniej. Zastanawiałem się, czy Hunowie też to zauważyli. Być może traktowali ten brak szczerości jako zachowanie, którego należało się po Rzymianach spodziewać. - Jest zakładnikiem ręczącym za uczciwość Rzymu. Proszę, wysłuchaj teraz naszego ambasadora. - Bigilas raz jeszcze spojrzął na Edekona, lecz kamienna twarz Huna pozostała bez wyrazu. - Ja, oczywiście, jestem wciąż twoim uniżonym sługą.

Attyla pokiwał głową i popatrzył na senatora. - Czy w ten oto sposób udowadniacie, iż mogę zaufać Rzymowi i Konstantynopolowi?

Maksyminus uklonił się nisko. - Bigilas oddał życie swego syna w twoje ręce, by pokazać nasze pokojowe zamiary, kaganie. Tak samo postąpił ze swym synem nasz Bóg. Pokój zaczyna się z wzajemnym zaufaniem. Jestem pewny, iż umocniliśmy twą wiarę w czystość naszych intencji.

Attyla długo milczał, nie odpowiadając na słowa senatora. Zaczęliśmy tracić pewność siebie. Cisza unosiła się w powietrzu niczym pyłki kurzu.

- Rzeczywiście, umocniliście - powiedział w końcu. - Dokładnie poznałem wasze intencje. - Attyla skierował wzrok na Kryksusa. - Jesteś dzielnym i posłusznym chłopcem, skoro przybyłeś tu, wykonując polecenia ojca. Zachowałeś się tak, jak powinni się zachowywać dobrzy synowie. Czy ufasz swojemu ojcu, młody Rzymianinie?

Chłopiec zamrugał nerwowo oczami zaskoczony, iż Attyla zwraca się do niego osobiście. - T-tak, królu - szukał odpowiednich słów. - Jestem dumny z mego ojca.

Attyla pokiwał głową z uznaniem, po czym wstał i powiedział: - Masz dobre serce, chłopcze. Twoja dusza jest czysta i niewinna. W przeciwieństwie do starszych od ciebie. - Wodził ciemnymi oczami po każdym z członków poselstwa, jakby chciał zajrzeć w nasze serca i umysły, decydując jednocześnie o naszym losie. W jednej chwili domyśliliśmy się, że stało się coś złego. - Żle - grzmiał

teraz despota - że twój ojciec zdradził cię w tak nikczemny sposób i że będziesz musiał odpokutować za jego grzechy na torturach.

Nagle w pokoju zabrakło powietrza. Maksyminus wytrzeszczał z niedowierzaniem oczy jak wsiowy

idiota. Bigilas pobladł na twarzy. Ja nie wiedziałem, co mam myśleć. O co chodziło Attyli? Biedny Kryksus nie rozumiał

niczego, co się wokół niego działo.

- Wyciągniemy twoje wnętrzności i rozwiniemy jak kłę bek włóczki. Będziesz patrzył, jak karmimy nimi świnie - mówił bez jakichkolwiek emocji. - Ugotujemy twoje palce u nóg i rąk, zanurzając je po kolei we wrzątku, byś dobrze poczuł ból każdego z nich. Utniemy ci nos, zedrzymy z policzków skórę i wybijemy wszystkie zęby - co godzinę jeden - owiążemy twe jądra jeżyną i będziemy ją ciągnęli, aż spurpurowieją.

Kryksus zaczął dygotać.

- Cóż to za szaleństwo? - zaskrzeczał senator. - Czemu grozisz temu dziecku?

- Zrobimy to - ciągnął Attyla, nie zważając na słowa Maksyminusa - a moje żony będą się śmiały z twoich krzyków, młody Kryksusie. Chyba że twój ojciec okaże się człowiekiem równie honorowym, co ty. - Ciemne spojrzenie Huna powędrowało z syna na ojca.

- H-honor? - zająkał się Bigilas. Widziałem, jak strażnicy bezszelestnie powoli nas otaczają. - Kaganie, co...

- Zrobimy to - głos Attyli grzmiał teraz jeszcze donośniej - chyba że tłumacz powie mi, po co przywiózł z Konstantynopola pięćdziesiąt funtów w złocie.

Wszyscy obrócili się skonsternowani w stronę Bigilasa. O czym mówił Attyla?

Tłumacz wyglądał tak, jakby usłyszał od medyka, iż zbliża się kres jego żywota.

Drżały mu nogi. Bałem się, że może się przewrócić.

Attyla odwrócił się do swoich wodzów. - Przywiózł ze sobą pięćdziesiąt funtów, czy nie przywiózł, Edekonie?

Hun skinął twierdząco głową. - Tak jak umówiliśmy się w pałacu Chryzafiusza, kaganie. Przeszukaliśmy przed chwilą jego juki i przynieśliśmy je jako dowód. - Klasnął w dłonie. Dwóch wojowników weszło, niosąc worki, uginając się pod ich ciężarem. Podeszli do podwyższenia i rozciągli je sztyletami. Z

wnętrza wysypały się złote monety i potoczyły pod stopy władcy.

Oczy chłopca błędziły po naszych twarzach w przerażeniu. Poczulem, że zmoczył ze strachu spodnie.

- Wiesz, po co to złoto, Edekonie?

- Tak, mój kaganie.

- To jakieś ogromne nieporozumienie - Maksyminus wyrzucał z siebie słowa z zawrotną szybkością, patrząc jednocześnie na Bigilasa wzrokiem żądającym wyjaśnień. - To niechybnie kolejny podarek wysłany przez cesarza na dowód, że...

- Cisza! - Rozkaz uciął niezdarne próby senatora niczym uderzenie topora.

Echo rozniosło go po całej sali. Rozkaz, który każdego pozbawiłby odwagi. W jakież szaleństwo sam się wpakowałem?

- Tylko od jednego człowieka oczekuję wyjaśnień - powiedział władczo Attyla. -

Tylko on może ocalić swego syna, udowadniając czynami uczciwość, którą jakoby posiada.

Bigilas patrzył na Edekona wzrokiem pełnym przerażenia i nienawiści. Zdrajca został zdradzony. Hun nigdy nie zamierzał zamordować Attyli.

Bigilas zdał sobie sprawę, że złoto było tylko pułapką, w którą wraz z Chryzafiuszem wpadli, nie spodziewając się niczego. Upadł na kolana. - Błagam, mój syn o niczym nie wiedział.

- Co masz na myśli, tłumaczu. O czym chłopiec nie wiedział?

Zdruzgotany Bigilas pochylił głowę. - O misji powierzonej mi przez Chryzafiusza. Złotem miałem przekupić Edekona, by cię zabił.

Maksyminus wyglądał tak, jakby przeszył go długi, germański miecz. Zatoczył się do tyłu, twarz wykrzywił mu ból. Zrozumiał, że jego misja legła w gruzach.

Jakąż perfidią wykazał się minister, nie informując go o tym spisku! Z dumnego senatora zakpiono jak ze skończonego głupka. Gorzej, życie nas wszystkich znalazło się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- By mnie zamordować - podkreślił dobitnie ostatnie słowo. - To chyba miałeś na myśli. Gdybym wam zaufał i tym samym stał się mniej czujny. Podczas snu, posiłku albo szczania. Zamordowany przez najbardziej zaufanego z wodzów.

- Wypełniałem tylko polecenia mego pana! - lamentował Bigilas. - Wszystko obmyślił Chryzafiusz! Jest złym człowiekiem. W dodatku eunuchem - każdy w Konstantynopolu o tym wie! Ci głupcy - wskazał na nas - nie mieli o niczym pojęcia. Przysięgam! Miałem wrócić po syna i zabrać złoto... - Nagle obrócił się gwałtownie w kierunku Edekona, krzycząc wściekle: - Dałeś nam słowo!

Przyrzekłeś, że go zabijesz!

- Niczego nie przyrzekałem. Słyszeliście to, co chcieliście usłyszeć.

Tłumacz płakał. - Byłem tylko narzędziem. Mój syn o niczym nie wie. Proszę, zabij mnie, jeśli musisz, ale oszczędź chłopca. Jest niewinny. Sam to powiedziałeś.

Attyła patrzył na niego, nie kryjąc pogardy. Cisza trwająca tylko chwilę nam wydawała się ciągnąć w nieskończoność. Wreszcie znów zabrał głos. - Zabić ciebie? Jakby twoje życie znaczyło cokolwiek. Jakby Chryzafiusz nie spróbował

wysłać setki podobnych ci idiotów, skoro sądził, że przekonał najwierniejszego z moich wodzów. Nie, nie chcę marnować nawet chwili na twoją śmierć. Wrócisz do Konstantynopola bosy z jukami zawieszonymi na szyi - złoto zastąpimy ołowiem. Poczujesz każdy funt, gdy twoje stopy spleyną krwią. Moi wojownicy zapytają Chryzafiusza, czy poznał wrogi i poznał, gdyż w przeciwnym razie zginiesz. Powiesz mu, że spotkałeś na swej drodze dziesięć tysięcy Hunów i nawet jeden, nawet jeden nie odważył się podnieść ręki na wielkiego Attyle. Nie przekona ich do tego żadna nagroda. Właśnie to musi zrozumieć wasze imperium!

Bigilas nie przestawał płakać. - A mój syn?

- Jeśli jest na tyle lekkomyślny, by wrócić z tobą, nie będę mu przeszkadzał.

Być może okaże się jednak na tyle mądry, by tobą wzgardzić i znajdzie sobie odpowiedniego nauczyciela. Może kiedyś ucieknie od zepsucia Rzymu i przybędzie tu, by wieść czyste i wolne życie pośród Hunów.

Kryksus upadł. Bigilas podniósł go i teraz przytrzymywał ramieniem.

- Bóg i senat dziękują ci za okazaną łaskę, kaganie - powiedział Maksyminus drżącym głosem. - Proszę, nie pozwól, by ta krótkowzroczność zniweczyła nasze rozmowy. Cesarz nie wiedział o tej potworności. Tego jestem pewien! Chryzafiusz to mściwy intrygant, wie o tym każdy mieszkaniec Konstantynopola. Proszę raz jeszcze, pozwól nam to w jakiś sposób wynagrodzić i usiądźmy do rozmów...

- Nie będzie więcej rozmów. Nie będzie negocjacji. Będzie posłuszeństwo lub wojna. Ty także wrócisz do Konstantynopola senatorze. Z tym że wrócisz na grzbiecie osła, siedząc tyłem do przodu. Moi wojownicy przypilnują, byś ciągle spoglądał w stronę Hunugurii, roztrząsając swoją głupotę.

Maksyminus zachwiał się, jakby otrzymał cios. Odarty z godności mógł

zapomnieć o dalszej karierze. Był pewien, iż Attyła dobrze o tym wie.

- Nie upokarzaj Rzymu bardziej niż to konieczne - powiedział rozpaczliwie senator.

- Rzym sam się upokarza. Ty i ten, który was zdradził, możecie rozmyślać nad okazaną wam łaską. Nikt nie śmie podnieść ręki na Attyle bez obawy, że ominą go konsekwencje. On - wskazał na Rustycjusza - zginie zamiast swego przyjaciela.

Zostanie ukrzyżowany i zgnije w piekącym słońcu. Ostatnimi słowami przeklinać będzie chciwość i zepsucie swoich towarzyszy, którzy zgotowali mu taki los.

Rustycjusz zbladł. Bigilas odwrócił wzrok.

- To niesprawiedliwe! - krzyknąłem.

- To wasze cesarstwo nie jest sprawiedliwe, uczciwe i godne zaufania -

powiedział Attyla. - To w waszym kraju jednych uznaje się za równych bogom, innych zaś traktuje się jak bydło.

- Tym razem Rustycjusz padł na kolana, z trudem łapiąc oddech jak wyrzucona na brzeg ryba. - Przecież w niczym nie zawiniłem!

- Przyłączyłeś się do ludzi, złych ludzi, których nie chciało ci się nawet na tyle poznać, by dowiedzieć się o planowanej zdradzie. Zawiniłeś, nie ostrzegając mnie.

Przez swe zaniedbanie sam wydałeś na siebie wyrok. Twoja krew splami ręce twych przyjaciół, nie moje.

Kręciło mi się w głowie ze zgrozy. - To jest pozbawione najmniejszego sensu, najmniejszego - spróbowałem, świadom, że łamię dyplomatyczny protokół.

Najprostszy i najuczciwszy z nas człowiek miał za wszystko zapłacić życiem! -

Czemu on, a nie ja?

- Ponieważ pochodzi z Zachodu i jesteśmy ciekawi, jak taki człowiek umiera. -

Attyla wzruszył ramionami. - Być może zmienię zdanie i zamienicie się miejscami. Na razie pozostaniesz w obozie jako zakładnik, póki nie wróci do nas senator Maksyminus. - Władca Hunów odwrócił się w jego stronę. - Za każdy funt, który gotowi byliście zapłacić za moją śmierć, chcę sto jako rekompensatę.

- Ależ kaganie - sapał senator, chciwie łapiąc powietrze. - To będzie...

- Pięć tysięcy funtów, które chcę zobaczyć do jesieni, senatorze. Tylko pod takim warunkiem usiądziemy ponownie do rozmów o pokoju. Jeśli nie wrócisz z nimi, wybuchnie wojna, a waszego pisarza spotka los obiecany chłopcu, z tą różnicą że tortury będą wolniejsze i bardziej bolesne.

Sala zatańczyła mi przed oczami. Wydawało mi się, że ziemia osuwa się spod moich stóp. Miałem pozostać wśród Hunów i patrzeć, jak umiera Rustycjusz? A potem zginąć w męczarniach, jeśli Maksyminus nie powróci z astronomicznym łupem? Cesarski skarbiec nie stać było na wydatek pięciu tysięcy funtów w złocie!

Zdradziło nas dwóch głupców - Bigilas i Chryzafiusz!

Attyla wskazał na mnie. Na twarzy rysowało mu się złowieszcze zadowolenie. -

Do tej pory będziesz zakładnikiem. Lecz nie zwyczajnym zakładnikiem, gdyż będziesz musiał zapracować na swoje utrzymanie. I jeszcze jedno. Jeśli spróbujesz uciec, Jonasz z Konstantynopola,

to też równoznaczne będzie z wypowiedzeniem wojny.

Rozdział XIII

Zakładnik

Musiało się stać coś strasznego, Ilana była pewna, iż jej niewola dobiega kresu.

Tak bardzo pewna, że spakowała swe ubrania i prowiant na drogę do Konstantynopola w worki, które starannie ukryła. Przyjazd poselstwa był znakiem.

Wiedziała o tym od momentu, gdy po raz pierwszy spojrział a w oczy Jonasza. Bóg chciał, by była wolna. Guernna podbiegła do niej, uśmiechając się przewrotnie. -

Chodź popatrzeć na swoich przyjaciół, Rzymianko!

Dziewczyna wyszła przed drzwi i od razu porwał a ją rzeka krzyczących i przepychających się Hunów. Niektórzy obrzucali trzech odjeżdżających Rzymian odpadkami. Starszy człowiek siedział na grzbiecie osła tyłem do przodu, piękne siwe włosy i broda były brudne i matowe. Wzrok miał pusty, świadom odniesionej porażki. Za nim szedł pieszo tłumacz, który wrócił niedawno z Konstantynopola, uginając się jak trzcina pod ciężkim workiem zarzuconym na szyi. Obok szedł

przywiązany do niego chłopiec, który musiał być jego synem - wystraszony i zawstydzony. Tuzin huńskich wojowników eskortował ich do bram obozu. Ilana z ulgą zauważyła, że jest pośród nich Skylla, co oznaczało, że też będzie musiał na jakiś czas opuścić Hunugurię. Namioty i niewolników pozostawiono w obozie, ostatnich wcielając do armii Attyli. Gdzie był Jonasz?

- Słyszałam, że jednego przybili do krzyża - powiedziała rozradowana Guernna, najwyraźniej ciesząc się z przerażenia Ilany. Uważała Rzymiankę za próżną, trzymającą się na uboczu i bezużyteczną dziewczynę. - Słyszałam, że krzyczał głośniejsz, niż kiedykolwiek zakrzyczy jakiś Hun bądź Germanin. Błagał o życie jak niewolnik.

Ludzi krzyżowano na niskim wzgórzu, pół mili od rzeki. Wystarczająco daleko, by odór nie przeszkadzał i dostatecznie blisko zarazem, by cena oporu była zawsze widoczna. W ciągu tygodnia skazywano na krzyż jedną lub dwie osoby, czasem skazańców wbijano na pal. Ilana modlił a się, biegnąc na miejsce kaźni.

Rzeczywiście, na wzgórzu stał nowy krzyż, a na nim wisiała kolejna ofiara -

wybatożona, skrępowana, przybita do drewna, spływająca krwią i ubrudzona od stóp do głów, tak iż dziewczyna nie mogła od razu rozpoznać twarzy. Dopiero po dłuższej chwili, gdy przerażona przyglądała się skazańcowi, poznała Rustycjusza.

Oczy miał na wpół przymknięte, usta suche i popę kane jak wysuszone na słońcu błoto.

Wstydzila się tego, że odetchnęła z ulgą.

- Zabij mnie. - Z trudem chwycił oddech. Ciężar ciała naciskał na płuca.

Strużki krwi zaschły na popękanej od skwaru skórze.

- Gdzie jest Jonasz?

Nie było odpowiedzi. Nie sądziła, by Rustycjusz mógł ją jeszcze usłyszeć.

Nie śmiała spełnić jego prośby. Szybko zawisłaby obok niego. Chora z własnej bezsilności pobiegła z powrotem do obozu. Gdy Rzymianie odjechali, tłum się rozproszył. Ich namioty już rozdzielono, tak jakby nigdy do nich nie należały.

Przybiegła do pałacu Attyli, z trudem łapiąc oddech, po twarzy spływały jej łzy.

- Młody Rzymianin - wysapała do strażnika. - Proszę...

- Wysłany do domu. Przywiązany do ojca jak szczeniak - zaśmiał się mężczyzna.

- Nie chłopiec, skryba! Nazywa się Jonasz Alabanda.

- A, ten, który miał więcej szczęścia niż rozumu. Jest zakładnikiem. Attyła oddał go Herece. Będzie u żony króla, póki nie każe go zabić. Twój kochanek jest teraz niewolnikiem, kobieto.

Starła się nie okazać żadnych uczuć, lecz rozsadzały ją ulga i rozpacz. - On nie jest moim kochankiem...

- Będzie nim Skylla, gdy wróci - znów uśmiechnął się złowieszczo. Rzadko schadzki, spory, zemsty lub romanse nie stawały się tematem obiegających cały obóz plotek.

Hereka, pierwsza i główna żona Attyli, miała własny dwór przyległy do pałacu męża. Kilka tuzinów niewolników i sług żyło w nim wraz z nią. Teraz dołączył do nich Jonasz, doglądając jej stad, zabawiając królową opowieściami o Konstantynopolu i Biblii.

Ilana próbowała wejść do środka, by się z nim zobaczyć, lecz ogromny strażnik -

Ostrogot - zastąpił jej drogę i odgonił krzykiem. Mający ją uratować człowiek sam stał się niewolnikiem. Cała nadzieja prysła. Pozostało po niej jedynie wspomnienie.

Minęły dwa tygodnie, zanim go wreszcie dostrzegła z daleka, wracał, powożąc huńskim wozem, od zagajników pełnych topoli i wierzb, gdzie zbierano drwa na opał. Zmierzchało się już, niebo się zaróżowiło, gdy ponownie wzięła dzban na wodę, by mieć dobrą wymówkę. Chmary komarów krążyły nad głową w dusznym powietrzu późnego lata. Cisa była brązowa, jej wody opadły jeszcze bardziej.

Jonasz ściągnął wodze, gdy ją dostrzegł. Nie wyglądał na skorego do rozmowy.

Zdziwiła się, jak bardzo się zmienił. Włosy miał matowe od potu po całym dniu rąbania i zbierania

drwa. Skórę spaliło słońce. Wyraźnie się postarzał. Rysy twarzy stały się surowsze, szczęka bardziej zaciśnięta, spojrzenie głębsze i umartwione. W

ciągu ostatnich dni zakosztował okrucieństw losu i było to po nim widać. Stał się mężczyzną. Jego milcząca dojrzałość podniosła ją na duchu.

Pierwsze słowa nie napawały jednak nadzieją. - Wracaj do domu, Ilano. Teraz nic już nie mogę dla ciebie zrobić.

- Gdy Maksyminus wróci...

- Wiesz dobrze, że nie wróci. - Zasłonił oczy przed promieniami zachodzącego słońca, po czym odwrócił wzrok od drobnej, pięknej i bezradnej kobiety.

- A twój ojciec. Nie próbuje cię wykupić?

- Nie stać go na zapłacenie żądanej sumy. Okup nic nie znaczy w porównaniu z przyjemnością, jaką Attyla czerpie z mojej kary. Nie mówiąc już o lekcji, jaką jest dla innych mój los. Niewinny Rustycjusz zginął, a kreatura odpowiedzialna za naszą klęskę wróciła bezpiecznie - do Konstantynopola i jedyną karą dla niej był

zawieszony na szyi ciężar. - Ton głosu pełen był goryczy.

- Bigilas zostanie ukarany przez swego pana.

- Podczas gdy ja zawisnę na krzyżu, a ty zostaniesz niewolnicą Skylli. Nie niewolnicą, chciała poprawić, lecz żoną. Czy tak właśnie miało wyglądać jej przyszłe życie? Czy powinna się na nie zgodzić? Wzięła głęboki oddech. - Nie możemy żyć, spodziewając się najgorszego, Jonaszu. Cesarstwo o tobie nie zapomni. Śmierć Rustycjusza była zbrodnią, a Attyla prędzej czy później będzie dążył do pojednania. Jeśli będziemy cierpliwi...

- To umrzemy z wysiłku. Ja rąbiąc drwa, ty dźwigając wodę.

Zaległa długa i przygnębiająca cisza. Żadne nie widziało innego wyjścia. Nagle Ilana wybuchnęła śmiechem. Absurdalność sytuacji, w której się znaleźli, zaczęła wpędzać ją w obłąd. - Jakże posępnym człowiekiem się stałeś!

Jej śmiech zupełnie go zaskoczył. Początkowo nie wiedział, jak ma zareagować, potem westchnął zakłopotany. - Masz rację. Mija kolejny dzień, w którym użalam się nad sobą.

- Wiesz, to może się znudzić po jakimś czasie - uśmiechnęła się krzywo.

Wyprostował się. Rzymian nie uczono potulnego podporządkowywania się woli barbarzyńców. Przyglądali się sobie wzajemnie, próbując z tego krótkiego spotkania czerpać siłę na przyszłe dni. - Musimy się stąd wydostać - powiedział, zmuszając swój umysł do myślenia.

Iskierka nadziei! - Może uda nam się ukraść jakieś konie?

- Nie, zaraz by nas schwytali. - Przypomniął sobie zakład ze Skyllą i obietnicę Huna. - Wysłaliby w pościg setkę ludzi, gdyby udało się nam zbiec, Attyla nie pozwoliłby na takie upokorzenie.

- O, jakże chciałabym, by Edekon zabił Attyłę - powiedziała gwałtownie.

- Ja chcę tysiąca rzeczy i żadna z nich do niczego by mi się tu nie przydała.

Jedyna nadzieja w tym, że uda nam się uzyskać przewagę. Musimy ruszyć, gdy ich uwaga skupiona będzie na czymś innym. Gdyby Attyla wyruszył z wojskiem...

- Na to już za późno. Kończy się lato. Zabrakłoby paszy dla koni.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem. Dziewczyna była a mądra i spostrzegawcza. -

Więc co powinniśmy, twoim zdaniem, zrobić, Ilano?

Wyteżęła umysł, wiedząc, że wieść o ich rozmowie dotrze niebawem do Suekki. Ten samotny i pogrążony w rozpacz człowiek był jej jedyną nadzieją na ratunek, skoro nie chciała wyjść za Skyllę. Pomimo smutku pozostała w Jonaszu jakaś część dobra, a w czasach, w których przyszło im żyć, dobroć była deficytowym towarem. - Musimy przygotować się do ucieczki - powiedziała pewnym głosem. - Mój ojciec miał szczęście w interesach i mawiał, iż jeśli chcesz je zdobyć, musisz być zawsze przygotowany do nadarzających się okoliczności.

Musimy wiedzieć, komu możemy zaufać i które konie możemy skraść. Kto może nam pomóc? Choćby niewiele.

Jonasz zastanawiał się chwilę i nagle się uśmiechnął, bo wpadł na pomysł.

Smagnął batem woły, wóz podskoczył na ścieżce i potoczył się do przodu. -

Niewielki przyjaciel - powiedział.

Musiałem wtajemniczyć Zerkona. Któż inny mógł nam pomóc? Byłem wściekły z powodu śmierci Rustycjusza. Czułem się winny tego, że przeżyłem.

Wiedziałem, że karzeł, podobnie jak ja, nie darzy Attyli ciepłym uczuciem.

Zerkona zaciekał pomysł ucieczki. Od razu podszedł do sprawy trzeźwo. - Nie możesz ich prześcignąć. Nawet odwrócenie uwagi nie zda się na wiele -

powiedział. - Złapaliby was najdalej nad brzegiem Dunaju. Możecie ich jednak przechytryć. Zamiast na południe udajcie się na północ. Potem skręćcie na zachód. Będziecie potrzebowali koni...

- Rzymskich, by wytrzymały trudy podróży.

- Widziałeś araby, które schwytali, aby je rozmnażać. Wierzchowce Germanów też są duże i silne. Kobieta będzie cię spowalniać. Wiesz o tym?

- Jest Rzymianką.

- W obozie są setki rzymskich jeńców. Ona jest piękna i zrozpaczona, a to bardzo niebezpieczne połączenie. Zawieś swój mózg choć na chwilę powyżej pasa i powiedz mi, kim ona dla ciebie jest.

Rzuciłem mu rozgniewane spojrzenie. - Kimś, kogo pragnie Skylla.

- A! Teraz twoje zachowanie ma przynajmniej jakieś logiczne wytłumaczenie.

W porządku. Będziecie potrzebowali prowiantu, by trzymać się z dala od farm i wiosek tak długo, jak to możliwe. Przyda się wam też broń. Umiesz strzelać z łuku?

- Ćwiczyłem, zanim stałem się zakładnikiem. Przyznaję, że daleko mi do Huna.

- Przynajmniej będziesz mógł polować. Do tego ciepła odzież - zbliża się zima.

I monety, gdy skończą się zapasy. Sakwy na wodę, kaptury, by ukryć twarz...

- Mówisz jak legionowy intendent.

- Musicie dobrze się przygotować.

- Jesteś tak pomocny, że zaczynam cię o coś podejrzewać.

Karzeł uśmiechnął się pod nosem. - Wreszcie się uczysz! Wszystko ma swoją cenę. Moja pomoc również.

- Jaką mianowicie?

- Zabierzecie mnie ze sobą.

- Ciebie! Przed chwilą mówiłeś, że to Ilana będzie mnie spowalniała?

- Jestem lekki. Poza tym dobry ze mnie kompan. I był em już tam, gdzie musimy się udać.

Szaleństwo. - Umiesz chociaż jeździć konno?

- Julia umie. Pojadę z nią.

- Jeszcze jedna kobieta!

- Sam zacząłeś. Więc jak będzie? Potrzebujesz mojej pomocy, czy nie?

Czekaliśmy z Ilaną, powoli umierając z niecierpliwości. Dni stawały się krótsze, krajobraz żółty i senny. Noce były już chłodne, a pierwsze opadające z drzew liście dryfowały z nurtem Cisy. Gdy zmieniała się pogoda, barbarzyńskie ścieżki i trakty stawały się niemalże nieprzejezdną breją, nawet najkrótsza podróż była nad wyraz uciążliwa. Tydzień mijał za tygodniem, a my wciąż wyglądaliśmy sposobnej chwili do ucieczki. Hereka i Suekka dobrze nas pilnowały.

Dwa razy udało się nam spotkać. Pierwszy nad rzeką, gdy oboje nabieraliśmy wody - wyszeptaliśmy ledwie kilka słów, nim ruszyliśmy z powrotem z pełnymi po brzegi dzbanami. Zawierzyłem osobie, którą ledwie znałem, tak jak ona zawierzyła mnie. Drugi raz spotkaliśmy się w porośniętym zaroślami jarze, którym płynął okresowy potok. Wiedziałem, że niektórzy z Hunów przyprowadzali tu swe kobiety, z dala od oczu ich rodziców lub swoich małżonek. Przyciągnąłem ją bliżej, by móc szeptać jej do ucha.

Dzięki krótkim i rzadkim spotkaniom stała mi się droższa. Przylapałem się na tym, że przypominam sobie chwile, które zapamiętałem, nawet o tym nie wiedząc.

Sposób, w jaki światło padało na jej twarz, rozjaśniając policzek, wilgotność oczu, gdy patrzyła na mnie powożącego wozem z opalem, lub krągłości bioder i piersi, gdy schylała się nad rzeką, napełniając dzban wodą. Jej kark był euklidesową krzywą, obojczyk górką białego śniegu, palce szybkie i żywe, pełne gracji jak poruszające się w locie skrzydła motyla. Teraz przyglądałem się jej uchu wystającemu z powodzi ciemnych włosów, otwartym ustom chwytającym powietrze, piersiom opadającym i wznoszącym się i pragnąłem jej, do końca nie wiedząc czemu. Sam pomysł ratowania jej i ucieczki tylko pomnażał jej uroki. Dla niej byłem jedynie towarzyszem pełnego niebezpieczeństw przedsięwzięcia. Dla mnie zaś była...

- Czy karzeł zebrał już wszystkie potrzebne rzeczy? - zapytała pośpiesznie.

- Prawie.

- Jakiej zażądał zapłaty?

- Chce jechać z nami.

- Ufasz mu?

- Gdyby chciał, już by nas zdradził.

Pokiwała głową, oczy skrzyły się jak ciemne perły. - Wydaję mi się, że mam dla ciebie dobre wiadomości.

- Jakie?

- Znasz Eudoksjusza, greckiego medyka, którego Attyła wysyła jako posła.

Właśnie wraca, jest tylko jeden dzień drogi od obozu, jeśli można zawierzyć plotkom. Wielu sądzi, że Grek powraca z ważnymi informacjami, a Hunowie od dawna nie ucztowali. Kilku ludzi wysłano dziś na polowanie, Suekka zagoniła nas do garnków. Znosi się na dużą uroczystość.

- Grecki medyk?

- Jeszcze jeden zdrajca, jakich nie brakuje w pobliżu Attyli. Kończy się lato, a w obozie jest za dużo *kantonu* i kumysu. Wojownicy wracają na zimę do swych domostw. Urządzą *strawę*, by uczcić powrót Greka. Będą pić, Jonaszu, pić, póki nie padną bez czucia. Widziałam już, jak świętują. -

Chwyliła mnie za ramię, przyciągając do siebie. Jej podniecenie sprawił o, że zacząłem drżeć na całym ciele. -

To może być okazja, na którą tak długo czekamy.

Pocałowałem ją.

Była bardziej zaskoczona, niż się spodziewałem. Odsunęła się delikatnie, niepewna, czy być zadowolona z moich awansów. Przez twarz przebiegały jej najróżniejsze emocje.

Przybliżyłem się, chcąc raz jeszcze ją pocałować.

- Nie. - Nie pozwoliła mi podejść. - Dopóki nam się nie uda.

- Zakochuję się w tobie, Ilano.

Przestraszyła się. Nie chciała dodatkowych problemów i zmartwień. - Nie znasz mnie - powiedziała, potrząsając głową. - Nie. Nie, póki nie uciekniemy...

razem.

Wiadomości przywiezione przez Eudoksjusza były przeznaczone tylko dla uszu Attyli, powrót zaś wystarczającym powodem do zorganizowania *stravy* - wielkiej uczyty bądź święta dla wszystkich ludzi w obozie. Miano świętować powrót Greka, początek żniw, których owoce plemiona podległe Hunom zwoziły teraz do obozu, upokorzenie zdradzieckich rzymskich posłów i rok, w którym Hunowie przy minimalnym wysiłku zgarnęli wiele łupów i danin. Względny pokój nie będzie trwał wiecznie. Wszyscy byli tego świadomi.

Stravą urządzano wtedy, gdy liście zmieniały barwę na złotą, gdy rankami łąki bielily się od mrozu. Trwała trzy dni - bachanalia bez Bachusa - święto pełne tańców, pieśni i zabaw, błaznowania i pośpiesznej miłości, ucztowania i przede wszystkim picia na umór. Na to właśnie zapomnienie i nieumiarkowanie liczyła Ilana. Gdy kończyć się będzie pierwszy dzień uczyty, nikt nie zauważy ich zniknięcia. Po dniu trzecim nikt się tym nie przejmie.

Zerkon obiecał, że zdobędzie siodła, ubrania i jedzenie, gdy tylko *strava* się zacznie. Rzymskie konie puszczone na łąkę na drugim brzegu Cisy. Miałem cichą nadzieję, że odnajdę wśród nich Dianę. Jeśli nie, chciałem ukraść najsilniejszego konia, jakiego uda mi się znaleźć. Zamierzaliśmy przepłynąć rzekę, osiodłać wierzchowce i ruszyć na północ, później skręcić na zachód, podążając wzdłuż północnego brzegu Dunaju, by przekroczyć go w Panonii i pogalopować przez Alpy, dojeżdżając w końcu do Italii. Tam mogliśmy wsiąść na okręt płynący do Konstantynopola.

Już czułem zapach dobrze znanych mi ulic.

Z powodu dziesiątek tysięcy ucztujących Hunów, Gotów i Gepidów *strava* odbywała się pod gołym niebem. Tysiące flag i buńczuków łopotało na wietrze.

Tysiące drzew ścięto i ustawiono w ogromne stosy. Zapalone o ś wicie zabarwiły zachmurzone niebo

na pomarańczowo, tysiące iskier tryskało w górę, jakby na rozkaz Attyli rodziły się nowe skupiska gwiazd. Każdy klan i każde plemię słuchało własnej muzyki, uczujący krążyli pomiędzy jednym miejscem zabawy a drugim, każdy kolejny gospodarz starał się prześcignąć sąsiada w gościnności.

Głosy podniosły się i wnet zaczęły się tańce i śpiewy. Potem miłostki. Potem bójki. Kilku Hunów zadźgano lub uduszono - ciała ciśnięto do jurt, by zająć się nimi dopiero wtedy, gdy *strava* dobiegnie końca. Pary oddalały się, znikając w ciemnościach, by kochać się pośpiesznie, nim padną zamroczeni alkoholem.

Wodzowie i szamani pili wywary z grzybów i leśnych ziół, natchnieni wizjami tańczyli w ekstazie wokół ognisk, wykrzykując niemające najmniejszego sensu przepowiednie i potykali się, goniąc za krzyczącymi dziewczynami, które jak na złość pozostawały poza zasięgiem ich ramion. Dzieci biły się, biegały wszędzie, kradły, co tylko wpadło im w ręce. Niemowlaki płakały nieustannie, gdyż nikt się nimi nie zajmował, póki własne krzyki nie ukołysały ich do snu.

I Ilana, i ja posługiwaliśmy przy stołach, taszcząc przed sobą beczki i amfory pełne wina, nosząc tace pełne smażonego mięsiwa, przenosząc spitych w bezpieczne miejsce, tak by nie stratowali ich pozostali, zasypując ziemią wymiociny i urynę. Pomimo chłodnego, nocnego powietrza pociliśmy się od żaru ognisk i natłoku ludzi. Należąc do domów Hereki i Edekona, zna jdowaliśmy się w samym centrum *stravy*, pozostałe ogniska i uczujący przy nich rozbawieni ludzie otaczali miejsce, gdzie siedział wielki kagan i jego świta.

- Attyla obiecał, że przemówi - wyszeptałem do Ilany, gdy przez chwilę znaleźliśmy się blisko siebie. - Gdy będzie mówił, wszystkie oczy zwrócą się na niego. Odejdź sama, by nie wzbudzać podejrzeń. Dołączę do ciebie.

Król kazał wprowadzić pomiędzy zabranych trzy konie. Dwóch dosiadali jeźdźcy, trzeci jechał luzem. Na jego grzbiet wskoczył Attyla, chwytając szybko równowagę. Jadący po jego bokach wojownicy objęli jego łydki, by unieść go w górę.

- Wojownicy! - zakrzyknął.

Odpowiedziało mu tysiąc okrzyków cisnących się do przodu mężczyzn i kobiet. Każdy chciał usłyszeć słowa kagana. Cóż to był za widok! Attyla nie nosił

żadnych ozdób, na swoje ubranie zarzucił strój wykonany z ludzkich kości.

Pasowały idealnie do postury króla, objając się o siebie i grzechocząc, gdy chwiały

się pijany, próbując utrzymać równowagę. Brakowało czaszki, lecz nie była potrzebna, gdyż głowa Attyli wzbudzała o wiele większy strach. Twarz była ciemna, włosy rozrzucone w nieładzie, dwa zakrzywione rogi przyczepiono tak, że zdawało się, iż wyrastają ze skroni. Rysunki wykonane na policzkach białą farbą przypominały pioruny. Czarną wymalowano dookoła oczodoły, by wyglądały jak głębokie doły. - Ludu Hunugurii! Ludzie Świtu!

Tłum zaryczał, słysząc jego słowa. Attyla dawał im cały świat. Ilana przepychała się pomiędzy nimi

z trudem.

W końcu zaległa cisza. - Jak dobrze wiecie, jestem najłagodniejszym z ludzi -

zaczął.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Rzeczywiście, czy żył na ziemi ktoś mniej ostentacyjny niż Attyła? Kto nosił mniej złota, nie pragnął pochwał i jadł

skromniej niż król Hunów?

- Chcę, by czyny świadczyły zamiast słów. By lojalność była dla mnie nagrodą.

By litość mówiła o moim sercu. Chcę, by zmarli wrogowie świadczyli o mojej potędze. Tak jak ten tutaj! - powiedział, potrząsając szkieletem zawieszonym na ubraniu. - To Rzymianin, którego ukrzyżowałem, gdy jego przyjaciele próbowali mnie zabić. Posłuchajcie Rzymianina z Zachodu, grzechot jego kość ci lepiej wyrazi moją pogardę dla jego ziomków niż moje słowa!

Zrobiło mi się niedobrze. Wiedziałem, że głowa Rustycjusza - wbita na kij -

musi stać gdzieś przed pałacem Attyli, piękne ciemne włosy rozwiewał wiatr, przyjacielski uśmiech zastąpił grymas białej czaszki.

- Tego roku byliście cierpliwi, moje wilki - mówił dalej. - Gasiliście pragnienie krwi wodą i pozwoliliście, by daniny zastąpiły wam grabież. Spaliście, gdyż tak wam kazałem.

Tłum oczekiwał w milczeniu.

- Świat się zmienia. Nowe fale przybiły do moich brzegów. Nowe zniewagi, nowe obietnice i nowe możliwości. Rzymianie myślą, że jesteście nacją starych bab, skoro przywieźli ze sobą pięćdziesiąt funtów, by mnie zgładzić! Myślą, że zapomnieliśmy, jak się walczy! Ale Attyła nie zapomina niczego. Niczego nie przebacza. Pijcie śmiało, moi wojownicy, pijcie bez umiaru, gdyż dla wielu z was będzie to ostatnia uczta w życiu. Śpijcie twardo albo znajdźcie sobie kobiety, by spłodzić z nimi nowych Hunów, a potem ostrzcie broń przez zimę, bo świat nie może przestać się bać swego huńskiego pana. Odpoczywaliśmy przez rok, lecz nadchodzącej wiosny dosiądziemy koni. Czy Kadyseni pojedą z Attyłą?

- Kadyseni przyniosą władcy Hunów dziesięć tysięcy łuków! - wykrzyknął

Agus, wódz klanu. - Dziesięć tysięcy łuków i dziesięć tysięcy koni. Pogalopujemy do Rzymu, do wnętrza piekiel! - Tłum wiwatował na wpół obłąkany od wina i żądzy mordy. Znali tylko podbój i pozbawiony odpoczynków marsz.

- Czy Skirowie są gotowi, by jechać z Attyłą? - krzyknął król.

- Dwanaście tysięcy mieczy przyniosą ze sobą Skirowie, gdy stopnieją śniegi! -

obiecał Massaget, ich władca. - Dwanaście tysięcy, które pierwsze rzucą się na mur tarcz wroga, by zrobić wyłom dla podążających za nimi Hunów!

Wodzowie przepychali się teraz, by stanąć przed swoim królem.

- Czy Barseltowie są gotowi, by jechać z Attylą?

Znów rozległ się ryk. Zaczęłam przepychać się przez tłuszcę, tłumacząc, iż muszę przynieść więcej wina. Attylą dawał nam czas, którego potrzebowaliśmy.

Z dala od ognisk Ilana potykał a się w ciemnościach, nim jej oczy przyzwyczyły się do nich. Odbijające się od chmur światła ognisk rzucały czerwoną poświatę. Krańce obozu opustoszały, gdzieś tam widziała tylko plecy Hunów goniących za uciekającymi kochankami. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Miała powierzyć swe życie i przyszłość w ręce młodego Rzymianina i jego przyjaciela - karła! Musiała tak postąpić. Choć Jonaszowi i jego poselstwu nie udało się jej wykupić, uosabiał przynajmniej męską siłę, której potrzebowała.

Powiedział nawet, że ją kocha. Czy mężczyźni tak łatwo się zakochują? Czy ona go kochała? Nie w sposób, w jaki kochała narzeczonego, Tasiona, uśmierconego huńską strzałą w Aksjopolis. Marzyła naiwnie o poślubieniu go, prostej, lecz szczęśliwej przyszłości, o domu i dzieciach oraz spę dzonych wspólnie w łóżu nocach. Wydawało się jej, że minęło tysiąc lat - ledwie mogła sobie przypomnieć, wstydzając się tego strasznie, twarz narzeczonego. Teraz myślała praktyczniej, była bardziej zrozpaczona i bardziej cyniczna.

Młodzieniec z Konstantynopola był jedynie potrzebnym do ucieczki współnikiem. Lecz gdy ją pocałował i spojrzał tęsknymi oczami, jej serce, choć nie chciała się do tego przyznać, zabiło szybciej. Jakąż głupotą było myślenie o podobnych rzeczach przed ucieczką! Gdyby udało im się obojgu zbiec, czy próbowaliby się jej wciąż narzucać? Jak powinna się wtedy zachować?

Pogrążona w myślach zatrzymała się gwałtownie, bojąc się, że wpadnie na ścianę, która nagle wyłoniła się z ciemności. Wtedy ściana poruszyła się i zarżała.

Była tak oderwana od rzeczywistości, że omal nie weszła na konia! Siedzący na nim Hun pochylił się, chwiejąc się nieznacznie i szczerząc zęby w uśmiechu. Był

pijany. - A cóż to za piękna kobieta wybiega mi na spotkanie, by powitać wracającego do domu?! - powiedział niewyraźnie. - Czekalaś na mnie, Ilano?

Jakże potwornie zakpił z niej los! Skylla!

- Co tu robisz? - wydyszała. Sądziła, że wciąż jest w Konstantynopolu, eskortując upokorzonych posłów.

Nachylał się nad nią niebezpiecznie, bukłak kumysu zwisał mu z ramienia.

Ześlizgnął się z konia. - Spotykam ciebie - powiedział. - Cóż za powrót! Wpierw widzę całą równinę rozświetloną uroczystymi ogniskami. Potem patrol strażników dał mi trochę kumysu, by sami nie wypili za dużo i nie pospali się na służbie, co grozi krzyżem. A teraz, podążając wzdłuż rzeki, gdyż to jedyna prosta droga, jaką mój zmęczony koń mógł jechać, spotykam ciebie biegnącą, by mnie powitać!

- To *strava* na cześć greckiego posła Eudoksjusza, nie na twoją -

odpowiedziała, myśląc gorączkowo, co robić. - Posłano mnie po więcej *kamortu*.

- A mnie się wydaje, że przyszedłeś tu, szukając mnie - chwiał się, zbliżając powoli. - Wiesz, że myślałem o tobie przez całą drogę. Przez tysiąc mil. Myślę tylko o tobie, o niczym innym.

- Skylo, nie jest nam dane być razem.

- Czemu więc bogowie postawili cię dziś na mojej drodze? - uśmiechnął się chytrze.

„Błagam, błagam. Tylko nie to, tylko nie teraz” - wyszeptała pod nosem. -

Muszę wracać - próbowała go wyminąć, lecz był szybszy, niż sądziła, chwycił jej ramię.

- Jak w tych ciemnościach zamierzasz znaleźć cokolwiek? Czemu wciąż mnie odpychasz? Wszystko, czego pragnę, to uczynić cię swą żoną, obsypać kosztownymi podarkami. Czemu jesteś taka niedostępna i wyniosła?

- Proszę, wcale tego nie chcę.

- Ocaliłem ci życie.

- Skylo, przyjechałeś i walczyłeś ramię w ramię z Hunami, którzy zabili mego ojca. Porwałeś mnie i...

- Takie są prawa wojny - zmarszczył czoło. - Teraz ja jestem twoją przyszłością. Nie ten rzymski niewolnik.

Wykrzywiła szyję, szukając pomocy. Wiedziała, że może się wymknąć z uścisku Huna, jeśli zacznie z nim flirtować, lecz była zbyt zdenerwowana. Musiała się wyrwać! Jonasz mógł nadejść w każdej chwili i konfrontacja ze Skyllą mogła zrujnować cały plan. Spróbowała go odepchnąć i oboje zatoczyli się do tyłu. -

Skylo, musisz wytrzeźwieć. Puść mnie.

Bawił go ten mały flirt. Przyciągnął ją do siebie, dysząc w twarz. Śmierdział

potem i brudem. Wciągnął chciwie jej słodki zapach. - Gdy trwa *strava*, mężczyźni i kobiety łączą się w pary.

- Mam obowiązki. Służę żonie Edekona.

- Jestem jego bratankiem i przyszłym wodzem - powiedział groźnie, wykręcając boleśnie jej ramię, by nie zapomniała przypadkiem, kto jest panem. -

Należę do tych, którzy będą rządzić światem. I wszystkim, co na nim jest.

- Tylko gdy dowiedziesz swej wartości! Nie w ten sposób...

- Mogę uczynić cię królową. Nie rozumiesz tego?

Uderzyła go w twarz wolną ręką tak mocno, jak zdołała. Cios był głośny jak uderzenie bata. Dłoń piekła ją żywym ogniem, a Skylla zdawał się odporny na wszelki ból. Uśmiechał się jeszcze bardziej złowieszczo.

- Nie chcę być twoją królową. Znajdź sobie drugą. Są tysiące, które z chęcią się zgodzą!

- Aleja pragnę ciebie. Pragnę cię, odkąd cię zobaczyłem przy płonącym kościele w Aksjopolis. Pragnąłem cię przez całą drogę do Konstantynopola, nienawidząc głupiego senatora za to, że muszę go eskortować, oddalając się od ciebie z każdą minutą. Pragnąłem cię przez całą powrotną drogę. Ciężysz moim myślom jak worek ołowiu ciążył Bigilasowi, wyginając mu ramiona i wykrzywając plecy, iż ledwie stał, płacząc, gdy syn prowadził go za rękę.

Znudziło mnie bezsensowne czekanie.

Co robić? Jego uścisk był niczym żelazne kajdany. Musiała znaleźć jakąś wymówkę. - Nie chciałam cię uderzyć. Przepraszam. Jestem tylko oszołomiona.

Tak, tak, dobrze wiem, że musimy się pobrać.

Popatrzył na nią tryumfująco i pocałował.

Wyrwała się, wykręcając głowę. - Przecież Edekon powiedział, że musisz poczekać na decyzję Attyli! Musimy poczekać, Skyllo. Wiesz dobrze, że musimy!

- Do diabła z Attylą. - Po omacku szukał jej warg.

Nadstawiła mu policzek. - Powiem, że to powiedziałaś! Powiem, że przeszkodziłaś mi w obowiązkach. Że piłeś, wracając do obozu. Powiem...

Warknął i odepchnął ją gwałtownie. Upadła, tracąc oddech i uderzając głową o ubity trakt. Zakręciło się jej w głowie, małe iskierki tańczyły przed oczami, gdy próbowała spojrzeć na Skyllę. Opadł na kolana i rozchylając jej nogi, chwycił za suknię przy szyi.

- Nie, Skyllo! Zastanów się!

Szarpnął, materiał rozerwał się z trzaskiem, szwy rozeszły się jak ścinane sierpem zboże. Poczula na

nagich piersiach chłodne pieszczoty nocnego wiatru.

Oszalał. Im bardziej się wyrywała i opierała, tym bardziej go podniecała.

Spróbowała wydrapać mu oczy. Zaśmiał się tylko.

- Powiedziałem mu, że drapiesz.

Krzyknęła, bez nadziei, iż ktoś ją usłyszy. Jej głos utonął w powodzi hałasów dzikiej nocy. Skylla oszalał, pijany zmagając się teraz z jej i swoim ubraniem.

Właściwie gdyby ją zgwałcił, czy zmieniłoby to cokolwiek? Była branką i niewolnicą, on należał do huńskiej arystokracji.

Wtem coś przemknęło obok nich i rzuciło się na Huna, odrzucając go na bok i tocząc się z nim po trawie i ziemi. Słyszano sapanie i ciche przekleństwa. Ktoś usiadł na piersi Skylli i uderzył go w twarz pięścią.

- Ilano, biegnij do rzeki!

Jonasz!

Hun warknął, pchnął Rzymianina i odskoczył do tyłu. Jonasz upadł na ziemię zaskoczony. Skylla rzucił się na niego, sięgając rękoma do gardła. - Jeszcze cię nie zabili? - Teraz on był górą, przyciskając piersi Rzymianina kolanami. Nagle w powietrze wystrzeliła pięść i głowa Huna odskoczyła gwałtownie do tyłu.

Rozluźnił uścisk. Jonasz podniósł się i stanęli naprzeciw siebie.

- Biegnij do rzeki! - krzyknął ponownie, dysząc ciężko.

Gdyby pobiegła, wciąż miałyby szansę uciec. Karzeł mógłby sam odnaleźć drogę. Jonasz zatrzymałby Skyllę. I choć rozsądek podpowiadał jej, by biegnęła, nie mogła tego zrobić. Czyżby jednak czuła coś do Rzymianina? Coś więcej, niż chciała przyznać? - Nie zostawię cię! - krzyknęła, szukając wzrokiem kamienia lub kija.

Hun, plując krwią, wyciągnął do przodu ramiona i zaatakował. Jonasz schylił

się i uderzył ponownie - lewym prostym, a potem silnym lewym sierpowym.

Skylla stanął w miejscu zdumiony. Ruszył po chwili raz jeszcze. Jonasz się zamachnął. Ilana usłyszała głośnie uderzenie i zobaczyła, jak Hun pada na ziemię.

Rzymianin cofnął się ostrożnie. Dziewczyna ledwie mogła oddychać. Zdała sobie sprawę, że Hun nie ma najmniejszego pojęcia o boksowaniu, którego uczył

się każdy rzymski chłopiec.

Skylla przetoczył się na bok, ukleknął odwrócony do nich plecami i chwając się, wstał. Sfermentowane mleko i bębny szumiały mu w uszach. Ze spuchniętych od ciosów warg wydobył gwizd. - Drilka! - Kuc przybiegł i teraz tańczył nerwowo w miejscu.

Skylla oparł się o siodło, prawie się przewracając. Dobył miecza i odwrócił się gwałtownie. Pragnął krwi. - Dość mam twoich sztuczek, Rzymianinie.

Ilana dostrzegła kije, na których suszyło się mięso. Podbiegła i wyrwała jeden z ziemi. Jonasz schylił się teraz i cofał, patrząc wciąż na ostrze, starając się umknąć śmiertelnym uderzeniom. - Ilano, nie marnuj okazji. Uciekaj!

- Nie - wyszeptała, schylając się. Też bała się miecza. - Jeśli cię zabije, mnie też będzie musiał zabić.

Nagle usłyszeli zbliżające się powoli głosy. - Przestańcie! Wszyscy!

Edekon. Skylla podskoczył jak młody chłopiec przyłapany na kradzieży, po czym wyprostował się, opuszczając broń. Podbiegli inni ludzie z pochodniami w dłoniach - opuchnięta twarz młodego Huna spływała krwią. Jego wuj podszedł

bliżej, a za nim tłum ciekawskich, Ilana przypomniała sobie nagle o swoich na pół odsłoniętych piersiach. Upuściła kij i podciągnęła suknię, by je zakryć.

- Niech cię piekło pochłonie, Skylo. Co tu robisz? Czemu nie zgłosiłeś się do mnie zaraz po powrocie?

Hun wskazał palcem Jonasza. - Zaatakował mnie - powiedział wojowniczo.

- Czy to prawda? - zapytał Edekon.

Ilana ośmielona puściła suknię. - Rozerwał na mnie ubranie. - Niektórzy Hunowie wlepiali w nią oczy, inni zaczęli się śmiać. Tłoczyli się, podchodząc bliżej - mężczyźni, kobiety, dzieci, nawet psy. Czują ich nieświeże oddechy.

- Zabiłbyś nieuzbrojonego Rzymianina? - zapytał Edekon z pogardą w głosie.

Skylla splunął krwią. - Złamał prawo, gdy mnie zaatakował. Walczy nieuczciwie, skacząc jak małpa. Każdy inny niewolnik już dawno by nie żył. Poza tym, co on tu robi? Z dala od ognisk, z dala od uczy? Czemu nie wykonuje swoich obowiązków?

- Wpierw ty powiedz, co tu robiłeś? Chciałeś zgwałcić kobietę należącą do twego wuja? - rzucił Jonasz.

- To nie był gwałt! To...

Edekon podszedł do niego i kopnięciem wytrącił z ręki opuszczony miecz.

Zabrzącał o kamienie i upadł w trawę. - Attyła zdecydował, do czego doszło. -

Wódz wciągnął powietrze, krzywiąc się z niesmakiem. - Czuć od ciebie kumys, bratanku. Nie mogłeś poczekać, aż dotrzesz na *strawę*.

- Czekałem. Właśnie dotarłem do obozu, a ona czekała tu...

- Kłamiesz - syknęła.

- Cisza! Pójdziecie ze mną do Attyli!

Lecz król już tam był, szedł, przepychając się przez tłum. Zdążył zrzucić z siebie szkielet Rustycjusza, wciąż jednak nosił na głowie demoniczne rogi. Jak ferujący wyroki bóg rozpychał się do przodu, gotowy zagrać główną rolę w tym akcie. Zapadła długa cisza, gdy wodził wzrokiem od jednej postaci do drugiej.

W końcu przemówił: - Dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Po raz pierwszy słyszę o czymś takim.

Tłum wybuchł śmiechem, a twarz Skylli spłonęła rumieńcem wstydu.

Popatrzył na Jonasza z nienawiścią w oczach. - Ta kobieta mi się należy, przywiozłem ją dla siebie z Aksjopolis - powiedział. - Każdy o tym wie. Lecz ona woli torturować mnie swą odmową, w tym Rzymianinie szukając obrońcy...

- Zdaję mi się, że rzeczywiście go potrzebowała i że należycie się spisał.

Tłum raz jeszcze zaniósł się śmiechem.

Skylla zamilkł, wiedząc, że każde kolejne słowo, które wypowie, tylko go pograży. Twarz wciąż mu puchła.

- Ten spór zesłali nam bogowie, by nasza *strawa* stała się bardziej interesująca! -

zakrzyknął król, odwracając się do tłumu. - Wyjście jest proste. Kobieta potrzebuje jednego, nie dwóch mężczyzn. Jutro obaj staną naprzeciwko siebie.

Ten, który przeżyje, będzie mógł sobie wziąć dziewczynę. - Attyła spojrzał na Edekona. Wódz skinął głową. Obaj dobrze wiedzieli, jaki będzie wynik pojedynku.

Ilana także. Jonasz był już martwy, ona zaś zgubiona.

Rozdział XIV

Pojedynek

Diana drżała nieprzyzwyczajona do dźwigania na grzbiecie takiego ciężaru. Ja z kolei czułem się straszliwie niezdarny, siedząc na niej zakuty w zbroję. „Nigdy nie będziesz takim żołnierzem, jak twój brat” - powtarzał mi stale ojciec. W

Konstantynopolu nie musiałem nim być. Szczyciłem się tym, że jestem człowiekiem, którego domeną jest umysł, nie siła fizyczna, stworzonym do wyższych celów. Jakże teraz żałowałem, że nie brałem lekcji jazdy. Skylla z pewnością mnie wyminie, gdy będę próbował na niego natrzeć. Duża tarcza uderzała o bok klaczy, ramię drętwiało od ciężaru włóczni. Osłony na nos i policzki ograniczały pole widzenia. Ciężką zbroję rozgrzały promienie słoneczne, choć dzień wcale nie należał do upalnych. Miecz i sztylet zatknięty za pas zwisały przy udzie i biodrze. Jedynym błogosławieństwem, jakie dawała zbroja, było to, że nie widziałem zbyt dobrze tysięcy na pół pijanych Hunów, którzy zebrali się, by przyrzeć się pojedynekowi - spodziewali się szybkiej i krwawej jatki. Nie obstawiano, kto wygra, lecz jak długo uda mi się przeżyć.

Koń Skylli, Drilka, stawał dęba podniecony tłumem. Hun zdał mi się lekki jak piórko. Jego pancerz składał się z płytek wykonanych z końskich kopyt.

Grzechotał przy każdym ruchu jak szkielet, który wczorajszego wieczoru przywdział Attyła. Nogi i głowa nie były niczym chronione. Czekał uzbrojony tylko w łuk, dwadzieścia strzał i miecz. Twarz miał opuchniętą od moich razów i widok ten dał mi odrobinę satysfakcji.

Uśmiechał się szelmowsko, pewien śmierci przeciwnika i rychłego małżeństwa z dumną Rzymianką. Moja śmierć zmaże plamę na honorze, jakim było wczorajsze lanie. Ilana stała pomiędzy innymi niewolnikami przy Suekce, opatulona płaszczem, który ukrywał jej kształty. Oczy miała przekrwione, unikała mego wzroku, czując się winna, że doszło do pojedynku.

Nie mogłem liczyć na wsparcie z jej strony. Szkoda że sam nie mogłem postawić na swoją porażkę.

W tłumie dostrzegłem też Zerkona siedzącego komicznie na ramionach wysokiej kobiety. Nie była brzydka, powiedziałbym nawet, że była atrakcyjna.

Zdawała się być silną i miłą towarzyszką życia, której wielu mężczyzn potrzebuje, lecz niewielu otrzymuje w darze od losu. To musiała być jego żona, Julia.

- Nie powinieneś się był wtrącać, Rzymianinie - krzyknął Skylla. - Teraz zginiesz!

Puściłem groźbę mimo uszu.

- Patrzcie na niego. Zamknięty jak ślimak w skorupie - wykrzyknął ktoś z tłumu.

- I równie powolny.

- I pewnie trudny do wyciągnięcia - zauważył ktoś trzeci.

Do mych uszu dolatywały też inne obraźliwe krzyki - o moim pochodzeniu, o męskości, o niezdarności i głupocie. Choć może się to wydawać dziwne, czerpałem z nich siłę. Nie zmrużyłem oka od wczorajszej bójki, wiedząc, że nadchodzący poranek może być ostatni. Przez głowę przelatywały mi najróżniejsze myśli.

Przeklinałem swój pech. Za każdym razem, gdy zaczynałem myśleć o nadchodzącej walce, mój umysł uciekał od prób obmyślenia jakiegokolwiek inteligentnego planu lub taktyki we wspomnieniu. Przypomnił mi się konny wyścig ze Skyllą skradziony Hanie pocałunek i widok jej ws tydlowie zasłanianych, nagich piersi. Nie odpocząłem przez noc, nie skupiłem się na nadchodzącej walce i nie przygotowałem się do niej. Teraz zdałem sobie sprawę, iż jeśli nie chcę być jedynie łatwym do trafienia celem, tak jak melony, do kół rych strzelali ćwiczący nad rzeką Hunowie, muszę ruszyć głową i to szybko, nim ją stracę na zawsze.

Patrzyłem posępnym wzrokiem na Skyllę, gdy kłusował przy ustawionych w linii i wiwatujących barbarzyńcach, potrząsając pięścią i wyjąc przeraźliwie jak opuszczony szczeniak. Hun mógł trafić mnie lub konia ze stu kroków, przesywając jedną strzałą za drugą, aż przestałbym się ruszać. To nie miała być równa walka, lecz egzekucja.

- Gotowi? - zapytał głośno Edekon.

Miałem siedzieć spokojnie i czekać na śmierć? Gdzie szukać przewagi? Walcz na swoich zasadach, nie ich - powiedział Zerkon. Ale zapomniał dodać, jakie miałyby one być, a ja zapomniałem spytać. - Zaraz, zaraz - powiedziałem do siebie cicho, próbując skupić myśli. Mogłem przynajmniej stać się trudniejszym celem. Wbiłem włócznię w ziemię i wsparłem się na niej, by zsiąść z konia, lądując ciężko na ziemi.

- Patrzcie, tchórzy! - krzyczeli Hunowie. - Rzymianin tchórzy! Kobieta należy się Skylli!

Mocując tarczę i prostując ramiona, krzyknąłem w stronę Edekona: - Będę walczył pieszo.

Zdziwił się. - Człowiek bez konia jest jak człowiek bez nóg.

- Nie w moim kraju.

- Teraz jesteś w naszym.

Zignorowałem go, idąc do środka utworzonej z tysiąca ciał areny o średnicy dwustu kroków, by ukryć drżenie ciała. Nie miałem żadnych szans na ucieczkę.

- Tchórz! - krzyczeli wciąż Hunowie. - Patrzcie! Stoi, czekając na śmierć!

Skylla podjechał do mnie, przyglądając się ze zdziwieniem. Zastanawiał się zapewne, czy chcę w ten sposób ocalić swą tłąstą jego zdaniem klacz. Dianie nic nie groziło. Skylla chciał zabić mnie tak szybko, jak to możliwe. Konia z pewnością sobie przywłaszczy.

Stałem pośrodku pola. Będziesz musiał po mnie przyjść, Skylo.

Odwróciłem się. Attyla siedział na pośpiesznie wybudowanym podwyższeniu, Ilana i inne kobiety stały w ścisłości u stóp schodów. Ogromny żelazny miecz, czarny i matowy, spoczywał na kolanach króla. Za jego plecami stał człowiek odziany w greckie szaty, szepcząc mu coś do ucha. Zapewne Eudoksjusz, pomyślałem. To z okazji jego powrotu wydano ucztę. Czemu traktowano go z takimi honorami? Kagan wskazał dłonią niebo, po czym szybko ją opuścił.

Zaczęło się! Nieludzki ryk dobył się z tysięcy gardeł, buki winy wędrowały z rąk do rąk.

Widziałem, jak Skylla i Drilka raz jeszcze przejechali obok widzów. Wahał się, zastanawiając, co zamierzam. Wodziłem za nim wzrokiem, odwracając się powoli.

Kolczuga zwisała mi do kolan, owalna tarcza zakrywała wszystko prócz stóp i głowy, którą chronił stożkowaty hełm. Dobyłem miecza, włócznia stała obok, wciąż wbita w ziemię. Stałem w oczekiwaniu jak wartownik. Hun ruszył wreszcie do ataku. Sięgnął za plecy pewnym, wyćwiczonym ruchem, zbyt szybkim, by mogły za nim nadążyć moje oczy, dobył z kołczanu strzałę i wypuścił ją w moim kierunku. Nie mógł chybić.

W bitwie niemożliwa jest ucieczka przed gradem nadlatujących pocisków.

Walcząc tylko z jednym Hunem, mogłem śledzić lot pojedynczej strzały.

Odchyliłem się gwałtownie w lewo. Grot świsnął mi nad prawym ramieniem i poleciał w stronę grupki gapiów, która rozstała się, krzycząc i potykając się o siebie. Pocisk wylądował tuż przy nich, wbijając się w ziemię obok stóp. Pozostali wybuchnęli śmiechem.

- Pierwsza - odetchnąłem z ulgą.

Skylla zdenerwowany niepowodzeniem wystrzelił ponownie z bezpiecznej odległości. Raz jeszcze miałem wystarczająco dużo czasu, by zrobić unik i uchylić się w porę. Strzała przeleciała koło ucha. Wyobraziłem sobie, że trafiła celu i zaraz skarciłem się za to w myślach, klnąc siarczyście.

- Druga - powiedziałem pewniejszym głosem. Splunąłem, a potem przełknąłem ślinę.

Od cofającego się, aby dać nam więcej miejsca do walki, tłumu dobiegła kolejna fala okrzyków i gwizdów. - Celuj w Rzymianina, nie w nas! - Inni zastanawiali się na głos, czy moje wczorajsze ciosy nie oślepiły Skylli.

Wściekły z powodu szyderstw Hun kopnął boki Drilki, wciąż krążąc po obwodzie. Tym razem zaatakował szybciej, niż mogłem zauważyć jego ruchy. Z

nieładną szybkością, która dla Hunów jest wrodzona, Skylla wystrzelił w moją stronę serię pocisków. Nie mogłem uniknąć wszystkich. Uklęknąłem, zasłaniając się tarczą, i w ostatniej chwili zwinął się w kłębek. Trzy strzały przeleciały nad tarczą, kolejne trzy wbiły się w tarczę pod ostrym kątem, nie przebijając jej jednak. Szybko podniosłem się z ziemi, sięgnąłem ręką i ułamałem tkwiące w tarczy strzały.

- Osiem.

Skylla zbity z tropu kolejnym unikiem ruszył w kierunku wystrzelonej strzały, by ją podnieść, lecz ktoś z tłumu zabiegł mu drogę, wyszarpnął ją z ziemi i złamał

na dwoje. - Masz tylko jeden pełny kołczan! - wykrzyknął.

Gapie rzucili się do pozostałych chybionych pocisków, niszcząc je także. -

Jeden kołczan! Traf celu, bo zginiesz, Skylo! - Zdawało mi się, że sympatia tłumu powoli przechyla się na moją stronę. - Nie trafiłbyś swej tłustej matki, gdyby wypięła ogromny tyłek!

Zerkon zeskoczył z ramion swej żony i podskakując przed tłumem, skrzeczał

podnieconym głosem: - Rzymianin jest niewidzialny! Niewidzialny, a Hun ślepy!

Skylla krzyknął i pogalopował w jego kierunku, prawie tratując karła. W

ostatniej chwili Zerkon uskoczył w bok, kryjąc się pośród tłumu.

Hun wystrzelił niespodziewanie kolejną strzałę. Po niej następną, lecz nie od razu, co pozwoliło mi uniknąć obu pocisków.

- Dziesięć.

Gdy wyminąłem dziesiątą strzałę, Skylla zmienił nagle taktykę i ruszył prosto na mnie. Tym razem sięgnął do kołczanu i trzymał strzałę, celując we mnie cierpliwie. Drilka zbliżał się szybko, jego kopyta wzbijały w powietrze tumany kurzu. Hun chciał strzelić z bliskiej odległości - jednego bądź dwóch kroków.

Teraz nie będę miał czasu na unik. Gdy pędził na mnie, przestałem się obracać, wyszarpnąłem z ziemi włócznię i tuż przed strzałem cisnąłem ją najmocniej, jak mogłem. Włócznia przecięła powietrze. Skylla ściągnął wodze, a koń uskoczył w bok. Chybiłem, lecz jego strzała również, przelatując tym razem nad tłumem.

Usłyszałem ogłuszający wrzask, podniecone i kpiące głosy mieszały się ze sobą.

Skylla zawrócił kucają ruszyłem podnieść broń.

Raz jeszcze popędził na mnie i ponownie cisnąłem włócznię. Obaj chybiliśmy.

- Dwanaście - liczyłem, dysząc. Spływający po czole pot piekł oczy.

Edekon wystąpił z tłumu i złapał za uzdę Drilki. - Chcesz, by się nadto nie zgrzał? To nie zabawa, chłopcze. Tu idzie o twoje imię, o twój honor. Rusz w końcu głową.

Skylla wyszarpnął wodze. - Jego głowę dam ci wuju w prezencie.

Znów zataczał kręgi poza zasięgiem mego rzutu. Wypuścił trzy strzały w tempie uniemożliwiającym

jakikolwiek unik. Dwie przebiły tarczę. Pierwsza straciła impet i ledwie musnęła mą zbroję, nie wyrządzając mi żadnej krzywdy.

Niestety, druga ugodziła tam, gdzie przytrzymałem ręką tarczę i przeszła na wylot przedramię, tak iż nie mogłem jej teraz odrzucić. Szok sprawił, że stanąłem w miejscu i omal nie przypł acielem tego życiem, gdy kolejna strzała pofrunęła w stronę mego oka. Schyliłem się, grot uderzył z brzękiem w hełm. Zachwiałem się od uderzenia.

- Szesnaście - wyszeptałem, krzywiąc z bólu twarz. Dzwoniło mi w uszach.

Strużki krwi skapywały z tarczy na ziemię.

Okrzyki gapiów ucichły na krótką chwilę. Skylla wreszcie trafił, lecz rzymska tarcza i zbroja okazały się trwalsze, niż się tego spodziewali. Choć pogardzali pokonanymi wrogami i z nich drwili, męstwo bądź dobry ekwipunek od razu zyskiwały ich szacunek.

Kuc nadal trzymał się poza moim zasięgiem. Z okropnego hałasu wyławiałem zarówno okrzyki zachęty, jak i zniewagi. Skylla sięgnął za plecy i zawahał się, nieruchomiejąc.

Zostały mu tylko cztery strzały. Jak miał zakończyć ten upokarzający pojedynek?

Wyjąc przeraźliwie, natarł na mnie. Gdy podniosłem włócznię, skręcił ostro, uskakując w lewo. Mój pocisk trafił w próżnię. Hun zawrócił, by podjechać od odsłoniętej teraz strony, zanim zdążyłbym się odwrócić. Naciągnął cięciwę.

Spanikowałem, pocisk przeleciał koło ucha, gdy wpadł na mnie kuc. Kopyta uderzyły w tarczę, łamiąc ją w drzazgi. Jedno trafiło w żebra, odrzucając mnie na bok. Poczułem się tak, jakby na całym świecie w jednej chwili nagle zabrakło powietrza. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Żebro pulsowało bólem nie do zniesienia. Koń stanął dęba i przeskoczył nade mną, rżąc przeraźliwie, gdy Skylla próbował go obrócić. Tłum szumiał jak fale oceanu rozbijające się o wysoki brzeg.

Musiałem odpowiedzieć na ten atak. Tylko jak?

Młody Hun ponownie ruszył w moją stronę, gdy zacząłem czołgać się do włóczni. Chwyciłem ją niepewnie i podniosłem, chowając się za tarczą jak za głazem. Wystrzelił z bliskiej odległości. Wyciągnąłem przed siebie włócznię.

Pocisk przeszedł przez drewno jak przez papier. Kuc odskoczył na bok i dlatego grot minął klatkę piersiową, wbijając się w ramię z taką siłą, że strzała przeszła na wylot, przygważdżając mnie do ziemi. Leżałem bezradnie. Skylla zawracał konia i powoli się zbliżał. Tym razem nie mógł już chybić. To koniec. Rozejrzałem się na boki. Ilana wybiegła przed wszystkich, rękoma zakrywając usta.

Nie pozwolę, by była jego.

Resztkami sił uderzyłem włócznią do góry, trafiając w podbrzusze kuca. Zarżał

i stanął dęba. Przedostatnia strzała ugrzęzła w tarczy. Drilka oddalał się ode mnie, ciągnąc za sobą połamane drzewce. Potrząsając grzywą z bólu, zostawiał za sobą ślad krwi i uryny.

Hunowie oszaleli z zachwytu. Pojedynek okazał się nad wyraz emocjonujący.

Tarcza ciążyła mi na piersi, wzrok miałem mętny - wszystko z powodu odniesionych ran i szoku. Musiałem się podnieść! Skylla uspokoił kuca, włócznia upadła na ziemię.

Strzała tkwiąca w ramieniu wciąż przyciskała mnie do ziemi. Bałem się ruszyć z obawy przed bólem. Musiałem to jednak zrobić! Zbierając całą odwagę, obróciłem się i uniosłem trochę. Krzyknąłem, gdy strzała przeszła przez ciało.

Zakręciło mi się w głowie. Prawą, sprawną ręką poprawiłem tarczę, drugi pocisk, który ugodził mnie w przedramię, pękł na pół. Pasy przytrzymujące tarczę opadły, uderzyła o ziemię. Kopnąłem ją i potoczyła się wolno - zabrudzony krwią kawałek drewna. Zbroja lśniła od świeżej krwi spływającej z ramienia. Głowa bolała w miejscu, gdzie trafiła mnie strzała. Nieludzkim wysiłkiem uklęknałem, a potem wstałem. - Dziewiętnaście - wycharczałem, dysząc.

Widziałem, jak Skylla dobywa ostatnią strzałę.

Kopnął boki konia, lecz Drilka jechał powoli, bojąc się człowieka, który tak boleśnie go zranił. Ślepia kuca zaszyły mgłą. Hun tryumfował. Okrzyki i wiwaty dobiegały zewsząd. Widziałem tylko zbliżającego się przeciwnika. Dobyłem z pochwy miecz. Skylla uśmiechnął się kpiąco. Nigdy nie podjedzie na tyle blisko, bym mógł zrobić z niego użytek.

- Skończ z nim! - Krzyk Edekona wzniósł się ponad innymi.

Widziałem piersi Drilki, długą szyję kuca, siedzącego tuż za nią i mierzącego we mnie Skyllę. Dzieliło nas dziesięć kroków.

Cisnąłem mieczem, krzywiąc się z bólu.

Ostrze obróciło się w powietrzu kilka razy i zanurzyło w piersi wierzchowca.

Drilka przewrócił się do przodu. Skylla zdążył jeszcze wypuścić strzałę, zanim wyleciał z siodła, przelatując nad łbem konia, lecz ta poleciała za nisko. Byłem bezbronna. Miecz tkwił w piersi wierzgającego i rżącego z potwornego bólu kuca.

Hun, klnąc, potoczył się po trawie.

Potykając się, przebiegłem obok niego. Podniosłem połówkę złamanej włóczni -

tę z ostrzem.

Skylla miał przypasany miecz. Pewniej czuł się jednak, dzierżąc łuk. Teraz kołczan był już pusty. Ostatnia, chybiona strzała tkwiła w kępie trawy, szydząc z jego nieudolności. Poczołgał się ku niej. Chwiejąc się, ruszyłem za nim z uniesioną i gotową do uderzenia włócznią. Krwawiłem straszliwie,

a mój rywal nie odniósł jeszcze żadnej, nawet najmniejszej rany. Wystarczyło, żeby poczekał, aż się przewrócę! Nie chciał tak zrobić - wtedy bowiem zbyt ucierpiałaby jego duma.

Wyciągnął pocisk z trawy. Leżąc na plecach, podniósł łuk. Wiedziałem, że zaraz umrę.

Lecz gdy próbował naciągnąć cięciwę, ta zwisała bezużytecznie. Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Upadając z konia, złamał łuk.

Zaatakowałem. Nim zdążył dobyć miecz, postawiłem but na jego piersi, przyciskając ostrze włóczni do gardła. Hun spróbował się wyrwać, lecz grot wbił

mu się w szyję, z rany pociekła krew. Zamarł w bezruchu, śmiertelnie przerażony.

Podniósł wzrok.

Musiałem wyglądać jak ogromne, metalowe monstrum - pierś unosiła się, łapiąc z trudem oddech, krew cieknąca z moich ran skapywała na Hunę, twarz skrywał hełm odsłaniający jedynie parę lśniących i pałających zemstą oczu. Stało się niemożliwe. Zwyciężyłem. Skylla zamknęła oczy, szykując się na ostateczny cios. Niech tak będzie. Lepiej zginąć, niż żyć do końca swych dni okryty hańbą.

Tłum cisnął się do przodu, wrzeszcząc jak oszalały. - Zabij go! Zabij!

- krzyczeli. - Dalej, Rzymianinie! Zasłużył na śmierć!

Popatrzyłem na Edekona. Hun odwrócił się ze wstrętem. Przeniosłem wzrok na Attyłę. Król, patrząc srogo, opuścił kciuk, parodiując stary gest, o którym musiał z pewnością słyszeć.

Zamiast śmierci odniesionej w walce Skylla miał zginąć jak niewolnik. Nie dbałem o to. Ci Hunowie ukrzyżowali Rustycjusza, uprowadzili Ilanę, zabili jej ojca, a mnie uwięzili. Skylla drwił ze mnie od pierwszego dnia, gdy się spotkaliśmy. Wiedziałem, że nie tego spodziewali się po mnie księża uczący mnie w Konstantynopolu. Ostatni gest będzie wspomnieniem przeszłych czasów, starego pogańskiego świata. Zaślepiła mnie nienawiść. Chwyciłem pewniej złamaną włócznię i zacisnąłem pięści, szykując się do zadania ciosu.

Wtem wpadło na mnie coś drobnego, odtrącając na bok. Zachwiałem się i krzyknąłem wściekły z bólu. Kto śmiał mnie powstrzymać?!

Iłana?!

- Nie - powiedziała z oczami pełnymi łez. - Nie zabijaj go! Nie z mego powodu!

Dostrzegłem, że Skylla otwiera oczy, zdziwiony odroczeniem wyroku. Dłonią sięgnął do pasa i zacisnął ją na rękojeści miecza. Przetoczył się na bok, by móc go dobyć.

I wtedy pochłonęły mnie ciemności.

Straciłem przytomność.

Część II

Zachód

Rozdział XV

Dzban na wino

Byłem w jakimś ciemnym i dusznym miejscu. Demon, a może sukub pochylał

się nade mną, by pożywić się moim obolałym ciałem lub by zanieść mnie jeszcze głębiej w otchłań piekielną. W uszach dzwoniło mi cicho. Ilana zdradziła mnie i rozplynęła się w powietrzu jak mgła. Wiedziałem, że popełniłem jakiś wielki i nieodwracalny błąd, lecz nie mogłem go sobie przypomnieć. Demon powoli się przybliżał.

- Na rany twego Zbawiciela, zamierzasz spać wiecznie? Przed tobą znacznie większe zadania.

Ton głosu był wysoki, zgryźliwy i znajomy. Zerkon.

Otworzyłem powoli oczy. Zalało je białe światło, a wraz z nim poczułem ból -

świeży i bardziej dotkliwy niż podczas gorączki. Żałowałem, że opuściłem Konstantynopol, że usidliła mnie i wystrychnęła na dudka kobieta. Spróbowałem wstać.

- Jeszcze nie teraz - karzeł pchnął mnie delikatnie na łóżko. - Obudź się, lecz leż bez ruchu. - Ktoś położył mi coś gorącego na ramieniu.

- Aaa! - Bolało jak ukąszenie jadowitego węża. A ja, naiwny idiota, pragnąłem i szukałem przygód!

- Pomogę ci nabrać sił - wyszeptał kobiecy głos. Głos boleśnie znajomy.

- Czemu ocaliłaś Skyllę?

- By ocalić nas. Poza tym nie pozwolę, by ktokolwiek zginął z mojego powodu.

- Nie chodziło o ciebie...

- Ćśś! Odpoczywaj.

- Jak myślisz, co by się stało, gdybyś zgładził bratanka Edekona? - dodał

Zerkon. - Niech dziewczyna zaopiekuje się twoimi ranami, abyście mogli zbawić Rzym.

Poczekaj, aż przejdą mi nudności i zawroty głowy. Spróbowałem się skupić.

Oczy powoli przyzwyczajały się do ogniska i świec. Pomieszczenie tonęło w cieniu. Obok mnie siedział błazen. Skórzane nakrycie łóżka skrzypiało, gdy przekręcałem się na bok. Przez otwór w suficie, którym ulatywał dym, widziałem szare niebo. Dzień był pochmurny. A może już się zmierzchało lub też dopiero wschodziło słońce.

- Która godzina?

- Pierwsza. Minęły trzy dni, odkąd upokorzyłeś czupurnego kogucika -

powiedział żartobliwie Zerkon.

- Trzy dni! Jestem wyczerpany i odwodniony.

- W rzeczy samej. Straciłeś dużo krwi, gorączka wycisnęła z ciebie siódme poty. Julio, czy już gotowe? - W pokoju była jeszcze jedna osoba, której początkowo nie zauważyłem. Kobieta trzymająca karła w swych ramionach podczas pojedynku. - Masz, wypij to.

Było okropnie gorzkie.

- Nie odwracaj głowy - do dna! Mój Boże, cóż z ciebie za niesforny pacjent!

Wypij cały kubek, potem dostaniesz wino i wodę. Wpierw musisz poczuć się lepiej.

Posłusznie, choć krzywiąc się, wypilem. Trzy dni! Nie mogłem przypomnieć sobie niczego prócz utraty przytomności. - A więc udało mi się przeżyć.

- Tak jak i Skylli dzięki Ilanie. Nienawidzi cię bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Zwłaszcza po tym, gdy pozwolono tej oto ślicznotce doglądać twoich ran. Ma nadzieję, że szybko wydobrzejesz, by mógł ponownie wyzwać cię na pojedynek. Nigdy jeszcze jeden człowiek nie modlił się tak gorliwie o zdrowie dla drugiego! Przestrzegłem go przed tym pomysłem. Powiedziałem, że znów go przechytrzysz. Teraz się zastanawia, jak też udało ci się to za pierwszym razem.

Uśmiechnąłem się, lecz nawet najmniejszy grymas sprawiał mi ból.

Odwróciłem się do Ilany. - Czujesz coś do niego? - Moje słowa zabrzmiały jak oskarżenie. Walczyłem o nią a nie pozwoliła mi zakończyć walki.

Spuściła zawstydzona wzrok. - Zwodziłam go, tak jak zwodziłam ciebie, gdyż samotna kobieta jest tu bezbronna. Nie napawa mnie to dumą. Pojedynek przepełnił jednak czarę. Opuściłam dom Suekki i niedługo opuszczę też ten.

Zostawię was wszystkich w spokoju.

- Co masz na myśli?

- Kolejny powód, by Skylla znenawidził cię jeszcze bardziej - wyjaśnił

radośnie Zerkon. - Gdy stało się jasne, że żaden z was nie ma zamiaru umrzeć, Attyla wydał iście salomonowy wyrok. Przyznał dziewczynę sobie.

- Sobie!?

- Jako niewolnicę, nie konkubinę. Powiedział nawet, że obaj walczyliście dzielnie. Że Skylla okazał się prawdziwym Hunem, choć wytknął, że ma teraz dług u młodego Rzymianina. Dlatego zarówno ty, jak i Skylla dostaniecie szansę, by ją zdobyć. Będziecie musieli walczyć dla Attyli. Ten, który wyróżni się w boju, dostanie dziewczynę - powiedział karzeł, szczerząc zęby. - Musisz podziwiać

jego zdolności motywowania ludzi.

- Walczyć? Chcę walczyć, ale przeciwko Attyli. Ukrzyżował mojego przyjaciela bez powodu. Upokorzył nauczyciela...

- Aaa, widzę, że Skylli udało się wbić ci co nieco do głowy. Dlatego właśnie musisz wyzdrowieć. Gdy całe to zamieszanie wokół naszej ślicznotki przycichnie, przejdziemy do innych, ważniejszych rzeczy, Jonaszu z Konstantynopola. Attyla nie spał, a świat jest w niebezpieczeństwie. Masz zamiar przepaść resztę życia, czy też ruszysz na ratunek swemu cesarstwu?

- O czym ty w ogóle mówisz? - Mój wzrok znów zasnęła mgła. Cokolwiek dała mi Julia do wypicia, sprawiło, że morzył mnie sen. Czemu mnie obudzili, skoro chcieli, bym ponownie zasnął?

- O tym, że musisz spać, by wróciły ci siły. Nie słuchaj paplaniny mojego głupiego małżonka - powiedziała łagodnym tonem Julia. - Spij, pozwól ciału zmagać się z bólem. Będziesz miał lata, by zbawić świat.

- Nie, nie będzie - zaprzeczył Zerkon.

Nie słyszałem już jego słów. Raz jeszcze zapadłem w sen.

Nikomu nie polecam dwóch strzał wbitych w ciało. Wielcy herosi z przeszłości nosili swe rany dumnie i bez utyskiwań. Moje ramię i ręka przypominały zaś boleśnie o wyrządzonej im krzywdzie, a każde ukłucie bólu o mojej śmiertelności.

Obiecałem sobie, iż nigdy nie będę już tak naiwnie odważny. Byłem w wieku, w którym przykucie do łóżka jest najgorszą katorgą, choć szybko wraca się do zdrowia. O zmroku mogłem już usiąść, następnego ranka chodziłem wokół chaty, niepewnie stawiając kroki. Pod koniec tygodnia umierałem z nudów - choć wciąż odczuwałem silny ból, nie byłem już skazany na czyjąś łaskę. - Zanim spadnie pierwszy śnieg, będziesz rąbał dla mnie drwa - zapewniał mnie karzeł.

Ilana rozmawiała ze mną dłużej tylko raz. Było ciemno, Zerkon i Julia położyli się spać, a mnie obudziła gorączka. Ilana przetarła moje skronie i ramię wilgotną szmatką, wzdychając: - Wolałabym, by te strzały przeszły moje ciało.

- Nie wiń się za pojedynek, który zarządził Attyla.

- Czułam się jak morderczyni, zupeł nie bezbronna. Myślałam, że zahartowała mnie śmierć ojca i ukochanego, lecz nie mogłam stać spokojnie i patrzeć, jak stajecie naprzeciw siebie, gotowi zabić jeden drugiego, by mnie zdobyć. Nie chcę poślubić Skylli, lecz nie jest mi całkiem obojętny. Chciałam cię wykorzystać, przyznaję, byś pomógł mi w ucieczce, lecz myślisz, że nie zauważyłam, jak na mnie patrzysz, w jaki sposób mnie dotykasz? Nienawidzę walki, a teraz...

- Ta rywalizacja jeszcze nie dobiegła końca.

Potrząsnęła głową, zaprzeczając moim słowom. - Nie pozwolę, by którykolwiek z was zabijał wrogów Attyli, by w nagrodę otrzymać me łożo. Nie wyjdę za Skyllę, lecz nie będę ci ciężarem.

Udaj, że chcesz walczyć, a potem ucieknij stąd jak najdalej. Nie lękaj się o mnie ani o cesarstwo. Już wystarczająco cię skrzywdziliśmy.

- Naprawdę myślisz, że jestem aż tak wielkim głupcem? Że mogłaś mną manipulować do woli? Nie spróbowałbym ucieczki, gdyby nie ty, Ilano. To ty próbowałaś mnie ocalić.

Uśmiechnęła się smutno. - Jakże naiwna jest twoja dobroć! Musisz wyleczyć nie tylko swe ciało, głowę także. A to najlepiej robić w samotności - powiedziała i pocałowała mnie w czoło.

- Aleja potrzebuję... - zasnąłem. Gdy się obudziłem, już jej nie było.

- Gdzie jest Ilana? - spytałem krzątającego się obok Zerkona.

- Wzruszył ramionami. - Może się jej znudziłeś. Może cię kocha. Może powiedziała Attyli, że wróciłeś do zdrowia i że już nie potrzebujesz jej opieki. A może, tylko może, mam dla niej ważniejsze zadania do wykonania. - Mrugnął

tajemniczo okiem.

- Zerkonie, proszę, wyjaśnij mi wreszcie, co się tu dzieje.

- Zbliża się koniec świata. Przynajmniej tak uważają wieszczowie.

Chrześcijanie obawiają się Apokalipsy. We wszystkich kierunkach pędzą posłańcy.

Ostrzy się broń. Znasz Greka Eudoksjusza?

- Widziałem go chyba, gdy pojedynkowałem się ze Skyllą.

- Przybył ponoć do Attyli z wieściami ogromnej wagi. Po nim do obozu przyjechała kolejna grupa jeźdźców - znacznie cichsza, skromniejsza i nad wyraz dziwna. Powiedziałem Hanie, by oczy miała a szeroko otwarte i by nasłuchiwała wszelkich rozmów. Gdy zabawiam Attylę w wielkiej sali, przekazuje mi informacje, które udało się jej zdobyć - szepcząc lub wciskając w dłoń skrawki papieru. Niech Bogu będą dzięki, że większość Hunów jest niepiśmienna.

- Czego się dowiedziała?

- O młodzieńcza ciekawości! Czyż to nie najlepszy dowód na to, że już wyzdrowiał, najdroższa Julio?

- Ciekawi go polityka czy raczej los dziewczyny? - odpowiedziała, uśmiechając się szelmowsko.

- Wszystko, wszystko mnie ciekawi! - krzyknąłem. - Mój Boże, zbyt długo byłem niewolnikiem waszych garnków i wywarów! Muszę się wreszcie dowiedzieć, co się dzieje!

Zaśmiali się oboje, Zerkon wystawił głowę za wiklinowe drzwi chaty, by się upewnić, że nikt nas nie podsłuchuje. - Wszystko wskazuje na to, że w nasze życia znów wkroczył eunuch.

- Chryzafiusz!? - wystraszyłem się, słysząc imię potężnego ministra.

- Nie, nie. Tym razem eunuch z Zachodu, znacznie delikatniejszy, jeśli wierzyć wszystkim opisom. Ma na imię Hiacynt, jak kwiat.

- Przybył z Zachodu?

- Słyszałeś cokolwiek o księżniczce Honorii?

- Same plotki. Siostra cesarza Walentyniana, okryta hańbą, gdyż przyłapano ją w łóżku z zarządcą majątku. Brat chciał ją wydać za mąż.

- Nie powiedziano ci jednak, że Honorii wybrała odosobnienie zamiast małżeństwa, co pozwala przypuszczać, iż jest rozsądniejszą - kobietą, niż powszechnie się sądzi. - Zaśmiał się szyderczo, a Julia żartobliwie szturchnęła go w głowę. - Hiacynt jest jej niewolnikiem i posłańcem zarazem. Zdaje się, że jego pani jest bardziej lekkomyślna, niż do tej pory uważano. Na królewskim dworze nic nie jest długo tajemnicą. Ilana dowiedziała się, że eunuch przybył o świcie, przywożąc dla Attyli tajną wiadomość. Miał przy sobie pierścień Honorii. To, co powiedział królowi, zmieniło całkowicie sposób jego myślenia. Do tej pory skupiał swe wysiłki na bogactwach Wschodu. Teraz rozważa ponoć marsz w przeciwnym kierunku - na Zachód.

Spodziewałem się gorszych wieści. Attyla i jego Hunowie pasożytowali na mojej części imperium od dekady. Gdyby przeniósł uwagę gdzie indziej, wszyscy w Konstantynopolu odetchnęliby z ulgą. - To chyba nie powinno być moim zmartwieniem. Przyjechałem w poselstwie ze wschodniego dworu.

- Czyżby? Wydaję ci się, że jedna część cesarstwa przetrwa, gdy druga upadnie?

- Upadnie? Hunowie są tylko jeźdźcami...

- Ten Hun nie. Ten Hun jest zdobywcą. Tak długo jak Zachód jest silny, Attyla nie zaryzykuje wysłania przeciwko Konstantynopolowi całej huńskiej armii.

Tak długo jak Wschód płaci haniebny trybut, zadowala swych ludzi zł otem i pogróżkami. Lecz teraz, młody dyplomato, wszystko się zmienia. Resztki statusu, jaki miałeś, będąc posłem, wyparowały. Dwa tygodnie temu do obozu dotarły wieści o śmierci cesarza Teodozjusza - miał wypadek podczas jazdy konnej. Na tronie zasiadł wódz Marcjan.

- Marcjan! To srogi i zawzięty człowiek.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo o tobie zapomniano. Chryzafiusz, który zlecił wam misję i który próbował potajemnie zgładzić Attyłę, stracił w końcu swoje stanowisko z powodu nieustających nalegań siostry Teodozjusza Pulcherii. Plotka głosi, że niedługo pożyje. Bigilas może zaś trafić na galery.

Jesteś dyplomatyczną wpadką, o której najlepiej byłoby zapomnieć. Co więcej, Marcjan obwieścił, że czasy płacenia Hunom daniny dobiegły końca, że nawet jeden solid nie powędruje już więcej na północ. Zawarto pokój z Persją, ze wschodnich rubieży przerzuca się wojska do Konstantynopola.

Attyła posunął się w żądaniach za daleko.

- Więc zanosi się na wojnę? - Ucieszyłem się na myśl o możliwym ratunku, po czym zaraz zbladłem, przypominając sobie groźbę Attyli. Chciał mnie stracić z błahszego powodu.

- Tak, lecz z kim? - zapytał Zerkon retorycznie, nie zwracając uwagi na wyraz mojej twarzy. - Wieści o oporze Marcjana doprowadziły Attyłę do szału. Podobno jego małe, świńskie oczka wyszły na wierzch, jakby ktoś go dusił. Dłonie zaciskał

w pięści, przeklinając Marcjana w siedmiu językach i wył jak szaleniec. Wpadł w taki amok, iż tarzał się po ziemi jak wyrzucona na brzeg ryba, póki z nosa nie pociekła mu krew, brudząc wraz z toczoną z ust pianą brodę, wargi i zęby. Ilana widziała wszystko na własne oczy! Żaden z dworzan nie śmiał do niego podejść.

Poprzysiągł dać Wschodowi nauczkę. Lecz w jaki sposób zamierza spełnić swą groźbę? Poskramiając i jednocząc plemiona Zachodu, prowadząc je, Hunów i podległe nacje razem pod bramy Konstantynopola! Attyła powiedział, że jego lud spotkał na swej drodze niezliczone rzesze wrogów i że nie zazna pokoju, póki nie ujarzmi całego świata.

- I postąpi tak tylko dlatego, że Marcjan doszedł do władzy?

- Nie tylko. Zrobi tak, gdyż poprosiła go o to lekkomyślna Honoria. Jeśli sygnet przywieziony przez eunucha i jego słowa są prawdziwe, to siostra cesarza poprosiła Attyłę, by był jej protektorem. Król uznał prośbę za propozycję małżeństwa, które, jak sądzi, powinno dać mu prawo do połowy Zachodniego Cesarstwa. Jeśli nie spełni się jego żądań, dojdzie do wojny.

- Z pewnością nie sądzi, by Walentynian zgodził się na podobne brednie.

Ludzie mówią, że Honoria jest głupią kobietą.

- Głupią czy może przebiegłą? Czasem obie te cechy okazują się jedną i tą samą. Oczywiście że Walentynian nie zgodzi się na żądania Attyli, póki nie zmusiłoby go do tego jakieś bliższe niebezpieczeństwo. I tu wkracza na scenę Eudoksjusz. Przebiegły zdrajca stał się kołem zamachowym dla całej intrygi.

- Grecki medyk?

- Zadufany w sobie intrygant. Wrócił z dworu wandalskiego króla Genzeryka, z północnej Afryki, z zapewnieniem, że zaatakuje on Zachodnie Cesarstwo od południa, jeśli Attyła ruszy od północy. Jeśli Hunowie i Wandalowie działają w porozumieniu, dni Rzymu są już policzone.

- Z pewnością Attyła nie jest na tyle lekkomyślny, by ruszać na zachód, gdy Marcjan zagraża mu na wschodzie...

- Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Widziałeś może kiedyś na dworze frankijskiego księcia Kłodę?

- Tylko z daleka. Byłem przecież niewolnikiem Hereki, zapomniałeś? Kolejny z wielu

barbarzyńskich posłów.

- O, mylisz się. Nie zwykły poseł. Frankowie spierają się o sukcesję. Tron objął brat Klody, Anthus. Kloda poprosił Attyłę o pomoc w zagarnięciu go dla siebie.

Usiadłem, od natłoku informacji kręciło mi się w głowie. Maksyminus radził, iż zwykłym czekaniem można rozwiązywać spory między narodami. Tym razem zwłoka zdawała się je pomnażać. - Proroctwo - wyszeptałem cicho.

- Co takiego?

- Maksyminus opowiedział mi kiedyś o dwunastu sępach, które Romulus zobaczył w swym śnie i które oznaczać miały upadek Rzymu po dwunastu stuleciach, czyli za niecałe trzy lata. Ponadto księża i mnisi biorą Hunów za uosobienie biblijnych proroctw - plemion Goga i Magoga, armii szatana lub czegoś podobnego.

- Rozumiesz więcej, niż mi się wydawało, chłopcze! - wykrzyknął zachwycony karzeł. - W rzeczy samej, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na rychły koniec świata! Lecz tym razem to Zachód musi się obawiać o swój los, nie Wschód. Edekon powiedział mi kiedyś, że potrójne mury Konstantynopola wprawiły go w osłupienie i że zaczął wątpić, czy kiedykolwiek uda się Hunom wdrzeć do miasta. Attyła mó gł dojsć do przekonania, że zachodnie ziemie będą bezpieczniejszym miejscem do wyładowania gniewu. Czy germańskie plemiona, które tam się osiedliły, zjednoczą się pod rzymskich dowództwem, by go odeprzeć? Do tej pory jeszcze do tego nie doszło. Teraz Attyła pokazuje wszem i wobec miecz Marsa, chwając się, że dzięki niemu zawojuje cały świat.

- Nikt nigdy go nie pokonał. Nie napawa to nadzieją.

- Chyba że uda się ostrzec Aecjusza, powiedzieć mu, że trzeba spowolnić pęd Attyli, mój młody rzymski przyjacielu - póki Zachód nie zjednoczy się przeciwko Hunom.

- Ależ komu uda się tego dokonać?

Zerkon posłał mi obłudny uśmiech syryjskiego sprzedawcy dywanów. - Tobie.

Ilana ma plan.

Mogę wymienić dwie naprawdę głupie rzeczy, jakie udało mi się w moim krótkim życiu zrobić. Pierwszą było zgodzenie się na udział w poselstwie. Drugą posłuchanie Ilany i Zerkona, którzy chcieli nie tylko uciec. O nie, oni zamierzali własnoręcznie zmienić bieg historii.

Jedynie perspektywa ponownego spotkania Ilany przekonała mnie, by spróbować. Nie miałem zamiaru rywalizować ze Skyllą w armii Attyli, by

„wygrać” Ilanę lub by dać Hunowi sposobność do kolejnego pojedynku. Skończyła się *strava*, a wraz z nią nasza szansa na szybką ucieczkę. Podobna okazja nie miała nadejść prędko, chyba że sami ją sprowokujemy. Być może z powodu winy bądź

zakłopotania Ilany nie chciałem pozostawić jej w obozie. Wtedy właśnie wpadła na okropnie lekkomyślny plan ucieczki, tak szaleńczy, że Zerkon od razu okrzyknął

go dziełem czystego geniuszu. Jedyne, czego potrzebujemy, by się powiódł, powiedział mi, to ty. Wątpiłem, by udało się nam zbiec, lecz niewola i odniesione rany sprawiły, że chciałem działać, zanim Attyla przypomni sobie o swych obietnicach i przystąpi do tortur. Pragnąłem uciec, być wreszcie wolnym.

Pragnąłem Ilany bardziej niż czegokolwiek na świecie. Nie jej ciała, choć ono też było tematem mych myśli, lecz jej rzymskości, jej normalności, jej więzów z utraconym domem. Czym jest miłość? Szaleństwem chyba, gotowością do zaryzykowania wszystkiego dla czegoś, co od początku wydaje się jedynie kolosalną pomyłką. Czemu miała na mnie taki wpływ? Nie wiedziałem. Ledwie ją znałem, spędziliśmy razem tylko kilka chwil, wymieniliśmy kilka zdań. Myśli o niej nachodziły mnie w sposób, który sprawiał, że moje uczucia do Oliwii wydały się dziecinne, który sprawiał, że chciałem dla niej zaryzykować wszystko. Gotowy byłem nawet zabić.

Ilana wpadła na pomysł, by przesznułować mnie do kuchni Attyli, lecz to Julia wymyśliła, jak tego dokonać. Miałem wejść do glinianej amfory na wino i tak ukryty dostać się do pałacu króla. - Kleopatra w podobny sposób trafiła do komnat Cezara.

- Właśnie, w podobny. Egipska monarchini z pewnością nie zanurzyła się w niczym i bez wątpienia łatwiej się ją niosło - zażartował jej mąż.

Muszę przyznać, że sam pomysł miał w sobie jakiś urok. Choć nie znałem Julii dobrze, byłem pod wrażeniem jej opanowanej praktyczności. Należała do tego typu ludzi, którzy starają się osiągnąć jak najwięcej z tym, czym dysponują, zamiast marzyć o tym, co być powinno. Chyba dlatego była szczęśliwa u boku Zerkona. Szczęśliwsza niż setki królów otoczonych tysiącami żon.

Małżeństwo z Karłem oznaczało dla niej koniec niewoli, choć bycie żoną błazna z pewnością nie było uważane za godny szacunku związek. Z wzajemnej desperacji zrodziło się osobliwe i wzruszające uczucie, podobne do tego, które czułem do Ilany. Zerkon z radością przywitałby towarzystwo każdej, nawet najbardziej zwyczajnej kobiety. Julia była nie tylko atrakcyjna, lecz także ujmująco pogodna, mądra, zdolna i wierna. Udowadniała na każdym kroku wiarę i miłość do swego drobnutkiemu męża, których większość mężczyzn mogła mu pozazdrościć.

Drwiący żart Biedy stał się dzięki niej prawdziwym małżeństwem. Julia doceniała inteligencję i zawziętość Zerkona, lecz przede wszystkim kochała go za to, że postanowił wrócić do Hunów, by być blisko niej. Niziołek udowodnił, że kochają i teraz mogła odwzajemnić jego uczucie. Jak wyglądały ich wspólne noce, tego nie mogłem sobie wyobrazić. Widziałem odwzajemniane pocałunki, widziałem, jak Zerkon zwija się w kłębek, leżąc w ramionach żony jak zadowolony zwierzak.

To czasem dziwne, komu przychodzi nam zazdrościć.

Julia wybrała się do dołu, do którego wrzucano nieczystości i odpadki, i znalazła w nim pęknięty gliniany dzban na wino, który rozszerzał się od dna niczym biodra kobiety, by zwęzić się u pełnej

gracji szyi. Miał dwa ucha i sięgał

mi do piersi. Pewnej nocy Julia przeniosła go w dwóch turach, wymijając ujadające psy. Glina śmierdziała winnym gronem. Zwinąłem się w kłębek jak kurczę w jajku. - Twoje rany znów dadzą o sobie znać - przestrzegła. - Tym lepiej. Ból nie pozwoli ci zasnąć.

- Jak się wydostanę na zewnątrz?

- Damy ci krótki rzymski miecz. Będziesz mógł rozbić glinę.

- A jeśli otworzą dzban, nim uda mi się uciec?

- Zaleję szyję dzbana woskiem i wepchnę w nią nasączoną winem słomę -

wyjaśniła. - W dniu wydrążymy mały otwór, byś miał czym oddychać.

Zerkon ganiał po pokoju, podskakując radośnie. - Czyż moja cudowna zoneczka nie jest geniuszem?

Popatrzyłem na dwie części potłuczonego dzbana. - Ależ on jest pęknięty, Julio.

- Naprawimy go smołą, a łączenie zakryjemy gliną. Zapasy uzupełnia się nocą, by za dnia nie przeszkadzać Attyli. Będzie ciemno. Potoczmy cię do winiarni, tam załadują dzban na wóz i nim się spostrzeżesz, będzie stał w kuchni kagana.

Zerkon chichotał bez przerwy. - Julio, muzu ma, co każdy fortel zna!

I w ten oto sposób pozwoliłem się zamknąć we wnętrzu śmierdzącej amfory.

Sklejono ją smołą i pokryto gliną. Zgodnie z instrukcjami Julii od wewnątrz wzmocniłem łączenia sznurem zanurzonym w smole. Czułem się tak, jakby pogrzebano mnie żywcem lub cofnięto czas - znów leżałem w łonie matki, czekając na powtórne narodziny. Przez to, że dzban się toczył, straciłem orientację. Z całych sił starałem się nie zwymiotować. W środku szybko zrobiło się parno, z trudem łapałem oddech. Przez chwilę odstawiono dzban na bok, a ja zemdlałem z braku powietrza. Ocknąłem się dopiero, gdy naczynie ładowano na huński wóz. Usłyszałem głuchy odgłos bata i ruszyliśmy do przodu.

Po niecałych dwóch kwadransach dzban wyładowano w pałacu kagana. Przez chwilę słyszałem gardłowe głosy, potem zapadła martwa cisza. Północ musiała już dawno minąć, skoro nikogo nie było w pobliżu. Wszyscy spali. Podważyłem korek czubkiem miecza. Na mą głowę spadł deszcz wina - teraz śmierdziałem jeszcze bardziej. Po winie wpadło do środka upragnione powietrze. Poczułem wracające siły. Dookoła nie słyszałem nikogo. Kuchnia musiała być pusta. Przeciąłem linę, by osłabić łączenia. Zebrałem w sobie całą odwagę i uderzyłem o ściankę naczynia. Glina pękła jak skorupka jajka, uwalniając mnie ze swych wnętrzności.

Przezołgałem się po innych naczyniach jak przemoczone kurczę. Jakże okropnie bolały mnie wszystkie mięśnie i rany!

Upadłem na brudną podłogę spiżarni i zamarłem w bezruchu, nasłuchując zbliżających się kroków. Nic. Strażnicy Attyli stali na palisadzie, nie pilnowali kuchni króla.

Najwyższy czas odnaleźć Ilanę i wprowadzić w życie szalony plan ratowania Rzymu i przy okazji naszej skóry.

Budynki dla niewolników stały po dwóch stronach dziedzińca. Niewolnice, o czym powiedział mi Zerkon, mieszkały po jego wschodniej stronie, by okna wychodziły za zachód, dając pracującym kobietom jak najwięcej światła, by mogły godzinami szyć, wypłatać kosze, gręplować wełnę, haftować i polerować naczynia.

Rzecz jasna, te, które służyły kaganowi, były zazwyczaj młode i piękne, obserwujące gości na dworze Attyli i wciąż o nich plotkujące. Władca nie trzymał

ich dla uciech cielesnych - były ozdobą i siłą roboczą. Spał jedynie z żonami, by uniknąć politycznych komplikacji, mogących wyniknąć z nieślubnego potomstwa.

Powodem wielokrotnych małżeństw, z których związek z Hereką był

najważniejszy, były sojusze, nigdy miłość. Niewolnice były ponadto dobrą inwestycją na przyszłość. Po roku bądź dwóch Attyla odsprzedawał je innym możnym, gdy były wciąż młode i piękne, pieniądze przeznaczając na żołąd.

Iłana powiedziała Zerkonowi o korytarzu łączącym kuchnię i baraki, do którego wchodziło się przez ukryte wejście. Pozwalał niewolnicom swobodnie i szybko poruszać się pomiędzy oboma budynkami. Nie spotykały w ten sposób na swej drodze żadnych mężczyzn, co zawsze groziło kłopotami. Teraz miał posłużyć mnie. Prześlizgnąłem się pomiędzy wiszącym mięsem i glinianymi dzbanami i odszukałem drzwi. Zerkon zmieściłby się w nie bez trudu. Cał e szczęście, że zaraz za nimi korytarz stawał się na tyle wysoki, iż mogłem wyprostować się w ciemnościach bez obaw o nabicie sobie guza. Przy drugich drzwiach przeciąłem skórzany rzemyk rygła, przesunąłem zasuwę i wślizgnąłem się do wnętrza.

Do sypialni niewolnic wpadało światło księżycy, słabo oświetlając kształty dwóch tuzinów kobiet śpiących na matach. Ich ciała przypominały mi o falujących i zielonych wzgórzach Galicji, wijących się i zaokrąglonych. W pomieszczeniu unosił się słodki zapach piżma. Ich rozpuszczone włosy leżały na wełnianych poduszkach, migocząc jak równiny w świetle gwiazd. Tu dostrzegłem wystającą spod wyprostowanej ręki pierś, tam biodro przypominające doskonały, bizantyjski łuk.

- Raj na ziemi - westchnąłem tęsknie.

Ruszyłem pomiędzy dwoma rzędami śpiących ciał, podziwiając ich wdzięki.

Czułem się jak w domu nad jeziorem - tu spała pochodząca z Hibernii blondynka, tam kaukaska rudowłosa piękność, za nimi zaś czarnoskóra Nubijka. Chciałem przejść obok każdej - strata czasu, na którą mogłem sobie bez problemu pozwolić -

a dopiero później poszukać Ilany.

Czyjaś noga kopnęła mnie w kostkę.

Schyliłem się. Uniosła głowę, włosy miała zmierzwione, oczy zaspane.

Zdrzemnęła się, czekając. W świetle księżycy dostrzegłem niewinny wyraz jej twarzy. Przez chwilę patrzyłem na inną Ilanę niż ta, którą znałem - delikatniejszą, bezradną, budzącą się ze snu. Nim zdałem sobie sprawę z tego, co robię, me wargi spoczęły na jej policzkach i ramionach.

- Nie tutaj - wyszeptała, drżąc, gdy moje dłonie przesuwały się po jej ciele.

Złapała je delikatnymi palcami. - Jonaszu, przestań.

Miała rację. Odsunąłem się i oboje wstaliśmy. Nie poruszyła się żadna ze śpiących dziewcząt. Znów na nie popatrzyłem, zastanawiając się, jaki czeka je los.

Czy zostaną ukarane za ucieczkę Ilany? Nie, zapewniałem sam siebie. Hunowie mają własne poczucie sprawiedliwości, rozumieją, że niewolnice nie miały z tym nic wspólnego. Z drugiej strony Rustycjusz też niczemu nie zawinił... Ilana trąciła mnie lekko łokciem. Patrzyła niecierpliwie.

Ruszyliśmy szybko w stronę drzwi i nagle zamarliśmy w bezruchu. Scytyjka o kasztanowych włosach ziewnęła, przewracając się z boku na bok. Przez chwilę przeciągała się jak śpiący psiak - wstrzymaliśmy oddech - po czym zapadła w głęboki sen.

Słyszałem, jak Ilana odetchnęła z ulgą.

Przeszliśmy przez drzwi. Obejrzałem się raz jeszcze za siebie, chcąc zapamiętać ten widok.

Gdy gnaliśmy przez korytarz, zastanawiałem się, czy przypadkiem nie podniosła się któraś ze śpiących głów.

Rozdział XVI

Ucieczka

Czemu się tak okropnie guzdrałeś? - spytała Ilana, gdy dotarliś my do małych drzwi. - Bałam się, że cię schwytali. Bałam się przez całą noc!

- Póki nie usnęłaś.

- Już prawie świta!

- Nie miałem wpływu na to, kiedy dotrę do kuchni. Potem czekałem, aż umilkną głosy. - Przyglądałem się jej badawczo. - Nie powinniśmy niepotrzebnie ryzykować.

Potrząsnęła głową. - Właśnie że musimy. Nie tylko dla siebie. Dla Rzymu również.

Jej determinacja wlała w me serce otuchę i napełniła je odwagą. - Poszukaj w takim razie dzbanów z oliwą i zrobmy to, o czym mówił karzeł. O świcie będziemy wolni lub martwi.

Pojedynek ze Skyllą zahartował mnie - Ilana musiała to zauważyć - tak jak ją zahartowało złupienie Aksjopolis. Ból zmienił rysy naszych młodych twarzy.

Widziałem blask własnych oczu odbijających się w jej źrenicach. W pewnym sensie staliśmy się Hunami. - Tak - przyznała mi rację. - Wszystko skończy się dziś. W ten czy inny sposób.

- Stój spokojnie. Przetnę twoją suknię.

Złapała mnie za nadgarstek. - Nie potrzebuję twojej pomocy.

- Ale sprawiłabyś mi przyjemność.

Prychnęła i odsunęła się ode mnie. Wzięła krótki miecz i sama zniszczyła na sobie ubranie.

Skradałem się wzdłuż ściany palisady, uważając na pilnujących wartowników, aż dotarłem na tyły wielkiej sali. Widziałem sylwetki na wieżach - wszystkie spoglądały w dal, odwrócone na zewnątrz. Przy drzwiach stał tylko jeden strażnik znudzony i śpiący. Dałem umówiony sygnał, wyjmując z pochwy ostrze miecza.

Ilana bez zwłoki przebiegła przez dziedziniec, dźwigając dzbany z oliwą.

Strażnik wyprostował się zdziwiony na widok zbliżającej się kobiety. Potknęła się umyślnie tuż przed nim, dzban potoczył się po ziemi jak piłka, i objęła go za kolana. - Proszę!

Patrzył zmieszany w dół. - Kim jesteś? Wstań.

Odchyliła się do tyłu, odsłaniając prowokująco rozdartą suknię. - Chciał mnie wziąć siłą, lecz ja należę przecież do Attyli...

Hun przyglądał się Hanie o jedną chwilę za długo. Zaszedłem go od tyłu i zadałem śmiertelny cios.

Miecz przeszył go na wylot - ostrze wyszło brzuchem.

Drugą ręką przeciągnąłem nożem po gardle strażnika. Krew trysnęła z rany, oblewając całą trójkę. Nie zdążył nawet krzyknąć. Osunął się martwy na ziemię.

- Łatwo poszło - powiedziałem drżącym głosem.

- Z Attylą też się uda. Zabierz jego hełm i płaszcz.

Sala była wysoka, ciemna i pusta. Stoły i ławy przesunięto pod jedną ścianę, a podwyższenie, na którym stało zasłonięte kurtynami łoże Attyli, tonęło w cieniu oświetlone zaledwie jedną lampą. Tam wódz spał w objęciach żony, którą wybrał

na dzisiejszy wieczór. Do naszych uszu doleciało donośne chrapanie. Na ścianie, zawieszony tak jak za pierwszym razem, gdy go zobaczyłem, spoczywał ogromny, czarny, żelazny miecz Marsa. Rękojeść odpadła dawno temu, pozostało jedynie żelazne ostrze. Tańczyło na nim migoczące światło oliwnej lampy. Czy kradnąc go, naprawdę mieliśmy powstrzymać przesądnych Hunów?

- Zaczynij rozlewać oliwę. Ja zabiorę miecz.

Pokiwała przecząco głową. - Lżej stąpam.

Sunąc po deskach, podskoczyła do podwyższenia i sięgnęła po broń.

Otworzyłem dzbany, wylewając oliwę na posadzkę. Cały się nią ochlapałem, dzban wyślizgiwał mi się z rąk. Pomimo chłodu poranka pot spływał mi po całym ciele. Ile minie czasu, nim kolejny strażnik zauważy ciało martwego kompana?

Starałem się nie myśleć o torturach i powolnym umieraniu, które niechybnie nas czekały, jeśli zostaniemy schwytani.

Nagle usłyszałem głuchy odgłos i wyprostowałem się szybko. Ciężar miecza wykręcił dłoń Ilany, ostrze uderzyło o deski. Rozluźniłem uścisk i śliski dzban wypadł mi z rąk, rozbijając się na posadzkę, rozlewając na wszystkie strony oliwę.

Zastygliśmy w bezruchu, nasłuchując. Chrapanie ucichło na moment, przechodząc w ciche mruczenie.

Słyszałem tylko szum krwi pulsującej w uszach. Znow rozległo się donośne chrapanie.

Ilana chwyciła tępe ostrze drugą dłonią podniosła je z wysiłkiem, szła powoli i ostrożnie w moim kierunku. Wystarczyło tylko rzucić lampę i wzniecić pożar...

- Rzymianie mordują Attyłę!

Podskoczyliśmy jak oparzeni. Kobięcy głos dobiegał z dziedzińca. - Pomocy!

Ratunku! Rzymianie zabili Huna! Czyjaś dłoń rozsunęła kurtyny.

- Guernna - powiedziała Ilana, po czym splunęła z odrazą.

Przeskoczyłem nad kałużą rozlanej oliwy, by zabrać broń. - Weź lampę! Ja zabiorę miecz! - Nic dziwnego, że go upuściła! Ważył chyba dwa lub może nawet trzy razy tyle co zwykły oręż. Jakby rzeczywiście władał nim bóg. Gdzie też Hunowie mogli go znaleźć? Kto go wykonał? Wszedłem na plamę oliwy i poślizgnąłem się, klnąc pod nosem. Wtedy Attyla wyskoczył z łóżka i złapał Ilanę za włosy w chwili, gdy podnosiła lampę.

O niesprawiedliwy losie, czemu znów nam się nie udało?

Patrzyła na mnie rozpaczliwie, gdy szamotałem się na ziemi, próbując powstać.

Chciałem nadzieć na stare ostrze barbarzyńskiego króla, nim sam marnie skończę.

Gdy Attyla szarpnął włosy dziewczyny do tyłu i sięgnął po lampę, Ilana rzuciła ją na ziemię.

Lampa uderzyła o mokre od oliwy deski posadzki. W jednej chwili wyrosła między nami ściana ognia.

- Ilano!

- Biegnij! Ratuj cesarstwo! Uciekaj!

Płomienie zasłoniły mi szamoczącą się parę. Szukałem miejsca, w którym mógłbym przeskoczyć lub obejść ogień, lecz od tego zapaliło się moje poplamione oliwą ubranie. Rzuciłem się na ziemię i przycisnąłem nogę do podłogi, by zdusić ogień, krzywiąc się z bólu od poparzenia.

Ogień rozprzestrzeniał się coraz szybciej, dym wypełniał mi płuca. - Ilano!

Nie usłyszałem odpowiedzi. Płomienie odcięły mnie od tylnych drzwi.

Widziałem w nich postać Guernny wpatrującej się we mnie przez dym i ogień.

Niech ją piekło! Krzyknąłem i rzuciłem się przed siebie. Skoczyłem, przelatując ponad płomieniami.

Germana zaskomlała przestraszona i wybiegła z sali.

Odwróciłem się w stronę podwyższenia gotowy rozplatać Attyłę na dwoje.

Łoże stało puste. Obróciłem się dookoła. Nigdzie nie było śladu kagana ani Ilany.

Zacząłem kaszleć od duszącego dymu.

Zająły się drewniane ściany. Żar płynął do mnie falami, pulsując jak serce.

- Ilano!

Bez odpowiedzi. Łoże Attyli stanęło w ogniu. Kątem oka zauważyłem dziurę w podłodze. Gdy

pochyliłem się nad nią, ze środka buchnęły płomienie.

Ogień z sykiem wspiął się pod sufit. Zapłonęły krokwie. Musiałem się stamtąd wydostać.

Raz jeszcze skoczyłem w płomienie, by dotrzeć do głównego wejścia. Płonęło na mnie ubranie. Upadłem i zacząłem tarzać się po ziemi, gdy poczułem ból.

Chwiejnym krokiem dotarłem do drzwi, kręciło mi się w głowie, kaszel utrudniał oddychanie. Zza zaryglowanego wejścia dochodziły krzyki i dźwięki rogu. Ciągnąłem za sobą ciężki miecz. Wciąż miałem na głowie huński hełm. Co miałem robić? Cały sens ucieczki zginął gdzieś pomiędzy płomieniami. Utraciłem to, po co przyszedłem - nie miecz, lecz kobietę, Ilana poświęciła się, by dać mi czas. Ocal cesarstwo, powiedziała. Tak jak Zerkon wcześniej.

Z ciężkim sercem odblokowałem drzwi. - Rzymianie chcą zabić Attyłę! -

krzyknąłem po huńsku. Żołnierze przebiegli obok. - Wody! Wody, by ratować kagana! - W dymie i zamieszaniu nikt nie zauważał mojej rzymskiej twarzy, tylko hełm i płaszcz. - Rozkazał mi strzec miecza!

Dym unosił się w ciemne niebo. Na dziedzińcu panował chaos. Hunowie galopowali przez bramę, śpiesząc z pomocą, gdy niewolnice szukały schronienia poza murami palisady. Wbiegłem pomiędzy nie, tuląc do piersi miecz. Chwyciłem uzdę luzaka i podciągnąłem się do góry.

Rozejrzałem się dookoła. Pałac Attyli trawiły płomienie. Nigdzie nie widziałem Ilany. Ani kagana.

Nie mogło być mowy o odwrocie.

Pogalopowałem w kierunku Cisy, serce ciążyło mi jak kamień, gardło paliło od dymu. Jakże strasznie zawiodłem! Wpierw straciłem Rustycjusza, teraz Ilanę. Jeśli zabrał ją ogień - miała szczęście. Nie chciałem zgadywać, co zrobiliby jej Attyla, gdyby oboje przeżyli pożar.

Cały obóz wrzał. Wielu, widząc łunę ognia, myślało, że zostali zaatakowani.

Na pół nędzy wojownicy wybiegali z domostw, dzierżąc w dłoniach miecze i napięte łuki, szukając rozbieganym wzrokiem wrogów. Matki przeganiały dzieci jak woda szczury. Jeźdźcy galopowali na ośle. Ja, wyglądając jak jeszcze jeden oszalały i wściekły Hun, dotarłem bez przeszkód do rzeki. Koń wpadł w toń Cisy, w świetle księżyca białej jak mleko. Prąd uniósł nas w dół rzeki, z dala od upiornej poświaty. Wierzchowiec złapał grunt pod kopytami i wyjechałem na brzeg. Pogalopowałem przez zroszoną trawę na skraj ciemnego lasu, gdzie powinien czekać karzeł.

Prawie skryłem się w cieniu drzew, gdy kuc cofnął się nagle - ktoś wybiegł

przed niego, unosząc gotową do rzutu włócznię. Nim zdążyłem zareagować, broń wbiła się w pierś konia, który upadł, przygniatając mnie swoim ciężarem. To już koniec! Wielki żelazny miecz ciążył mi na plecach. Napastnik wynurzył się zza zdychającego konia. Drugi, dziecko jeszcze, zbliżył się z długim nożem w dłoni.

Zawiedliśmy w obozie, równie dobrze mogłem teraz zginąć, może nawet lepiej by się stało. Naprężyłem się, oczekując śmiertelnego pchnięcia i wtedy poznałem napastnika.

- Zerkonie! To ja! - krzyknąłem po łacinie. - Julio!

Karzeł zatrzymał się w pół kroku. Julia też przez chwilę zamarła w bezruchu.

Wyszarpnęła zakrwawioną włócznię z piersi kuca i uniosł a ją, by wbić w mój tors.

Teraz spoglądała w dół z niedowierzaniem. - Ubrany jak Hun? A gdzie Ilana? Plan był inny.

Pozwoliłem, by głowa opadła ciężko na trawę, głos miałem przytłumiony. -

Nie mogłem jej ocalić. Attyła złapał ją, gdy wybuchł pożar. - Łzy pociekły mi po twarzy.

- Nie żyje?

- Nie wiem. Nie sędzę.

- Zerkon podskoczył do mnie, całego obmacując. - Ale masz miecz?

Odepchnąłem go gwałtownie. - Do diabła z mieczem!

Karzeł podszedł bliżej, przeciął linę na mojej szyi - miecz upadł na ziemię. -

To liczy się teraz najbardziej, Jonaszu Alabando. To i coś, co nam udało się wykraść. Przykro mi z powodu twojej kobiety, lecz w ten sposób ocalimy tysiące innych. Tysiące.

- Co zabraliście ze sobą?

- Nie tylko ty byłeś tej nocy zajęty. Postanowiłem złożyć wizytę greckiemu medykowi, który chciał zdradzić cesarstwo - wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu. - Zgodził się nam towarzyszyć.

- Zabierzemy ze sobą Eudoksjusza? Po co? - Szaleństwo goniło obłąd. -

Zawiedliśmy!

- Jeśli Genzeryk sprzymierza się z Attyłą, mój pan, Aecjusz, musi znać wszystkie szczegóły - dlatego potrzebny nam zdrajca. Poza tym zniknięcie lekarza dezorientuje dodatkowo Hunów. Może pomyślą, że ich zdradził, wiążąc się z Rzymem. Może uda się w ten sposób opóźnić ich plany, jeśli zawiedzie twój pożar.

Potrząsnąłem wściekle głową. Wszystko poszło nie tak, jak zamierzaliś my.

Uwolniony od ciężaru miecza, wyciągnąłem spod konia nogę i wstałem.

Wszystko mnie bolało - rany po strzałach, poparzenia, siniaki po upadku.

Byłem wyczerpany brakiem snu i zdruzgotany utratą Ilany. Pół mili od miejsca, w którym staliśmy, widziałem biegających w popłochu ludzi oświetlonych łuną płonącego pałacu kagana. - Czy było to warte jej życia?

- Po tysiącuroć. - Karzeł oparł miecz na ramionach jak kij, był niemal dwa razy wyższy niż on. - Ten miecz będzie znakiem od Boga. Pomoże nam zgromadzić potrzebne siły. Rozumiem twój smutek, lecz musimy jechać. Wciąż może się nam udać. Obóz pogrążył się w chaosie. Ilana nie wiedziała, w którym kierunku się udamy. Jeśli jeszcze żyje, miecz może być jej jedyną nadzieją na ocalenie.

- Możemy ją na niego wymienić!

Zerkon potrząsnął przecząco głową. - Nie to miałem na myśli. Nie pozwól się dręczyć pokusom. Miecz pojedzie do Aecjusza.

- Do diabła z Aecjuszem! Attyli zależy na tym żelastwie! Hunowie zrobią wszystko, by je odzyskać!

- Jak myślisz, jak długo będziemy żyli, Ilana również, gdy skończysz układy z barbarzyńcami? Nie nauczyłeś się dotąd niczego?

Miał rację, lecz ja upierałem się przy swoim. - Mają własny honor.

- Który każe im zemścić się za próbę mordu na Attyli. A ty chcesz wrócić do obozu ze skradzionym mieczem?

Otworzyłem usta, gotowy się spierać, lecz zaraz je zamknąłem. Mój opór nie miał najmniejszego sensu. Ucieczka była wystarczającą zniewagą, nie wspominając nawet o wtargnięciu do komnat Attyli. Hunowie nie mogli tego puścić płazem.

Ilana odważnie rzuciła na szalę swe życie i przegrała. Straciłem ją na zawsze.

- Jeśli żyje, jedyna nadzieja w tym, że pokonamy Attylę. A najlepszym sposobem na to jest zawiezenie miecza Aecjuszowi. Chodź, konie czekają. -

Zaczął ciągnąć oręż w stronę drzew.

Nie mogłem się ruszyć. - Zawiodłem ją, Zerkonie.

Ton mego głosu sprawił, że karzeł stanął w miejscu. Wrócił i wcisnął mi miecz w dłoń. - Napraw zatem swój błąd, Jonaszu. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłaby Ilana, to by o świcie znaleźli cię tu Hunowie, stojącego samotnie pośrodku łąki jak szaleniec. Jej ofiara poszłaby na marne.

Zaczęło dnieć. Dosiedliśmy koni i pogalopowaliśmy przed siebie, by oddalić się od obozu, nim wszędzie słońce.

Eudoksusz wisiał przywiązany do siodła, Zerkon zakneblował mu usta.

Myślałem, że karzeł ukradnie moją klacz, Dianę, lecz powiedział, iż wzbudziłoby to zbyt wiele

podejrzeń. Jeśli zostawimy ją w obozie, Hunowie gotowi pomyśleć, że zginąłem w pożarze. Dlatego ukradł araby. Julia i Zerkon dosiadali jednego, Eudoksjusz wisiał przerzucony przez grzbiet drugiego, ja jechałem na trzecim.

Czwartego puściliśmy wolno.

Rozdział XVII

Pościg

To zdumiewające jak często wiedźma Ansyla miała rację, pomyślał Skylla. Los dał mu łaskawie drugą szansę. Pojedynek z Jonaszem upokorzył go tak bardzo, iż Hun chciał rzucić się do Cisy, by skończyć swe życie. Porażka była nie do zniesienia, a ratunek z rąk kobiety czymś jeszcze gorszym! Inni wojownicy traktowali go jak ducha - już martwego, lecz wciąż przebywającego wśród żywych. Nie pozwolili mu zapomnieć o przegranej. Skylla pałał żądzą zemsty i odzyskania honoru, Attyła dał zgodę na rewanż. Proste zabójstwo nie zwróciłoby mu czci. Cios w plecy zadawali tchórze. Póki nie wybuchnie wojna, czyli przez sześć długich miesięcy, Skylla nie będzie miał okazji, by dowieść swojej wartości.

Każdy ranek przynosił te same katusze, każdy sen przeradzał się w koszmar, gdy Jonasz zdrowiał pod opieką Ilany. W końcu młody Hun poszedł po radę do wiedźmy Ansyli, błagając, by mu powiedziała, co ma robić. Jak mógł odzyskać przeszłe życie i pozbyć się przekłętego Rzymianina?

Ansyla była zgrzybiałą staruchą żyjącą jak zwierzę w jaskini wyłożonej słomą i podpartą korzeniami drzew wyrzuconych na brzeg przez rzekę. Pamiętała przeszłość, widziała przyszłość. Każdy wojownik lękał się jej i dawał podarki, dostając w zamian przepowiednie. Nabita złotem uzda i wędzidło zdobyte w Aksjopolis były zapłatą za jej słowa. Złożył jej wizytę o północy, siedział w kucki, gdy rozpałała ognisko, by podgrzać poświęconą wodę. Przyglądał się niecierpliwie, jak rozrzuca na powierzchni garnka zioła i patrzy w unoszące się opary.

Przez dłuższy czas nic się nie działo, wieszczka stała bez ruchu pochylona nad żelaznym naczyniem. Jej pomarszczoną twarz i siwe włosy spowijał dym. Nagle rozszerzyły się źrenice jej oczu, a ręce zaczęły drżeć. Wyrecytowała odpowiedź

monotonnym wierszem, patrząc na Skyllę, choć raczej przez niego, na niewyobrażalnie odległe dla zwyczajnych śmiertelników rzeczy.

Nie minie chwila, gdyż świat się zmienia

A wnet opuszczą cię twe zmartwienia,

Młody wojowniku.

Ten, kto twą nienawiść budzi,

Kusi los i drażni ludzi

Podłoży ogień, którego płomień

Spali pokusę dręczącą duszę

I skradnie to, co leczy zło.

Na ciemnym polu odszukacie siebie,

Gdy największy z ogni trawić będzie ziemię.

Zachwiała się do tyłu odurzona oparami, oddech miał a ciężki, oczy zamknięte.

Skylla czekał na wyjaśnienie, lecz nie otrzymał żadnego. Bliskość ścian przyprawiała go o zawrót głowy.

- Co skradnie, babciu? Jaki ogień? Nie rozumiem twoich słów.

Wreszcie spojrzała na niego, przypominając sobie o jego obecności i obdarzyła uśmiechem pozbawionym zębów. - Jeśli rozumiałbyś życie, mały głupcze, nie mógłbyś go znieść. Żaden człowiek nie byłby w stanie. Bądź wdzięczny za to, że jesteś nieświadomy otaczającego cię świata jak koza skubiąca trawę na pastwisku, gdyż dzięki temu jesteś szczęśliwy. Idź teraz, bądź cierpliwy i przygotuj się, bo wszystko się zmienia. - Odwróciła się plecami, chwyciła uzdę i ruszyła chwiejnym krokiem w drugi koniec jaskini, by ukryć uzdę w skrzyni. Później, gdy będzie taka potrzeba, wymieni ją najedzenie i ubrania.

Przez tydzień myśli Skylli zajęte były słowami wiedźmy. Czekał na jakiś znak?

Czyżby Ansyla się pomyliła? Czy za darmo oddał drogocenną uzdę? Wtedy to właśnie Jonasz podłożył ogień pod pałac kagana, próbując go zabić. Schwymano też i uwięziono pomagającą mu Ilaną. Jednej nocy wypełnionej płomieniami i krzykami wszystko uległo zmianie.

W zgliszczach nie odnaleziono ciał. Attyła wraz z Ilaną i swą trzecią żoną -

Bereł, z którą dzielił łoże tego wieczoru - uciekli tunelem wykopanym na takie właśnie okazje. Król nie był pewien, kto go zaatakował. Dopiero Guernna powiedziała mu, że zrobił to młody Rzymianin.

Ilana, posiniaczona i obolała od uderzeń Attyli, twierdziła uparcie, że Jonasz ją porwał. - Chciałam ratować święty miecz, gdy się obudziłeś, panie - powiedziała, klęcząc w szarym świetle poranka. - Próbował go skraść, tak jak i mnie.

Nikt nie uwierzył jej słowom. Wodzowie zebrali się przy dymiących zgliszczach. Kilku chciało ukrzyżować rzymską dziewczynę, lecz król miał co do niej inne plany. Strata miecza bardzo rozdrażniła jego przesadną naturę. Z

pewnością był to znak, tylko jaki? Ujawniają c kradzież, kusił los - takie niepowodzenie zachęcić mogło do działania wierzącego w swe siły uzurpatora. Z

drugiej strony pozabawianie się szansy odzyskania miecza było jeszcze gorszym rozwiązaniem. Lepiej wykorzystać zaistniałą sytuację, by podnieść morale, dziewczynę zaś, by odzyskać oręż.

- Bóg wojny sprawdza, czy jesteśmy go godni - powiedział. - Wpierw pozwolił

nam odnaleźć swój miecz w szczerym polu. Teraz zabrał go równie łatwo. Czy zasługujemy na jego łaski? A może staliśmy się miękcy i delikatni jak Rzymianie? -

Zawstydzeni Hunowie spuścili wzrok. Wszyscy słyszeli ostrzeżenia króla o upadku starych obyczajów. Czyżby w końcu bóg wojny dał wyraz swemu niezadowoleniu?

- Teraz znów staniemy się twardzi - zakrzyknął Edekon. - Twardzi jak Mars.

- Czy Rzymianin jest jeszcze w obozie? - zapytał Attyla.

- Jego koń pasie się pośród naszych.

- Co niczego nie dowodzi - myślał na głos. - Bóg wojny wskazuje nam właściwy kierunek. Chce, byśmy ruszyli za mieczem, gdziekolwiek teraz zmierza i wyrwali go z rąk zdradzieckiego Rzymianina.

- Zanim to zrobimy, Rzymianie użyją go przeciw nam! - powiedział

przestraszony Onegesz.

- Nie mogą użyć czegoś, czego mocy zupełnie nie rozumieją. To nasz talizman, nie ich.

Edekon patrzył przed siebie ponurym wzrokiem. - Wolałbym, by nie był w ich rękach za długo.

- Zmusimy kobietę, by wyjawiała nam, gdzie jest - powiedział Onegesz.

Wszyscy spojrzeli na Attyle. Władca stał, milcząc.

- Nie - powiedział w końcu. - Nie skrzywdzę jej. Zapewne i tak o niczym nie wie. Lepiej użyć jej na przynętę. Wszyscy wiemy, jak bardzo młody Rzymianin ją sobie upodobał. Guernna powiedziała, że skoczył w ogień, by ją ratować. -

Odwrócił się do Skylli i wskazał go palcem. - Wiem też o uczuciach jednego z naszych niespokojnych młodzieńców. Wszystko zostanie po staremu. Prócz sprawdzianu, jakiemu poddaje nas Mars. Pożar był wyraźnym znakiem. Hunowie muszą wrócić pod gołe niebo. Przeżyłem pożogę. Mars musi uważać mnie za godnego, aby być jego posłańcem. Każdy miecz, który przeszedł przez podobne płomienie, będzie dzięki nim twardszy. I dlatego zrobicie, jak każę. Dziewczynę zamkniecie w żelaznej klatce. Młodzian dowie się, gdzie jest miecz i go odbierze.

Jeśli odszuka Rzymianina, wymienimy miecz na kobietę. - Popatrzył znacząco na Skyllę.

- Nie będzie żadnych targów. Rzymianin umrze, a ja rzucę ci miecz Marsa pod nogi, kaganie! -

krzyknął Hun rozradowany tym, że spełnia się przepowiednia Ansyli. Wziął ze sobą trzydziestu ludzi i ruszył niezwłocznie w pościg za zbiegami.

Podążał wzdłuż biegu Cisy na południe, po dwóch i pół dniach forsownej jazdy docierając do Dunaju. Po Jonaszu nie był o najmniejszego śladu. Ludzie mieszkający przy rzece przysięgali na życie swoje i swoich matek, że nie widzieli żadnych przemykających chyłkiem zbiegów. Wieśniacy nie raportowali władzom o dziwnych podróżnych. Nawet najlepszy myśliwy nie mógł znaleźć tropu ani śladu.

Czyżby znów miał zostać upokorzony?

- Może jest tak wolny, że go wyprzedziliśmy - powiedział wojownik zwany Tatosem, jeden z najbliższych przyjaciół Skylli.

- Być może - odpowiedział młody Hun. - Bądź tak szybki, że przeprowił się już na drugi brzeg, a może udało mu się przepłynąć rzekę na koniu. Możliwe że utonął. - Jakże podstępnie okradliby mnie bogowie, gdyby tak się stało, pomyślał. -

Dobrze. Wy dwaj pojedziecie w dół - rzeki, jeden na każdym brzegu. A wy dwaj ku jej źródłom. Pięciu przekroczy rzekę tu i pojedzie ku przełęczy Succy, wypytyując każdą napotkaną po drodze osobę, obiecując nagrodę za wydanie Rzymianina, choć nie sądzę, by tędy pojechał. Musiał wymyślić coś innego. - Co?

- Według mnie, pojechał w przeciwnym kierunku.

- Na wschód?

- Oddalałby się od miejsc, które zna.

- Zachód?

- Wpierw na północ, by ominąć nasze patrole. Germanowie z pewnością cią by go nie ukryli. Dobrze wiedzą, czym to grozi. Na północ, a potem na zachód... na zachód, do Aecjusza. - Starał się przypomnieć sobie mapy tych terenów. Hunowie nie umieli ich sporządzać, lecz nauczyli się je odczytywać. Wróg sam pokazywał

ci drogę do swojej ojczyzny! - Jeśli ruszymy wzdłuż rzeki do starych rzymskich prowincji Noricum i Recji, daleko za dolinę Dunaju, może przetniemy mu drogę.

Tatosie, wróć do Attyli i powiedz mu, co zamierzamy. Dowiedz się, czy do obozu dotarły jakieś nowe wiadomości. Reszta pojedzie ze mną na północny zachód, do wielkiego zakola Dunaju. Jechałem już z Rzymianami i wiem, jak strasznie są powolni. Jeszcze nie jest za późno.

Ruszyli. Po pięciu dniach dołączył do nich Tatos, przywożąc ciekawe wieści. -

Zniknęli też karzeł i jego żona.

- Karzeł?

- Błazen Zerkon. Rozpłynął się w powietrzu.

Oczywiście! Wszystko stało się jasne. Karzeł pomagał Rzymianinowi. Dał mu schronienie, by mogli razem spiskować. Jonasz musiał podłożyć ogień pod pałac Attyli z poduszczenia karła - wcześniej nie odznaczał się taką odwagą. Czy wszystko, co się wydarzyło, zrodziło się w głowie błazna?

- I jeszcze jedna rzecz, nawet dziwniejsza, Skylo. W obozie nie ma też Eudoksjusza.

- Eudoksjusza! Nigdy nie przyjaźnił się z Zerkonem.

- Nie był też przyjacielem Rzymianina. Chyba że od początku prowadził

podwójną grę.

Skylla myślał gorączkowo. - Albo uprowadzili go zbiegowie.

- Może jest ich zakładnikiem - powiedział Tatos. - Może wzięli go na tortury.

- A zatem wszystko jasne. Jadą do dawnego pana Zerkona, do rzymskiego wodza Aecjusza. Każdy, kto ich zobaczy, zapamięta karła, kobietę, Rzymianina i greckiego medyka. Równie dobrze mogliby być wędrowną trupą cyrkowców.

Nasza czwórka uciekinierów wjechała w świat barbarzyńców. Zerkon planował

pojechać szerokim łukiem przez Germanię, w pierw na północny zachód, potem południowy zachód, by przeprowić się przez Dunaj gdzieś pomiędzy Vindoboną a Boioduram. W Noricum powinniśmy być już bezpieczni - prowincja leżąca na północ od Alp była wciąż pod częściową kontrolą Rzymu. Tam moglibyśmy się dowiedzieć, gdzie przebywa Aecjusz bądź ruszyć do Italii.

By uniknąć spotkania z patrolami Hunów i Germanów, zbaczaliśmy z głównych traktów i przez to poruszaliśmy się powoli. Odpoczywaliśmy popołudniami, gdyż jesień skracała powoli dni. Jechaliśmy, gdy zaczynało zmierzchać, wstawaliśmy przed świtem, skradając się jak jeleń, który wie, że podąża za nim obława. Całe szczęście byliśmy daleko od głównych rzek i szlaków handlowych, mijaliśmy niewiele osiedli. Drewniane chaty wyrastały pomiędzy wiekowymi drzewami, dym z ognisk mieszał się z gęstą mgłą. Pnie prastarych drzew były szerokie niczym obronne wieże, ich konary rozłożyste jak ramiona olbrzymów. Liście spadały już na ziemię, dni były coraz bardziej pochmurne i zimne. Świat pogrążał się w ciemnościach.

Kraj rozpościerający się przed moimi oczami był inny niż wszystko, co do tej pory widziałem. Inny niż góry, które przekroczyliśmy, by dotrzeć do Attyli. Przez korony drzew przenikało nikłe światło, w ciemnościach trudno było odszukać właściwy kierunek. Nocami przemykały obok nas różne kształty i czasem dostrzegaliśmy w ciemnościach ślepią jakiegoś zwierza, odbijające księżycową poświatę. Powietrze było wilgotne i chłodne. Nie rozpalaliśmy ognisk, by dym nie zdradził obozowiska, przez co posiłki były zimne i pozbawione smaku. Jedyłą pociechę dawała myśl, że Hunom droga ta też nie przypadnie do gustu - za bardzo kochali gołe niebo i otwarte przestrzenie.

Sam jechałbym szybciej, choć pogrążony w smutku zapewne dałbym się szybko schwytać. Towarzystwo Karła i jego żony było mi pocieszeniem, uwalniało od konieczności podejmowania decyzji. Julia, która pochodziła z tych terenów, powiedziała nam, jak należy rozbijać obóz. Zerkon próbował mi wyjaśnić zawiłości cesarskiej polityki. Tak wielu królów, tyle przymierzy i zdrad!

Animozje sięgające dwieście lub trzysta lat wstecz! Być może miecz zjednoczy plemiona choćby na chwilę.

Towarzystwo Eudoksjusza, przeciwnie, było nie do zniesienia. Grek, gdy wyjęliśmy mu z ust knebel, nie ustawał w narzekaniach - nie tylko na temat swego uprowadzenia. Narzekał na pogodę, na jedzenie, na drogę, na twardą ziemię podczas snu, na nasze towarzystwo. - Żyję pośród królów, nie błaznów - wygłosił

z patosem. - Moją misją jest zrzucenie okowów zniewolonego świata. Jestem współczesnym Peryklosem! Spartakusem! Gideonem! Słyszę tętent ścigających nas kopyt! Słuchajcie, porywając mnie przypieczętowaliście swój los!

- Słuchajcie? - odpowiedział Zerkon. - A mamy inne wyjście? Jesteś głośniejszy niż muł i sprawiasz dwa razy więcej kłopotów. A twoja paplanina jest równie pozbawiona sensu, co gdakanie kury.

- Puśćcie mnie wolno, a przestanę być wam ciężarem.

- Poderżnę ci gardło i przestanieś być mi ciężarem! Swoją gadaniną zapracujesz sobie na krwisty naszyjnik. Wierz mi!

- Zróbmy to od ręki - powiedziałem rozgniewany.

- Widział się z Genzerykiem - odpowiedział karzeł. - Dlatego może mieć jakąś wartość dla Aecjusza. Zaufaj mi, jego wrzaski warte są naszego trudu.

Zerkon wiedział więcej, niż sądziłem. Zachowanie i pełniona podczas huńskich uczt funkcja sprawiały, że ignorowano go jak wałęsającego się wszędzie psiaka.

Dowiedział się o miejscach pobytu barbarzyńskich plemion, o najczęściej używanych drogach na zachód, gdzie można kupić lub ukraść zapasy. Jadąc na koniu przed swoją żoną jak dziecko, uczepiony jej piersi prowadził nas według mapy, jaką wyrył sobie w pamięci. Na nieoznakowanych rozstajach dróg lub przy szopach kupców, gdzie mógł kupić jedzenie, zsuwał się z konia i zostawiał nas czekających, sam zaś odgrywał rolę tajemniczego i kalekiego pielgrzyma. Wracał z wiadomościami i chlebem. - Tędy - oznajmiał pewnym głosem i ruszaliśmy dalej.

Wielki miecz owinięty szmatami wisiał na moich plecach.

Droga była wyboista, jesienne deszcze chłodne, a ta część Germanii stanowiła płataninę niskich wzgórz porośniętych ciemnymi lasami, które ciągnęły się, jak okiem sięgnąć. Nie mieliśmy pod ręką niewolników, którzy rozstawialiby namioty lub przygotowywali posiłek. Spaliśmy na kupie jak zwierzęta.

Czwartej nocy Eudoksjusz spróbował uciec. Związałem mu ręce na plecach, spętałem stopy i przywiązałem jeszcze jedną liną kostkę Greka do własnej, by zbudziły mnie jego gwałtowne ruchy. Późną nocą przewróciłem się na drugi bok, ruszyłem nogą i zdałem sobie sprawę, że lina nie jest napięta. Zerwałem się gwałtownie. Ktoś skradał się obok, usłyszałem jego przyspieszony oddech.

Księżyc wychylił się zza chmur i dostrzegłem ludzki kształt pochylony nad moim siodłem tam, gdzie położyłem wielki miecz.

Zareagowałem bez zastanowienia, ciskając w niego kawałkiem drewna, co całkowicie zaskoczyło Eudoksjusza. Trafiony Grek chrząknął i puścił się biegiem w stronę drzew, porzucając miecz, który chciał ukraść.

Chwyciłem łuk, lecz Zerkon pociągnął mnie za rękę. - Martwy nie przyda się Aecjuszowi na nic. - Pobiegnę za medykiem, wiek dawał mi przewagę.

Zbliżałem się do niego miarowo, słysząc coraz wyraźniej jego przerażone sapanie.

Gdy już miałem go w rękach, odwrócił się nagle i prawie pozbawił mnie życia, zamierzając się nożem, o którym nic nie wiedziałem. A więc tak się oswobodził.

Ostrze ześlizgnęło się po moim boku. Dopadłem do niego, nacierając jak byk.

Przewróciliśmy się na ziemię, nóż wypadł mu z ręki. Raz jeszcze przydały się moje bokserskie umiejętności. Nie wiedziałem, co bardziej mnie rozwścieczyło -

własna niedbałość, próba skradzenia miecza czy też cios nożem, od którego mogłem zginąć - ale obiłem go dokładnie za wszystkie trzy sprawy. Przestał

stawiać opór i zwinął się w kłębek, zasłaniając rękoma twarz.

- Błagam, łaski! Chciałem tylko wrócić do Attyli!

Zatrzymałem się, sapiąc. - Gdzie ukryłeś nóż?

Wyjrzał zza uniesionych rąk i uśmiechnął się szelmowsko. - W małej kieszeni na plecach, po wewnętrznej stronie uda, pod siodłem - wszędzie tam, gdzie mogłem go schować.

Zerkon podbiegł do nas i zauważył odbijający światło nóż. Podniósł go i powiedział: - Mógł zakończyć życie całej naszej trójki, gdyby tylko nie był takim tchórzem. - Obrócił w dłoni wysadzaną klejnotami rękojeść.

- Piękne ostrze. Popatrz na tę robotę! - Przycupnął w trawie obok Greka.

- Gdzie go dostałeś, medyku?

- Po co ci to wiedzieć?

Zerkon oparł nóż na gardle Eudoksjusza. - Bym wiedział, komu je odesłać do wyczyszczenia!

- To prezent! Prezent od Genzeryka! - zaskrzeczał Grek. - Zabrał je jakiemuś rzymskiemu dowódcy. Dał mi jako dowód swych słów, a Attyła podarował mi go w nagrodę.

Karzeł podał mi nóż. - A ty dobrowolnie przekazesz go Jonaszowi. Odtąd będziemy cię kneblować i wiązać jak dziką świnię. - Kopnął rozciągniętego na ziemi Eudoksjusza. - To za zakłócanie mojego snu. - Kopnął raz jeszcze. - A to za to, że musiałem wysłuchiwać twego głędzenia przez ostatnie cztery dni.

- Nie zamkniesz mych ust! Nie przestanę głosić prawdy!

- A ja nie przestanę cię kopać.

Wznowiliśmy podróż. Kraj, w który wjechaliśmy, był bezkresny jak morze.

Wyboiste leśne ścieżki wiły się pod wiekowymi drzewami, które wyrosły chyba w czasach Romulusa i Remusa. Był to kraj, którego Rzym nigdy nie podbił. Kraj, którego Rzym nigdy podbić nie chciał. Kraj pograżony w cieniu bezruchu, pełen szarych bagnisk i ciemnych potoków. Wspominałem słońce Bosforu, tak niewyobrażalnie odległe. Gdy napotykalismy jakieś domostwa, prymitywny sposób życia ludzi, którzy przeżyli najazdy Hunów, wprawiał nas w ponury nastrój. Przy zgliszczach Carnuntum minęliśmy małą grupkę Gepidów żyjących na obrzeżach miasta jak zwierzęta. Jakże tęskniłem za porządną rzymską kąpielą!

Łaźnie, obok których przejeżdżaliśmy, były zrujnowane, baseny puste, zbiorniki na gorącą wodę niepodgrzane. Jedyne woda wyciekała z uszkodzonych kanałów ściekowych i tam właśnie barbarzyńcy myli się i prali swoje ubrania.

Kupiliśmy niezbędne pożywienie i ruszyliśmy tak szybko, jak mogliśmy.

Udało mi się dowiedzieć więcej o wyjątkowym małżeństwie Zerkona i Julii.

- Związek z Zerkonem miał mnie okpić - wyjaśniła Julia. - Pojmali mnie Skirowie, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Hunowie sprzedali mnie Gepidowi, którego brutalność dorównać mogła jedynie głupocie. Wydawało mu się, że może mnie zmusić do miłości batem. Chciał wziąć mnie za żonę, gdy skończyłam trzynaście lat. Byłam wystarczająco urodziwa, by rozbudzić jego chęć, on zaś wystarczająco ohydny, by zagłuszyć moją. Pewnej nocy stwierdził, że jestem wystarczająco dojrzała, by oddać mu swoje dziewictwo. Wrzucił mi do stawy zepsute mięso i zamiast ze mną spędził noc w wychodku. Sąsiedzi nie przestawali się z niego śmiać. Groził, że mnie zabije, lecz odwiedli go od tego Hunowie, więc poszedł do Biedy, by odzyskać zapłacone za mnie pieniądze. Bieda, nie chcąc w danej chwili obrazić Gepidów, zapłacił za mnie pieniędzmi należącymi do jego błazna. Zamiast oddać Zerkonowi sumę, którą był mu winien, podarował mi mnie, karząc mnie tym samym za mój postępki.

- Nie żebym rozpaczał za utraconą monetą, której i tak nie spodziewałem się odzyskać - włączył się do opowieści karzeł. - Nie sądziłem, że kiedykolwiek się ożenię i nagle, ni stąd, ni zowąd,

podarowano mi tego oto anioła. Hunom pomysł

Biedy wydał się przezabawny. Chcieli dać nam w ślubnym prezencie stołek.

- To co inni uważali za przedni żart, dla mnie było wybawieniem - powiedziała Julia. - Zerkon był pierwszym naprawdę miłym i delikatnym mężczyzną, jakiego spotkałam. Łączyła nas jedna rzecz - obawa o przyszłość, obawa przed Hunami.

Attyła to pasożyt. Żeruje na ludziach po stokroć lepszych od niego.

- Napędzają go dwie fobie - dodał Zerkon. - Po pierwsze, że jego lud toczy zaraza, która zwie się dostatek. Że gromadzone łupy zepsują charakter Hunów. Że przez nie staną się miękcy.

- Mało prawdopodobne do wiosny - powiedziałem. - A druga?

- Strach przed porażką. Możesz wyobrazić sobie, jak to jest być tyranem rządzącym terrorem, nie mogąc nikomu zaufać? Nigdy nie jest pewny, czy lojalność, którą mu okazują, jest prawdziwa, czy też wymuszona. Nie wie, czy upojna noc spędzona z żoną to owoc miłości, czy może zastraszenia? Ta sama władza, która czyni kagana najpotężniejszym człowiekiem na ziemi, sieje w jego sercu wątpliwości. Zyskuje poparcie, wygrywając. Jeśli zawiedzie, wszystko, co zbudował, legnie w gruzach.

- Myślisz, że przegra bez miecza?

- Modłę się, żeby tak było.

- Attyła podarował cię Aecjuszowi, a on odesłał cię z powrotem, byś szpiegował Hunów.

- Nasze małżeństwo było wymówką, by Zerkon wrócił na dwór Attyli -

ciągnęła Julia. - I wtedy mój karzełek wpadł na pomysł rozwiązania wszystkich naszych problemów.

- Jaki pomysł?

- Przekonanie cię, byś wykradł miecz, rzecz jasna. Jego utrata zdemoralizuje Hunów i zachęci do działania Aecjusza. Jeśli uda się nam dotrzeć do rzymskiej armii, oręż Marsa może pomóc zjednoczyć zachodnie plemiona. Gdy Rzymianie zwyciężą, razem z Zerkonem będziemy mogli wreszcie żyć w spokoju. -

Szczęśliwa, pokiwała głową, jakby los całego świata był najprostszą pod słońcem rzeczą do zaplanowania.

Rozdział XVIII

Lawina

Hunowie prowadzeni przez Skyllę byli zmęczeni, z dala od domu. Jechali przez przygraniczne tereny, których nikt w pełni nie kontrolował. Kiedyś nienaruszalna, północna granica rzymskiego imperium dawno już została sforsowana. Daleko na południe od Dunaju Rzymianie wciąż pilnowali przełęczy otwierających drogę do Italii, zaś na dalekiej północy Germanowie panowali nad ciemnymi lasami, skutecznie odstrasżającymi wszelkich najeźdźców. Wzdłuż samego Dunaju dawny porządek ustąpił miejsca mieszaninie na pół niepodległych państewek, powstałych w zamęcie, jaki towarzyszył konającemu imperium, rządzonych przez gubernatorów, wodzów i watażków. Hunowie nie czuli się pewnie, podróżując przez te ziemie. Skylla nie ośmielił się pozostawać dłużej w jednym miejscu, obawiając się, iż jakiś samozwańczy władca potraktuje ich jako zagrożenie. Mieli za zadanie odzyskać miecz i zabić Jonasza, nie mogli tracić czasu na szukanie zaczepki. Dlatego też omijali otoczone murem wille i nowo wybudowane na wzgórzach forty, zachowując się jak zbiegowie, szepcząc w cieniu drzew, przeklinając częste wzniesienia, zrządzając na pogodę. Łuki stały się niemal bezużyteczne, gdyż ciężki zamokły od wszechobecnej wilgoci, nawet miecze zaczęły pokrywać rdza. Na domiar złego wysokie Alpy wyłoniły się z mgły i chmur na południowym zachodzie. Ich jesienne stoki przykrywał śnieg.

Setki kurierów, włóczęgów, pielgrzymów, mistyków, najemników i wiedźm wałęsało się po zniszczonych drogach. W ich tłumie trudno było odszukać pojedynczego zbiega - choćby Jonasza. Lecz karzeł jadący na koniu w towarzystwie dorosłej kobiety i dwóch mężczyzn - w tym jednego związanego i zakneblowanego - był nad wyraz osobliwym zjawiskiem, którego nieczęsto widziały nawet tak odległe i dziwne krainy jak ta. Hunowie podążali w górę rzeki do Lauriacum, zbierając po drodze opowieści o dziwnej czwórce jeźdźców, która wynurzyła się z lasów na północy. Byli brudni i wyczerpani, karzeł płacił w złocie. Wynajął posłańca, który ruszył przed nimi z wiadomością w górę rzeki.

Podobno wiozł pismo do samego Aecjusza. Przekroczyli rzekę i zmierzali w kierunku alpejskich kopalń soli, gdzie rzymskie garnizony wciąż obsadzone były żołnierzami. Jeden ze zbiegów wiozł na plecach dziwnie wyglądający tobiół - długi i wąski.

Gdyby udało im się znaleźć schronienie u Rzymian, Skylla wróciłby do obozu z kwitkiem.

Musiał ich odnaleźć pierwszy.

Hunowie pogalopowali w kierunku miasta Lentia, gdzie stał ostatni w tych okolicach most na Dunaju. Jego kamienne filary popękały, a drewniane przesła zarosły mchem, wciąż był jednak przejezdny. Przejście blokowała banda zbójów żądających opłaty za przejazd. Gdy usłyszeli tętent zbliżających się kopyt, zatrzasnęli bramę. Lecz gdy tylko dostrzegli wynurzających się z lasu i pędzących w ich stronę z gotowymi do strzału łukami jeźdźców, zmienili zdanie i w te pędy ją otworzyli. Gdy wyszli z ukrycia, po Hunach pozostały jedynie tumany kurzu i ginące w oddali okrzyki.

Jeden z Hunów ruszył przodem, zasięgając języka. Ponoć gdzieś na drodze do Iuvavum widziano czwórkę uciekinierów. Jeden z nich paplał wciąż po grecku.

Skylla przyłapał się na tym, że myśli o Hanie częściej, niż tego chciał -

pomimo podwójnego upokorzenia, którego doznał z jej strony, gdy wpieryw odrzuciła jego zaloty, a potem uratowała mu życie. Wiedział, że żyje, myśli o tym, że może ją zdobyć, nawiedzała jego sny. Czemu odepchnęła włócznie Jonasza?

Jeśli brzydziła się zabijaniem, czemu próbowała później spalić Attyle żywcem?

Przecież mogła po prostu uciec razem z Rzymianinem. Jej trudne do wytłumaczenia zachowanie nie pozwalało mu o niej zapomnieć. Odwiedził ją, zanim wyruszył w pogoń za zbiegami. Przyniósł jedzenie, by mieć wymówkę, licząc, iż zdradzi jakiś szczegół pomocny w ich odszukaniu.

- Nie doszłoby do tego, gdybyś przyszła do mnie.

- Nie doszłoby do tego, gdyby twoi pobratymcy pozostali tam, gdzie ich miejsce, na bezkresnych oceanach trawy - odparła. - Nie doszłoby do tego, gdybym pozwoliła Jonaszowi wygrać pojedynek.

- Masz rację. Czemu więc mu przeszkodziłaś?

- Nie myślałam wtedy. Hałas i krew, i...

- Nie. Nie pozwoliłaś mu mnie zabić, gdyż mnie kochasz. Kochasz nas obu.

Zamknęła powieki. - Jestem Rzymianką, Skyllo.

- To już przeszłość. Myśl o przyszłości.

- Czemu mnie dręczysz?!

- Kocham cię. Pogódź się z tym, bo zamierzam cię oswobodzić, wyciągnąć z tej klatki.

Odpowiedziała znużonym głosem śmiertelnie chorej osoby. - Zostaw mnie w spokoju, Skyllo. Moje życie już się skończyło, wtedy w Aksjopolis. Jedynie z powodu jakiejś potwornej pomyłki ślepego losu muszę dopiero teraz doświadczać śmierci ciała. Jestem martwa od dłuższego czasu. Musisz poszukać dla siebie żony pomiędzy swoimi.

Nie chciał tego, pragnął Ilany. Nie wierzył w to, że umarła w środku. Gdy zabije Jonasza, odzyska miecz i wygrają, wszystko znów stanie się prostsze. Będą drapać się i swawolić jak dzikie koty. Jakich wspaniałych synów da mu Ilana!

Teren stał się bardziej stromy, przypominając mu o wcześniejszym zakładzie z Jonaszem. Skylla czuł bliskość Rzymianina, lecz nie mógł go odnaleźć w labiryncie wszechobecnych drzew. Tracił pewność siebie. Czyżby minęli zbiegów, gnając do przodu na złamanie karku? Wtedy jeden z Hunów krzyknął, a reszta pośpieszyła w jego stronę, aby przypatrzeć się temu, co znalazł - złotemu greckiemu pierścieniowi porzuconemu na ścieżce odchodzącej od głównego traktu.

Eudoksjusz! Wskazywał im właściwy kierunek!

Hunowie wstali na długo przed świtem i ruszyli w ciszy boczną ścieżką. W

końcu dostrzegli w oddali słup szarego dymu. Czyżby zbiegowie stali się zbyt pewni siebie? Nagle dym zniknął, jakby ktoś zdał sobie sprawę z popełnionego błędu. Jeźdźcy wjechali na wzgórze, zza którego musiał unosić się dym. Zeszli z kuców i prowadzili je pomiędzy drzewami. Szarzało przed świtem, gdy Skylla wypatrzył trzy konie pasące się przed nim w kotlinie.

Wreszcie się zemści!

Zanim zdążył wydać rozkaz i przygotować zasadzkę, jego młodzi kompani rzucili się po przodu, wznosząc bojowe okrzyki. Kobieta i karzeł? Nie będą mieli z nimi żadnych problemów!

Ich wrzaski ocaliły Jonasza. Zerwał się na równe nogi, krzycząc, gdy pierwsze strzały doleciały do obozowiska, wbijając się w ziemię. Złapał uzdę konia, wskoczył na niego i przerzucił greckiego medyka przez grzbiet. Julia i Zerkon wsiedli na drugiego konia, trzeci uskoczył w bok i uciekł. Biegł w kierunku napastników, póki ich strzały nie wbiły się w jego pierś. Hunowie chcieli mieć pewność, że ich zdobycz nie będzie mogła go wykorzystać. Uciekinierzy bodli wściekle nogami pozostałe dwa wierzchowce. Z nieba sypał się na nich grad pocisków. Tym razem ich mieli!

Nagle araby znalazły zapasy sił i klucząc, niemal instynktownie, skryły się pomiędzy drzewami. Wojownicy krzyknęli zawiedzeni i smagnęli batami boki kuców, wstydząc się, że nie udało im się otoczyć ofiar. Konie zbiegów wypoczywały całą noc, zaś wierzchowce Hunów, nie dość, że zmęczone górskim terenem, wspinały się pod górę już od dwóch godzin. Teraz zmuszono je do galopu. W jednej chwili to, co zdawało się łatwym pochwyceniem zbiegów, przekształciło się w zażarty pościg.

Skylla był wściekły. Każdy z jego ludzi zapomniał o taktyce, którą wpajano im od dzieciństwa, chcąc okryć się chwałą tego, który odzyskał miecz Marsa. Sami sobie przeszkodzili. Teraz obwiniali się wzajemnie, podczas gdy ich zdobycz omijała właśnie wzgórze. Strzały już nie mogły ich dosięgnąć. Gdy barbarzyńcy wspięli się na wzgórze, uciekinierzy galopowali przez leżącą poniżej dolinę, gdzie nad spienionym strumykiem był przerzucony rzymski most.

- Wciąż możemy ich dogonić - powiedział.

- Ich konie niosą za dużo - zgodził się Tatos.

Popędzili kuce w dół wzgórza, napinając cięciwy łuków. Widzieli, jak Rzymianie na chwilę zatrzymują się na moście, jakby chcieli się rozdzielić. Potem przejechali nad strumieniem i zjechali z drogi, by wpaść pomiędzy drzewa. Zaczęli się wspinać na kolejne wzgórze. Skylla się domyślił, że zboczyli z traktu w nadziei, iż zgubią pościg. Głupi i ostatni w ich życiu pomysł. Hunowie nie odpuszczają. Nie wtedy, gdy zapach zwierzyny jest tak wyraźny.

Wystarczyło przejechać przez most i już ich mieli.

Atak Hunów był dla nas zupełnym zaskoczeniem. Choć nie dla Eudoksjusza.

Po przeprawieniu się przez Dunaj i skierowaniu na południe, w stronę Alp, założyliśmy pochopnie, iż nasza klucząca trasa wyprowadziła ścigających nas barbarzyńców w pole. Zwolniliśmy tempo,

pozwalając koniom odpocząć. Choć przełęcz do Italii były niemal na wyciągnięcie ręki, nie śmiałem rozpalać ognisk ani rezygnować z ostrożności, do której nawykłem. Zaryzykowałem, kupując po przepłynięciu Dunaju węgiel drzewny. Ciepło ogniska utrzymywało nas przy życiu, myślałem, że nie unosi się z niego dym.

Aż do tego ranka.

Odkąd uciekliśmy z obozu Attyli, Eudoksjusz robił wszystko, co mógł, by zwrócić na nas uwagę. Wzbudzalibyśmy zbyt wiele podejrzeń, gdybyśmy wciąż go kneblowali. Korzystając z sytuacji, rozmawiał w grece przy każdej nadarzającej się okazji. Oferował swą pomoc niekończącej się kolejce chorych i chromych, których napotyka na drodze każdy podróżny. Jeden po drugim ściągał ze swych palców złote i srebrne pierścienie i zostawiał je na głazach lub pniach, licząc na to, że dostrzegą je ścigający nas Hunowie. Dopiero u podnóża Alp Julia zauważyła, że palce Greka są gołe. Medyk nasłuchiwał dźwięków nadciągającego pościgu, gdy tylko jego głowa dotykała ziemi, udając sen. Im bliżej byliśmy gór, tym bardziej rosły jego nadzieje na ratunek. Zdradziło nas ostatnie ognisko. Podgrzaliśmy jedzenie i zagasiliśmy drwa. Nie zauważyłem, że ogień wciąż się tli. Późną nocą, gdy Julia zasnęła ze zmęczenia, Eudoksjusz rozciągnął krępujące go więzy na tyle, by dosięgnąć ułamanej, leżącej w trawie gałęzi i wrzucić ją w żar. Zanim się zbudziłem, dym unosił się w niebo. Julia zerwała się ze snu, krzycząc. Zanim Zerkon odrzucił gałąź na bok, było już za późno. Chwilę później usłyszeliśmy okrzyki nadjeżdżających Hunów.

Rzuciliśmy się do ucieczki, desperacko walcząc o życie. Nie mogąc połamać zmurszałych desek mostu, zjechaliśmy z traktu i ruszyliśmy pod górę pomiędzy drzewami. Eudoksjusz myślał, że chcemy się ukryć gdzieś pośród skał.

- Lepiej się poddajcie - radził, gdy taszczyłem go jak worek ziarna, po raz setny zastanawiając się, czy dla Aecjusza grecki medyk rzeczywiście przedstawia tak dużą wartość. - Nie ukrywajcie się przed nimi. Znajdą was. Potrafią trafić strzałą oko jelenia z dwustu kroków. Sam widziałem.

- Jeśli zginę, zabiorę cię ze sobą na tamten świat.

- Nie zauważysz nawet nadlatującej strzały, chyba że przebije ci pierś.

Wściekły uderzyłem go pięścią i zakląłem pod nosem.

- Porzućcie mnie i miecz, a może Hunowie zaprzestaną pościgu - nie ustawał. -

Może zyskacie w zamian życie.

- Mogę oddać im miecz - odpowiedziałem. - Ciebie zatrzymam jako tarczę.

Gdybyśmy mieli więcej czasu i lepsze narzędzia niż stary, zardzewiały miecz, może udałoby się nam zawalić most. Nie naprawiano go od pokoleń, co było widoczne gołym okiem. Przez dziury w zmurszałych deskach widać było płynący poniżej strumień. Hunowie nie pozwolili nam nawet o tym pomyśleć, staczając się po stoku niczym brązowa lawina. Spojrzałem przed siebie i uśmiechnąłem się z nadzieją.

- Gdzie do diabła nas prowadzisz? - sapał Zerkon, gdy nasze konie wspinały się z wysiłkiem pod górę.

- Nie możemy w nieskończoność uciekać dwudziestu bądź trzydziestu ludziom - odparłem. - Musimy ich powstrzymać.

- Jak? - krzyknęła Julia. Strzała przeleciała nad naszymi głowami i zniknęła między drzewami.

- Widzicie to skalne rumowisko na zboczu? Tam, nad mostem. Jeśli uda się nam zrzucić głaz, może spowodujemy lawinę.

- I spadniemy razem z nią. - Ale czy mieliśmy inne wyjście?

Wyjechaliśmy pomiędzy drzew u podnóża zbocza górującego nad naszymi głowami. Wspięliśmy się tam, gdzie nie rośl y żadne rośliny. Kopyta ślizgały się, jakby konie stąpały po lodzie. Daleko pod nami widzieliś my Hunów dojeżdżających do rozstajów dróg.

- Zerkonie, zwiąż przekłętę Greka. A ty, Julio, chodź ze mną! - Chwyciłem sosnową gałąź leżącą pośród kamieni i zbiegłem trochę w dół.

Z tej wysokości Hunowie wyglądali jak mrówki. Wskazywali nas sobie wyciągniętymi dłońmi. Jeden ze złością wykrzykiwał rozkazy. Gesty i postura były mi aż za bardzo znajome. Skylla! Kiedy wreszcie pozbę dę się mojego rywala?

Znalazłem, czego szukałem - kamień większy od pozostałych. Podważyłem go kijem i napałem z całych sił. - Pomóż mi pchać! Julia doskoczyła do mnie i pociągnęła gałąź. Hunowie, prowadząc konie, doszli już do mostu.

- Nie dam rady - krzyknęła.

- Wykorzystaj swój ciężar!

- Już to robię!

Nagle coś przeskoczyło nad naszymi głowami i upadło na kij, łamiąc go na dwoje. Zerkon! Głaz podskoczył w miejscu i potoczył się leniwie do przodu. Za nim ruszyły inne poluzowane kamienie.

Karzeł osuwał się wraz z lawiną. Julia złapała go za tunikę, chwiejąc się na krawędzi zbocza.

Złapałem ją i przyciągnąłem do siebie, cofając się jednocześnie. - Musimy się stąd ruszyć!

Zbocze drżało od osuwających się kamieni. Wspięliśmy się do przełęczy i obróciliśmy, by popatrzeć na swoje dzieło. Cóż to był za widok!

W dół zbocza pędziła potężna lawina. Spadające głazy i kamienie odbijały się od siebie, zakłócając delikatną równowagę góry. Kurz wzbijał się w powietrze.

Hałas nasilał się stopniowo - wpierv stojący przy moście Hunowie nie zwrócili na niego uwagi, potem zagłuszył szum strumienia. Barbarzyńcy zadarli głowy i w osłupieniu przyglądali się lawinie.

Zawrócili pośpiesznie konie i popędzili przed siebie.

Tony kamieni spadały z nieba niczym wodospad. Uderzyły w most. Deski wystrzeliły w powietrze, najstarsze rozpadły się na tysiące drzazg. Lawina wybiła w moście dziury, jakby był z papieru, porywając z sobą dwóch Hunów i ich wierzchowce, i wpadła do strumienia, wzbijając do góry fontanny wody. Z nieba spadały fragmenty zawalonego mostu.

Wspięliśmy się na szczyt zbocza, gdzie leżał Eudoksjusz i raz jeszcze obejrzelismy się do tyłu. Nie kryłem radości.

Jakby olbrzym wygryzł i pożarł ogromny kawał góry. W powietrzu wisiała chmura pyłu. Pod nami zniknęła połowa mostu.

Hunowie stali na drugim brzegu potoku i patrzyli na nas w milczeniu.

- Miną dni, zanim znajdą inną drogę - powiedziałem radośnie. - Lub przynajmniej kilka godzin. - Poklepałem Zerkona po plecach. - Módlmy się, by nasza wiadomość dotarła do Aecjusza.

Rozdział XIX

Rzymska strażnica

Strażnica w Ampelum stała przy skrzyżowaniu dwóch starych rzymskich dróg -

pierwsza zmierzała na zachód, do kopalń koło Iuvavum i Cucullae, druga na południe do Ad Pontem i przełęczy górskich. Wybudowana na planie kwadratu, wznosiła się na wysokość pięćdziesięciu stóp. Na jej szczycie można było rozpalić ognisko sygnalizacyjne i tym samym przesłać wiadomość do odległych posterunków. Ogień rozpalano częściej, niż przybywała pomoc.

Jej załoga, jak i inne, nauczyła się radzić sobie z przeciwnościami losu. Rzym był jak księżyc. Zawsze obecny i widoczny, lecz niewyobrażalnie odległy.

Wokół wieży biegł szeroki mur z kamienia, wysoki na trzydzieści stóp, chroniący dziedziniec, stajnie, spiżarnie i warsztaty. Tuzin zahartowanych żołnierzy rzymskich spał i jadł w wieży, ogrzewając się węglem drzewnym. Z

powodu tego węgla pomieszczenia były wciąż zadymione, a deski sufitu nabrały czarnej barwy.

Mówienie o załodze, że jest rzymska, było oczywistym nadużyciem. Wieki minęły od czasu, gdy legiony składały się głównie z Latynów pochodzących z Italii. Armia stała się jedną z sił integrujących cesarstwo, rekrutując żołnierza spośród setek podbitych plemion i ucząc go łaciny. Z czasem zapomniano o jednolitości uzbrojenia, zwyczajów i używanego języka i dlatego załoga stacjonująca obecnie w strażnicy była zbieraniną pasterzy i wcielonych do wojska włóczęgów dowodzonych przez gburowatego dekuriona o imieniu Silas pochodzącego z bagnisk Fryzji. Jeden z

żołnierzy urodził się w Grecji, jeden w Italii, jeden w Afryce. Trzech było Ostrogotami, jeden Gepidem, zaś pozostałych pięciu nigdy w całym swoim życiu nie oddaliło się od wieży dalej niż na dwadzieścia mil. Choć winni posłuszeństwo Rzymowi, strzegli głównie samych siebie i kilku okolicznych wiosek, z których ściągali podatki i w których zaopatrywali się w żywność. Podróżni przejeżdżający przez skrzyżowanie dróg musieli płacić im myto. Gdy urzędnicy w Rawennie nie ustawali w wysyłaniu kolejnych ponagleń, dla świętego spokoju częścią zebranych podatków dzielono się z władzami. Żołnierze nie spodziewali się - i oczywiście nie otrzymywali - niczego w zamian. Musieli sami zatroszczyć się o prowiant, ubranie, broń i materiały potrzebne do bieżących napraw.

Modliłem się, by udzielili nam schronienia. Zniszczenie mostu mogło opóźnić, lecz niekoniecznie powstrzymać Hunów. Rzymski garnizon mógł zmusić Skyllę do powrotu.

- A cóż to do diaska jest? - przywitał nas dekurion, który wyszedł do nas przed bramę i po zlustrowaniu leniwym spojrzeniem naszej czwórki dosiadającej dwóch zmęczonych wierzchowców wlepił wzrok w Zerkona.

- Ważny pomocnik szlachetnego wodza, Flawiusza Aecjusza - odpowiedziałem, sądząc, iż nie zawadzi trochę minąć się z prawdą.

- Żarty sobie stroisz, chłopcze?

- Nie śmiałbym. Jego mądrość jest równie wielka, co postura znikoma.

- A ten worek ziarna przerzucony przez twoje siodło o? - Popatrzył na skępowanego i zakneblowanego Eudoksjusza, który szamotał się wściekle.

- Zdrajca Rzymu. Aecjusz chce go przesłuchać.

- Pomocnik, zdrajca? - Wskazał ręką Julię. - A ona kim jest? Królową Egiptu?

- Wysłuchaj mnie, dekurionie. Wieziemy ważne wiadomości dla Aecjusza, lecz potrzebujemy waszej pomocy. Naszym tropem podąża grupa Hunów.

- Hunów!? Znów naszła cię ochota na żarty? Najbliżsi Hunowie przebywają daleko stąd, na wschodzie.

- Czemu zatem nasza czwórka dosiada tylko dwóch koni, gdy pozostałe leżą martwe naszpikowane huńskimi strzałami? - zakrzyknął nerwowo Zerkon, ześlizgnął się z wierzchowca i kołyszącym krokiem podszedł do rzymskiego żołnierza, zadzierając przy tym głowę. - Czy myślisz, że człowiek mego wzrostu zatrzymałby się w takim chlewie jak ten, gdyby nie był w śmiertelnym niebezpieczeństwie?

- Zerkonie, nie obrażaj naszego nowego przyjaciela - wtrąciła się do rozmowy Julia. Też zsiadła z konia. - Przepraszam za jego chamstwo i brak manier. Ścigają nas wojownicy Attyli, dekurionie. Nie dogonili nas tylko dlatego, że zawalił się most w dolinie. Chcemy prosić was o schronienie.

- Zawalił się most?

- Musieliśmy go zniszczyć.

Dekurion wpatrywał się w nas zdumionym wzrokiem. Nie wiedział, czy ma uwierzyć w naszą opowieść, czy zniechęcić nas, jeśli okazałaby się prawdą. - To twój mężczyzna? - Wskazał głową Julię, a potem mnie.

- Nie. Karzeł jest moim mężem. - Położyła dłoń na ramieniu Zerkona. - Jest błaznem i czasem żartuje sobie w sposób, który nie wszystkim przypada do gustu.

Proszę, nie bierz sobie jego słów do serca. Jest większy duchem niż ludzie przewyższający go wzrostem. I prawdę powiedział Jonasz, mój mąż jest na służbie wielkiego wodza. Czy wiesz, gdzie przebywa teraz Aecjusz?

Dekurion zaśmiał się rubasznie i powiedział: - Rozejrzyjcie się dookoła! -

Wieżę obrósł mech, dziedziniec tonął w błocie. - Szansa, bym zobaczył tu Aecjusza, równa jest zeru! Jak szansa, że ujrzę Attyłę! Podobno przebywa w Rzymie czy też w Rawennie. A może gdzieś nad Renem. Ponoć zmierza w te strony. Z drugiej strony donoszono nam także o jednorożcu w pobliżu Iuvavum i smoku w Cucullae. Zresztą Aecjusz nigdy nie przebywa długo w jednym miejscu.

Zbliża się zima, więc zapewne ściągnie do Augusta Treverorum bądź

Mediolanum. Jeśli chcecie do niego dotrzeć, musicie się śpieszyć, nim śnieg zasypie wszystkie przełęcze.

- W takim razie będziemy potrzebowali prowiantu, paszy i konia - powiedział, wyliczając na palcach Zerkon.

- Innymi słowy, musicie mi zapłacić solida, solida i jeszcze jednego solida -

odrzekł Silas. - Nieznajomi podróżni, wyciągnijcie swe sakiewki.

- Nie mamy pieniędzy! Zbiegliśmy z obozu Attyli. Proszę, Aecjusz musi nas wysłuchać. Nie możesz posłać po prowiant do Rzymu?

- Od Rzymu nie dostajemy niczego. - Przyglądał się z powątpiewaniem naszemu skromnemu dobytkowi. - Co niesiesz na plecach?

- Stary miecz - odpowiedziałem.

- Pokaż go. Może dobijemy targu.

Zastanawiałem się przez chwilę. Zszedłem z konia i rozwinąłem szmaty.

Czarne i zardzewiałe ostrze wyglądało tak, jakby przed chwilą wyciągnięto je z błota. Jedyne

wielkość zasługiwała na podziw.

- To nie miecz, lecz kotwica - powiedział zdumiony Silas. - Nie pokroiłbyś nim sera. Jest za duży, by nim władać. Po co wleczenie ze sobą ten złom?

- Pamiątka rodzinna, bliska sercu. - Ponownie owinąłem miecz szmatami. -

Upominek od naszych przodków.

- Nie rozśmieszaj mnie. Byli chyba olbrzymami?

- Jeśli nie dacie nam zapasów na drogę, pozwólcie przynajmniej spędzić tu noc.

Od tygodni nie spaliśmy pod dachem.

Silas odwrócił się do Julii i zapytał: - Umiesz gotować?

- Lepiej niż twoja matka.

Dekurion uśmiechnął się pod nosem. - Wątpię, naprawdę wątpię, choć bez dwóch zdań lepiej niż przeklęty Lucjusz, który znęca się nad naszymi żołądkami.

Zgoda. Ty ugotujesz kolację, ty pójdziesz po wodę, a ty, mały człowieczku, nazbierasz drwa na ognisko. Więźnia przywiążemy do słupa w wieży i niech tam bełkocze do woli. Służba Aecjusza! Dobrze sobie! Załoga z Virunum pęknie ze śmiechu, gdy im o was opowiem. Dalej, pozwolę wam napełnić brzuchy i przenocować w mojej strażnicy. Lecz jutro rano, skoro ś wit, ruszycie w dalszą drogę. To wojskowy posterunek, a nie *mansio*.

O ile dekurion gościł nas niechętnie, o tyle jego znudzeni żołnierze przywitali nasze towarzystwo z szeroko otwartymi ramionami. Julia przygotowała ciepłą i smaczną zupę, Zerkon śpiewał im sprośne piosenki, a ja opowiadałem o Konstantynopolu, równie odległym, co Rzym i Aleksandria. Eudoksjusz, któremu zdjęliśmy knebel, zapewniał, że jest huńskim księciem i obiecywał równowartość swojej wagi w złocie każdemu, kto go oswobodzi i odeśle do Attyli. Żołnierze traktowali go tak jak Zerkona - uważali, że jest bardzo zdolnym błaznem.

Zapewniali nas, że Hunowie nigdy nie zapuszczali się w te strony. Pościg z pewnością zawrócił i zmierzał teraz z powrotem na wschód. Dróg do Italii strzegły strażnice oddalone od siebie o dzień jazdy konno. Mogliśmy bezpiecznie podróżować od jednej do drugiej. - Spijcie dobrze. Nie wpuszczamy barbarzyńców do górnego Noricum - zapewnił nas Lucjusz.

O bladym świetle, gdy wszelkie kształty stały się wreszcie widoczne na tle jaśniejącego nieba, jedynie dwóch rzymskich żołnierzy pilnowało naszego małego posterunku.

Obaj zginęli niemal w tej samej chwili.

Pierwszy, zwany Szymonem, stał przy bramie, pilnując drogi prowadzącej do wieży. Miał nadzieję, że Ulryka, dziewczyna o piersiach obfitych jak wymiona krowy, przyniesie mleko, zanim zejdzie z

posterunku na śniadanie. Myślał o jej piersiach, okrągłych i wielkich jak dojrzałe arbuzy, jędrnych jak bukłaki pełne wina, gdy z porannej mgły naprzeciw niego wyłonił się kuc. Nim zdążył krzyknąć, gardło przebiła mu huńska strzała. Zacharczał i osunął się na ziemię, wciąż zastanawiając się, co się właściwie stało. Często się mówi, że umierający mają na twarzy wyraz szczerzego zdumienia.

Drugi żołnierz, Kasjusz, przechadzał się na szczycie wieży w tę i z powrotem, by rozgrzać zmarznięte członki. Dziwny dźwięk sprawił, że uniósł głowę i spojrzał

w niebo. Tuzin strzał spadł na niego niczym nagły grad. Cztery trafiły celu, piąta wbiła się w dach. Właśnie ona i hałas upadającego ciała obudziły mnie i resztę.

- Hunowie! - krzyknąłem.

- Śni ci się, chłopcze - odburknął na pół śpiący Silas.

Kolejna strzała wpadła przez wąskie okno do komnaty i odbił a się od kamiennej ściany. Usłyszeliśmy tętent kopyt, Skylla i jego wojownicy podjechali pędem do muru, przeskoczyli na niego z grzbietów koni, a z muru na dziedziniec jak unoszące się w powietrzu duchy. Pomni wczorajszej lekcji tym razem nie zdradzili się niepotrzebnymi okrzykami.

Opadli lekko na ziemię. Ujadającego psa uciszyła włócznia. Barbarzyńcy przez chwilę przeszukiwali kuchnię, spiżarnię i stajnię, biegając z nagimi mieczami w dłoniach. Zdając sobie sprawę, że wszyscy śpią w wieży, rzucili się do zaryglowanych drzwi. Zbudzeni Rzymianie wychylali się z okien, bijąc na alarm.

Silas pierwszy odpowiedział na atak, ciskając włócznią z okna na trzecim piętrze z taką siłą, że przygoździł nią do ziemi biegnącego Huna.

- Wstawajcie! - grzmiał. - Chwytajcie za miecze, nie sandały, osły! Atakują nas! - Uskoczył w bok przed kolejną strzałą. Wbiła się w belkę na suficie i zadrżała.

Wytoczyłem się z pośłania, trzymając kurczowo rzymski miecz, od którego zginął strażnik Atyli. Julia wciąż miała przy sobie włócznię, którą wybebeszyła mojego konia. Oprócz tego, nie licząc noża zabranego Eudoksjuszowi, nie mieliśmy innego uzbrojenia. Wciąż marnie spisywałem się z łukiem. Puściłem się biegiem do stojących pod ścianą oszczepów, chwyciłem jeden i wyjrzałem przez okno. Ledwie widziałem krzątających się po dziedzińcu Hunów. Jeden zatrzymał

się, popatrzył w górę i wtedy rzuciłem. Dostrzegł kątem oka ruch i uskoczył. Było coś znajomego w jego ruchach i szybkiej reakcji. Skylla?

Teraz pozostali Rzymianie ciskali oszczepami i strzelali z łuków, nawet gdy Hunowie odpowiadali, a ich strzały odbijały się od kamiennych ścian wieży.

- Kto na nas napadł? - spytał rozkazującym tonem Silas.

- Hunowie, którzy według was powinni już dawno spieszyć do domu -

odpowiedziałem.

- Hunowie nie są naszymi wrogami!

- Ci najwidoczniej tak.

- To przez was! I tego więźnia, tak?

- Jego i zardzewiałego żelastwa, które nazwałeś kotwicą.

- Miecza?

- Ma magiczną moc. Jeśli Attyla go zdobędzie, zawładnie całym światem.

Silas popatrzył na mnie, wybałuszając oczy, znowu nie wiedząc, czy ma zawierzyć moim słowom.

- Julio! Podgrzej zupę! - krzyknął Zerkon, wskazując dłońmi żelazny garnek, w którym pływały wołowina i jęczmienny chleb. Sam wbiegł po schodach na górne piętro.

Podgrzej zupę!?

Nagle zrozumiałem, o co chodzi karłowi. Julia już dorzucała do ognia węgiel.

Wyjrzałem ponownie, wypatrując kolejnego celu. Po chwili Hun pędem rzucił się do drzwi. Mając w pamięci pojedynek ze Skyllą, poczekałem na strzałę. Gdy uderzyła o kamień, wychyliłem się i rzuciłem z całych sił. Broń spadła na Huna niczym piorun. Upadł w połowie drogi.

Poczułem rozpierającą mnie satysfakcję. Przestałem być młodym chłopcem.

Wszyscy byli teraz w pełni rozbudzeni, wschodzące słońce tylko nam pomagało. Niestety, strzały ugodziły dwóch Rzymian. Hunowie przewyż szali nas liczebnie ponad dwukrotnie. Co gorsza, rozbierali dach stajni, luzując deski i belki. Było jasne, co chcą zrobić - wykorzystać dach jako osłonę, by zbliżyć się bezpiecznie do wejścia. Pozostali barbarzyńcy zbierali pośpiesznie słomę i gałęzie, by podpalić drzwi.

Ostrzał osłabł. Nikt nie chciał się niepotrzebnie narażać. Kończyły się nam pociski. Wykrzykiwane po łacinie, germańsku i huńsku zniewagi krzyżowały się w powietrzu, lecąc przez spływający krwią dziedziniec.

- Oddajcie naszych niewolników! - krzyknął Skylla w swoim języku.

Nikt z Rzymian nie mógł go zrozumieć.

Zerkon zbiegł ze schodów, oczy błyszczały mu z podniecenia. Tym razem jego wzrost dawał mu przewagę, nie musiał się schylać, by uniknąć nadlatujących strzał. - Rozpaliłem ognisko na szczycie wieży. Może ktoś pośpieszy na pomoc.

Razem z Lucjuszem poluzowaliśmy kilka kamieni, by rzucać je z góry, gdy zaatakują drzwi. Czy zupa jest już gorąca?

- Zaczyna wrzeć - odpowiedziała Julia.

- Niech Jonasz ci pomoże. Wsuńcie deskę za okno, posłużą nam za rynnę.

Gdy spadną im na głowy kamienie, wylejcie na nich naszą kolację.

- A jeśli zgłodnieję? - spróbował zasztartować jeden z żołnierzy.

- Nie wiem, czy uda ci się dotrzeć do kuchni, nim zaburczy ci w brzuchu -

odparł karzeł i raz jeszcze wbiegł po schodach na szczyt wieży.

Z zewnątrz dobiegł nas kolejny okrzyk i kolejna salwa pocisków wleciała przez okna do środka.

- Nie podnoście głów, póki nie zrzucą kamieni! - rozkazał Silas. - Gdy Hunowie wybiegną spod zniszczonego dachu, szukając schronienia, wstańcie i zróbcie użytek ze swoich kusz!

Obserwowałem dziedziniec z wąskiego okna. Dach stajni uniósł się nagle i zakołysał, gdy Hunowie próbowali złapać równowagę, a potem ruszył w naszym kierunku. Za nim schyleni szli wojownicy z drewnem i pochodniami. Osłaniały ich ciągle wystrzeliwane strzały. Dach uderzył o ścianę wieży z głośnym hukiem.

Z dołu dobiegły nas wykrzykiwane rozkazy, Hunowie z rąk do rąk podawali sobie słomę, drewno i pochodnie.

- Teraz! - zakrzyknął piskliwym głosem Zerkon.

Słyszałem pęd powietrza, na głowy barbarzyńców posypały się kamienne bloki. Wpierw usłyszeliśmy uderzenie, a zaraz po nim przekleństwa, gdy kamienie duże jak dorastające dzieci przebiły się przez dach.

- Deska! - krzyknąłem. Jeden z żołnierzy wystawił na zewnątrz ławę. Oboje z Julią owinęliśmy dłonie ubraniami i zdjęliśmy garnek z ognia, wlokąc go do okna.

Wylaliśmy niezdarnie jego zawartość. Wrząca zupa spadła na głowy Hunów uwięzionych pod zniszczonymi dachówkami. Usłyszeliśmy głośne krzyki i przekleństwa.

Barbarzyńcy rzucili się do ucieczki, biegnąc w popłochu przez dziedziniec.

Osłaniający ich kompani wstrzymali ostrzał wieży. Teraz obrońcy wypełnili okna, odpowiadając na strzały przeciwnika - dwóch trafionych w plecy Hunów padło na ziemię, dwóch kolejnych leżało nieprzytomnych lub martwych pod kamieniami i deskami. Kilku, kulejąc i chwiejąc się na nogach, szukało pośpiesznie schronienia.

Szanse zaczęły się wyrównywać.

Wznieśliśmy radosne okrzyki. Wiwatom zapewne nie byłoby końca, gdybyśmy nie dostrzegli wzbijającego się w niebo dymu. Zaryzykowałem i wychyliłem się na zewnątrz. W samą porę schowałem się do środka, gdy kolejna strzała przeleciała mi koło ucha.

- Dach się zapalił. Za chwilę ogniem zajmą się drzwi. Potrzebujemy wody, by go ugasić.

- Żadnej wody! - zarządził Silas. - Ledwie starczy nam na jeden dzień.

- Przecież gdy drzwi spłoną...

- Módlmy się zatem, by nie spłonęły. A jeśli spłoną, zabijemy ich na schodach.

Musimy mieć zapasy, by przeczekać, aż do nadejście pomocy.

- Jaka pomoc?

- Twój mały przyjaciel rozpałił ognisko sygnalizacyjne. Módlmy się, by wasz Attyla albo Bóg je dostrzegli.

Hunowie zobaczywszy ogień krzyczeli i wyli z radości. Jeden przebiegł nagle dziedziniec, dorzucił drwa do ognia i ukrył się, nim ktokolwiek z obrońców zdążył

zareagować. Potem ruszył drugi i trzeci - im też udało się wyjść i ukryć bez szwanku.

Czwarty zginął, lecz wtedy drzwi płonęły już w najlepsze. Dym przeszkadzał

nam dostrzec cokolwiek. Silas i ja zbiegliśmy na dół, by ocenić sytuację. Krowy zamknięte w wieży ryczały ze strachu, przewracając ślepiami, gdy ciągnęliśmy je za powrozy. Dym przenikał przez każdy otwór i szparę w drzwiach i u nosił się do góry. Usłyszeliśmy dochodzący z górnych pięter kaszel. Już czuliśmy ciepło ognia.

Dobiegł nas zdławiony krzyk. Strzała ugodziła kolejnego żołnierza.

- Puśćcie mnie! - krzyczał bez przerwy Eudoksjusz, szarpiąc za sznur, którym przywiązano go do słupa. - Oni chcą mnie! Jeśli mnie wydacie, powiem, by darowali wam wasze marne życie!

- Nie słuchajcie go!

- Gdy na nas ruszą, wykorzystamy bydło - powiedział dekurion. - Juliusz i Lucjusz zaczekają z kuszami, musimy zabić jak najwięcej, by znudziła ich ta zabawa.

- Celujcie w wodza, jeśli zdołacie - powiedziałem kusznikom. - On z pewnością nie zrezygnuje.

Hunowie zaczęli śpiewać. Pieśń śmierci. Dla nas. Co trzecia osoba po każdej ze stron leżała martwa bądź ranna.

Skylla pozwolił płomieniom trawić drzwi wieży przez bitą godzinę, a jego wojownicy zajęci byli przez ten czas obluzowywaniem ciężkiej belki z kuchennego dachu. Zaostrzyli jeden koniec i wywiercili otwory, do których wcisnęli drewniane kołki, by służyły za uchwyty. Nigdy nie widziałem Hunów równie pracowitych.

Gdy chodziło o walkę, potrafili być równie pomysłowi jak inne ludy.

W końcu ogień zgasł, osmolone drzwi wciąż stały. Nowy grad strzał

poszybował w niebo, osłaniając Hunów szturmujących pod osłoną dachu - w rękach trzymali wykonany własnoręcznie taran. Chwilę zajęło im przebiegnięcie dziedzińca. Belka uderzyła o drzwi, które rozpadły się na kawałki.

- Tak! - krzyknął tryumfalnie Skylla. Barbarzyńcy odrzucili taran i dobyli mieczy.

Nagle wejście wypełniły rogi i kopyta. Popędziliśmy bydło, okładając je płazem po bokach. Spadło na spieszących do środka Hunów niczym kartagińskie słonie, odrzucając ich na boki. Próbowali je rozgonić, lecz przewaga była po naszej stronie. Rogi raniły przeciwnika na oślep, kopyta tratowały każdego, kto upadł. Raz jeszcze kamienie i włócznie posypały się na głowy napastników.

Kolejnych dwóch padło pod uderzeniami. Wreszcie Hunowie zrozumieli, iż powinni przepuścić szarżujące bydło.

Stracili jednak swą szybkość i element zaskoczenia. Gdy znów stłoczyli się w wejściu, już na nich czekaliśmy.

Dwa bełty przeszły powietrze i dwóch Hunów padło pod nogi nadbiegających zza ich pleców kamratów. Zakląłem, widząc, że Skylla nie prowadzi swych wojowników do boju. Cała przewaga, jaką jeźdźcy mieli nad nami w walce na otwartej przestrzeni, przestała się liczyć w zamkniętym pomieszczeniu.

Wiedziałem, że straty rozwścieczą wroga. Jeśli przegramy, nie będzie dla nas litości.

Żołnierze Silasa w pośpiechu napinali kusze, cofając się jednocześnie na górne piętro. Hunowie wpadli do środka z napiętymi cięciwami.

Wystrzelili. Lucjusz i Juliusz potoczyli się po schodach.

Hunowie zaatakowali. Tym razem poleciał w ich stronę żelazny garnek, odrzucając ich do tyłu. Zagrodziliśmy im drogę włóczniami, jedna trafiła, drugą wyrwali nam z rąk i odrzucili na bok. Desperacko walczyliśmy o życie. Skylla dostrzegł mnie tnącego mieczem, stojącego pośród Rzymian blokujących przejście.

Z oczu mogłem wyczytać jego myśli. Teraz jesteś mój!

Nagle ktoś za plecami Hunów zawołał w ich języku znienawidzonym głosem: -

Jestem ministrem Attyli i musicie słuchać moich rozkazów! Walczcie z sercem!

Odzyskajcie miecz!

Przeklęty Eudoksjusz!

- Jak się oswobodził?

- Jeden z żołnierzy, skończony idiota, przeciął mu więzy, myśląc, że ułoży się z Hunami! - odpowiedziała Julia, podając mi oszczep. - Grek ugodził swego oswobodziciela w gardło i wyskoczył przez okno na dziedziniec.

- Podpalcie dolne piętra, a wieża się zawali! - krzyczał Grek.

- Kuszę! - zażądał Silas, uderzając nacierającego Huna tarczą. Był ranny i krwawił obficie. Nikt nie odpowiedział.

Krok po kroku, sapiąc, barbarzyńcy wspinali się pod górę. Było ich zbyt wielu.

Rzuciłem w dół ławę. Oddaliśmy pierwsze piętro, próbowaliśmy sprzętami zatarasować wejście na drugie. Od razu utkwily w nich huńskie strzały.

- Spalcie ich! Spalcie! - krzyczał wciąż Eudoksjusz.

I wtedy wysoko ponad głową usłyszałem skrzekliwy głos karła. - Jeźdźcy!

Jeźdźcy! Nadciąga pomoc!

W oddali usłyszałem rzymski *lituus* - kawaleryjski róg. Tłoczący się pod nami Hunowie popatrzyli po sobie zdezorientowani. Posiłki? Żołnierze, poznając sygnał, wznieśli radosne okrzyki.

Skylla przywarł do ściany. Wiedziałem, że się waha, szarpany przeciwnymi uczuciami.

Jego wróg i miecz Attyli były na wyciągnięcie ręki! Lecz gdyby posiłki otoczyły ich w wieży i odcięły drogę ucieczki, wszystko byłoby stracone. Jeszcze jeden, ostatni atak.

- Tatosie! Co się dzieje?!

- Rzymianie! Wielu! Na koniach!

- Mamy jeszcze czas, by ich zabić! - Skylla uniósł nad głową stół. Chwyciłem kuszę i pociągnąłem za spust. Bełt przebił się przez drewno, minimalnie chybiając.

Głowa młodego Huna odskoczyła do tyłu. Skylla odwrócił się, krzyząc do swych wojowników: - Wycofać się! Musimy się wycofać!

- Miecz! Miecz! - jęczał na dziedzińcu Eudoksjusz.

Hun znów się zawahał.

Napinałem gorączkowo cięciwę kuszy.

Puścił się biegiem po schodach, gdy wystrzeliłem kolejny pocisk. Bełt przeleciał tuż nad jego głową. Wybiegł przez zniszczone drzwi. Ciężko ranni Hunowie zostali w tyle, by na własnej skórze doświadczyć rzymskiej sprawiedliwości. Reszta pośpieszyła do pasących się pod murem kuców. Skylla przeskoczył kamienny mur i wylądował na grzbiecie swojego wierzchowca.

Wyrzałem przez okno. Promienie wschodzącego słońca odbijały się od zbroi zjeżdżających z pobliskiego wzgórza jeźdźców. Skylla uderzył batem boki kuca i pogalopował na północ. Żadni wojownicy nie wycofywali się równie szybko i nie znikali podążającej za nimi pogoni równie skutecznie jak lekka jazda Ludzi Ś witu.

Gdy rzymscy jeźdźcy dojechali do wieży, Hunowie odjechali już milę, rozdzielając się, by utrudnić pościg.

Bitwa skończyła się równie szybko i nagle, jak się zaczęła.

Wpatrywaliśmy się w nadjeżdżający oddział. Jadący na przodzie dowódca dosiadał śnieżnobiałego ogiera, nosił czerwony płaszcz i ozdobiony kitą hełm. Jego zbroja była zdobiona srebrem i złotem. Przez moment myśleliśmy, że sam Apollo zstąpił z nieba na ziemię. Przegalopował przez bramę i podjechał do zniszczonych drzwi. Za nim podążała *turma* kawalerii. Zatrzymali się, przyglądając się zniszczeniom. Wyszliśmy im na spotkanie. Ciekawe co sobie pomyśleli, widząc kobietę, której spoczone włosy zwisały kosmykami na twarzy, pokraccznego karła i mnie niosącego w obu rękach ogromny, żelazny miecz Dowódca zmrużył oczy, poznając znajome rysy. - Zerkon?

Był równie zdziwiony jak karzeł. Błazen przyklęknął na jedno kolano, oddając hołd, jakiego nigdy nie doświadczył Attyła. - Generał Aecjusz!

- Aecjusz? - Silas, krwawiący i tryumfujący, wlepił w jeźdźca pełen niedowierzania wzrok, jakby zobaczył legendarnego jednorożca. - Więc jednak błazen mówił prawdę?

Wódz się uśmiechnął. - Szczerze w to wątpię, jeśli nadal jest tak przebiegły, jak zapamiętałem. Cóż tu u diabła robisz, Zerkonie? Doręczono mi twoje wezwanie, lecz spotkać cię tu... - Był wciąż przystojnym i umięśnionym mężczyzną, zważywszy na wiek, a miał już ponad pięćdziesiąt lat. Włosy przyprószyła mu siwizna. - Dostrześliśmy wasz sygnał. Zawsze miałeś talent do wpadania w kłopoty.

- Szukałem cię, panie - powiedział karzeł. - Znów postanowiłem zmienić pracodawcę, skoro Attyli znudziło się moje towarzystwo. Tym razem zabrałem ze sobą żonę.

- Wszyscy święci wiedzą, że potrzeba nam śmiechu w tych ponurych czasach.

Wygląda na to, że nie żartowałeś, błaznie. - Rozejrzał się po poboju z zadowoleniem. - Po waszym ostrzeżeniu przeprowadzam inspekcję naszych alpejskich posterunków. Na wypadek gdyby Attyła ruszył do Italii. Wiadomość o waszej ucieczce dotarła do mnie przedwczoraj.

- Więcej niż ostrzeżenia, panie. Przywozimy z obozu Attyli straszne wieść ci.

Towarzyszy nam Rzymianin z Konstantynopola, który niemal uśmiercił kagana. -

Zerkon odwrócił się w moją stronę. - Masz prezent dla Aecjusza, nieprawdaż Jonaszu Alabando?

Byłem szczęśliwy, że wreszcie pozbędę się tego ciężaru. - W rzeczy samej. -

Podszedłem do Aecjusza, niosąc w wyciągniętych dłoniach miecz.

- Próbowalesz zabić Attyle?

- Próbowiałem spalić go żywcem, lecz diabeł ma mniej szczęścia od niego. Za to udało mi się wejść w posiadanie tego oto talizmanu. - Podniosłem zardzewiałe ostrze. - Podarunek, Flawiuszu Aecjuszu. Od boga wojny.

Rozdział XX

Bębny Attyli

451 r. n. e.

Spadł pierwszy śnieg. Świat pogrążył się w bezruchu. Ze stolicy Attyli, z zamrożonych równin Hunugurii, wysyłano setki posłańców do tysięcy barbarzyńskich fortów, wiosek i obozów. Słowem nie wspomniano o utracie miecza. Attyla posłużył się inną magią - rzymskimi przepowiedniami wieszczącymi upadek wiecznego miasta.

Wszystkie strumyki historii - prośba Honorii, obietnica Genzeryka, opór Marcjana, prośba Kłody o pomoc w zdobyciu tronu Franków - wpadały do szerokiej rzeki płynącej ku nieuchronnemu przeznaczeniu. W całym świecie żadna ziemia nie była bardziej zielona, bogatsza, żyzna i bardziej pożądana niż ziemie leżące na zachodzie - Galia, Hispania, Italia. Każdy Hun powinien gotować się na ostateczną bitwę z Rzymem. Każdy wróg miał ostatnią szansę na dołączenie do szeregów najeźdźców. Jeśli odmówi, zostanie bezlitośnie zgładzony. Wiosną Attyla spuści z łańcucha najstraszliwszą armię, jaką znał świat. Gdy to zrobi, stary porządek odejdzie na zawsze.

Na dowód wierności kurierzy przywozili do obozu buńczuki, sztandary i święte laski od podległych plemion. Wodzowie odzyskują je, gdy dołączą do huńskiego wojska. Słupy dźwigające plemienne insygnia ustawiono w odbudowanej niedawno wielkiej sali - drewno było jeszcze świeże i jasne. Pod koniec zimy, gdy zazieleniły się od trawy łąki, a słońce ponownie wspinało się po błękitnym nieboskłonie szerokim łukiem, komnatę wypełniły sztandary. Attyla naradzał się ze swymi wodzami na zewnątrz.

Iłana musiała się wszystkiemu przyglądać. Wypuszczono ją z drewnianej klatki po dwóch miesiącach zamknięcia. Spała teraz w kącie kuchni, żywiła się ochłapami i chodziła z łańcuchem spinającym kostki. Guernna cieszyła się z upokorzenia wyniosłej Rzymianki. Gdy spróbowała jeszcze bardziej ją pognać, kopiąc Ilanę, ta uderzyła ją w plecy tak mocno, że e teraz Germanka trzymała się na bezpieczną odległość. Zaleczyły się oparzenia i siniaki na skórze Rzymianki, w jej sercu ponownie zagościła nadzieja. Skylla wrócił, a wraz z nim wieści o tym, że Jonasz wciąż żyje.

Hunowie przywieźli z powrotem Greka Eudoksjusza, lecz nie mieli miecza.

Skylla był nadzwyczajnie cichy, bardziej dojrzały i posepny. Nie złożył jej wizyty.

Podobno walczył dzielnie, lecz młody Rzymianin znów był od niego lepszy. Mimo to Edekon traktował swego bratanka z szacunkiem, obiecując mu, że wiosną dokończy zaczętego dzieła. Attyla przeciwnie, specjalnie ignorował młodego Huna -

niema nagana nie pozwalała Skylli zasnąć.

Trawa rosła szybko, zakwitły pierwsze kwiaty. Zwierzęta obrosły tłuszczem i były gotowe do uboju. Nadchodziła pora roku, w której można było bez przeszkód wykarmić maszerującą armię - nadchodziła pora wojny. Attyla jasno okazał swe zamiary, rozkazując, aby każdy wojownik przybył do starej rzymskiej fortecy Aquincum, leżącej w pobliżu wielkiego zakola Dunaju. Tam Hunowie przygotowywali się do najazdu na Zachód. Attyla oznajmił, że wystąpi jako oswobodziciel i protektor księżniczki Honorii, siostry rzymskiego cesarza. Poślubi ją i zostanie władcą Rzymu.

Zastępy ścigały do zrujnowanego fortu. Oddziały składały się z miriad huńskich plemion i barbarzyńskich sprzymierzeńców. Jechali wierzchem lub maszerowali pieszo - Ostrogoci, Gepidowie, Rugowie, Skirowie, Turyngowie, nawet oddziały Wandali przysłane z Afryki, bagaudowie uciekający z Galii, korsarze z pokrytych śniegiem brzegów Bałtyku. Niektórzy ubrani w zbroje, inni w dziurawe łachmany. Jedni, dzierżąc włócznie, inni topory. Niektórzy byli wyśmienitymi łucznikami, inni lepiej posługiwali się mieczem. Wszyscy jednak czuli, iż Rzymowi nigdy nie zagroziła inwazja w podobnej skali. Armia rosła w siłę, plotki o jej potędze przyciągały uciekinierów, niewolników, wyjętych spod prawa złodziei, wygnanych polityków, skompromitowanych arystokratów, najemników i weteranów znudzonych emeryturą. Wielu zabierało ze sobą żony i dzieci, by pomogły im nieść zdobywany łup i by go dostały, gdyby wojownik padł

w boju. Wszędzie roilo się od dziwek, znachorów, wróżów, czarowników, księży, proroków, szarlatanów, kupców, handlarzy końmi, zbrojmistrzów, garbarzy, szewców, kołodziejów, cieśli, inżynierów budujących maszyny oblężnicze i dezertersów z rzymskiej armii. Miasto wznoszonych niedbale i pośpiesznie namiotów rosło z dnia na dzień. Trzecia część wojsk szybko się rozchorowała.

Attyla wysyłał przodem jeźdźców, by zbierali zapasy dla ogromnego obozu. Gdy jakiś oddział ruszał na zachód, kagan kazał mu wpierw przemaszerować pod jednym ze zniszczonych łuków Aquincum, jakby przygotowywał się do tryumfu w Rzymie.

- Poruszyliśmy cały świat - szepnął wujowi do ucha Skylla, gdy przyglądali się zmierzającym na zachód wojownikom. - Nie wiedziałem, że tylu ludzi stąpa po ziemi.

Edekon uśmiechnął się pośepnie. - Będzie ich znacznie mniej, gdy skończy się rok.

Później wiosny Attyla wezwał swych najważniejszych wodzów na naradę.

Ostatnia szansa, by zwrócił się do nich osobiście i wykorzystał swą charyzmatyczną osobowość. Gdy armia wyruszy i rozleje się jak wielka fala, będzie mógł się z nimi porozumieć tylko za pośrednictwem posłańców, zanim nie spotkają się ponownie przed decydującą bitwą. Ubrał się skromnie, jak zwykle, wdział zwykłą zbroję, nie miał nakrycia głowy, ubranie było znoszone. Jedyną ozdobę stanowiła złota spinka w kształcie jelenia przypięta do płaszcza. Goci nosili na palcach pierścienie, na które przysięgali wierność, Gepidowie zaś kolorowe szarfy swych klanów. Wzrok Attyli trzymał ich wszystkich w jednym miejscu jak uścisk pięści.

- Przeznaczeniem Ludzi Świtu jest ciągły marsz. Marsz do kraju, w którym zachodzi słońce. To nasz los od chwili, gdy biały jeleni wyprowadził nas z rodzinnych stron.

Zebrani Hunowie pokiwali zgodnie głowami.

- Będziemy rządzili od niekończących się pastwisk na wschodzie po nieskończony ocean na zachodzie, którego nikt z nas jeszcze na własne oczy nie widział. Wszystkie plemiona zjednoczą się pod naszymi rozkazami, a każdy z was będzie mógł wybrać dla siebie setkę kobiet i tysiąc niewolników, gdyż tak bogate będą nasze łupy.

Do kagana dobiegł pomruk aprobaty. Wodzowie już myśleli o czekających na nich bogactwach.

- Kampania będzie łatwa. - Wzrok Attyli był surowy. - Cesarz Zachodniego Cesarstwa jest głupcem. Lecz głównodowodzący jego armią Aecjusz, którego dobrze znam, głupcem już nie jest. Zrobi wszystko, co w jego mocy, by pokrzyżować moje plany. Jako dzieci byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Gdy dorośliśmy, staliśmy się najgorszymi wrogami. Widocznie tak miał o być. Jesteśmy do siebie zbyt podobni. Pożądamy tego samego - cesarstwa.

Kolejny pomruk.

- Księżniczka Honoria błagała mnie o wybawienie z niewoli. Będąc najpotężniejszym władcą wśród żyjących, nie mogłem zignorować jej prośby.

Pragnie mego łoża i któż może ją za to winić?

Wodzowie wybuchnęli śmiechem.

- Co więcej, otrzymałem wieści od naszych braci, Wandalów. Ich król -

Genzeryk - zapewnił nas, że gdy uderzymy na Zachód, on też uderzy na Aecjusza.

Kłoda zasili nasze szeregi wraz z lojalnymi mu Frankami. Legendy Rzymu przepowiedziały nasze zwycięstwo.

Głowy znów kiwały się ze zrozumieniem. Wszyscy wiedzieli, że fortuna życzliwie uśmiecha się do Hunów.

- Powiem wam, co zrobimy. Nie najedziemy Rzymu, by zaraz potem się wycofać. Podbijemy ziemię leżącą przed nami i zostaniemy na nich, póki każdy człowiek nie przysięgnie wierności Ludziom Świtu. Zniszczymy Zachód, zniszczymy jego serce - Galię. Tam pokonamy Rzymian, wcielimy do armii germańskie plemiona i ruszymy do Italii i Hiszpanii. Ożenię się z Honorią, a ona spłodzi mi nowych Attyłów. - Uśmiechnął się złowieszczo.

Wodzowie ryknęli radośnie, tupiąc przy tym rytmicznie nogami. - Attyla!

Attyla! Attyla! - Jedyne jego starsi synowie nie wiwatowali, rzucając wszystkim groźne spojrzenia.

- Potem z całym Zachodem słuchającym moich rozkazów zniszczę Marcjana i Wschód.

- Attyla! - ujadali jak wściekłe psy. Warczeli, krzyczeli i wyli. Uderzali włóczniami o tarcze tak głośno, że cały obóz mógł usłyszeć ich entuzjazm i radość.

- Kagan wznosił ręce, uciszając wrzask. - Hun zawsze zwycięży. Czemu? Gdyż nie jest miękki jak Rzymianin. Nie potrzebuje dachu nad głową, choć łatwo może go zdobyć. Nie potrzebuje niewolnika, by mu usługiwał, choć może nim uczynić każdego. Potrafi spać na grzbiecie konia, może wykąpać się w lodowatym strumieniu, znajdzie schronienie pod każdym drzewem. Ludzie Świtu zatryumfuj a nie dlatego, że przynoszą z sobą wiele rzeczy, lecz dlatego, że przybywają z niewidoma. Dowiodła tego

każda bitwa. Miasta czynią z nich słabeuszy. Gdy je spalimy, nasze kobiety zaśpiewają z radości.

Ostatnie słowa nie trafiły na tak podatny grunt jak wcześniejsze. Ci ludzie zdążyli się już nauczyć, czym jest życie w wygodzie i luksusach. Lubili piękną biżuterię i zdobione miecze.

- Słuchajcie mnie! Wszyscy! Znów to, co zawile, stanie się proste! Chcę oczyścić ziemię ogniem. Chcę czystości stepu. Nie zostawcie kamienia na kamieniu. Niech nie ostanie się żaden dach. Zostawcie za sobą jedynie popioły, na których zakwitnie nowe życie. Przysięgam wam, na jakiegokolwiek boga zechcecie - zwycięstwo będzie nasze. Tego pragną bogowie!

- Attyła! - tłum nie przestawał ryczeć.

Usatysfakcjonowany skinął głową. Znał jednak dobrze naturę swych ludzi i dodał: - Zróbcie to, a ja uczynię was najbogatszymi ludźmi na świecie.

Jak grzmoty ogłaszające nadciągającą burzę, tak plotki i raporty szpiegów o huńskim gromadzeniu wojsk docierały stopniowo do Aecjusza. Na zimową kwaterę wybrał Augusta Treverorum, położone w dolinie górnej Mozeli miasto o tej samej, nic już teraz nieznaczącej historii, co jego armia. Dawna główna kwatera cesarza była łupiona, odbudowywana i otaczana murem. Pałac Konstantyna był

teraz kościołem, gdyż żadna cesarska delegacja od dawna nie zapuszczała się tak daleko na północ. Łaźnie zamknięto, a nowo przybyli Frankowie i Belgowie przekształcili je w mieszkania. Nie organizowano już igrzysk, więc arena stała się targowiskiem.

Treverorum było jednak najmniej zniszczonym miastem ocalałym w tym regionie po nieustających od lat najazdach. Tu Aecjusz wsiadał na statek i płynął w górę i dół Renu, nawołując do wzmocnienia fortyfikacji, przestrzegając przed koniecznością spalenia mostów, jeśli nadejdzie taka potrzeba. Do Alanów, Burgundów, Franków, Armorykanów, Sasów wysyłano posłańców z ostrzeżeniami, iż Hunowie chcą zniszczyć cały Zachód i podporządkować sobie jego plemiona. Tylko jednocząc się, mogli mieć nadzieję, że nie ulegną.

Barbarzyńskie królestwa odpowiadały mu z rezerwą. Większość władców pytała o wielki miecz, o którym doszły ich słuchy. O miecz Marsa, który Aecjusz w cudowny sposób odebrał Attyli. Czy naprawdę istniał? Jakie moce posiadał?

Przyjdźcie do mnie na wiosnę i przekonajcie się na własne oczy, odpowiadał

Aecjusz.

W tym samym czasie szpiegowie wysyłani przez Attyłę docierali na te same dwory, przekonując do posłuszeństwa i poddania, gdyż tylko one mogły zapewnić przetrwanie. Nadciągającego najazdu nie można powstrzymać, a sprzymierzenie się z chylącym się ku upadkowi Rzymem było głupotą.

Kluczową postacią, która mogła zaważyć na decyzji wahających się władców i na powodzeniu Aecjusza, był Teodoryk, król Wizygotów, najpotężniejszy z barbarzyńskich władców. Gdyby połączył swe siły z Rzymem, dałby Aecjuszowi i jego sprzymierzeńcom niewielką, choć zawsze jakąś, nadzieję na zwycięstwo.

Gdyby pozostał neutralny lub co gorsza przeszedł na stronę Attyli, wszystko byłoby stracone.

Teodoryk dobrze o tym wiedział i ostrożnie podchodził do zapewnień Aecjusza. General manipułował germańskimi plemionami zbyt wiele razy. W

odpowiedzi na każde pismo i każde pochlebstwo Teodoryk zbywał Aecjusza, nie obiecując niczego. „Attyła nie jest moim wrogiem. Ty też nim nie jesteś - pisał do rzymskiego wodza. - Teraz mamy zimę. Ludzie powinni odpoczywać. Wiosną Wizygoci podejmą decyzję zgodnie z tym, co najlepsze dla nas, nie dla Rzymu”.

Cesarz Walentynian też zdawał się nie dostrzegać zbliżającego się niebezpieczeństwa. W odpowiedzi na prośby Aecjusza o uzupełnienia, broń i zapasy słał długie listy, w których narzekał na nieudolność poborców podatkowych, postępowanie bogaczy, nieuczciwość urzędników, knowania siostry i myślenie tylko o sobie wojskowych strategów. Czyż armia nie mogła zrozumieć problemów i zmartwień, z jakimi boryka się cesarski dwór? Czyż Aecjusz nie rozumiał, że cesarz robi wszystko, co w jego mocy?

„Wydaje mi się, że twoim szpiegami źle odgadli intencje Attyli. Być może nie jesteś świadom tego, iż Marcjan zawiesił płacenie trybutu i że przerzuca wojska znad perskiej granicy. Czyż nie jest bardziej prawdopodobne, że gniew Hunów spadnie na Konstantynopol? Czyż Attyła nie jest jednym z twych najstarszych przyjaciół? Czyż Hunowie nie służyli dzielnie przez lata jako najemnicy w twoich kampaniach? Czyż moja część imperium nie jest biedniejsza od części Marcjana?”

Czemuż Attyła miałby nas najeżdżać? Twe obawy są przesadzone, generale... ”.

Jakbym słuchał paplaniny zręcznej i użalającej się nad sobą kobiety, pomyślał Aecjusz gorzko. Wiedział, że Walentynian przeznaczył dużą część budżetu na cyrki, kościoły, pałace i ucztę. Nowy cesarz nie przyjmował do wiadomości tego, że ani cesarstwo, ani jego nie stać już było na to, by żył jak przodkowie. Liczba legionistów zmalała o połowę. W armii rozpanoszyła się korupcja. Wyposażenie nadawało się do wymiany. Być może przepowiednie mówiły prawdę. Może nadszedł czas na śmierć Rzymu. I czas na mnie. Chociaż...

Wyjrzał na zewnątrz, na zieloną Mozelę, wezbraną od wiosennych deszczy.

Minęło wiele lat, odkąd zamarł na niej ruch, choć wciąż była ważna dla rolnictwa i handlu. Na północnych krańcach Galii barbarzyńcy mogli gardzić Rzymem, lecz naśladowali go na nieudolny, niemalże dziecinny sposób. Ich kościoły kryte były słomą, domy zbite z desek, jedzenie niewyszukane, zwierzęta zaniedbane, pogarda dla pisma niemożliwa do zrozumienia. Jednak pretendowali do miana rzymskich obywateli, strojąc się w zagrabione szaty, żyjąc w na pół zrujnowanych willach, niczym małpy hasające po świątyni. Próbowali przyrządzać potrawy z anyżkiem i rybim olejem. Niektórzy ścinali włosy krótko, tak jak robili to Rzymianie.

Kobiety zamieniały ciężkie chodaki na sandały, nie bacząc na wszechobecne błoto.

Gdyby Attyła wygrał, nie byłoby mowy o jakiegokolwiek, nawet najmniejszej formie naśladownictwa

rzymskich zwyczajów. Nastąpiłby wymuszony powrót do dzikiego, niecywilizowanego życia, zapomnienie wszelkiej zgromadzonej wiedzy i koniec chrześcijańskiego kościoła. Czemu ci głupcy nie potrafili tego zrozumieć?

Jeden rozumiał - Zerkon. Dziwne, że karzeł stał się ulubionym towarzyszem wodza. Był nie tylko zabawny, lecz również spostrzegawczy. Przywiózł

informacje o potędze Attyli, jak i o samym królu - strach przed cywilizacją zatruwał jego myśli. Aecjusz pamiętał Attylę jako najspokojniejszego i najbardziej posępnego ze wszystkich Hunów, których poznał, przebywając w ich obozie.

Zastanawiał się, czy ten nieszczęśliwy człowiek, skrywający jakieś stare, niezagojone rany, był rzeczywiście tak prosty, jak donosiły raporty.

Podczas gdy huńscy wodzowie chwalili się głośno swymi dokonaniem, Attyla zawarł tajne przymierze z cichą, drzemącą w nim siłą. Dowiódł, że jest równie zdolnym taktykiem na polu bitewnym, jak i poza nim. Gdy inni paradowali jak pawie, on rósł w siłę, namawiając, sprzymierzając się i mordując bez skrępowań.

Pod jego rozkazami banda rabusiów przekształciła się w coś o wiele groźniejszego -

hordę zdobywców chcących wrócić do prostego, podobnego zwierzętom życia.

Właśnie to, a nawet więcej, starał się wyjaśnić Zerkon. Serce huńskiej armii, prawdziwi Hunowie, było niewielkie. Barbarzyńcy często sprzecali się niczym psy nad ochłapem mięsa, ich morale opadało szybko, gdy nie potrafili pokonać wroga. - Zwyciężą tylko wtedy, gdy Zachód uwierzy, iż muszą zwyciężyć. Stańcie im naprzeciw, panie, a cofną się jak szakal w poszukiwaniu łatwiejszej do zabicia ofiary.

- Moi sprzymierzeńcy boją się starcia z Hunami. Ich domniemana potęga obiegła cały świat.

- Często się zdarza, że to napędzający wszystkim strachu osiłek jest słabszy i bardziej strachliwy od tych, których prześladuje.

Młody człowiek, który przybył wraz z Zerkonem, Jonasz z Konstantynopola, był równie odważny co karzeł. Kochał się w pojmanej przez Hunów kobiecie - o, wieku, w którym ciało i umysł trawią tak słodkie pragnienia! - jednocześnie nie pozwalając, by uczucie całkowicie przesłoniło mu rozum. Dowiódł, że jest zdolnym sekretarzem, a jego fantazje o zemście i oswobodzeniu dziewczyny można było zrzucić na karby niedojrzałości. Był zbyt zdolny i przydatny, by marnować jego potencjał, wcielając do zwykłej służby wojskowej, choć bardzo na to nalegał. Był równie intrygującą postacią, co Zerkon. Opowiadając o swym pojedynku z Hunem, o tym jak przetrzymał ostrzał, powiedział, że rzymscy żołnierze mogą zrobić podobnie. Gdy zapadł mroźny marcowy zmierzch, Aecjusz rozkazał rozpalić ogniska i przyprowadzić do siebie dwóch przyjaciół. Na drzewach pojawiły się pierwsze pąki; gdy trawa będzie wystarczająco wysoka, by wykarmić konie, Hunowie ruszą. Po tej stronie Renu każ dy sprzymierzeniec będzie niecierpliwie czekał, licząc, ile plemion zjednoczy się pod rozkazami Aecjusza. Jeśli nie będą się trzymali razem, wszystko się rozpadnie.

- Chcę powierzyć wam obu bardzo ważne misje - powiedział Aecjusz.

Zauważył, że Bizantyjczyk nagle się ożywił, wykrzykując: - Ćwiczyłem razem z twoją jazdą!

- To dobrze. Przyda ci się ten trening prędzej czy później. Teraz mam dla was ważniejsze i bardziej naglące zadania.

Młody człowiek pochylił się, czekając niecierpliwie na słowa wodza.

- Wpierw ty, Zerkonie. - Aecjusz odwrócił się do karła. - Poślę cię do biskupa Aniana, do Aurelianum.

- Aurelianum?

- Do stolicy plemienia Alanów, której nazwę jej nowi panowie przekręcają w swym języku tak, iż brzmi jak „Orlean”. To brama do najbogatszej doliny w całej Galii - doliny Loary - i strategiczny punkt dla całej prowincji.

Zerkon wstał i opuszczając wzrok, zaczął drwić sam z siebie. - Jestem pewien, generale, że powstrzymam Attyle, jeśli dotrze aż tak daleko. I uraduję się, jeśli mu się nie uda.

Aecjusz uśmiechnął się ciepło. - Chcę, byś słuchał i mówił, nie walczył.

Posyłam cię do Aniana jako wyraz mej przyjaźni dla niego i jednym z twoich zadań będzie zaprzyjaźnienie się z biskupem. Podobno jest wyjątkowo pobożnym Rzymianinem, który swymi czynami zdobył wielki respekt pośród Alanów -

uważają go za świętego męża przynoszącego szczęście. Gdy nadejdą Hunowie, mieszkańcy będą mu się przyglądać bardzo uważnie. Musisz go przekonać, by poparł naszą sprawę.

- Czemu ja, niziołek? - zaprotestował Zerkon. - Z pewnością człowiek o normalnej posturze...

- Będzie uważnie śledzony przez szpiegów Sangibanusa, króla Alanów.

Podobno przyjmuje u siebie wysłanników Attyli. Obawia się go i chce utrzymać w swych rękach to, co ma. Raz jeszcze chcę, byś udawał - błazna, zabawiał jego dwór i dowiedział się, w którą stronę skłania się Sangibanus. Jeśli podda Aurelianum, cała Galia stanie otworem dla nacierających Hunów. Jeśli stawi mu czoło, zyskamy czas, by wygrać.

- Poznam jego myśli lepiej niż on sam! - przyrzekł Zerkon.

- A jeśli będzie chciał zdradzić, będę tam, by go powstrzymać - dodał Jonasz.

Aecjusz odwrócił się do niego. - Nie, młodzieńcze. Przed tobą jeszcze ważniejsze i znacznie trudniejsze zadanie. Wysyłam cię do Tolosy.

- Tolosy!?! - Miasto leżało daleko na południu Galii, dwa tygodnie drogi stąd.

- Ktoś musi przekonać króla Teodoryka, by dołączył do nas. Próbowałem przemówić mu do rozsądku, zastraszyć go, błagałem go nawet w listach. Wciąż nie chce wystąpić zbrojnie przeciwko Attyli. Czasem jedna wizyta warta jest więcej niż setka oficjalnych pism. Będiesz moim posłem. Nie dbam o to, jak tego dokonasz. Musisz przekonać Wizygotów, iż powinni do nas dołączyć.

- Ależ jak mam tego dokonać?

- Znasz Attylę. Pozwól mówić swemu sercu.

Gdy Zerkon i Julia wyruszyli do Aurelianum, ja wsiadłem na łódź i popłynąłem w górę Renu. Zielona dolina pogrążona była w ciszy, wojna wydawała się tu odległym snem, choć w powietrzu czuć było zmianę. Widziałem jeźdźców pędzących po rzymskich drogach za każdym razem, gdy statek dobijał do brzegu, by dostarczyć towary i wiadomości ci lub zabrać zapasy. Czulem na sobie poważny i skupiony wzrok wieśniaków i żołnierzy. Wieczorami mężczyźni czyścili broń, kobiety wędziły mięso i przesypywały resztki zeszłorocznego ziarna w worki, gdyby trzeba było uciekać. Wszyscy słyszeli plotki o poruszeniu na wschodzie.

Nieliczny widział Huna na własnym oczy. W gospodach ostrzegałem przed zawziętością barbarzyńców. W strażnicach w imieniu Aecjusza przeprowadzałem inspekcje.

Wódz prosił mnie, bym nadłożył drogi i odwiedził legionowy fort w Sumelocenna. - Powiedziałem dowodzącemu tam centurionowi - człowiekowi o imieniu Stenis - by uczynił ze swych żołnierzy osy - przypominał sobie na głos Aecjusz. - Chcę, byś sprawdził, czy mu się udało. Prześlij mi niezwłocznie raport.

Fort był niski i nijaki - jedna wieża zniszczona, farba dawno odpadła od ścian.

Lecz gdy podszedłem bliżej, nabrałem otuchy. Rowy oczyszczono z krzewów i chwastów. W zasięgu strzału z kuszy wkopano linię drewnianych i zastrzonych pali, które miały zatrzymać wieże oblężnicze i tarany. Stare i pełne dziur mury uzupełniono nowymi kamieniami. Wieśniacy pracowali na dziedzińcu.

- Jesteśmy teraz niczym orzech. Attyla może połamać sobie na nas zęby -

powiedział Stenis z dumą w głosie. - Rok temu nawet dziecku udałoby się zdobyć ten posterunek, Aecjusz zauważył to od razu. Teraz chętnie zobaczę armię próbującą wziąć nas szturmem. Zbudowaliśmy dwadzieścia katapult i sto kusz, zaciągnęliśmy siedemdziesięciu pięciu rekrutów.

- Powiem o tym generałowi. - Wolałem nie wspominać Stenisowi o liczności huńskiej armii.

- Wystarczy, że powiesz, iż jesteśmy gotowi żądlić.

Ruszyłem na południowy zachód, w kierunku Rodanu, skąd barka zabrała mnie aż do Morza Śródziemnego. Płynąłem na południe, słońce świeciło tu jaśniej, trawa była wyższa. Piękny kraj, bardziej zielony niż odległe Bizancjum.

Zastanawiałem się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym się tu osiedlił. Wezbrane rzeki zwiększyły

tylko moje obawy. Czas naglił. Jak miałem przekonać Teodoryka?

Kupiłem konia u ujścia rzeki i pojechałem główną rzymską drogą na zachód, w kierunku Tolosy i Wizygotów, od czasu do czasu spoglądając na migoczące pode mną morze. Jakże daleko dotarłem! Od domu. Od Ilany. Ze snów w koszmary.

Był późny kwiecień, gdy dotarłem do stolicy wizygockiego królestwa. Jej forteca górowała nad pokrytymi czerwoną dachówką dachami. Zatrzymałem się na minutę przed szarymi, kamiennymi murami Tolosy i rozmyślałem, jak przekonać na pół ucywilizowanego barbarzyńcę do przyłączenia swych wojsk do armii cesarstwa, którego niemal połowę podbili? Cesarstwa, którym gardzili, któremu zazdrościli i którego się obawiali? Miałem przestraszyć Teodoryka opowieściami o Attyli? Moja misja nie miała najmniejszego sensu.

Jak się jednak okaże, przeznaczenie podąży swoimi, tylko jemu znanymi ścieżkami. Nie wiedziałem, że zza wąskiego okna w wysokiej wieży obserwowała mnie ukryta w cieniu odpowiedź na wszystkie moje pytania i wątpliwości.

Rozdział XXI

Bicz boży

Armia Attyli była zbyt liczna, by poruszać się jedną tylko drogą. Dlatego Hunowie wyjechali z doliny Dunaju w kilku równoległych kolumnach, zalewając starą granicę pomiędzy Rzymem a Germanią jak fala. Przodem niczym grot strzały ruszyła huńska jazda, uderzając, zanim pojawiło się jakiegokolwiek zagrożenie i zajmując słabo obsadzone posterunki, nie dając czasu na przygotowanie obrony. Za nimi podążała ciężka jazda Ostrogotów. Ich potężne konie, ciężkie tarcze i długie lance przebijały się przez każdą linię obrony. Jeśli mieszkańcy szukali schronienia w wieży, forcie, klasztorze lub kościele, zostawiano ich piechocie sunącej z tyłu niczym wąż. Wzbijające się w niebo kłęby dymu znaczyły miejsca, gdzie dławiono opór.

Nigdy jeszcze Hunowie nie zebrali tak wielkiej armii, nigdy zapewnienie zapasów nie było tak wielkim wyzwaniem. Wojownicy ogołocali ziemię jak wygłodniała szarańcza. Dolina górnego Dunaju stała się pustkowiec. Palono każdy dom. To nie był najazd ani podbój, lecz świadoma i z premedytacją przeprowadzana eksterminacja. Huńscy jeźdźcy masakrowali w pierw mężczyzn, potem gwałcili i porywali kobiety, by ze szczególnym okrucieństwem i dokładnością mordować na końcu ciężarne matki i niemowlęta. Żadne pokolenie nie mogło się ostać przy życiu, by później szukać zemsty. Nieliczne osieroczone dzieci, którym udało się jakimś cudem przeżyć, błąkały się po lasach jak zwierzęta. Opuszczone psy zdziczały, karmiąc się trupami swych panów.

Jeden po drugim miejsca, z których na okoliczne ziemie promieniowała cywilizacja, zmieniały się w kupę gruzów. Astura, Augustiana, Fabiana, Lauriacum, Lentia, Boiodurum, Castra Batava, Castra Augusta, Castra Regina...

wszystkie wymazane z kart historii, jakby połykała je sama ziemia. Zamiast kwiatów jabłoni w powietrzu unosił się popiół, wszędzie czuć było zapach spalonego drewna, zgnilizny i rozkładających się zwłok. Zasnęta krew tworzyła na ziemi wyszukane wzory. Ścienne malowidła umazane były

posoką i mózgi właścicieli, którzy zginęli, wpatrując się w nie. Prorocy mieli rację: armie niosące zagładę głosiły nadejście końca świata. Nawet za tysiąc lat Europa nie zapomni tego marszu. Zło przybyło na kosmatych kucach, a stróżujące anioły uciekły w nieznanne. O tej porze roku, wbrew naturze, dni stawały się coraz ciemniejsze.

Attyla był zadowolony.

Zatrzymał się pewnego popołudnia, by spożyć posiłek złożony ze zrabowanych w forcie Sumelocenna zapasów. Jego załogę zmasakrowano ze szczególnym okrucieństwem, gdyż broniła się z niespotykaną wręcz odwagą i zawziętością.

Attyla oparł buty o ciało martwego trybuna i zauważył, że tunika spięta jest złotą broszą w kształcie osy. Władca schylił się, by ją oderwać. Nigdy takiej nie widział.

Da ją Herece. - Człowiek, który ją nosił, żądlił - powie, gdy będzie ją wręczać.

Żaden strateg nie uczył Attyli sztuki wojennej. Żaden dworzanin nie uczył go dobrych manier. Żaden pieśniarz nie przekonał go, by dotknął harfy lub liry.

Żadna kobieta nie ukoiliła jego wściekłego gniewu, wspomnień z dzieciństwa wypełnionego biciem i morderczymi ćwiczeniami, najświeższych wspomnień, w których roiło się od zdrad, knowań i niekończącej się wojny. Żaden ksiądz nie wytłumaczył mu należycie, po co się urodził. Żaden wieszcz nie ośmielił się mu powiedzieć, że kiedyś przegra. Był prastarą, przedwieczną siłą zesłaną, by oczyścić świat z wszystkich brudów i grzechów.

Wierzył, że Hunowie są inni niż reszta ludzi. Tak różni, iż być może w ogóle nie byli ludźmi, lecz bogami. A może rasy ludzkie nie są sobie równe i jego lud polował na rzesze niższych istot, niższych form życia, ludzi ulepionych z błota.

Nie był pewien. Z pewnością śmierć Rzymian nie miała dla niego najmniejszego znaczenia. Ich życie było mu zanadto obce, ich obyczaje nie do przyjęcia.

Wiedział, że życie jest nigdy niekończącą się walką, ciągłym zmaganiem.

Człowiek był albo mordercą, albo ofiarą, drapieżnikiem bądź posiłkiem.

Przekonanie o bezlitosności życia wpływało na wszystko, co robił. Attyla wiódł

swoich wojowników po chwałę, lecz nie ufał przy tym nikomu. Nikogo nie kochał. Na nikim nie polegał. Wiedział, że nigdy nie zazna spokoju ani odpoczynku, gdyż oznaczały śmierć. Czyż Rzymianin nie chciał go zabić, gdy spał? Jakaż ważną nauzkę mu dał. Od zamachu spał czujnie i nie chcąc zapadać w głęboki sen, budził się co chwila. Zestarzał się na twarzy, sny niepokoiły go coraz bardziej. Lecz tak właśnie miało być, tak musi być. Zabijanie jest esencją życia.

Tylko całkowite niszczenie zapewni bezpieczną przyszłość.

Attyla nie był strategiem. Nie umiał dostrzec wartości ziem, które zamierzał

podbić, nic dla niego nie znaczący. Rozumiał tylko strach i strachem posługiwał

się najsprawniej. Wraz z każdym zabitym Rzymianinem dwóch lub trzech uciekało przez Hunami do Galii. Każdego trzeba będzie nakarmić i zapewnić mu dach nad głową. Każdy roznosił strach jak zarazę. Z każdą kolejną opowieścią jego jeźdźcy stawali się ohydniejsi, ich celność dokładniejsza, smród ich ciał nie do zniesienia, ich chciwość nie do zaspokojenia. Musiał posłużyć się strachem. Horda, choć liczna, nie mogła się równać milionom ludzi żyjących w rzymskim imperium. Jej siła leżała w tym, iż uznawano ją za niemożliwą do pokonania. Nikt nigdy nie zwyciężył Hunów, nikt nie wierzył, że można tego dokonać.

Kagan nie wiedział, że Aecjusz wyłapuje dziesiątki tysięcy uciekinierów jak w sieć, by wcielić ich natychmiast do swojej armii, kobiety i dzieci odsyłając do pracy na roli.

Attyla nie chciał walczyć z rzymskim wodzem, jeśli istniała możliwość, by tego nie robić. Aecjusz zbyt dobrze znał się na żołnierskim rzemiośle. Jeśli będzie musiał stanąć naprzeciwko niego, Rzymianin musi być sam, bez wojsk sprzymierzonych z Rzymem. Jego miasta muszą stać w ogniu, jego zapasy rozkradzione przez tysiące głodnych i bezdomnych uciekinierów, jego legiony chore i zdemoralizowane, jego cesarz niezdecydowany, a oficerowie gotowi do zdrady. Attyla nigdy nie przegrał, gdyż nigdy nie walczył uczciwie. Zaskoczenie, podstęp, zdrada, przewaga liczebna i strach pozwalały mu do tej pory wyjść zwycięsko z każdej potyczki, z każdego starcia i bitwy - od zamordowania brata począwszy, na złupieniu i zniszczeniu wschodnich prowincji rzymskiego cesarstwa skończywszy. Trapiła go jedynie utrata świętego miecza. Wiedział, że był tylko talizmanem, którego magiczną moc sam wymyślił. Jednak jego wojownicy wierzyli w zaklęte w ostrzu siły. Przywództwo opierało się na wierze. Nie pozwolił, by o kradzieży miecza mówiono głośno i otwarcie, niemniej jednak jego zniknięcie zasiało w sercach Hunów obawę.

Zwycięstwa zadośćuczynią stracie symbolu. Barbarzyński władca prowadził

swą świtę i posłańców pod porośniętą trawą wzgórze, by przyrzuć się dolinie Dunaju i ciągnącym się po horyzont kolumnom wojska. Twardzi ludzie dosiadali wytrzymałych kuców. Attyla nigdy nie zaznał goryczy porażki, gdyż wiedział, iż jeśli przegra, stojący przy jego boku szakale rzucą się na niego bez zastanowienia.

Mógł trzymać ich w ryzach, obłaskawiając łupami, które psuły jego lud coraz bardziej. Im więcej brali, tym więcej pragnęli. Im więcej pragnęli, tym bardziej przypominali słabych Rzymian. Jedynym wyjściem z tego zaklętego koła było zniszczenie wszystkiego, czego pożąдали. W ruinie Rzymu leżało zbawienie Hunów.

Oczami wyobraźni widział już wszechobecne zgliszcza.

I to, co zrobi Hanie, gdy odzyska miecz.

Tak właśnie toczył się świat - cykl, którego nie można było zatrzymać, który nigdy się nie kończył.

Ilana stała się kolejnym okazem w dziwnym zwierzyńcu Attyli.

Podobnie jak jego żony i niewolnice ją też zabrało ze sobą maszerujące wojsko.

Domem jej była tocząca się na kółkach klatka zbita z drewnianych drągów. Nie miała dachu i dziewczynie doskwierały zarówno słońce, jak i deszcz. Podróż owała obok schwytyanych niedźwiedzi, lwów zabranych z rzymskich willi, wilków, trzech rzymskich generałów ściśniętych za jednym żelaznym ogrodzeniem i borsuków -

ulubionych zwierząt Attyli. Wozów używano zwykle do transportu niewolników i jeńców, lecz kagan rozkazał wcielać wszystkich niewolników do swojej armii, zaś każdego oswobodzonego przestępcę na miejscu zabijano. Dlatego też Attyla zdecydował, by na wozy załadować trzymane w pałacu osobliwości - pośród nich kobietę, która próbowała spalić go żywcem i którą z niewyjaśnionych powodów pozostawiono przy życiu.

Chwilowa łaska Attyli była dla Ilany kolejną torturą. Wiodła żywot zamkniętego w klatce zwierzęcia, siedząc bez ruchu na chybotającym się wciąż wozie jadącym pośrodku śmierdzącej armii, za którą podążały chmury denerwujących much. Jej ubrania były brudne, pozbawiono ją prywatności i statusu. W południe oblewała się potem, nocami dygotała z zimna. Ledwie starczało jej wody do picia, nie wspominając już o myciu. Pilnowała jej Guernna, której sprawiało przyjemność drwienie z Rzymianki z bezpiecznej odległości.

- Jestem pewna, że lada chwila przybędzie tu i cię uratuje - wyśmiewała się Germanka, przynosząc codziennie ochłapy. - Skradzionym mieczem wyrąbie sobie przejście pomiędzy milionem mężczyzn.

- Ciebie też oswobodzi. Gdy zacznie się bój, będziemy miały szansę, by uciec do Rzymian.

- Wydaje ci się, że ten najazd przeżyje jakikolwiek Rzymianin, Ilano? Edekon powiedział, że to największa armia, jaką widział świat.

Ilana wierzyła jej słowom. Wóz utknął na wzgórzu pośrodku drogi. Gdy tuzin gepidzkich piechurów pośpieszył, by wyciągnąć go z kolein, obejrzała się za siebie i na własne oczy zobaczyła ogromną, ciągnącą się po horyzont horde wojowników.

Pola pełne włóczyń kołysały się jak kłosa zboża na wietrze, stada koni wzbijały w niebo tumany kurzu, wozy wyładowane namiotami i łupami toczyły się po łąkach niczym ciężkie słonie.

- Aecjusz i Jonasz też przybędą z wielką armią.

Guernna uśmiechnęła się szyderczo. - Wszyscy zastanawiają się, co zrobi z tobą Attyla. Większość kobiet uważa, że spłoniesz na stosie, skoro sama chciał aś go spalić. Niektóre stawiają na ukrzyżowanie, inne na zbiorowy gwałt, gdy odda cię Ostrogotom, a może rzuci swoim zwierzęciem. Niektóre sądzą, że zostaniesz żywcem odarta ze skóry, inne, że Attyla poczeka, aż będzie miał wystarczającą ilość rzymskiego złota, by wlać je w twoje przepiękne gardło.

- Jakże zajmujące muszą być dla ciebie te domysły. A jakie jest twoje zdanie, Guernno? Jaką śmierć, twoim zdaniem, przygotował dla mnie Attyla?

- Wydaję mi się, że zastanawia się nad egzekucją tak wymyślną, że nie wpadnie na nią nikt z nas! -

Twarz rozjaśnił jej uśmiech pełen zadowolenia. Germanka nie miała wyobraźni i nie podziwiała jej u innych.

- A ty mu z pewnością pomożesz?

Guernna popatrzyła na nią pełnym wyrzutu wzrokiem. - Ilano! Tylko ja pamiętam, by przynieść ci codziennie posiłek. Popełniłaś wielki błąd, podnosząc rękę na naszego pana, a ja wciąż przynoszę ci wodę, byś mogła się napić i zmyć z siebie brud. Czemu spodziewasz się po mnie najgorszego?

- Gdyż wyświadczyłabyś mi największą przysługę, wbijając między żebra ostrze włóczni. Chyba stać cię na to, Guernno? W końcu zdradziłaś nas, gdy próbowaliśmy zbiec z obozu.

Germanka uśmiechnęła się ponownie. - Masz rację. Zabijając cię, skonsumowałabym nasz trudny związek. Ale muszę przecież myśleć o innych kobietach, słodka Ilano. Tortury są zawsze okropnie pasjonują cym widowiskiem.

Już o nich rozmawialiśmy i wszystkie chcemy po prostu usłyszeć twe wrzaski.

Aecjusz zamierzał spalić mosty na Renie, lecz huńska jazda uprzedziła go o trzy dni. Przekroczyła rzekę o północy, zabijając inżynierów, jakby rzeka nie stanowiła dla niej żadnej przeszkody. Attyla przejechał na drugi brzeg dwa dni później, przyglądając się z uwagą płynącym z prądem ciałom, w których tkwiły huńskie strzały. Jego wojownicy dobrze wykonywali rozkazy. Aecjusz rozłożył

obóz w Argentorate, sto mil na południe. Hunowie zamierzali go oskrzydlić, podążając przez zalesione wzgórza północnej Galii i przebijając się na wschód od miasta Luttia. Jazda ruszyłaby stamtąd na południe przez żyzne tereny i zajęła strategicznie ważne skrzyżowanie dróg koło Aurelianum - centrum całego Zachodu.

Attyla jechał w kierunku horyzontu tonącego w dymie, za plecami zostawiał

jeszcze większą pożogę - widoczny znak zniszczeń dokonanych przez jego armię.

Nie napotkali zwartego oporu. Frankowie wycofali się, zaś pozostałe plemiona wciąż nie mogły się zdecydować. Jeśli Hunowie uderzą wystarczająco szybko i silnie, uda im się zniszczyć Aecjusza, zanim zbierze armię zdolną ich powstrzymać. Pustoszały miasta, łupiono zbrojownie, celowo uszkodzono akwedukty, a ziarno leżące w spichlerzach grabiono. Kruki były tak opasłe od uctowania na trupach, że zataczały się na rzymskich drogach niczym pijacy.

Tysiące oportunistów, zdrajców i tchórzy dołączały do Attyli, a wraz z nimi knujący watażkowie, zbiegli niewolnicy i chciwi najemnicy. Niektórzy uciekali przed złym małżonkiem, z powodu złamanego serca lub przed niemożliwym do spłacenia długiem. Kagan sądził, że będzie ich więcej. Liczył, że zasilą jego szeregi. Ci, co dołączyli do huńskiej armii, mordowali swych pobratymców w niewytłumaczalnym szale. Zniesiono wszelkie prawa i wszystkie reguły. Piekło zatryumfowało nad niebem. Anarchia i grabieże dawały możliwość wyrównania starych rachunków. Gdy łamano jedno prawo, kolejne wydawało się łatwiejsze do złamania. Brak dyscypliny szybko wkraść się w szeregi Hunów - kłótnie wszczęte z błahego powodu często kończyły się śmiercią. Wodzowie musieli

rozdzielać żołnierzy skaczących sobie do gardeł jak dzikie psy. Resztki porządku utrzymywali batem, łańcuchem i, jeśli nie było innego wyjścia, egzekucjami. Horda była tak liczna, tak szeroko rozpostarły się jej skrzydła, że ledwie można było ją kontrolować.

Attyła zdawał sobie sprawę, że dysponuje potężnym tornado. Był jednak bogiem burzy.

Gdy wyjeżdżał z lasów Galii, napotkał na swej drodze Rzymianina, który nadał

mu inny tytuł. Patrol jazdy schwytał chrześcijańskiego pustelnika, który był na tyle głupi, by wyprawić się na pielgrzymkę, idąc prosto na armię Attyli. Hunowie śmieli się, przeciągając pomiędzy sobą linę, którą go związali. Ten krzyczał, pragnąc być może zginąć męczeńską śmiercią. - Cieszcie się swoim tryumfem, bo dni wasze są policzone, pomioty szatana! - Starzec, chwając się, wznosił okrzyki w huńskim języku. - Proroctwo mówi o waszej zagładzie!

Zaciekawił Attyłę, który wielką wagę przykładał do wszelkich przepowiedni -

kazał sobie wróżyć z kości i wnętrzości zwierząt. Gdy w dzikim szale zabił kilku swych wróżbitów, reszta nauczyła się mówić mu to, co chciał usłyszeć. Ich wróżby były tak pomyślne, że zdążyły mu się znudzić. Teraz mógł wreszcie usłyszeć inne, odmienne zdanie. Rozkazał żołnierzom, by rozjechali się, naprężając tym samym krępujące Rzymianina liny, tak by nie mógł wykonać najmniejszego mchu.

Mówisz w naszym języku, starcze.

- Bóg zesłał mi ten dar, bym mógł ostrzec przeklętych. - Był brudny, szedł

boso, a za ubranie służyły mu podziurawione szmaty.

- O jakiej przepowiedni mówiłeś?

- Twój własny miecz spadnie na twą głowę! Ciemność zwiastuje świt!

Kilku wodzów zaszepotało niespokojnie na wspomnienie miecza. Attyła krzyknął donośnie: - Przecież to my, Hunowie, jesteśmy Ludźmi Świtu, pustelniku!

Starzec popatrzył na Attyłę żartobliwie, jakby brał jego słowa za czysty nonsens. - Mylisz się, Hunie. Przybywacie pod osłoną kurzu i pyłu, a zostawiacie za sobą dym. Przesłaniacie słońce. Jesteście stworzeniami nocy, wyszliście z wnętrza ziemi.

- Przywracamy jej prawa. Nie niszczymy jej.

- Lecz żerujecie na ludziach, którzy to robią, stary wojowniku! Nie jesteście zatem od nich lepsi. Jakież bezsens wylewa się z twoich ust! Gdyby tu był Attyła, wyśmiałby twą głupotę!

Hunowie zaśmiali się głośno.

- A gdzie twoim zdaniem jest teraz Attyła, starcze? - zapytał łagodnie kagan.

- Skąd mam to wiedzieć? Pewnie śpi z tysiącem żon lub dręczy świętego pielgrzyma zamiast stawić czoło wielkiemu Flawiuszowi Aecjuszowi. Tak, łatwiej jest zaczepić i drwić z bezbronego pielgrzyma, niż stoczyć bój z przeciwnikiem gotowym bić się do końca.

Z twarzy Attyli w jednej chwili zniknął uśmiech. - Niedługo stawię mu czoło.

Pustelnik popatrzył na niego z ukosa. - Ty jesteś Attyla? Ty?

- Jam jest.

- Nie zdobią twych szat żadne bogactwa.

- Gdyż ich nie potrzebuję.

- Nienosisz oznak władzy.

- Wszyscy ludzie, prócz ciebie, wiedzą, kim jestem.

Święty mąż pokiwał głową. - Ja też nie noszę żadnych. Bóg Wszechmogący wie, kim jestem.

- A kimże w takim razie jesteś?

- Jego posłańcem.

Attyla zaśmiał się szyderczo. - Związany i bezradny? Jakimż rodzajem boga jest zatem twój Bóg?

- A jakiego boga ty czcisz, barbarzyńco?

- Attyla Hun wierzy w siebie samego.

Jeniec wskazał dłonią kłęby wznoszącego się w niebo dymu. - Czy to ty wydałeś rozkaz?

- Rozkazuję całemu światu, a on słucha i wykonuje polecenia.

- Niewinni, których kazałeś wymordować! Maleństwa, które osierociłeś!

- Nie będę przeproszał za wojnę. Jestem tu, by ratować cesarską siostrę.

Pustelnik zaniósł się szalonym śmiechem, oczy zajaśniały mu, gdy popatrzył na Attylę i pokiwał palcem. - Teraz wiem już, kim jesteś. Poznałem cię, potworze!

Plaga! Jesteś plagą! Batem zesłanym, by ukarać nas za nasze grzechy! Jesteś biczem bożym!

Kagan patrzył na niego zmieszany. - Bicz Boga?

- To jedyne możliwe wyjaśnienie. Jesteś narzędziem w rękach Wszechmogącego. Karą równie straszną co wielki potop lub plagi egipskie! Jesteś Baalem, Belzebubem i Plutonem w jednej osobie, wysłanym, by wymierzyć nam boską karę!

Hunowie czekali w milczeniu, zastanawiając się, kiedy Attyla zabije obłąkanego starca. Władca siedział na koniu pogrążony w myślach. - Bicz boży.

Nikt mnie jeszcze tak nie nazwał. Czy nie myli mnie pamięć, Edekonie?

- Możesz dodać ten tytuł do tysiąca innych, kaganie. Kazesz go zabić?

Powoli na twarzy Attyli zajaśniał uśmiech. - Nie... bicz boży. Ten starzec wyjaśnił mi mą naturę. Uzasadnił me postępowanie. Uczynił je zrozumiałym dla każdego chrześcijanina. Podoba mi się. Puśćcie go wolno i nie czyncie krzywdy.

Dajcie mu na drogę osła i sztukę złota. Niech jedzie przodem, do Aurelianum. Czy wiesz, gdzie leży to miasto?

Pustelnik szarpnął więzy. - Tam się urodziłem.

- Dobrze. Spodobały mi się twoje słowa. Przyjmę je jako swój nowy tytuł.

Jedź do Aurelianum, starcze, i powiedz jego mieszkańcom, że nadciąga Attyla.

Powiedz, że przybywam, by zmasać ich grzechy, by utopić je w morzu krwi, gdyż jestem biczem bożym! Ha! To ja jestem jego posłańcem, nie ty, starcze! - Znów się zaśmiał. - Ja, Attyla! Narzędzie w rękach Wszechmogącego!

Rozdział XXII

Córka Teodoryka

Tolosa była w pierw miastem celtyckim, potem rzymskim, teraz zamieszkiwali ją Wizygoci. Nie zrobili nic poza zajęciem chylących się ku ruinie domów. Ich znana wszem i wobec waleczność nie szła bynajmniej w parze ze znajomością architektury. Ważne ze strategicznego punktu widzenia miasto leżące przy brodzie na Garonnie od dawna było jednym z głównych osiedli południowozachodniej Galii. Gdy wizygocki król Ataulf zgodził się oddać Iberię i odesłać rzymską księżniczkę Galię Placydię do Rzymu w zamian za nowe ziemie w Akwitanii, Tolosa stała się ich naturalną stolicą. Barbarzyńcy ograniczyli się do wzmocnienia starych murów, wykopania rowu i wzniesienia grobli. Wewnątrz miasto przypominało piękny dom, do którego wprowadziła się uboga rodzina, od siebie dodając do wystroju kilka pozbawionych dobrego smaku elementów. Kamienie i cegły kruszyły się ze starości, dziurawe ulice naprawiono marnie, farba pokrywająca budynki była starsza niż zamieszkujący je ludzie, spomiędzy stiuków i marmurów prześwitywała teraz glina i słoma.

Jednak pod rządami wielkiego króla Teodoryka, który rządził od trzydziestu sześciu lat - tak długo, iż większość jego poddanych nie pamiętała innego władcy -

Tolosa tętniła życiem. Gdzie przed laty rzymska kultura nałożyła się na celtycką, teraz germańska kultura nakładała się na rzymską, jej mieszkańcy stanowili połączenie pogańskiego rzemieślnika z rzymskim biurokratą i barbarzyńskim wojownikiem. Połączenie, które zapewniało miastu ciągły

przyptyw energii, jakiego nie doświadczyło od stu lat. Kupcy i żony rolników wykrzykiwali na zatłoczonych targowiskach obelgi w tuzinie języków, ariańscy kapłani dbali o dusze niepiśmiennych barbarzyńców, gromady dzieci ganiały się po ulicach.

Lecz ich dzikość wciąż tu była. Czuło się ją w powietrzu, wciągało do płuc z każdym oddechem. Dzikość, którą Aecjusz miał nadzieję w jakiś sposób okiełznać.

Wizygoci byli narodem równie dumnym jak Hunowie. Długie lance ich jeźdźców znał i podziwiał cały świat, tak jak podziwiał łuki huńskich wojowników. Straż pałacowa wyglądała jak zakuci w zbroje, brodaci olbrzymi. Ich błękitne oczy łypały podejrzliwie spod żelaznych hełmów, przypominając błyszczące klejnoty.

Nogi mieli potężne jak pnie drzew, ramiona zaś jak uda. Gdy opierali ostrze miecza na popękanej marmurowej posadzce, rękojeść sięgała im piersi. Tacy ludzie nie powinni się lękać Hunów. Czemuż nie chcieli walczyć u naszego boku?

Być może wahali się, gdyż ich przodkowie zmagali się z Hunami przed trzema pokoleniami. Czy Wizygoci po to przeszli całą Europę, by ponownie stawić czoła dobrze pamiętanej potędze? Czy teraz wreszcie przestaną uciekać? A może zgodzą się zostać wasalami Attyli? Musiałem przekonać Teodoryka, że przyszłość jego ludu leży w przymierzu z Aecjuszem i zniechęconym Rzymem.

Moje przybycie zapowiedziały słane przez Aecjusza listy. Wizygocki oficer pokazał mi stajnię, w której zostawiłem konia, poczęstował winem rozcieńczonym wodą, bym mógł ugasić pragnienie, i odprowadził do Teodoryka. W pałacu wszedłem na znajomo wyglądający dziedziniec. Fontanna na jego środku wyschła.

W mieście nie było nikogo zdolnego ją naprawić. Roślinny zwiędły, gdyż barbarzyńcom nie zależało, by o nie dbać. Poprowadzono mnie do przedsionka.

Rzymskie sztandary i insygnia dawno z niego zniknęły, na kolumnach wisiały teraz tarcze i skrzyżowane lance Gotów. Proporce i zdobyte kolorowe draperie zakrywały odrapane ściany, marmurowe podłogi przykryto dywanami, które miały zbierać błoto z barbarzyńskich butów. Wysokie okna wpuszczały do środka krzyżujące się promienie słońca. Moźni tłoczyli się i plotkowali, stojąc czołami za balustradą oddzielającą petentów i dworzan od drewnianego tronu Teodoryka.

Jeden

pomocnik

stał

obok

króla,

sporządzając

notatki.

Czyżby

pięćdziesięciosześcioletni władca umiał czytać? Korona monarchy była prostym diademem wykonanym ze stali. Włosy miał długie, brodę siwą, nos zakrzywiony, twarz zastygłą w grymasie. Tak wyglądał człowiek nawykły do mówienia „nie”.

Teodoryk skinął, pokazując, bym przeszedł przez drewnianą balustradę i stanął

tam, gdzie mogliśmy rozmawiać bez obawy, iż ktoś nas podsłucha. Ukłoniłem się, próbując sobie przypomnieć zachowanie i nauki Maksymina. - Przynoszę ci pozdrowienia, królu Teodoryku. Pozdrowienia od twego przyjaciela i sprzymierzeńca Flawiusza Aecjusza. Wielkie rzeczy wstrząsają posadami świata.

Nadchodzą czasy, w których potrzebne będą wielkie czyny.

- Tej zimy wódz Aecjusz już sto razy przysyłał podobne pozdrowienia na piśmie - odpowiedział barbarzyńca głębokim i sceptycznym głosem. - Za pozdrowieniami zawsze podążały ogromnej wagi wieści, za nimi zaś żądania. Czyż mówię nieprawdę, Haganie? - Odwrócił się do swego pisarza.

- Rzym chce, byśmy staczali za niego bitwy - odparł skryba.

- Nie za niego, lecz z nim - poprawiłem. - Attyła ruszył ze swą hordą na Zachód. Jeśli nie zastąpimy mu drogi, zginiemy wszyscy. Oddzielnie, jeden po drugim, przerażeni i opuszczeni.

- Słyszałem te same słowa od Aecjusza - powiedział król. - Jest mistrzem w graniu na obawach i lękach. Zawsze znajdzie jakieś śmiertelne zagrożenie, które wymaga od nas przelewania krwi za jego imperium. I choć błaga o naszą pomoc, nie ofiaruje nic w zamian. Ile legionów w wystawi? Ile plemion dołączy do jego armii? Nie potrafi nawet mi wyjaśnić, czemu Attyła ma być moim wrogiem.

Hunowie w niczym mi nie zawinili.

To będzie wyjątkowo trudne zadanie. - Świat się zmienił, panie -

wyrecytowałem jednym tchem zdanie, które musiał słyszeć tysiąc razy, powtórzyłem zdarzenia, które z pewnością były mu znane - prośba Honorii, przejęcie przez Marcjana władzy na Wschodzie, pretensje do tronu księcia Franków Klody. Słuchał, z każdym słowem bardziej się niecierpliwiąc.

- I wreszcie sprawa greckiego medyka Eudoksjusza - spróbowałem zrozpaczony.

- Kogo? - Król zwrócił się z zaciekawieniem do Hagana.

- Wydaję mi się, o ile mnie pamięć nie myli, że mówi o mężczyźnie, który podburzał na północy bagaudów - odpowiedział pisarz. - Intelktualista stojący na czele motłochu.

- Rewolty, którą Aecjusz zdławił przed laty - dodałem.

- Ach. Teraz przypominam sobie Greka. Co masz do powiedzenia na jego temat? - zapytał Teodoryk.

- Zbiegł do Attyli.

- I co z tego?

- Przekonał go, by go wysłał w poselstwie do Genzeryka, do Kartaginy. Gdy Eudoksjusz wrócił od Wandalów, Hunowie ruszyli na zachód. - Na dźwięk mych słów coś poruszyło się w ciemnościach. Jakiś spowity cieniem kształt podsłuchiwał

nas z alkowy. Kim był?

- Genzeryk? - Teodoryk zmrużył oczy na wspomnienie wandalskiego króla. -

Czemu Attyla rozmawia z Wandalami?

- Równie palące i wymagające odpowiedzi jest pytanie, czemu Wandalowie rozmawiają z Hunami?

Wreszcie udało mi się zainteresować króla. Attyla był daleko, Walentynian nie przedstawiał sobą żadnego zagrożenia, lecz Genzeryk i jego dumni Wandalowie byli ludem, których Wizygoci naprawdę się obawiali. Potężne plemię germańskiego pochodzenia zadomowiło się w Afryce i bez dwóch zdań pożądlwym wzrokiem patrzyło na Akwitanię. Wiedziałem, że moje słowa wywarły silne wrażenie. Przypomniałem sobie, że Wandalowie upokorzyli Wizygotów, odrzucając i okaleczając córkę Teodoryka. - Genzeryk ruszy z Hunami? - zapytał.

- Być może. Tego nie jesteśmy pewni. Wiemy tylko tyle, że czekanie i brak działania przyniosą nam zgubę.

Teodoryk usiadł na tronie, pogrążony w myślach palcami wybijał rytm.

Genzeryk, którego wojownicy dorównywali Wizygotom. Genzeryk, który był

równie wiekowy jak on, który rządził równie długo i którego lista krwawych zwycięstw była równie długa jak jego. Genzeryk, który okrył go hańbą jak nikt wcześniej, oszpecając ukochane dziecko, Bertę. Popatrzył na mnie z ukosa, na stojącego przed nim młodego i niedoświadczonego Rzymianina. - Jaki masz dowód na poparcie swoich słów?

- Słowo Aecjusza i łaskę naszego Boga Wszchemogącego.

- Łaskę?

- Jakże inaczej wyjaśnić to, że zdobyłem i przywiozłem Aecjuszowi miecz Marsa? Słyszałeś o nim królu? Skradłem go samemu Attyli. Uważa się powszechnie, że należał do bogów. Za jego pomocą władca Hunów zagrzewał

swych wojowników do walki. Teraz Aecjusz chce zjednoczyć pod nim zachodnie plemiona.

- Teodoryk popatrzył na mnie sceptycznie. - Czy to ten miecz masz przypięty do pasa?

Uśmiechnąłem się na myśl, że mogę opowiadać dalej i wyciągnąłem nóż, który zabrałem Eudoksjuszowi. - To ostrze, które zabrałem Grekowi. Miecz Marsa jest chyba sto razy większy.

- Hmm - król potrząsnął głową. Zakapturzona postać skrywająca się w cieniu zniknęła. - Hunowie ruszą na Aecjusza, nie na Wizygotów - upierał się przy swoim król. - Czy masz dowód na to, że razem z nimi ruszą też Wandalowie?

Chcę informacji o Wandalach, nie o Hunach.

Zawahałem się. - Eudoksjusz sam mi powiedział, że Genzeryk przyrzekł

walczyć u boku Attyli - Hunowie i Wandalowie tworzą jedną armię. Genzeryk liczy na to, że Attyla cię zmiażdży!

- Wciąż nie dowiodłeś prawdziwości swych słów.

- Schwytaliśmy medyka. Sam byłem jeńcem w huńskim obozie. Gdy zbiegliśmy z mieczem, uprowadziliśmy ze sobą Greka.

- Potwierdzi zatem twoje słowa.

Opuściłem głowę zrezygnowany. - To niemożliwe. W pogoń za nami wysłano grupę wojowników. Dogonili nas, gdy schroniliśmy się w rzymskiej strażnicy.

Wywiązała się walka. Eudoksjusz skorzystał z zamieszania i uciekł.

Król roześmiał się na cały głos. - Widzisz? Żadnego dowodu na poparcie domysłów Aecjusza! - Jego sekretarz uśmiechnął się drwiąco.

- Całe cesarstwo i cały świat są w niebezpieczeństwie! - powiedziałem. - Czyż to niewystarczający dowód? Z tobą Aecjusz zwycięży. Bez ciebie...

- Dowód - zażądał Teodoryk. - Jaki masz dowód?

Zacisnąłem z bezsilności szczękę. - Moje słowo.

Król przyglądał mi się w ciszy przez dłuższą chwilę. Wreszcie rozluźnił się nieco i powiedział: - Nie wiem, kim jesteś, młodzieńcze, lecz mówiłeś tak dobrze, jak mogłeś w imieniu pana, który przyzwyczał nas, że rzadko mówi prawdę. Nie mam ci nic do zarzucenia. To Aecjusz zawiódł mnie już wiele razy, znam go za dobrze. Teraz odejdz, niech moi dworzanie pokażą ci twą komnatę. Ja zastanowię się nad twoimi słowami. Nie ufam Aecjuszowi. Czemu miałbym zaufać tobie?

Powiem ci jedynie, że gdy Wizygoci ruszą do boju, będą się bili za swoją sprawę, nie za Rzym.

Byłem zdruzgotany. Miałem przeczucie, że nic nie uda mi się osiągnąć.

Szczęśliwa chwila, w której ojciec powiedział mi, że los dał mi szansę i że wezmę udział w poselstwie do Attyli, wydawała się odległa o całe wieki. To, co miało zmienić me życie na lepsze, tylko je skomplikowało. Pokojowa misja zakończyła się katastrofalnym fiaskiem. Próby zdobycia bądź uratowania Ilany spęły na niczym. W Tolosie po raz kolejny okazałem się nieudolnym dyplomata. Jedyne dowód, którym mogłem przekonać Wizygotów - zeznania Eudoksjusza - utraciłem w więzy. Kolejne poselstwo miał o wrócić z kwitkiem! Nigdy nie udało mi się kogokolwiek przekonać, od ponętnej Oliwii począwszy, na barbarzyńskim władcy skończywszy. Jakże okrutnym żartem losu było to, że zostałem posłem!

Równie dobrze mogłem czekać w Tolosie na koniec ś wiata. Moja osoba i tak nie na wiele przydałaby się Aecjuszowi, zaś dotarcie tutaj zajmie Attyli trochę czasu. Mogłem też wrócić i rzucić się w wir walki, by przyspieszyć swą śmierć.

Nie będzie wspólnego frontu przeciwko Hunom. Rzym jest zbyt stary i zbyt zmęczony. Czekają nas jedynie beznadziejne bitwy, ogień, zniszczenie...

Ktoś zapukał do drzwi komnaty. Nie chciałem odpowiadać, lecz pukanie rozległo się raz jeszcze. I jeszcze, i jeszcze. Ktoś uparcie uderzał pięścią w drewno.

Otworzyłem i zobaczyłem postać trzymającą tacę pełną suszonych owoców i mięsa -

wyraz gościnności, którego się nie spodziewałem. Nosila długą suknię z zaciągniętym na głowę kapturem. - Posiłek po długiej podróży, ambasadorze -

powiedział kobiecie głos.

- Nie jestem głodny ani spragniony.

- Nawet towarzystwa.

Stałem się bardziej uważny. - Cóż to za propozycja?

- Mogę ci powiedzieć więcej o tym, co już wiesz.

Więcej? Kto jeszcze słyszał moją rozmowę z Teodorykiem? Przypomniałem sobie. - Podśluchiwałaś ukryta w cieniu kolumny za tronem.

- Gdyż rozumiem twe ostrzeżenia lepiej niż ty sam.

- Kim jesteś.

- Spiesz się. - Ton jej głosu był nosowy. - Nie powinnam przebywać w komnatach mężczyzny.

Wpuściłem ją do środka. Ku mojemu zaskoczeniu nie zdjęła nakrycia głowy, wciąż zasłaniając twarz. Postawiła tacę na stoliku. - Muszę zobaczyć, jak jesz.

- Co takiego?

- Zaraz wyjaśnię.

Przyjrzałem się jedzeniu wzrokiem pełnym wątpliwości.

- Nie bój się, nie jest zatrute.

Sięgnąłem po wysuszone jabłko i ugryzłem kawałek na próbę, po czym popiłem je łykiem wody. Nic się nie stało. Wyciągnąłem sztylet, by odkroić kawałek mięsa.

- Tak. - Oddech kobiety przeszedł w podniecony syk. - Skąd masz ten nóż? -

Pytanie było gwałtowne niczym uderzenie w twarz.

Spojrzałem w dół, nagle zdając sobie sprawę, o co jej chodzi. - Od Eudoksjusza, greckiego medyka. Zabrałem mu go, gdy próbował uciec. Prawie mnie nim zadźgał.

- A on od kogo go dostał?

Przyjrzałem się dokładniej broni. Podziwiałem piękne zdobienia i rzeźbienia na wykonanej z kości słoniowej rękojeści, piękną stal ostrza. - Nie wiem.

- A ja tak.

Popatrzyłem na nią spodziewając się podstępu.

- Z pewnością już się domyśliłeś, kim jestem. Cały świat wie o hańbie Berty. -

Sięgnęła dłońmi i ściągnęła kaptur niczym kurtynę, odsłaniając twarz.

Mimowolnie zakrztusiłem się z przerażenia.

Była kobietą to prawda, lecz kobietą straszliwie oszpeconą różowymi i purpurowymi bliznami. Brakowało jej prawie całego ucha, drugie zaś było przecięte tak, iż dwie jego części kończyły się pomarszczonymi czubkami. Usta zostały zaszyte nicią, każdy uśmiech przekształcał się momentalnie w przerażający grymas. Najgorszy widok przedstawiał nos. Jego koniec odcięto, zaś część, która została, była tak spłaszczona, że nozdrza przypominały świński ryj.

- Teraz nie możesz mieć najmniejszej wątpliwości.

Serce biło mi jak młot. - Księżniczko, nie wyobrażałem...

- Nikt nie potrafi sobie wyobrazić mojego wstydu lub upokorzenia mego ojca albo nieodpartej potrzeby zniszczenia wszystkich luster w moich komnatach. Król I, mój własny ojciec nie potrafi znieść mego widoku i zamyka mnie w odosobnieniu, pozwalając wyjść tylko wtedy, gdy zakryję twarz. Przemykam się pośród cieni pałacu jak duch, niechciane przypomnienie arogancji Wandalów.

- Byłaś małżonką Lochnara - powiedziałem, czując wzbierającą we mnie litość.

- Synową wielkiego Genzeryka, symbolem jedności między naszymi narodami.

Jakże przepelniała mnie duma w dniu naszego ślubu! Zbrojne oddziały Gotów i Wandalów ustawiły się w linii na drodze naszego orszaku w Kartaginie, a Genzeryk wypłacił memu ojcu w posagu nie małą sumę! Lecz gdy Walentynian zaoferował Lochnarowi rękę rzymskiej księżniczki, zapomniano o mnie w jednej chwili.

- Czemu? - Nie mogłem nadziwić się jej brzydocie.

- Lochnar żądał rozwodu, by móc poślubić chrześcijankę. Żadna z córek Teodoryka nie mogła zostać tak łatwo odtrącona. Ojciec nie dał swojej zgody.

Dlatego Genzeryk w pijackim szale, wściekły z powodu odmowy, która uniemożliwiała sojusz z Rzymem, przemienił mnie w potwora. Postąpiłby litościwiej, gdyby mnie zabił.

- Czemu pytasz o sztylet?

- Gdyż wiem, do kogo należał. - Popatrzyła gorzko na ostrze. - Wiedziałam o twojej misji i obserwowałam cię z okna mej wieży, gdy wjeżdżałeś do miasta. Znam Genzeryka tak dobrze, jak ty Attyłę. Ostrzegałam ojca, że są podobni jak dwie krople wody, jak bliźniacy. Jeden wart drugiego. I nagle zjawiasz się ty. Omalże nie zemdlalam, gdy zobaczyłam rękojeść zawieszoną na twym pasie sztyletu.

Tym właśnie ostrzem - wskazała broń palcem - Genzeryk okaleczył mą twarz.

Wypuściłem z rąk sztylet, jakby nagle zaczął parzyć. - Nie wiedziałem o tym!

Proszę! Tak mi przykro! Eudoksjusz próbował mnie nim ugodzić i dlatego mu go zabrałem!

- Oczywiście, że nie wiedziałeś. - Ton jej głosu znów był spokojny. Podeszła do mnie i podniosła broń, wając ją w dłoni. - Nawet najodważniejszy człowiek albo największy głupiec nie przynieśliby tego sztyletu do domu mego ojca, znając jego historię. Tylko ktoś niewinny, niewinny z powodu niewiedzy, mógł to zrobić.

- Eudoksjusz musiał go dostać w podarku od Genzeryka...

- By okazał go Attyli jako dowód danego słowa. - Głos był teraz pełen goryczy. - By przerzucić na kogoś swe grzechy. Wiesz, co powiedział mi Genzeryk? Że z powodu mej upartej dumy nie będzie mnie pożądał żaden mężczyzna, że moja twarz będzie straszyla dzieci i odrzucała kochanków.

Powiedział, że ma nadzieję, iż będę żyła sto lat i że każdego - dnia będę rozmyślała nad swą głupotą i lekkomyślnością nad tym, że ośmieliłam się sprzeciwić księciu Wandalów.

- Pani, wyrządził ci straszliwą krzywdę.

- Czy możesz sobie wyobrazić bezmiar mej nienawiści? Moje dzikie pragnienie zemsty? A mego ojca zżera wstyd tak wielki, iż siedzi bez ruchu w tym starym i zatęchłym pałacu, zbyt wystraszony, by

samemu wyzwąć Genzeryka i zbyt dumny, by prosić Rzym o pomoc. A teraz Rzym sam o nią zabiega! Mój najgorszy wróg sprzymierzył się z wrogiem wiecznego miasta. - Oczy rozbliły jej wściekłym ogniem. - Jesteś darem niebios, Jonaszu Alabando. Pośl ańcem zesłanym niczym archanioł, by wyrwać mego ojca z letargu. Waha się, a ja nie mam ż adnych wątpliwości, odkąd zobaczyłam sztylet. Masz przy sobie dowó d, którego potrzebuje Teodoryk.

Wreszcie dostrzegłem iskierkę nadziei. - Zatem musisz przekonać ojca, iż mówię prawdę!

- Zażądam sprawiedliwości, która należy się każdej Wizygotce. Attyla sądzi, że zapewni sobie zwycięstwo, sprzymierzając się z Genzerykiem. A ja powiadam, iż każdy, kto układa się z tym występny Wandalem, kusi i zatruwa swój los. -

Podniosła nóż. Kostki dłoni zbieleły na zaciśniętej rękojeści, pięść drżała. - Na ostrze, które skończyło me szczęście, przysięgam, że wojownicy mego ojca ruszana pomoc Aecjuszowi i Rzymowi, gdyż jednocząc się z nim, pokonamy Hunów i Wandalów! Raz na zawsze!

Rozpalono sygnalizacyjne ogniska, dźwięki rogów rozbrzmiały od szczytów gór po doliny. W całej Akwitanii wrzało. Od wybrzeży oceanu na zachodzie po szczyty centralnego masywu. Król wzywał Wizygotów na wojnę! Strzały strugane w zimowe dni związywano i wkładano do kołczanów, długie miecze ostrzono na kamieniach, a mocne lance z ostrzami w kształcie liści niesiono dumnie przed sobą. Na ramiona zarzucono wielkie tarcze, nałożono zbroje, wypolerowano hełmy. Podnieconym chłopcom pozwolono wziąć udział w wyprawie, a ich utyskującym z rozczarowania młodszym braciom nakazano zająć się domem.

Posępne żony pakowały w torby wysuszone mięso i ziarno, gdy córki łątały podziurawione ubrania, płacząc i drżąc na myśl o tym, co może się stać. Wizygoci szli na wojnę! Wyczyszczono siodła, buty obszyto nową skórą przewiązano pasy, spięto płaszcze. Ściągający na wezwanie króla wojownicy schodzili ze wzgórz do leżących w dolinach wiosek, z wiosek do miast. Strumyki maszerujących ludzi stawały się potokami, potoki wezbraną rzeką.

Rozpuszczono wieści. Wreszcie nadszedł czas. Berta zostanie pomszczona.

W Tolosie tysiąc wojowników czekało na koniach na swego władcę. Ich wierzchowce były potężne, ich kopyta ciężkie, ogony przewiązane wstęgami, a grzywy ozdobione monetami. Wizygockie hełmy miały kształt stożka przyozdobionego kitami, tarcze były owalne, włócznie zaś sięgające dachu.

Przejęty i podniecony czekałem pośród nich.

W końcu Teodoryk we własnej osobie wyszedł na stary rzymski portyk.

Przywdział lśniącą w słońcu i pięknie zdobioną zbroję. Towarzyszyli mu jego synowie Thorismund i Teodoryk Młodszy. Na ich widok zgromadzeni wojownicy z taką siłą ryknęli na powitanie, iż zadrzałem, a po plecach przeszły mnie dreszcze.

Król przemówił głębokim głosem, choć cicho. Słowa powtarzano sobie z ust do ust i rozchodziły się wśród jeźdźców jak kręgi na wodzie. - Nasi ojcowie wywalczyli tę bogatą ziemię na własność.

Naszym obowiązkiem jest jej bronić.

Hunowie i Wandalowie połączyli swe siły. Jeśli odniosą zwycięstwo, nasz świat przestanie istnieć. Moja córka żąda zemsty. Dlatego posłuchajcie mnie, moi wojownicy! Wyjedziemy, by ją znaleźć!

Tysiąc włóczni uderzyło o tysiąc tarcz. Teodoryk wsiadł na konia, uniósł w górę rękę, dając znak, i ruszyliśmy. Długi i szeroki korowód ludzi przelewał się przez ulice Tolosy, zmierzając do jej wspaniałych, rzymskich bram, idąc na spotkanie swych współplemieńców czekających na nich pośród pól i lasów.

Tysiące staną się dziesiątkami tysięcy, dziesiątki tysięcy armią, która wyruszy, by połączyć swe siły z wojskami Aecjusza, a cały Zachód stanie za nimi.

Czy to wystarczy, by zatrzymać Attyle?

Pogalopowałem przodem, by zanieść generałowi radosne nowiny. Odwróciłem się i spojrzałem na wieżę, z której obserwowała mnie Berta. Wreszcie doczekała się upragnionej zemsty.

Część III

Bitwa narodów

Rozdział XXIII

Ukryty pokój

Aurelianum było otoczonym potężnym murem rzymskim miastem stojącym na drodze każdej armii maszerującej przez niziny Galii. Położone przy Loarze było sercem najbardziej żyznej prowincji Rzymu. Jeśli Hunom udałooby się je zająć, łatwo mogli sobie podporządkować całą zachodnią Europę. Jeśli Rzymianie je utrzymają, obrona Galii stanie się zdecydowanie łatwiejsza.

Attyla miał nadzieję, że podstęp odda w jego ręce Aurelianum. Oblężenia były kosztowne, zdrady o wiele tańsze.

Ironią historii było, że plemię Alanów, które zamieszkiwało teraz miasto i ziemie leżące nad Loarą, było daleko spokrewnione z Hunami. Teraz zaś stanowili część Zachodniego Cesarstwa. Migracje ludów, które przetoczyły się przez ten region dwa pokolenia wstecz, okrzepły w niepewną koalicję tworzoną przez okolicznych wodzów, generałów i oportunistów, którzy walczyli zaciekle o strefy wpływów.

Każde

plemię

nominalnie

słuchało

rozkazów

Rzymu

i

podporządkowane było cesarzowi. W rzeczywistości każde było w dużym stopniu niezależne, wykorzystując słabość i nieudolność imperium. Wszystkie plemiona osiedlano na określonym terenie na mocy przyzwolenia cesarza, by pilnowało swych najbliższych sąsiadów. Barbarzyńcy polegali na Rzymie, zazdrościli Rzymowi, gardzili nim i obawiali się go, jednak tytułowali się nowymi Rzymianami i za takowych chcieli uchodzić.

Choć Wizygoci byli plemieniem najpotężniejszym, Frankowie, Burgundowie, Litycjanie, Armorykanie, Sasi i Alanowie także dysponowali silnymi armiami.

Dwa miesiące przed tym, jak Hunowie ruszyli na zachód, do Aurelianum przybyli emisariusze z zadaniem wybadania sympatii króla Alanów, przebiegłego i podstępного Sangibanusa. Attyła nadciągał na czele największej armii, jaką widziała zachodnia Europa. Sangibanus mógł walczyć u boku Rzymian i zginąć lub przyłączyć się do Hunów i pozostać królem, choć podległym Attyli.

Wybór nie należał do łatwych i przyjemnych. Co gorsza, wojownicy Sangibanusa nie mieli zamiaru ukorzyć się przed kimkolwiek. Gdyby zdrada króla wyszła na jaw, zanim przybyliby Hunowie, Aecjusz mógł ją wykorzystać do własnych celów. Z drugiej strony walka z Attyłą groziła całkowitą zagładą.

- Nie możesz przeczekać tej wojny. Musisz podjąć decyzję - nalegał młody Hun, przysłany, by przekonać Sangibanusa. - Możesz rządzić dalej, słuchając rozkazów Attyli, lub możesz zginąć pod rozkazami Rzymu.

- Moi ludzie nie pójdą za mną, jeśli wybiorę Hunów. Schlebiają sobie, mówiąc, że są Rzymianami i chrześcijanami. Nikt nie chce wrócić do życia przodków.

- Oni nie muszą dokonywać wyboru. Wystarczy, że zrobisz to ty, mając na względzie ich bezpieczeństwo. Posłuchaj mojego planu. Nawet strażnicy u bram nie będą musieli wybierać. Musisz tylko...

Młody Hun nazywał się Skylla.

- Biskupie, jakieś dziecko chce się z tobą widzieć.

- Dziecko?

- Nie zachowuje się jak dziecko. Właściwie w ogóle brak mu manier i ogłady.

Mówi, że chodzi o przyszłość Kościoła.

- Musi być zatem nad wiek dzielnym dzieckiem - powiedział biskup Anian. .

- Nalega, by przyprowadzić go z zakrytą twarzą. Jeśli okaże się, że jest skrytobójcą...

- Drogi Bertrandzie, by mnie zabić, nie trzeba się aż tak silić. Nikt nie musi w tym celu najmować dziecka. Mógłby napaść mnie na ulicy, przejechać po mnie drewnianym wozem, zrzucić z murów cegłę na głowę lub zatruć święty sakrament.

- Biskupie! - Jednak Anian miał rację. Jeśli gość był osobliwy, biskup zdawał

się jeszcze dziwniejszy. Miał w zwyczaju znikać na tygodnie, podczas których wiódł żywot pustelnika bądź pielgrzyma, we właściwy sobie tylko sposób rozmawiając z Bogiem. Zjawiał się nagle z powrotem, jakby nigdzie nie odchodził. Odwiedzał ułomnych i chorych bez obawy, że się zarazi, odpuszczał

grzechy mordercom i złodziejom. Jego rad słuchali władcy. W coraz bardziej pozbawionym prawa świecie uosabiał boski porządek. Jego pobożność i dobre uczynki nie tylko przysparzały mu popularności, lecz czyniły go również przywódcą, człowiekiem, którego słów się słucha.

- Nie krzywdzą mnie, gdyż taka jest wola Pana - mówił dalej. - I sądzę, że Jego wolą będzie, bym spotkał się z naszym tajemniczym gościem. Żyjemy w dziwnych czasach i po ziemi stą pają dziwni ludzie. Może nawet demony. I anioł y!

Sprawdźmy zatem, kim ten jest.

Gość słyszał ich rozmowę. - Zbyt brzydki, by być drugim. Zbyt uroczy, by być pierwszym - oznajmił, odsłaniając twarz. - Przyznaję się jednak do dziwności.

Bertrand przetarł zdziwione oczy. - To karzeł, nie dziecko.

- Poseł od Flawiusza Aecjusza, biskupie. Nazywam się Zerkon.

Na twarzy Aniana zagościła zdziwiona mina. - Niezwykły poseł, muszę przyznać.

- Gdy nie przemawiam w imieniu mego pana, staram się go bawić. - Zerkon skłonił się do ziemi. - Przyznaję, że nie jestem zwyczajny, co nie oznacza wcale, że bezużyteczny. Param się nie tylko błazenadą. Przeszedłem przez bramy z burgundzkimi uciekinierami. Nikt nie zauważa karła, gdy dookoła biegają dzieci.

- Wydawało mi się, że w interesie błazna leży, aby być zauważanym.

- W mniej niebezpiecznych czasach, z pewnością. Lecz Galię przemierzają teraz, prócz agentów Aecjusza, szpiegzy Attyli i tych wolałbym unikać. Przywożę ci pozdrowienia od generała i ostrzeżenie. Aurelianum leży na drodze huńskiej armii. Aecjusz chce wiedzieć, czy miasto się utrzyma i nie podda Hunom.

- Odpowiedź na twoje pytanie jest prosta. Utrzyma się, jeśli z odsieczą przybędzie Aecjusz.

- Armia rzymska chwilowo wycofa się do Limonurr. Aecjusz liczy na to, że jej bliskość skłoni

wreszcie Teodoryka do przyprowadzenia swych - Wizygotów.

Jeżeli Aurelianus stawi Hunom opór, uda się zyskać trochę czasu i Aecjusz będzie mógł zebrać pod swymi rozkazami zachodnie plemiona.

- A co zrobią Wizygoci?

- Tego nie wiem. Zdolny przyjaciel wysłany został z misją, by nakłonić ich do połączenia sił z Rzymem. Nie otrzymałem jednak od niego żadnych wieści i nie wiem, czy mu się powiodło. Moim zadaniem jest dowiedzenie się, co robi Aurelianus.

Anian roześmiał się szczerze. - Każdy czeka na to, co zrobi drugi czekają czy! Z

pewnością jest przypowieść o takiej pokorności i cierpliwości. Nie mogę sobie jednak teraz jej przypomnieć. A jakież, wracając do naszej rozmowy, mamy wybór? Jeśli Hunowie zwyciężą, Kościół przestanie istnieć, zanim zdąży się rozwinąć. Mnie zapewne upieką żywcem, bym poczuł w ostatnich chwilach życia przedsmak mąk piekielnych. Wiem o Attyli więcej, niż ci się wydaje, karle -

wystarczająco dużo, bym nauczył się huńskiego! Nie ma wątpliwości co do tego, co zamierzam zrobić. Stawię opór z całą mocą i siłą, jakie posiadam. Lecz król odsunął mnie od siebie, gardzi widać moją radą. Jego wojownicy nie chcą ugiąć karków, by cierpieć pod jarzmem nowego imperium. Nie chcą jednak ginąć za nic.

Jeden pyta drugiego, czy wytrwa, a nikt nie ma odwagi, by zrobić pierwszy krok do przodu. Frankowie sondują Alanów, Alanowie Burgundów, Burgundowie Sasów, Sasi Wizygotów, Goci zaś Rzymian! Kto prócz Aecjusza stanie zbrojnie naprzeciw huńskiej hordy?

- Niech opór zacznie się tu, biskupie. W Aurelianus. Od ciebie i ode mnie.

Anian uśmiechnął się dobrotliwie. - Karzeł mężem pokoju? Lecz czyż nie takie jest przesłanie, jakie niesie nasz Kościół? Sprzeciwianie się złu? Nieustępliwa wiara w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa?

- Tak jak ty znasz Attylę, ja znam też ciebie, biskupie. Ludzie śpiewają pieśni na twą cześć. Zjednoczą się przy tobie, jeśli zezwoli na to Sangibanus. Aecjusz się obawia, że król nie wierzy w zwycięstwo Rzymu i sprzeda się Hunom przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Anian wzruszył ramionami. - Jestem biskupem, nie królem. Cóż mogę zrobić?

- Będę słuchał słów Sangibanusa, lecz potrzebuję oczu i uszu. Potrzebuję twych księży, biskupie. Twych zakonników i prałatów, by dowiedzieć się o zamiarach króla i zapobiec im, jeśli zajdzie taka potrzeba. By przekonać Alanów do utrzymania miasta do przybycia Aecjusza.

Anian popatrzył na karła rzeczowym wzrokiem. - Jeśli tego nie zrobi, Attyla wymorduje nas wszystkich.

- Jeśli poddacie Aurelianus i ułatwicie tym samym Attyli ostateczny tryumf, wymorduje wszystkich

w cesarstwie, a z nimi i Kościół, biskupie. Świat skryją ciemności, ludzie żyć będą jak bestie przez następny tysiąc lat. Ja też znam Attyłę lepiej niż większość ludzi. Byłem niegdyś jego błaznem. O jednej rzeczy będę pamiętał do końca życia. Nigdy nie udało mi się go rozśmieszyć.

Jeśli Hunowie mieli szpiega bądź posła w Aurelianum, dobrze go ukryli.

Wieści ze Wschodu nie napawały nadzieją. Wciąż rosnąca fala uchodźców zalewała miasto. Mediomatrix padła w wigilię świąt Wielkiej Nocy. Jej mieszkańców wyrznięto w pień, a budynki spalono. Durocotorum zniszczono, jego ludność zdążyła na szczęście opuścić miasto wcześniej. Nasium, Tullum, Naviomagus, Andematunnum i Augustobonę puszczono z dymem, gdy liczna armia huńska podzieliła się, by ułatwić zaopatrzenie. Biskupa Nicacius ścieto, jego zakonnice zgwałcono i nabito na włócznie. Księżę krzyżowano, kupców odzierano ze skóry, by wyjawili, gdzie ukryli kosztowności, dzieci brano w niewolę, zabijano trzodę. Niektórzy mieszkańcy Aurelianum już teraz uciekali w kierunku oceanu. W odmętach rozpacz i zwątpienia niektórzy odnajdowali w sobie odwagę. Aurelianum podzieliło się - tak jak kiedyś Aksjopolis. Ludzie nie wiedzieli, czy mają się poddać, czy też stawiać opór najeźdźcy.

Koniec końców, odkrycie, jakiego dokonał Zerkon, było łutem najczystszej szczęścia.

Chłopiec towarzyszący oddziałowi pośpiesznie zorganizowanej milicji poszedł

do zbrojowni, gdzie trawiony ciekawością przemknął pomiędzy strażnikami i wszedł w wąskie przejście, które ukazało się jego oczom tylko na chwilę.

Wewnątrz ukrytego pomieszczenia zobaczył błyszczącą broń i zbroje. Chłopiec zawsze sumiennie podchodził do najświętszych sakramentów, zaś podczas spowiedzi miał pewne trudności z odszukaniem w pamięci godnych rozgrzeszenia przewin. Jakże trudno zająć uwagę spowiednika, gdy ma się ledwie osiem lat!

Przypomniał sobie o tajemniczym pomieszczeniu, co zapadło w pamięć księdza, który powiedział o nim swemu prałatowi. Ten zaś pomny słów biskupa przekazał

mu informację. W ten oto sposób o wszystkim dowiedział się w końcu i Zerkon.

- Skład broni i zbroi. Zamknięty i ukryty przed ciekawskimi oczami. Dziwne.

Zerkon myślał gorączkowo. - Być może są przeznaczone dla jakiegoś elitarnego oddziału?

- W jakim celu? Gdy upadnie miasto? To nie jedyna zastanawiająca mnie rzecz. Chłopiec powiedział, że wszystkie hełmy, tarcze i miecze wyglądały tak samo.

Ciekawe. Barbarzyńcy, którzy osiedlili się w Galii, trzymali się swych indywidualnych upodobań. Dotyczyło to również uzbrojenia. Każdy miał inną zbroję, każdy klan własne barwy, każda nacja własne wzory. Jedynie uszczuplone oddziały rzymskie wciąż posiadały jednakowe wyposażenie. Rzymianie byli jednak daleko stąd, przy Aecjuszu.

- Być może chłopiec zmyśla lub tylko coś mu się przywidziało. Niemniej chciałbym zobaczyć to

pomieszczenie, biskupie. Mógłbyś kazać mnie do niego zaprowadzić?

- Nie mogę ingerować w sprawy wojska. To domena oficerów, tak jak moją jest ołtarz. - Biskup zastanawiał się przez chwilę. - Mogę jednak posłać po ministranta i powiedzieć mu, by przyprowadził tu Helkona, chłopca, który odkrył

tajny pokój. Ktoś twojej postury jeśli założy komżę, może bez wzbudzania podejrzeń tam dojść...

- Będę zatem ministrantem!

Zerkonowi pomagał zamęt wywołany przez zbliżających się Hunów. Mężczyzn przydzielano do pilnowania zbrojowni rankiem, by wezwać ich do wież w południe, a potem do spichlerzy o zmroku, zaś do studni o północy. Sprzedawano, przekazywano lub rozdzielano każdemu broń. Mały ministrant zakryty kapturem, wysłany przez biskupa w poszukiwaniu innego chłopca, nie wzbudzał niczyjej uwagi. Zerkon wypatrzył wąskie przejście i gdy wzrok strażników padł w inną stronę, pomknął do przodu, by dostać się do środka.

Dostrzegł go jednak jeden z nich. - Stój chłopcze. To nie miejsce dla ciebie.

- Biskup posłał mnie, bym znalazł Helkona. Kapitan powiedział, bym go tu poszukał.

- Kapitan straży?

- Spytaj go sam, jeśli musisz, ale Anian będzie się niecierpliwił.

Mężczyzna rzucił mu groźne spojrzenie. - Poczekaj tu, aż wrócę.

Gdy tylko się oddalił, Zerkon nie zwlekał ani chwili. Wbiegł w korytarz zakończony drewnianymi drzwiami z ciężkim zamkiem. Karzeł zabrał ze sobą młotek i dłuto. Jednym uderzeniem poradził sobie z zamkiem. Jeśli go schwytają, tłumaczenie, jak się tu dostał, będzie jego najmniejszym zmartwieniem.

Pokój był ciemny. Zerkon zapalił świecę. Blask ukazał jego oczom stal i skóry.

Było tak, jak opisał to Helkon. Z jednym małym, aczkolwiek istotnym detalem, który chłopiec pominął.

- Rzymskie!

W pokoju była wystarczająca liczba rzymskich zbroi, by wyposażyć w nią oddział jazdy, choć do Galii nie zmierzali Rzymianie, którym brakowałyby uzbrojenia. Żaden z rzymskich żołnierzy nie zameldowałby się przed Sangibanusem, zanim nie zgłosiłby się do Aecjusza. Zbroje przeznaczono dla barbarzyńców. Tylko w jakim celu? Czemu je ukrywano? Otóż dlatego, że każdy, kto je włoży, będzie wyglądał jak Rzymianin, będzie traktowany jak...

Zerkon usłyszał głosy i zdmuchnął świecę, wtapiając się w ciemności. Zrzucił

płaszcz i zdjął z palca klejnot, który dał mu Aecjusz. Liczył na to, że strażnicy będą wahać się wystarczająco długo, by zdążył im przypomnieć o tym, iż Anian wie, gdzie on jest i z jakiego powodu tu przyszedł.

Korytarz rozjaśniło zbliżające się światło, drzwi wypełnili ciskający przekleństwa ludzie. Był pomiędzy nimi strażnik, który go zatrzymał, i drugi, blady i starszy żołnierz, prawdopodobnie wspomniany kapitan. Obaj położyli dłonie na rękojeściach mieczy. Trzeci mężczyzna, niższy i bardziej od nich krępy, nosił zasłaniający twarz kapelusz. Wyszedł zza ich pleców, niosąc pochodnię.

Zerkon, wiedząc, że nie zdoła się wymknąć niepostrzeżenie, wyszedł z ukrycia.

Gdy pokazywał sygnet, dostrzegł rozszerzające się ze zdumienia oczy trzeciego mężczyzny.

Nieznajomy przemówił po huńsku: - Mała, wredna mysz!

Skylla!

- Ten człowiek jest Hunem! - krzyknął do strażników zaskoczony Zerkon.

Kapitan straży potrząsnął głową. - Ostrzegaliśmy cię, byś tu nie wchodził.

Skylla odezwał się do Alanów po łacinie z twardym akcentem. - Znam tego karła. To skrytobójca, porywacz i złodziej.

- Jestem sługą Aecjusza i Aniana! Skrzywdźcie mnie, jeśli nie boicie się ich gniewu!

- Jeśli pozwolicie mi rozmawiać z waszym biskupem - ostrzegł Skylla -

zwiedzie go.

- Z nikim nie będzie rozmawiał. Strażnicy dobyli mieczy.

- Posłuchajcie mnie! To podstęp, by zdradzić wasze miasto... Ostrze miecza przeleciało nad głową karła, chybiając nieznacznie.

Zerkon cisnął młotkiem, mierząc w głowę Skylli, lecz Hun odbił go, kpiąc z jego rzutu. Karzeł upadł i spróbował przemknąć między ich nogami, lecz miecz uderzył o kamienną podłogę. Uskoczył do tyłu i przewrócił ustawione pod ścianą włócznie i tarcze, by opóźnić swoich prześladowców. Zaśmieli się tylko. Cóż za występ!

- Hunowie zrobią z was niewolników! - krzyknął, pozostając w ciemnościach.

Włócznia poszybowała tam, skąd dobiegał jego głos, o mały włos przygwoźdzając go do ziemi. - Wychodź, mała myszko - zawołał Skylla po huńsku. - Kocur przyszedł, by cię zjeść.

W rzeczy samej potrzebował mysiej dziury. Pomieszczenie nie miał o okien ani drugich drzwi.

Ściek? Nie dostrzegł żadnego. Szukał miejsca ciemniejszego niż otaczające go ciemności, buty napastników szurały ciężko po kamiennej podłodze.

Próbowali go otoczyć. Tam, w narożniku przy ścianie i suficie...

Mężczyźni rzucili się na niego, lecz udało mu się uskoczyć. Przeskoczył nad mieczem, chwycił się zbroi strażnika i wsadził mu palce w oczy. Oślepiiony Alan krzyknął z bólu. Zerkon wspiał się po jego głowie jak wiewiórka i skoczył, lądując w wąskiej szczelinie. Palce nerwowo szukały oparcia.

- Łapcie go! Łapcie! Nic nie widzę!

Dłoń ześlizgnęła się po jego kostce. Karzeł kopnął coś twardego i podciągnął

się w górę z całą siłą, jaka mu została.

- Podsadźcie mnie!

Usłyszał czyjeś ramię uderzające o kamienie za jego plecami. - Jak przeklęty królik! Jest za wąskie! Nie ma mowy, bym tam wszedł.

- Co to za otwór? - zapytał Skylla.

- Któż to wie? Pewnie dostarcza tu świeże powietrze.

- Karzeł może wyjść po drugiej stronie?

- Wszystkie otwory i kanały są zakratowane od zewnątrz, by do miasta nie dostały się dzikie zwierzęta. Nigdzie nie ucieknie. Tyle że nam nie uda się go stąd dopaść.

- Może się uda, jeśli podsadzimy tam psa.

- Po co się trudzić? - powiedział Skylla. - Czyż nie umacniacie murów?

Weźcie kilka kamieni i zaprawę. Zamurujemy go i nawet nie będziemy musieli kłopotać się zwłokami.

Skylla czuł, że karzeł będzie go prześladował przez całe życie - jak przekleństwo. Mały człowieczek był świadkiem lub przyczyną każdej tortury, jakiej doświadczył od Jonasza i Ilany. Wiedźmy opowiadały mu historie o krępych i ohydnych gnomach zamieszkujących germańskie lasy, nękających zwykłych ludzi swą magią i sztuczkami. Zerkon musiał być jednym z nich. Murując go w kamiennym grobowcu, wyświadczali światu przysługę.

Wojownik patrzył niecierpliwie na niezdarnych strażników. Jakże nienawidził

zamkniętych pomieszczeń! Żaden Hun ich nie lubił. Był dumny, że to właśnie jemu powierzono tę misję. Widoczny znak zaufania, jakie mimo niepowodzeń pokładał w nim wuj. Wiedział, że sukces da mu wreszcie spóźnione uznanie i Ilanę. Jednak ostatni tydzień w Aurelianum był wprost niemożliwy

do zniesienia.

Miasto żyło w ciągłym ruchu. Zmysły atakowały mu wszechobecny hałas, pstrokate kolory, tłum i nieustanny szcęk metalu. Jakże tęsknił za polami!

Wkrótce Sangibanus zdradzi swoją stolicę i Aurelianum padnie przed Hunami na kolana. Już wkrótce Ludzie Świtu będą panami wszystkiego, a tak zwani mądrzy ludzie, którzy tylko komplikowali sobie życie, przestaną istnieć.

Skylla wiedział, że król Alanów nie śmiał otwarcie poddać miasta. Właśni wodzowie mogli obrócić się przeciwko niemu. Sangibanus nie mógł przekonać ich o słabości Zachodu bez wychodzenia przy tym na tchó rza. Nie mógł też przekonać do zdrady wystarczającej liczby osób, by pokonać pilnujących bram strażników.

Był nie tylko zbyt tchó rzliwy, by walczyć z Attylą, wzdragał się przed zamordowaniem własnych żołnierzy, obawiając się zdrady i wojny domowej.

Dlatego Skylla zaproponował inne rozwiązanie. Z rzymskimi zbrojami i zaufanym alańskim oficerem oddział Hunów mógłby zająć bramy, nie przelewając przy tym zbyt wiele krwi i utrzymując je wystarczająco długo, by reszta ich pobratymców wjechała do miasta. Bitwa skończyłaby się, zanim zdążyłaby się zacząć i nikt -

włączając w to króla Sangibanusa - nie musiał ginąć.

Teraz trzeba było działać szybciej, niż planowali. Jeśli Zerkon znalazł ukryty magazyn, kto jeszcze wiedział o jego istnieniu? Aurelianum musi paść , zanim ktoś zauważy nieobecność króla.

Rozdział XXIV

Bramy Aurelianum

Niewiele jest rzeczy trudniejszych do zniesienia, pomyślał Zerkon, niż przysłuchiwanie się ludziom murującym się żywcem. Próbował śmiać się z tarapatów, w jakie popadł, tak jak śmiał się przez całe swoje życie. Jakże bardzo chciał być normalny, tak jak wszyscy ludzie! Humor był maską, za którą skrywał

gorycz i zdumienie z faktu, iż może mieć tak cudowną żonę jak Julia i tak wspaniałego przyjaciela jak Jonasz. Teraz zapłaci za swą dumę i ambicję!

Zamurowany żywcem w małych katakumbach bez szansy na ratunek. Może powinien się poddać, zanim skończą? W ten sposób mógł przynajmniej liczyć na szybką i bezbolesną śmierć. A może powinien zostać na miejscu i udusić się z braku powietrza? Jak na małego człowieczka, który zawsze polegał na swej zwinności i rozumie, druga śmierć wydawała się szczególnie żalnym końcem.

Życie nauczyło go jednak nigdy nie tracić nadziei. Był dziwołagiem, a doradzał

wodzom i rozprawiał z biskupami. Być może nie nadszedł jeszcze czas, by umierać. Gdy ostatni kamień trafił na przeznaczone mu miejsce, karzeł wspinał się już po stromym nachyleniu, by sprawdzić, dokąd zmierza wąski korytarz.

To, co nastąpiło później, na długo zapadło w jego pamięci. Nie mógł

przypomnieć sobie, czy był zawieszony w ciemnościach przez godziny czy też dni.

Pamiętał jedynie, że parł nieustępliwie do przodu. Szyb wydawał się nie do zdobycia, niczym stroma góra. Wbił się palcami, luzując drobne kamienie i zrzucając je na dół. Wypuścił z płuc całe powietrze i tak odrobinę chudszy precisnął się o kolejne centymetry. Utknął. Coś z ogromną siłą ścisnęło mu piersi, w uszach dudniła krew. Raz jeszcze wypuścił powietrze i przepchnął się do przodu. Wziął oddech, krzywiąc się z bólu. Kolejny wydech... i tak w nieskończoność, raz za razem, póki biodra nie precisnęły się przez przeszkodę.

Położył się, dysząc ciężko. Słyszał jedynie bicie swego serca. Tylko dolatujące skądś powietrze utrzymywało go przy życiu. Ubranie podarło się całkowicie.

Zerkon zatrzymał skrawki, którymi owinał sobie dłonie. Krew ciekąca po całym ciele sprawiała, że ślizgał się po kamieniach. Po raz pierwszy w życiu chciałbym być mniejszy, pomyślał, wijąc się do przodu niczym wąż. Czasem ogarniała go panika, piersi unosiły się w dzikim tempie, lecz uspokajał się i dusił w gardle każdy krzyk, gdy pomyślał o Julii. Przestań się mazgać i wydostań się wreszcie z tej dziury, do której sam wlałeś, strofowała go w jego myślach. Co jest aż tak trudnego w czołganiu się do przodu? Nawet dziecko to potrafi!

I tak też zrobił. Pokonał jeszcze węższą szczelinę. Wdychany nosem odór upewnił go, iż musiał to być rzymski ściek, jakaś klejąca maź skapywała na jego plecy. Dzięki niech będą Bogu! Teraz łatwiej prześlizgiwał się pomiędzy kamieniami. Najgorsze przyszło, gdy zobaczył migoczące światło. Drogę do wyjścia blokowało przejście, które było za wąskie nawet dla niego. Ciasna jak cipa dziewicy! -

przeklął. Tak jakbym spał z wieloma. Czyż miał inny wybór niż ponowne narodziny? Wyciągnął do przodu ręce, jakby nurkował. Ramiona przycisnął do uszu i odepchnął się do przodu nogami. Każde żebro uderzyło o kamień, poczuł przeszywający całe ciało ból. Czuł się tak, jakby obdzierano go ze skóry. Przepchnął brzuch, lecz zablokował się biodrami. Szeroki jak baba! Znalazł

dłońmi oparcie. Podciągnął się, zaciskając szczęki z potwornego bólu. Udało się!

Powietrze było z tej strony chłodniejsze i czystsze, światło jaśniejsze. Doczołgał

się do żelaznej kraty.

Dzięki niech będą wszystkim świętym za rdzę i lenistwo barbarzyńskich najeźdźców! Nie dbano o metal, tak jak nie dbano o mury Au relianum i dlatego Alanowie pracowali teraz tak pośpiesznie przy ich umacnianiu. Resztkami sił

naparł na kratę. Uderzał raz po raz, póki nie ustąpiła, odpadając z brzękiem.

Czekał, nasłuchując krzyków, lecz ich nie usłyszał.

Przeskoczył do szerszego tunelu, wystarczająco dużego, by mógł przemieszczać się do przodu na czworakach i oświetlonego przez zakratowane otwory. Nowy tunel zdawał się być labiryntem i znów poczuł ogarniającą go panikę. Wreszcie usłyszał słodki szczebiot praczek. Przez otwór wylatywała na zewnątrz para, a Zerkon był jedyną osobą na tyle małą, by się przez niego przecisnąć. Wylądował

na stercie śnieżnobiałych ubrań - demon unurzany w jasnej krwi niewiniątek.

Jedna z pracujących dziewcząt uciekła z krzykiem, druga zemdląła. Później opowiadać będą historie o końcu czasów, o zastępach piekielnych i demonach buszujących w pralni. Zerkon nakrył się prześcieradłem i wyszedł z pomieszczenia.

- Chyba wiem już, co knują - powiedział do siebie.

Po czym osunął się na ziemię nieprzytomny.

Nic dziwnego, że Rzymianie walczyli tak nieudolnie i ruszali się tak wolno.

Skylla czuł się zamknięty w rzymskiej zbroi jak w klatce. Widok zasłaniał mu rozgrzany słońcem hełm, a tors ugiął się pod ciężarem żelastwa. Owalna tarcza była równie poręczna jak drzwi stodoły, miecz prosty, jak ich przeklęte drogi, ciężkie ubranie mokre od potu. Gdy dotrze do bram, zrzuci z siebie to bezsensowne przebranie i chwyci za łuk. Gdy tylko je zajmą, oddział Edekona liczący pięć tysięcy wojowników przejedzie przez nie i da wymówkę tchórzliwemu Sangibanusowi. Teraz czekali cierpliwie ukryci w lesie, podczas gdy przebrana w rzymski rynsztunek setka żołnierzy Skylli zmierzała w kierunku murów miasta.

Jak zawsze młody Hun przyglądał się im wzrokiem wojskowego. Przed murze i wieże umocniono świeżymi kamieniami. Świeciły jaśniej niż pozostałe, zniszczone pogodą. Kilka pochodni oświetlało bramę. Hunowie widzieli głowy alańskich strażników przyglądających się z ciekawością

nadjeżdżającemu oddziałowi.

Alański kapitan, suto opłacony, by utrzymał w tajemnicy spisek, opuścił miasto wraz ze Skyllą i teraz wracał z Hunami. Judaszowe złoto brzęczało mu w sakwie, gdy zbliżali się do głównej wieży. - Otwórzcie bramy przyjaciółom!

- Nie mieliśmy żadnych wieści o zmierzających do Aurelianum rzymskich oddziałach - odpowiedział ostrożny strażnik.

- A wieści o Hunach? Są już blisko. Przecież przyda się każda pomoc.

- Z jakiego jesteście legionu?

- Czwartego Zwycięskiego, ślepcze! Czy wyglądamy jak handlarze soli z Noricum? Otwierajcie bramy! Potrzebujemy jedzenia i snu!

Bramy uchyliły się, skrzypiąc. Uda się!

Nagle zatrzymały się w połowie. Przez szczelinę mogli dostrzec leżące za nimi miasto. Z góry usłyszeli głos: - Wyślijcie wpierw przodem swego oficera. Niech podejdzie sam.

- Teraz! - krzyknął Skylla.

Rzucili się do ataku. Strażnicy poczęli zamykać bramy, lecz huńskie konie uderzyły o nie, odrzucając ich do tyłu i otwierając je na oścież. Na drugim końcu zwieńczonego łukiem tunelu biegnącego pod murami dostrzegli dziedziniec.

Hunowie kopnęli boki wierzchowców.

Nagle, tuż przed nimi, potoczył się duży drewniany wóz, blokując im drogę.

Pochodnia rzucona na nasączone oliwą siano eksplodowała w kuli ognia. Kuce stanęły dęba, rżąc przeraźliwie. Wojownicy klęli, chwytając za dziwną rzymską broń. Lecz nim zdążyli jej dobyć, przez płomień przeleciał tuzin strzał - niektóre zajęły się ogniem - trafiając celu. Ludzie i konie padli na ziemię. Złote monety zdradzieckiego kapitana, wypadając z sakiewki, potoczyły się po kamieniach.

Ludzie zza wozu krzyczeli, bijąc na alarm. - To nie Rzymianie! To Hunowie!

Zdrada! Zdrada! - Skylla usłyszał uderzenia dzwonu.

Księża puścili się biegiem, omijając płonący wóz i zaatakowali jeźdźców długimi włóczniami. Wsparli je o kamienie, tworząc rząd niemożliwej do sforsowania stali. Zabrzmiały rogi. W świetle płomieni Skylla widział żołnierzy wybiegających z pobliskich budynków i śpieszących w stronę murów. Kosze pełne kamieni poczęły spadać na głowy stłoczonych Hunów. Za nimi zaś poleciała zapalająca skórę rozgrzana oliwa. Podstęp stał się pułapką.

Koń Skylli zataczał nerwowe kółka przed ostrzami włóczni. Czyżby Sangibanus ich oszukał? Nie.

Niemożliwe. A któż to celował teraz w niego ze schodów?

Skylla zaklął i sięgnął po łuk, poznając machającego procą karła. To nie mogła być prawda!

Kamień przeleciał nad uchem Huna, gdy naciągał cięciwę. Tatos złapał go za ramię. - Nie ma na to czasu! - Żelazna krata opuszczała się z chrzęstem ku ziemi.

Alanowie zamierzali odciąć Hunom drogę ucieczki.

- Zadmijcie w róg! Dajcie znak Edekonowi!

- Za późno! - Tatos zeskoczył z konia, chwytając Skyllę i ratując mu tym samym życie, gdy kolejny grad pocisków włożył trupem tuzin ludzi i wierzchowców. Kuc Skylli zarżał i upadł. Brama stała się miejscem kaźni pełnym wierzgających kopyt, połamanych nóg i porzuconych rzymskich mieczy. Hunowie puścili się biegiem w stronę opuszczającej się kraty, upadli na ziemię i przetoczyli się poza mury. Krata uderzyła o kamienie. Za nią księża, którzy powstrzymali ich atak, dobijali teraz rannych toporami i kosami. Zapomnieli bądź nakazano im zapomnieć o klasztornych regułach.

Skylla stał pośrodku wrzącego morza chaosu. Huńscy wojownicy płonęli żywcem. Jednego z nich kamień trafił w głowę i ta eksplodowała jak dojrzały owoc, obryzgując wszystkich krwią. Setki Alanów biegło, by obsadzić mury.

Młody Hun usłyszał tętent kopyt. To Edekon szarżował, słysząc dźwięk rogu.

Skylla odwrócił się i pobiegł, by powstrzymać wuja.

Dębowa brama zatrzęsnęła się z hukiem.

Wszystko przez tego przekłętego karła! I jego diabelskie sztuczki!

- Wycofać się! Wycofać! Odwrót! - wrzeszczał jak oszalały, lecz gdy jego żołnierze próbowali zejść z drogi, wpadł na nich potężny oddział krzyczących Hunów, unosząc ze sobą jak fala i ciskając nimi o mury. Po całym mieście rozchodziły się teraz dźwięki rogu nawołujące do obrony. Szansa, by Sangibanus poddał się bez walki, rozplynęła się jak mgła. Zamiast łatwego zwycięstwa Hunowie szarżowali teraz jazdą na wznoszący się na pięćdziesiąt stóp mur.

Przez chwilę panował całkowity chaos, nim do świadomości Edekona i jego wojowników dotarło, iż nie udało się zdobyć bramy. Poczęli się wycofywać w nieładzie. Dziesiątki ich leżało już martwych lub rannych na ziemi, zapalone pociski wystrzeliwane z balist ścigały ich jeszcze przez następne czterysta kroków.

Fortel zakończył się katastrofalną porażką.

- Ci księża na nas czekali! - krzyczał Skylla.

- Tyle można polegać na obietnicach Sangibanusa - odrzekł Edekon.

- To robota Zerkona. Wrócił z martwych, by ich ostrzec!

- Zerkona? Podobno żywcem pogrzebałeś tego przeklętego karła.

- Widać przenika przez ściany jak duch!

Edekon splunął. - Jest tylko sprytnym, malutkim człowieczkiem. Pewnego dnia, bratanku, nauczysz się, iż należy samemu dopilnować śmierci swych wrogów. Poczynając od ohydneho karła, na złodziejskim Rzymianinie skończywszy.

Zbliżałem się do Aurelianum, nad którym wisiała pomarańczowej barwy luna rozświetlająca jego mury na tle nocnych chmur. Było dobrze po północy, gdy dotarłem do wzgórza, z którego widziałem płynącą w dole Loarę. Zobaczyłem oblężone miasto leżące na północnym brzegu rzeki. Otaczały je tysiące ognisk.

Domy i budynki wewnątrz murów płonęły, wzbijając w niebo kłęby dymu.

Katapulty wystrzeliwały pociski z obu stron. Z tej odległości wszystko wyglądało pięknie i cicho, niczym gwiazdy na letnim niebie, lecz dobrze wiedziałem, jak desperacka musi być sytuacja mieszkańców. Nadzieja, jaką im wiozłem, mogła być decydująca dla dalszego oporu miasta.

Jeśli Aurelianum się utrzyma, Teodoryk i Aecjusz przyjdą mu z odsieczą.

Przebrałem się w huński strój, zabijając wcześniej jednego marudera grabiącego opustoszałe gospodarstwo. Dym palonego domostwa i krzyki zwróciły moją uwagę; z ukrycia przyglądałem się wojownikowi opitemu rzymskim winem i dźwigającemu na plecach ciężki łup. Zataczał się chwiejnym krokiem od jednego budynku do drugiego, szukając pożądanym wzrokiem innych wartościowych rzeczy. Ciało rodziny, którą zamordował, leżały na gołej ziemi. Ich ubrania tliły się jeszcze zajęte płomieniami, które zmusiły ich do opuszczenia schronienia.

Wziąłem do ręki łuk i trafiłem Huna z pięćdziesięciu kroków. Chrząknął, nie wiedząc, co go trafiło, i upadł ciężko na ziemię. Zabrałem jego ubrania i kudłatego kuca, po czym ruszyłem do Aurelianum, wiedząc, że zaschnięta krew nie zwróci niczyjej uwagi.

Teraz, pod osłoną ciemności, zjechałem do huńskiego obozu. W

przeciwieństwie do Rzymian, Hunowie nie planowali oblężenia, nie wznosili żadnych umocnień, jakby wyzywając obrońców do wyjścia poza mury, do bezpośredniego starcia. Ich linie były za bardzo rozciągnięte na południe od rzeki, gdzie Loara nie pozwalała na szturm, lecz uniemożliwiała również ucieczkę.

Hunowie tłoczyli się tu przy ogniskach, przyglądając się murom stojącym po drugiej stronie rzeki.

- Szukam Rugów - powiedziałem po huńsku, wiedząc, że moje rysy i akcent zdradzą, iż nie jestem Hunem. - Zabawiałem się zbyt długo z jedną dziewczką i zgubiłem swój oddział. Jechałem przez dwa dni, by mój miecz dorównał w końcu memu przyrodzeniu.

Za takie słowa doczekałbym się w rzymskiej armii bata, lecz pośród barbarzyńców wzbudziły tylko śmiech. Rozstąpili się, robiąc mi miejsce przy ognisku, częstując kumysem. Piekł gardło, a oni śmieli się z mojego wykrzywionego obrzydzeniem wyrazu twarzy. Wyszczrzyłem zęby w głupawym uśmiechu i otarłem usta dłonią. - Jak długo będziemy musieli jeszcze czekać przy tej śmierdzącej i zabitej deskami dziurze?

Hunowie nie lubili takiego rodzaju walki. Jazda wyprzedziła znacznie inżynierów i dlatego oblegające miasto wojska dysponowały małą liczbą machin oblężniczych. Ponadto Hunowie woleli walkę na otwartej przestrzeni, a tchórzliwi Alanowie nie śpieszyli się wcale z opuszczeniem murów. Gdy łucznicy zabawiali się, strzelając w chronione hełmami głowy obrońców, zużywali przy tym tak wiele strzał, iż Edekon musiał im tego zabronić. Wojownicy umierali z nudów.

Niektórzy oddalali się samowolnie w poszukiwaniu łupów, jak ten, którego zabiłem.

- Myślałem, że Hunowie zdobywają miasta podstępem.

Powiedzieli, że plan zajęcia miasta wykrył i udaremnił jakiś karzeł z piekła rodem. Teraz Alanie krzatali się na murach niczym pracowite mrówki. Wielu Hunów zginęło, próbując zdobyć miasto, którego moi rozmówcy nie pragnęli już zajmować.

- Powinniśmy wrócić do domu - powiedział jeden z nich.

- Przecież Galia to urodzajna kraina. Ma żyzne i bogate pola. Czemu chcecie wracać? - zapytałem.

- Za dużo tu drzew, za dużo ludzi i za dużo deszczu.

Zostawiłem ich, mówiąc, iż muszę oddać mocz i ruszyłem w kierunku rzeki.

Nad wodą poszybował w stronę murów zapalony pocisk, zostawiając za sobą różowy ślad. Loara była w tym miejscu szeroka i upstrzona mieliznami, na których mogłem robić sobie przerwy w jej przepływaniu. Zanurzyłem się w lodowatej wodzie i zacząłem płynąć na plecach, zrzucając z siebie śmierdzące ubranie. Głowa wystawała mi ponad powierzchnię. Bałem się, że z obu stron posypią się w moim kierunku strzały. Zatrzymałem się na małej wysepce, by złapać oddech, przyjrzałem się murom i podpłynąłem kraulem do kamiennego nadbrzeża. Na pobliskich płyciznach osadzono wraki łodzi, spalonych i zatopionych, by Hunowie nie mogli tą drogą dostać się do miasta. Chwyciłem mocno żelazne pierścienie służące do przywiązywania cumy, by podciągnąć się do góry. Czy był tu ktoś, kogo mogłem zawołać?

Jakby w odpowiedzi na moje pytanie kątem oka dostrzegłem ruch i pocisk uderzył w kamień tuż przy moim policzku. Natychmiast wskoczyłem z powrotem do wody, przytrzymując wciąż pierścień. Kusza! - Nie strzelajcie! Przynoszę wieści od Aecjusza! - zawołałem po łacinie.

Kolejny bełt odbił się od kamieni.

- Przestańcie! Od Aecjusza! - przynajmniej imię powinno być im znajome.

Czekałem, póki ktoś nie odezwał się z góry po łacinie. - Kim jesteś?

- Jonasz Alabanda, sługa Aecjusza! Przedarłem się przez huńskie oblężenie z wiadomością dla króla Sangibanusa i biskupa Aniana! Zrzućcie mi linę!

- Czy mnie słuch nie myli? Chcesz się dostać do środka? Gdy każdy z nas marzy, by się stąd wydostać!

Wspiąłem się na nadbrzeże, z murów spuszczone linę. Przeczółgałem się i chwyciłem ją mocno.

- Wciągajcie żwawo! Hunowie siedzą przy ogniskach znudzeni brakiem zajęcia.

Szarpnęli tak mocno, że omal nie wyrwali mi liny z rąk. Odbijałem się od kamiennych murów, próbując nie myśleć, co by się stało, gdybym spadł z tej wysokości. Nagle usłyszałem za plecami gorączkowe nawoływania. - Szybciej! -

Silne ramiona wychyliły się, by mnie złapać. Usłyszałem świst i tuż obok mojego ramienia strzała z brzękiem uderzyła o kamień. - Ciągnijcie do diabła! - Kolejny pocisk przeleciał mi nad głową, trzeci drasnął kostkę. Przeciągnęli mnie przez blanki i wylądowałem po drugiej, bezpiecznej stronie muru - przemoczony, zziębnięty i z trudem chwyający oddech.

Czyjaś szkaradna twarz przyglądała mi się z bliska. - Tak bardzo się za mną stęskniłeś, że przeszedłeś przez piekło, by się ze mną zobaczyć? - Zerkon stał nade mną pochylony, prawie cały w bandażach i strasznie z siebie zadowolony.

Wstałem i popatrzyłem na światła ognisk otaczających miasto. - Przybyłem, by obiecać wam wybawienie.

O świcie obrońcy Aurelianum zgromadzili się w głównym kościele -

przebudowanej świątyni Wenus - by wysłuchać słów biskupa Aniana.

Pośród nich stał król Sangibanus, lecz trzymał się na uboczu. Zarzekał się, iż nic nie wiedział o spisku, który niemal nie doprowadził do zdobycia bram miasta, lecz jego protesty i zapewnienia o niewinności były zbyt głośne i wypowiedziane za szybko, zaś plotki zbierane przez księży zbyt rzeczowe, by całkowicie oczyścić go z winy. Czyżby ich władca był tchórzem? A może realistą próbującym uratować ich wszystkich? Teraz nie miał o to już znaczenia. Za późno na układy.

Jedyna szansa miasta leżała w oporze. Rzymski posłaniec przedostał się podobno wczorajszej nocy do miasta, przynosząc wieści dla biskupa i króla. Anian wezwał

ich, by mogli je usłyszeć. Zebrani wiedzieli, że nie zostało dużo czasu. Hunowie od świtu przygotowywali się do szturm - po całym mieście niesło się rytmiczne dudnienie huńskich bębnow.

Alanowie słuchali swego biskupa nie tylko z powodu jego pobożności, dawał

im zawsze dobry przykład. Czyż nie zorganizował z pomocą króla obrony bram?

Czyż nie chodził po murach, gdy rozpoczęło się oblężenie, nosząc świętą relikwię -

fragment prawdziwego Krzyża, na którym skonał Pan nasz? Czyż nie zagrzewał

ludzi do walki i nieustępliwości? Czyż nie mogły go trafić huńskie strzały i zawsze chybiały jego siwej głowy? Już teraz ludzie szeptali między sobą o jego świętości, o dokonanych cudach. Hunowie nie przestawali bić w bębny, gdy w końcu przemówił:

- Nie możemy zawieść.

Słowa zawisły w powietrzu niczym dym z zapalonego kadzidła. Żołnierze poruszyli się niespokojnie. Mieszanina wschodnich jeźdźców, gburowatych Germanów, śmiałych Celtów, wyniosłych Rzymian - oto nowi mieszkańcy Galii.

- Nie możecie zawieść - powtórzył biskup - gdyż na szali leży więcej niżli życie waszych najbliższych. Więcej niż moja diecezja, niż ród waszego króla i niż własna duma. Nie możecie zawieść, gdyż Kościół jest częścią nowej prawdy, a ta prawda jest częścią wielkiego i sędziwego cesarstwa. Jesteśmy spadkobiercami tradycji, która ma tysiąc dwieście lat, jedynej nadziei na jedność ludzkości. Nie możecie zawieść, gdyż jeśli zawiedziecie, jeśli Hunowie sforsują te oto mury, zrzucą z tronu waszego władcę i zajmą serce Galii, którym jest Aurelianum, wówczas to cesarstwo, ta tradycja i ten Kościół przestaną istnieć na zawsze.

Wszyscy zamilkli, słuchając z uwagą słów biskupa. Wzrok Aniana krążył po całym kościele.

- Życie od swego zarania jest walką światła z ciemnościami, dobra ze złem, cywilizacji z barbarzyństwem, porządku i prawa z tyranią i niewolą. Dziś ta walka dotarła pod mury naszego miasta.

Żołnierze wyprostowali się mimowolnie, zaciskając szczęki i pięści.

- Nie możecie zawieść, gdyż święty Kościół będzie was wspierał i powiem wam tego ranka, że Bóg stoi po stronie naszych zastępów i że niebiosa czekają na każdego, kto padnie dziś w boju.

- Amen! - zakrzyknęli, kładąc dłonie na rękojeściach mieczy, maczug i toporów.

Anian uśmiechnął się na ten widok. Jego wzrok zatrzymywał się po kolei na każdej twarzy. Przemawiał łagodnym tonem: - Nie możecie zawieść, dzielni wojownicy, bo przybył do nas zeszłej nocy posłaniec z ważnymi wieściami.

Teodoryk i Wizygoci dołączyli do Aecjusza i gdy mówię te słowa, jadą z nim na odsiecz Aurelianum. Są ledwie kilka dni, może godzin, stąd. Dlatego słyszycie wciąż bębny. Hunowie boją się i szykują szturm, by zająć miasto, zanim przybędą posiłki. Będą się bić zawzięcie, lecz nie uda im się, gdyż nie możecie pozwolić, by się udało. Musicie jedynie walczyć, przez krótką chwilę nie dać się pokonać, a ratunek będzie na wyciągnięcie dłoni.

Żołnierze poczęli szeptać między sobą poruszeni tym, co usłyszeli. W jednej chwili sytuacja uległa całkowitej zmianie. Bez Teodoryka jakikolwiek opór byłby jedynie odwlekaniem nieuchronnego końca. Z nim u boku mieli szansę pokonać Attylę i jego krwiożerczą horde.

- Możecie zawieść? - zapytał cicho Anian.

- Nie! - odkrzyknęli chórem.

Dzwony i trąby zabrzmiały na alarm. Zza muró w dobiegał dźwięk barbarzyńskich rogów. Rozpoczął się szturm.

Huńska jazda wyprzedziła znacznie najemnych inżynierów i nie mogła przygotować należytego oblężenia. Mieli tylko strzały, drabiny i nadmiar odwagi.

Zaatakowali Aurelianum ze wszystkich stron, nie licząc rzeki, chcąc rozciągnąć i tak już szczupłe linie obrońców. Gdy skala ataku stała się widoczna, prawie każdy mieszkaniec miasta - od nieuzbrojonej kobiety po dziesięcioletnie dzieci -

musiał dołączyć do mężczyzn na przedmurzu i pomóc im ciskać w dół kamienie, dachówki i brukowe kostki. W powietrzu zaroilo się nagle od strzał, jak od owadów. Biegający wszędzie księża i zakonnice zbierali zużyte pociski w kosze i zanosili je łucznikom. Czasem któryś z nich ginął trafiony zbłąkaną strzałą. Wtedy kolejny ksiądz podnosił jego kosz i kontynuował mozolną pracę.

Barbarzyńcy tłoczyli się pod murami miasta, setki padały od salw obrońców, lecz na ich miejscu zaraz pojawiały się kolejne tysiące. Lano na ich głowy rozgrzaną oliwę i wrzątek. Spadające kamienie łamały kończyny i gruchotały hełmy. Obrońcy zdawali się nie mieć żadnych szans, gdyż Hunów było po prostu zbyt wielu. Już oparli o mury drabiny i teraz pospiesznie się po nich wspinali, zaś ich łucznicy nie oszczędzali strzał, śląc salwę za salwą, by Alanowie nie mogli bezkarnie wystawiać głów zza murów. Obrońcy schylali się i ciskali kamienie na ślepo, czekając na przerwę w ostrzale, która niechybnie oznaczać będzie, iż pierwszy Hun dotarł właśnie do szczytu muru. W niebo wzbiał się nagle ogłuszający krzyk tysięcy gardeł. Alanowie dobyli broni, by zetrzeć się z najeźdźcami w bezpośrednim starciu. Tu odpychano drabinę, zrzucając wspinających się po niej barbarzyńców, tam Hunom udawało się wdrapać na mur.

Zaciętość walczących i ogrom bitwy sprawiły, że potyczka w strażnicy w Noricum wydała się Jonaszowi dziecinną igraszką. Tu walka toczyła się w zupełnie innej skali - ludzie rzucali się na siebie jak dzikie zwierzęta, wiedząc, iż nawet najmniejsza chwila nieuwagi może kosztować ich życie. Niektórzy mocujący się ze sobą zapaśnicy spadali z murów. Jeśli jakimś cudem obrońca przeżył taki upadek, czekający na dole Hunowie rozrywali go na sztuki i unosili w górę kończyny jak krwawe trofea.

Poprosiłem o zbroję, bym mógł dołączyć do walczących. Czułem się pewniej, byłem bardziej doświadczony w ponurym rzemiośle. Podnosiłem się, gdy przeleciały strzały, tnąc mieczem i uderzając tarczą, znikając z pola rażenia, gdy nadlatywała kolejna fala pocisków, po czym ponownie stawałem na nogi. Jeden błąd, pomyłka w rytmie i byłbym martwy. Nie byłem odważny, bo nie może być mowy o odwadze, gdy człowiek nie ma czasu, by się bać. Porażka oznaczała śmierć, więc robiłem to, co reszta, to, co musieliśmy zrobić. Walczyliśmy.

Szybko mury zasłaly się ciałami obrońców i napastników, niektórzy jęczeli z bólu, inni leżeli nieruchomo przebici strzałami. Pośród nich widziałem kobiety i dzieci, lecz widok ten nie odstraszał

kolejnych mieszkańców spieszących po schodach, by pomóc, by ściągać z murów zabitych, by przynieść kosze pełne kamieni i strzał oraz garnce rozgrzanej oliwy i innego tłuszczu. W dole pod nami wielu wojowników Attyli wiło się w agonii od straszliwych poparzeń lub próbowało się odczołgać w bezpieczne miejsce, wlokąc za sobą połamane nogi.

Niektóre kamienie trafiały w drabiny, łamiąc je na dwoje.

Po wschodniej stronie miasta, gdzie stałem, skupiło się główne uderzenie Hunów. obrońcy wybudowali tam *tolleno* - wielki obracający się żuraw zakończony hakiem, którym kierowano za pomocą zawieszzonego na drugim końcu ciężaru. Spadał z murów jak drapieżny ptak szukający ofiary. Hak chwycił

napastnika i wyrzucił go, kopiającego bezradnie w powietrzu, w górę, nim nie ześlizgiwał się z niego, brocząc krwią i wnętrznościami. Machina nie zabijała wielu, lecz potężny furkot, jaki robiła, gdy nurkowała, sprawiał, że Hunowie pierzchali w popłochu.

Nie wiedzieliśmy wtedy jeszcze, że Hunowie, walcząc tak zaciekle, chcieli jedynie odwrócić naszą uwagę. Główny atak skierowany był na bramy Aurelianum. Napastnicy pchali teraz w ich kierunku ogromny taran. Czego nie udało się im osiągnąć podstępem, to zamierzali zdobyć brutalną siłą. Machina toczyła się powoli do przodu otoczona chmurą wzniesionych do góry tarcz osłaniających ją niczym pofałdowany dach. Huńscy łucznicy nie dawali obrońcom możliwości przebicia się przez tę osłonę, zasypując ich gradem strzał.

Taran mógł przynieść kres całemu miastu. Alarmujące okrzyki ściągnęły na mury biskupa. Anian uniósł w górę duży krzyż i machał nim jak sztandarem, by przywołać w pobliże bram więcej żołnierzy. Ale jak mieliśmy powstrzymać Hunów?

Nagle pośród nas pojawił się Zerkon. Nie miałem zielonego pojęcia, gdzie był

do Jej pory, lecz podobnie jak w strażnicy, także i tu zdawał się mieć umysł

zaprzątnięty walką. Wciąż pochylony, pracowicie mocował do grubej liny żelazny hak. - Cóż tu robisz, mały przyjacielu? - wysapałem, gdy walka osłabła na moment. - Bądź ostrożny. Tak łatwo na ciebie nadepnąć.

Karzeł uśmiechnął się pod nosem, nie przerywając c pracy. - Trudniej za to trafić. Powinieneś mi zazdrościć, Jonaszu. Nie muszę się schylać.

- Nie próbuj bawić się w bohatera, gdy dookoła tną na oślepie miecze.

- Bohater! Dobre sobie. Przemykam tylko między ich nogami. Podejdz tu.

Niech inni zajmą się Hunami, ty mi pomożesz z moją zabawką.

- Mam mózg równie duży i równie sprawny jak inni ludzie, lecz potrzebuję szerokich pleców, jak twoje na przykład, by wprowadzić mój plan w życie.

- A cóż to takiego jest?

- Broń przeciwko taranom. *Tolleno* podsunęło mi pewien pomysł.

Taran pokonał ostatnie metry, przetaczając się po połamanych ciałach i z potężnym hukem uderzył w dębową bramę. Zatrząsł się cały mur. obrońcy zrzucili lawinę kamieni, które spadły na głowy pchających maszynę Hunów.

Rannych i zamoczonych szybko odciągano na bok i po chwili kolejne dłonie chwyciły za drewniane uchwyty. Taran uderzył w bramy po raz drugi - w drewnie pojawiły się pęknięcia. Kończyły się nam kamienie, a wychylający się obrońcy raz po raz padali od strzał napastników.

- Za chwilę odciągną go, by uderzyć ponownie - powiedział Zerkon. - Gdy to zrobią, bądź gotów. Anianie! Potrzebujemy silnych pleców do pomocy!

Biskup w lot pojął, co obmyślił karzeł. Zwołał ludzi i ustawił ich w szeregu wzdłuż liny. Głos mu się nie łamał i teraz rozbrzmiewał donośnie.

Wreszcie i do mnie dotarło, co zamierza Zerkon. - Podziurawią nas jak sito.

- Nie, jeśli przeszkodzą im w tym nasi łucznicy. Ustaw ich i każ czekać w pogotowiu.

Karzeł popędził po murach, trzymając w dłoniach ciężki hak, lina rozciągała się powoli. Liczył przy tym kroki. Wreszcie dotarł do miejsca oddalonego od bram na odległość równą wysokości murów i stanął nieruchomo. Na jego znak naciągnąłem linę. Pozostali schylili się za moimi plecami, chwytając w dłonie sznur. Zerkon wyglądał ostrożnie zza blanków, obserwując atakujących.

Usłyszeliśmy zachrypnięty krzyk - taran gotów był do kolejnego, być może ostatniego, uderzenia.

- Gotowi? - krzyknął Zerkon.

Kiwnąłem twierdząco głową, zastanawiając się cały czas, czy się uda.

- Bóg z nami - powiedział, żegnając się Anian.

Hunowie ryknęli, słysząc rozkaz do ataku. Nasi łucznicy wyprostowali się, zasypując huńskich łuczników strzałami. Przez chwilę nie będą mogli ostrzeliwać murów i zamierzaliśmy to wykorzystać. Zerkon stanął na palcach i wypchnął hak za mury. Ja trzymałem naprężoną linę. Hak odbił się od zewnętrznej strony murów, ominął opartą o nie drabinę i opadł łukiem w przewidzianym miejscu.

Gdy taran ruszył do przodu, hak zaczepił się o drewniane bele maszyny. Niczym ryba złapana na haczyk wędki!

- Teraz! - krzyknął karzeł.

Pociągnęliśmy z całych sił linę, odchylając się do tyłu. Lina uniosła się, a wraz z nią przód tarana,

odrzucając go na bok. Hunowie klęli, gdy machina wyslizgiwała się z ich rąk. Przód nie przestawał się unosić, gdyż wciąż ciągnęliśmy do góry napiętą linę. Napastnicy tłoczyli się pod murami, z konsternacją przyglądając się widowisku. Kilku doskoczyło, bezowocnie próbując przeciąć napiętą linę. Tylko jeden odważny i myślący Hun począł wspinać się po drabinie, zdając sobie sprawę z tego, że musieliśmy pozostawić dużą część murów bez obrony. Najwidoczniej zamierzał przeciąć sznur na górze. Rzuciłem się w jego kierunku, by mu zabiec drogę.

Dobiegłem do miejsca, gdzie oparł drabinę, gdy przeskakiwał nad murem.

Natarliśmy na siebie, ostrza mieczy uderzyły z brzękiem. Zadałem cios, który Hun sparował i przepychaliśmy się, sapiąc nerwowo. Złani potem odskoczyliś my od siebie, pochylając głowy. Trzeba przyznać, że nie brakowało mu odwagi.

I wtedy go poznałem, choć twarz skrywał mu rzymski hełm. On też mnie rozpoznał.

- Ty?! - Skylla wydyszał ciężko.

- Zerkon miał nadzieję, że cię zabił - powiedziałem.

- Tak jak mnie się wydawało, że uśmierciłem tego przekłętogo szczura, którego zwiesz swoim przyjacielem. - Przesunął się na bok, szukając niechronionego miejsca do ataku. - Gdzie miecz, który ukradłeś Attyli, Rzymianinie?

- Tam, gdzie jego miejsce. U Aecjusza.

Skylla zaatakował, zamierzając się mieczem. Zablokowałem cios, dłonie drżały mi od wibracji stali. Starliś my się ponownie. I raz jeszcze, po czym znów odskoczyliśmy od siebie, szukając słabych punktów. Zupełnie zapomniałem o oblężeniu.

Hun uśmiechnął się złowieszczo. - Gdy cię wreszcie zabiję, Ilana znów będzie moja. Attyla wozi ją teraz wszędzie ze sobą w drewnianej klatce.

Na chwilę udało mu się odwrócić moją uwagę. - Ona żyje?

Hun rzucił się na mnie, zanim zdążyłem przygotować obronę. Potknąłem się o leżące ciało i upadłem na plecy. Skylla stanął nade mną, zamierzając się mieczem.

Nagle zza moich pleców wyskoczył Zerkon. Dopadł susami do Huna i pchnął go sztyletem, raniąc w nogę. Skylla zawył z bólu i uderzył karła w twarz, odrzucając go na bok. Cofał się, kulejąc. Podniosłem się z trudem i ryzykując, wychyliłem głowę za mury.

Taran wisiał w powietrzu. Jeden koniec uderzał o ziemię, gdy pięćdziesięciu ludzi starało się utrzymać jego ciężar.

Odwrociłem się do Skylli. Zamarł w bezruchu, patrząc, co się wydarzy.

W kierunku napiętej liny poszybowały w końcu huńskie strzały. Pękła, odrzucając dzierzających ją

ludzi do tyłu i opuszczając taran na jeden bok. Uderzył o ziemię z potworną siłą która połamała wszystkie osie. Drewniane koła potoczyły się jak rozrzucone monety.

Wykorzystując okazję, chciałem zepchnąć Skyllę z murów, lecz zauważył mnie i uskoczył w porę. Hunowie zadęli w rogi na odwrót. Został sam. Mając wolne dłonie, Alanowie podbiegli do nas, chcąc pomóc. Ustawili się w półokręgu.

Gestem dłoni powstrzymałem ich atak.

- Stoisz po złej stronie, Skyllo. Nadciąga Aecjusz z wojskiem. Nie giń dla tyrana.

- Chcę Ilanę!

- Więc pomóż nam ją uratować! Pomóż ją odbić!

- Uratuję ją. Gdy cię zabiję.

Nagle, wiedząc, że nie ma już szans, Hun odwrócił się szybko i skoczył z murów.

Sądziłem, że skręci kark. Podbiegłem, by przyrzeć się ciału. Nie chciałem, by wywinął się tak łatwo! Lecz Skylla chwycił fragment pękniętej liny i zwiisał w połowie murów. Upuścił miecz i zeskoczył z wysokości trzydziestu stóp.

Wylądował, tocząc się po trawie, gdy z gór posypały się na niego strzały i włócznie. Huńscy łucznicy odpowiedzieli ogniem, chcąc pomóc mu w ucieczce.

Jednego obrońcę trafili w ramię, drugiego ugodzili w pierś. Skylla podniósł się i pokuśtykał do swoich. Przystanął, by pomóc towarzyszowi nieść jedno z kół

zniszczonego tarana. Wiedziałem, że przymocują je do następnej maszyny. Skylla nigdy nie da za wygraną.

Widziałem, jak odwraca się, patrząc w moim kierunku. Pozostali Hunowie znikali między drzewami. Pokonaliśmy ich?

- Powinniśmy byli go zabić - powiedział Zerkon.

Rozejrzałem się dookoła. Mury przypominały kostnicę. Ciała tak gęsto je zaścieliły, że strumyki krwi spływały do rynien i ścieków niczym deszczówka.

Półowa Aurelianum stała w płomieniach. Każdy obrońca był okopcony, zakrwawiony i wyczerpany.

Nie uda się nam przetrzymać kolejnego szturmu.

Osunęliśmy się ze zmęczenia na kamienie ciekawi, ile czasu zajmie napastnikom przygotowanie kolejnego tarana. Kobiety i starcy pięli się po schodach, roznosząc sakwy pełne wina i wody. Piliśmy łąpczywie, mrużąc oczy od słońca, które zdawało się stać w miejscu. Nagle ktoś krzyknął,

dostrzegając pomiędzy drzewami na południu błysk zbroi, a potem wszyscy usłyszeliśmy rzymskie rogi. Aecjusz!

Rozdział XXV

Armia Zachodu

Hunowie zniknęli. Rozpłynęli się jak topniejący śnieg. Jednego dnia wrogowie dusili Aurelianum w śmiertelnym uścisku, kolejnego zaś oblężenie zdawało się upiornym i nierzeczywistym koszmarem. W polu został y porzucone maszyny oblężnicze i niedokończony taran, wciąż tliły się niezagaszone ogniska.

Barbarzyńcy dosiedli koni i odjechali na północny wschód, jak najdalej od nadciągających z przeciwnego kierunku rzymskich wojsk. Patrzyliśmy na uciekających niedoszłych zdobywców, nie wierząc własnym oczom. Biskup obiecywał ratunek, lecz któż wierzył, że rzeczywiście nadejdzie? Teraz zebrani na murach mieszkańcy Aurelianum widzieli ciągnącego z południowego zachodu Aecjusza prowadzącego, tak jak obiecał, legiony, gocką jazdę, weteranów i młodzież. Gdy patrzyli na maszerujących żołnierzy, oczy wezbrały od im łez.

Zerkon podskakiwał radośnie niczym dziecko, śpiewając przy tym jakąś idiotyczną piosenkę.

Widziałem, jak wodzowie przemaszerowali przez uszkodzoną bramę. Moja misja, by przekonać Wizygotów do wejścia w przymierze z Rzymem, zakończyła się sukcesem. Jednakże całe to zamieszanie było nieistotne wobec słów Skylli.

Ilana żyła! Czemu ją oszczędzono i gdzie teraz była, Hun nie powiedział, lecz sama wiadomość wystarczyła, by rozpalić ciepłym ogniem całą moją istotę, uświadamiając, jak bardzo i skrycie, odkąd zbiegłem z obozu, jej utrata była mi ciężarem. Poczucie winy ustąpiło z mego serca, lecz jego miejsce zajęły zaraz zmartwienie i obawa. Wiedziałem, że zachowuję się samolubnie, lecz gdy w myślach roztrząsałem słowa Skylli, zalała mnie fala wspomnień. Ocaliła Huna w pojedynku, lecz opiekowała się potem mną. Jej pomysłem było podpalenie pałacu i kradzież miecza. Jej głos, jej zachowanie, jej oczy. Z miejsca chciałem rzucić się w pogoń za Skyllą! Mógłbym znów przebrać się za barbarzyńcę i niepostrzeżenie przeniknąć do huńskiej armii, zbierając informacje, szukając...

- Jonasz Alabanda? - zapytał centurion, który przed chwilą wszedł po schodach na mury.

Stałem bez ruchu.

- Generał oczekuje twego raportu.

Narada wojenna ograniczyła się tego wieczoru do podziękowań za odsiecz miasta. Wszyscy zdawali sobie sprawę, iż przed nami o wiele trudniejsze zadanie.

Brakowało kilku alańskich oficerów, którzy byli pośród nas rankiem. Musieli zginąć, broniąc murów. Ich miejsce zajęli wojownicy z sąsiednich barbarzyńskich królestw. Większość nigdy nie zawierała żadnego sojuszu. Aecjusz był uznanym dowódcą, choć niewiele pośród zebranych było osób, które kiedyś nie toczyłyby z nim sporów lub nie walczyły z Rzymem otwarcie. Każde plemię dumnie strzegło swej indywidualności, nawet gdy tak jak teraz zbierali się pod jednym, rzymskim sztandarem. Teodoryk i Wizygoci stanowili najliczniejszy i najpotężniejszy kontyngent. Sangibanus i Alanowie byli unurzanyymi we krwi gospodarzami -

bohaterami Aurelianum. Oprócz nich przybyli też z nad brzegów Renu Frankowie Ripuarscy, Frankowie Saliccy, Belgowie, Burgundowie, z północy Sasi, Litycjanie, Armorykanie i rzymscy weterani zwani *Olibriones*. Różnili się uzbrojeniem, sposobem walki i pochodzeniem. Rzymianie walczyli jak dawniej, stojąc za murem wzniesionych tarcz, przy pomocy machin wojennych, zaś każdy barbarzyńca czuł się pewniej, dzierżąc w dłoni inny oręż. Niektórzy woleli łuk, inni topór, włócznię bądź długi miecz. Najemni łucznicy z Sarmacji dorównywali umiejętnościami Hunom. Widziałem kuszników, lekkozbrojną piechotę uzbrojoną w oszczepy, ciężkozbrojną jazdę, która poległa na zaskoczeniu i masie chronionych zbroją koni, piechotę trzymającą długie piki.

Wszystko zależało teraz od jedności. By móc pokonać Attyłę, musieliśmy działać jak jeden mąż. Właśnie to chciał tej nocy osiągnąć Aecjusz, wykorzystując nasze pierwsze i zarazem spektakularne zwycięstwo.

- Najdalej wysunięte kolumny huńskich wojsk wycofują się w pośpiechu -

powiedział Aecjusz otaczającym go królom i wodzom. - Attyłą utracił kontrolę nad swą potężną armią, która rozproszyła się po całej północnej Galii. Jeśli uderzymy teraz, szybko i razem, możemy go pokonać raz na zawsze.

- Wycofuje się, czy może przegrupowuje wojska? - zapytał ostrożnie Sangibanus. - Nie ryzykujemy pochopnie zaprzepaszczenia tak ciężko wywalzonego dziś zwycięstwa.

- Wojna toczona do połowy jest wojną z góry skazaną na porażkę - odparł

Aecjusz. - Hunowie wykorzystają każde nasze zawahanie. Czyż nie tak, Zerkonie?

Powiedz nam, wszak żyłeś pośród nich.

- Pokonaliśmy ledwie naparstek armii Attyli, nie samego Attyłę - powiedział

karzeł. - Nawet to by się nam nie udało, gdyby ktoś w Aurelianum próbował

zdradzić.

Jego słowa zawisły w powietrzu.

Sangibanus spojrział na niego groźnie. - Alanowie już zrobili więcej, niż powinni, mały człowieczku. Słyszycie zawodzenia? To rodziny poległych znoszą z murów zabitych bliskich. Nie miałem sporów z Attyłą i przestanę się nim interesować, jeśli opuści moje królestwo.

- A gdzie kończy się twoje królestwo? - zapytał Aecjusz.

- Co masz na myśli? Tu, w dolinie, którą dał nam we władanie cesarz Rzymu.

Odpowiedzieliśmy na jego wezwanie, broniąc swojego i jego dobytku. Któż może wiedzieć, co zrobi teraz Attyłą? Może wróci do Hunugurii.

Pozostali zaśmieli się, słysząc te słowa. Sangibanus zarumienił się ze wstydu.

- Mam na myśli to, Sangibanusie - kontynuował Aecjusz - iż tak długo, jak Attylą zagrażać będzie Rzymowi, będzie zagrażał wam wszystkim. Tobie także.

- Słyszałem ten argument tysiące razy. Do diabła z waszym cesarstwem!

Chodzi ci o to, by moi wojownicy ginęli za pomyślność Italii!

- Mylisz się, Sangibanusie. Jeśli nie uda się nam zjednoczyć, będzie to oznaczało koniec tego, po co przybył tu twój lud. Rzym trwał przez - ponad tysiąc lat. Galia była jego częścią od pięciu wieków. - Odwrócił się do zebranych. -

Słuchajcie mnie wszyscy. Wasi przodkowie przybyli nad Ren i Dunaj i odkryli świat pełen bogactw, o których nawet im się nie śniło. Im dalej zapuszczali się w ten świat, tym bardziej chcieli być jego częścią. Cesarz nadał im ziemie pod warunkiem, że przysięgną bronić cywilizacji, która ich zaakceptowała. Teraz musicie spłacić zaciągnięty dług. Jeśli Attyla wygra, świat na zawsze okryją ciemności. Jeśli go pokonamy, wasze królestwa staną się spadkobiercami tysiąca lat postępu. Przed wami prosty wybór. Możecie walczyć jako wolni ludzie dla świata pełnego możliwości. Lub możecie zwlekać wystarczająco długo, by Hunowie pokonali was jednego po drugim, zaś waszych poddanych zakuli w łańcuchy, zgwałcili wasze córki, torturowali wasze żony, spalili wasze domy.

Jesteście tchórzami oddającymi się na łaskę Hunów? Czy ostatnimi i najwspanialszymi z legionistów?

Po sali przebiegł niski pomruk. Większość przyznała, że Aecjusz ma rację.

Padło już wystarczająco dużo miast, po ziemi błąkało się zbyt wielu uchodźców i krążyło zbyt wiele opowieści o huńskim okrucieństwie. Nadszedł czas zemsty.

- Alanowie nie są tchórzami - powiedział nadąsany Sangibanus. Aecjusz podawał w wątpliwość jego odwagę przed wszystkimi obecnymi tu królami.

- W rzeczy samej nie są. Co udowodnili, dzielnie broniąc miasta - odparł

Aecjusz. - Dlatego też twojemu ludowi wyznaczę zaszczytne i należące mu się miejsce w nadchodzącym starciu. Środek naszych linii.

Król zadrzał. W środku z pewnością dojdzie do najcięższych walk. Ze środka nie można było się wycofać ani przejść na drugą stronę. Raz umieszczony w środku Sangibanus mógłby jedynie walczyć o swoje życie.

Aecjusz czekał cierpliwie. Każdy patrzył na alańskiego króla, wiedząc, że Rzymianin przechytrzył go, kwestionując waleczność i odwagę. Sangibanus patrzył pochmurnym wzrokiem na setki wpatrzonych w niego oczu. Przełykając ślinę, dumnie uniósł głowę. - Alanowie nie będą chcieli walczyć nigdzie indziej niż w środku, a ja stanę na czele w pierwszej linii.

Wodzowie i królowie wzniesli okrzyki uznania. Teraz mogli zadecydować, komu przypaść miał honor zajęcia niebezpiecznego, lecz potencjalnie decydującego o zwycięstwie prawego skrzydła - rozmieszczono tam Wizygotów Teodoryka.

Po kolei przydzielano innym królom miejsce w szeregach. Anthus, król Franków chciał poprowadzić atak z lewego skrzydła. Weterani prosili o pozwolenie na wzmocnienie środka. Burgundowie chcieli stanąć naprzeciw Ostrogotów.

- A gdzie ja mam stanąć, wodzu? - powiedział piskliwym głosem Zerkon, rozśmieszając tym samym wszystkich.

- Przy mnie. Będiesz moim doradcą mały wojowniku.

- Pozwól mi jechać na twym ramieniu generale, a razem górować będziemy nad Attylą! Jest równie pokraczny, co brzydki! - Ponownie rozległy się śmiechy.

- Wykorzystam cię w odpowiedniejszy dla ciebie sposób. Znasz Hunów i ich język lepiej niż ktokolwiek z nas. Na swej drodze znajdziemy wielu rannych, weźmiemy wielu jeńców. Chcę wiedzieć, czy rzeczywiście przegrupowują siły, jeśli tak, to będzie musiał to zrobić na nizinach przy Saonie, gdzie bez przeszkód może manewrować jego jazda. Będzie musiał wrócić na pustkowia, które kazał

puścić z dymem. Chcę wiedzieć, na jak długo starczy mu zapasów.

- Zadbamy o to, by zabrakło mu ludzi do wykarmienia - powiedziałem dumnie.

Aecjusz odwrócił się w moją stronę. - Nie, Jonaszu z Konstantynopola. Dla ciebie znów mam specjalne zadanie. Podobno wojna wybuchła po części dlatego, że Genzeryk i Wandalowie zgodzili się wesprzeć Attyłę i zaatakować Rzym. Jak do tej pory nie doszły mnie słuchy o ich ataku, lecz jeśli do niego dojdzie, wszystkie nasze starania mogą pójść na marne. Potrzebujemy pomocy Marcjana.

Dam ci mój pierścień i chcę, byś wrócił do domu okrętem, aby przekonać cesarza Wschodu, by ruszył na tyły Attyli.

- I zmusił Hunów do odwrotu? - zapytałem.

Uśmiechnął się. - Szybko uczysz się strategii, młody człowieku.

Ukloniłem się nisko. - Nie mam jednak dla niej serca, generale.

Aecjusz uniósł zdziwiony brwi.

- Wyświadczasz mi wielki zaszczyt, tak bardzo ufają ci i powierzają coraz ważniejsze zadania. Lecz dotarcie do Konstantynopola, nawet najszybszym okrętem i najszybszym wierzchowcem, zajmie mi tygodnie.

Nawet jeśli udami się przekonać mego cesarza, miną kolejne miesiące, zanim Marcjan zgromadzi

swe armie, by ruszyć do Hunugurii lub by walczyć z Genzerykiem. Wątpię, czy uda mu się to zrobić tego roku. Przed nami zima, panie. Będziemy mieli czas na poselstwa, czas na planowanie wspólnej kampanii przeciwko wrogom Rzymu. Nasza wojna z Attyłą rozstrzygnie się dużo wcześniej.

Błagam, nie karz mi przegapić bitwy, o której śpiewać się będzie przez tysiąc lat.

- Z pewnością przelałeś już wystarczająco dużo krwi, Alabando.

- Wystarczy do końca mego życia. Lecz w przeciwieństwie do niemalże wszystkich tu obecnych widziałem, co uosabia Attyła. Byłem świadkiem jego wyroków. Kazał ukrzyżować niewinnego człowieka bez najmniejszego powodu.

Rozdzielił mnie z ukochaną, upokorzył poselstwo i wysłał w pogoń za mną i Zerkonem wojowników z rozkazami, by nas zabili. Pozwól mi walczyć.

Moje słowa spodobały się zgromadzonym. Osobisty uraz był czymś, co rozumieli.

- Jestem pod wrażeniem twojej odwagi - mówił powoli Aecjusz. - Zbyt dobrze poznałem się na twym sprycie, by wiedzieć, iż są też inne powody twej prośby.

Wzruszyłem ramionami. - Attyła więzi kobietę, którą kocham. Zamierzam go zabić, dostać się do niej po trupach wrogów i błagać o litość za to, że ją zostawiłem, gdy uciekaliśmy.

Teraz w sali rozległy się śmiechy i okrzyki zachęty.

- Walczysz zatem dla miłości, nie z nienawiści? - zapytał Aecjusz.

- Walczę za dobre, proste życie.

Teodoryk nagle się podniósł. - Jak my wszyscy! - zakrzyknął donośnie. - Niech młodzian jedzie z nami. Za swą kobietę. Jak ja za swą córkę! Niech jedzie przy moim boku!

- Za nasze kobiety! - krzyknęli pozostali wodzowie.

Aecjusz uniósł ręce, uciszając hałas. - Nie, Teodoryku. Zatrzymam go przy sobie, z legionistami - powiedział, uśmiechając się szeroko. - Choć walczy dla siebie, coś mówi mi, że Jonasz pojawił się pośród nas, gdyż tak chciał los.

Dowiemy się dopiero, jakież powierzył mu zadanie.

Sto mil na wschód od Aurelianum korowód huńskich wozów zatrzymał się na dwudniowy postój. Ilana nie wiedziała, cóż mogło być tego przyczyną. Słońce stało w te letnie dni wysoko na niebie, pola były rozgrzane jego promieniami, zakryte tumanami wzbijanego przez tysiące kopyt kurzu. Huńskie wojska zalewały katalaunijską równinę. Rzymianie nawet się nie śniło, że świat jest aż tak ogromny, póki nie przyszło jej przemierzać go w zamknięciu jak dzikie zwierzę i teraz zastanawiała się, czy zbliżali się wreszcie do jego krańca. Woźnica powiedział jej, że Augustobona, przez swych obecnych mieszkańców zwana Troyes, leżała na południu, Durocatalauni, przez Franków zwane

Chalons, na północy. A raczej leżały kiedyś - słupy dymu wznosiły się z tych kierunków w niebo.

Woźnica miał na imię Alix. Stracił pół nogi w bitwie z Rzymianami i teraz zarabiał na utrzymanie jako woźnica przewożący zagrabione łupy, żony i niewolników kagana. Trwająca tysiąc mil podróż sprawiła, że barbarzyńca, okazujący początkowo Hanie pogardę, teraz odnosił się do niej życzliwie, litując się nad jej niedolą. Ciało dziewczyny od ciągłego podskakiwania na nierównościach pokrywały siniaki, była brudna, nie myła się bowiem od tygodni, wychudzona, gdyż karmiono ją resztkami, i zeszywniała od ciągłego siedzenia w klatce. Rzadko się odzywała, wpatrując się zazwyczaj tępo w zmieniający się krajobraz - sławny Ren, zalesione góry i w końcu przypominające Hunogurię gołe równiny. Dopiero gdy się zatrzymali na dłużej, zaczęła się zastanawiać. Czyżby Attyla znalazł wreszcie miejsce, w którym chciał osiąść na stałe?

Czy Jonasz i Zerkon uciekli i schronili się właśnie tutaj? A może Hunowie dotarli do brzegów osławionego oceanu?

Zapewne nie, powiedział jej Alix. Gdzieś przed nimi stoczono bitwę i Hunowie cofają się, by połączyć rozrzucone po całej Galii oddziały.

Doprawdy ciekawe wieści.

Iłana myślała, że w nieskończoność zmierzać będzie na zachód zamknięta w klatce. Teraz patrzyła, jak ustawia się wozy, tworząc z nich duży obóz. Oddziały barbarzyńców zaczęły ściągać na równinę. Tempo najazdu zdecydowanie zwolniło.

W końcu do obozu na czele grupy wodzów dotarł Attyla.

Tak jak zazwyczaj pojawienie się władcy spowodowało wybuch radości. Pędził

wzdłuż rozciągniętych linii swych wojsk niczym wiatr, mknąc od skrzydła do skrzydła, odsyłając niekończący się potok zagrabionych skarbów, żywności, dzbanów z winem, zdobytych insygniów, skradzionych relikwii kościelnych, uprowadzonych kobiet i niewolników. Był biczem bożym karzącym świat za jego grzechy! Grał tę rolę jak utalentowany aktor. Śmiał się, patrząc na masakrowane ofiary, płakał nad ciałem poległego wojownika, narzucał oficerom swą wolę w strasliwym szale - oczy wywracały mu się wtedy niemalże na drugą stronę, a z nosa strumieniami ciekła krew. Słyszając o tym, że Aecjusz pośpieszył na odsiecz Aurelianum, przybył na otwarte równiny Galii. Zatem Rzymianinowi udało się zebrać armię, przekonał nawet niechętnych Wizygotów. Wszystko rozstrzygnie się jednego krwawego dnia i gdy zajdzie słońce, będzie królem świata lub martwym truchłem.

Nigdy nie czuł jeszcze tak wielkiego podniecenia.

Nigdy nie miał tak złego przeczucia.

Tej nocy, gdy rozpalone ogniska były niby lustrzane odbicie zawieszonych na niebie gwiazd, wstrzymał się od jedzenia, pił niewiele i niespodziewanie posłał po Iłanę.

- Wmyjcie ją, ubierzcie i sprawcie, by wyglądała na piękną. Potem przyprowadźcie do mnie.

Przyszła do namiotu kagana o pół nocy. Jej włosy błyszcząły jak obmywane przez fale kamienie w świetle księżyca. Ubrano ją w suknię z czerwonego jedwabiu ozdobioną srebrnymi i zł otymi pasami wysadzonymi rubinami. Na szyi zawieszono rubin wielkości koziego oka, sandały zdobione były srebrem. Pod groźbą śmierci, gdyby się sprzeciwiła, wsunięto jej na palce pierścienie zamordowanych matron. Ciężkie kolczyki wisiały dumnie jak trofea, oczy podkreślono sadzą, usta rozjaśniono czerwoną ochrą, skórę wyszorowano owczą wełną, oddech odświeżono liśćmi mięty. Kobieta, która jeszcze kilka godzin wcześniej siedziała skulona w klatce jak zwierzę, teraz stała sztywno, oczarowana pięknymi strojami jak dziecko. Nie mogła zaprotestować i z tego powodu czuła się równie upokorzona jak przedtem.

- Padnij na kolana przed twoim kaganem - rozkazał.

Spuściła w dół oczy, policzki zarumieniły się z gniewu, lecz wysłuchiwała polecenia. Odmową nic by nie zyskała, prócz może kilku świeżych siniaków. Spod zmrużonych powiek szukała choćby najmniejszej broni. Wiedziała, że nie uda jej się zabić Attyli, lecz gdyby spróbowała, mogła zginąć z rąk strażników. Wolała śmierć niż ponowne zamknięcie w klatce. Czy starczyłoby jej odwagi? Czy nie zawahałaby się? W zasięgu wzroku i dłoni nie było jednak niczego, czym mogłaby mu choćby zagrozić.

- Nie ciekawi cię, czemu cię tu sprowadziłem?

Podniosła głowę. - Do swego namiotu czy do Galii?

- Mogłaś zginąć potworną śmiercią na tysiące najróżniejszych sposobów, a ja nie wydałem rozkazu - powiedział Attyla. - Bawi mnie obserwowanie młodego Skylli, który pożąda tego, czego ja nienawidzę. Podobno walczy dzielnie jak lew, by zdobyć moją przychylność i twoją rękę. Dzięki temu przypomina mi, iż muszę wystrzegać się pokus i żą dzy. Są zmienne jak wiatr i dają tyle co on. Dlatego jadam z drewnianych talerzy, śpię na zwierzęcych skórach i gardzę świeżym chlebem, przedkładając nad niego mięso i kości. Pożądać i pragnąć zbyt wiele to ryzykować utratę tego, co się ma.

Jakimś dziwnym sposobem znalazła w sobie odwagę, by powiedzieć: - Tchorze boją się marzyć.

Spojrzał na nią groźnie. - Nie boję się niczego prócz głupoty tych, z którymi przyszło mi mieć do czynienia. Jak ty. Pragniesz tego, czego nie możesz dostać -

przeszłości. Skylla uczyniłby z ciebie księżniczkę. Rzymianin dał ci klatkę.

Odchyliła się do tyłu, prostując ciało. - To twoja klatka, kaganie. Wiem dobrze, że w jednej chwili możesz poderznąć mi gardło. Zatem czemu mnie tu sprowadziłeś?

Rozsiadł się wygodnie w krześle świadom swej władzy. - Alabanda żyje.

- Skąd to wiesz? - powiedziała pełnym napięcia głosem.

- Skylla widział go na murach Aurelianum. Starli się nawet ze sobą, lecz ponownie nie doszło do

rozstrzygnięcia. - Widział jej zmieszanie. Musiała się zastanawiać, czemu mówi jej o tym tak otwarcie. Nie odzywał się przez moment, bawiły go jej dziecinne marzenia, a potem przemó wił: - Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że zabrałem cię do Galii, by oddać Rzymianinowi.

Zadrżała. - Oddać Jonaszowi czy może prehandlować?

- Sprzedać, jeśli wolisz takie określenie. Za miecz.

- Nawet nie wiesz, czy go jeszcze ma.

Attyla wyprostował się nagle i uderzył pięścią w ramię krzesła. - Oczywiście, że ma! Czy istnieje inny powód tego, że Teodoryk przyłączył się do Aecjusza?

Czemu plemiona Galii nie chcą walczyć u mego boku? Czemu nie ma żadnych wieści od Genzeryka? Ponieważ miecz Marsa wlał w serca Rzymian odwagę. Oto powód! Ale on jest mój! Należy mi się! Ja go znalazłem i ja mam do niego prawo!

Ukradł mi go podstępnie. Chcę go z powrotem przed bitwą!

- I wiozłeś mnie całą drogę z Hunugurii tylko w tym celu? - Zdziwiła się, jak odwaga potrafiła pojawiać się i znikać momentalnie, nieproszona. Uśmiechnęła się. - Rzymianie nigdy nie zgodzą się na wymianę. Nawet Jonasz.

Palce Attyli uderzały nerwowo o drewniane krzesło, zapadnięte i zimne oczy przyglądały się jej uważnie. - Zgodzi się, jeśli go o to poprosisz.

Serce zabiło jej mocniej.

- Jak myślisz, czemu wystroiłem cię jak rzymską dziwkę, zmyłem z ciebie brud i świński odór i wymalowałem usta na kolor sromu? Czemu miał bym to robić wiedźmie, która pomogła skraść moją własność i która podłożyła ogień pod mój dom, niemalże mnie zabijając? By przekonać twego kochanka.

- Żałuję, że nie spłonęliśmy wszyscy - powiedziała cicho.

- Nie martw się wiedźmo, spłoniemy, jeśli przegram nadchodzącą bitwę, dlatego że straciłem swój magiczny miecz. Spłoniemy razem, ty i ja, na stosie, który każę wznieść z mych najcenniejszych rzeczy. I gdy dobieję się sztyletem, by przyspieszyć koniec, ciebie trawić będą płomienie.

- Czyżbyś lękał się Rzymian? - zapytała, gdy dotarł do niej sens słów Attyli. -

Ty, król, który twierdzi, że nie lęka się niczego. Zachód się jednoczy, by stawić ci czoła. Dlatego się zatrzymaliśmy. Lękasz się Aecjusza. Lękasz się nawet Jonasza.

Żałujesz, że tu przybyłeś. Wszystko idzie nie po twojej myśli.

Potrząsnął kudłatą głową. - Attyla nie lęka się niczego. Attyla niczego nie potrzebuje. Oszczędzimy

wiele istnień ludzkich - rzymskich i huńskich - jeśli bitwa skończy się szybko i nie będzie zacięta. Jeśli spotkasz się z Jonaszem, a on odda miecz, pozwolę ci z nim odejść.

- A Skylla?

- Jest Hunem. Za rok zapomni o tobie. Będzie mógł wybrać z setek innych kobiet, piękniejszych od ciebie. Będziesz wolna, jeśli pomożesz mi odzyskać to, co skradliście.

Przyglądała mu się, nie wierząc własnym uszom. Potężny władca próbował

dobić targu z najbardziej bezradną kobietą na całym świecie. - Nie. Skoro chcesz miecz, będziesz musiał odebrać go Aecjuszowi własnoręcznie.

Attyła zeskoczył szybko z krzesła i stanął nad nią, rycząc wściekle: - Chcę, by Rzymianin ukradł go Aecjuszowi! Zgodzisz się albo zginesz tu, zaraz, na miejscu!

Zgwałcę cię, obedrę żywcem ze skóry, rzucę żołnierzom lub psom!

Wiedziała, że szalem maskuje słabość, i to jeszcze dodał o jej odwagi. - Możesz ze mną zrobić, co tylko będziesz chciał, lecz to ci nie zwróci miecza - powiedziała cicho. Miała nad nim przewagę, władała jego strachem. Wyglądał jak człowiek dręczony co noc koszmarami. - Przeklęłam cię i zasłużyłeś na to przekleństwo, gdy Edekon zabił zdradziecko mego ojca. Zgwałć mnie, a klątwa wzmocni się w dwójnasób. Zabij mnie, a będę u twego boku, gdy rozpocznie się bitwa, szepcząc ci do ucha zaproszenia do grobu. Skrzywdź mnie, a stracisz swoje imperium.

Patrzył na nią wściekłym wzrokiem. - Jeśli przegram, spłoniesz na moim stosie!

- Umrę szczęśliwa. Wolę śmierć niż życie pod huńskim jarzmem.

Rozdział XXVI

Pierwsza krew

Hunowie oblegający Aurelianum byli ledwie jednym drzewem w ogromnym lesie, do którego dopiero dojeżdżaliśmy. Attyła zbierał swe wojska na Polach Katalaunijskich i tam Aecjusz zamierzał wydać mu bitwę. Po naradzie stu królów i wodzów rozjechało się, by wydać rozkazy setce armii. Część przybyła ze zdziesiątkowanych garnizonów miast i fortów zdobytych przez najeźdźcę. Część z dworów dumnych królów germańskich. Część stanowiły rzymskie legiony, których historia sięgała wieki wstecz, maszerujące na ostatnią i największą ze wszystkich bitew. Część zaś stanowiły oddziały pośpiesznie utworzone z uciekających przed najazdem ludzi chcących odzyskać swój honor i pomścić spalony i zagrabiony dobytek. Hunowie zmusili do ucieczki niemal milion mieszkańców cesarstwa, rzesze zdolnych do walki mężczyzn, których Aecjusz pośpiesznie teraz uzbrajał. Niektórzy byli wiekowymi już weteranami, inni dopiero młodzikami. Wszyscy mogli jednak utrzymać w ręku włócznię lub zadać cios mieczem. W nadchodzącym starciu umiejętności mogą nie być tak istotne jak liczba.

Czułem się tak, jakby porwał mnie prąd rzeki i niośł ku Hanie. Decyzja, by nie udać się w poselstwie do Konstantynopola, zredukowała mój status z dyplomaty do zwykłego żołnierza. Choć wydać się to może dziwne, ta anonimowość dodała mi jedynie sił i pewności siebie. Musiałem słuchać rozkazów, walczyć i czekać na szansę, by odzyskać kobietę, którą opuściłem. Gdy kolumny żołnierzy maszerowały przed siebie rzymską drogą - długi sznur błyszczących w słońcu włóczni - zdało mi się, że jadę obok niezliczonych duchów Rzymian, którzy maszerowali podobnymi drogami w przeszłości. Cezar, Trajan, Scypion, Konstantyn. Legion za legionem przemierzające ziemię, by nieść porządek w świat pełen chaosu. Teraz Rzym stał przed największym zagrożeniem. Na wschodnim niebie, w skwarze późnego czerwca widzieliśmy deszczowe chmury - pioruny sypały się na armię Attyli. Powietrze było wilgotne i ciężkie. Lecz na nasze głowy nie spadła nawet jedna kropla deszczu. Kolumny ludzi i wołów wzbijały w górę tumany kurzu. Codzienne życie zamarło i każdy żołnierz w Europie zmierzał do Galii.

Zerkon jechał u mego boku na małym kucy, mówiąc, że chce zobaczyć zakończenie tego, co zaczęliśmy razem w Hunugurii. Podążaliśmy za Aecjuszem jak dwa wierne kundły. Razem z nami, przywiązany do kija i niesiony niczym insygnia przez starego dekuriona, podążał żelazny miecz Attyli. Aecjusz powiedział swoim oficerom, iż miecz jest najlepszym dowodem na to, że Bóg jest po naszej stronie.

Wjechaliśmy na niewielkie wzniesienie i zatrzymaliśmy się, by się przyjrzeć wojskom Zachodu. Widok tak wielu ludzi maszerujących pod starymi, rzymskimi sztandarami przejmował dumą i nadzieją - rząd za rządem, droga za drogą z prawej i z lewej strony, daleko, jak okiem sięgnąć. Jak żyły na naprężonym ramieniu.

- Widziałem wśród nich dwunastoletnich chłopców i sześćdziesięcioletnich starców - powiedział cicho Zerkon. - Zbroje, które były dziedzictwem po przodkach. Broń, której jeszcze kilka dni temu używano na gospodarstwie. Żony uzbrojone w kuchenne tasaki. Staruszki ze s ztyletami do dobijania rannych. I tysiące pożarów, tam gdzie przeszedł Attyła. To będzie walka o przeżycie. Walka z zemsty, nie starcie królów.

Ten mały i brzydki człowiek był dumny z tego, że odegraliśmy we wszystkim swą niewielką rolę. - Staraj się nie zgubić w bitwie, dzielny wojowniku -

doradziłem mu, żartując.

W jednej chwili opuściła go cała powaga. - To ty masz zamiar przebić się przez całą huńską armię. Ja zostanę na ramieniu Aecjusza, tak jak powiedziałem.

Okolice, przez które przejeżdżaliśmy, były bogate, pełne zielonych pastwisk, gotowych do żniw pól i schludnych niegdyś willi. Pod wieloma względami był to najpiękniejszy krajobraz, jaki w życiu widziałem - bardziej zielony i bogaty w wodę niż rodzinne Bizancjum. Jeś li miałem polec w boju, Galia nie była najgorszym miejscem do złożenia kości. A jeśli dane mi będzie przeżyć...

Tej nocy stałem w grupie przy namiocie Aecjusza, gdy odbierał raporty od każdego oddziału. - Przed nami leży skrzyżowanie dróg zwane przez ludzi Maurica - powiedział swoim oficerom, wskazując punkt na mapie. - Każda armia przemieszczająca się pomiędzy Saoną i Marną musi tędy przejść. Czeka to zarówno nas, jak i Hunów. Tam spotkamy Attyłę.

- Anthus i Frankowie zbliżają się już do tego miejsca - powiedział jeden z generałów. - Aż pali się do tego, by odszukać swego zdradzieckiego brata, tak jak ten młodzian do odzyskania swej kobiety.

- Co oznacza, że Frankowie mogą natknąć się na Attyłę, nim będziemy gotowi do walki. Chcę, by ściągnęli wodze. Jonaszu?

- Tak, wodzu.

- Odszukaj niecierpliwego króla Anthusa. Ostrzeż go, że może wpaść na Hunów. Powiedz mu, by poczekał, aż nadejdziemy ze wsparciem.

- A jeśli nie będzie chciał czekać, wodzu? - zapytałem.

Aecjusz wzruszył ramionami. - Niech pośle Hunów prosto do piekła.

Jechałem całą noc, prawie gubiąc drogę, w strachu, iż ktoś może omyłkowo przeszyć mnie strzałą lub ugodzić mieczem. Dopiero rankiem odnalazłem Anthusa.

Przed wyruszeniem udało mi się zdrzemnąć na chwilę, lecz nie potrzebowałem wcale snu. Byłem podniecony i niespokojny. Błyskawice przecinały niebo, zostawiając w powietrzu metaliczny zapach. Gdy zsiadłem z konia, poczułem, jak ziemia drży od kroków maszerujących żołnierzy.

Król Franków zdjął z głowy hełm, by nie dokuczał mu skwar nadchodzącego południa. Słuchał cierpliwie i nie przerywał mi. Zaśmiał się tylko i powiedział: -

Aecjusz nie musi mi mó wić, gdzie są moi wrogowie! Już spotkałem kilku i moi wojownicy mogą pokazać rany na dowód moich słów! Jeśli uderzymy teraz, gdy linie Hunów są wciąż rozciągnięte, możemy ich zniszczyć.

- Aecjusz chce zebrać wszystkie siły.

- Co da Hunom czas na zrobienie tego samego. Gdzie właściwie jest Aecjusz?

Czy Rzymianie dosiadają osłów? Jest wolniejszy niż wóz zaprzęzony w woły!

- Oszczędza konie przed bitwą.

Anthus nałożył na głowę hełm. - Bitwa zaczęłaby się tu, teraz, gdyby tylko zdążył dotrzeć! Mam przed oczyma tyłek wroga! To nie Hunowie, lecz jakieś inne plugastwo.

- Gepidowie, panie - wyjaśnił jeden z oficerów.

- A tak. Król Ardaryk, robak nie człowiek, czekający jak pies na ochłapy ze stołu Attyli. Jego wojownicy wyglądają, jakby wypełzli spod skały. Zmuszę ich, by pod nią wrócili.

- Aecjusz wolałby, żebyś poczekał - powtórzyłem.

- Aecjusz nie jest Frankiem! To nie jego domy płoną! To nie jego brat przeszedł na stronę Attyli! Nie boimy się nikogo. Nie będziemy czekać na Aecjusza. To nasz kraj i nasza ziemia. Połowa moich żołnierzy już straciła kogoś bliskiego i pała teraz żądzą zemsty.

- Jeśli Attyla zawróci...

- Wtedy ja i Frankowie zabijemy i jego! Co ty na to Rzymianinie? Będiesz czekał do następnego dnia, a potem do kolejnego i tak w nieskończone, licząc na to, że wróg się rozmyśli i wycofa? A może stawisz mu czoł o już dzisiaj, tego popołudnia, gdy słońce ogrzewać będzie nasze plecy, a wysoka, zielona trawa muskać będzie podbrzusza naszych koni? Słyszałem, jak się chwaliłeś, że rzucisz się sam przez morze Hunów, by odszukać swą kobietę! Teraz masz okazję!

- Aecjusz wiedział, że mnie nie posłuchasz.

- Zatem wysłał cię do mnie, byś walczył! - Uśmiechnął się, a oczy świeciły mu spod hełmu jak dwa ogniki. - Jesteś w czepku urodzony, Jonaszu z Konstantynopola. Zasmakujesz wojny jako Frank.

Zadęto w baranie rogi, ciężka frankijska jazda ruszył a do przodu. Każda tarcza nosiła inny wzór, każdy wzór miał inną barwę. Lance Franków były grube jak osie wozu i wysokie jak drzewa. Rękawice wykonane były z ciemnej skóry, a zbroje miały kolor zamarznętego stawu. Hełmy były stożkowate, osłony na policzki przymocowane tak ściśle, że ci z Franków, którzy golili twarze na rzymską modłę, mieli na skórze odcisnięte białe linie. Długie włosy i brody służyły jako wyściółka.

Gdy do nich dołączyłem, moje nozdrza zaatakowała setka zapachów - końskiej skóry i odchodów, kurzu i potu, siana i tymotki, naostrzonej stali i drewnianych strzał. Wojna śmierdziała potem i olejem. Ludzie krzyczeli lub przechwalali się swymi czynami albo sukcesami u kobiet. Wiele słów w wypowiedzianych było wysokim tonem zdradzającym napięcie. Przestraszeni, lecz panujący nad strachem, czekający na szarżę, do której przygotowywali się przez całe życie. Różnili się od Hunów czy Gepidów, tak jak byk różni się od wilka. Wysocy, potężnie zbudowani mężowie o skórze jasnej

jak śnieg.

Jedynie nielicznych stać było na kupno konia i ciężkiej zbroi. Tysiące maszerowały przez wysokie zboże pieszko. Ich metalowe kolczugi kończyły się na udach, a nie łydkach, zaś pochwy kołysały się i uderzały o biodra.

Nasz wróg był niemożliwą do rozróżnienia masą ludzką stłoczoną przy wolno płynącym, lecz głębokim strumyku, służącym za wodopój dla okolicznych stad.

Zatrzymali się tam, by zaczerpnąć wody i napić konie. Połowa już odchodziła ku głównym siłom Attyli, niosąc ciężkie bukłaki. Druga połowa wciąż była na bliższym nam brzegu. Zrozumiałem, że Anthus nie był narwanym i nierozważnym zabijaką, lecz raczej zdolnym taktykiem. Wiedział o pozycjach Gepidów od swych zwiadowców. Oddziały wroga dzieliła woda.

- Widzisz? - powiedział król. - Ich przekłeci łucznicy nie zaryzykują przeprawy na drugi brzeg. To powinno dać nam wystarczającą przewagę.

Przeciwnik krzątał się przy strumieniu, nie mogąc podjąć decyzji, jak mrówki, w których mrowisko wciśnięto patyk. Niektórzy nawoływali do szybkiego wycofania się na przeciwny brzeg - woda oddzielałaby ich wtedy od Franków niczym fosa. Inni do stawienia dzielnego oporu. Rozkazy Attyli dotyczące przegrupowywania wojsk zostały wypełnione co do joty przez wojowników nawykłych do pędzenia innych przed sobą. Tym razem przeciwnik sam do nich przyszedł i nie była to liczna armia prowadzona przez Aecjusza, lecz oddział

chętnych do bitki i nierozważnych Franków, którzy zapędzili się za daleko od swoich linii!

Widzieliśmy, jak król Ardaryk, otoczony sztandarami znamionującymi władzę, odjeżdża w poszukiwaniu Attyli, najwidoczniej czekając na polecenia Huna.

Tego właśnie pragnął Anthus. - Uderzać!

Spodziewałem się po sobie strachu, lecz jakąż błogą rozkoszą była ta szarża!

Sama siła i pęd frankijskiej jazdy oszałamiała zmysły. Nigdy nie czułem się bardziej żywy niż wtedy, galopując pośród jeźdźców. Ziemia drżała pod kopytami, gdy z obu stron wzbiły się w niebo okrzyki zagrzewające do boju. Dystans malał

w błyskawicznym tempie. Frankowie i Gepidowie zwarli szyki, tworząc linię.

Gdy się zbliżyliśmy, w naszym kierunku poszybowały strzały i oszczepy.

Najdalej wysunięci do przodu jeźdźcy zderzyli się z najeżoną włóczniami obroną przeciwnika i spadli z koni, wpadając pomiędzy gepidzkich piechurów. Reszta przebiła się przez pierwsze szyki wroga i przerwała je w wielu miejscach.

Frankowie uderzali włóczniami i cięli mieczami przez całą drogę, aż do brzegu rzeki. Tam zawrócili, by zaatakować od tyłu tych, którym udało się przeżyć.

Gwałtowność szarży była dla Gepidów zupełnym zaskoczeniem - byli przyzwyczajeni do tego, że wróg przed nimi uciekał, a nie atakował zajadle.

Szerokie i potężne miecze Franków przecinały włócznie i hełmy na dwoje.

Barbarzyńska piechota desperacko atakowała boki koni, zrzucając kilku jeźdźców na ziemię, gdzie zaraz otaczali ich przeważający liczebnie przeciwnicy. I wtedy do boju ruszyła frankijska piechota przy uderzeniach bębnow i dzikich krzyków, niwelując liczebną przewagę Gepidów.

Przez długie minuty trwała zacięta bitwa, szale zwycięstwa przechylić się mogły na każdą ze stron. Zmuszałem konia do tratowania i przewracania piechurów wroga, uderzając i tnąc raz z jednej, raz z drugiej strony. Wściekłość Franków poczęła jednak dawać im przewagę, odwaga gepidzkich wojowników załamała się i nieprzyjaciel powoli cofał się ku rzece. Zrozumieli, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znajdują. Brzeg był stromy i jeśli się po nim ześlizgnęli, nie mogliby już stawiać oporu. Pozostał im tylko jeden wybór - porzucić towarzyszy, rzucając się w odwrocie przez rzekę lub pozostać na placu boju i zginąć od włócznie bądź strzały frankijskiego łucznika. Zaczęli krzyczeć o pomoc do stojących na przeciwnym brzegu kompanów. Niektórzy z nich wskoczyli do strumienia, śpiesząc na ratunek, inni nawoływali do odwrotu, nim będzie za późno. Wojsko Gepidów było w całkowitym nieładzie, jego wodzowie przywykli do słuchania huńskich rozkazów nie mogli podjąć decyzji, czy mają kontratakować, czy też wycofać się w bezpieczne miejsce. Gdy do walki dołączyła się coraz więcej Franków, otoczeni Gepidowie spanikowali.

Do rzeki zbliżył się teraz oddział Hunów i rozpoczął ostrzał naszych pozycji, osłaniając odwrót swoich, lecz tak jak miał nadzieję Anthus, odległość była za duża, by strzały mogły wyrządzić nam jakąkolwiek krzywdę. Bezpośrednie starcie sprawiło, że od huńskich pocisków ginęło tylu Gepidów, co Franków. Gdyby Hunowie popędzili w górę strumienia, by tam go przekroczyć i zająć nas od tyłu, z pewnością więcej by na tym zyskali. Bali się jednak odcięcia od głównych sił

Attyli.

Gepidowie ustawieni na drugim brzegu nie chcieli opuścić swych towarzyszy.

Rzucali się do wody, brnąc powoli przez strumień. Niektórzy ginęli od strzał, innych porwał i unosił rwący nurt. Ci, którym udało się przepłynąć, wspinali się po stromym brzegu, próbując zająć Franków z flanki. Tylko przedłużali walkę, której wyniku nie mogli odmienić. Nasza jazda wyrwała w ich szeregach ogromne luki. Miecze i topory sypały się na stłoczonych piechurów. Konie tratowały ich swymi kopytami. W tym samym czasie frankijska piechota wykorzystwała przerwy w ich szykach, by zająć Gepidów od tyłu. Walka poczęła się przekształcać w pościg za uciekającymi w nieładzie barbarzyńcami, a pościg w zwykłą rzeź. Sojusznicy Attyli rzucali się do rzeki, a frankijscy łucznicy nękali ich z brzegu. Większość zginęła w wodzie, która teraz stała się czerwona od krwi.

Zwyciężyliśmy na zachodnim brzegu i kilku jeźdźców wjechało do strumienia, goniąc za uciekającym wrogiem, lecz tam przewagę mieli już huńscy łucznicy, kładąc ich trupem i zmuszając do odwrotu. Gepidowie wycofali się, oddalając od rzeki i kończąc starcie. Widzieliśmy, jak tylna straż armii Attyli wjeżdża na dalekie wzgórze i zjeżdża z niego. Jeździli w tę i z powrotem, jakby zamierzali kontynuować walkę. Cienie zdążyły się wydłużyć, zachodzące słońce świeciło im prosto w oczy.

Hunowie dostrzegli na horyzoncie nadciągające oddziały rzymskie spieszące nam na pomoc. Lepiej było poczekać do jutra, gdy Attyla zbierze wszystkie swe siły. Zawrócili i odjechali za wzgórze.

Wreszcie mogłem odetchnąć pełną piersią. Ramię bolało mnie od ciągłego uderzania mieczem w tarcze, hełmy i ustępujące pod ciosami ciała. Ostrze ociekało krwią ja zaś dziwnym zrządzeniem losu nie byłem nawet draśnięty. Odwróciłem się, spoglądając na stosy trupów zaścielające pole bitwy. Były ich tysiące i przeraziłem się myślą, iż to dopiero początek. Nie po raz pierwszy widziałem pobojuwisko, lecz teraz sama liczba ciał wprawiała w zadumę. Leżały bez ruchu, dziwnie puste.

Poczułem trudną do wypowiedzenia ulgę i radość. Przeżyłem! Czyżby był to znak, że nie ima się mnie żadne ostrze? Zmiażdżyliśmy tylną gwardię, tak jak przewidywał król Franków, i przez krótką, szaloną chwilę bałem się, że Hunowie zaczną uciekać, zabierając ze sobą Ilanę.

Anthus raz jeszcze zdjął hełm. Spocone włosy opadały strąkami na czoło i policzki, oczy błyszczały tryumfalnie. - Chodź ze mną. Przyjrzymy się dobrze wszystkiemu, nim zgaśnie słońce! - krzyknął. - To pole bitewne jest moje i chcę zająć tamto wzgórze!

Tysiąc jeźdźców ruszyło przez rzekę i popędziło w kierunku wzniesienia, które nieprzyjaciel przed momentem opuścił. Ściągnęliśmy wodze, ziemia poznaczona była końskimi kopytami. Spojrzeliśmy na wschód ze zgrozą.

Zachodzące słońce podkreślało czerń kłębiących się na wschodzie chmur i kapało w złotych promieniach tłoczącą się przed nami hordeę. Efekt był

ośniewający, a widok godny zapamiętania na wieki. Zdawało się, że widzimy przed sobą każdą urodzoną po drugiej stronie Renu ludzką istotę.

Kilka mil dalej zaczynały się linie huńskiego obozu, ogromne rzesze ludzi szykowały się do nadchodzącej nocy. W środku ustawiono wielki tabor składający się z dwóch kręgów stojących obok siebie wozów. Wokół niego wyrastały jak grzyby po deszczu jurty i namioty. Widziałem skrzyżowanie dróg, o którym mówił Aecjusz, i dziesiątki tysięcy, nie, setki tysięcy wojowników Attyli obozujących przy nim niczym pasące się wolno stada. Ziemia zdawała a się poruszać, drgać nieustannie. Dym unoszący się z dziesiątek tysięcy ognisk zasłaniał

purpurową mgłą niebo, stal niezliczonych głowni włóczni świeciła złowrogo.

Jakby każdy człowiek z każdego miejsca na ziemi ściągał tu, by raz na zawsze rozstrzygnąć, kto ma rządzić światem.

- Przyjrzyjcie się. Przyjrzyjcie się dobrze, bracia, gdyż od tysięcy lat żaden człowiek nie miał przed swymi oczami podobnego widoku - powiedział

uroczystym tonem Anthus. - Czy wygląda to na bitwę, którą warto stoczyć?

- Jakby przybyły tu wszystkie nacje żyjące na ziemi - powiedział z podziwem frankijski oficer. - Ramiona mnie bolą od wymachiwania mieczem, panie, a ledwie zaczęliśmy.

- Masz rację, ale nadciągają Rzymianie, Wizygoci i cała reszta, by pomóc nam skończyć to, co zaczęliśmy. Pokazaliśmy im, jak należy się - do tego zabrać. -

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy maszerujące kolumny naszych sprzymierzeńców zmierzające ku nam ze wszystkich kierunków, pokonujące ostatnie mile dzielące ich od huńskiego obozu. Kurz, jaki wzbijali, zabarwił zachodzące słońce na krwistoczerwony kolor, zaś ich zbroje przypominały spiętrzone fale morza.

- Popatrzcie i starajcie się zapamiętać ten widok, by móc potem opowiadać o nim dzieciom i wnukom - powiedział Anthus. - Popatrzcie i nie zapomnijcie. -

Pokiwał głową. - Nigdy w całych dziejach ludzkości nie zebrało się w jednym miejscu tylu ludzi, i nigdy się już nie zbierze.

- Nigdy?

Król potrząsnął przecząco głową. - Nigdy, gdyż jutro przed zachodem słońca wielu z nich i wielu z nas będzie już dawno martwych.

Rozdział XXVII

Bitwa narodów

Tym, co pamiętam najlepiej z nocy poprzedzającej wielką bitwę, nie był

strach, lecz pieśni. Germanowie byli wspaniałymi pieśniarzami, o wiele bardziej głośniejszymi i wylewnymi niż cisi i metodyczni Rzymianie. Żołnierz za żołnierzem, oddział za oddziałem, armia za armią kroczyły, aby zająć wyznaczone im przez Aecjusza miejsce, szykując się do niespokojnej nocy, rozkładając się na trawiastych łąkach. Śpiewali o ginącej w mrokach zapomnienia, legendarnej przeszłości - wielkich potworach i jeszcze większych herosach, o złotych skarbach i rzucających uroki pannach. Jeśli zginą, pójdą w zaświaty - połączenie pogańskich wierzeń i chrześcijańskiego nieba - i zasiądą pośród swych bohaterów i świętych.

Jeśli przeżyją, dożyją końca swych dni bez lęku i obaw o przyszłość. Głosy wznosiły się w rozświetlone gwiazdami letnie niebo, powietrze było ciepłe i wilgotne od burz. Pieśń łączyła się z pieśnią, dodając każdemu jakże potrzebnej otuchy i odwagi.

Hunowie też śpiewali. Wiem, że w następstwie najazdu zapamiętano ich jako ledwie przypominające ludzi bestie - wschodnią plagę o tak niespotykanej dzikości, iż wydawali się sługami szatana lub starszych, jeszcze bardziej mrocznych bogów. Lub jak Attyla sam zwał siebie biczem bożym. Choć wiedziałem, że trzeba ich pokonać, dostrzegałem w nich ludzkie istoty - dumne, wolne, aroganckie i potajemnie lękające się cywilizowanego świata, przeciwko któremu ruszyli. Z tej odległej ości trudno było dosłyszeć i zrozumieć ich słowa, zagłuszali je Germanowie, lecz ich śpiew był łagodniejszy i smutniejszy, wydobywany z głębin ich przysadzistych ciał. Śpiewali o dawno opuszczonych domach, o wolności stepów, o prostocie, której nie mogli odzyskać, nieważne jak szybko i daleko jechali. Śpiewali o minionych czasach, o czasach, które odejdą w zapomnienie bez względu na to, kto wygra

jutrzejszą bitwę.

Rzymianie byli z początku cisi, próbując spać lub nie mogąc zasnąć, ostrząc broń i ściągając na pole bitwy setki balist mogących jednym pociskiem powalić tuzin wrogów. Pracowali w ciszy, gdyż do tego nawykli. Lecz tuż przed świtem tej krótkiej letniej nocy także im udzielił się nastrój. Zaczęli śpiewać, wznosząc nowe pieśni religijne. Biskup Anian podążał z nimi od Aurelianum i teraz widziałem, jak kroczy pomiędzy żołnierzami, ubrany jak prosty pielgrzym, błogosławiąc i spowiadając wiernych, oferując słowa otuchy i zagrzewając do walki nawet tych, którzy nie przeszli jeszcze na prawdziwą wiarę.

Słońce pięło się po nieboskłonie, czerwone od zasłaniających go chmur.

Przebłyskiwało przez nie, świecąc nam prosto w oczy. Aecjusz rozkazał swym dowódcom i królom, by zebrali nasze rozproszone szyki na wypadek, gdyby Hunowie chcieli wykorzystać promienie, by ruszyć na nasze na pół oślepienie linie.

Lecz wróg, tak jak i my, nie był gotowy do walki. Podobnych rzesz nigdy wcześniej nie zebrano na jedną bitwę i w obu obozach panowało zrozumiałe zamieszanie, gdy wpierw narzekającym na wyczekiwanie w coraz gorętszym słońcu ludziom kazano stanąć tu, potem tam. Kuszący strumień dzielił obie armie, leżał jednak w zasięgu strzał każdej ze stron, dlatego nikt nie ś miał się do niego zbliżyć. Kobiety krzątały się pomiędzy żołnierzami, roznosząc skóry i słoje pełne wody czerpanej z rzeki na naszych tyłach. Mężczyźni pili łapczywie, pocąc się w zbrojach i sikając pod siebie. Do południa pole bitwy cuchnęło jak wychodek.

- Kiedy się wreszcie zacznie? - narzekał chyba w myślach każdy.

Obie armie zamierzały wykorzystać inną część swych wojsk. Attyła ustawił

Hunów w centrum, chcąc zapewne użyć jazdy, najbardziej niebezpiecznej formacji, by rozbić nasze szyki na dwoje.

Ostrogoci króla Walamira stanęli na prawym skrzydle, a razem z nimi pobici Gepidowie i zbuntowani bagaudzi. Kłoda, frankijski książę pragnący dla siebie korony, miał zmierzyć się ze swym bratem Anthusem.

Rugiowie, Skirowie i Turyngowie stanęli na lewym skrzydle. Wzmocniono ich kilkoma tysiącami Wandalów przybyłych, by zabijać znieawidzonych Wizygotów.

Aecjusz, w przeciwieństwie do Attyli, rozmięścił swe najlepsze jednostki na skrzydłach, Sangibanusa zaś i Alanów tam, gdzie obiecał, w środku. - Nie musi wygrać. Wystarczy, że się utrzyma - powiedział. Wzmocnił ich Litycjanami i *Olibriones*. Weterani nadrabiali braki w krzepkości doświadczeniem i determinacją.

Teodoryk i jego Wizygoci tworzyli prawe skrzydło rzymskich wojsk.

Najpotężniejsza jazda, jaką dysponowaliśmy, stała naprzeciw Rugiów, Skirów i Turyngów.

Aecjusz i rzymskie legiony wraz z Frankami, Sasami i Armorykanami tworzyli lewe skrzydło. Prócz frankijskiej jazdy, która wykazała się już w boju poprzedniego popołudnia, byli to głównie piechurzy, którzy mieli ruszyć tarcza w tarczę jak pokryty łuskami smok na germańską piechotę stojącą naprzeciw.

Aecjusz liczył na to, że gdy Hunowie ruszą środkiem, uda mu się pobić ich sprzymierzeńców na obu skrzydłach i nacierając wciąż do przodu, zamknąć z każdej strony, by wyciąć w pień pozbawionych możliwości ucieczki, tak jak to było z rzymskimi wojskami pod Kannami, gdy pokonał je Hannibal, lub pod Adrianopolem, gdy zwyciężył Frytygern i Goci.

- Zwycięstwo zależeć będzie od dwóch rzeczy - wyjaśnił nam przed bitwą. -

Musimy za wszelką cenę utrzymać środek. W przeciwnym razie Attyła przebiję się przez nasze linie i zaatakuje od tyłu, zasypując gradem strzał. Po drugie, nasze skrzydło musi zająć to niskie wzgórze leżące przed nami, gdyż z niego nasza piechota będzie mogła ciskać w napierającego na nią nieprzyjaciela włóczniami, powstrzymując tym samym jego ataki. Wtedy Teodoryk zada decydujący cios.

Jeśli Hunowie będą w rozsypce, jego jeźdźcy mogą skończyć tę bitwę. - Włożył na głowę hełm. - Powiedziałem Teodorykowi, że w obozie Attyli czekają na niego wszystkie bogactwa Wschodu i Zachodu. Odpowiedział, iż w takim razie, nim zapadnie zmierzch, będzie bogaty ponad ludzkie wyobrażenie bądź martwy. -

Uśmiechnął się ponuro, nie dodając nam otuchy. - Słowa, które równie dobrze odnoszą się do każdego z nas.

Historia zanotowała te plany jako proste i przejrzyste. W rzeczywistości każda ze stron stanowiła płataninę języków i sojuszy dumnych królów. Dlatego ani cierpliwa dyplomacja Aecjusza, ani wielka charyzma Attyli nie pomagały ustawić oddziałów na wyznaczonych pozycjach. Ledwie mogliśmy się porozumieć, nie wspominając już o samej skali bitewnego pola, które ciągnęło się milami.

Dostarczenie rozkazu do najbardziej odległego oddziału zajęłoby pół godziny.

Ile tysięcy zebrało się tego dnia na Polach Katalaunijskich, żaden człowiek nie wiedział tego na pewno. Dziesiątki tysięcy zbiegłych rzymskich niewolników zasililo szeregi Attyli. Dziesiątki tysięcy kupców, sklepikarzy, rolników, uczonych, a nawet księży przyłączyło się do Aecjusza, wiedząc, iż jest ostatnią nadzieją na ocalenie cywilizacji. Wszelkie próby liczenia mas ludzkich spełzłyby na niczym, choć zapewne można je szacować na setki tysięcy. Jakby naprawdę doszło do Armagedonu - ostatniej bitwy w dziejach ludzkości - i każdy mąż rzucił

na szale swą duszę.

Godzina mijała za godziną, a dwie potężne armie stały naprzeciw siebie oddalone prawie milę, obserwując się z podziwem. Wzniesienie, o którym mówił

Aecjusz, wciąż pozostawało niezajęte, zaś kuszący strumień świecił pośród trawy, mając chłodną

wodą. Nikomu nie śpieszyło się jednak z jego zdobyciem, gdyż nieprzygotowany atak mógł skończyć się tylko w jeden sposób - krwawą rzezią.

Znudziło mnie siedzenie na tym niespokojnym wierzchowcu, piechurzy zaś, zmęczeni stanem, poczęli siadać w trawie, by ulżyć nogom.

Napisałem, że zapamiętałem noc pełną śpiewów. Tamto południe zapadło mi w pamięci jako południe bezruchu. Zaprowadzono w szeregach jaki taki porządek.

Wszyscy wiedzieli, że bitwa niebawem się zacznie. Po obu stronach zaległ a grobowa, wyczekująca cisza. Ludzie modlili się, odprawiali uroki, usta wiązał im strach lub czysta determinacja, lecz każdy zdawał sobie sprawę, że wreszcie nadszedł czas próby. Nigdy jeszcze Rzym nie stanął naprzeciw tak strasznego wroga. Nigdy Hunowie nie natrafili na przeciwnika gotowego bić się do końca.

Pomiędzy niekończącymi się szeregami żołnierzy stały tysiące sztandarów i insygniów, tworząc las pogrążony w ciszy jak przed nadchodzącą burzą.

Widziałem złote insygnia rzymskich legionów, huńskie buńczuki, krzyże, flagi i symbole pogańskie przeróżnych plemion i nacji. Napięcie było nie do zniesienia, usta miałem suche jak wiór, choć co jakiś czas zwilżałem je wodą, zastanawiając się, gdzie za tą przeogromną hordą leżeć może obóz Attyli. To był cel, do którego zmierzałem. Tam czekała na mnie Ilana.

Nie wiedziałem, jak będzie wyglądała po miesiącach uwięzienia. Czy ją torturowano? Czy sądziła, że zostawiłem ją na pastwę losu, czy też postąpiłem właściwie, uciekając z mieczem, tak jak tego chciała? Nie miało to najmniejszego znaczenia. Była kobietą, którą kochałem. Im bardziej rozrastał się ten konflikt, tym bardziej zajmowało me myśli moje własne szczęście. Bez różnicy, kto dziś wygra, wiedziałem, że nie zaznam spokoju, póki jej nie odnajdę, nie odbiję i nie zabiorę daleko od tego koszmaru. Królowie walczyli za narody, ja dla spokoju ducha.

Jakby czytając w mojej głowie, samotny jeździec oddzielił się od środka huńskich linii i kłusując, zmierzał w naszym kierunku. Koń miał kasztanową maść, Hun trzymał się prosto i dumnie, jego warkocz fruwał w powietrzu, a kołczan grzechotał od strzału. Tętent kopyt przeszywał całkowitą ciszę. Wjechał w mały strumień, lecz nikt nie oddał strzału. Podjechał na sto kroków do naszych linii, obrócił konia i począł jechać wzdłuż nich, przyglądając się spokojnie tysiącom stojących przed nim twarzy, szukając kogoś. I gdy zbliżył się do rzymskich formacji na lewym skrzydle, poznałem go i zrozumiałem, kogo szuka.

Mnie.

Skylla.

Jego koń zwolnił, gdy podjechał do otoczonego sztandarami Aecjusza. Polował

na mą twarz i z uczuciem lęku, poddając się przeznaczeniu, podniosłem rękę.

Zobaczył ją, a wtedy zdjąłem hełm, by nie miał wątpliwości. Zatrzymał kuca i wskazał mnie dłonią jakby wyzywając do walki. Widziałem jego uśmiech -

błyszczące zęby na tle ciemnej skóry. Zawrócił i pognął do swoich, by zająć miejsce na prawym skrzydle, naprzeciwko naszych szeregów. Ludzie z jego oddziału wiwatowali radośnie.

- Kto to był? - zapytał zaciekawiony Aecjusz.

- Stary przyjaciel - odpowiedziałem, dziwiąc się sam swoim słowom. Lecz któż inny mógł znać mnie lepiej niż mężczyzna, który także pragnął Ilany? Któż inny jeszcze dzielił ze mną te same uczucia, te same doświadczenia niż człowiek, z którym startłem się tyle razy?

Aecjusz zmarszczył czoło, słysząc odpowiedź. Przyglądał mi się, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy w życiu, jakby chciał wyryc sobie mą twarz w pamięci. Potem skinął na Zerkona. Karzeł poczłapał do przodu, prawie przewracając się pod ciężarem wielkiego miecza przymocowanego do drewnianego kija. Generał pochylił się i napinając mięśnie ramienia, chwycił za rękojeść, uniósł

go nad głowę tak wysoko, jak zdołał najwyżej. Dziesięć tysięcy oczu odwróciło się w jego stronę i wtedy podawana z ust do ust wieść o tym obiegnęła nasze szeregi.

Dziesięć razy dziesięć tysięcy żołnierzy odetchnęło z ulgą. Wreszcie upragniony sygnał! Nawet pośród Hunów doszło do poruszenia. Wiedziałem, że widzą uniesiony wysoko miecz - skradziony talizman - i mogłem wyobrazić sobie Attyłę nawołującego swych żołnierzy, by patrzyli na długie, czarne ostrze trzymane na tle zachodniego nieba i obiecującego im, że człowiek, który je odzyska, zdobędzie nagrodę w złocie ważącą tyle, co miecz.

Przy biciu bębnow długie szeregi rzymskiej piechoty podniosły z ziemi tarcze i przycisnęły je do siebie, tworząc stalowy mur. Nasze skrzydło ruszyło w kierunku wzniesienia.

Siedziałem na koniu jak oficerowie, co dawało mi lepsze pole widzenia.

Podążałem w bezpiecznej odległości od piechurów, podziwiając zdyscyplinowane i rytmiczne falowanie morza głów, kołyszących się włóczni i unoszących się w rytmie bębnow hełmów. Słyszałem skrzypienie skóry, brzęczenie zbroi i stąpanie setek tysięcy stóp. Jakby ogromny, pokryty łuskami potwór zbudził się wreszcie i teraz wypełził ze swego leża, ciężki i przygarbiony, spoglądający przed siebie z niecnymi zamiarami. Gdy zbliżyliśmy się do niskiego wzgórza, przez chwilę straciliśmy z oczu stojących przed nami Ostrogotów, lecz gdy ziemia poczęła się wznosić, usłyszeliśmy z drugiej strony krzyk, a potem przeraźliwy i przeszywający wrzask, jakby skrzek tysięcy orłów, od którego włosy stanęły mi dęba na karku.

Wróg puścił się biegiem, by zająć wzgórze przed nami. Teraz nasze bębny podwoiły tempo, a piechurzy wprawdzie truchtem też zaczęli biec. Dobyłem miecz, ostrze zgrzytnęło o pochwę. Pozostali oficerowie zrobili to samo. Widzieliśmy jedynie zieloną trawę porastającą łagodne wzniesienie. Uderzenia stóp gockiej piechoty, szarżującej na nasze linie, były tak głośnie i ciężkie, że czuliśmy drżącą pod nimi ziemię.

I wtedy pociemniało niebo, gdy słońce zakryły tysiące strzał.

Jak najlepiej opisać ten widok? Nie widział go nigdy przedtem żaden człowiek, a teraz nieprędko zobaczy. Jak rozciągnięty nad naszymi głowami baldachim grzechoczącego drewna, jak szum lecącej szarańczy. Teraz i legionieści biegli, osłaniając się owalnymi tarczami. Pierwsza fala pocisków spadła na nasze szeregi, za nią kolejna i kolejna, i kolejna.

Strzały uderzały o tarcze jak grad. Niektóre sięgały celu, przelatując przez przerwy w utworzonym przez nie dachu. Jedna ugodził a mego konia. Przewrócił

się, wrzucając mnie w tłum biegnących mężczyzn. Uderzyłem ciężko o ziemię.

Leżałem zamroczony, nie wiedząc dobrze, co się stało. Usłyszałem nadlatującą falę strzał, które cudem ominęły moje rozciągnięte na trawie ciało. Rzenie mego konia wyrwało mnie z odrętwienia. Odzyskawszy oddech i zmysły, wyszarpnąłem z rąk martwego piechura tarczę i uniosłem ją nad głową dokładnie w chwili, gdy doleciały do nas kolejne strzały. Ile drzewców poszybowało w naszym kierunku w pierwszych momentach bitwy? Milion? A był to jedynie wstęp do dnia, który miał się ciągnąć w nieskończoność.

Usłyszałem dziwny dźwięk rozrywający powietrze i odważyłem się unieść wzrok. Ciężkie, płonące pociski naszej artylerii odpowiedziały na ogień nieprzyjaciela. Widziałem też rzymskich łuczników biegnących do przodu. Teraz strzały sypały się z obu stron. Było ich tak wiele, że zderzały się w powietrzu i spadały połamane na ziemię. Pękały pod stopami biegnących żołnierzy jak tafla lodu.

Zewsząd dobiegały mnie krzyki - morze głosów. I wreszcie usłyszałem brzęk metalu, gdy starły się ze sobą dwa skrzydła - rzymskie i ostrogockie. Uderzenie rozniosło się echem po całym polu niczym grzmot pioruna, jakby ściana uderzyła nagle o drugą ścianę. Dyscyplina legionów dała im przewagę. Linie wygięły się.

pod naporem ciał, lecz nie pękły, nawet gdy Ostrogoci cofnęli się nieznacznie.

Wyczołgałem się spod osłaniającej mnie tarczy - tkwiły w niej trzy strzały, przypominając o pojedynku ze Skyllą - i zawiesiłem ją na ramieniu. Ostrzał osłabł, gdy rozgorzała walka. Wciąż byłem oszołomiony po upadku i minęła chwila, nim przypomniałem sobie, jakie mam zadanie, Ilana! Życie! Myśl o niej wstrząsnęła moją świadomością i dodała sił. Byłem teraz rzymskim piechurą, równie potrzebnym w boju, co pozostali. Nasze skrzydła trwały w śmiertelnym uścisku i gdy pod ciosami wroga upadło kilku Rzymian, przeskoczyłem ponad jęczącymi ciałami, by dodać swój miecz i mięśnie. Przed sobą widziałem Ostrogota Walamira i jego braci Teodymera i Walodymera zagrzewających swych wojowników do walki oraz szalonego Anthusa pró bującego przebić się do swego brata i rywala, Kłody. Rzymianie i Hunowie walczyli za swe imperia. Sojusznicy obu stron z powodu zadawnionych waśni.

Chciałbym móc wam opowiedzieć o sprytnych paradach i szybkich pchnięciach, lecz nie przypominam sobie, bym takowe widział. Tylko morze gockich głów - niektóre chronione hełmami, inne nie, nacierające na wzgórze i spychające z niego rzymskie oddziały. Każda ze stron pchała drugą. Wbiegliśmy na wzniesienie tuż przed Ostrogotami, co dało nam niewielką przewagę.

Wzniosłem tarczę, na którą sypały się raży, jakby intruz chcący wtargnąć do domu wywazał jego drzwi. Sam ciąłem na oślep, trafiając zazwyczaj na coś twardego, i uderzenie rozbrzmiewało później w mojej głowie. Czasem jednak na coś miękkiego, co zaraz jęczało przeraźliwie. Dłonie chwyciły mnie za kostki, a ja kłamię i pchałem mieczem. Piechur stojący obok mnie przechylił się do tyłu z rozłupaną od ciosu topora czaszką. Zapamiętałem to, gdyż krew tryskała na wszystkie strony, obryzgując każdego stojącego w pobliżu. Nie mogę sobie przypomnieć więcej. Całe szeregi zdawały się padać po obu stronach, jakby pochłaniała je ziemia, by zaraz zastąpiły je kolejne stojące z tyłu oddziały.

Potknąłem się o coś, o ciało, a może włócznię, i upadłem wyczerpany. Leżałem na brzuchu z odsłoniętymi plecami i naprężyłem się w oczekiwaniu na ostatnie pchnięcie. Lecz nic takiego się nie stało, moje miejsce zajęli następni Rzymianie.

Goci spadali z wzniesienia, wycofując się powoli, podczas gdy legiony Aecjusza parły do przodu. Później dopiero miałem się dowiedzieć, że to pierwsze starcie było decydujące. Że dało naszej armii przewagę, której nie oddała do końca.

Znaczenie tego starcia nie było dla mnie wtedy widoczne i oczywiste. Wstałem akurat, by zobaczyć dosiadającego konia Skyllę unoszonego przez falę wycofujących się Gotów i Gepidów, krzyczącego, by utrzymali swoje pozycje.

Wątpię, by dostrzegł mnie w plątaninie ciał.

Zadęto w rogi, Aecjusz zatrzymał natarcie u podnóża ciężko wywalczonego wzgórza. Tysiące ciał znaczyło jego szczyt, niektóre nieruchome, inne jęczące i drgające jeszcze, gdy krew tryskała z ich ran. Rzymianie dobijali tych Ostrogotów, których znaleźli żywych. Nie przestali tego robić nawet wtedy, gdy barbarzyńcy wybebeszyli i poćwiartowali na naszych oczach kilku pochwyconych legionistów.

Tu, gdzie wzniesienie dawało rzymskim oszczepnikom kilka kroków przewagi, mogliśmy bezpiecznie odpocząć.

A bitwa dopiero się zaczynała.

Jeśli ziemia wcześniej drżała, to teraz trzęsła się pod tysiącem stóp i kopyt, przywodząc na pamięć trzęsienie ziemi, które zniszczyło mury Konstantynopola kilka lat temu. Ocalali powiedzieli nam później, że Attyła nie rzucił na pomoc Ostrogotom swej jazdy, gdy walczyli o kontrolę nad wzgórzem, gdyż uważał, że nie będzie ono ważnym punktem bitwy, skoro o wszystkim miały zdecydować szarże jazdy. Krzyczał do swych wodzów, że rzymscy piechurzy to ślimaki, które przykryje kurz, gdy decydującą walkę stoczą jeźdźcy. Wznosząc okrzyki do ataku, poprowadził swe najlepsze oddziały na Sangibanusa i Alanów stojących w centrum, poprzysięgając rozjechać króla, który ośmielił się nie poddać mu swego miasta. Jeśli Hunom udałoby się przedrzeć przez środek, wynik bitwy byłby przesądzony. Pędzili w kierunku naszych linii, wznosząc piskliwe okrzyki wojenne, zasypując nas chmurami strzał. Przypominałem sobie nauki Zerkona, których mi udzielał, gdy przyglądaliśmy się huńskim ćwiczeniom i zastanawiałem się, kiedy, jeśli w ogóle, szarżującym jeźdźcom skończą się pociski, a gdy tak się stanie, czy nie będzie za późno, by to wykorzystać.

Zastanawiałem się, czy Aecjusz postąpił rozsądnie, ustawiając Sangibanusa w centrum, gdyż sam wcale nie spieszył się z zajęciem Hunów z flanki. Póki tego nie zrobi, wynik bitwy spoczywać będzie na barkach Alanów, Litycjan i *Olibriones*. Wstrzymaliśmy oddechy, obserwując szarżę huńskiej jazdy.

Nasze wojsko starało się ją spowolnić, zasypując strzałami i pociskami, przewracając setki. Równocześnie Alanowie pędzili im naprzeciw na swych rumakach, wielu pałało żądzą zemsty na barbarzyńcach, którzy oblegali ich miasto, zabijając krewnych i bliskich. Gdyby pozwolono Hunom wystrzelić jeszcze kilka rund, z pewnością uczyniliby w naszych szeregach wyłom, przez który mogliby się przebić. Lecz nawet stepowi wojownicy nie potrafili tak szybko wypuszczać strzał. Liczba wojowników była tak duża, że zamiast być atutem, tylko przeszkadzała w natarciu, gdyż jeźdźcy zajeżdżali sobie drogę w potwornym ścisku. Żadna ze stron nie miała nigdy pod swoją komendą takiej rzeszy wojowników. Wreszcie starły się środkowe linie - ludzie i konie - i gdy zobaczyłem to starcie, nasza walka na wzgórzu wydała mi się nic nieznaczącą potyczką. Nie widziałem jeszcze nigdy zachodniego oceanu, lecz tak musiały brzmieć jego fale uderzające o skalisty brzeg. Tysiące jeźdźców wpadło na siebie z ogromnym hukiem. Konie rżały, lance i tarcze sypały się w drzazgi, w powietrze wylatywały groty włóczy, hełmy i części zbroi, a nawet fragmenty ciał. Wszystko zdawało się toczyć leniwie niczym koło wozu zawieszony w powietrzu przez godziny, nim opadło z powrotem na ziemię.

W centrum pola bitwy zapanował chaos. Hunowie nie nawykli do tego typu brutalnej walki wręcz, w której prym wiedli ciężiej uzbrojeni od nich Alanowie.

Huńskie kuce dziurawiono włóczniami, galopowały ku swoim liniom, unosząc na grzbietach martwych jeźdźców. Blaszane i skórzane zbroje nie mogły oprzeć się uderzeniom alańskiej stali. Buńczuki, które nie upadły na ziemię od pokoleń, teraz sypały się jeden po drugim. Całe klany ginęły tratowane kopytami, ich długie rodzinne sagi przepadały w mgnieniu oka. Nawet Ostrogoci ruszyli na rzymskie szeregi, Aecjusz uniósł tryumfalnie miecz i machał nim w powietrzu, jedna ręka krwawiła mu przez bandaż. - Utrzymają się! Utrzymają! - Teraz do walki włączyła się alańska piechota, huńskie wierzchowce stawały dęba, narowiając się, choć ich jeźdźcy kierowali je na szeregi uzbrojone we włócznie. Mogłem sobie wyobrazić wściekłość Attyli.

Linia za linią padała huńska jazda. Dalsze szarże byłyby czystym szaleństwem.

Barbarzyńcy rozdzielili się, by łatwiej się wycofać i przegrupować w chwili, gdy rozbrzmiały rogi i do boju ruszyło lewe skrzydło huńskiej armii, nacierając na Wizygotów. Skoro nie udało im się przełamać naszych szyków w środku, spróbują w innym miejscu!

Bitwa rozgorzała na dobre. Mila za milą ścierały się ze sobą ludzkie fale, nacierając i cofając się raz po raz jak przypływ, gdy nad ich głowami przelatywały chmary strzał. Nikt nie był w stanie opanować tego chaosu pełnego kopyt i stóp, włóczy i strzał, mieczy i zagryzanych szczęk. Całe oddziały padały pod ciosami wroga, a na ich miejscu pojawiały się natychmiast inne.

Znów natarli na nas Ostrogoci i jeszcze raz, i jeszcze, próbując odebrać nam wzgórze. Za każdym razem musieli wspinać się pod wzniesienie usiane coraz większą liczbą ciał, śliskie od ciepłej krwi, pełne walających się kończyn i broni.

Król Gepidów Ardaryk padł od pchnięcia włóczni, jego wojownicy znieśli go z pola walki konającego. Ambitny Kłoda spadł ze swego wierzchowca i zginął pod kopytami konia swego brata. Przy każdym szturmie Ostrogotów legioniści zasypywali ich gradem oszczepów. Setki wojowników padały, jęcząc z bólu.

Barbarzyńcy atakowali, nie zważając na straty, uderzając mieczami, drapiąc i plując, lecz utrata wzgórza okazywała się coraz bardziej katastrofalna w skutkach.

Zginęło ich zbyt wielu, prawe skrzydło o huńskiej armii słabło. Co się stanie, jeśli Aecjusz zepchnie ich ku środkowi, tak jak zamierzał?

Słońce wciąż świeciło jasno; nowe oddziały Gotów atakowały nas zawzięcie i bez wytchnienia. Ich szeregi zdawały się nie mieć końca, niczym ziarnka piasku na plaży. Rzymianie nie ustępowali na krok, nie mogli jednak przejść do kontrnatarcia. Ludzie chwiali się na nogach z wyczerpania, piersi unosiły się z trudem, krew ściekała z kończyn jasnoczerwonymi strużkami. W przerwach pomiędzy starciami opierali tarcze o ziemię i schylali się za nimi, by choć chwilę odpocząć, chroniąc się jednocześnie przed nadlatującymi bezustannie pociskami.

Znowu znalazłem się przy Aecjusz, dano mi konia zabitego centuriona.

Siedząc w siodle, lepiej widziałem bitwę, choć dołączenie do naszego wodza nie napełniło mnie nadzieją. Był wściekły, że nie może przerwać ostrogockich linii.

Stał w miejscu, tak jak Attyła. - Musimy ich otoczyć, a nie możemy! - kłął pod nosem. - Bitwa może się rozstrzygnąć gdzie indziej. - Spojrzał z lękiem na przeciwległy kraniec pola.

W rzeczy samej, teraz Attyła udowodniał swe taktyczne umiejętności. Na naszym prawym skrzydle, daleko na południu, Teodorykowi udało się to, co nie udało się nam. W śmiałej i bohaterskiej szarży jego jazda natarła na Wandalów, Rugiów, Skirów i Turynów niczym lawina śniegu ścinająca młode drzewka. Nasza prawa flankę miażdżyła ich lewą. Tu też cena była wysoka, całe pokolenia wojowników padały pod gradem strzał, zanim lance jeźdźców uderzyły w tarcze wroga. Gdy Wizygoci dotarli do nieprzyjacielskich linii, te cofnęły się pod naporem brutalnej siły. Tak szybko Teodoryk i jego wojownicy parli do przodu, pragnąc wziąć na Wandalach odwet za księżniczkę Bertę, że oddalili się znacznie od naszego centrum. Między nimi a resztą naszych wojsk powstała niebezpieczna wyrwa.

Attyła zauważył ją i prowadząc do boju Hunów, ruszył na odsłoniętą flankę Wizygotów.

Wojownicy Teodoryka przypominali teraz rzucającego się i warczącego psa, którego nagle pociągnięto do tyłu za przypięty do karku łańcuch. Hunowie spadli na nich niczym błyskawica, zasypując gradem strzał z najbliższej odległości, trując poległych i rannych, którzy spadli z wierzchowców, tnąc na oślep mieczami. Szarża Wizygotów załamała się, zawróciły i poczęły się wycofywać wojska sprzymierzonych i nagle Teodoryka otoczyło morze wrogów.

Przyglądałem się temu z dużej odległości i nie widziałem dokładnie, co się dzieje. Dopiero później dowiedziałem się, słuchając upamiętniających to pieśni, jak król Wizygotów, ojciec okaleczonej

Berty o włosach siwych jak stal, którego gniew też odlany był ze stali, wypatrzył pośród walczących Attylę. Zamiast się wycofać, spał konia i pogalopował w kierunku huńskiego władcy, krzycząc, że zobaczył samego diabła i że zamierza go zabić, później zaś przyjdzie kolej na Genzeryka. Attyla równie ogarnięty szałem przez bitewny zgiełk, pośpieszył konia i wyjechał mu na spotkanie, lecz nim dwóch władców starło się w śmiertelnym boju, grupa krzyczących wściekle Hunów przecięła im drogę, okrążając króla Wandalów i jego świtę, szyjąc do nich z łuków i tnąc mieczami. Jedna, dwie, trzy, cztery strzały ugrzęzły w piersi Teodoryka. Pochylił się w siodle zamroczony, krzycząc w ostatnich chwilach swego życia do pogańskich bogów, jak i do nowego, chrześcijańskiego. Osunął się, spadł z konia i zginął pod kopytami huńskich kuców. Najeźdźcy wznieśli tryumfujące okrzyki, Wizygoci wycofywali się w nieładzie na swe początkowe pozycje. Wojownicy Attyli nie mogli ich jednak ścigać, gdyż znaleźli się w zasięgu rzymskiej artylerii i kusz. Hunowie, których ich władca oszczędzał przez długie lata, zmuszając do najcięższych walk podległe plemiona, ginęli teraz setkami.

Losy bitwy zawisły na włosku. Wizygoci wycofali się w nieładzie, ich król leżał martwy. Alanowie stracili w centrum połowę wojowników i jedynie wsparcie Li ty ej an i nieustępliwość *Olibriones* powstrzymały ich od ucieczki. Skrzydło dowodzone przez Aecjusza - z Frankami, Sasami i Armorykanami - utrzymało swe pozycje, lecz nie mogło ruszyć do przodu. Attyla wciąż posiadał niezliczone rzesze wojowników, zachęconych teraz dodatkowo śmiercią Teodoryka.

Obie strony coś zyskały i coś straciły. Która zejdzie z pola pokonana?

Obie armie natarły na siebie raz jeszcze, walcząc bardziej żarcie niż wcześniej.

I jeszcze raz.

I jeszcze.

Godzina mijała za godziną. Deszcz strzał zelżał, gdyż tak jak przewidział

Zerkon, nawet huńskie zapasy miały swe granice. Im dłużej trwała bitwa, tym częściej musieli stawać twarzą w twarz z ciężką jazdą i tym cięższe stawały się ich straty. Przewidywania Karła okazały się trafne. Bitwa nie była szybkim najazdem ani ćwiczeniami z łukiem, lecz walką wręcz, w bliskiej odległości, w której prym wiedli wojownicy z Zachodu.

Nikt jednak nie mógł walczyć w nieskończoność bez odpoczynku i dlatego, gdy oddziały napierały, ścierały się i wycofywały wyczerpane, ich miejsce zajmowali wypoczęci żołnierze. Ziemię niczym dywany zasłaly ciała poległych. O

tylu ofiarach nie śniło się kronikarzom. Nic nie mogło się równać cenie, jaką przyszło wszystkim zapłacić za to starcie, które jedni zwać będą bitwą pod Chalons, inni bitwą na Polach Katalaunijskich, kolejni zaś zwyczajnie bitwą narodów. Ludzie czuli, iż właśnie tam, wtedy, historia docierała do kolejnego zakrętu - różnica między światłem a ciemnością, uciskiem a nadzieją, chwałą a żałobą była widoczna dla każdego - i żadna ze stron nie zamierzała się poddać.

Gdy łamały się miecze, wojownicy walczyli gołymi rękoma, rzucając się przeciwnikowi do gardła, dusząc lub próbując wydłubać mu oczy, szarpiąc i kopiając, pochłonięci bitewnym szałem. Każdą

śmierć należało bezzwłocznie pomścić. Każdą straconą piędź ziemi natychmiast odebrać i tak zamiast zelżeć, bitwa rozgorzała na nowo, choć dawno minęło południe. Dzień był gorący, nad nami unosiła się chmura kurzu i pyłu.

Ranni krzyczeli, wzywając swe matki lub błagając o łyk wody. Ledwie żywi resztkami sił doczołgiwali się do oddzielającego armie strumienia, by w nim ugasić pragnienie. Krew z okaleczonych ciał wsiąkała w glebę, a gdy ta nie mogła już więcej przyjąć, łączyła się w strużki, które znów się łączyły, tworząc strumyki, te zaś w rzeki krwi płynącej po łące stratowanej końskimi kopytami i ludzkimi stopami. Krew wpadała ostatecznie do małego strumienia i gdy ranni docierali do niego, znajdowali jedynie płynącą wartkim nurtem posokę. Umierali setkami, dławiąc się krwią swoich towarzyszy.

Tak jak pozostali, rzuciłem się w wir walki, dosiadając konia. Miecz schowałem do pochwy, bym mógł zrobić użytek z długiej włóczni, którą dźgałem Ostrogotów i zrzuconych z koni Hunów. Moja broń zrobiła się czerwona od krwi.

Nie wiedziałem, kogo zabijam ani kiedy to robię. Uderzałem na oślep, wiedząc, że tylko w ten sposób mogę ocalić życie. Wszelki rozsądek dawno opuścił to pole bitwy. Nie było już mowy o żadnej wyszukanej strategii ani o wykonywaniu rozkazów. Wszystko zależało teraz od woli. Dostrzegłem, że nasze prawe skrzydło osłabło - po śmierci Teodoryka Wizygoci trzymali się z tyłu, co oznaczało, że Hunowie będą mogli uderzyć teraz na stojące po drugiej stronie rzymskie legiony.

Bąłem się, że bez swego władcy Wizygoci opuszczą nas zupełnie.

Nie rozumiałem wtedy jeszcze wizygockiego serca ani ich potrzeby pomszczenia króla. Nie wycofywali się, lecz przegrupowywali.

Attyła koncentrował w tym czasie swe wojska na naszej lewej flance i w środku. Ciężar bitwy przesuwiał się na nasze skrzydło. Aecjusz wraz z ciężkozbrojną piechotą spychał powoli Ostrogotów ze wzgórza, zmuszając ich do przejścia przez spływający krwią strumyk, naginając ich linie w stronę centrum i wozów taboru. Natarli również Alanowie wsparci przez *Olibriones* - pomiędzy nimi a Wizygotami rosła coraz większa przerwa. Hunowie, szarża za szarżą, napierali na nasze szeregi, za każdym razem wbijając się w nie głębiej. Ich konie przeskakiwały nad stosami trupów. Znalazłem się teraz pomiędzy Rzymianami a Alanami, przechwytyjąc każdego Huna, któremu udało się przedrzeć przez piechurów. Pojedykowałem się z pozbawioną skruchy i zwątpień skutecznością, zdając sobie sprawę, jak bardzo zmienił mnie miniony rok. Zabicie człowieka nie było już dla mnie czymś szokującym. Stało się raczej niekończącym się zajęciem tego niemogącego się skończyć dnia. Cienie poczęły się wydłużać, ranni wykrwawiali się na śmierć, nim udało im się dotrzeć w bezpieczne miejsce, gdzie mogliby uzyskać pomoc. Łąka stała się grzęzawiskiem stratowanej trawy i krwawego błota. Wciąż daleko było do końca.

I wtedy zjawił się Skylla.

Ponownie pierwszy mnie dojrzał i zaczął mieczem torować sobie do mnie drogę, byśmy tu, pośrodku pola, na którym trwała rzeź, mogli w końcu wyrównać rachunki. Pojedynek, który powinienem był skończyć w Hunugurii, skończył się wreszcie w Galii.

Jego kołczan był pusty, pociski wystrzelił dawno temu. Był tak jak ja umorusany krwią, swoją czy cudzą nie potrafiłem ocenić. Rok pełen zawiedzionych nadziei rozpałił jego oczy czarnym ogniem i choć żaden z nas nie był w stanie wpłynąć na wynik tej wielkiej bitwy, być może uda się nam wpłynąć na własne przeznaczenie. Popędził konia na rannego legionistę, odrzucając go na bok, tak by dobił go inny Hun i ruszył na mnie. Nasze konie rżały przeraźliwie, gdy zataczaliśmy koła. Cisnąłem włócznią, lecz chybiłem minimalnie i sięgnąłem po miecz. Stał starła się ze stałą z brzękiem, gdy wychylaliśmy się z siodła, starając się nie stracić z oczu przeciwnika. Chciałem go zabić tak bardzo, jak on chciał zabić mnie. Gdyby nie on dawno uciekłbym z Ilaną! Choć za nami podążałaby wojna i Attyła dzierżący magiczny miecz. Może dlatego Skylla kipiał z wściekłości - mimowolnie stał się narzędziem w rękach przeznaczenia.

Byłem ostrożny, choć wyczerpany jak nigdy wcześniej, zaś Hun ruszył na mnie dziko ze świeżymi zapasami sił, jakby w ogóle nie walczył. Nadgarstek wyginał

mi się po każdym z jego uderzeń. Pocitem się ze zmęczenia i strachu, czekając na jego błąd i nie dostrzegając żadnego. Ja za to popełniałem ich za dużo. Źle sparowałem cios i mój miecz pękł w połowie.

Przez chwilę nie wiedziałem, co robić, przyglądałem się głupio zniszczonej broni. Skylla zamierzył się, wznosząc zwycięski okrzyk. Odchyliłem się do tyłu najdalej jak mogłem - poczułem ogon mego konia uderzający mnie w twarz i tylko to mnie ocaliło. Spadłem z konia prosto w tłoczącą się pod mną płataninę ciał, kończyn, trupów i umierających rannych. Gorączkowo szukałem jakiejś broni, czołgając się pomiędzy truchłami koni, ludzkimi nogami, sapiącymi nade mną żołnierzami. Skylla kłął, próbując zmusić konia, by ruszył moim śladem.

Znalazłem topór, martwa dłoń wciąż zaciskała sztywne palce na jego rękojeści.

Wyrwałem go z trudem i przetoczyłem się na bok. Tuż koło mojej głowy zobaczyłem końskie kopyto i zamachnąłem się, by je uderzyć. Skylla szarpnął

wodze i kuc w ostatniej chwili uskoczył. Wstałem, trzymając topór, a Hun oglądał

się nerwowo za siebie, obawiając się ciosu w plecy. Planowałem zrzucić go z siodła, tak jak zrobiłem to wcześniej, i zabić go raz na zawsze, by móc wreszcie poszukać taboru Attyli. Byłem zamroczony z wyczerpania i rozpacz. Chciałem tylko uwolnić Ilanę i uciec z nią jak najdalej od tego szaleństwa. Skylla był

ostrożny, też dobrze pamiętał nasz pojedynek. Widziałem, jak sięga do kołczanu i zawiedziony cofa pustą rękę. Wokoło walały się zużyte strzały, niektóre połamane, niektóre wciąż nadające się do użycia i czekałem cierpliwie, aż schyli się pojedna, bym mógł rzucić się wtedy na jego konia.

Nagle usłyszałem dźwięk rogów tak głośny, że aż nie do zniesienia i pieśń tak wspaniałą, że przypomniła mi opowieści o zstępujących z nieba aniołach, o Jozuem i murach Jerycha. Cóż się działo? Widziałem tylko zmagających się ludzi i wzbijający się w powietrze wszechobecny kurz. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Skylla wjechał pomiędzy walczących, by wyciągnąć wbity w ziemię strzałę.

Podnosząc topór, pobiegłem wprost na niego.

Być może zdążyłbym do niego dopaść, gdybyśmy walczyli na ubitej ziemi.

Potknąłem się o ciało, kuc uskoczył przed moim ciosem, a Skylla podniósł trzy strzały i teraz napinał już cięciwę. Nie miałem gdzie uciec. W pobliżu nie było żadnej tarczy, którą mógłbym się osłonić. Skylla był zbyt blisko, bym uskoczył

przed strzałą. Wiedziałem, że nadchodzi koniec i poczułem ogromny żal, tak jakbym mógł uniknąć tego wszystkiego, gdybym tylko...

Zbliżył się, by mnie zabić.

Wtem zasypał nas grad huńskich strzał. Wbiły się w bok jego kuca.

Wypuszczona przez niego strzała przeleciała obok. Huńscy wojownicy uciekali w popłochu, biegnąc z szeroko otwartymi oczami i krzycząc ochryplymi głosami.

Podnosili z ziemi rannych towarzyszy, wycofując się szeroką falą. Porwali ze sobą przeklinającego i niemającego im przeszkodzić Skyllę.

Wreszcie dostrzegłem powód ich paniki. Na Hunów nacierała teraz ściana naszej jazdy utworzona z rzymskich, wizygockich, frankijskich i alańskich jeźdźców. Tratująca tych przeciwników, którzy byli zbyt powolni, by uciec jej z drogi. Sam puściłem się biegiem, by uniknąć szarżujących kopyt. Zabrzmiały wszystkie rogi - rzymskie i huńskie. Całe pole, od zachodu po wschód, zdawało się poruszać bez ładu, jakbyśmy leżeli na talerzu, który ktoś przed chwilą wywrócił.

Walka przenosiła się w pobliże taboru.

Znalazłem wierzchowca i wspiąłem się na siodło, by lepiej widzieć, co się dzieje. Widok, jaki zobaczyłem, sprawił, że zaniemówiłem. Wizygoci nie uciekli w beładzie, jak się tego obawiałem. Przeciwnie, raz jeszcze ruszyli do boju.

Prowadził ich syn Teodoryka - Thorismund. Szarżowali potężną falą, unosząc ze sobą stojących im na drodze piechurów. Zemsta za śmierć króla i okaleczenie księżniczki! Niektórzy Hunowie próbowali stawiać im opór i ginęli pod kopytami rozpędzonych koni. Dziesiątki tysięcy wycofywało się w stronę wozów, by się za nimi schronić.

Na plecach czuli nasze oddechy.

Słońce migotało na zachodnim horyzoncie. - Do ataku! - krzyknął Aecjusz, przejeżdżając obok. - Do ataku!

Czyżby potężny miecz Marsa rzeczywiście posiadał magiczną moc? Czyżbyśmy mieli zupełnie zniszczyć Attylę?

Ruszyłem do przodu razem z innymi, nie był to jednak atak, lecz raczej trucht zataczających się ludzi.

Walczyliśmy zawzięcie przez połowę dnia. Z trudem niosłem miecz, nie wspominając już o władaniu nim. Huńskie wojsko było w jeszcze gorszym stanie, lecz gdy dobiegli do wozów, dobiegli również do upragnionej wody i odzyskali siły na tyle, by chwycić za łuki i zasypać nas strzałami. Byli poza zasięgiem naszych machin i łuczników. Nie mogąc odpowiedzieć ogniem, natarcie załamało się i stanęło w miejscu. Nikt nie chciał

bezsensownie narażać życia. Nawet ja, który tak bardzo pragnąłem Ilany. Nie wierzyłem, iż udało mi się przeżyć. Całe ciało bolało mnie ze zmęczenia! Nie miałem sił, by walczyć dalej. Wycofaliśmy się poza zasięg huńskich strzał. Od armii Attyli dzieliła nas teraz mila. Upadliśmy na ziemię. Pole, na którym odnieśliśmy zwycięstwo, przypominało rzeźnię po uboju. Słońce zaszło, a ciemności zdały się nam błogosławieństwem zesłanym przez niebiosy. Znalazłem bukłak pełen wody, pociągnąłem łyk i upadłem zemdlony.

Rozdział XXVIII

Miecz Marsa

Przytomność odzyskałem kilka godzin później. Księżyc stał wysoko na niebie, oświetlając pobojuwisko ciągnące się tam, gdzie sięgał wzrok. Nikt nie mógł sobie przypomnieć większej i straszliwszej bitwy niż ta. Któż zliczyłby wszystkie trupy?

Nikt nie się troszczył, by je pochować. Uciekliśmy z tego przeklętego miejsca, pozwalając naturze zająć się wszystkim.

Ta noc, noc po bitwie, była straszna i nawiedzona. W powietrzu niosły się krzyki i jęki rannych. Na pole zbiegły y się bezpańskie psy, by napełnić swe puste żołądki. Podobno, jak powiadali później ludzie, z lasów wyszły też wilki, a ich ślepia świeciły przeraźliwie w świetle księżyca.

Cały świat musiał się zjednoczyć, by pokonać Attylę i nawet teraz, po wygranej bitwie, nikt nie był pewien, czy rzeczywiście udało się go pokonać, czy ledwie powstrzymać na jeden wieczór. Wycofał się, lecz kto wie, czy nie wyjedzie ze swego obozu o świcie i czy walka nie rozpocznie się na nowo? Cena, jaką przyszło zapłacić za nasze zwycięstwo, była ogromna i nie zapomni się o niej przez wieki. Jeszcze nigdy tylu ludzi nie zginęło w tak krótkim czasie.

Ginęli nie tylko ludzie, lecz również konie, całymi tysiącami. W świetle księżyca widziałem trupy walczących i zwierząt tworzące dziwne wzory - linie, łuki i koła, które znaczyły miejsca, gdzie toczyły się najcięższe boje. Niektórzy z ocalałych włóczyli się po pobojuwisku, szukając przyjaciół bądź krewnych.

Większość wyczerpana padła tam, gdzie stała i teraz trupy przykrywali swymi ciałami śpiący bądź nieprzytomni. W powietrzu unosił się zapach krwi, moczu i kału. Jutrzejszego popołudnia czujemy zapach zgnilizny, lecz do tego czasu nasza armia odpoczywała między poległymi.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, co powinienem zrobić. W ciągu ostatniego roku byłem świadkiem tak przerażających zdarzeń, że życie stało się dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Jedyne łut szczęścia tym razem ocalił mnie przed Skyllą.

Czemu? Jaki Bóg mógł mieć cel w tym, by mnie tak bardzo doś wiadczać?

Mógłbym poszukać Aecjusza, tylko w jakim celu? Mógłbym czołgać się, szukając Ilany, która była teraz bardziej odległa niż kiedykolwiek. Pomiędzy nami stała wciąż armia Attyli. Mogłem raz jeszcze stanąć naprzeciw Skylli, lecz on, tak jak ja, zdawał się być nieśmiertelny. Jakimś przewrotnym zrządzeniem losu stał się najbliższym mi wojownikiem. Dzieliliśmy tę samą miłość, te same bitwy i tę samą przebytą drogę. Zastanawiałem się, czy gdy skończy się ten koszmar, będziemy mogli przestać ze sobą walczyć i usiąść gdzieś naprzeciw siebie, częstując się winem i kumysem, ogrzewając się przy ognisku, próbując przypomnieć sobie młokosów, którymi niegdyś byliśmy.

Czy odszedł na zawsze zabrany przez szarżę Wizygotów? A może nadal polował na mnie, skradając się niepostrzeżenie z łukiem i strzałą?

Zbadałem swoje ciało i ze zdumieniem stwierdziłem, że nie jestem ranny, pomimo zakrwawionego

ubrania, siniaków i otarć. Nie dorównywałem trzem czwartym poległych wojowników, lecz to ja przeżyłem, nie oni. Czemu? Pytanie znów cisnęło się na usta. Kiedyś myślałem, że doświadczenie wyjaśnia wszystkie tajemnice życia, lecz okazało się, że jedynie je mnoży.

Usiadłem pogrążony w ponurych myślach, bezużyteczny jak mój połamany miecz, póki nie dostrzegłem czarnego kształtu zbliżającego się powoli w moją stronę, kluczącego pośród ciał, jakby ktoś szukał poległego kompana. Nie będzie miał łatwego zadania. Rany były tak dotkliwe, zaś zabici stratowani końskimi kopytami, iż wielu niepodobna było rozpoznać. Podziwiałem jego lojalność.

Prawda okazała się jednak odmienna. Jego postura i ruchy stawał y się z każdym krokiem niepokojąco znajome i nagle moje wyczerpanie ustąpiło miejsca podnieceniu. Wstałem, chwiejąc się na boki. Tajemniczy wojownik się zatrzymał, księżyc świecił za jego plecami prosto w moją twarz. Przemówił łagodnym głosem, stojąc trzydzieści kroków ode mnie: - Alabanda?

- Czy ty kiedykolwiek odpoczywasz? - Głos łamał mi się ze zmęczenia.

- Nie przyszedłem, by z tobą walczyć. Zmęczyło mnie zabijanie. Dzisiejszy dzień nie był wojną, lecz szaleństwem. Zniszczył mój lud. - Skylla przyglądał się ciałom. - Ilana potrzebuje naszej pomocy, Jonaszu z Konstantynopola.

- Ilana? - wykrzyknąłem głośno ukochane imię.

- Attyla oszalał. Boi się całkowitej porażki, kazał wznieść stos z drewnianych siodeł i swego najcenniejszego dobytku. Jeśli Aecjusz przebije się przez ustawioną z wozów palisadę, zamierza podłożyć ogień i rzucić się w płomienie.

Serce zabiło mi szybciej. Czy kagan był aż tak zdesperowany, czy też Skylla zastawiał na mnie sidła?
- Gdy Attyla zginie, być może Ilana odejdzie wolna -

zasugerowałem wyczerpanym głosem.

- Kazał przykuć ją łańcuchami do stosu. Zamarłem.

- Czemu mi to mówisz?

- Wydaje ci się, że przyszedłbym do ciebie, Rzymianinie, gdybym nie musiał?

Nękasz mnie od chwili, gdy po raz pierwszy przecięły się nasze drogi. Wczoraj bliski byłem zakończenia twego życia, lecz przeszkodzili temu bogowie. Teraz wiem już dlaczego. Tylko ty możesz ją ocalić.

- Ja? - Czy prowadził mnie prosto w pułapkę? Czy podstępem chce wygrać to, czego nie udało mu się osiągnąć w tylu pojedynkach?

- Nie można jej uwolnić - powiedział Hun. - Stos otoczony jest tysiącem wojowników. Attyla gotowy jest wymienić ją za miecz.

A więc o to chodziło. - Miecz Marsa.

- Jego utratę obarczył winą za wszelkie zło, jakie spadło dzisiejszego dnia na nasz lud. Połowa narodu leży teraz martwa na poboju. Nie będziemy już w stanie atakować, lecz wciąż możemy wycofać się jak armia - w porządku - nie jak uciekający w popłochu motłoch. Miecz przywróci memu ludowi ducha.

- To ty oszalałeś! - krzyknąłem. - Nie mam miecza. Dałem go Aecjuszowi.

Czy sądzisz, że będzie chciał go oddać teraz, gdy ostateczne zwycięstwo jest w zasięgu ręki?

- Będziemy go musieli zatem wykraść, tak jak ty wykradłeś go Attyli. - Nigdy!

- Jeśli tego nie zrobimy, Ilana spłonie na stosie.

Spojrzałem w otaczające nas ciemności, głowa boleśnie dawała o sobie znać.

Czy zaszedłem tak daleko i walczyłem tak zażarcie tylko po to, by zobaczyć moją ukochaną trawioną przez płomienie z powodu odniesionego zwycięstwa? Czemu los musi być tak potwornie okrutny? Z drugiej strony Skylla prosił mnie, bym dla jednej kobiety zaryzykował tryumf rzymskiej armii, bym oddał w ręce Attyli symbol, który pomoże mu wlać wiarę i odwagę w pokonane wojska. Nie miałem żadnej gwarancji, że Hunowie uwolnią Ilanę, gdy zwrócę miecz. Może dla zabawy i mnie cisną na stos? Może w taki sposób Skylla chce się mnie pozbyć - zwabiając podstępem do obozu?

A może rzeczywiście ją kochał? Kochał tak bardzo, że mające się wydarzyć szaleństwo w jakiś sposób przemówiło mu do rozsądku.

Stałem w bezruchu, próbując trzeźwo myśleć. - Gdy ją uratujemy, który z nas ją dostanie?

- O tym zadecyduje Ilana. - Mogłem się spodziewać, że to powie, gdyż założyłem z góry, iż wybierze mnie. Była przecież Rzymianką. Czy aby na pewno to, co mówił, było prawdą? O tym, że Ilana żyje, dowiedziałem się z jego ust, nie miałem innego dowodu. Mogła zginąć dawno temu, w Hunuguni, wyjść za Attylę, a nawet Skyllę! Obiecałby mi złote góry, byleby tylko odzyskać miecz. Nie wiedzieć czemu, patrząc na niego - człowieka, którego poznałem aż za dobrze -

wiedziałem, że nie kłamie. Czułem to swym sercem, choć rozsądek podpowiadał

inaczej. Wojna połączyła nas osobliwymi więzami.

Jeśli nic nie zrobię, Ilana zginie. Jeśli zgodzę się na plan Skylli, z dużą dozą prawdopodobieństwa zginiemy oboje. Czyż nie było żadnych szans na ratunek?

Ziarno rozpaczliwej nadziei poczęło powoli kiełkować w moim umyśle.

- Nie wiem nawet, gdzie jest teraz miecz - powiedziałem, myśląc na głos. A gdyby relikwiarz posłużył innym celom, gdyby demoralizował, zamiast dawać siły?

- Każdy głupi wie, gdzie jest. Widzieliśmy, jak Aecjusz uniósł go nad głowę, gdy rozgorzała bitwa. Tam, gdzie śpi wasz wódz, śpi też miecz.

- To szaleństwo.

- Szaleństwem jest waga, jaką przywiązują rozumni ludzie do tego starego, zardzewiałego kawałka żelastwa - powiedział Skylla. - Obaj dobrze wiemy, że nie posiada magicznych mocy, że to tylko przesądna paplanina. Miecz nie zmieni wyniku dzisiejszej bitwy, nie odmieni tego, co zdarzy się jutro. Mój lud nie ujarzmi Zachodu. Zbyt wielu jest tu ludzi do ujarzmienia. Lecz miecz ocali Ilanę, ocali mego kagana. Ocali mój honor.

Przyglądałem mu się, myśląc, jak wprowadzić swój plan w życie.

- Musimy działać razem, Jonaszu. Dla niej.

Na obrzeżach poboju, gdzie odpoczywała rzymska armia, dziesiątki tysięcy ocalałych żołnierzy spało ja zabici; każde mięsień, każde włókno ich ciał

było wyczerpane stoczoną walką. Tysiące rannych znoszono lub odczołgiwali się tu sami, by umrzeć. Kolejni w pełni sił żołnierze przybywali, by dołączyć do wojsk Aecjusza - tak powszechny był odzew mieszkańców Galii na śmiertelne niebezpieczeństwo. Wojna nie miała zamiaru się skończyć. Nowo przybyli stali rzędami pośród poległych. Nieśli ze sobą świeże zapasy jedzenia i wody, pchali katapulty i balisty, gotując się do jutrzejszego starcia. Część ich wysłano na poboju, by zbierali nadające się do ponownego użycia strzały. Zatrzymałem się obok cieśli pracującego przy katapulcie, wymieniliśmy szeptem zdania i dostałem od niego narzędzie, za które otrzymał jego ośmiokrotną wartość.

Drogę do namiotów, w których utworzono sztab Aecjusza, rozświetlały pochodnie. Zostawiłem z tyłu Skyllę i nakazałem mu ukryć się pośród poległych i udawać trupa. Wezmę miecz perswazją lub nie wezmę go w ogóle - we dwóch nie moglibyśmy utorować sobie drogi przez czuwającą rzymską armię. Poszedłem sam, wiedząc, że Aecjusz uzna mnie za szaleńca, lecz czy w pewnym sensie miecz Marsa nie należał się również i mnie? Czy ryzykowny krok, jaki miałem zaproponować rzymskiemu wodzowi, był czymś gorszym niż powtórna rzeź?

Jeśli Aecjusz potrzebował przypomnienia, jaką profesją się parzył, noc wypełniały dźwięki, które nie pozwoliły mu o niej zapomnieć. Słyszałem krzyki rannych dobiegające z sąsiednich namiotów, łączące się w jeden przeraźliwy chór.

Kończyny tych, którzy nie mieli wystarczająco wiele szczęścia, by wyjść z bitwy bez szwanku, cięto, nastawiano i obwiązywano pośpiesznie bandażami.

Naokoło wykopano rów i wzniesiono palisadę. Bałem się, że zatrzymają mnie strażnicy, kładąc kres moim planom, zanim zdążę wprowadzić je w życie. Moje obawy okazały się grubo przesadzone - Jonasz z Konstantynopola uchodził za pomocnika, posła, szpiega i doradcę generała. Wytarłszy sobie twarz, przeszedłem bez przeszkód pośród salutujących mi legionistów.

Cóż będzie znaczyła kolejna śmierć? - zapytałem sam siebie. - Nawet moja?

- Myśleliśmy, że zginąłeś - powiedział pewien centurion. Zobaczyłem wizygockich i frankijskich wartowników i małą galaktykę lamp rozświetlającą jeden z namiotów, z którego dochodził niski pomruk. Najwyżsi rangą wodzowie i królowie nie zmrzyli jeszcze oka, najwyraźniej wciąż rozprawiając i planując, co zrobią, gdy wszędzie słońce. Aecjusz musi być pośród nich, a ja musiałem porozmawiać z nim na osobności.

Gdzie też mógł położyć ten stary miecz? Nie zabrał go na naradę. Nie mógł

podkreślać jego znaczenia, by nie urazić walczących u jego boku królów.

Dzisiejszy tryumf należał także do nich. Musiał się nim podzielić. Broń leżała zatem gdzieś w namiocie.

- Generał posłał mnie po mapy i miecz - skłamałem. Aecjusz podróżował z mapami całej zachodniej Europy, ślęcząc nad nimi co wieczór niczym kupiec nad domowym budżetem. Gdy byłem jego pomocnikiem, posyłał mnie po nie setki razy.

- Czy nigdy nie zamierza odpocząć? - zapytał wartownik śpiącym głosem, zdradzając się z własnymi pragnieniami. Wyglądał na przybitego, tak jak większość nas.

- Zamierza. Gdy odniesie całkowite zwycięstwo - odparłem. - Módlmy się, by miecz położył wszystkiemu kres.

Podniosłem połę namiotu, szukając kolejnych wartowników. W środku nie było nikogo. Zawahałem się celowo, wiedząc, że moje słowa i zachowanie, które nie wzbudziłyby podejrzeń w wyczerpanym strażniku, mogły zaniepokoić tępego służbę. Coś poruszyło się na zewnątrz namiotu, coś małego i tajemniczego.

Wszedłem do środka.

Było ciemno, zapaliłem lampę. Dostrzegłem meble tworzące wyposażenie -

łóżko, składany stół - i stertę przepoconych i zabrudzonych krwią ubrań. Gdzie był

miecz? Szukałem go po omacku. Ach! Leżał zawinięty w koce na łóżku niczym kurtyzana. Poglądziłem znajomą chropowatość wyszczerbionego metalu - ciężki i niezgrabny. Jakże zdumiewający był jego rozmiar! Czyżby faktycznie wykuli go bogowie? Czy los zdecydował o tym, że znalazł go Attyla, a wraz z nim odwagę, by spróbować zawładnąć światem? Czy los zdecydował o tym, że skradnę go i oddam Aecjuszowi? Jakże bawiła się z nami fortuna, upodobując nas sobie jednego dnia, by przekląć następnego. Podnosząc nas na duchu, by później zniszczyć nasze nadzieje. Nie umiałem sobie tego wytłumaczyć.

Wyciągnąłem pilnik i przystąpiłem do pracy.

Po chwili jakiś cień stanął za moimi plecami. - A więc postanowiłeś zabrać to, co ofiarowałeś,

Jonaszu Alabando? - zapytał łagodnym tonem Aecjusz.

- Postanowiłem ofiarować go w inny sposób.

- Specjalny wartownik powiedział mi, bym sprawdził, co zamierzasz.

Uśmiechnąłem się pod nosem. - Spodziewałem się, iż ten wartownik będzie dziś jeszcze na służbie.

Zza pleców generała wychynął mały kształt. - Odpocząłbym należycie, gdybym nie musiał wciąż cię pilnować, Jonaszu - powiedział Zerkon i uśmiechnął

się szczerze.

- Usiądźcie, proszę. - Wskazałem stolki, jakby namiot należał do mnie. - Dziwi mnie, że wciąż możecie stać o własnych siłach.

- Dobrze - powiedział Aecjusz, przyjmując moje zaproszenie. - Powiedz teraz, co zamierzasz zrobić z tym żelastwem? Zabić Attyłę? A może chcesz je tylko naostrzyć?

Odłożyłem na bok pilnik. - Kobietę, którą kocham, Attyła kazał przykuć łańcuchem do pogrzebowego stosu. Ma jutro spłonać razem z władcą Hunów, jeśli zaatakujemy obóz i zwyciężymy. Powiedział mi o tym Hun i wierzę jego słowom.

- Skylla - domyślił się karzeł.

- Łączy nas jakaś tajemnicza więź. Tak jak ciebie i Attyłę, wodzu. Jak ciebie i Zerkona. Połączeni kaprysem losu. Młody wojownik jest bratankiem huńskiego wodza Edekona. To z nim walczyłem w Noricum, gdy przybyłeś nam z pomocą.

- A tak. Odważny Hun, który pędził za tobą aż na terytorium Rzymu. Czy to on pozdrowił cię dziś przed bitwą?

- On.

- Teraz lepiej rozumiem dlaczego. Chce wymienić kobietę na miecz?

- Tak.

- Też się w niej kocha?

- Tak.

- I wierzysz, że Attyła zgodzi się na wymianę?

- Nie. Zabierze miecz, tego mogę być pewien, lecz pała straszliwą żądzą zemsty za podpalenie pałacu. Gdy wejdę do obozu, zginę i nic nie osiągnę.

Aecjusz uśmiechnął się ciepło. - Nie widzę zatem w twym planie krzty logiki.

- Z obozu Attyli nie będzie ucieczki. Ani możliwości uratowania Ilany. Dla mnie zaś dalszego życia bez niej. Widziałem wielu ludzi ginących za swoje przekonania i teraz gotów jestem zginąć za to, w co wierzę. Za nią.

Generał przyglądał mi się z niedowierzaniem.

- Chcę poprosić Skyllę, by została z nim, by wymienił moje życie na jej.

Hunowie mają na to określenie. *Konoss*. Zapłata za dług. Sposób, w jaki rodziny i klany rozwiązują spory. Zapłacę *konoss* Attyli - moje życie za jej - i Skylli - miecz za przyrzeczenie, że zaopiekuje się nią, jak umie najlepiej.

- Pozwolisz Attyli zebrać wojowników przy tym symbolu po tych wszystkich trudach, przez które przeszliśmy - powiedział z wyrzutem Zerkon. - By jedna kobieta odeszła wolno z Hunem, zamiast spłonąć na stosie!

- Tak. - Wzruszyłem ramionami. - Nie zniósłbym myśli, że umiera. Nie, gdy tylu już dziś zginęło. Czy zniósłbyś utratę Julii, Zerkonie?

Zapadła długa i nieprzyjemna cisza. Po czym głos zabrał Aecjusz.

- Doceniam twą gotowość do poświęceń, lecz czy wydaje ci się, że pozwolę ci, ot tak po prostu, wziąć miecz, by wymienić go za nic?

- Nie wziąć, jeśli mam być dokładny.

- Cóż zatem?

Wyjawiłem im mój plan.

Tym razem milczeli dłużej, szacując w głowach ryzyko.

- Attyla musi być zdruzgotany porażką, jeśli chce rzucić się na stos -

powiedział, przerywając w końcu milczenie Aecjusz.

- W rzeczy samej.

- Moja armia jest w nie lepszej formie. Liczba poległych przeszła nasze najczarniejsze przypuszczenia, a straty grożą rozpadem sojuszu.

- Thorismund poprowadził do boju Wizygotów po śmierci ojca, lecz jego brat łaknie korony równie mocno jak on. Wizygoci, którzy szarżowali o zachodzie słońca z tak szaleńczą dzikością i jednością, o świcie mogą być już podzielonym ludem. Anthusa zadowolona śmierć Kłody, lecz obawia się kolejnych ofiar -

Frankowie biją się bez należytego odpoczynku od dwóch dni. Sangibanus nienawidzi mnie za to, że kazałem mu zająć środek naszych linii. *Olibriones* nie mają kondycji, by walczyć następnego dnia - nie są już najmłodszy. Mógłbym tak wymieniać w nieskończoność. Koniom potrzeba więcej wody, machinom brakuje pocisków, kołczany są puste. Wszystkie nękające Hunów problemy trapią także nas. Lecz my mamy na głowie o jeden problem do rozwiązania więcej. Attyla jest tyranem; tak długo, jak żyje, strachem utrzyma koalicję podległych mu plemion w posłuszeństwie. Ja mogę próbować jedynie zwykłą perswazją, a tylko zagrożenie ze strony Hunów zjednoczyło zachodnie plemiona. Choć Attyla groził, iż zniszczy Zachód, w rzeczywistości mimowolnie scalił go w jedno. Gdy zginie w jutrzejszym ataku, wraz z nim zginie na sz sojusz i wpływ Rzymu. Nie będziemy naszym sprzymierzeńcom do niczego potrzebni. Wychodzi na to, iż Aecjusz potrzebuje Attyli, tak jak Bóg potrzebuje szatana.

Siedziałem zakłopotany. - Chcesz, by wygrał?

- Chcę, by przeżył. Żadnego z nas nie stać na jutrzejszy atak, lecz jeśli się wycofa, okaleczony, ale z twarzą, pozostawi mi w rękach narzędzie - lęk przed Hunami - dzięki któremu będę mógł utrzymać jedność Zachodu. Dwa dni temu był największym zagrożeniem dla Rzymu. Jutro byłby nim jego brak.

Utrzymywałem przy życiu cesarstwo przez trzydzieści lat, równoważąc jedne siły drugimi i tak też postąpię tym razem. Attyla musi się wycofać - rozbity, lecz nie pobity.

- Dasz mi zatem szansę, bym spróbował?

Zerkon roześmiał się, widząc wyraz mojej twarzy. - Tylko głupiec amator, wyczerpany walką i chory z miłości, wpadłby na równie absurdalny pomysł, co ty, Jonasz Alabando! - Pokiwał głową, potwierdzając swój werdykt. - I tylko głupiec zawodowiec, jak ja, mógłby wpaść na nonsensowne pomysły mogące go jeszcze ulepszyć!

Rozdział XXIX

Obóz Attyli

Wraz ze Skyllą przedzieraliśmy się po ciemku przez pobojuwisko jak przez zdradzieckie bagna. Na wschodzie powoli świtało, ledwie oświetlając nam drogę.

Kroczyliśmy uważnie, mijając ostrza, strzały, włócznie, kawałki zniszczonych zbroi i ciała, które ciągnęły się, jak okiem sięgnąć - tysiące za tysiącami, za tysiącami trupów. Najgorszym widokiem byli dogorywający ranni pełznący niczym ślimaki, błagający żałośnie o wodę. Nie mieliśmy ze sobą ani kropli i w poczuciu winy przemykaliśmy obok. Było ich tak wielu! Gdy dotarliśmy do huńskiego obozu, miałem dość wojny do końca życia.

Raz jeszcze zawiesiłem na plecach ogromny miecz, lecz tym razem ciążył mi, jakbym dźwigał krzyż. Czy mi się uda? Za chwilę miałem się o tym przekonać.

Zapewne stracę na zawsze jedyną osobę, na której naprawdę mi zależało.

Ucieklszy z paszczy lwa, pchałem się w nią teraz dobrowolnie. Głupiec, bez dwóch zdań głupiec ze mnie.

Skylla przywiązał kuca do drzewa stojącego na skraju poboju - szary cień skubiący zroszoną trawę, obojętny na otaczające go ciała. Obok niego dostrzegłem drugiego konia, zaś jego ruchy i kształt zdały mi się znajome.

- Pojedziemy do Attyli wierzchem - powiedział Hun. - Przyprowaździłem twoją klacz.

- Diana!

- Dodałem japo twojej ucieczce do swego stada. - Odwrócił się do mnie i w świetle księżyca zobaczyłem dobrze mi już znany uśmiech odsłaniający błyszczące zęby. - Nadaje się tylko na mleko, ale i tak zostawiłem ją sobie.

Nagle poczułem przyływ braterskich uczuć dla tego Huna, tego barbarzyńcy.

Mój najbardziej znenawidzony wróg stał się, zaraz po Hanie, najbliższym mi człowiekiem, bliższym nawet niż Zerkon. Działaliśmy wspólnie, by ocalić życie, a nie by je zabierać. A ja zamierzałem go zdradzić.

Wsiedliśmy na konie i pojechaliśmy. Mój rzymski strój zwracał uwagę, lecz Skylla był dobrze znany huńskim wojownikom, a promienie wschodzącego słońca oświetlały jego twarz tak, iż można go było z łatwością rozpoznać. Wartownicy zerwali się na nasz widok z ziemi, lecz odsunęli się i pozwolili przejechać.

Wjechaliśmy do ogromnego taboru, otoczonego przez niniejsze obozy. Zmęczone kuce pasły się pomiędzy nimi, skubiąc trawę. Łucznicy wciąż spali w cieniu wozów, gotowi się zbudzić, gdy zaatakują Rzymianie.

Nasze wierzchowce przeskoczyły nad dyszlem i podjechaliśmy do drugiej, wewnętrznej linii wozów ustawionej jak drugi wał murów Konstantynopola.

Zastanawiałem się, czy nie był to pomysł Edekona, który dobrze się przyjrzał

umocnieniom mojego miasta. Przeskoczyliśmy kolejny dyszel i zobaczyliśmy namioty, a zaraz za nimi starannie przygotowany stos, na którym miał spłonąć władca Hunów. Rósł na wysokość dwudziestu stóp, ułożone jedno na drugim leżały i piękne, i zwykłe drewniane siodła, jedwabie, draperie, rzeźbione meble, futra, szaty, klejnoty, perfumy, insygnia i sztandary. Wiele stanowił o łup ostatnich miesięcy. Attyla nie tylko zamierzał odebrać sobie życie, chciał, by te kosztowności nie dostały się z powrotem w rzymskie ręce.

Rozpoznałem Ilanę przywiązaną do siodła i serce ścisnął mi potworny ból.

Spała bądź zemdląła, gdyż oczy miała zamknięte. Myślałem, że zobaczę zmasakrowaną i zagłodzoną niewolnicę, moim oczom zaś ukazała się kobieta ubrana w cudowną jedwabną suknię ozdobioną klejnotami. Cóż to miało znaczyć?

Czy Attyla wziął ją za żonę? Może jest jego konkubina? Czy ta ostatnia podróż pójdzie na marne?

Dotknąłem ramienia Skylli, zatrzymując go. - Posłuchaj mnie. Chcę, byś zaopiekował się Ilaną i zabrał ją jak najdalej stąd, jak najdalej od walczących armii.

- O czym mówisz?

- Attyla nie puści nas wolno. Wiesz o tym. Może jednak pozwoli odejść tobie razem z Ilaną, jeśli zaoferuję mu *konoss*. Moje życie i miecz w rekompensacie za pożar jego pałacu, w zamian za życie twoje i Ilany.

Popatrzył na mnie, nie dowierzając moim słowom. - Nie przyprowadziłem cię tu, byś zginął, Rzymianinie. Gdybym tego chciał, dawno byś już nie żył.

- Nie chodzi o to, czego ty chcesz, lecz o to, czego chce Attyla. Pomyś! To jedyna nadzieja na ocalenie Ilany. Attyla pomyśli, że ożenisz się z nią i przy nim pozostaniesz. Obiecuj mi jednak, że uciekniecie stąd, by mogła wieść normalne życie. Widziałeś nasze cesarstwo, Skylo. Żyj tam razem z nią.

Potrząsnął uparcie głową. - Wciąż niczego nie rozumiesz, Rzymianinie!

Widziałem twoje cesarstwo i napełniło mnie odrazą! Zbyt wielu ludzi, zbyt wiele rzeczy do gromadzenia, zbyt wiele praw do przestrzegania!

- Lecz to jest jej świat. Nigdy nie będzie szczęśliwa w waszym. Wiesz o tym i musisz się z tym pogodzić. Musisz mi to obiecać, jeśli mam zaoferować siebie jako *konoss*.

- A jeśli tego nie zrobię?

Sięgnąłem do tyłu ręką, by poluzować na plecach wielki miecz. Podniosłem go i położyłem przed sobą na siodle. - Wtedy zginę, próbując zabić Attyle, Ilana spłonie na stosie, a ty zawisniesz na krzyżu za sprowadzenie mnie do huńskiego obozu.

Pokręcił ze wstrętem głową zakłopotany moją propozycją i pomyślałem, iż być może Skylla czuje do mnie to samo, co ja do niego, iż szukał mnie na polu bitwy z powodu samotności. Na pewno nie zawierzał mi w pełni. W końcu wzruszył

ramionami i powiedział: - Dobrze, jeśli tego chcesz, poświęć się. Pojadę z Ilaną, gdziekolwiek będzie chciała.

- Dziękuję ci. - Ukłoniłem się zadowolony z odpowiedzi Huna. Moje dyplomatyczne misje doprowadziły do straszliwej rzezi, a starania, by uwolnić Ilanę, do jej jeszcze gorszej niewoli. Zaoferowanie własnego życia po ofierze, jaką złożyło tak wielu, dziwnie ulżyło memu sercu.

Spodziewałem się po Skylli innej reakcji, tymczasem wydał mi się zdenerwowany i zniecierpliwiony. - Tylko nie daj się zabić, nim nie uwolnimy Ilany.

Zsiedliśmy z koni. Jakże osobliwe było to pojednanie ze Skyllą! Oto ja, samotny Rzymianin, pośród tysięcy Hunów dzień po najstraszliwszej bitwie w dziejach ludzkości. Ludzie tłoczyli się wokół nas niczym obwąchujące psy. Jeden owiązany zakrwawionym bandażem zdał mi się znajomy i przyjrzałem mu się dokładniej. Eudoksjusz, grecki medyk! Stał pośrodku armii, o której marzył, zaś jego nemezis - Aecjusz - mógł ją zniszczyć każdej chwili. Też mnie rozpoznał i ze wzdargą odwrócił wzrok.

Prócz Ilany do stosu przykuty był tuzin innych pięknie wystrojonych i przerażonych kobiet. Pragnienie władzy trawiące Attyłę doprowadziło jego lud na krawędź zniszczenia. Skoro miał zginąć, chciał zabrać ze sobą najbliższych jego sercu.

Ilana, teraz obudzona, patrzyła na mnie i Skyllę zdumionym wzrokiem.

Staliśmy razem jak sprzymierzeńcy, ubrudzeni zaschniętą krwią, kurzem i ziemią.

Dostrzegła miecz i jej oczy zaszyły mgłą. Wiedziałem, że pragnęła rzymskiego zwycięstwa i zemsty na Attyli bardziej niż czegokolwiek innego na świecie.

Bardziej niż własnego życia.

Kagan wyskoczył ze swego namiotu.

Jeśli bicz boży choć na chwilę zmrużył oczy tego wieczoru, poł ożyć się musiał

do łoża, nie zdejmując z siebie zbroi. Od kurzu i potu włosy były zlepione w strąki, rzadką brodę przyprószyła siwizna, a spojrzenie ze zmartwienia lub niewyspania było przekrwione. Byłem wstrząśnięty tym widokiem i wydaje mi się, że Skylla również. Attyła postarzał się o dekadę, odkąd go widziałem, być może w ciągu jednej zaledwie doby.

- Ty! - zakrzyknął i muszę przyznać, że podskoczyłem w siodle. Zbyt wiele razy widziałem, jaki robi użytek z władzy. Teraz wydało mi się, że porażka odebrała mu zmysły, szaleństwo zastąpiło rozsądek. Nigdy Attyła nie zszedł z pola bitwy, gdy zwycięstwo nie było przesądzone bądź w zasięgu jego ręki. Czekał

teraz za taborem na Aecjusza, który przybędzie, by dokończyć dzieła. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak zdecydowany był nasz tryumf. Złamaliśmy ducha potężnego władcy.

Podniosłem miecz, tak by mógł go zauważyć. - Przybywam od Aecjusza, kaganie.

Przyglądał mi się podejrzliwie. Momentalnie wrodzona przebiegłość zastąpiła zdziwienie. - Chce się ukladać?

- Nie, kaganie. Ja chcę. - Wskazałem na Ilanę. - Ta kobieta niczemu nie zawiniła. Nie jest winna temu, co stało się w Hunugurii. Wykradłem ją z twych komnat, zabrałem miecz i podłożyłem ogień. Jej jedyną winą było to, że porwałem ją i była ze mną wtedy. Przybyłem, by ofiarować ci *konoss*. Przywiozłem miecz Marsa, a za jej życie daję ci swoje. Zabij mnie, lecz puść ją wolno.

Attyla zmrużył oczy. Odwrócił się do Skylli. - A ty, jaką grasz w tym wszystkim rolę?

- Przysiągłem, że przywiozę z powrotem miecz. Dopełniam przysięgi.

Kagan chrząknął głośno. - I nadal chcesz w zamian to, co ci obiecałem?

Młody Hun pokiwał twierdząco głową. - Ilana pójdzie wolna ze mną.

Rzymianka zakrzyknęła rozpaczliwie: - Jonaszu! To nie ma najmniej...

- Przybywam nieuzbrojony, by ratować kobietę, którą kocham - przerwałem jej. - Moje życie jest niewielką ceną, jeśli kupię za nią jej życie. Oddaj ją Skylli i pobłogosław ich mieczem Marsa.

Attyla patrzył uważnie, przenosząc wzrok ze Skylli na mnie. Trójka, która miała stać się za chwilę parą. - Tak bardzo zależy ci na tej *druugh*? - Było to huńskie określenie na kobiece genitalia.

Przełknąłem ślinę. - Rzuć mnie w płomień zamiast niej.

Attyla wciąż się wahał.

- To *konoss*, kaganie - powiedział jeden z wodzów. - Musisz go przyjąć.

Zadrzałem, rozpoznając głos. Edekon. Nie patrzył na mnie, lecz przyglądał się z zaciekawieniem swemu bratankowi.

Attyla rzucił mi gniewne spojrzenie. Czy nie wciąż galiśmy go przypadkiem w pułapkę? - Niczego nie muszę przyjmować. - Zmrużył chciwe oczy. - Daj mi miecz. - Pozostali wodzowie pokiwali głowami, chcąc jak najszybciej odzyskać magiczny talizman.

- Wpierw pozwól jej odejść ze Skyllą.

- Wpierw daj mi miecz. A może mam cię teraz zabić?

Zawahałem się, lecz nie miałem innego wyjścia. Podeszedłem do władcy Hunów, a on chwycił żelazną rękojeść, opierając ostrze o trawę. Dzielili nas ledwie cale.

Twarz wykrzywił mu na pół uśmiech, na pół grymas. - Tym razem nie pójdzie ci tak łatwo.

Położyłem dłoń na ostrzu. - Dobiliśmy targu.

- Który mam zamiar zmienić. - Odwrócił się i rozkazał: - Rozwiążcie dziewczynę.

Pociłem się na całym ciele, choć poranek był chłodny. Wojownicy rozwiązali Ilanę i stała teraz sztywno zakłopotana i rozglądająca się naokoło uważnie.

Attyla podniósł głos, tak by wszyscy mogli go usłyszeć. - Dziewczyna może odejść. *Konoss* będzie wypłacony, lecz warunków zapłaty nie będzie dyktował

rzymski zabójca. - Popatrzył na Ilanę, uśmiechając się złowieszczo. - Ona zadecyduje, z kim odejdzie... Ze Skyllą czy z Rzymianinem.

- Co takiego? - zakrzyknęła zdziwiona.

- Ten, którego nie wybierze, zajmie jej miejsce na stosie.

- Nie!

- Po cóż to kolejne szaleństwo, kaganie? - zapytał Edekon. Skylla zbladł, przyglądając się swemu władcy z zakłopotaniem.

- Odrzuciła dwa dni temu lepszą ofertę. Niech teraz zadecyduje. Którego z zalotników pośle na śmierć?

- Nie mogę decydować o czyimś życiu bądź śmierci! To potworne!

- Zatem przykuję cię z powrotem do stosu i podpale od ręki! Który?!

Poczułem nudności, sprawy wymykały się spod kontroli. Gdzie moi sprzymierzeńcy? Czy Attyla rzeczywiście zamierzał zabić Skyllę zamiast mnie?

Czemu bawił się ludzkim życiem w tak okrutny sposób? Ile niewinnych ofiar będzie musiało zginąć dla kaprysu tego tyra? Patrzyłem na Ilanę niemogącą z przerażenia wykonać najmniejszego ruchu i poczułem, jak wzbiera we mnie wściekłość. Czyżby to Chryzafiusz miał rację, nie Aecjusz? Zabić Attyłę, a znikną wszystkie problemy!

Natarłem na niego głową i pchnąłem. Wylądowaliśmy wraz z mieczem na ziemi. Nim zaskoczony zdołał powstać, doskoczyłem do jego pleców i chwyciłem go mocno, przystawiając do karku tępe, lecz wciąż śmiertelnie niebezpieczne ostrze. Wlokłem go za sobą w kierunku stosu, który osłoniłby moje plecy. Klinga była tak długa, iż wydawało mi się, że trzymam przy gardle kagana włócznie.

- Miecz stał się jego obsesją i przekleństwem! - krzyknąłem. - Skrzywdźcie nas, a skrócę Attyłę o głowę!

- Rzymski podstęp! - ryknął Edekon. Chwycił za miecz. Pozostali Hunowie też sięgnęli po broń, lecz zawahali się, gdyż zasłaniałem się ciałem ich władcy jak tarczą. Kątem oka zauważyłem, że Eudoksjusz wymyka się bokiem.

- To nie jest żaden podstęp, wodzu! - zakrzyknął inny głos. - Strzeż się przekleństwa miecza, Attylo!

Wreszcie! Dwie osoby przepychały się przez otaczającą nas grupkę gapiów, nie zważając na ich gniewne utyskiwania, tak jak nie zwraca się uwagi na ujadanie psów. Dosiadali jednego konia, niższy patrzył na mnie z podziwem.

- Wreszcie znalazłeś swą miłość, Alabando - zakrzyknął Zerkon.

Uwaga Hunów skupiła się momentalnie na nowo przybyłych.

- Pomyśl, co przydarzyło się twemu ludowi, odkąd znalazłeś miecz! - krzyczał

wyższy z dwójki. - Zastanów się, gdzie był przez ten czas. U Rzymian!

- Cóż to ma znaczyć? - Attyla wściekły chwycił z trudem oddech. - Czy do mojego obozu może już wjechać każdy, komu przyjdzie na to ochota?

Wódz eskortujący jeźdźców padł na kolana i przyglądał się w osłupieniu rysującemu się przed jego oczami obrazowi: ja i Attyla przypominaliś my dwójkę zmagających się zapaśników, twarze Ilany i Skylli pobladały y z przerażenia, Edekon patrzył na nas morderczym wzrokiem, gotów zabić wszystkich. - Powiedzieli, że przywożą pilne wieści od Aecjusza - bronił się Hun. - Powiedzieli, że jeśli nie wpuszczę ich do środka, grozi nam zguba. Poznałem karła. To demon, panie. Lecz większość nas rozpoznała też i tego świętego człowieka.

- Świętego? - Attyla jeszcze bardziej zmrużył oczy. - Na bogów! Pustelnik!

Edekon drgnął. Też rozpoznał człowieka, którego ja znałem jako biskupa Aniana.

- Brzydzę się karłem - powiedział kagan. - A ciebie, pamiętam cię...

- Tak jak i ja cię pamiętam, biczu boży - przemówił Anian. Byłem zbity z tropu. Czy ta dwójka spotkała się wcześniej? - Ukaraleś Zachód i oczyściłeś go z grzechów. Nadszedł czas, byś wrócił tam, skąd wypelzłeś. Zostaw miecz. To, czego pożądałeś, zepsuło twój lud.

- Zepsuło?

- Zanurzony w święconej wodzie, pobłogosławiony przez biskupów i namaszczonej krwią naszego Zbawcy. Myślałeś, że Aecjusz jest na tyle głupi, by oddać chłopcu źródło huńskiej mocy w zamian za jedną dziewczkę?! To nie jest już miecz Marsa, Attylo! To miecz Pana Naszego Jezusa Chrystusa! Dla ciebie jest już przeklęty i jeśli zabierzesz go z sobą, twój lud zginie do szczętu.

Attyla szarpał się nerwowo i musiałem przycisnąć mu ostrze do gardła. -

Pozwól nam odejść, a puszcze cię wolno - wyszeptałem mu do ucha.

- Śmieliście przybyć do mego obozu i straszyć mnie przekleństwami? - kagan krzyknął w stronę biskupa.

- Przybyliśmy ze szczerym sercem, by cię ostrzec. Zastanów się! Czy temu młodemu głupcowi udałoby się wykraść niepostrzeżenie miecz z namiotu Aecjusza? A może generał pozwolił mu go zabrać? Zapytaj go.

Attyla wykręcił głowę. - Czy to prawda?

- Aecjusz powiedział, że chce byś przeżył...

- Pomyśl! - przerwał mi Anian. - Miecz nie przyniósł ci szczęścia, kaganie.

Niemalże czułem, jak władca Hunów rachuje w myślach wszelkie za i przeciw. -

Zatem dla Rzymian miecz też jest przeklęty. Popatrzcie na pobojuwisko, moi wodzowie. Aecjusz stracił więcej żołnierzy niż my.

Zerkon zaśmiał się głośno. - I dlatego kryjecie się w obozie jak wystraszone kundle?!

Edekon chwycił za miecz i wyciągnął go z pochwy do połowy. Widząc to, krzyknąłem: - Nie rób tego! - Nachyliłem się do ucha Attyli. - Moje życie za twoje. Ilana za miecz. Dłużej cię nie utrzymam. Zabiję ciebie i siebie tym samym, jeśli nie pozwolisz nam odejść w pokój.

Nie odpowiedział. Pot zrosił nasze twarze. Ilana była teraz biała niczym marmurowy posąg, Skylla zaś oszołomiony rozgrywającą się przed nim sceną.

Wreszcie Attyla chrząknął i powiedział: - Dobrze. Zgadzam się. - Nikt się nie ruszył. Nie byliśmy pewni, czy nie myli nas słuch. - Możesz odejść. Razem z wiedźmą Odejdź i nęčaj Aecjusza, nie mnie! Oboje rzuciliście uroki na mój obóz, odkąd się w nim znaleźliście. Zostawcie miecz, a puszcę was wolno.

Wyczułem jakiś ruch na krańcach stosu, tuż za moimi plecami. Koń czył nam się czas. - Mam twoje słowo?

- Masz moje słowo. Lecz wiedz, iż jeśli staniemy kiedyś naprzeciw siebie w walce, zabiję cię.

Zwolniłem uścisk i odsunąłem się na bok, trzymając w pogotowiu miecz, czekając na podstęp. Oczywiście Attyli przypominały płaskie groty włóczni. Nie ruszył

jednak w moim kierunku i nie wypowiedział żadnego rozkazu. Eudoksjusz, który wspinał się na stos, by strzelić mi w plecy, zatrzymał się i opuścił łuk.

Attyla potarł dłonią czerwony kark. - Miecz, Rzymianinie.

Schylając się ostrożnie, położyłem go w trawie, po czym zacząłem cofać się w stronę Diany. - Potrzebuję konia dla Ilany.

- Dajcie jej jednego - krzyknął kagan.

Wskoczyłem na Dianę, a Ilana dosiadła drugiego konia. Skylla patrzył na nas smutnym wzrokiem, nie wypowiadając jednego słowa, wreszcie godząc się z tym, że nigdy nie będzie z kobietą, którą kocha.

- Skylllo, jedź z nami - zaproponowałem.

Wyprostował się dumny, pełen pogardy i pewności siebie. - Jestem Hunem -

powiedział i te dwa słowa wyjaśniły wszystko.

- Skylla... - powiedziała Ilana łamiącym głosem. - Wiem, co...

- Wyoście się stąd, nim zmienię zdanie - przerwał jej Attyła.

Młody Hun pokiwał głową. Chciałem dać coś memu wrogowi i przyjacielowi zarazem. Tylko co? Z pewnością nie Ilanę. Szlochała cicho, a łzy spływały jej po policzkach.

- Odejdźcie - powiedział, krztusząc się, Skylla. - Odejdźcie Rzymianie i przestańcie nas psuć.

- Teraz! - wyszeptał ponagłajaco Zerkon.

Nie wierzyłem, że jeszcze żyję. Że Ilana jest przy mnie, że pojawił się Anian, że miecz, który niosłem na plecach, leży teraz w trawie. Hunowie niechętnie schodzili nam z drogi, nasze szeregi migotały na horyzoncie. Mogło nam się udać!

Zza mych pleców dobiegł mnie znajomy głos. - Wpadłem na lepsze zakończenie dla tej historii, kaganie.

Odwróciliśmy głowy i zobaczyliśmy Eudoksjusza mierzącego z łuku w Ilanę.

Strzała drżała w niepewnych rękach, a twarz Greka wykrzywił grymas pełen nienawiści.

- Nie!

Wystrzelił. Skylla rzucił się do przodu bez zastanowienia, próbując mu przeszkodzić. Strzała trafiła go, przewracając na plecy. Patrzył ze zdziwieniem na wystające z piersi lotki.

Przeżony Eudoksjusz wpatrywał się w niego z otwartymi ustami.

- Hun dotrzymuje raz danego słowa. - Skylla z trudem łapał oddech, z ust pociekła mu czerwona strużka.

Do naszych uszu dobiegł przeraźliwy okrzyk. Grek odwrócił się i zadrżał na chwilę przed tym, zanim spadł na niego ze świstem miecz Edekona, niemalże przecinając go na dwoje.

- Teraz! Teraz! - krzyknął Zerkon. - W nogi!

Attyła ryknął, podniósł z ziemi miecz Marsa i trzymając go w obydwu dłoniach, biegł w naszym kierunku, krzycząc jak szaleniec. Wjechałem między niego a Ilanę. Zamierzył się, lecz minimalnie chybił. Czuję podmuch powietrza na twarzy. Ostrze trafiło w siodło, prawie przewracając Dianę.

I pękło.

Rozleciało się na tysiące kawałków, które upadły na trawę jak potłuczone szkło. Przesądni Hunowie rzucili się na ziemię, zasłaniając się rękoma. Ich władca patrzył z niedowierzaniem na żelazną rękojeść.

- Sam się przekląłeś! - krzyknął biskup.

Kopnęliśmy boki koni i pochyliliśmy się nisko w siodłach. Hun podbiegł, aby chwycić uzdę Diany, i przejechałem po nim w pędzie. Ktoś złapał konia Ilany, odciągając go na bok. Guernna! Moja ukochana uderzyła ją pięścią niewolnica zatoczyła się do tyłu i upadła.

Przed nami wyrosły wozy tworzące wewnętrzny obóz. Strzały przeleciały wysoko nad naszymi głowami. Łucznicy bali się trafić swych pobratymców.

Krzyczano na alarm, lecz nikt nie wiedział, z której strony wypatrywać zagrożenia. Kto postrzelił Skyllę? Kogo zabił Edekon? To, co wydawało się zwyczajnymi układami, przeistoczyło się w krwawą jatkę.

Odwróciłem się i zobaczyłem Attyłę i Edekona zamarłych w bezruchu, przyglądających się resztkom miecza. Mój pilnik dobrze się sprawił.

Koń Ilany wyprzedził mnie i widziałem, jak przeskakuje nad przeszkodą.

Diana skoczyła tuż na nim. Wjechaliśmy do zewnętrznego obozu i pędziliśmy w stronę pierwszej linii wozów. Hunowie dopiero budzili się ze snu, prostując z wysiłkiem zmęczone członki i chwiejąc się na nogach, gdy mijaliśmy ich w galopie.

Przejechaliśmy przez ognisko, rozrzucając na boki garnki i stojących przy nim ludzi. Kilku Hunów podbiegło, by nas zatrzymać, lecz przewrócił ich pęd gnających koni. Skoczyliśmy nad dyszlami, kopyta uderzyły o krawędzie wozów.

Znów byliśmy na poboju, śpiesząc do rzymskiego obozu przez pole usłane trupami. Coś zamigotało na niebie, podniosłem głowę i zobaczyłem spadające na nas pociski. - Strzały! - krzyknąłem.

Spadły tuż obok z sykiem, nie trafiając jednak nikogo.

Rzymianie odpowiedzieli ogniem. Ilana pośpieszała konia, z przerażeniem patrząc na okaleczone i zmasakrowane ciała. Wjechaliśmy do obozu Aecjusza, ludzie wznosili okrzyki na cześć biskupa Aniana. Zasapany popatrzył em do tyłu.

Tabor Attyli był dwie mile za nami. Obok mnie z czerwonymi wypiekami na twarzy stała Ilana.

Byliśmy bezpieczni. Byliśmy wolni.

Rzymski dowódca siedział już w pełnej zbroi na koniu, gotów do walki, jeśli zaszłaby taka potrzeba.
- Co się stało?

- Skylla nas uratował - powiedział Zerkon.

- A miecz rozleciał się na drobne kawałeczki - dodał Anian. - Nieomylnie znak od Boga.

Aecjusz pokiwał głową. - W rzeczy samej. - Odwrócił się do mnie i uśmiechnął się chytrze.

- Gdy trzymałem go przy gardle Attyli, modliłem się, by nie pękł.

- Gardle Attyli?!

- Tak w dzisiejszych czasach zwykłem prowadzić dyplomatyczne rozmowy, generale. Attyla żyje, lecz złamaliśmy jego ducha, dokładnie jak sobie tego życzyłeś.

Aecjusz potrząsnął głową zdumiony przebiegiem opisywanych zdarzeń. - A to jest kobieta, dla której gotów byłeś zaryzykować życie całych narodów?

- Pomogłeś mi ocalić ją przed płomieniami.

- Widzę, czemu tak ci na niej zależało. Co teraz robi Attyla, młody dyplomato?

- Wziąłem głęboki wdech i zastanowiłem się przez chwilę. - Był przerażony wynikiem bitwy i zniszczeniem miecza. Jeśli dasz mu szansę, wyjdzie mi się, iż wycofa się do Hunugurii.

- Zgadzasz się z tym osądem, biskupie?

- Sądzę, iż Hunowie wezmą zniszczenie miecza za znak potęgi rzymskiego Boga. Gdybym dowodził twoją armią, wstrzymałbym natarcie. Jeśli zaatakujesz, możesz wygrać bądź przegrać, lecz jeśli poczekaasz...

- Nie sądzą, by żołnierze posłuchali mego rozkazu, gdybym kazał im szturmować huński obóz. Są przemęczeni wczorajszą bitwą.

- Strzeż zatem swych linii, zbierz z pobojowiska poległych i módl się do Boga.

To, co zacząłeś wczoraj na polu bitwy, Alabanda dokończył dziś, niszcząc miecz.

Chwiałem się na nogach z wyczerpania, przepelniony równocześnie smutkiem i radością. Skylla leżał martwy, miecz rozpadł się na drobne kawałki, odzyskałem Ilanę, pokonaliśmy Attyłę...

Położyła mi dłoń na ramieniu. - Wracajmy do domu - wyszeptała.

Lecz gdzież był teraz nasz dom, po tym wszystkim, co przeszliśmy.

Raz jeszcze horyzont zasłoniły kłęby dymu, lecz tym razem oznaczały odwrót, nie natarcie. Attyla nie podłożył ognia pod gigantyczny stos, lecz nakazał spalić niepotrzebne wozy i zrabowane dobra, których nie mogła unieść przetrzebiona armia, po czym ruszył z powrotem tam, skąd przyszedł. Inwazja Galii dobiegła końca. Aecjusz podążał za nim powoli i w bezpiecznej odległości, nie chcąc prowokować kolejnej bitwy. Wizygoci oddzielili się, by zawieźć zwłoki poległego króla do Tolosy, Anthus odjechał z Frankami, by umocnić swą władzę. Ogromna armia Zachodu zaczęła się rozpadać.

Na niebie gromadziły się burzowe chmury i w końcu spuściły na ziemię strugi deszczu, oczyszczając

z posoki mały strumień płynący wszcz pobjowiska. Zbroje pokryła rdza, kości ścierały się na proch, z ziaren poczęły wyrastać nowe rośliny.

Największe starcie w dziejach ludzkości cierpliwie i powoli pochłaniała ziemia.

Zerkon i Julia postanowili pozostać w świecie Aecjusza. - Jestem zbyt pokraczny i brzydki, by wieść normalne życie pośród ludzi - powiedział mi kiedyś. - Zbyt szybko też ogarnia mnie nuda, bym mógł żyć na poważnie. Aecjusz jest moją przyszłością.

- To niebezpieczny wybór, Zerkonie.

- Przynajmniej dzięki temu nie umrę z nudów. Zobaczymy, czy nie dołączysz do mnie po roku bądź dwóch spędzonych przy pracy na roli.

Aecjusz dał mi za me zasługi hojną nagrodę i zaoferował większą, jeśli zgodzę się zostać przy nim, by służyć jako pomocnik i dyplomata. Nie skusił mnie jednak.

Razem z Ilaną pojechaliśmy na zachód.

Nie będę rozwodził się nad naszym ponownym spotkaniem, gdyż było osobistą sprawą nas dwojga. Mogę jedynie nadmienić, że mieliśmy sobie do powiedzenia tysiące rzeczy i tysiące, o których nie musieliśmy mówić. Anian udzielił nam ślubu w zagajniku młodych topoli. Trzymaliśmy się odtąd siebie kurczowo, tak jak małże trzymają się kadłuba statków, póki nie nasyciliśmy się naszą miłością.

Pojechaliśmy razem z biskupem do Aurelianum, jak najdalej od Attyli.

Czego szukaliśmy? Nie byliśmy pewni i rzadko na ten temat rozmawialiśmy.

Mijaliśmy na swej drodze tysiące wyludnionych gospodarstw, które moglibyśmy zająć, lecz każde z nich przywodziło na myśl rodziny, które w nich niegdyś mieszkały. W Aurelianum wsiedliśmy na łódź, która zabrała nas w dół Loary.

Jakże leniwy był jej letni prąd! Jakże kojący! Gdy spotykaliśmy ludzi rozmawiających o ruchach wojsk, omijaliśmy ich szerokim łukiem. Nie chcieliśmy, by przypominano nam o wojnie.

Nasza podróż dobiegła końca, gdy trafiliśmy na wyspę na milę długą i szeroką, której brzegi wznosiły się stromo ponad wodą, daleko od tumultu rozkrzyczanego świata. Trawa była na niej zielona i żółta, a niebo złote od letnich promieni. Na jej brzegach rosły kwiaty, ptaki kłębiły się w koronach drzew. Przemierzaliś my ją wszcz i wzdłuż, a rośliny czepiały się naszych ubrań.

Mieliśmy wystarczająco dużo złota, by wynająć robotników i wybudować dom oraz gospodarstwo. Wreszcie znalazłem kawałek ziemi, dla którego walczyłem, nawet tego nie wiedząc. Tu powstaną nowe narody z popiołów ustępujących im miejsca i odchodzących w mroki przeszłości. Zachód ocalał, lecz zmienił się bezpowrotnie. Cesarstwo przechodziło do historii. Stoczyło swą ostatnią i wspaniałą bitwę. Coś innego - coś, co zbudujemy my i nasze dzieci - zajmowało jego miejsce.

Kroczyliśmy po łąkach wysepki, szukając odpowiedniego miejsca na wzniesienie domu, zajądając

się w słońcu dojrzałymi jabłkami. Chciałem, by dom powstał na wschodnim brzegu. - Tak by przypominał nam, skąd pochodzimy -

powiedziałem Hanie.

Potrząsnęła głową i poprowadziła mnie za rękę na przeciwległy kraniec wyspy.

Patrzyliśmy w rozgrzane letnimi promieniami zachodnie niebo. - Nie chcę patrzeć w przeszłość, Jonaszu. Chcę patrzeć w przyszłość - wyszeptwała.

I tak też zrobiliśmy.

Epilog

Attyłę pokonano w bitwie na Polach Katalaunijskich w roku pańskim 451, lecz tak jak nakazał Aecjusz, nie zniszczono zupełnie. Równowaga sił, którą „Ostatni Rzymianin” próbował utrzymać, wymagała, aby Hunów powstrzymano, lecz nie pokonano. Czyż Aecjusz nie używał ich kiedyś, by karali w jego imieniu nieposłuszne plemiona? Czyż zagrożenie, jakim był Attyła, nie usprawiedliwiało w wystarczający sposób konieczności trwania Cesarstwa Rzymskiego? Był to niebezpieczny sposób prowadzenia polityki, mądry jednak w swoim realizmie.

Attyła nigdy nie odzyska już sił i od tej pory żaden wschodni najeźdźca nie zpuści się tak daleko na zachód. Sojusz ocalił Europę.

Historia, rzecz jasna, nie miała stanąć w miejscu. Cesarz Walentynian, który na czas trwania wojny schronił się w Rzymie, był równie zazdrosny o odniesiony sukces, co wdzięczny za pokonanie Hunów. Na wieść o pokoju oskarżył Aecjusza o nieudolność i pozwolenie na wycofanie się Attyli do Hunugurii.

Ambicje Hunów wciąż nie były zaspokojone. Po wylizaniu się z ran następnego roku Attyła najechał na północną Italię, chcąc ratować swój prestiż i honor, łupiąc Rzym. Lecz jego zdziesiątkowane i zmęczone wojska wjechały na ziemię cierpiącą głód i zarazę, która zabijała więcej Hunów niż rzymskie miecze.

Gdy papież Leon spotkał się z Attyłą, by odwieść go od zamiaru oblężenia Rzymu, kagan tylko czekał na wymówkę, by móc wycofać się z twarzą. Tak zakończyła się jego ostatnia wielka kampania.

Następnego roku Attyła poślubił kolejną żonę, młodą piękność zwaną Idilka, jakby chciał uśmierzyć ból po wszystkich porażkach i niepowodzeniach. W noc poślubną, gdy zaniósł ją do łóżka, stracił przytomność, a z nosa pociekła mu krew.

W roku pańskim 453 władca Hunów utopił się we własnej krwi.

Jego dziwaczna śmierć oznaczała koniec huńskiego imperium. Żaden z jego następców nie miał wystarczającej charyzmy, by zjednoczyć wszystkie klany i plemiona pod swoją komendą. Hunowie sami rozerwali się na sztuki, na wschodzie rozwiały się burzowe chmury.

Tryumf Aecjusza przesądził o jego losie. Zazdrosny cesarz W alentynian zaskoczył wodza, zeskakując pewnego dnia ze swego tronu i przesywając go mieczem rok po śmierci Attyli. Następnego roku, 455, poplecznicy Aecjusza zamordowali Walentyniana. Tak jak Attyla był ostatnim z Hunów mogącym ze swego ludu uczynić zagrożenie, tak Aecjusz był ostatnim wielkim Rzymianinem czuwającym nad jednością Zachodniego Cesarstwa. Wraz z jego śmiercią rozpad imperium nabrał szybszego tempa, Zachód podzielił się na szereg barbarzyńskich królestw. Wydawało się, iż rzeczywiście spełniła się wizja, jaką w śnie miał

Romulus.

A co stało się z próżną i lekkomyślną Honorią, która pomogła tym wielkim zdarzeniom wystąpić? Ona też zniknęła z kart historii - Pandora nawiedzająca po dziś dzień Katalaunijskie Pola.

Nota historyczna

Niewiele jest tematów bardziej zasługujących na termin „fikcja historyczna”

niż powieść o Attyli, władcy Hunów. Postacie i zdarzenia, w które najtrudniej uwierzyć - karzeł Zerkon oraz grecki medyk Eudoksjusz; prośba Honorii o ratunek; planowany przez Chryzafiusza zamach; okaleczenie przez Wandalów córki Teodoryka; znalezienie miecza, który Attyla uznał za oręż bogów - są prawdziwe. Pisarzowi pozostaje jedynie domyślić się bądź znaleźć w nad wyraz skromnych źródłach historycznych i archeologicznych szczegóły dotyczące codziennego życia ludzi żyjących w piątym wieku: jak się ubierali, co jedli, jak podróżowali. Kilku rzymskich kronikarzy z tego okresu, których dzieła dotrwały do naszych czasów, poświęca mało uwagi faktom, które obecnie dla nas są tak bardzo interesujące. Dlatego też autor niniejszej książki został zmuszony do posłużenia się bardziej wyszukаныmi narzędziami, niż początkowo zamierzał.

Historia, którą opisałem, jest wierna prawdzie na tyle, na ile udało o mi się tę prawdę ustalić, posilując się nie tylko badaniami naukowymi, lecz także eksponatami muzealnymi z Francji, Austrii, Niemiec i Węgier oraz stanowiskami archeologicznymi rozsianymi po całej Europie. Niniejsza książka nie jest jednak tekstem antropologicznym. Nawet najbardziej nieustrudzeni badacze historii Hunów przyznają się do tego, jak mało o nich wiedzą.

Hunowie i barbarzyńskie ludy, które spotkali podczas swego marszu, nie znały pisma, dlatego też podstawowe informacje o nich pochodzą z pisanych źródeł

rzymskich i greckich, w których autorzy, co zrozumiałe, przeplatać musieli fakty z własnymi przesądami. Rejestr stanowisk archeologicznych jest skromny, gdyż stepowi nomadowie nie zabierali ze sobą tego, co przeszkadzałoby im w podróży, zaś to, co ze sobą wieźli, łatwo się psuło i niszczyło. Hunowie nie bili własnej monety, nie rzeźbili w kamieniu, nie produkowali narzędzi, nie siali zbóż i nie wykonywali z trwałych materiałów podobizn swych władców. Znaleziono biżuterię, ceramikę i brązowe kotły, które z całą pewnością były przez nich używane, choć sami ich nie wytwarzali. Wiemy, że opowieści o spłaszczaniu czaszek są prawdziwe, gdyż znaleziono takowe w podobny sposób zniekształcone.

Jednak ich pieśni, opowieści, legendy i język zniknęły bezpowrotnie. Wiemy o wiele więcej o społeczeństwach znacznie starszych, jak chociażby o Babilończykach, lub też bardziej egzotycznych, jak Majowie, a także bardziej odległych, jak Eskimosi, niż o panujących w Europie Hunach.

Wszystko staje się jeszcze bardziej interesujące, gdy weźmiemy pod uwagę, iż -

z wyjątkiem być może Dżyngis Chana - Attyla jest najslawniejszym barbarzyńcą w całej historii ludzkości. Jego imię rozpoznają ludzie, których zainteresowania dalekie są od historii, choć nie wiedzą dokładnie, kim był ani co osiągnął. Fakt, iż jest tak dobrze znany nawet po szesnastu wiekach, jest świadectwem ogromnego wpływu, jaki wywarł na ludzką wyobraźnię podczas panowania, które trwało krócej niż rządy Adolfa Hitlera. Dla ludów, które Hunowie najechali, ich nazwa stała się synonimem takich słów jak katastrofa, najazd bądź ciemności. Choć mijały kolejne wieki, legenda o nich pozostawała żywa. Żywa tak bardzo, iż aliancy propagandziści podczas pierwszej i drugiej wojny światowej nie potrafili wymyślić bardziej obraźliwego określenia dla Niemców niż

„Hunowie”. I nieważne było, iż to właśnie germańskie plemiona stały na czele oporu powstrzymującego huńskie najazdy! Tak jak nazizm jako potężny ruch zniknął po śmierci Hitlera, tak imperium Attyli rozpadło się po jego śmierci. Minęło tym samym zagrożenie, jakim dla całej Europy byli nomadowie.

Dokładna data narodzin władcy Hunów, początki jego życia, dojście do władzy, stosowana w walce taktyka bądź dokładny opis sposobu zarządzania wielkim imperium są nam nieznane. Miejsca jego pochówku do tej pory nie znaleziono, zaś okoliczności jego śmierci wciąż owiane są tajemnicą. Niektórzy badacze twierdzą, iż rzeczywiście udusił się własną krwią, gdy pijany stracił przytomność, lecz inni wysunęli hipotezę, iż mógł zostać zamordowany. Można się spierać, czy huńskie imperium wywarło jakiś trwały wpływ na politykę Europy.

Mimo to Attyla pozostaje barbarzyńskim królem, którego każdy pamięta. Czemu?

Jedyną analogią, która przychodzi mi na myśl, zdolną wytłumaczyć ten paradoks, jest postać Jezusa z Nazaretu, o którym także wiemy niewiele, a którego nauki stały się podstawą jednej z największych religii naszego świata. Mając na uwadze różnice ich żywotów i przyświecających im celów, możemy stwierdzić, iż obaj mieli charyzmę, która na trwałe zapisała się w pamięci potomnych oraz pozostawili po sobie legendę i spuściznę znacznie wykraczające poza ramy ich krótkich żywotów.

W przypadku Attyli wydaje mi się, iż powodem, dla którego jest pamiętany, było zagrożenie, jakie niósł, oraz konieczność poniesienia ogromnych ofiar, jakie były potrzebne, by go powstrzymać. Mówiąc w skrócie, gdyby Attyla nie został

pokonany w bitwie na Katalaunijskich Polach (lub w bitwie pod Chalons, jak zwą ją niektórzy) pozostałości rzymskiej cywilizacji przechowywane przez chrześcijański Kościół nie dotrwałyby do naszych czasów. Rozkwit i wzrost znaczenia zachodniej Europy zaczęłyby się później, a być może wchłonęłaby ją cywilizacja islamska bądź bizantyjska i historia odkryć, podbojów i postępu potoczyłaby się zupełnie innym torem. Fakt, iż papież Leon pomógł przekonać Attyłę do wycofania się z Italii w 452 roku, co przez Kościół zostało okrzyknięte cudem, tylko dodał kolejną cegiełkę do i tak już ogromnej legendy. Im bardziej przedstawia się Attyłę jako zagrożenie, tym bardziej cudowny zdaje się sukces pertraktacji papieża. Podobnie rzecz się ma z nordycką i germańską legendą o Nibelungach, gdzie występuje postać Etzela, której pierwowzorem był Attyla -

wyraźny dowód na to, jak z historii władcy Hunów przeniósł się także do kultury.

W tej oto opowieści Etzel, król Hunów, którego poślubia mściwa wdowa Kriemhilda, sieje z jej podjudzenia mord i zniszczenie, gra zatem rolę nieodbiegającą zbytnio od tej, jaką odgrywał w rzeczywistym życiu. Echo historii o wielkiej napaści ze wschodu pobrzmiwa w zachodniej literaturze przez wszystkie wieki. Weźmy chociażby za przykład Tolkienowskiego *Władcę Pierścieni*. Po Hunach przybyli w siódmym wieku Awarowie, po nich w dziesiątym Madziarzy, Mongołowie w trzynastym, Turcy oblegali mury Wiednia w wieku siedemnastym, zaś Sowieci podporządkowali sobie znaczną część Europy w wieku dwudziestym. Historia Attyli oddziałuje na nas tak silnie, gdyż jest po części historią samej Europy.

Ta opinia o znaczeniu Attyli, którą przedstawił Gibbon w swym klasycznym dziele *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego*, a także historycy dziewiętnastego wieku, tacy jak Edward Creasy w swej książce *Fifteen Decisive Battles of the World*, nie jest tak popularna wśród współcześnie żyjących historyków. Uczni pracują na swój dorobek, kwestionując bądź korygując teorie swych poprzedników, i dlatego niektórzy z nich twierdzą, iż w przeciwieństwie do Dżyngis Chana, Attyla zawiódł zarówno jako zdobywca, jak i budowniczy imperium. Dla nich bitwa na Katalaunijskich Polach jest jedynie epizodem w długiej historii upadku Cesarstwa Rzymskiego, zaś Hunowie ludem, który zniknął

w mrokach dziejów niczym dym. Aecjusz, „Ostatni Rzymianin”, według nich osiągnął jedynie utrzymanie status quo, zaś pozwolenie na wycofanie się Hunów po bitwie czyni kampanię roku 451 jeszcze mniej znaczącą.

Dodajmy do tego kwestionowanie prawdziwości opisów bitwy, a zwłaszcza jej ogromu, sporządzonych przez współczesnych jej kronikarzy, którzy zapisali, iż w starciu wzięło udział od pięciuset tysięcy do miliona walczących, zaś liczba ofiar liczyła w zależności od źródła od stu sześćdziesięciu do trzystu tysięcy wojowników. W rzeczy samej, liczby te wydają się przesadzone, co nie jest dziwne, jeśli weźmiemy pod uwagę czasy, w których powstały kroniki, i skłonność ich autorów do nadmiernej przesady w opisie. Współcześni badacze zaniżają liczebność wojsk biorących udział w starożytnych bitwach (choć z nieznanymi autorowi przyczyn stosują ten zabieg tylko w przypadku takowych bitew) do dziesięciu procent podawanych przez kronikarzy.

Skłaniam się ku pogładowi leżącemu gdzieś pośrodku. Tak jak wierzący chrześcijanie twierdzą, iż po śmierci Jezusa musiało stać się coś, co rozpało ogień nowej religii, choć niektórym trudno pogodzić się z faktem Zmartwychwstania, tak ja sugeruję, iż stało się coś, co odróżniało kampanię Attyli w Galii od zwykłych barbarzyńskich najazdów, tak iż pamięć o niej rozbrzmiewa do dziś.

„Bój stał się zażarty, bezlitosny, potworny - bój, jakiego nie zapisały starożytne kroniki - pisał kronikarz późnej starożytności, Jordanes. - W tej najsławniejszej wojnie pomiędzy najdzielniejszymi z plemion padło po obu stronach sto sześćdziesiąt tysięcy ludzi”. Pisarz Idiatius oszacował liczbę zбитych na trzysta tysięcy.

Wiedząc o tym, iż łączna liczba ofiar poległych w najkrwawszym dniu wojny secesyjnej, pod Antietam, wynosiła dwadzieścia trzy tysiące, musimy z niedowierzaniem spojrzeć na liczby pozostawione nam w starożytnych kronikach.

W jaki sposób dowódcy późnej starożytności byli w stanie zaopatrzyć tak ogromne armie, kierować nimi i dowodzić? Jednak na Katalaunijskich Polach wydarzył o się coś niezwykłego. Starożytne armie, zwłaszcza barbarzyńskie, nie potrzebowały tak złożonego systemu zaopatrzenia jak dzisiejsze. Wielkie rzesze wojowników mogły zebrać się na sezonową kampanię. Który z Amerykanów uwierzyłby przed Pearl Harbor, że do 1945 roku Stany Zjednoczone, która ówczesna populacja była dwa razy mniejsza od obecnej, stać będzie na wystawienie armii liczącej szesnaście milionów mężczyzn i kobiet? Lub że ZSRR wyjdzie z drugiej wojny zwycięsko, choć straci dwadzieścia milionów obywateli? Lub że w Woodstock w stanie Nowy Jork pół miliona młodych ludzi zbierze się, by oglądać koncert rockowy na świeżym powietrzu, choć z nieba siąpić będzie deszcz? Ludzie robią czasami niezwykle rzeczy. Największa bitwa Attyli była prawdopodobnie jedną z tych

niezwykłych rzeczy, choć nigdy nie poznamy jej szczegółów. Nie możemy nawet określić dokładnego miejsca, w którym się rozegrała. Moja podróż do Francji i zwiedzanie pięknych pól leżących pomiędzy Chalons a Troyes w niczym mi nie pomogły, gdyż znalazłem setki miejsc odpowiadających skromnemu opisowi pola bitwy, który zostawił nam Jordanes. Pośród francuskich oficerów poszukiwanie owego pola stanowi zawodowe hobby. Ten brak precyzji nie jest niespotykany.

Nie zlokalizowano dotąd dokładnego miejsca wielu ważnych i decydujących o biegu historii bitew, wspomnijmy chociaż by Kanny, Issos, Plateje i Zameę.

Starożytni nie przerabiali pól bitewnych na lunaparki i miejsca rozrywki.

Przy pisaniu tej książki natrafiłem na przeszkody, gdyż główne źródła wiadomości o Hunach są przeraźliwie skąpe. Chyba najważniejsze są trzy źródła. Pierwsze stanowią dzieła rzymskiego historyka Ammiana Marcelhna, który je pisał

o pojawieniu się Hunów w Europie. Drugie to pisma Olimpiodora z Teb, którego opis podróży do Hunów nie dotrwał do naszych czasów, lecz posłużył jako źródło dla innych, późniejszych historyków i w takiej pośredniej formie dotarł też do nas.

Trzecim źródłem są dzieła Pryskusa z Panion, który brał udział w pechowym poselstwie do Attyli, podczas którego wyszedł na jaw spisek na jego życie. Pryskus też jest pierwowzorem postaci Jonasza (choć historyk był znacznie starszy i miał

lepsze koneksje). Prawdopodobnie z dzieła Pryskusa zaczerpnął Jordanes żywy opis Attyli: „Wyniosły w swej postawie, rzucający spojrzenie na wszystkie strony, tak by władza tego dumnego człowieka manifestować się mogła w każdym ruchu jego ciała... Był niskiego wzrostu, o szerokiej piersi, masywnej głowie i małych oczach. Jego broda była rzadka i naznaczona siwymi włosami, nos płaski, a cera śniada zdradzająca tym samym jego pochodzenie”.

Gdzie leżała ojczyzna Hunów? Nie wiemy. Niektórzy uczeni umieszczają ją na Dalekim Wschodzie, tam gdzie leży dzisiejsza Mongolia, inni na rosyjskich stepach. Ich pochodzenie było tajemnicą także dla Rzymian, lecz opowiadane z ust do ust legendy głosiły, iż pojawili się na światowej scenie, podążając za białym jeleniem przez bagna Cieśniny Kerczyńskiej na Krym.

Czy powieść ta jest zatem „prawdziwa”? Jej główni bohaterowie, z wyjątkiem Jonasza, Ilany i Skylli, są historycznymi postaciami, żyli naprawdę. Wzbogaciłem ich żywoty szczegółami, które pasowały do mojej opowieści, lecz rola, jaką w rzeczywistości odegrali, pozostała przede mną niezmienną. Opis rzymskiego poselstwa i kampanii roku 451 w przybliżeniu pokrywa się z pogmatwanymi niekiedy opisami Pryskusa i innych historyków. Do „faktów” dodać można prawdopodobną znowę pomiędzy Hunami i królem Sangibanusem, która miała doprowadzić do poddania Aurelianum, oraz wzniesienie przez Attylę po przegranej bitwie pogrzebowego stosu. Nie wiemy jednak, czy Aurelianum rzeczywiście zostało obleżone przez huńskie wojska ani czy Attyla rzeczywiście wznosił rzeczony stos, gdyż wzmianki o tym w jednych źródłach się pojawiają, w innych zaś ich brak.

Zbierając materiał do niniejszej książki, nie tylko przeczytałem dostępne źródła, lecz również

odtworzyłem i przebyłem prawdopodobną trasę huńskiej inwazji. Odwiedziłem wiele muzeów, oglądałem ocalałe przedmioty i zrobiłem, co w mojej mocy, by przywrócić do życia czasy charakteryzujące się niezwykle skomplikowaną polityką i kulturą. Zadanie nie było łatwe, tym bardziej że żaden z europejskich narodów nie przyznaje się do huńskiego dziedzictwa. Nawet w Węgierskim Muzeum Narodowym, choć jest w nim sala poświęconie przedstawiająca ten tajemniczy lud, nie znalazłem najmniejszej nawet wzmianki o tym, iż nazwa państwa wywodzi się od Ludzi Świtu. Choć imię Attyła wciąż jest na Węgrzech popularne, zaś w Budapeszcie wystawiono w 1993 roku operę rockową, której bohaterem był sławny władca, Węgrzy wolą wywodzić swą historię od Madziarów.

Jakaż szkoda że źródła nie są obszerniejsze! Ostatnie publikacje naukowe przedstawiają „barbarzyńców” w bardziej przychylnym świetle. Być może Hunowie także na nie zasługują. Podejrzewam, iż rzeczywisty obraz tych burzliwych czasów był o wiele dziwniejszy, niż założyłem na potrzeby tej książki. Historie przeze mnie opowiedziane musiały zdarzyć się naprawdę. Z jakimi problemami musieli borykać się ludzie próbujący utrzymać równowagę na łamiącym się lodzie, jakim było Cesarstwo Rzymskie!

Rzecz jasna, do opowieści dodałem wiele od siebie. W dostępnych źródłach nie ma opisu skradzenia miecza, jedynie wzmianka, iż takowy istniał. (Sześć wieków później węgierscy królowie twierdzili, iż odnaleźli wspomniany miecz). Zerkon był zapewne jedynie nieszczęśliwym błaznem, a nie cesarskim szpiegiem, choć to, iż był żonaty, jest faktem, jak również i to, że wędrował pomiędzy dworem Attyli a świtą Aecjusza. Choć Eudoksjusz stał na czele nieudanej rewolty przeciwko Rzymowi i musiał szukać schronienia u Attyli, nigdzie nie natrafiłem na źródła stwierdzające, iż posłował w jego imieniu u Wandalów. Jednak zagrożenie, jakim był dla Rzymu Genzeryk, władca Hunów brał pod uwagę. Biskup Anian zagrzewał

na murach Aurelianum jego obrońców do walki, zaś pewien pustelnik rzeczywiście nazwał Attyłę „biczem bożym”, jednak połączenie tych dwóch osób w jedną jest jedynie moim wymysłem. Nie ma wzmianek o pożarze pałacu, który miała wznieść kobieta o imieniu Ilana, zaś kluczowa rola, jaką we wszystkich wydarzeniach odgrywał Jonasz, jest fikcją. Podsumowując, dość dowolnie przyozdobiłem już i tak fascynującą historię, by stała się jeszcze bardziej interesująca.

Muszę przeprosić czytelnika za to, iż zalałem go powodzią nazw geograficznych tamtejszego świata, które na domiar złego ulegały ciągłym zmianom. Galia Cezara, dla przykładu, była wtedy znana pod nazwami jej rzymskich prowincji, takich jak chociażby Akwitania. Tryumf Franków, który miał dać tym terenom nazwę Francji, był wciąż odległą przyszłością.

Celtyckie miasto Canabum stało się rzymskim Aurelianum, te zaś francuskim Orleanem. By pomóc się zorientować dzisiejszemu czytelnikowi zaznaczę, iż Konstantynopol to obecnie Sztambuł, zrujnowane miasto Naissus to serbski Nisz, opuszczony fort Aquincum leży teraz na przedmieściach Budapesztu, rzymska strażnica, którą atakował Skylla, leży na południowy wschód od Salzburga, fort Sumelocenna to dzisiejszy Rottenberg, Augusta Treverorum to niemiecki Trewir, a Tolosa stała się francuską Tuluzą.

Kim był zatem Attyła? Co znaczył w historii? W wielu miejscach opowieść o jego życiu jest równie niejasna jak legenda o królu Arturze. Jedno wiemy z pewnością. Królestwa, które przetrwały huński

najazd i upadek rzymskiego imperium, przekształciły się w zachodnią Europę, a tym samym w cywilizację i kulturę, które kształtują obecny świat. Gdy dzielni wojownicy odparli Hunów, położyli fundament pod dzisiejsze bezpieczeństwo. Podróż na pola leżące dookoła Troyes i wyobrażenie sobie dziesiątek tysięcy szarżujących jeźdźców, decydujących o lasach ludzkości, jest poruszającym i zapierającym dech w piersiach doświadczeniem.

Czytelnik może, jeśli sobie życzy, odwiedzić wyspę, na której osiedlili się Jonasz i Ilana. Leży pośrodku Loary, niedaleko miasta Amboise. Jedyna wyspa w tym regionie, której brzegi wznoszą się na tyle wysoko, by uniknęła częstych podtopień i powodzi. Z miejsca, gdzie stał ich dom, roztacza się ku zachodowi cudowny widok na rzekę i jej cichą dolinę.

Znajdzie tam również czytelnik smutny pomnik, którego płyta pogrążyła się do połowy w miękkiej ziemi, upamiętniający ofiary ostatnich wojen pochodzące z okolicznych terenów. Niech się nie zdziwi, gdy zobaczy, że część płyty nie nosi żadnych nazwisk - to miejsce przeczornie zostawione dla potomnych.

I tak historia toczy się dalej.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)